



Stephen

FREY

Prezes

Świat Książki

Stephen FREY

Prezes

Z angielskiego przełożył Andrzej Leszczyński

Tytuł oryginału THE CHAIRMAN

Dla Diany. Bardzo cię kocham. Jesteś niesamowita.

Podziękowania

Specjalne podziękowania dla mojego wydawcy, Marka Tavaniego, który bardzo się napracował nad tą książką.

Moim córkom, Christinie i Ashley, z wyrazami głębokiej miłości.

Oraz ludziom, którzy bezustannie służyli mi pomocą: Cynthii Manson, Ginie Centrello, Kevinowi „Big Sky” Erdmanowi, Stephenowi Watsonowi, Mattowi, Kristin i Aidanowi Malone’om, Jackowi Wallace’owi, Bartowi i Allison Begley, Bobowi i Allison Wierzchom, Scottowi Andrewsowi, Johnowi Piazzy, Marvinowi Bushowi, Gordonowi Eadonowi, Jane Barrett, Andy’emu i Chrisowi Brusmanom, Jeffowi Faville, Chrisowi Tesoriero, Walterowi Freyowi, Gerry’emu Bartonowi, Johnowi Griggowi, Jimowi i Anmarie Galowskim, Tony’emu Brazeh/emu, dr. Teo Dagiemu, Arthurowi Mansonowi, Alexowi Fisherowi, Chrisowi Andrewsowi, Barbarze Fertig, Mikę’owi Pocalyko, Baronowi Stewartowi, Patowi i Terry’emu Lynchom, Rickowi Slocumowi.

Prezes. Prezes dużej prywatnej spółki kapitałowej sam podejmuje najważniejsze decyzje. Które przedsiębiorstwa kupić. Ile miliardów dolarów za nie zapłacić. Kogo mianować wiceprezesem. Ile milionów mu zapłacić.

Jeśli jego ocena okaże się błędna, prezes straci wszystko. Może nawet wolność. Ale gdy uda mu się przeprowadzić negocjacje przez gąszcz kłamstw, pozwów sądowych i mściwych gróźb, którymi ludzie z jego sfer są nieustannie nękani, ma szansę stać się jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych postaci tego świata.

Christian Gillette uniósł wzrok znad mównicy, powiódł nim po zasepionych twarzach, po czym przeniósł powoli na otwartą trumnę i leżącego w niej Billa Donovana. Do przedwczoraj to właśnie Donovan był prezesem.

Gillette miał dopiero trzydzieści sześć lat, lecz niespodziewanie ogromna odpowiedzialność spadła akurat na niego. Decyzja mianowania go na stanowisko prezesa zapadła minimalną większością głosów wczoraj późnym wieczorem, podczas burzliwego posiedzenia inwestorów Everest Capital, które odbywało się w sali konferencyjnej firmy, z oknami wychodzącymi na Wall Street. Budzące wiele kontrowersji głosowanie zorganizowano zaledwie trzy dni po śmierci Donovana, w myśl zastrzeżenia znajdującego się w statucie spółki.

- Świat utracił wielkiego człowieka - powiedział Gillette, kończąc swoją krótką mowę pożegnalną. teraz, żeby się oglądać za ślicznotkami. Musimy jechać na cmentarz.

Do wczoraj byli sobie równi, razem z Masonem i Faradayem tworzyli czteroosobowy zarząd wspomagający we wszystkim Donovana. Ale teraz oto on został wydzwignięty ponad nich. To on miał władzę absolutną. Co zrozumiałe, mógł się spodziewać z ich strony przejawów zazdrości, może nawet czegoś gorszego.

- Zabierz rękę - syknął groźnie. - I od tej pory, Ben, bądź łaskaw zwracać się do mnie pełnym imieniem, Christian. - Zerknął na tężającą błyskawicznie minę kolegi, lecz mało go to obchodziło. Musiał jak najszybciej ustanowić warunki swojej dominacji. - Czy to jasne?

- Mam to traktować jak warunek sine qua non? - spytał wyraźnie zdumiony Cohen.

Mimowolnie zacisnął prawą dłoń w pięść. Nie znosił tego upodobania do posługiwania się łacińskimi zwrotami.

- Martwe języki nie robią na mnie żadnego wrażenia. - Przemknęło mu przez myśl, że bardzo długo czekał, aby to wreszcie powiedzieć.

Dolna warga dawnego kolegi wyraźnie zadygotała.

- Więc jesteśmy już na tym etapie?

- Pytałem, czy to jasne!

- Tak, oczywiście. - Cohen zawahał się na moment, po czym dodał: - Christianie.

Kiedy zeszli ze schodów, z limuzyny wysiadł atletycznie zbudowany szofer i pospieszył do tylnych drzwi z prawej strony. Za ledwie dotknął klamki, samochód eksplodował, zamieniając się w gigantyczną kulę białych i żółtych płomieni, która natychmiast pochłonęła i szofera, i przechodzącą chodnikiem blondynkę. Dopiero chwilę później rozległ się ogłuszający huk i poszarpane kawałki blach rozleciały się na dziesiątki metrów we wszystkie strony.

Gillette uniósł ręce, żeby zasłonić twarz, ale zrobił to ułamek sekundy za późno.

Prywatna spółka kapitałowa. Fundusz inwestycyjny wysokiego ryzyka, utworzony z pieniędzy wielkich instytucji oraz bogatych rodzin i przekazany do dyspozycji kilku finansowych rewolwerowców, którzy działają z za zasłony ścisłej tajemnicy.

Obowiązkiem rewolwerowców jest zapewnienie jak najwyższych zysków. Pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć, a nawet sto procent rocznie, najlepiej stale. A więc dużo więcej, niż inwestorzy mogliby zarobić na długoterminowych lokatach bankowych oraz będących w oficjalnym obiegu akcjach czy obligacjach. W dodatku z zakazem informowania kogokolwiek o sposobie uzyskania tak dużych dochodów. W tej branży poufność jest potrzebna za każdą cenę.

Jeśli wszystko idzie dobrze, finansowi rewolwerowcy przysparzają inwestorom, jak również samym sobie, gigantycznych zysków, które idą w miliardy dolarów. Ale gdy stanie się coś nieprzewidzianego i skala podejmowanego ryzyka wyjdzie na światło dzienne, obracający funduszami muszą szukać schronienia gdzieś, gdzie bardzo rzadko słyszy się język angielski.

Ponad ramieniem kierowcy Gillette spojrzął we wsteczne lusterko zamówionego naprędce lincolna. Na szczęście już na cmentarzu głębokie rozcięcie na jego czole przestało krwawić, ale na śnieżnobiałej koszuli miał parę krwawych plam, nie wspominając o chusteczce do nosa, a wzdłuż linii włosów nad czołem ciągnęła mu się szybko ciemniejąca purpurowa pręga. Pomyślał, że są to przerażające dowody, jak blisko był tego, żeby od razu pójść w ślady Billa Donovana.

- Dobrze się czujesz, Christianie? - zapytał Cohen siedzący obok na tylnym siedzeniu. Chudy i wymizerowany, z mocno przerzedzonymi kędzierzawymi czarnymi włosami, pamiętał bodajże każdy wynik prowadzonych przez siebie kalkulacji. Zdjął okulary i w zamyśleniu przetarł je papierową chusteczką. Miał dopiero trzydzieści siedem lat, a już musiał używać okularów o podwójnej ogniskowej, co było efektem codziennego

wielogodzinnego ślęczenia przed ekranem komputera. - Mam wrażenie, że bardzo się przejęłaś dzisiejszymi wydarzeniami.

- Nic mi nie jest - zapewnił go Gillette.

Cohen jako jedyny po eksplozji miał taką minę, jakby zobaczył upiora. I ani trochę nie ucierpiał od wybuchu.

- Może powinieneś zrezygnować z udziału w stypie - zaproponował z troską w głosie.

- Nie.

- Chyba przydałoby ci się założyć parę szwów.

- Nic mi nie jest.

- Do tej pory nie byłeś taki twardy.

- Wystarczy, Ben.

- Znajdziemy odpowiedzialnego za ten zamach - obiecał ze złością Cohen. - Wynajmiemy braci McGuire. Jutro z samego rana zadzwonię do Toma.

Spółka McGuire & Company oferowała usługi z zakresu: bezpieczeństwo, inwigilacja obiektów, kontrola wiarygodności, dochodzenia i ochrona osobista. Działała na całym świecie i miała swoje biura od Nowego Jorku przez Londyn po Hongkong. Bracia Tom i Vince McGuire, byli agenci FBI, zależeli finansowo od Everest Capital, która była właścicielem ich firmy za pośrednictwem szóstego funduszu inwestycyjnego.

- Zobaczysz, jak szybko odnajdziemy winnego - dodał Cohen.

Gillette obejrzał się i popatrzył przez tylną szybę auta. Faraday i Mason jechali w drugiej limuzynie za nimi. Towarzyszyli wdowie w drodze z cmentarza na tysiącakrową posiadłość Donovana w Connecticut, gdzie miała się odbyć stypa.

- Tylko nie trać na to ani czasu, ani pieniędzy, Ben.

- Słucham?

- Mowę całkiem poważnie.

- Przecież trzeba osiągnąć jakieś *quid pro quo* - rzekł z naciskiem Cohen. - Ludzie powinni zrozumieć, że za coś takiego muszą się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

- Nigdy nie dojdiesz, kto zorganizował zamach - odparł Gillette. - Nie znajdziesz winnego. Nie dokona tego nawet Tom McGuire. Tak samo, jak nikt nie dojdzie, co naprawdę spotkało Billa Donovana.

Zwłoki prezesa firmy odkryto w środę rano, leżące twarzą w dół bogatym w pstrągi strumieniu płynącym przez gęsto zalesioną część jego posiadłości.

Cohen skrzywił się boleśnie. Zawsze robił taką minę, gdy był zaskoczony albo zmieszany.

- Co chcesz powiedzieć przez sformułowanie „co naprawdę spotkało Billa Donovana”?

- Nie udawaj naiwniaka, Ben.

- Przecież Bili utonął.

- Czyżby?

- Policja nie miała żadnych wątpliwości, że...

- Przed kilku laty przemierzyłem z nim na piechotę całą długość tego strumienia. Jest dość wąski i w żadnym miejscu nie głębszy niż na metr. Nie potrafię uwierzyć, żeby ktoś mógł się w nim utopić, nawet gdyby przypadkiem wpadł do wody. Bili został zamordowany - oznajmił stanowczo.

- Mój Boże... - szepnął z przejęciem Cohen. - Nawet przez chwilę nie przyszło mi to do głowy.

- To co powiesz o bombie podłożonej w limuzynie? Nie układa ci się to w logiczną całość?

Cohen wyraźnie się zawahał.

- Może masz rację. Skłonny byłbym podejrzewać, że...

- Dlatego mam do ciebie serdeczną prośbę - przerwał mu Gillette.

- Słucham.

- Spróbuj się dowiedzieć czegoś o tej kobiecie.

- Kobiecie?

- Tej blondynce, która przechodziła obok auta w chwili wybuchu. Jeśli osierociła dzieci, Everest powinien się o nie zatroszczyć. I spróbuj to zrobić dyskretnie - dodał z naciskiem. - Nie zostawiaj żadnych dowodów, które pozwoliłyby prześledzić drogę przepływu pieniędzy. Nie chciałbym, żeby jakiś adwokacina uznał to za świetną okazję do zbiccia majątku.

- Zadbam o to - obiecał Cohen, nerwowo popychając okulary w czarnej oprawce na nasadę nosa.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Obszerny lincoln town car zagłębiał się coraz bardziej w gęste lasy stanu Connecticut.

- Mason jest wściekły - odezwał się Gillette, gdy kierowca zwolnił na ostrym zakręcie.

- Tak uważasz?

- Myślał, że to on zostanie prezesem.

- Pewnie by został, gdyby nie ta nagła śmierć Billa - przyznał Cohen. - W końcu był jego pupilkiem. Dla nikogo nie stanowiło to tajemnicy. Nie sądzę jednak, żeby był wściekły. Jest po prostu zasmucony.

- Troy pragnął zająć stanowisko, które przypadło mnie, jak niczego innego na świecie. Tak samo jak Faraday. - Gillette obejrzał się na Cohena, gdy wyjeżdżali z wirażu. - I tak samo jak ty, Ben.

Wymizerowane policzki Cohena w jednej chwili oblały się rumieńcem.

- Powinieneś coś zrozumieć, Christian. Żona i córki są dla mnie o wiele ważniejsze niż kariera w firmie.

- Dobrze wiem, jak bardzo jesteś oddany rodzinie - odparł szorstko Gillette. W końcu pracowali razem od dziesięciu lat i codziennie musiał wysłuchiwać opowieści o jego dziewczynkach. - Ale wiem również, jak bardzo zależało ci na stanowisku prezesa. Nie próbuj mnie okłamywać.

Cohen wydał lekko wargi, nie mogąc ukryć poirytowania nadzwyczajną szczerością nowego prezesa.

- Sądzę, że dałbym sobie radę na twoim miejscu - mruknął pod nosem.

- Myślisz, że Troy złoży teraz rezygnację? - zapytał Gillette.

- Dlaczego miałby to robić? Jest całkowicie związany finansowo z Everestem. Gdyby odszedł z pracy, jego udziały przepadłyby na rzecz firmy. Wszyscy podpisywaliśmy kontrakty zawierające podobną klauzulę.

- Ile, według ciebie, warte są jego udziały?

- Sześćdziesiąt milionów. Tak samo jak twoje czy Faradaya. I jak moje.

Donovan zatroszczył się o to, żeby wszyscy wspólnicy z zarządu spółki mieli dokładnie takie same udziały w funduszach Everest Capital.

- A gdybym go zwolnił? - zapytał Gillette, chcąc wykorzystać okazję, ponieważ Cohen jak nikt inny znał wszelkie prawnicze kruczki zawarte w statusie firmy.

Uświadomił sobie nagle, że Cohen zawsze przywiązywał zbyt dużą wagę do szczegółów i pewnie właśnie dlatego nie wybrano go na prezesa. Nawet nie był poważnie brany pod uwagę. Prezes spółki kapitałowej musi myśleć strategicznie, on tymczasem ciągle był w malinach, gdzie tropił jakieś nadzwyczajne, lecz mało znaczące okazy. Uzyskał tylko jeden głos, pewnie swój własny.

Gillette poznał dokładne wyniki głosowania, gdy tuż przed pogrzebem połączył się z siecią spółki. Jako prezes zarządu był jedyną osobą w firmie - nie licząc wdowy po

Donovanie - mającą dostęp do tego rodzaju informacji. Tylko jednym głosem pokonał Masona. Niewiele brakowało...

- Co by się wtedy stało? - zapytał, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Jakie byłyby skutki, gdybym zwolnił Troya?

- Podległy nam bank inwestycyjny zająłby się wyceną jego udziałów - odparł Cohen. - Musiałby potwierdzić, że są warte sześćdziesiąt milionów. A potem wypłacałby pieniądze Troyowi w równych miesięcznych ratach przez pięć lat. Na szczęście nie uznałby żadnych jego reklamacji, gdyby się okazało, że udziały są warte więcej niż sześćdziesiąt milionów. Jakakolwiek nadwyżka zostałaby rozdzielona po równo między ciebie, Faradaya i mnie.

- A gdybym unieważnił jego kontrakt?

- Na przykład z powodu oskarżenia o przestępstwo?

- Chociażby.

- Straciłby wszystko, i w tym wypadku jego udziały przypadłyby nam trzem po równo. - Cohen pokręcił głową. - Ale raczej nie ma co na to liczyć. Można mieć wiele zastrzeżeń do Troya, na pewno nie dopuścił się pospolitego przestępstwa.

- Nie ma żadnego szerszego pojęcia przypadku mogącego stać się podstawą do zerwania umowy? - Gillette popatrzył na coraz bardziej zdziwioną minę kolegi. Lekcewał jednak to zaskoczenie, gdyż naprawdę nie było nikogo innego, kto tak dobrze jak on znałby wszelkie obwarowania prawne obowiązujących umów. - Czegoś mniej skrajnego od oskarżenia o pospolite przestępstwo?

- Owszem, jest.

- Powinno być jakieś zastrzeżenie dotyczące działań na szkodę reputacji Everestu bądź mających zgubny wpływ na spodziewane zyski. Nasze zyski.

- Jeśli pozbędziesz się Troya na tej podstawie, od razu nas zaskarzy - odparł z przekonaniem Cohen. - I zapewne wygra. Jak często powtarzają nasi radcy prawni podczas omawiania warunków zatrudnienia członków zarządów podległych nam firm, trudno polegać na tym zapisie, jeśli chce się kogoś zwolnić przed terminem. Trzeba by mieć bardzo mocne dowody działania na szkodę firmy.

- Ale jest coś jeszcze, prawda? - zapytał Gillette szybko.

- Jest - rzekł tamten z ociąganiem. - Naprawdę myślisz o pozbyciu się Troya?

Gillette zapatrzył się na tory biegnące wzdłuż szosy. Linie kolejowe fascynowały go od dawna, od tamtego lipca, kiedy przed laty stał się od nich całkowicie uzależniony.

- A co z udziałami Donovana w Everescie? - zapytał, pomijając milczeniem pytanie Cohena. - Co się z nimi stanie po jego śmierci?

- Specjalnie dla Billa została sformułowana oddzielna klauzula w umowie powołującej spółkę do życia. Jako jej założyciel zajmował szczególną pozycję, toteż teraz wdowa po nim będzie przejmowała należną mu część zysków z każdej sprzedaży. Jej nie dotyczy przepis jednorazowej wypłaty wszystkich udziałów, jak w wypadku Masona, gdyby ten zrezygnował z dalszej pracy. I dzięki Bogu - dodał pospiesznie Cohen. - Bo jej udziały w funduszach Everestu są warte ponad cztery miliardy dolarów.

- Ale nie przeszły na nią żadne uprawnienia? - wtrącił Gillette. - Nie ma prawa mi dyktować, jak zarządzać Everestem?

- Nie, tego jej nie wolno. Jako prezes zarządu masz całkowitą kontrolę nad firmą. - Cohen zawahał się na chwilę. - Dopóki większość wspólników nie przegłosuje usunięcia cię ze stanowiska.

- Czym to jest obwarowane? Cohen wzruszył ramionami.

- Niczym specjalnym. Jeśli ponad sześćdziesiąt procent wspólników zdecyduje, że trzeba się ciebie pozbyć, ich decyzja będzie ważna. Wystarczy, że zwołamy zebranie zarządu i przegłosujemy taki wniosek. Jednak w tej sprawie może się odbyć tylko jedno głosowanie w ciągu roku kalendarzowego. Poza tym, możesz utracić stanowisko jedynie w wypadku oskarżenia cię o pospolite przestępstwo. Wówczas dymisja byłaby automatyczna.

- Wydaje mi się, że w pomocniczych dokumentach dotyczących statusu spółki widziałem jakieś zapisy na temat prawa głosu wdowy po jej założycielu. Czy jej głos będzie się liczył bardziej niż innych wspólników?

- Oczywiście. Różnica jest ogromna.

- Poważnie?

- Tak. Niezależnie od liczebności ograniczonych wspólników w funduszu głos wdowy jest równoważny jednej czwartej wszystkich głosów. To specjalny przywilej przyznany Donovanowi na jego stanowcze żądanie. Podejrzewam, że na początku, jeszcze przed naszym pojawieniem się w firmie, Donovan miał spore kłopoty z uzyskaniem większości głosów ograniczonych wspólników, dlatego wprowadził ten zapis. Ale jak tylko spółka wyszła na prostą i zaczęła przynosić konkretne dochody również tym ograniczonym, natychmiast umilkły wszelkie głosy krytyki.

Donovan nigdy się tym nie chwalił.

- A gdybyśmy utworzyli następny fundusz? - spytał w zamyśleniu Gillette, spoglądając z zalem, jak tory skręcają, oddalają się od szosy i znikają w lesie. - Miałyby takie samo prawo do zysków z niego?

- Nie. Zachowałyby udziały Billa we wszystkich istniejących funduszach, ale nie dostałaby automatycznie żadnych nowych. Mogłaby wejść do nowo tworzonego funduszu jako zwykły inwestor, gdybyśmy ją o to poprosili, ale nie oznaczałoby to, że ma jakiegokolwiek prawo do zysków Everestu. Byłaby w tym nowym funduszu ograniczonym wspólnikiem, jak wszyscy pozostali udziałowcy.

Inwestorów kolejnych funduszy prywatnej spółki kapitałowej Everest Capital nazywano powszechnie wspólnikami „ograniczonymi”, ponieważ nie mieli żadnego wpływu na gospodarowanie pieniędzmi. Decydował o tym wyłącznie zarząd, a więc Gillette, Cohen, Mason i Faraday. To oni byli odpowiedzialni za wybór kupowanych przedsiębiorstw, mianowanie właściwych ludzi do kierowania nimi i określenie najlepszego momentu do ich sprzedaży. W gruncie rzeczy wszystkie te decyzje były teraz w gestii Gillette’a wybranego na prezesa zarządu.

Odpowiedzialność finansowa inwestorów także była mocno ograniczona. Nikt nie mógł stracić więcej, niż włożył do funduszu. Zresztą, zaden z istniejących siedmiu funduszy Everestu nigdy nie przyniósł dotąd strat. W perspektywie dwudziestu lat działalności spółki każdy dolar zainwestowany w którykolwiek fundusz dał średnio co najmniej trzy dolary zysku.

Stały odsetek rocznych zysków ograniczonych wspólników był przeznaczony na pokrycie kosztów prowadzenia spółki, a więc chociażby na pensje trzydziestu trzech etatowych pracowników Everest Capital oraz na czynsz za wynajmowane pomieszczenia biurowe przy Park Avenue. Roczny dochód firmy, ściśle uzależniony od sumarycznej wartości funduszy inwestycyjnych, wynosił około stu milionów dolarów. Były to więc olbrzymie pieniądze. Ale rzeczywisty łakomy kąsek dla Gillette’a, Cohena, Faradaya i Masona stanowiła możliwość partycypowania w zyskach ze sprzedaży poszczególnych przedsiębiorstw nabywanych w ramach kolejnych funduszy.

Everest kupował średnio od dziesięciu do dwudziestu firm w ramach każdego funduszu. Zarządzał nimi od trzech do pięciu lat, oczywiście w znaczący sposób zwiększając wartość przedsiębiorstwa, po czym się ich pozbywał, albo wprowadzał akcje na wolny rynek, albo odsprzedawał potężniejszym konkurentom. W większości wypadków zarabiał na tym dużo więcej, niż początkowo inwestował. I po każdej takiej transakcji rozdzielał zarobione pieniądze między ograniczonych wspólników.

W pierwszej kolejności zwracał inwestorom ich wkład. Dopiero wywiązawszy się z tych zobowiązań, odliczał na rzecz spółki piątą część zysków. Jeśli, na przykład, pierwotny wkład któregoś z ograniczonych wspólników do funduszu wynosił dziesięć dolarów i poprzez

obracanie pieniędzmi w funduszu wzrósł do czterdziestu, zysk Everestu wynosił sześć dolarów z każdego udziału, czyli dwadzieścia procent z trzydziestodolarowego dochodu.

Oczywiście dla funduszu w pierwotnej wysokości dziesięciu miliardów dolarów przychód wynosił odpowiednio czterdzieści miliardów, a zysk firmy sześć miliardów dolarów. Teraz, po śmierci Donovana, owe sześć miliardów czystego zysku miało przypaść w udziale czterem członkom zarządu.

Ostatni prywatny fundusz inwestycyjny utworzony w ramach działalności Everestu - Everest Capital Partners VII - wynosił sześć i pół miliarda dolarów. Był to już siódmy taki fundusz powstały od czasu zawiązania spółki i jak dotąd największy. Gromadzeniem kapitału zajmowali się Donovan i Nigel Faraday, a ich zadanie zostało ukończone półtora roku temu. Do tej pory jednak tylko niewiele ponad połowę z tych sześciu i pół miliarda zainwestowano w zakup siedmiu przedsiębiorstw.

Gillette planował już jednak powołanie nowego funduszu, Everest Capital Partners VIII, którego wielkość miała wynieść dziesięć miliardów dolarów. Wliczając pięć miliardów, którymi Everest wciąż obracał w funduszach od pierwszego do szóstego, oraz sześć i pół miliarda w funduszu siódmym, spółka przejęłaby kontrolę nad prywatnym kapitałem przekraczającym dwadzieścia miliardów, stałaby się zatem największą i najpotężniejszą prywatną firmą inwestycyjną na świecie.

- Zatem cały zysk z nowo utworzonego funduszu Everestu przypadłby tylko nam czterem - zakończył Cohen - a ty, jako prezes zarządu, miałbyś decydujący głos w sprawie jego podziału.

Gillette przyknął na chwilę oczy. Dwadzieścia miliardów. Nawet dla niego była to niesamowita kwota. Z pewnością wystarczająco mocno musiała działać na wyobraźnię człowiekowi, który właśnie próbował go zabić, by skłonić go do zorganizowania kolejnego zamachu.

- Mówisz więc, że wdowa nie miałaby prawa do partycypowania w zyskach nowo powstałego funduszu?

- Zgadza się - potwierdził Cohen.

- Jak się domyślam, nie miałaby też prawa do zachowania dotychczasowej jednej czwartej głosów wszystkich inwestorów?

- Oczywiście.

- Jak to działa? Co jest bezpośrednią przyczyną utraty dotychczasowych przywilejów?

- Nowy fundusz powstanie na nieco odmiennych zasadach, pod warunkiem że będzie co najmniej tak duży, jak ostatni. Kiedy zostaną spełnione te warunki, wdowa po Donovanie

zrówna się w prawach z pozostałymi inwestorami, a jej głos stanie się wart tyle, co jej udziały w sumarycznym kapitale funduszu, innymi słowy, stanie się równy odsetkowi jej pieniędzy włożonych do sumarycznej kwoty funduszu.

Ta sytuacja miała zarówno dobre, jak i złe strony, Gillette musiał wszystko dobrze przemyśleć. Ale miał co najmniej rok do czasu powołania ósmego funduszu, postanowił więc na razie nie łamać sobie nad tym głowy.

- Ben, powinniśmy już w przyszłym tygodniu zacząć przygotowania do utworzenia nowego, ósmego funduszu - oznajmił. - Chciałbym, żeby Everest Osiem osiągnął wielkość dziesięciu miliardów dolarów.

Po raz pierwszy wtajemniczył kogokolwiek w swoje plany. Cohen zamrugał szybko i ze zdumienia rozdziawił usta.

- Dziesięć miliardów? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak.

- Przecież zainwestowaliśmy dopiero połowę pieniędzy z funduszu siódmego.

- Zgodnie ze statusem spółki mogę zarządzić powstanie nowego funduszu po zainwestowaniu pięćdziesięciu procent kapitału poprzedniego.

Z samego rana sprawdził brzmienie tego zapisu w dokumentach.

- Tak, oczywiście, tyle że Bili do tej pory zawsze czekał, aż zainwestowane zostanie co najmniej siedemdziesiąt pięć procent - odparł Cohen. - Uważał, że tak będzie najlepiej. Chciał w ten sposób dać do zrozumienia ograniczonym wspólnikom, że ma na względzie ich udziały, a nie tylko zyski przypadające zarządowi spółki. Z utworzeniem siódmego funduszu czekaliśmy, aż inwestycje wyczerpią osiemdziesiąt procent funduszu szóstego.

- Dziesięć miliardów to wielki kapitał. Warto się zawczasu przygotować do jego zgromadzenia.

- Myślisz, że damy radę zebrać aż tyle z towarzystw ubezpieczeniowych i funduszy emerytalnych? - zapytał sceptycznie Cohen. - I czy wogóle na rynku jest wystarczająco dużo pieniędzy na taki manewr?

- Pieniądzy nigdy na nic nie brakuje.

- No, nie wiem.

- O nic się nie martw.

- To jedno zawsze wychodzi mi dobrze. - Cohen westchnął ciężko, poprawiając okulary na nosie. - Christianie, powinieneś o czymś wiedzieć.

Gillette obejrzał się na niego.

- O czym?

- Kyle i Marcie próbują podkupić inne prywatne spółki kapitałowe. Składają im bardzo kuszące oferty: olbrzymie pensje, gwarantowane premie, duże udziały w zyskach.

Kyle Lefors i Marcie Reed byli dyrektorami naczelnymi Everest Capital. W hierarchii służbowej firmy stali tylko o stopień niżej od Cohena, Faradaya i Masona. Oprócz tej pary Everest zatrudniał jeszcze kilku dyrektorów, jednakże Lefors i Reed byli najbardziej uzdolnieni.

- Wiedziałem o Leforsie - przyznał Gillette.

- Od kogo?

- Od Toma McGuire'a.

- Ach tak.

- Ale o Marcie słyszę po raz pierwszy. - Wziął głęboki oddech. - Nie chciałbym stracić żadnego z nich.

- Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

Wyczuł w głosie kolegi wyraźną troskę, której powód był oczywisty. Istniało tylko jedno dobre wyjście z tej sytuacji. Należało awansować Leforsa i Reed, przyjmując oboje do grona wspólników zarządu i przyznać im udziały w zyskach. Oczywiście Cohen, Faraday i Mason byli temu przeciwni, gdyż musieliby zrezygnować z części swoich zysków. Jeśli nawet Cohena i Masona dałoby się jakoś ugadać, to ze strony Faradaya można było oczekiwać tylko dzięki awantury. Był strasznie wybuchowy.

- Jeszcze nie wiem. Muszę się nad tym dobrze zastanowić.

- Tylko nie...

- Czy mi się zdawało, czy na pogrzebie była Faith Cassidy? - Gillette pośpiesznie zmienił temat, wyciągając swoją „jeżynę”, czyli skrzyżowanie telefonu komórkowego z palmtopem podłączonym bezprzewodowo do sieci. Włączył aparat i zaczął przeglądać pocztę elektroniczną.

Faith Cassidy pojawiła się niespodziewanie na scenie muzyki pop zaledwie rok temu, a jej debiutancki album już sprzedał się w milionach egzemplarzy. Druga płyta miała się ukazać na dniach. Za pośrednictwem szóstego funduszu inwestycyjnego - tego samego, do którego należała spółka McGuire & Company - Everest był właścicielem firmy sprawującej nadzór nad wydawnictwem muzycznym Faith's Music.

- Tak, była w kościele - odparł Cohen.

- Jest bardzo atrakcyjna.

- Raczej tak - przyznał tamten obojętnym tonem, spoglądając na mijane drzewa przy szosie.

- Kto ją zaprosił? Cohen nie odpowiedział.

- Ben?

- Dobra, ja to zrobiłem. Bili bardzo ją lubił. Pomyślałem więc, że byłby to miły gest z naszej strony. Masz coś przeciwko temu?

Kiedy samochód pokonał długi oraz stromy podjazd i zatrzymał się przed gankiem dworku Donovana, Gillette wysiadł i zaczekał przy drzwiach, aż Troy Mason podprowadzi wdowę.

- Bardzo dziękuję za wygłoszenie mowy pożegnalnej - odezwała się słabym głosem zza czarnej woalki, kurczowo zaciskając palce na przedramieniu Masona. - Bili na pewno bardzo się ucieszył, słysząc z twoich ust tyle pochwał.

Gillette zerknął na kwaśną minę kolegi. Mason był wysokim i przystojnym blondynem, wielkim miłośnikiem piłki nożnej i niewątpliwie spędzałby całe niedziele na boisku, zamiast poświęcać je na kupowanie przedsiębiorstw i zarządzanie nimi, gdyby na ostatnim roku studiów w Stanford nie doznał poważnego urazu lewego kolana w rozgrywkach Rose Bowl.

Nie zamienili ze sobą ani słowa od czasu, gdy wczoraj po południu została ogłoszona decyzja wspólników firmy co do obsady stanowiska prezesa. Wcześniej rozmawiali pięć albo dziesięć razy dziennie.

- To był dla mnie zaszczyt, Ann - odparł, ponownie koncentrując uwagę na wdowie. Daremnie próbował jednak przebić wzrokiem jej gęstą czarną woalkę.

- Niedługo zaczną się zjeżdżać goście - szepnęła. Szybko skinął głową.

- Tak, powinniśmy wejść do środka. - Nagły poryw wiatru zatrzepotał woalką i Gillette pochwycił widok poblądłej ściągniętej twarzy z sinawymi wargami. - Pozwolisz, że skorzystam po południu z gabinetu twojego męża?

Puściła wreszcie ramię Masona i przysunęła się bliżej niego.

- Chyba wiesz, że w takich sytuacjach ludzie chcieliby mieć trochę czasu, prawda?

- Nie wątpię w to.

- Nawet jeśli mogą wywalczyć zaledwie parę sekund - dodała ledwie słyszalnie. - Przecież tu chodzi o duże pieniądze.

Przysunęła się jeszcze trochę i wreszcie mógł cokolwiek dojrzeć przez woalkę.

- To prawda.

- Wczoraj dokonaliśmy mądrego wyboru - szepnęła, stojąc tyłem do Masona. - Bili głosowałby na Troya. Kochał go jak syna. - Zawahała się na moment, przeniósłszy spojrzenie nieco w bok.

Którego nie mogłaś mu dać, podsumował Gillette w myślach.

- Podaj mi ramię, Christianie.

Zerknął jeszcze przelotnie na Masona świdrującego ich wzrokiem, nim odwrócił się i poprowadził wdowę wyłożoną kamieniami ścieżką.

- Dziękuję, że oddałaś swój głos na mnie - rzekł. - Bez niego nie zostałbym prezesem.

- Powinieneś raczej podziękować Milesowi Whitmanowi. Miałam głosować na Troya, dopóki Miles nie zadzwonił i nie powiedział, że jego zdaniem ty jesteś lepszym kandydatem na to stanowisko. I teraz się cieszę, że zadzwonił.

Miles Whitman był największym inwestorem Everestu.

- Ja również - przyznał Gillette. Zaciśnęła mocniej palce na jego ramieniu.

- Więc dobrze zadbaj o moje pieniądze, młody człowieku.

- Zatroszczę się o nie jak o własne.

Ostatnich kilka metrów przeszli w milczeniu. Kiedy stanęli u podnóża kamiennego tarasu przed wejściem do dworku, dodała jeszcze:

- Staraj się zawsze, Christianie, żeby to inni do ciebie przychodzili. I zawsze rozmawiaj z ludźmi na swoich warunkach. Kiedy ty będziesz na to gotowy. Nigdy wcześniej.

- Obróciła się twarzą do niego. - Wiele się nauczyłam przez tych dwadzieścia lat małżeństwa. Nawet będąc zaledwie żoną Billa.

Negocjacje. Uzgadnianie warunków zakupu przedsiębiorstwa: ceny, metody zapłaty, zastrzeżeń i gwarancji. Jak również szczegółów dotyczących wynagrodzenia kadry kierowniczej - wysokości pensji i premii, udziałów w akcjach, świadczeń dodatkowych. I kluczowych zasad finansowania - stopy procentowej, terminu spłaty kredytów, klauzul w umowach. Zawodowcy z prywatnych spółek kapitałowych zajmują się niemal wyłącznie tymi sprawami, ponieważ nikt z kierownictwa firmy podlegającej spółce kapitałowej nie może wykonać nawet drobnego posunięcia bez aprobaty prezesa.

W świecie zdominowanym przez ciągle negocjacje obowiązuje tylko jedna prosta i niewzruszona zasada. Przewaga wcale nie leży po stronie tego, który mniej czegoś pragnie. Ma ją ten, kto sprawia takie wrażenie.

W gabinecie Donovana wszystko było imponujące. Olbrzymi kamienny kominek. Wielkie biurko. Ciemna boazeria na ścianach. Drogie meble. Obrazy olejne. Zdjęcia zmarłego w towarzystwie sławnych ludzi, polityków, gwiazd sportu i artystów, które stały stłoczone na komodzie i półkach sięgającego sufitu regału z książkami. A wszystko po to, żeby zrobić jak największe wrażenie na gościach.

Gillette wziął głębszy oddech. Intensywny zapach wyprawionej skóry i palonego drewna od razu przywiódł mu na myśl gabinet ojca.

Proste drewniane krzesło stojące za biurkiem zaskrzypiało pod jego ciężarem. W półmroku dostrzegł niewyraźny zarys swojego odbicia w owalnym lustrze w złotej ramie wiszącym na przeciwległej ścianie - czarne włosy rozdzielone przedziałkiem z boku i zaczesane za uszy, twarz o ostrych rysach, z wąskim prostym nosem, mocno zarysowana linia dolnej szczęki, nieco wystająca broda i wysoko sklepione kości policzkowe. Do tego błyszczące szare oczy, które zawsze przyciągały wzrok rozmawiających z nim ludzi. Sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i osiemdziesiąt sześć kilo wagi dopełniało sylwetki bardzo wymagającego rozmówcy przy stole negocjacyjnym.

Widok w lustrze rozmazał mu się przed oczami, gdy z pamięci po raz kolejny wypłynął widok eksplodującej limuzyny. Skrzywił się boleśnie. Zginęło dwoje niewinnych ludzi. Tylko parę kroków dzieliło go od...

Pukanie do drzwi gabinetu zakłóciło tok tych rozważań.

- Christianie...

Od razu rozpoznał właściciela wyraźnego brytyjskiego akcentu.

- Wejdz.

Drzwi otworzyły się i zamknęły wręcz niedostrzegalnie, z cienia wyłonił się Nigel Faraday. Puciołowaty, o bladej wodnistej cerze, poza biurem rzadko był widywany bez szklaneczki z drinkiem w ręku. Nawet tego popołudnia nie znalazł powodu, żeby zrobić wyjątek.

- Jasna cholera...

- Co się stało, Nigel? - zapytał Gillette, spoglądając podejrzliwie, jak Anglik miesza palcem kostki lodu pływające w szklaneczce.

Faraday był przeciwieństwem Bena Cohena. Brzydził się szczegółami i nie odczuwał najmniejszej potrzeby wiązania sobie rąk zakładaniem rodziny. Za to nie wyobrażał sobie chyba życia bez nocnych rozrywek Manhattanu. Zabawiał najważniejszych inwestorów Everestu przez trzy albo cztery wieczory tygodniowo, zazwyczaj do drugiej lub trzeciej w nocy. Jako prawdziwy ekspert w pomnażaniu pieniędzy odznaczał się wyjątkową zdolnością nie tylko upraszania we właściwym momencie o bardzo duże sumy, ale także uzyskiwania ich bez kłopotów.

- Mieliśmy genialny plan - bąknął pod nosem i pociągnął spory łyk whisky ze szklaneczki. - Pieprzony Cohen.

- Nawet nie próbujesz zaprzeczać swemu udziałowi w spisku? - zapytał Gillette, unosząc dłoń do czoła, by się upewnić, czy rana przestała wreszcie krwawić.

Nie byli specjalnie zaprzyjaźnieni, choć od początku lubił Faradaya. Jego sarkazm bywał bardzo zabawny, a silny brytyjski akcent działał na człowieka hipnotyzująco.

- Cohen miał cię sprowadzić po schodach dużo szybciej, a już na ulicy powiedzieć, że zapomniał czegoś w kościele i musi wrócić. Ale ten zafajdany gnojek poza rachunkami niczego nie umie porządnie załatwić. I poza wtrącaniem łacińskich zwrotów. - Faraday uśmiechnął się krzywo. - Powinniśmy byli o tym pamiętać z Masonem.

Gillette sam ledwie powstrzymał ironiczny uśmiech. Jeszcze przedwczoraj tak samo oceniłby Cohena. Teraz jednak musiał nad sobą panować. Wiele się zmieniło. Jako prezes zarządu musiał zachowywać dystans w kontaktach z kolegami.

- Następnym razem lepiej się przygotujecie.

- Żebyś wiedział.

Z niedowierzaniem pokręcił głową, przyjmując słowa Faradaya jako bombową rewelację.

- Zrozum, Chris...

- Christianie - poprawił go natychmiast.

Faraday zachichotał, potem odkaszlnął nerwowo i przeciągnął dłonią po twarzy, jakby w ten sposób chciał zetrzeć uśmiech z ust, gdy wreszcie zrozumiał, że Gillette mówi poważnie.

- No więc... chciałem tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest. Przez pewien czas martwiłem się o ciebie, zwłaszcza gdy zobaczyłem tyle krwi... Nie zamierzam cię okłamywać i nie będę twierdził, że nie byłem rozczarowany, kiedy wczoraj wieczorem ograniczeni wspólnicy nie mnie zapalili zielone światło. Wydawało mi się, że w większym stopniu trzymam ich w garści. Cokolwiek by mówić, głównie to dzięki mnie sporo zarobili... - Faraday zamilkł na krótko. - Ale cieszę się, że nic ci się nie stało.

Spośród dziewięćdziesięciu trzech inwestorów funduszy Everestu tylko trzech poparło kandydaturę Faradaya. Innymi słowy, ograniczeni wspólnicy cenili sobie rozrywki, jakich im dostarczał, i bez sprzeciwu wykładali pieniądze na rzecz Everestu, gdy ich o to prosił, nie mieli jednak szczególnego zaufania co do jego zdolności pomnażania zysków. A może raczej do pozyskiwania rozwijających się przedsiębiorstw i podejmowania na ich rzecz strategicznych decyzji przynoszących inwestorom zyski.

- Dziękuję - odparł cicho Gillette.

- Przyszedłem ponadto, by ci przekazać, że senator Stockman cholernie pragnie się z tobą zobaczyć.

Gillette zerknął na kartonową teczkę leżącą na skraju biurka Donovana.

- Zamierza się dopominać o jałmużnę?

Bardzo szybko zaczynała się procesja potrzebujących.

- Którą bez wątpienia nazwie finansowym wsparciem.

- Nie jesteś tego całkiem pewien? - spytał ironicznie Gillette, utkwivszy spojrzenie w drobnej rance na policzku kolegi, który był ogorzały, miał bardzo twardy zarost i często się kaleczył przy goleniu.

Faraday ponownie się uśmiechnął.

- Owszem. Jestem tego całkiem pewien. Gillette przytaknął ruchem głowy.

- Porozmawiam z nim, ale powiedz mu, że musi jeszcze trochę poczekać.

- Chcesz, żebym był obecny przy tej rozmowie?

- Nie, przyślij z nim Cohena.

Uśmiech Faradaya ulotnił się w jednej chwili, ustępując miejsca grymasowi złości, lecz Gillette nie czekał na jej przejawy, machnął ręką w stronę drzwi i dodał:

- Idź już.

Kiedy znów został sam, jeszcze raz spojrział w owalne lustro. Szybka reakcja i wydajność. Liczyła się każda sekunda. Tak brzmiała mantra Billa Donovana. A on przez ostatnie dziesięć lat był jego pilnym uczniem.

Faraday przecisnął się przez tłum gości w pobliże Cohena. Na stypę zaproszono tysiąc osób i wyglądało na to, że wszyscy przyjęli zaproszenie.

Poklepał kolegę po ramieniu i syknął:

- Hej, Moses.

W jego ustach to imię znaczyło tyle samo co „kurdupel”. Cohen przeprosił Faith Cassidy, z którą właśnie rozmawiał, i odwrócił się do niego.

- O co chodzi, Nigel? - burknął wyraźnie poirytowany. Anglik uśmiechnął się szeroko.

- Gdzie twoja żona?

- Czemu pytasz?

- Zazwyczaj lepiej pilnuje twojego kutasa. Cohen pogardliwie wyduł wargi.

- Naprawdę sprawiają ci przyjemność takie wulgarne zaczepki?

- W każdym razie przychodzą mi bez trudu. - Faraday machnął szeroko utrzymaną w rękę szklaneczką. - Nasz nowy przywódca wzywa cię do gabinetu. Nawiasem mówiąc, każe się teraz zwracać do siebie per Christian.

Cohen uniósł oczy do nieba.

- Tak, wiem.

- Siadaj, Ben. przed biurkiem.

- Gillette wskazał dwa fotele stojące.

Cohen wybrał ten, który znajdował się dalej od drzwi.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Z przyjemnością pomogę we wszystkim, jeśli tylko będę mógł, Christianie.

Zwłaszcza teraz, gdy obejmujesz swoje obowiązki.

Gillette spojrzał mu w oczy, próbując ocenić, czy te przejawy posłuszeństwa są szczerze.

- Senator Stockman pragnie się ze mną spotkać, chciałbym mieć świadka tej rozmowy. - Na twarzy Cohena odmalowała się ulga. Nie trzeba mu było tłumaczyć, że obowiązuje już nowa hierarchia służbowa, w której on znalazł się na drugim miejscu. - Nie chciałbym, żeby później pojawiły się jakieś nieporozumienia, co rzeczywiście zostało powiedziane.

- Dzięki - rzekł Cohen ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Doceniam to, że wybrałeś właśnie mnie.

Gillette zaczekał, aż tamten znowu spojrzy na niego, i zapytał:

- Rozmawiałeś z Masonem?

- Tak.

- I CO?

- Miałeś rację. Wystarczył jeden drink, żeby Troyowi i na dobre rozwiązać język. Jest rozgoryczony. Donovan ewidentnie zamierzał się wycofać z końcem roku i przekazać wszystkie sprawy właśnie jemu.

Gillette pokiwał głową. Potwierdzało to plotki, które do i - niego dotarły.

- A co z panną Cassidy? Z nią też rozmawiałeś?

Zanim Cohen zdążył odpowiedzieć, do gabinetu wkroczył senator Stockman. Postawny, siwy, odznaczający się czerstwą rumianą cerą, jak zawsze kroczył z dumnie zadartą brodą. Podeszedł szybko do biurka i wyciągnął rękę na powitanie, całkowicie lekceważąc Cohena.

- Wystarczy tylko na pana spojrzeć, panie Gillette - powiedział, potrząsając energicznie jego dłonią. - Od: widać, że niespodziewanie stał się pan bardzo wym młodym człowiekiem.

Gillette wskazał mu wolny fotel obok Cohena. W ciągu ostatnich paru lat kilkakrotnie widywał senatora, ale zawsze w obecności Donovana. I do wczoraj tamten chyba nawet nie pamiętał jego nazwiska.

- To straszne, co spotkało Billa. - Stockman rozsiadł się wygodnie, zakładając nogę na nogę. - Ale jak zwykle nieszczęście jednego obraca się na korzyść drugiego. Mam rację, panie Gillette?

- Wszystko na tym świecie jest zbilansowane - przyznał szybko Gillette i wskazał ręką kolegę. - Pozwoli pan, senatorze, że przedstawię Bena Cohena.

Stockman tylko lekko przekrzywił głowę na ramię, nawet nie spojrzął w bok.

- Jak pan sądzi, panie Gillette, co się naprawdę przydarzyło pańskiemu szefowi? To rzeczywiście był wypadek, jak utrzymuje policja? Czy też może ktoś pomógł Billowi zalać płuca wodą?

- Na jakiej podstawie miałbym podejrzewać, że Bili został zamordowany?

- Bo gdyby wyszedł pan z kościoła pół minuty wcześniej, nie mielibyśmy teraz okazji do tej rozmowy.

Na kilka sekund w gabinecie zapadła grobowa cisza.

- Dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć? - zapytał w końcu Gillette.

- Pomyślałem, że byłoby dobrze, byśmy się spotkali jak najszybciej. - Senator uśmiechnął się skąpo. - I porozmawiali o sposobach naszej ewentualnej współpracy.

Stockman i Donovan nigdy się nie przyjaźnili. Zawsze tylko na pokaz serdecznie ściskali sobie ręce, bo w rzeczywistości wywodzili się ze skrajnie odległych pozycji w politycznym spektrum, co ostatecznie przyczyniło się do powstania głębokiej osobistej niechęci między nimi. Nie było najmniejszych szans na to, by jeden drugiemu pomógł choćby w najdrobniejszej sprawie. Dopiero teraz zarysowała się perspektywa bliższej współpracy.

Gillette rozłożył szeroko ręce i rzekł:

- To brzmi interesująco.

- Najpierw chciałbym zadać kilka pytań dotyczących Everestu.

- Słucham.

- Ile przedsiębiorstw jest pod waszą kontrolą?

- Dwadzieścia siedem.

- A ile wynosi sumaryczny obrót tych przedsiębiorstw?

- Chwileczkę - wtrącił pospiesznie Cohen. - Ta informacja jest całkowicie poufna.

- W porządku, Ben - odezwał się łagodnym tonem Gillette. - Senator Stockman nigdy nie wyjawiałby nikomu postronnemu takich wiadomości. Mam rację, senatorze?

Stockman uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

- Oczywiście.

- W takim razie możesz odpowiedzieć, Ben. Poirytowany Cohen głośno westchnął.

- Sumaryczny obrót tych dwudziestu siedmiu przedsiębiorstw przekracza osiemdziesiąt miliardów dolarów.

- Ile osób zatrudniają?

Cohen tylko zerknął z ukosa na Gillette'a.

- Odpowiedz.

- Prawie milion.

- Milion pracowników... - powtórzył z uznaniem Stockman. - To duży elektorat. A w ilu spośród tych przedsiębiorstw jesteś prezesem zarządu, Christianie?

- W siedmiu - odparł za niego Cohen. - Ale wraz ze śmiercią Billa Christian jako nowy prezes zarządu Everest Capital automatycznie przejmie stanowiska zajmowane przez zmarłego. To kolejnych trzynaście firm.

- Jezu... Prezes dwudziestu przedsiębiorstw. I do tego prezes Everestu... - Stockman był najwyraźniej pod wrażeniem. - Mam nadzieję, że zdołają cię szybko sklonować, Christianie, bo inaczej nie będziesz miał nawet okazji, żeby się spokojnie wysrać...

- Do czego pan zmierza, senatorze? Tamten splótł dłonie na brzuchu.

- Za kilka dni zamierzam zgłosić swą kandydaturę w wyborach prezydenckich - wyjaśnił półgłosem. - Dlatego zależałoby mi na poparciu Everestu, w końcu to milionowy elektorat. Pracownicy zazwyczaj słuchają prezesów swoich firm.

Już od kilku tygodni krążyły plotki o tym, że Stockman zamierza wystartować w wyścigu do Białego Domu.

- Jak ci zapewne wiadomo - ciągnął senator - jestem demokratą. I wiesz też na pewno, że Bili Donovan był konserwatystą. Ściślej rzecz biorąc, członkiem honorowym Republikańskiego Komitetu Narodowego. Dlatego nawet nie próbowałem go prosić o pomoc. Równie dobrze mógłbym gadać do ściany. Słyszałem jednak, że masz nieco odmienne poglądy. Mimo że wychowywałeś się w Beverly Hills, jesteś podobno wrażliwy na los zwykłych ludzi, szeregowych urzędników, a szczególnie mniejszości narodowych. Właśnie tacy ludzie stanowią zasadniczą część mojego elektoratu. Dlatego zależy mi na twoim poparciu, Christianie. Chciałbym, żebyś powiedział pracownikom nadzorowanych przez ciebie przedsiębiorstw, aby głosowali na mnie, i żebyś za kulisami włączył się aktywnie w moją kampanię, zjednywał dla mnie ludzi, którzy coś znaczą. - Stockman po raz pierwszy spojrzął w kierunku Cohena. - Oczywiście nie mówię tu o uliczce jednokierunkowej. -

Przeciągnął palcami po krawędzi kłapy marynarki. - Na pewno obaj zdajecie sobie sprawę, że mam bardzo wysoko postawionych przyjaciół. Na przykład w Komisji Bezpieczeństwa Obrotu Papierami Wartościowymi... - Zawiesił na chwilę głos. - Przez lata Everest Capital zarobił miliardy dolarów, wprowadzając na rynek akcje kontrolowanych przez siebie przedsiębiorstw. Mam rację, panie Cohen?

- Tak.

- Dowiedziałem się od jednego z moich asystentów, że nadal macie duże pakiety akcji kilku z tych przedsiębiorstw, w uzupełnieniu owych dwudziestu siedmiu firm, które w całości kontrolujecie. Czy te informacje są ścisłe?

Cohen przytaknął ruchem głowy.

- Biorąc pod uwagę, jak wnikliwie kontroluje się ostatnio księgowość w przedsiębiorstwach, oferty publicznych sprzedaży akcji mogą łatwo ugrzęznąć w gąszczu zastrzeżeń komisji. Albo nawet zostać całkiem zablokowane.

Cohen posłał Gillette'owi wściekłe spojrzenie, dając mu do zrozumienia, że już się domyśla, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Jestem pewien, że tego byście nie chcieli - podkreślił Stockman, pochwycając spojrzenie Cohena. - W tym zakresie mógłbym wam pomóc. - Uniósł brwi i zmarszczył czoło. - Albo nie.

- Chwileczkę - syknął Cohen. - W ciągu ostatnich dziesięciu lat wprowadziliśmy do publicznego obrotu akcje piętnastu firm. Znamy mnóstwo ludzi, którzy...

- Niech ktoś z pańskiego biura zadzwoni do mojej asystentki - zwrócił się Gillette do senatora, ucinając dalszą dyskusję. Nie zamierzał niepotrzebnie zaogniać sytuacji. Na pewno nie teraz. - Ma na imię Debbie. - Wstał i wyszedł zza biurka. - Niech umówią nas na lunch w przyszłym tygodniu. - Wyciągnął rękę do Stockmana, a gdy tamten wstał i uścisnął mu dłoń, szybko poprowadził go do drzwi. - Spotkamy się w „Racquet Club”. Co pan na to?

- To bardzo przyjemny lokal, Christianie. Dawno tam nie byłem. Z przyjemnością zjem z tobą lunch.

Gillette otworzył drzwi.

- Z chęcią dowiem się czegoś więcej o pańskiej kampanii, senatorze.

- Dziękuję.

- Co za kutas - mruknął pod nosem Cohen, gdy tylko drzwi gabinetu się zamknęły. - Ma czelność grozić nam swoimi znajomościami w komisji bezpieczeństwa. Jak byśmy nie mieli żadnego doświadczenia we wprowadzaniu akcji na rynek. I do tego wmawia w żywe oczy, że tak bardzo obchodzi go los biednych robotników. Nie tak dawno go sprawdzałem,

Christianie. To nadęty waśniak i nic poza tym. Każdym jego krokiem steruje wielkie i energicznie działające biuro wyborcze.

- Niech Tom McGuire przygotuje o nim szczegółowy raport - polecił Gillette, wracając na swoje miejsce. - Niech pozbiera na faceta wszystko, co tylko się da, najlepiej na jutro po południu.

- Zajmę się tym.

- I nie chciałbym więcej być zmuszony do wyprowadzania kogoś z tego pokoju, Ben. Od tej pory ty musisz wziąć to na siebie. Jasne?

- Aha - mruknął Cohen z ociąganiem, jakby nie był pewien, czy nie powierza mu się roli kamerdynera.

Rozległo się ciche pukanie i Gillette posłał Cohenowi ostre spojrzenie. Ten wstał, podszedł do drzwi, uchylił je i po chwili oznajmił:

- Teraz Richard Harris chce z tobą rozmawiać.

- Świetnie.

Cohen przekazał decyzję posłańcowi Harrisa.

- Jak myślisz, czy Mason romansuje z kobietami pracującymi w kontrolowanych przez niego firmach? - zapytał Gillette.

Mason był prezesem zarządu w pozostałych siedmiu przedsiębiorstwach należących do Everestu i nadal nie cichły plotki, że wykorzystuje swoje stanowisko do tego, by nawiązywać coraz to nowe romanse. Ale nigdy mu niczego nie udowodniono.

- Skąd miałbym to wiedzieć?

- Nie pytałbym, gdybyś to wiedział, Ben. Chciałem usłyszeć twoje zdanie w tej sprawie.

- Wolałbym nie spekulować. W końcu Troy jest nie tylko moim współnikiem w interesach, lecz także przyjacielem.

- Do cholery, Ben! Powiesz mi wreszcie, co o tym myślisz?

Cohen skrzywił się i w zakłopotaniu poprawił okulary na nosie.

- Sądzę, że to niewykluczone.

- Widzę, że przede wszystkim nie chciałbyś się wychylać, prawda?

- Słucham?

- Nieważne.

To kolejny powód, dla którego inwestorzy nawet nie rozpatrywali jego kandydatury na stanowisko prezesa Everestu, uświadomił sobie Gillette. Jak również powód tego, że Donovan nigdy nie mianował go prezesem zarządu którejkolwiek z firm należących do

spółki. Cohen znakomicie radził sobie z liczbami, chyba lepiej od wszystkich speców z Wall Street, ale nie potrafił być stanowczy. Tymczasem najważniejszą cechą finansisty z prywatnej spółki kapitałowej była właśnie stanowczość. Niekiedy nawet wobec przyjaciół.

- Aż się doprasza, żeby któraś go oskarżyła o molestowanie seksualne - ocenił rzeczowo Gillette.

- Nie sądzę, żeby naprawdę mu to groziło. Moim zdaniem, większość plotek jest mocno przesadzona.

- Nie zmienia to faktu, że wciąga do łóżka kobiety pracujące w podległych mu firmach.

Cohen nie odpowiedział.

- A głośna, rozdmuchana w prasie sprawa o molestowanie seksualne miałaby z pewnością negatywny wpływ na naszą reputację i planowane zyski. Nie sądzisz, Ben?

- Być może.

Gillette przez parę sekund mierzył go uważnym spojrzeniem, wyraźnie poirytowany takim brakiem zdecydowania.

- Jak będziesz rozmawiał z Tomem McGuire'em na temat senatora Stockmana, poproś go też, żeby sprawdził, czy Troy nie robi jakichś głupot, kiedy wyjeżdża na posiedzenia zarządów swoich przedsiębiorstw.

- Niezręcznie mi się zajmować takimi rzeczami. Uważam, że to nie w porządku.

- Nie obchodzi mnie, czy jest ci zręcznie, czy nie. Masz to zrobić i koniec. Jasne?

Znowu rozległo się pukanie.

Tym razem Cohen niemal poderwał się z fotela. Chwilę później wprowadził do gabinetu Richarda Harrisa, który, uściskawszy dłoń Gillette'a, usiadł na tym samym miejscu, które niedawno zajmował Stockman.

- Moje gratulacje, młody człowieku - zaczął serdecznie. Jako wiceprezes U.S. Petroleum, największej firmy przemysłowej w kraju, był jednym z najbardziej wpływowych biznesmenów w Stanach Zjednoczonych. - W pełni sobie zasłużyłeś na ten awans, Christianie.

- Dziękuję. - Gillette z wdzięcznością skinął Cohenowi głową. Harris dotąd zwracał się do niego per Chris. Najwyraźniej to właśnie Cohen w drzwiach gabinetu szepnął mu parę słów wyjaśnienia. - Czym mogę ci służyć?

Harris zamrugał szybko.

- No cóż, chyba już rozumiem, czemu wspólnicy wybrali właśnie ciebie. Mam wrażenie, jakbym wciąż rozmawiał z Billem. Ani chwili do stracenia.

Gillette spojrział na zegarek.

- Jesteś właścicielem pewnej kanadyjskiej firmy produkcyjnej, która zgromadziła ciekawe zapasy ropy i gazu - wyjaśnił pospiesznie Harris, uznawszy chyba jego reakcję za wyraz zniecierpliwienia. - Mam na myśli Laurel Energy.

Ach, więc o to chodzi. Harris chciał przejąć Laurel. Z pewnością traktował to jak nadzwyczajną okazję do umocnienia jego pozycji w oczach wspólników Everestu. I rzeczywiście, sprzedaż jednej z podległych firm za wysoką cenę zaraz po objęciu stanowiska prezesa była nie lada gratką. Szybkie zwycięstwa miały szczególną wagę.

- Zależy mi na niej - wyjaśnił Harris.

- Nie tylko tobie - odparł Gillette.

- Zapłacę ci sumę, która przyniesie Everest Capital pięćdziesiąt procent rocznego zysku. To naprawdę dużo. Wasi ograniczeni wspólnicy powinni być bardzo zadowoleni. Ponadto będziesz miał do rozgłoszenia wspaniałą wiadomość w tak krótkim czasie po przejściu kontroli nad interesami firmy.

- Ben, ile zapłaciliśmy za Laurel Energy? - zaciekawiał się Gillette, nieco rozdrażniony tym, że Harris trafnie przewidział jego chęć odniesienia spektakularnego sukcesu zaraz po objęciu prezesury spółki, bo to osłabiałoby jego pozycję do negocjacji.

- Dwa miliardy - odparł Cohen. - Wykorzystaliśmy trzysta milionów dolarów z funduszu szóstego i dobraliśmy miliard siedemset milionów kredytu z Citibanku do przypieczętowania transakcji.

- Kiedy dokonaliśmy tego zakupu?

- Prawie trzy lata temu.

- Ile z tego miliarda siedemset milionów kredytu nie zostało jeszcze spłacone?

- Około miliarda dwustu, ale...

- Zapłacę więc miliard w gotówce na rzecz waszej spółki - zaproponował Harris. - Będziecie o siedemset milionów do przodu w stosunku do trzystu, które zainwestowaliście. Oczywiście U.S. Petroleum przejmie także całość zobowiązań kredytowych wobec Citibanku. Na dobre uwolnicie się od tej inwestycji.

Gillette spojrział na Cohena, który sprawiał wrażenie podenerwowanego, jakby już w myślach obliczył swoją działkę z siedemsetmilionowego zysku i zaczynał się martwić, że transakcja może nie dojść do skutku.

- Co o tym sądzisz, Ben? Cohen wzruszył ramionami.

- To za mało - oznajmił Gillette, kręcąc głową, znów rozzłoszczony na kolegę.

- To i tak więcej, niż moglibyście oczekiwać - odparował Harris.

- Mam pewną propozycję, która pozwoli nam zniwelować różnicę zdań.

Harris obrzucił go podejrziwym spojrzeniem.

- Tak?

- U.S. Petroleum jest właścicielem nowoorleańskiej firmy zajmującej się obsługą eksploatacji złóż ropy. Przejąłeś ją kilka lat temu, kiedy kupowałeś tę dużą firmę wydobywczą z Alaski. Nie jest dla ciebie szczególnie cenną zdobyczą.

Harris przeciągnął palcami po węzle krawata.

- Rzeczywiście nie jest - przyznał.

- Słyszałem, że ta spółka ma około miliarda rocznego obrotu i zysk rzędu stu milionów.

- To by się zgadzało. I co z tego?

- Zapłacę ci za nią czterysta milionów. Harris natychmiast poczerwieniał.

- Czterysta?! Tylko cztery razy więcej od rocznego zysku?! To byłaby wręcz kradzież w biały dzień, Christianie. Od ręki następnego dnia odsprzedałbyś ją bez kłopotów za co najmniej półtora miliarda. Moi akcjonariusze by mnie zlinczowali.

- Więc nie informuj ich o tym - podsunął bezczelnie Gillette. - My też zachowamy sprawę w tajemnicy. Załatwimy wszystko szybko i po cichu. Bez rozgłosu.

Harris pokręcił głową.

- Na nic się to nie zda. Nasi księgowi zmuszą mnie, bym zamieścił wzmiankę o tej transakcji choćby w przypisach do rocznego raportu. Akcjonariusze i tak się o niej dowiedzą.

- Mylisz się. U.S. Petroleum to wielka firma, rocznie obraca dwustu miliardami dolarów. Wasi księgowi wcale nie będą musieli wspominać o transakcji, której wartość wobec rozlicznych przedsięwzięć finansowych jest nieznacząca. A gdyby mimo wszystko liczykrupy się uparli, żeby wywlec sprawę na światło dzienne, zawsze możesz dać im do zrozumienia, że zastanawiasz się nad zaangażowaniem innej firmy księgowej. - Gillette wymierzył palec wskazujący w Harrisa. - Ile usługi księgowe kosztują rocznie U.S. Petroleum? Dwadzieścia, trzydzieści milionów?

- Prędzej czterdzieści - przyznał tamten cicho.

- Więc prezes tej firmy będzie miał ułatwioną decyzję. Już teraz możesz założyć, że nasza mała transakcja nigdy nie doszła do skutku.

- No, nie wiem...

Gillette dał mu chwilę na oswojenie się z sytuacją, po czym dodał:

- W każdym razie poznałeś moją ofertę, Richardzie. Jeśli odsprzedasz mi firmę obsługi eksploatacji złóż za czterysta milionów, ja sprzedam ci Laurel Energy wraz z jej

rezerwami ropy i gazu za miliard dolarów z wierzytelnościami kredytowymi wobec Citibanku. - Zawiesił głos i postukał palcami w biurko. - Wiem, jak bardzo ci zależy na przejściu Laurel Energy - ciągnął rzeczowym tonem. - Spółka posiada opcje eksploracyjne w kilku ciekawych regionach Kanady, gdzie mogą się kryć nowe złoża. Nawet nie skończyliśmy jeszcze badań sejsmicznych, ich wyniki będą znane dopiero za jakiś czas. Lecz jeśli potwierdzą się przypuszczenia i faktycznie ujawnione zostaną nowe zasoby gazu i ropy, przy ich wartości miliard dolarów razem z kredytem bankowym będą wyglądały jak kieszonkowe. A wtedy to ja będę się musiał tłumaczyć przed naszymi inwestorami. Dlatego nie ruszajmy do tańca bez muzyki. Więc jak? Interesuje cię moja propozycja czy nie?

Harris zastanawiał się jeszcze przez kilka sekund, wreszcie kiwnął głową i odparł:

- Tak, interesuje.

- Świetnie. Niech twoi prawnicy od razu złączą szkielec dokumenty. Chciałbym, żeby obie transakcje zostały zamknięte najpóźniej do dziesiątego stycznia.

- Odprowadzę pana do drzwi, panie Harris - odezwał się Cohen, w lot pochwyciwszy delikatną sugestię, że spotkanie dobiegło końca.

- I co o tym sądzisz? - zapytał go Gillette, gdy Harris wyszedł z gabinetu.

- Wydaje mi się, że miliard dolarów plus kredyt bankowy to cholernie wysoka cena za Laurel Energy, jeśli badania nie potwierdzą obecności dużych złóż ropy i gazu na terenach objętych opcjami.

- Masz rację, myślę jednak, że Harris już wcześniej kazał swoim analitykom dokładnie przyjrzeć się tej sprawie. Gra w ciemno. Jeśli nie trafi, będzie się musiał tłumaczyć z wydatków, ale w końcu nie takich wielkich. Lecz jeśli wygra, stanie się superbohaterem. - Gillette uniósł lewą brew. - Nie wie tylko, że do dziesiątego stycznia będziemy już znali wyniki badań sejsmicznych, zatem opłacalność transakcji stanie się sprawą oczywistą przed podpisaniem kontraktu. Jeśli rzeczywiście jest tam żyła czarnego złota, będziemy renegocjować warunki. Mam rację?

Cohen wzruszył ramionami.

- No cóż... Ccweat emptor.

Gillette policzył w myślach do pięciu, po czym rzekł:

- Kiedy następnym razem będziesz chciał przytoczyć sentencję, że ryzyko ponosi kupujący, wyraż ją w tej postaci. Jasne?

- Nie przesadzaj - szepnął Mason, muskając palcem wewnętrzną stronę przedramienia kobiety, z którą stał w rogu olbrzymiego salonu, na obrzeżu zgromadzonego tu tłumu, ukryty przed wścibskimi spojrzeniami. - Chodź ze mną.

- Jesteś okropny, Troy - odparła cicho, choć na jej wargach błąkał się rozkoszny uśmiezek. - Naprawdę nie mogę.

- To nie jest prośba, kochanie, tylko rozkaz. Polecenie służbowe. Jak to, gdy ci każe przynieść kawy. - Przeciągnął dłonią po jej plecach i uszczypnął w pośladek. - A teraz ruszaj posłusznie na dół.

- Troy! - syknęła i z lekkim klapssem odtrąciła jego rękę.

- Tylko żartowałem - wyjaśnił szeptem, pochylił się i sprawdziwszy pospiesznie, czy nikt na nich nie patrzy, pocałował ją lekko w policzek. - Przecież wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy.

- Gdzie twoja żona?

- Została w domu. Na Manhattanie.

- Jak ci się udało od niej uwolnić?

- Mały zachorował. Poza tym moja żona nie lubi uczestniczyć w pogrzebach.

- Aha.

- Zatem spotkamy się na dole za pięć minut - poinstruował. - W głębi korytarza, za salą bilardową, jest pokój gościnny. - Wystarczająco często zatrzymywał się w tym domu, znał na pamięć rozkład pomieszczeń. - A schody do sutereny są po drodze do kuchni.

- Nic z tego. Nie zamierzam...

- I lepiej już po drodze ściągnij majtki - przerwał jej.

- Jesteś okropny, Troy. Naprawdę nie zamierzam... Umilkła szybko, gdyż nie bacząc na nic, zaczął się przeciskać przez tłum do wyjścia z pokoju.

- Dziękuję za wizytę. - Przed drzwiami gabinetu Gillette energicznie uściśnął dłoń Milesa Whitmana, dyrektora inwestycyjnego North America Guaranty & Life. - Bardzo to cenię.

- Cieszę się, że właśnie ty wygrałeś. - Whitman zerknął z ukosa na Cohena i znów spojrzał mu prosto w oczy. - Nie będę ci niepotrzebnie zabierał czasu, Christianie. Na pewno mnóstwo ludzi próbuje się z tobą skontaktować już dzisiaj. - Odwrócił się, ale jeszcze przystanął i zapytał: - Zatem o dziewiątej rano we wtorek, tak?

Gillette sam zaproponował mu spotkanie, żeby przedyskutować kwestie powołania nowego funduszu.

- Tak, o dziewiątej.

Kiedy Whitman wyszedł, Gillette wrócił na swoje miejsce za biurkiem Donovana. Ale nie zdążył nawet usiąść, gdy Cohen zawołał od drzwi:

- Tom Warfield chce z tobą rozmawiać.

Warfield był prezesem J.P. Morgan Chase & Co., jednego z największych banków świata.

Gillette pokręcił głową.

- Na pewno będzie mnie błagał, bym zechciał zrezygnować z usług Citibanku i wybrać J.P. Morgana jako nasze główne źródło finansowania. Bez przerwy ciosał Donovanowi kolki na głowie. Nie zamierzam wdawać się z nim teraz w dyskusję. Powiedz mu, żeby zadzwonił i ustalił z Debbie termin spotkania. Tylko nie na lunchu - dodał szybko, pocierając palcami oczy, które zaczynały go piec od długiego używania szkieł kontaktowych. - Warfield jest za bardzo gadatliwy, zanudziłby mnie na śmierć.

Cohen przekazał te informacje czekającemu przed drzwiami gabinetu wiceprezesowi J.E Morgana, po czym zawołał:

- A co powiesz na Jeremy'ego Cole'a? Znajdziesz dla niego czas?

Gillette kilkakrotnie miał okazję rozmawiać z obrońcą drużyny New York Giants, po raz pierwszy przed szatnią piłkarzy, we wrześniu, na samym początku sezonu.

- Tak, dam mu pięć minut.

Cohen ruszył w kierunku swojego fotela.

- Ben.

Cohen zatrzymał się gwałtownie na środku pokoju.

- Tak?

- Proszę, poszukaj Rogera Nolana. - Nolan był wiceprezesem Blalock Industries, wielkiej firmy produkującej narzędzia elektryczne, należącej do Everestu. - Powinien gdzieś tu być, prawda?

- Owszem. Dlaczego chcesz się z nim widzieć?

- Po prostu ściągnij go tu. Powiedz, żeby zaczekał w korytarzu, dopóki nie skończę z Jeremym.

Cohen zawrócił do wyjścia.

Kilka minut później do gabinetu wkuśtykał Jeremy Cole.

- Co ci się stało? - zapytał Gillette, wskazując na jego nogę.

- Nic wielkiego. Zostałem trafiony podczas wczorajszego treningu - wyjaśnił piłkarz z silnym akcentem z Alabamy i krzywiąc się z bólu, powoli usiadł w fotelu.

Był olbrzymem, jak Troy Mason. Dołączył do drużyny w fazie playoff poprzedniego sezonu jako nieznany żółtodziób i błyskawicznie stał się gwiazdą na Manhattanie.

- Trenujemy jeszcze na pół gazu, rozgrywamy cykl meczów kontrolnych na Meadowlands. No i wczoraj, wie pan, jeden ze starszych obrońców, którego ogarnęła

szczeniacka zazdrość, trafił mnie, i to na długo po końcowym gwizdku. - Zarechotał głośno. - Ścięli go dzisiaj rano o ósmej.

- Ale już w przyszły weekend gracie mecz z Packersami. Wy dobrzejesz do tego czasu?

- Na pewno zagram. Jeśli nadal będę odczuwał ból, któryś z lekarzy da mi jakiś zastrzyk.

- Któryś z lekarzy?

- No tak, bo jest ich pełno. Czasem mi się zdaje, że klub zatrudnia na kontraktach więcej lekarzy niż zawodników.

- No cóż, jako posiadacz karnetu na cały sezon mogę tylko wyrazić swoje zadowolenie, że władze New York Giants tak dbają o stan zdrowia piłkarzy. Kółka zębate w każdej maszynie trzeba dobrze oliwić.

Obaj skwitowali tę uwagę krótkim śmiechem.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć w jakiejś konkretnej sprawie? - zapytał Gillette. - Czy to tylko wizyta towarzyska?

Cole westchnął ciężko.

- Przykro mi, że zawracam panu głowę, lecz wiele osób mi mówiło, że tylko pan zdoła mi pomóc.

Gillette natychmiast się domyślił, o co chodzi, i zaczął od razu rozmyślać, czego mógłby zażądać w zamian.

- Chcesz, żebym przekonał zarząd klubu do renegotjacji warunków twojego kontraktu, chociaż minęło zaledwie pół roku od jego podpisania.

Młody piłkarz aż rozdziawił usta ze zdumienia, gapiąc się na niego.

- Skąd pan wie?

- Słyszysz się to i owo, Jeremy. - Gillette przyjaźnił się ze starszym synem właściciela większościowego pakietu akcji klubu New York Giants. Uczyli się razem w college'u w Princeton i przez lata utrzymywali ze sobą bliskie kontakty. - Opowiedz mi o warunkach, jakie zawiera twój kontrakt.

- Byłem idiotą. Zgodziłem się na pięćset tysięcy rocznie. - Cole uderzył lekko pięścią w poręcz fotela. - W tym roku mógłbym bez trudu zgarnąć i pięć milionów, ale zauroczyła mnie sześciocyfrowa liczba, Chris. Tylko dlatego postanowiłem brać, ile dają.

Gillette rozważał przez chwilę, czy nie zwrócić mu uwagi na zbyt dużą poufałość, ale zrezygnował, bo uznał, że Cohen z pewnością zrobi to później.

- I mimo twoich wspaniałych wyników władze klubu nie chcą ci zwiększyć uposażenia?

- Powiedzieli mojemu agentowi, że na razie mogę się wypchać trocinami, bo ewentualne renegocjacje wchodzi w grę najwcześniej po dwóch latach. To zwyczajny wykręt. Zawodowy futbol jest sportem brutalnym. W ciągu tych dwóch lat mogę nagle skończyć karierę. A przecież zasługuję na coś więcej niż tylko...

- Rozumiem - przerwał mu Gillette, unosząc dłoń. Cole błyskawicznie umilkł.

- Gotów jestem ci pomóc, Jeremy. Lecz jeśli uda mi się cokolwiek wskórać, niewykluczone, że w rewanżu poproszę cię o przysługę.

Mason złapał dziewczynę za rękę i wciągnął do pokoju gościnnego, po czym zatrzasnął drzwi i całym ciężarem przygwoździł ją plecami do ściany przy łóżku. Pospieszenie sięgnął pod sukienkę i wetknął jej dwa palce w pochwę. Zgodnie z poleceniem gdzieś po drodze ściągnęła majtki.

- To szaleństwo - wysapała, w pośpiechu rozpinając mu pasek spodni i macając w poszukiwaniu guzika. Rozpięcie suwaka poszło jej bez trudu. - Nie powinniśmy tego tutaj robić.

- Dlaczego?

- Ktoś mógłby nas zobaczyć - syknęła, odchylając głowę do tyłu, gdyż obsypywał pocałunkami jej szyję, gwałtownie poruszając palcami w jej pochwie. - Jezu... Przecież jesteś moim szefem, Troy.

- Nic się nie martw. Nikt nas tu nie znajdzie.

- Obyś miał rację.

- Spokojnie. Wiem, co robię.

W drzwiach gabinetu pojawiła się Marcie Reed. Wysoka blondynka z długimi zgrabnymi nogami, którymi ustawicznie się chwaliła, nosząc krótkie spódniczki, nawet na stypę przyjechała w mini. Tuż za nią pojawił się Roger Nolan.

- Witaj, Christianie - odezwała się Marcie.

Gillette podniósł wzrok znad dokumentów, które czytał.

- Cześć.

- Ben powiedział, że chcesz się widzieć z Rogerem. - Reed zasiadała w radzie nadzorczej Blalock Industries i w gruncie rzeczy na co dzień kierowała całym przedsiębiorstwem, w razie konieczności kontaktując się z Donovanem w najważniejszych sprawach. - Teraz ty zajmiesz miejsce Billa na stanowisku prezesa, ale zakładam, że nie pozbędziesz się mnie z rady nadzorczej. Mam rację?

- Zobaczymy.

- Dlatego uznałam, że powinnam być obecna przy tej rozmowie.

Gillette pokręcił głową.

- Chcę rozmawiać z Rogerem w cztery oczy.

- Aha - mruknęła z rezygnacją, gdyż zamierzała już usiąść w fotelu.

- Niemniej jestem ci wdzięczny, że go tutaj ściągnęłaś.

- Nie ma za co - prychnęła, wyraźnie poirytowana.

Gillette skinął Nolanowi głową i wskazał mu fotele stojące przed biurkiem, po czym odprowadził spojrzeniem Marcie, która z dumnie zadartą brodą wychodziła z gabinetu.

- Witaj, Christianie. - Nolan klapnął w fotelu, nie wyciągnąwszy nawet ręki na powitanie. Był gruby, barczysty i łysy, z krzaczastymi czarnymi brwiami, które nadawały mu groźny wygląd. - Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? - zapytał, nerwowo przebieając palcami po kolanie.

- Czym się tak denerwujesz? Zaparkowałeś w niedozwolonym miejscu?

- Że co? - Roger łypnął na niego z ukosa.

Wskazał jego rozbiegane palce, rytmicznie uderzające w tkaninę spodni.

- Ach, nie... skądże... - Nolan pospiesznie skrzyżował ręce na piersi. - Mam dla ciebie tyle wolnego czasu, ile tylko zapragniesz, Christianie - wymamrotał.

- Miło spędziłeś dzisiaj czas? - spytał Gillette z politowaniem.

- Owszem. Jak dalece mogło być miło, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

- To dobrze. - Donovan przyjaźnił się z nim, zdaniem Gillette'a łączyła ich nazbyt bliska zażyłość. Blalock Industries należała do Everestu od trzech lat i przez cały ten czas Nolan, będący jej wiceprezesem, ani razu nie zdołał zbilansować budżetu firmy. Był to jeden z nielicznych wypadków, kiedy osobiste odczucia Donovana okazały się silniejsze od trzeźwych osądów inwestora. Dlatego też Gillette pochylił się niżej nad biurkiem i zapytał: - Przypomnij mi, Roger, ile wynoszą twoje dochody?

Nolan zamrugał szybko i utkwiał w nim czujne spojrzenie.

- Słucham?

- Pytałem, ile wynoszą twoje dochody.

- W tego rodzaju sprawach będę się opowiadał wyłącznie przed prezesem spółki.

Wyglądało na to, że nie zwrócił uwagi na to, co wcześniej powiedziała Marcie, należało mu więc przypomnieć.

- Czyli właśnie przede mną, Roger. Teraz, gdy zostałem prezesem Everestu, automatycznie przejmuję stanowiska Billa w zarządach wszystkich podległych nam przedsiębiorstw.

Przez twarz Nolana przemknął grymas pogardy.

- Aha.

- Więc ile wynoszą twoje dochody? - powtórzył pytanie Gillette.

- Dwa miliony dolarów.

- A jaką premię dostałeś od Billa za ubiegły rok?

- Pięć milionów.

- Jezu... - syknął cicho Gillette. - Ile wyniosły ubiegłoroczne obroty Blalocka?

- Trzy miliardy.

- A jaki był zysk netto? Nolan się zawahał.

- No, słucham, Roger.

- Dwadzieścia jeden milionów.

- Niech to diabli... - Gillette ostentacyjnie uderzył pięścią w biurko. - Czyli twoje dochody z premią sięgnęły prawie dwudziestu pięciu procent zysku całej firmy. To brzmi jak kpina.

- Zaraz, mieliśmy całkiem niezłe wyniki...

- Całkiem niezłe? Dwadzieścia milionów zysku przy trzech miliardach obrotu nazywasz niezłym wynikiem? Gdyby równie skuteczni byli alianci w czasie drugiej wojny światowej, wszyscy chodzilibyśmy teraz w wojskowych kamaszach i odżywiali się tłustą kiełbasą. Według wstępnego sprawozdania, które trafiło do mnie wczoraj, ani razu nie zbilansowałeś budżetu firmy i w tym roku zapewne także ci się to nie uda.

Nolan wzruszył ramionami.

- Zagraniczna konkurencja stawia bardzo wysokie wymagania. Trzeba się z tym pogodzić.

- Ja nie muszę się z niczym godzić. Podobnie jak moi inwestorzy. Oni oczekują konkretnych wyników, i ja także. Więc w taki czy inny sposób będę musiał ich usatysfakcjonować. - Gillette wymierzył w rozmówcę palec wskazujący. - Zwalniam cię, Roger.

Nolan błyskawicznie wyprostował się w fotelu i tak silnie zacisnął palce na poręczach, że aż pobiełały mu knykie.

- Ty kutasie - syknął przez zęby. - Nie możesz mnie zwolnić.

- Właśnie to zrobiłem.

- I kto teraz będzie kierował firmą?! Ty?!

- Nie sądzę, bym miał gorsze wyniki od ciebie. - Gillette z politowaniem pokręcił głową. - W filadelfijskim biurze ludzie już pakują twoje rzeczy osobiste, które jutro zostaną ci dostarczone do domu. Pod żadnym pozorem nie masz prawa pojawiać się więcej w biurze.

Nolan wziął głęboki oddech.

- I tak będziesz musiał mi płacić po dwa miliony rocznie przez najbliższe trzy lata - warknął, na siłę próbując znaleźć pozytywy niekorzystnej sytuacji. - Tak głosi klauzula w moim kontrakcie. Będziesz musiał wypłacać tę odprawę niezależnie od wszystkiego. - Zmusił się, żeby przywołać na usta ironiczny uśmiech. - Z przyjemnością będę dalej grywał po całych dniach w golfa, mając świadomość, że wykładasz na to po pięć i pół tysiączka.

- Pięć i pół tysiąca dziennie... - powtórzył w zamyśleniu Gillette. - Tak szybko podzieliłeś dwa miliony przez trzysta sześćdziesiąt pięć?

- Owszem - przyznał tamten z ociąganiem.

Chyba się nie spodziewał, że od razu dotrze do mnie znaczenie tej sumy, pomyślał Gillette, odchylając się na oparcie krzesła. Nie musiał się spieszyć z informacją o podłożonej bombie.

- Z tego, co wiem, twój syn wszedł właśnie w paskudny konflikt z prawem.

Nolan obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- A co to ma...

- Kokaina, zgadza się? Jak na dzieciaka z college'u to naprawdę poważne zarzuty.

- Ty sukin...

- Gliniarze znaleźli narkotyki w jego aucie, gdy został zatrzymany za przekroczenie dozwolonej prędkości - ciągnął dalej Gillette. - Wziąwszy pod uwagę twoje zasoby finansowe, a co za tym idzie, gotowość wynajęcia prawdziwego adwokackiego geniusza, powinienes go wyciągnąć z kłopotów bez większego uszczerbku. Muszę przyznać, że robi na mnie wrażenie twoja błyskawiczna reakcja i zdolność utrzymania sprawy w ścisłej tajemnicy. Opłaciłeś wszystkich redaktorów gazet? - Nawet nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie, gdyż osłupiały Nolan coraz szerzej rozdziawiał usta. - Nic jednak nie zmienia faktu, Roger, że twój synalek jest dealerem narkotyków. - Mając na swe usługi taką firmę jak McGuire & Company, mógł zorganizować prywatne dochodzenie w każdej sprawie, gdyż Tom McGuire był zdolny znaleźć odpowiedniego haka na każdego. - Mamy nagrania wideo. Mamy też listę stałych klientów twojego syna. Możesz mi wierzyć, że gliniarze ucieszyliby się niezmiernie, gdyby te materiały wpadły im w ręce. Mogliby wreszcie dorwać największego dostawcę prochów na terenie uniwersyteckiego kampusu.

- Mój Boże... - szepnął Nolan.

Nie była to przyjemna strona załatwiania interesów, ale w końcu Roger sam się o to prosił. Grywał w golfa co najmniej trzy razy w tygodniu, głównie w Pine Valley, gdzie według ściśle przestrzeganych zasad klubowych, nie wolno było na polu załatwiać żadnych spraw służbowych. Całkiem zaniedbywał prowadzone przez siebie przedsiębiorstwo, w końcu musiał więc za to zapłacić. Przecież trudno mu było wypłacić sześć milionów dolarów w ciągu następnych trzech lat wyłącznie za grę w golfa.

- Lepiej nie zaogniajmy niepotrzebnie naszych stosunków, Roger. Wolałbym załatwić sprawy w rozsądny sposób.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał Nolan ledwie słyszalnie.

- Będziesz dostawał po sto tysięcy dolarów rocznie przez następne trzy lata, zachowasz także prawa do bezpłatnej opieki zdrowotnej i stomatologicznej. Jeśli przystaniesz na to, twój syn wkrótce odzyska wolność, a sprawa nie ujrzy światła dziennego. Nie będziesz nawet musiał angażować adwokata.

- Jak chcesz to załatwić? - szepnął tamten.

- Mam przyjaciół w Portlandzie, którzy chętnie mi pomogą. Już z nimi rozmawiałem. Nolan wziął parę głębszych oddechów.

- A nie zgodziłbyś się na dwieście pięćdziesiąt tysięcy? Gillette pokręcił głową.

- Nie. Oferta jest ostateczna. Albo...

- W porządku. Zgoda. - Roger szybko uniośł obie ręce. - Przyjmuję ją.

Rozległo się głośnie pukanie w drzwi.

- Kto tam? - zawołał Gillette, nieco rozdrażniony, że Cohen przestał pełnić powierzone mu obowiązki odźwiernego.

- Kyle! - zawołał z korytarza Lefors. - To bardzo ważne.

- Wejdz. - Gillette wskazał palcem Nolana. - Już skończyliśmy.

Lefors podszedł energicznym krokiem do biurka i obejrzał się, czekając, aż Roger wyjdzie z gabinetu. Wysoki, z czarnymi włosami i ciemną karnacją na swój sposób przypominał Gillette'a. Obrócił się do niego i oznajmił z szerokim uśmiechem:

- To ci się na pewno spodoba.

Mason przez chwilę koncentrował się na żarliwych pocałunkach, czując, że ramiona kobiety coraz silniej zaciskają się na jego karku. Wreszcie ściągnął jej suknię przez głowę i rzucił za siebie na podłogę. Uśmiechnął się szeroko, gdy ona osunęła się na kolana, choć nawet nie musiał jej tego nakazywać, i pospiesznie wzięła jego członek w usta.

Po trzech miesiącach znajomości bardzo dobrze znała jego upodobania.

Kiedy wytrwale pracowała językiem w górę i w dół, sięgnął między jej piersi i rozpiął stanik, spoglądając z góry, jak szybko odchyliła ramiona do tyłu i strząsnęła z siebie koronkową bieliznę. Była już całkiem naga, nie licząc czarnych skórzanych pantofelków na wysokich obcasach, w których powinna raczej zostać do końca. Uwielbiał widok nagiej kobiety w samych szpilkach. Spośród pięciu kochanek, z którymi był równocześnie związany, ta podobała mu się najbardziej. Bo była gotowa dla niego na wszystko.

Ściągnął z siebie koszulę, podczas gdy ona uwolniła go od spodni i slipów. Chwył ją pod ramiona, podniósł z podłogi i delikatnie ułożył na szerokim małżeńskim łóżku, po czym uklęknął między jej nogami i zaczął ją obsypywać pocałunkami.

- Kocham cię - szepnęła, rozkładając szeroko nogi i przyciągając go do siebie.

- Ja też cię kocham - odparł, wchodząc w nią energicznie.

Od razu zaczął się poruszać, z początku wolno, potem coraz szybciej.

- Och, tak, najdroższy - jęknęła gardłowo. - Właśnie tak lubię najbardziej, Troy. Mocno. Naprawdę mocno...

- Tak, wiem - syknął, podciągając jej nogi na swoje ramiona.

Chwilę później znieruchomiał, dostrzegłszy przerażenie malujące się w jej oczach. Podążając za jej wzrokiem, obejrzał się w stronę drzwi pokoju. Pisnęła i zaczęła się szarpać, próbując wydostać się spod niego.

- Chryste... - wymamrotał.

W nogach łóżka stał Gillette i spoglądał to na kobietę, to na trzymaną w ręku kartkę. Wreszcie popatrzył Masonowi prosto w oczy.

Przy drzwiach stał również Cohen, z nisko spuszczoną głową i skrzyżowanymi na piersi rękami. Czubkiem czarnego buta nerwowo wiercił dziurę w wykładzinie podłogowej.

Mason popatrzył w lodowate oczy Gillette'a, a widok jego twarzy na chwilę rozmazał mu się przed oczami, gdy krew uderzyła mu do głowy. Wreszcie zmieszany i zawstydzony, nie mogąc dłużej znieść tej konfrontacji, odwrócił się i bąknął:

- Chris, ja...

- Ubierz się, Troy - polecił Gillette. Wręczył trzymaną kartkę Cohenowi i odwracając się do wyjścia, rzucił: - Zaczekam na zewnątrz.

Delikatnie ujął dłoń Faith Cassidy i uśmiechnął się przyjaźnie. Chwilę wcześniej zwolnił Troya Masona, swojego najgroźniejszego rywala w wyścigu do stanowiska prezesa Everest Capital. Zgodził się dać mu milion dolarów odprawy. I poinformował, że Mason nie ma prawa już nigdy pojawić się w siedzibie Everestu, a jego udziały w spółce ulegają konfiskacie. Ich wartość Cohen wyceniał na sześćdziesiąt milionów dolarów. Zatem romans z

podległą mu służbowo pracownicą kosztował go pięćdziesiąt dziewięć milionów. Gillette nie mógł się uwolnić od myśli, że to prawdziwie rekordowa cena za seks.

- Zawsze chciałem poznać panią osobiście, panno Cassidy - zaczął, ukradkiem dając Cohenowi znaki, żeby zostawił ich samych. - Jestem miłośnikiem pani talentu.

- Dziękuję - odparła, po czym przysunęła się bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. - Proszę mówić mi po imieniu, Faith.

Gillette skinął głową, domyśliwszy się po jej minie, że w pełni zdaje sobie sprawę, z kim rozmawia. Zgodnie z jego poleceniem Cohen musiał jej to wyjaśnić, kiedy czekali na niego w gabinecie. Przez pewien czas był bowiem zajęty rozmową z Masonem na dole.

Kiedy więc ujrzał szeroki uśmiech na ustach Faith, pozwolił sobie na chwilę upojenia się własnym sukcesem i rozsmakowania w ogromie sprawowanej władzy.

- Christianie.

Obejrzał się szybko na lewo i wytężył wzrok, usiłując przeniknąć gęste ciemności. Było już bardzo późno, poza tym nie sięgało tu światło znad drzwi frontowych domu. Miał już wsiadać do wynajętego lincolna, kiedy powstrzymał go ten cichy głos.

- Kto tam?

Na skraju cienia pojawił się Mason.

- Czy możemy przez chwilę porozmawiać, Christianie? Proszę.

Westchnął głośno. Uzmysłował sobie nagle, że musi teraz bardzo uważać. Rozejrzał się więc pośpiesznie, czekając z niecierpliwością, aż wzrok przywyknie do ciemności. Chyba będzie potrzebował całodobowej ochrony osobistej. Zanotował w myślach, żeby z samego rana porozmawiać na ten temat z Tomem McGuire'em.

- Słucham.

- Dzięki. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało w suterenie - rzekł tamten, przeciągając dłonią po zmierzwionych włosach. - To był tylko głupi wybryk. Nic podobnego się już nigdy nie powtórzy. Przysięgam.

- Miałbym uwierzyć, że to naprawdę był tylko wybryk?

- Słucham?

Gillette zrobił krok w jego stronę i zapytał półgłosem:

- Nie uprawiałeś seksu z innymi kobietami pracującymi w podległych ci przedsiębiorstwach?

- Nie.

- Jesteś bezczelnym kłamcą, Troy.

Gillette wcale nie był pewien, czy Mason rzeczywiście kłamie, ale nie miało to większego znaczenia. Jeden przypadek skrajnej niedyskrecji w zupełności wystarczył.

Gdyby w romans wdała się kobieta chytra i mściwa, mogłaby wciągnąć Everest w koszmar niekończących się rozpraw sądowych.

Lefors od razu zawiadomił go, że Mason zamknął się w pokoju gościnnym w suterenie z jakąś młodą kobietą, lecz Gillette wolał zachować daleko posuniętą ostrożność. Najpierw połączył się z siecią, żeby na firmowej stronie przedsiębiorstwa znaleźć potwierdzenie, iż kobieta wymieniona z nazwiska przez Leforsa rzeczywiście pracuje w dziale marketingu. Następnie z jej akt personalnych wyciągnął fotografię i ją wydrukował. Później - stojąc w nogach łóżka, zanim którekolwiek z kochanków spostrzegło jego obecność - miał okazję porównać twarz leżącej na wznak kobiety ze zdjęciem. Ale dopiero gdy w panice poderwała się z łóżka i zaczęła zbierać z podłogi swoje rzeczy, uznał ostatecznie, że to na pewno ta sama osoba.

- Jesteś wierutnym kłamcą, Troy - powtórzył teraz lodowatym tonem. - Nie chcę mieć za współnika kogoś tak dogłębnie przesiąkniętego fałszem.

- Nie kłamie! Uwierz mi, mówię prawdę!

Gillette pokręcił głową i z grymasem obrzydzenia na twarzy odwrócił się w stronę samochodu.

- Christianie!

Zdażył zaledwie wsiąść, gdy Mason podbiegł i złapał otwarte jeszcze drzwi.

- Nie rób mi tego! - jęknął błagalnym tonem. - Żyły sobie wypruwałem, żeby dojść do tego, co mam. Byliśmy współnikami przez dziesięć lat. Nie zostawiaj mnie teraz na lodzie tylko z powodu jednego głupiego błędu.

- Już ci mówiłem, Troy. Dostaniesz milion dolarów odprawy. W przyszłym tygodniu Cohen załatwi wszelkie formalności.

- Kiedy moja żona się dowie, że straciłem wszystkie udziały w firmie, natychmiast wystąpi o rozwód i zabierze każdego centa, jaki mi zostanie po rozliczeniu z urzędem skarbowym.

- Wygląda więc na to, że ona również nie uwierzy, iż był to tylko odosobniony głupi wybryk.

- Błagam - powtórzył Mason, osuwając się na kolana w otwartych drzwiach auta. - Nie rób mi tego.

- Powinieneś być wcześniej się dobrze zastanowić.

- Będę miał szczęście, jak złapię pracę w myjni samochodów.

- W Nowym Jorku na pewno.

- Christianie... - Mason oddychał coraz szybciej, popadając w histerię. - Zlituj się. Co mam zrobić?

- Już nic.

Gillette zatrzasnął drzwi, a kierowca ruszył tak gwałtownie, że klęczący Mason przewrócił się na asfalt.

- Proszę, panno Hays, oto dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. - Mężczyzna położył przed nią na stole skórzaną aktówkę. - Jak tylko dotrze pani na miejsce przeznaczenia, co nie powinno zająć dużo czasu, zgodnie z umową zaczniemy też wypłacać po dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie. Będziemy panią cały czas obserwować. Oczywiście miesięczne wypłaty również dostanie pani w gotówce.

Kathy Hays trwożliwie zerknęła na aktówkę. Nie tylko zyskiwała ćwierć miliona oraz perspektywę comiesięcznych wypłat po dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, lecz także obietnicę, że nikt z jej rodziny się nie dowie, co się stało przed pięcioma laty. Żyła dotąd nadzieją, że ten straszliwy rozdział w jej życiu jest już zamknięty na zawsze, że nikt nigdy się o nim nie dowie. Oni jednak poznali go w najdrobniejszych szczegółach, przeniknęli także inne jej sekrety.

Musiała jednak polegać na danym jej słowie, że cała sprawa nadal pozostanie tajemnicą, jeśli i ona zachowa dla siebie szczegóły wystawienia Troya Masona.

Konflikt. Starcie dwóch narodów. Spór dzielący sąsiadów. I najgroźniejszy ze wszystkich konfliktów - walka dwóch osobowości. Punkt zapalny, z którego rodzi się wszelkie zło.

Maria była oczkiem w głowie całej rodziny. Miała dopiero pięć lat, ale już wykazywała się silniejszą osobowością od wielu dorosłych.

Gillette uśmiechnął się szeroko, gdy mała rozsiadła mu się na kolanach. Zapatrzył się na jej kruczoczarne włosy i ogniki połyskujące w mahoniowych oczach, podczas gdy ona mierzyła go poważnym spojrzeniem, marszcząc brwi. Uzmysłował sobie, że to dziecko z pewnością do czegoś dojdzie, nawet bez niczyjej pomocy. Dobrze znał ten rodzaj iskier w oczach, charakteryzujący ludzi sukcesu.

Zachichotała nagle, zarzuciła mu rączki na szyję i z całej siły pocałowała w policzek.

- Te amo, Chriiis.

- Ja też cię kocham, Mario. - Gillette lubił spędzać tu czas, ponieważ czuł się całkiem swobodnie. - Kto zgadnie, jaką pomyślałem liczbę od jednego do dziesięciu? - rzucił głośno,

żeby dobrze słyszała go także Selma, matka Marii, która stała przy kuchni i doprawiała gulasz w garnku. - Ty pierwsza, Selmo.

Kobieta na chwilę zastygła bez ruchu, po czym rzuciła:

- Trzy.

Gillette uniósł brwi i popatrzył na dziewczynkę siedzącą mu na kolanach.

- Cztery - oznajmiła Maria.

- Doskonale - odrzekł z uznaniem. Ostatnim razem wyjaśnił jej, jak najlepiej grać w tę zgadywanke, a małej nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zawsze wykorzystywała nadarzające się okazje. Przecież dużo większe było prawdopodobieństwo, że wymyślona przez niego liczba jest większa od trzech. - Byłaś bliżej, bo myślałem o siódemce.

Selma jęknęła gardłowo.

- Zawsze z wami przegrywam.

- Teraz ty zgadujesz pierwsza, Mario - powiedział Gillette.

- Sześć - zawołała bez wahania dziewczynka.

- To ja powiem cztery - zawołała Selma, odwracając się z powrotem do kuchni.

- Znowu siedem - wyjaśnił.

- Więcej nie gram. - Selma zaśmiała się głośno. - Nie zniosę dłużej ciągłych porażek.

- Dlaczego strzelałaś w szóstkę? - zapytał dziewczynkę, chcąc mieć pewność, że nie zrobiła tego przypadkowo.

- Jak zgaduję pierwsza, zawsze powinnam wybrać pięć albo sześć - odparła, unosząc oczka do nieba i przytykając paluszek do buzi, jakby w ten sposób łatwiej mogła sobie przypomnieć, co jej radził. - W ten sposób mam największe szansę trafienia. Za pierwszym razem wybrałaś dużą liczbę, dlatego myślałam, że i teraz wybierzesz dużą.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Naprawdę doskonale.

- Zabiorę ją - powiedziała Selma, ściągając małą z jego kolan i sadzając sobie na rozłożystym biodrze. Za młodu była szczupła i zgrabna, ale urodzenie siedmiorga dzieci odbiło się na jej sylwetce. - Jak ci minął dzień, Chris?

Gillette uwielbiał Selmę. Tylko w jej ustach pytanie „jak minął dzień” brzmiało szczerze. Ona naprawdę chciała to wiedzieć. Nie pytała ot, tak sobie, na odczepnego, jak większość ludzi.

- Bardzo dobrze, Selmo.

Przemknęło mu przez myśl, że powinien się zawahać, zacząć od „no więc...”, ale w jej oczach chciał uchwycić za normalnego faceta.

Pogroziła mu palcem.

- Zawsze tak mówisz. Zrobiłeś tyle dobrego dla mnie i całej mojej rodziny, dlatego chciałabym się dowiedzieć o tobie czegoś więcej. Na przykład, jak wygląda twoje codzienne życie.

- Za długo byłoby o tym opowiadać. W dodatku moje codzienne życie jest raczej nudne.

- Już to widzę.

- Mógłbym dostać szklankę wody? - zapytał, podnosząc się z krzesła.

- Siedź, nie wstawaj - poleciła stanowczo. Podeszła szybko do szafki, wyjęła szklankę i napelniła wodą z kranu.

Kiedy stawiała ją na stole, do kuchni wpadł jak błyskawica ośmioletni Jose Junior. Pod pachą ścisnął plastikową ciężarówkę i całym pędem uciekał przed młodszym bratem, Rubenem. Obaj kilkakrotnie okrążyli stół, pokrzykując na siebie po hiszpańsku, po czym wypadli do saloniku.

- Nie mam pojęcia, jak ty sobie ze wszystkim radzisz - mruknął Gillette, upiwszy łyk wody.

- Już nawet nie zwracam uwagi na ich wrzaski - odparła Selma, posyłając mu nieśmiałe spojrzenie. - Niedługo i ty będziesz miał dzieci na głowie.

- O nie, wykluczone.

- Ależ tak, na pewno. Jakaś młoda ślicznotka roztopi lód w twoim sercu i ulegniesz jej we wszystkim.

- Mylisz się, Selmo. Pozostanę kawalerem aż do dnia, kiedy...

- Buenas noches, señor Gillette.

Poczuł czyjąś rękę na ramieniu i spojrzał szybko w górę. Stał nad nim Jose Medilla i uśmiechał się przyjaźnie spod bujnych czarnych wąsów. Był niski i żylasty, z pergaminową skórą w kolorze ciemnego brązu i szeroką twarzą. Należał do pierwszego pokolenia amerykańskich Portorykańczyków. Jego dziadkowie do dziś mieszkali w żaloznej ruderze na przedmieściach San Juan.

- Buenas noches, señor Medilla.

- Zostanie pan na obiedzie?

- Dziękuję. Z wielką przyjemnością.

Na stypie wybór przekąsek był wręcz niewiarygodny, na długich stołach ciągnęły się szeregi srebrnych półmisek wyładowanych chyba wszelkimi możliwymi przysmakami, o co zatroszczyły się działy cateringowe kilku pięciogwiazdkowych restauracji z Manhattanu. Ale

on nie zdążył nawet niczego spróbować. W jego rozmowę z Faith niespodziewanie włączył się Tom Warfield, a chwilę później nie wiadomo skąd wzięły się cztery kolejne osoby. Musiał więc zamknąć się znów w gabinecie Donovana, chcąc odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Gulasz Selmy jest niezrównany - rzekł, zdając sobie świetnie sprawę, jakie to ważne dla Jose'ego, by mógł się czymś odwdziaczyć, choćby niewyszukanym domowym obiadem. - Nawet steki od Sparksa nie mogą się z nim równać.

- Selma przyrządza mięso znacznie lepiej niż wszystkie restauracje z Manhattanu - odparł z dumą gospodarz. Wskazał ręką szklane drzwi wychodzące na patio, które ciągnęło się przez całą długość domu na jego tyłach, i zapytał: - Pozwolisz, że ci go pokażę?

- Z przyjemnością.

Wyszli na dwór, owionął ich nocny chłód. Tu, w New Jersey, powietrze było wyraźnie zimniejsze niż w mieście. Znajdowali się zaledwie kilka kilometrów na wschód od Uniwersytetu Princeton, na którym Gillette studiował.

- To tamten. - Jose wskazał stojący na wprost tylnego podwórza sąsiedni dom z jaskrawo oświetlonymi oknami. - Właściciel jest wykładowcą na uniwersytecie.

- Kiedy wystawił go na sprzedaż?

- Wczoraj.

- Jakiej ceny żąda?

- Czterystu siedemdziesięciu tysięcy.

- W poniedziałek rano zaproponuj mu pięćset - polecił Gillette. - Niech sam się jutro przekona, jakie napłyną oferty, zanim się z nim skontaktujesz. Zrozumiałeś?

- Si.

- Twój brat nadal mieszka w Bronksie?

- Si.

- Ile ma dzieci?

- Troje.

- Wystarczy mu tamten dom?

- Będzie dla niego jak pałac, Christianie. Alex mieszka w ciasnym dwupokojowym mieszkaniu nad sklepem spożywczym, więc dzieli je z masą cucurachas.

- Zadzwoń do niego jeszcze dzisiaj i powiedz, że się zgodziliśmy. Przekaż również, żeby zostawił wszystko w tamtym mieszkaniu. Tu urządzimy go całkiem od nowa, sprawimy nowe meble i ubrania. Tak samo, jak urządziliśmy ciebie.

- To dobrze. Cucurachas mają brzydki zwyczaj przenoszenia się razem z ludźmi.

- A co z innymi sąsiadami? - zapytał, wodząc wzrokiem po ledwie widocznych w ciemności zarysach dachów. - Jak cię tu traktują?

- Jakoś tolerują.

- Kutasy - mruknął pod nosem Gillette.

- Wcale nie oczekiwałem po tutejszych mieszkańcach, że przyjmą nas z otwartymi ramionami, Christianie. To przecież sami profesjonaliści. I sami gringos. Pewnie żaden z nich się nie spodziewał, że kupując tutaj dom, zastanie w sąsiedztwie portorykańskiego robotnika z siódmką dzieci. - Jose jeszcze raz wskazał na tylne podwórze. - Ciekaw jestem, jak zareagują, gdy zjawi się jeszcze mój brat.

- Gdyby spotkało was coś złego, daj mi znać.

- Umiem się zatroszczyć o siebie. Gillette spojrzał na niego.

- W to nie wątpię.

- Pewnie tylko dlatego nic się do tej pory nie stało. Wiele ludzi boi się tego, jak dobrze potrafię się zatroszczyć o siebie i swoją rodzinę i jak daleko mógłbym się posunąć. - Jose zakręcił palcem młynka nad uchem. - No, wiesz. Loco.

Gillette pochylił się i oparł łokciami o poręcz werandy.

- Naprawdę zabiłeś człowieka?

- Si.

- Jak?

- Poderżnąłem mu gardło.

- Dlaczego?

- Bo on próbował poderżnąć mnie. Chciał być nowym ojcem dla dzieci Selmy.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Siedemnaście.

- Jezu... - mruknął Gillette. On w tym wieku surfował na plażach Santa Monica i kręcił się po całych dniach na Rodeo Drive.

- Christianie?

- Słucham.

- Dlaczego robisz tak dużo dla mnie i mojej rodziny?

Wziął głęboki oddech i zapatrzył się na dom, który właśnie postanowił kupić dla brata Jose'ego. I w tym wypadku zdecydował konflikt. Jak zawsze.

Mason siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Jeszcze tydzień temu był pewny, że zostanie prezesem Everestu. Donovan wiele razy mu to obiecywał. I oto teraz nie tylko został

wyrzucony z zarządu firmy, ale w dodatku stał się uboższy o pięćdziesiąt dziewięć milionów dolarów.

- Już po mnie - mruknął, próbując pohamować łzy cisnące się do oczu.

W półmroku wypełniającym jego apartament na Manhattanie z trudem przełknął ślinę i sięgnął po leżący na stoliku do kawy pistolet kalibru 9,65 milimetra.

Odbezpieczył go, wprowadził nabój do komory, przytknął sobie lufę do skroni i położył palec na spuście.

Kiedy wrócili z werandy i weszli do kuchni, Jose Junior i Ruben robili właśnie kolejne okrążenie wokół stołu. Gillette z szerokim uśmiechem odprowadził ich wzrokiem, gdy pognali pędem do saloniku. Zaraz jednak spoważniał i aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Młoda kobieta, którą dwa urwisy minęły w przelocie, była olśniewająco ładna. Uznał szybko, że jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział.

Selma aż przygryzła dolną wargę, próbując zamaskować pobłażliwy uśmiech.

Gillette dostrzegł jednak jej minę i pojął błyskawicznie, że został sprytnie wmanewrowany. Ale nic go to nie obchodziło. Dziewczyna była zbyt piękna, żeby się przejmować takimi drobiazgami.

- Chris, przedstawiam ci Isabelle, moją młodszą siostrę. Przyjechała do nas w odwiedziny z San Juan.

Mimo ciasno zapiętej grubej puchowej kurtki lodowaty dreszcz przeszywał mężczyznę idącego ostrożnie po zmarzniętej ziemi w kierunku ledwie majającego przed nim zarysu specjalnie przystosowanego forda explorera. Powtarzał sobie w duchu, żeby bardzo uważać przy każdym kroku, gdyż chęć znalezienia się w nagrzanym wnętrzu pojazdu skłaniała go do pośpiechu. Dobrze wiedział, że gdyby upadł i coś sobie złamał, byłby już trupem. W tych warunkach zdolność przetrwania na dworze trzeba było liczyć w minutach, a nie w dniach.

Odruchowo uniół ręce do oczu osłoniętych narciarskimi goglami, gdy nagły poryw wiatru cisnął mu śniegiem w twarz. Każdy uważa, że świetnie rozumie, co znaczy „odludzie”. Oglądał reportaże o takich miejscach na kanale Discovery, sądził więc, że już je zna. Ale w rzeczywistości nikt nie ma pojęcia, jak tu jest naprawdę. Żadne telewizyjne ujęcia nie mogły oddać poczucia osamotnienia, jakie błyskawicznie dopadało człowieka w tej kanadyjskiej dziczy ponad tysiąc dwieście kilometrów na północ od granicy Montany.

Jego oddech w mgnieniu oka zmatowił szybę w drzwiach auta stojącego z silnikiem pracującym na wolnych obrotach, kiedy tylko przed nimi stanął, wołał jednak nie tracić czasu na podziwianie regularnych geometrycznych wzorów szronu. Pospiesznie otworzył je i

wskoczył do środka. Zaliczał się do skromnej garstki ludzi, którzy naprawdę rozumieli takie miejsca - wiedzieli, jak długotrwały brak kontaktu z innymi i ciągłe przebywanie w mroku arktycznej nocy działa na psychikę człowieka; jaki dreszcz grozy wywołuje widok zorzy polarnej tańczącej na rozgwieżdżonym niebie, choćby widziało się ją po raz setny; jakimi słowami klnie się własną głupotę, która skłoniła do kolejnego przyjazdu na daleką północ.

Rozgrzawszy się nieco, ściągnął grube futrzane rękawice, wziął leżący na desce rozdzielczej notatnik i zapisał w nim kilka uwag. Jutro mieli w tej okolicy rozmieścić ostatnie ładunki wybuchowe i przeprowadzić serię badań. A po ich zakończeniu mógł się wreszcie stąd wynosić, jechać w zdecydowanie cieplejsze rejony.

Gillette zatrzymał się przed wejściem do sali bilardowej i odprowadził wzrokiem tylne światła wynajętego lincolna znikające między zabudowaniami Brooklynu. Odesłał kierowcę, tłumacząc, że wróci na Manhattan taksówką. Tamten nie wahał się ani sekundy. Ruszył ostro z miejsca, ledwie tylne drzwi się zatrzasnęły, wyraźnie zadowolony, że nie będzie musiał czekać za kierownicą w tej podejrzanej okolicy.

Było późno, dochodziła pierwsza w nocy, lecz Gillette nie odczuwał zmęczenia. Niewiele snu potrzebował, już od dawna wystarczyło mu zaledwie parę godzin odpoczynku w ciągu doby.

Wciąż miał na sobie starannie odprasowany grafitowy garnitur, w którym był na pogrzebie. Zdjął tylko krawat, który wetknął do kieszeni spodni, i rozpiął koszulę pod szyją. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął portfel. Jeszcze rano przed wyjściem z domu usunął z niego wszystko poza paroma banknotami i prawem jazdy.

Wyciągnął teraz to, co mu pozostało z gotówki - dwieście dolarów - i włożył banknoty do kieszonki koszuli mężczyzny śpiącego na ziemi pod drzwiami sali bilardowej i przyciskającego oburącz do piersi pustą butelkę po tanim winie. Tamten nawet się nie obudził, nawet nie otworzył oka. Gillette'em wcale nie kierowała wspaniałomyślność. Po prostu wolał być nieuzbrojony.

W zatłoczonym lokalu panował gwar, powietrze było szare od dymu papierosowego. Z kolumn płynął głośny rap, który mieszał się ze stukotem bil na stołach. Wokół każdego tłoczyli się gapie, z których część czujnym okiem obserwowała swoje ćwierćdolarówki, jakie należało postawić, żeby wejść do gry, a reszta dopingowała bliskich, dziewczyny chłopaków, a chłopaki swoje dziewczyny. Byli też tacy, którzy po prostu lubili obserwować toczącą się rozgrywkę. Jak również hieny wypatrujące najlepszej chwili, żeby obstawić swoich faworytów, próbując przy tym zachować zimną krew.

Gillette starał się nie zwracać uwagi na zaciekawione spojrzenia, chociaż miał pełną świadomość, że wzbudza sensację. W końcu nie tylko był jedynym białym wśród klienteli lokalu, ale w dodatku jedynym ubranym w garnitur.

Przyszedł tu po raz pierwszy, wcześniej tylko słyszał o tej sali od paru znajomych z Queens. Podobno przyciągała nawet wytrawnych graczy zdolnych wytrzymać presję gry o najwyższą stawkę, a jego to właśnie najbardziej pociągało. W ten sposób się sprawdzał. Zarazem miał świadomość, że w spokojnej, zrównoważonej partii jest w stanie pokonać każdego z tutejszych mistrzów. Był jednak wśród zupełnie obcych ludzi, do tego bez grosza przy duszy, a w tej sytuacji sprawy mogły potoczyć się całkiem inaczej.

Przez chwilę przyglądał się graczom, oceniając ich umiejętności. Już po minucie zrozumiał, że cztery stoły w głębi sali są zarezerwowane dla najlepszych. Nikt przy nich nie chichotał, nie rozmawiał, nie pił alkoholu. Dominowały czujne spojrzenia, wprawne ruchy i odgłosy zderzających się bil, które towarzyszyły dostojnemu tańcowi dwóch graczy wokół stołu.

A przy każdym ktoś nadzorował grę. I z pewnością trzymał pulę zakładów.

- Jak długa jest kolejka chętnych? - zapytał głośno Gillette.

Nadzorca pierwszego stołu obejrzał się i zmierzył go uważnym spojrzeniem. Wykałaczką tkwiącą między jego zębami powoli przewędrowała z prawego w lewy kącik ust, jakby wspomagała wzrok szacujący elegancki drogi garnitur.

- Tylko jeden.

- Jaka jest stawka?

- Pięć kawałków.

- Wpisz mnie. - Gillette gestem wskazał mały notesik w ręku tamtego.

- Forsa z góry.

- Jestem wypłacalny - odparł spokojnie. - Chyba rozumiesz powody, dla których nie chciałbym się już teraz rozstawać z gotówką.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nic z tego. Musisz zapłacić, jak chcesz grać. Gillette uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Naprawdę sądzisz, że zapisywałbym się do gry, gdybym nie miał forsy?

Nadzorca po raz kolejny zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

- Lepiej, żeby tak było. Jak po przegranej partii zaczniesz skamlać, że nie masz czym zapłacić, nie wyjdiesz stąd żywy.

Godzinę później Gillette pochylił się nisko nad zielonym suknem, lewym palcem wskazującym powoli otoczył kij i wymierzył uderzenie. Poza białą bilą na stole została już tylko jedna, oznaczona numerem ósmym. Stała w dość łatwej pozycji do strzału, gdyby nie strącił jej do luzu i nie odsunął w inne miejsce, jego przeciwnik z pewnością musiałby trafić i tym samym wygrać. W takiej sytuacji on byłby winien pięć tysięcy dolarów osiłkowi, którego bicepsy miały chyba więcej w obwodzie niż uda Gillette'a. A przecież nie miał przy sobie pieniędzy. I nie łudził się, że jakikolwiek weksel załatwi sprawę.

Zamknął na chwilę oczy, próbując zapomnieć o otaczającym go gwarze. Mimo trwających wciąż czterech innych rozgrywek, w miarę przebiegu partii coraz więcej osób gromadziło się wokół ich stołu i obecnie otaczał go tłum co najmniej pięćdziesięciu gapiów. Część z nich pokrzykiwała na niego groźnie, nie chcąc, żeby miejscowy bohater z nim przegrał.

Uderzył. Biała bila potoczyła się niezbyt szybko w stronę ósemki i uderzyła ją dokładnie w tym punkcie, w który wymierzył. Nie było żadnych wątpliwości, że tamta wpadnie do luzu. Zaniepokoiła go jednak biała bila. Gdyby i ona stoczyła się z sukna, spaliliby uderzenie i olbrzym będący jego przeciwnikiem wygrałby partię, nie podnosząc nawet kija.

Kątem oka Gillette spostrzegł, że zgodnie z jego przewidywaniami ósemka wpadła do luzu w przeciwnym rogu. Nie spuszczał bowiem wzroku z białej bili, która toczyła się niemal przez całą długość stołu z powrotem ku niemu i najbliższemu otworowi. Zmierzała prosto do niego, ile toczyła się coraz wolniej i wolniej. Tłum podnieconych gapiów starał się ją popchnąć gromkimi okrzykami, a jego przeciwnik tylko spoglądał z góry wybałuszonymi oczami. W końcu bila znieruchomiała na samej krawędzi luzu, zawieszona o ćwierć swojej średnicy nad otworem. Wśród ludzi rozległy się jęki zawodu. Olbrzym głucho warknął i z wściekłością złamał swój kij na kolanie.

Gillette pospiesznie oddał kij stojącemu najbliżej mężczyźnie i ruszył do nadzorca. Kiedy dostał od niego gruby plik banknotów, wepchnął je do kieszeni spodni obok złożonego krawata.

- Hej, ty - mruknął nadzorca, gdy Gillette chciał już odejść.

Odwrócił się.

- Tak?

- Na pewno miałeś?

- Co?

- No, wiesz.

Gillette cofnął się, stanął tuż przed nim, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął portfel. Rozchylił go na tyle, by tylko nadzorca mógł zajrzeć do środka, nikt poza nim. Portfel był pusty.

Tamten uśmiechnął się szeroko.

- Masz jaja, chłopie. Ale zapamiętam cię na drugi raz.

- Nie będzie drugiego razu.

- Co? Myślisz, że jesteś za dobry, żeby tutaj grać?

- To nie ma nic do rzeczy - odparł Gillette, rozglądając się na boki. - Podoba mi się tutaj, ale przed chwilą ograłem waszego najlepszego bilardzistę. A nie grywam dla samej rozrywki.

Kłątwa mężczyzn. Bezustanna chęć polowania. Niezaspokojone pragnienie rywalizacji. Nienasycona potrzeba gromadzenia.

Faith Cassidy złożyła następny autograf, tym razem na nalepce butelki szampana. Oddając długopis przejętemu chłopakowi, zaszczyciła go jednocześnie uśmiechem, dzięki któremu sprzedała dotąd miliony płyt. Już trzeci raz w ciągu ostatnich dziesięciu minut ktoś się do niej zwracał z prośbą o autograf.

- Jeszcze cię to nie zmęczyło? - zapytał Gillette, gdy chłopak odszedł.

Faith uniosła swoją lampkę chardonnay.

- Czym miałabym się zmęczyć?

- Ludźmi, którzy bezustannie czegoś od ciebie chcą.

- Nie. W każdym razie nie męczą mnie moi fani. - Pociągnęła łyżeczek trunku. - A ciebie nie zmęczyło jeszcze obracanie tak dużymi pieniędzmi?

Gillette przeciągnął czubkiem palca po dolnej wardze.

- Nie.

- Chyba nie jesteś ze mną całkiem szczery. Obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zawahałeś się przed udzieleniem odpowiedzi. Pokręcił głową.

- Nie powinnaś wyciągać z tego pochopnych wniosków. Mam zwyczaj zastanawiać się nad każdą odpowiedzią.

Jęknęła cicho.

- Zastanawiać się? Naprawdę aż tak bardzo cię nudzę, Christianie? Jeśli tak, zaraz odejdę. Chciałabym rozmawiać z kimś, kto traktuje mnie jak żywego człowieka i ani trochę nie przypomina gromady prawników sterujących moją karierą.

- Mam trzydzieści sześć lat. Nie potrafię się nagle zmienić.

- Nie potrafisz czy nie chcesz?

Spojrzał na nią uważnie ponad płomykiem świecy palącej się pośrodku stołu. Blondynka, z dużymi zielonymi oczyma, odznaczała się zmysłowymi kształtami, które chirurgicznie doprowadzono do perfekcji. Nie była jednak klasyczną piękną, pod tym względem nie mogła się równać z Isabelle. Niemniej zniewalała mężczyzn krągłościami i wabiła ich niezwykle, sypialnianym kolorem oczu.

Jednak najbardziej intrygowała go osobowość Faith. Piosenkarka była bardzo pewna siebie, lecz nie arogancka. Miała olbrzymią charyzmę i wręcz emanowała zaraźliwą namiętnością. Zdawała się mówić dokładnie to, co myśli, podczas gdy jego nie było stać na taki luksus. Co prawda i on wypowiadał się szczerze, ale nie mówił wszystkiego. Nie mógł.

- Niczego nie zmieniła nawet bomba podłożona w twojej limuzynie? - odezwała się, kiedy zbył milczeniem ostatnie pytanie. - Nawet to cię nie zniechęciło do dalszego obracania miliardami?

Po raz pierwszy uśmiechnął się skąpo.

- Nie. Zadzwońię do sprzedawcy i zamówię nową limuzynę.

Zaśmiała się.

- Masz śliczny uśmiech, tylko zdecydowanie za rzadko się uśmiechasz.

- Zawsze trzeba zostawić w ludziach niedosyt. Powinnaś o tym dobrze wiedzieć.

Przecież jesteś artystką.

- Naprawdę wszystko w ten sposób kalkulujesz? Zaczął przesuwac łyżeczkę po białym obrusie.

- A ty naprawdę jesteś aż tak bezpośrednia?

- Słyszałam, że i ty byłeś kiedyś bezpośredni. Myślałam, że to docenisz.

- Od kogo słyszałaś o mnie taką opinię?

- Od naszych wspólnych przyjaciół.

- Wątpię, żebyśmy mieli wspólnych przyjaciół.

- W porządku, strzeliłam w ciemno - przyznała Faith. - Wydawało mi się to logiczne. Jedna z moich asystentek przejrzała w sieci materiały na twój temat. Sądziłam, że człowiek, który jest prezesem tak wielu przedsiębiorstw, między innymi także mojej wytwórni płytowej, musi być bezpośredni. Tak ostrożnie przychodzi mu gospodarować swoim czasem, że po prostu nie ma innego wyjścia. - Urwała na chwilę. - Ale może taki mężczyzna nie lubi, kiedy nagle role się odwracają.

- Możliwe - przyznał obojętnie Gillette.

- Więc pewnie stawiam pod znakiem zapytania mój kolejny kontrakt.

- Ani trochę, dopóki twoje płyty tak świetnie się sprzedają.

- Och, wreszcie rozumiem, na czym to polega.

- Biznes to biznes. - Splótł dłonie na brzuchu. - Przypomnij mi, Faith. Ile twoich płyt do tej pory wydaliśmy?

- Dwie.

- Kiedy ukazała się pierwsza?

- Nieco ponad rok temu.

- I w ilu egzemplarzach się sprzedała?

- Ponad pięć milionów.

Nic dziwnego, że tyle osób prosi ją o autograf, przemknęło mu przez myśl.

- A druga? Kiedy się ukazała?

- Parę tygodni temu.

- I jak się sprzedaje? Piosenkarka spuściła głowę.

- Nieźle.

- Lepiej niż pierwsza?

- No, wiesz... Jest za wcześnie na takie porównania - mruknęła. - W zasadzie dopiero weszła na rynek.

Wyraźnie coś się za tym kryło.

- Czy jest równie dobra, jak poprzednia?

- Lepsza - odparła stanowczo Faith, przesywając go lodowatym spojrzeniem. - O wiele lepsza.

- Więc gdzie tkwi problem? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Czy twoja firma fonograficzna dostatecznie zadbała o reklamę? - Zamyślił się głęboko, usiłując sobie przypomnieć, czy widział jakieś reklamówki albo słyszał fragmenty piosenek w audycjach promujących nową płytę. - Chyba nie jestem najlepszy w sondowaniu gustów melomanów, ale nie pamiętam, żebym widział jakieś reklamówki w telewizji albo słyszał w radiu promocyjne fragmenty twoich piosenek.

- Nie interesuję się takimi szczegółami - odparła cicho. - Jestem tylko piosenkarką.

- Aha. - Zatem problem był dużo poważniejszy, niż podejrzewał. - Zadzwoń do kilku osób i sprawdź, co się dzieje.

- Dzięki - powiedziała miękko.

Kiedy ich spojrzenia się zetknęły, dostrzegł w jej oczach prawdziwą wdzięczność. Ale z trudem przebił się przez coś, co należało uznać za smutek.

- Więc co naprawdę czułeś, kiedy twoja limuzyna wyleciała w powietrze?- Faith zmieniła temat.

- Mniej więcej to samo, co ty przed paroma tygodniami, kiedy dostałaś ten list.

Firma McGuire & Company zapewniała jej osobistą ochronę. Wczoraj rano, po dogłębnej analizie zgromadzonych materiałów dotyczących senatora Stockmana, Tom McGuire przedstawił mu reporterską wersję życiorysu Faith Cassidy. Jednym z zasadniczych jej punktów była informacja o konieczności wymiany staników z rozmiaru miseczki B na C po ostatniej operacji plastycznej sprzed pół roku.

- Jaki list? - spytała zdziwiona, lekko zaniepokojonym tonem.

- Od tego szaleńca, który prześladowuje cię od czasu koncertu w Chicago.

- Skąd o tym wiesz?...

- Po prostu wiem i już, Faith. - Z pewnością nie miała pojęcia, że Everest Capital był także właścicielem spółki McGuire & Company, bo tej firmy jako jedynej nie wymieniano nigdzie na internetowej stronie Everestu. Z oczywistych powodów. Nie miało najmniejszego sensu rozgłaszać wszem wobec, że spółka inwestycyjna może szpiegować ludzi. - Powiedzmy, że mam dostęp do wielu poufnych informacji.

- Nie wątpię. - Pokiwała głową, wbijając wzrok w jego kieliszek z szampanem. - I to właśnie powstrzymuje cię przed wypiciem lampki wina? Zawsze musisz w pełni nad wszystkim panować? Nie wyłączając siebie?

- Nie - skłamał.

- Więc o co chodzi?

W pierwszym odruchu chciał zignorować to pytanie, ale uświadomił sobie, jak wielka moc tkwi w otaczaniu tajemnicą pewnych elementów życia prywatnego. Ludzie odnosili wrażenie, że dopuszcza się ich do jakichś niesamowitych sekretów i byli za to bardzo wdzięczni, choćby sprawy dotyczyły rzeczy mało znaczących. Niektórzy reagowali nawet tak, jakby zdobywali jakąś część człowieka na własność.

Powoli przeniósł wzrok na jej biust - ledwie zakryty cienkim koronkowym topem - a następnie na diamentik zawieszony pod złotym kolczykiem w pępku.

- Moja matka była alkoholiczką - powiedział w końcu, odwracając spojrzenie. - Któregoś dnia wypłała za dużo martini i utopiła się w basenie kąpielowym. Ojciec po przyjeździe wieczorem z pracy znalazł ją martwą na dnie. Faith zasłoniła usta dłońmi.

- Pewnie uderzyła się w głowę, kiedy skoczyła do wody. Prawda?

- To trochę bardziej skomplikowane. Otóż moja matka nie umiała pływać. Nienawidziła wody. Wcześniej nigdy nie wchodziła do basenu, bała się zanurzyć choćby

stopy. - Podniósł szklaneczkę z wodą i pociągnął drobny łyk. - Koroner ustalili, że zmarła około trzeciej po południu, ale światła pod trampoliną były zapalone.

- Dlaczego?

- Chciała, żeby ojciec znalazł ją w basenie zaraz po powrocie do domu. Więc było to samobójstwo.

Faith pokręciła głową.

- Przykro mi. Nie powinnam się była dopytywać.

- Właśnie dlatego nie piję alkoholu. Nie chcę dopuścić, żeby cokolwiek wpływało na moją trzeźwą ocenę sytuacji. - Zawiesił na chwilę głos. - W sumie masz rację. Rzeczywiście dążę do tego, żeby zawsze nad sobą panować. Zresztą, przez cały czas muszę podejmować zbyt dużo ważnych decyzji. Niekiedy mam wrażenie, że tymi decyzjami odmierzam upływające minuty.

- Nigdy nie męczy cię ta ciągła presja?

- Nie - odparł stanowczo. - Nie stać mnie na to.

- Czym ty się właściwie zajmujesz? - spytała z zaciekawieniem. - Twój posłaniec próbował mi to wyjaśnić podczas stypy, ale zrozumiałam tylko, że zarządzasz jakimiś astronomicznymi funduszami i jesteś prezesem bardzo wielu firm. Teraz także Everestu.

- Czy to było takie oczywiste, że ja wysłałem do ciebie Bena Cohena?

- Owszem, ale nie on pierwszy przedstawił mi czyjąś prośbę o rozmowę. Najpierw swojego człowieka przysłał senator Stockman, a potem jeszcze ten futbolista. Jak mu na imię? Jeremy?

Gillette utkwiał spojrzenie w płomyku świecy.

- Jeremy Cole?

- Tak, właśnie on. Mam się z nim spotkać pod koniec tego tygodnia.

Serce zabiło mu mocniej. Dało o sobie znać poczucie rywalizacji podsycane przez jakiś prymitywny instynkt.

- Czy to cię niepokoi? - zapytała, uśmiechając się szeroko.

- Niby co miałyby mnie niepokoić?

- To, że się spotkam z Jeremym Cole'em.

- Oczywiście że nie.

- Jasne - mruknęła ironicznie, odchylając się na oparcie krzesła i wyglądając rękoma serwetkę leżącą na kolanach. - Więc powiedz, czym się naprawdę zajmujecie.

- Kupujemy przedsiębiorstwa - wyjaśnił, po raz kolejny utkwivszy wzrok w diamenciku przy jej pępku, który w blasku świecy rzucał jasne refleksy. - Potem dbamy o to,

żeby się rozwijały. A po kilku latach je sprzedajemy. Zazwyczaj dużo drożej, niż za nie zapłaciliśmy.

- W takim razie musisz być bardzo bogaty.

- No cóż, niewątpliwie nie muszę się troszczyć, jak spłacić miesięczną ratę kredytu hipotecznego.

- Pewnie nawet nie masz zaciągniętego kredytu hipotecznego. - Urwała na chwilę. - Zawsze byłeś taki bogaty?

- To znaczy?

- Twój ojciec też był bogaty?

- Mój ojciec zginął, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata. Dokładnie w wakacje, gdy ukończyłem college.

Podróżował na motocyklu po kraju, kiedy dotarła do niego wiadomość o śmierci ojca, który zginął w katastrofie prywatnej awionetki na lotnisku okręgowym Orange County. Podczas startu. Stało się to pięknego bezwietrznego dnia i mimo upływu czternastu lat Gillette wciąż nie mógł uwierzyć w oficjalne wyjaśnienie przyczyn katastrofy, do której jakoby miał doprowadzić „błąd pilota”. Krążyło wiele plotek co do prawdziwych powodów, lecz wszystkie jego próby wyjaśnienia tajemnicy kończyły się w ślepej uliczce. Nawet Tom McGuire nie zdołał się do niczego dokopać.

Faith oparła łokcie na stoliku i ułożyła brodę na splecionych dłoniach.

- Wciąż zadaję niewłaściwe pytania, prawda?

- To nie twoja wina.

- Ale i tak jest mi przykro.

- Niepotrzebnie. - Odchrząknął. - Byłem bardzo dumny z ojca. To niesamowity gość.

Po ukończeniu trzydziestki założył mały bank inwestycyjny w Los Angeles, a dzieć lat później sprzedał go pewnej wielkiej firmie z Nowego Jorku za sto milionów dolarów. Wtedy zajął się polityką. Zginął w katastrofie samolotowej, będąc już senatorem „Umów Zjednoczonych.

- O rety... Chyba powinnam wcześniej to wszystko wiedzieć, ale nie interesuję się specjalnie polityką.

- W dodatku jesteś ze Wschodu - zaznaczył. - No i czeinu miałyby cię to obchodzić, skoro miałaś wtedy zaledwie dwanaście lat?

Faith zmarszczyła brwi.

- Widzę, że sporo o mnie wiesz.

- Dostęp do odpowiednich informacji to w mojej branży ci uczył do sukcesu. Prawdę mówiąc, w każdej dziedzinie jest In kluczem do sukcesu. Bez nich jest się tylko zwykłym szajkiem z ulicy liczącym na łut szczęścia. - Przyszedł mu i i myśl Tom McGuire, a konkretnie przewaga, jaką zyskiwał właśnie dzięki pracy detektywa. - Na szczęście mam doskonałych ludzi, którzy zbierają dla mnie informacje.

- Czy nie jest ci trudno w życiu, skoro miałeś ojca, który tak świetnie sobie radził?

- Co przez to rozumiesz?

- Nie masz wrażenia, że podświadomie dążysz do wyrównania sukcesu ojca?

Zamyślił się głęboko, ale nie mógł sobie przypomnieć, by ze strony ojca dostawał cokolwiek innego poza otuchą i wsparciem. Niczego mu nie zawdzięczał, ale i niczego nie zazdrościł. Nigdy nie czuł choćby najdrobniejszej presji z jego strony.

- Nie.

Przyszło mu na myśl, żeby spytać o to samo, ale dzięki wywiadowi McGuire'a wiedział, że piosenkarka wychowywała się w biednej farmerskiej rodzinie gdzieś w Kentucky. Absolutnie wszystko zawdzięczała wyłącznie sobie.

- Zatem nigdy nie narzekałaś na brak pieniędzy - podjęła smętnym tonem. - To musi być bardzo miłe.

Zapatrzył się na nią. Wystarczająco się odkrył. Nie było żadnego powodu, aby mówić jej, jak to jest, kiedy człowiek, który tak wiele mu zawdzięczał, odcina go od wszystkiego.

- I co robisz z tą całą forszą? - zapytała.

Zerknął na nią podejrzliwie. Ludzie, z którymi miał do czynienia, albo świetnie rozumieli, co robi z pieniędzmi, albo zwyczajnie bali się o to pytać.

- Inwestuję.

- Jeśli już masz tak dużo, to po co się starasz o więcej? Po co ci nerwy i kłopoty związane ze stanowiskiem prezesa w tylu firmach?

Najwyraźniej nie docierało do niej, że wszystko, co posiada - a jego wartość netto była szacowana na siedemdziesiąt milionów dolarów - zawdzięcza wyłącznie swojej pracy, że nieustanna chęć pomnażania bogactwa wynika z niepewności jutra. Bo przecież nigdy nie wiadomo, kto i kiedy spróbuje wyeliminować człowieka z interesu i przejąć cały jego majątek. Nie zamierzał jej jednak tego wszystkiego wyjaśniać, bo zarazem musiałby wytłumaczyć, dlaczego jest taki twardy.

- Po prostu tym się zajmuję - odparł cicho.

- Ale dlaczego się tym zajmujesz? - spytała z naciskiem.

- Dlaczego?

- Jaki jest w tym cel? Chciałabym wiedzieć, czy pracujesz tak ciężko, żeby móc kupować domy, samoloty, samochody i jachty, z których nigdy nie będziesz korzystał, czy kryje się za tym coś więcej, coś znacznie głębszego.

- Prowadzę rozległą działalność dobroczynną, jeśli o to ci chodzi.

- Prowadzisz ją na pokaz czy z rzeczywistej potrzeby?

- Nie rozumiem.

- Płacisz na cele charytatywne z obawy, że „New York Times” umieści cię na czarnej liście, jeśli przestaniesz to robić? Dlatego, że ucierpiałaby na tym reputacja Everest Capital, gdyby prezes spółki nie udzielał się społecznie? - ciągnęła, kreśląc palcem w powietrzu znaki zapytania. - Dlatego, że twoi inwestorzy i konkurenci doszliby do wniosku, że z Everestem dzieje się coś złego, skoro prezes nie daje pieniędzy na cele dobroczynne? Czy też robisz to poza harmonogramem zajęć? Czy jest to wyłącznie akt dobroci serca czyniony bez nadziei na jakiegokolwiek korzyści własne? Poza wszelkimi kalkulacjami, które wydają się twoją wielką specjalnością?

- Nie ma czegoś takiego jak akt dobroci serca. Jęknęła głucho.

- Mój Boże...

- Zrozum, że zawsze są jakieś korzyści. Nic nie jest ab-)lutnie czyste. Może z wyjątkiem działań, które podejmuje się tylko dla satysfakcji, ale to w końcu też jakaś korzyść. Przemyśl to dobrze.

- Już to zrobiłam.

- I co?

- I wierzę, że na pewno istnieją ludzie, którzy dają coś od siebie i nie oczekują niczego w zamian.

Gillette pokręcił głową.

- To zaczyna przypominać dyskusję o płci aniołów.

- Jak mam to rozumieć?

- Chodzi mi o to, że niektórych spraw nikt nie potrafi wyjaśnić.

Zaśmiała się krótko.

- Może i u nich istnieją dwie płci. Mówię o aniołach. Uniósł wzrok do nieba.

- Dobra, przyjmijmy, że każde z nas ma własny punkt widzenia i żadne nie zdoła przekonać drugiej strony do jego zmiany.

- W normalnych okolicznościach zgodziłabym się z tobą, teraz jednak wolałabym uczynić wyjątek, przynajmniej na jakiś czas.

- Po co?

- Bo jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, w dodatku nie tylko fizycznie. Powiedziałabym, że jesteś... nad wiek rozwinięty. Bardzo to lubię u mężczyzn.

- Nad wiek rozwinięty? Cóż za określenie.

- No cóż, nawet jeśli nie wszystkie teksty są moje, to nie użyję w piosence żadnego słowa, dopóki nie mam całkowitej pewności, że je w pełni rozumiem.

Tym razem to on skwitował jej wypowiedź uśmiechem.

- I co do jednego nie mam wątpliwości - dodała Faith. - Ty mógłbyś być aniołem.

- Tak, na pewno.

- Mówię poważnie. Tylko ukrywasz się za fasadą twardziela, bo pod nią jesteś bardzo wrażliwym człowiekiem.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Wiem i już - odparła stanowczo, pochylając się nad stołem i zaciskając długie smukłe palce na jego dłoni. - Pod tym względem mogę zaufać przeczuciom.

Spojrzał na jej rękę, odczuwając narastające podniecenie wywołane dotykiem gładkiej, ciepłej skóry.

- Nie ograniczaj się do rozdawania pieniędzy, Christianie. Zeskocz do okopów. Zaangażuj się na poziomie korzeni. Jesteś taki charyzmatyczny. Naprawdę mógłbyś wiele zdziałać.

Spoglądał na nią ponad płomykiem świecy, zastanawiając się, czy nie powiedzieć jej o Josem i Aleksie. Spozrzegł jednak kolejnego młodzieńca kierującego się w ich stronę z serwetką i długopisem w ręku. Pospiesznie machnął na ochroniarza stojącego parę metrów dalej pod ścianą i ten błyskawicznie zastąpił drogę fanowi piosenkarki. Gdy chłopak został zmuszony, żeby pod eskortą zawrócić, Gillette z powrotem utkwiał spojrzenie w Faith.

- Lepiej opowiedz mi o sobie. Gdzie się wychowywałaś?

- Skoro wiesz o liście od zwariowanego fana - odparła, IN ispiesznie cofając rękę - na pewno wiesz także, gdzie się wychowywałam.

Była sprytna. Ale jemu to się podobało. O wiele bardziej i wolał takie wyzwania od jakiegokolwiek łatwizny.

- Niech ci będzie. W takim razie powiedz mi coś, czego na pewno nie wiem.

Dopiła resztkę szampana i odrzekła:

- Jestem dwudziestosześcioletnią piosenkarką...

- To przecież nie...

-...od wielu lat zanadto pochłonięta robieniem kariery, Zi>by przeżyć choćby poważniejszy romans. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Wydaje mi się jednak, że wreszcie jeł

item gotowa. - W jej oczach zabłyśły skry determinacji. - li raz kolej na ciebie. Powiedz mi coś o sobie.

- Na przykład?

Choćby, jakie lubisz rozrywki.

W innych okolicznościach poszukałby jakiegoś uniku, i alf poczuł się zobligowany do udzielenia szczerej odpou icdzi - może dlatego, że miał przed sobą osobę kreatywi i.i, z rodzaju tych, z którymi bardzo rzadko miał okazję się ipotykać, a które robiły na nim tak silne wrażenie; a może tylko z tego powodu, że bardzo chciał ją zainteresować sobą przynajmniej tego wieczoru.

Ubiegłej nocy wygrałem pięć tysięcy dolarów, grając hazardowo w bilard w BedStuy. Faith zachichotała i lekceważąco machnęła ręką.

- Jakżeby inaczej.

Poważnie. Jestem w tym całkiem niezły.

- Aha. Gdzie zazwyczaj grywasz?

- W różnych salach na Bronksie i w Brooklynie, gdzie można spotkać naprawdę uzdolnionych graczy.

- Tam też jeździsz z obstawą?

- Nie, zupełnie sam. Pokręciła głową.

- Naprawdę sądzisz, że w to uwierzę?

- Możesz sobie wierzyć w co chcesz.

- Nie zalewaj, Christianie. Niezależnie od tego, czy byś wygrał, czy nie, miałbyś małe szansę, żeby wyjść z życiem z takiej sali. Dlatego nie zmyślaj i lepiej powiedz coś innego, w co łatwiej będzie mi uwierzyć.

- Coś innego... - powtórzył. - Na przykład...

- Na przykład, czy masz jakieś rodzeństwo. Zacisnął wargi i na parę sekund odwrócił głowę.

- Christianie?

- Nie, jestem jedynakiem.

- Aha. A co powiesz na to, żeby mi się zwierzyć z tego, w co wierzysz?

- W co wierzę?

- Tak. Czym się kierujesz w życiu? Jakim zasadom hołdujesz?

Gillette zamyślił się głęboko.

- Dobra. W gruncie rzeczy nikomu nie ufam. Podniosła głowę, uśmiech błyskawicznie zniknął jej z ust.

- Dlaczego?

- Bo wcześniej czy później każdy mnie zawodzi.

Jose i Alex stali na werandzie domu Jose'ego, spoglądając na jasno oświetlone okna sąsiedniego domu, który już niedługo miał się stać własnością Alexa.

Zgodnie z poleceniem o dziewiątej tego ranka Jose przemierzył rozległy trawnik rozdzielający oba domostwa i zaproponował pięćset tysięcy dolarów, o trzydzieści więcej od ceny wywoławczej. Profesor uniwersytetu skwitował jego propozycję pustym śmiechem, wychodząc z założenia, że on nie ma żadnych możliwości kupienia drugiego domu w tej okolicy. Jose zawrócił więc na pięcie i wrócił do siebie.

Ale już dziesięć minut później wykładowca stanął zadyszany na jego progu i zaczął serdecznie przeproszać za swoje zachowanie. Zadzwoił do pracownika banku, którego Jose wymienił jako gwaranta, i oczywiście dowiedział się, że sąsiad choćby jutro mógłby wyłożyć całą sumę gotówką.

Teraz Alex gapił się na tamten dom z szeroko rozdziawionymi ustami, co rusz pocierając zachodzące łzami oczy.

- Będę mógł wreszcie wychowywać dzieci w przyzwoitych warunkach, hermano - szepnęła. - Będę mógł wreszcie dać im szansę na normalne życie.

Jose objął brata za ramiona.

- Tak, wiem, AL Sam powtarzam sobie to samo każdego dnia.

- Przepiękny widok, Christianie - powiedziała Faith, kiedy wyszli na balkon jego piętrowego apartamentu od strony Central Parku. W oddali jasno błyszcząły światła West Side. - Naprawdę.

- Dzięki. Obróciła się do niego.

- Spędziłam dzisiaj cudowny wieczór.

- Bardzo się cieszę.

- Naprawdę chcę cię lepiej poznać - dodała cicho.

Pocałowała go żarliwie, po czym cofnęła się o krok, ściągnęła swój koronkowy top i rzuciła go za balkon. Pozwoliła mu przez chwilę gapić się na swoje nagie piersi skąpane w blasku księżyca, na sterczące sutki nabrzmiałe od nocnego listopadowego chłodu, zanim zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła wargami do jego ust w kolejnym pocałunku.

- Nie chcę jeszcze wracać do domu.

- A ja nie chcę, żebyś się spotykała z Jeremym Cole'em - odparł stanowczo.

Znowu cofnęła się o krok, pospiesznie rozpięła i zsunęła dżinsy, wyszła z nich i stanęła przed nim całkiem naga, opuściwszy ręce wzdłuż ciała.

- Jak sobie życzysz.

- Gotów, Alfa? - rozległo się chrapliwe pytanie z głośniczka krótkofalówki.

Mężczyzna zawahał się, sprawdzając, czy wszystkie czujniki są podłączone i wszystkie laptopy przygotowane do gromadzenia odpowiednich danych. Systematycznie prznosił wzrok z jednego ekranu na drugi, chcąc mieć absolutną pewność, że cały system czujników działa bez zarzutu. Wolał nie zaczynać wszystkiego od początku. Na dodatek z niewyjaśnionych przyczyn miał kiepskie przeczucia co do swojej obecnej misji.

- Potwierdzam. Alfa nakazuje odpalenie ładunków. Chwilę później jego formem explorerem zakołysały detonacje ładunków dynamitu.

-

Sprzymierzeńcy. Tak samo ważni w interesach, jak na wojnie. Bo przecież biznes to wojna.

- Dzień dobry, Christianie.

Gillette podniósł się ze swojego fotela u szczytu stołu konferencyjnego. Musiał czekać aż dziesięć minut. Normalnie wyszedłby z sali już po pięciu, ale kontakty z tym człowiekiem nie należały do normalnych.

- Witaj, Miles - odparł, kłaniając się z szacunkiem.

Miles Whitman był dyrektorem inwestycyjnym North America Guaranty & Life, największego krajowego towarzystwa ubezpieczeniowego, które lokowało w różnych inwestycjach z górą trzy biliony dolarów. Whitman, mający z tego do wyłącznej dyspozycji ponad bilion, wyrastał więc na jedną z najbardziej wpływowych postaci w świecie finansjery. Mógł jedną decyzją ustawić bądź zniweczyć czyjąś karierę na Wall Street, gdyż żaden bankier nic nie znaczy, jeśli nie ma dostępu do wiarygodnego źródła finansów. A Whitman kontrolował przecież najbardziej rwącą rzekę pośród tych strumieni.

Inwestował jednak przede wszystkim w papiery wartościowe: depozyty bankowe, obligacje stanowe i federalne, giełdowe akcje i obligacje spółek państwowych trzymających się mocno na rynku. Niemniej, jak większość towarzystw ubezpieczeniowych i innych dużych firm inwestycyjnych, North America Guaranty - w kręgach finansowych powszechnie określane skrótem NAG - lokowało pewien odsetek swoich funduszy w prywatnych spółkach kapitałowych w rodzaju Everest Capital. Przeznaczało go dla rewolwerowców typu Christiana Gillette'a, którzy generowali olbrzymie zyski. Ani Whitman, ani nikt z jego zespołu, nie miał żadnego doświadczenia w kupowaniu i prowadzeniu przedsiębiorstw, ale jak wszyscy inwestorzy, i on pragnął stale powiększać swoje profity.

- Widzę, że szybko się zaadaptowałeś do nowego stanowiska - zauważył oschle Whitman, siadając w sąsiednim fotelu.

- To znaczy?

- Zajmujesz najważniejsze miejsce przy moim stole.

- To dzięki naukom Donovana - odparł Gillette bez cienia skruchy. - Tłumaczył, że zawsze należy siadać u szczytu stołu. Zwłaszcza w nieswojej sali konferencyjnej. Bo to od razu daje człowiekowi przewagę. Ludzie zakładają, że to ja prowadzę posiedzenie, nawet jeśli jest inaczej.

Whitman zachichotał i przeciągnął po siwych włosach dłońmi o starannie wymanikiurowanych paznokciach.

- Między innymi z tego powodu w ubiegłym tygodniu wybraliśmy cię na prezesa, Christianie. Dokładnie tu, w tej sali. - Szerokim gestem wskazał odległy koniec długiego stołu. - Ponieważ ty w każdym warunkach przejmujesz kontrolę - rzekł, poprawiając pod szyją krawat będący jego znakiem rozpoznawczym. - Jeśli chodzi o ścisłość - dodał, unosząc palec wskazujący - wybrali ciebie ci spośród nas, którzy wiedzą lepiej, co należy robić.

- W każdym razie dziękuję, Milesie, że zgodziłeś się przewodniczyć obradom.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Na szczęście mowa, którą wygłosiłem tuż przed głosowaniem i w której wyraźnie poparłem ciebie, a nie Troya, wpłynęła chyba na stanowisko kilku wahających się ograniczonych współników.

- W każdym razie wpłynęła w wystarczającym stopniu.

- Jak się domyślam, sprawdzałeś wyniki głosowania, prawda?

Gillette popatrzył ze zdumieniem, jak jego rozmówca się wyciąga, jakby próbował sięgnąć czubkami palców do sufitu. Sześćdziesięciodwuletni finansista słynął z bardzo aktywnego trybu życia. Co drugi dzień w Harvard Club grał w squasha z ludźmi o połowę od niego młodszymi i wygrywał, a w każdy weekend pokonywał na rowerze co najmniej trzydziestokilometrową trasę w leśnym parku krajobrazowym stanu Connecticut okalającym jego posiadłość w Greenwich.

- Oczywiście, że sprawdzałem.

- Tym lepiej dla ciebie. Zawsze trzeba wiedzieć, na kogo można liczyć. - Whitman opuścił ręce. - A co ważniejsze, trzeba znać swoich wrogów.

- Jestem bardzo wdzięczny, że przekonałeś także Ann Donovan. Bez jej głosu nigdy bym nie wygrał.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - spytał zaciekawiony Whitman.

- Sama mi to powiedziała podczas stypy. Przyznała otwarcie, że chciała głosować na Troya, ale ją przekonałeś, że to nie najlepszy pomysł.

- Cieszę się, że posłuchała mojej rady. Bardzo mi na tym zależało. - Spojrzał w bok i uśmiechnął się szeroko. - Wszystko w porządku? Wyglądasz na przemęczonego.

- Nic mi nie jest.

- Czyżby dawał już o sobie znać stres związany z prowadzeniem drugiej co do wielkości prywatnej spółki kapitałowej świata?

O północy, po wyskoczeniu z ubrania na jego balkonie, Faith zaciągnęła go do sypialni i aż do rana nie pozwoliła mu zmrużyć oka, raz za razem nakłaniając do seksu, dopóki o szóstej rano nie wygonił jej z apartamentu i nie wsadził do taksówki. Dał jej swoją koszulę zamiast koronkowego topu, który wyrzuciła za balkon, i odetchnął z ulgą, nie ujrzawszy na ulicy przed domem tłumy zaślinionych paparazzi. W końcu Faith była dla nich dość łakomym kąskiem.

- Nie odczuwam najmniejszego stresu, Miles. Jestem tylko zasmucony śmiercią Billa, jednakże gotów do przejścia po nim całej spuścizny Everestu.

- Doskonale - rzekł z uznaniem Whitman. - Konieczna odrobina szacunku dla byłego przywódcy połączona z energią do przyszłych działań. Radziłeś się jakiegoś konsultanta czy to twoja przyrodzona zaleta?

- Mój ojciec był senatorem - przypomniał mu Gillette. - Stąd wiem, co i kiedy należy powiedzieć.

- Ach tak, już rozumiem. - Whitman błyskawicznie spowaźniał. - Więc jakie jest morale w szeregach Everestu?

- Jak mam to rozumieć?

- No cóż, właśnie poległ generał. Musisz teraz bardzo uważać, żeby nie stracić poruczników. Zwłaszcza tych najlepszych, Marcie czy Kyle'a. Mogą dojść do wniosku, że ich plany szybkiego wzbogacenia się właśnie wzięły w łeb, i zacząć gdzie indziej szukać dla siebie lepszych perspektyw. Musisz ich przekonać, że jako prezes Everestu będziesz się o nich troszczył tak samo jak twój poprzednik.

- Zajmę się tym w ciągu kilku najbliższych dni. - Gillette spojrzął na zegarek. Zapowiadał się bardzo pracowity dzień, ale nie mógł odłożyć tego spotkania na później. - Chciałem z tobą porozmawiać o Troyu.

Whitman uniósł brwi.

- A co się stało?

- Odszedł.

- Jak to odszedł?

- Zwolniłem go jeszcze w trakcie stypy.

- Żartujesz? Z jakiego powodu?

- Uprawiał seks z kobietą pracującą w dziale marketingu jednego z podległych nam przedsiębiorstw, którego był prezesem.

Whitman uniósł wzrok do nieba.

- O Jezu... Stałeś zatem wobec perspektywy bardzo poważnego oskarżenia o molestowanie seksualne?

- Właśnie.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Lepiej nie pytaj.

- Jako twój największy inwestor chciałbym to wiedzieć. Jeśli sprawa się rozniesie, wolałbym być przygotowany i móc cię wesprzeć jakimiś dowodami. Ludzie z pewnością będą rozpytywać, dlaczego się go pozbyłeś.

Z jego pamięci wypłynął widok Masona na młodej kobiecie w pokoju gościnnym.

- Specjalnie zaprosił ją na stypę, Miles. Podczas gdy ty w salonie rozmawiałeś z senatorem Stockmanem, on zabawiał się z nią w sypialni w suterenie.

- Chryste... - Whitman zabębnił palcami po stole. - Co za idiota...

- Zgadza się. Jak sam powiedziałaś, ten romans mógł nas zaprowadzić przed sąd i kosztować wielomilionowe odszkodowanie.

- Nie mówiąc już o złej prasie. Rzeczywiście nie miałeś wyboru. Tylko jak się dowiedziałeś, że on właśnie zabawia się z tą kobietą w sypialni?

- Natknąłem się na nich przypadkiem.

Whitman przez chwilę wpatrywał się w niego świdrującym wzrokiem.

- Jak się dowiedziałeś, że on jest w sypialni gościnniej? - zapytał w końcu.

- Jeden z moich ludzi dał mi znać.

- Kto?

- Kyle.

Whitman uniósł wysoko brwi.

- Poważnie?

- Tak.

- Nie pomyślałeś, że Kyle postanowił wykorzystać okazję, żeby pozbyć się jednego z was z rady nadzorczej i zająć jego miejsce?

- To niewykluczone.

- Dałeś Masonowi jakąś odprawę?

- Milion dolarów.

- A co z jego częścią zysków? Pozwoliłeś mu coś z nich zachować?

Gillette pokręcił głową.

- Nie chcę, żeby miał jeszcze cokolwiek wspólnego z Everestem.

- Ostro go potraktowałeś.

- Zasłużył sobie na to.

- Lepiej staraj się nie przysparzać sobie wrogów, Christianie. I bez tego będziesz miał ich wystarczająco dużo.

- Już ich mam i wcale się tym nie przejmuję.

- Nie zaniepokoiła cię bomba podłożona w limuzynie?

- Jakoś sobie poradzę. Whitman skrzywił się boleśnie.

- Uważaj.

- Uważam. - Szybko doszedł do wniosku, że powinien jakoś udobruchać sceptycznie nastawionego rozmówcę. - Poprosiłem Toma McGuire'a o przydział całodobowej ochrony osobistej. - Jako główny inwestor spółki Whitman wiedział o wszystkich podległych jej firmach, w tym także o agencji McGuire & Company. - Każda limuzyna jest teraz dokładnie sprawdzana co kilka godzin, a samochody podlegają ciągłej rotacji. Kontrolują też moje domy i jachty. Absolutnie wszystko. I sprawdzają od nowa prywatne kontakty wszystkich ludzi powiązanych z Everestem. Tom chce podjąć wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa. Nie mam co do niego żadnych zastrzeżeń.

- Ufasz mu?

Gillette zamyślił się na krótko.

- Komuś przecież muszę zaufać.

Pomyślał jednak, że Whitman poruszył bardzo ważną kwestię. Chyba powinien się jeszcze raz zastanowić, czy nie zaangażować kogoś z zewnątrz.

- Jak sądzisz, co Mason teraz zrobi? - zapytał tamten.

- Nie wiem. Nie rozmawiałem z nim o tym.

- Powinieneś mu pomóc stanąć znowu na nogi. Zdecydowanie za dużo wie na temat Everestu. Na pewno byś wolał, żeby część tej wiedzy nigdy nie ujrzała światła dziennego. Nie chciałbyś, żeby się dogadał z którymś z konkurentów i zaczął mu zdradzać tajemnice. Pamiętaj, że musisz kontrolować wszelkie powiązania. To najważniejsza rzecz w twoim świecie. - Whitman po raz kolejny poprawił węzeł krawata pod szyją. - Wróćmy jeszcze do kwestii podstawowej. Z jakiego to powodu chciałeś się ze mną zobaczyć z samego rana?

Gillette skinął głową.

- Twoje towarzystwo od początku należy do naszych najważniejszych stronników. Jesteście wśród głównych udziałowców w każdym z naszych siedmiu funduszy inwestycyjnych.

- Zgadza się. Wyłożyliśmy trzy miliony dolarów na pierwszy fundusz, jaki Bili powołał do życia dwadzieścia lat temu. Do dziś pamiętam, jak prezentowałem jego propozycję na posiedzeniu komisji inwestycyjnej.

- Teraz sam jesteś komisją inwestycyjną. Tylko od ciebie zależą wszystkie najważniejsze decyzje.

- Lepiej mi o tym nie przypominaj - mruknął gardłowo Whitman, wyraźnie mile polechtany. - A jak myślisz, dlaczego jestem już całkiem siwy? Ile wpakowałem w wasz ostatni fundusz, Everest Siedem?

- Czteryście milionów.

Whitman gwizdnął cicho i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czteryście milionów... To kupa forsy, Christianie. Ktoś mógłby pomyśleć, że ufam wam bezgranicznie.

- Chciałem cię prosić o jeszcze więcej.

- Cóż za niespodzianka.

- Do tej pory zainwestowaliśmy ponad połowę z sześciu i pół miliarda funduszu siódmego, toteż jestem gotów powołać nowy fundusz, ósmy.

- Czy Bili nie czekał zwykle na zainwestowanie co najmniej siedemdziesiąt pięć procent funduszu, nim przystąpił do organizowania następnego?

- Owszem, czekał, ale ja wolałbym zrobić to wcześniej, bo zamierzam zgromadzić aż dziesięć miliardów dolarów - wyjaśnił szczerze.

- Dziesięć miliardów?

- Owszem. Rozumiesz więc, że będę potrzebował sporo czasu na zgromadzenie takiej sumy.

Whitman w zamyśleniu pogładził palcem górną wargę.

- To dziwne - mruknął pod nosem.

- Co?

- Był tu wczoraj Paul Strazzi, który też zamierza powołać do życia następny fundusz. I mierzy równie wysoko jak ty, w dziesięć miliardów.

Paul Strazzi był prezesem Apex Capital, największej prywatnej spółki kapitałowej na świecie, także mającej siedzibę na Manhattanie, z którą Everest rywalizował od samego początku.

Przed trzydziestu laty Bili Donovan i Paul Strazzi pracowali razem u Morgana Stanleya, w wysoko cenionym nowojorskim banku inwestycyjnym. Kiedy wspólnie zaczęli staż, szybko połączyła ich przyjaźń, lecz ta szybko ostygła z powodu ciągłej rywalizacji o awanse, podwyżki i premie. Ostatecznie na początku lat osiemdziesiątych każdy z nich ruszył własną drogą, zakładając prywatną spółkę kapitałową i popychając ją szybko w górę łańcucha pokarmowego biznesu. Ale ich rywalizacja, tym razem o zdobycie inwestorów i osiągnięcie jak największych zysków, pozostała równie zacięta, jak wcześniej o awanse i premie u Morgana Stanleya. Obecnie Apex i Everest były dwiema najbardziej liczącymi się prywatnymi spółkami w świecie kapitałów inwestycyjnych.

- Strazzi był tu wczoraj? - powtórzył zdumiony Gillette.

- Tak. Też umówił się z samego rana, tyle że dzień wcześniej. Mówił, że ma bardzo pilną sprawę. Potem zabrał mnie na lunch i wyłożył dokładnie taki sam plan zgromadzenia dziesięciu miliardów dolarów w nowym funduszu. Apex w ostatnim funduszu zgromadził siedem miliardów, z czego my wyłożyliśmy czterysta milionów.

- Donovan nie był zbyt szczęśliwy z tego powodu. Whitman wzruszył ramionami.

- No cóż, Strazzi przez te wszystkie lata ani razu nas nie zawiódł. Zresztą podobnie jak wy. W każdym razie nie ma żadnego powodu, żeby nie traktował go na równi z wami.

Gillette zamyślił się na chwilę.

- To rzeczywiście zastanawiający zbieg okoliczności. Mam na myśli wczorajszą wizytę Strazziego.

- Może to wcale nie był zbieg okoliczności.

- Możliwe. Pozostaje jednak pytanie, Miles, do jakiej wysokości będziesz chciał wesprzeć mój nowy fundusz.

Whitman się zawahał.

- Mam pewien pomysł.

- Jaki?

- Powiększ swoje zamierzenie do piętnastu miliardów.

- Piętnastu?!

- Tak.

Gillette splótł dłonie i oparł je o brzeg stołu.

- Miles, to byłby największy prywatny fundusz inwestycyjny, jaki dotąd powołano.

Whitman się uśmiechnął.

- Wiem o tym.

- Myślisz, że na rynku znalazłoby się wystarczająco dużo środków, żeby zapłacić powstające równocześnie dwa tak olbrzymie fundusze, jeden piętnasta, a drugi dziesięciomiliardowy?

Whitman energicznie pokręcił głową.

- Nie ma mowy. Łącznie w całym kraju jest prawdopodobnie kilkaset miliardów dolarów w funduszach, którymi zarządzają setki prywatnych spółek kapitałowych, ale w kasach przedsiębiorstw z pewnością nie ma tyle pieniędzy, żeby zaistniały oba fundusze tej wielkości jednocześnie. Łączny kapitał naszego towarzystwa wynosi trzy biliony, ale możemy inwestować w prywatnych spółkach tylko dwa procent tej sumy, czyli sześćdziesiąt miliardów. To maksymalna kwota, jaką możemy zasilić cały prywatny sektor kapitałowy. Obecnie jest ona rozdzielona chyba na sto odrębnych funduszy.

- Więc dlaczego proponujesz, żebym zwiększył wartość Everestu Osiem do piętnastu miliardów?

- Bo moim zdaniem, na dwa fundusze dziesięciomiliardowe także zabraknie pieniędzy. W każdym razie wtedy, jeśli będą gromadzone równocześnie. Ale powinno wystarczyć środków na jeden fundusz w wysokości piętnastu miliardów. Co ważniejsze, uważam, że najwyższa pora, by któraś z tych dwóch spółek zaczęła wyraźnie dominować na rynku. Istnienie dwóch tak potężnych firm powoduje tylko zawyżanie cen, które niezależnie od siebie musicie płacić za nabywane przedsiębiorstwa. Dlatego spróbuj jeszcze bardziej podnieść stawkę, Christianie. Przestań w końcu iść łeb w łeb z Paulem Strazzim. Niech to Everest powoła do życia największy w historii prywatny fundusz. - Zawiesił na chwilę głos. - Bo inaczej zrobi to Apex.

- Zastanowię się nad tym, Miles, ale muszę zapytać jeszcze raz: Do jakiej wysokości zechcesz wesprzeć mój nowy fundusz?

- Dostaniesz miliard dolarów - wyrzucił z siebie Whitman. - Łącznie z pieniędzmi zainwestowanymi w starszych funduszach Everestu będziemy mieli u was ponad dwa miliardy dolarów. - Podniósł głowę i zmarszczył czoło. - To naprawdę bardzo dużo, jak na inwestycje w tylko jednej prywatnej spółce kapitałowej. Prawdopodobnie za dużo. Będę się musiał gęsto tłumaczyć przed radą nadzorczą, ale wierzę w twoje umiejętności, młody człowieku. - Wymierzył palec w Gillette'a. - Nie zawieź mnie.

- O to się nie martw.

- Należące do was przedsiębiorstwa trzeba będzie skrupulatnie oczyścić przed powołaniem tego funduszu, Christianie. Nie może być mowy o żadnych bankructwach czy jakichkolwiek skandalach.

- To oczywiste.

- Zawsze będę kładł na to nacisk.

- Słyszałem wyraźnie.

- A jak się sprawują wasi podopieczni? - zaniepokoił się Whitman.

- Ogólnie bardzo dobrze. Średnio nie odbiegają od naszych wcześniejszych osiągnięć. Jesteśmy na najlepszej drodze, żeby z funduszu siódmego także wygenerować pięćdziesięcioprocentowy zysk. Oczywiście jest kilka inwestycji, które nie przynoszą takich wyników, jakie byśmy sobie życzyli - przyznał Gillette. - Choćby zakłady produkujące narzędzia elektryczne. Ale to normalne. Trudno kręcić nosem na stratę tysiąca dolarów, kiedy się nadzoruje dwadzieścia siedem przedsiębiorstw.

- Te zakłady produkujące narzędzia elektryczne to Blalock Industries. Zgadza się?

- Tak.

- Kieruje nimi Roger Nolan.

- Już nie.

Whitman znowu podniósł głowę.

- Zwolniłem go - wyjaśnił Gillette.

- Widzę, że jesteś bardzo pracowity. Nawet na chwilę nie rozstajesz się ze swoim toporem?

- Nolan ani razu nie wykonał rocznego planu, Miles, potrafił tylko wiecznie utyskiwać na konkurencję zagraniczną. Wczoraj mianowałem na stanowisko dyrektora naczelnego Freda Cantwella, dotychczasowego wicedyrektora zakładów.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, Roger i Bili Donovan byli dobrymi przyjaciółmi.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie mogę pozwolić, żeby układy osobiste wpływały na moje decyzje w interesach.

Whitman z uznaniem pokiwał głową.

- Bardzo dobrze, synu. Zbyt wiele osób to robi. Sądzę, że doskonale się spiszesz jako prezes firmy.

- Dziękuję.

- Lecz niezależnie od wszystkiego, nie pozwól żadnej ze swoich firm upaść w trakcie gromadzenia kolejnego funduszu inwestycyjnego. Gdyby zaszła taka konieczność, podłącz je do aparatury podtrzymującej życie. Pakuj w nie pieniądze, nawet gdybyś był przekonany, że

już nigdy więcej nie zobaczysz z nich ani dolara. Za żadną cenę nie dopuść, żeby któraś poszła na dno, bo to by odstraszyło inwestorów.

- Nie wierzę w celowość topienia pieniędzy w kiepskim interesie. W funduszach Everestu zawsze kładliśmy na to szczególny nacisk. Zresztą w ciągu dwudziestu lat pozwoliliśmy upaść tylko paru firmom, co jest chyba cholernie dobrym rezultatem. Ale rzeczywistość tej rozgrywki jest taka, że jeśli nie siedzi się w niej wystarczająco długo, wcześniej czy później trafi się na chybioną inwestycję. Sam doskonale o tym wiesz, Milesie. Na szczęście mamy znacznie więcej zwycięzców niż przegranych, zatem w efekcie ty i inni inwestorzy tylko na tym zyskujecie.

- Owszem. Ale teraz mówimy o piętnastu miliardach dolarów, Christianie. To dwa razy więcej, niż komukolwiek udało się dotąd zgromadzić w podobnym funduszu inwestycyjnym. Przyjmij więc moją radę. Nie spieprz tego. Bez bankructw, bez skandali - musisz utrzymać wszystkie firmy na chodzie za każdą cenę. Kiedy już zgromadzisz ten fundusz, będziesz mógł powrócić do finansowego darwinizmu, ale przedtem musisz mieć na biurku piętnaście miliardów dolarów w podpisanych umowach subskrypcyjnych. Wyrażam się jasno, amigo?

- Jak najbardziej.

- Ile, według ciebie, może potrwać gromadzenie Everestu Osiem? - zapytał Whitman.

- Rok.

- Pewnie masz rację. Może trochę krócej, jeśli trafi się na jednego czy dwóch zaangażowanych inwestorów.

Gillette zapatrzył się na ścianę za plecami dyrektora.

- Zakładam więc, że gdy wesprzesz mój projekt, nie dasz już pieniędzy Paulowi Strazziemu - rzekł.

- Nic bardziej mylnego - odparł szybko Whitman. - Jemu także zamierzam dać już na samym początku obietnicę miliarda dolarów. Który z was pierwszy odważy się wymienić sumę piętnastu miliardów, ten uzyska całe moje poparcie.

Gillette spodziewał się podobnej odpowiedzi, uznał jednak, że i tak warto było zapytać. Zdobycie inwestycji North America Guaranty na wyłączność stałoby się gwoździem do trumny Strazziego.

Whitman się uśmiechnął.

- A zatem, do dzieła.

- Zobaczysz, że to ja pierwszy zdobędę piętnaście - obiecał solennie Gillette.

- Nie mam powodów w to wątpić, Christianie. Kiedy wyznaczysz sobie jakiś cel, musisz go osiągnąć, nawet jeśli chodzi o tak gigantyczną kwotę funduszu. - Pokręcił głową i rzekł z naciskiem: - Ale Paul Strazzi to uliczny wojownik. Wychowywał się w najgorszej części Brooklynu, a nie w Beverly Hills. Ma już wszystkie zabawki, jachty, samochody i samoloty, lecz na pewno nie zapomniał, skąd się wywodzi. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby cię przechytrzyć. Spróbuje dać ostrą szkołę życia młodym narwańcom. A w tej grze nie będzie żadnych reguł, to mogę zagwarantować. Ostatecznie w tym tkwią źródła sukcesu Straziego. Będzie chciał wygrać za wszelką cenę.

- Ja również - odparł spokojnie Gillette. Whitman zachichotał.

- Szkoda, że nie możesz teraz siebie zobaczyć. Właśnie złożyłem ci obietnicę zainwestowania miliarda dolarów, a ty wyglądasz tak, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. Kaszka z mlekiem. Rzekłbym nawet, że sprawiasz wrażenie lekko rozczarowanego.

- Bo liczyłem na dwa miliardy.

Dyrektor zaśmiał się w głos.

- Podziwiam cię, Christianie. Gdybym tylko mógł cofnąć czas, sam założyłbym prywatną spółkę kapitałową. - Westchnął głośno. - Piętnaście miliardów dolarów... To naprawdę niesamowite...

- Ty zarządzasz bilionami - zripostował Gillette.

- Owszem, ale większość pieniędzy jest ulokowana w depozytach bankowych i rządowych obligacjach gwarancyjnych. Myślisz, że to równie podniecające? A gdzie ryzyko? To ty kupujesz i sprzedajesz całe przedsiębiorstwa - zaznaczył Whitman z podziwem w głosie.

Gillette wstał. Czas go poganiał, ponadto uzyskał już to, po co przyszedł.

- Bardzo sobie cenię twoje wsparcie, Miles - rzekł, ściskając na pożegnanie starczą dłoń dyrektora.

- Jasne.

- Będziemy w kontakcie.

- Christianie - zawołał Whitman, gdy Gillette był już przy drzwiach.

- Tak?

- Jestem wielkim fanem futbolu.

- Wiem o tym.

- Zbliżają się rozgrywki o superpuchar. Bardzo chciałbym zobaczyć w swoich rękach cztery bilety na mecz finałowy. Oczywiście na dobre miejsca. Nie masz żadnych powiązań z rodziną, do której należy drużyna New York Giants?

- Mam - odparł. - I zdobędę dla ciebie cztery bilety na miejsca w łoży. Ale w zamian, jeśli jako pierwszy zgromadzę czternaście i pół miliarda dolarów, bez sprzeciwu dołożysz mi brakujące pięćset milionów. Chcę mieć od ciebie w sumie półtora miliarda. Umowa stoi?

Whitman zamyślił się głęboko, po czym rzekł:

- Stoi.

- Doskonale.

- Jeszcze jedno - dodał pośpiesznie dyrektor.

- Słucham.

- Na jaką sumę Ben Cohen ubezpieczył cię na życie w ofercie dla VIPów?

- Na pięć milionów.

- Każ mu potroić tę kwotę.

Wrogowie. Są wszędzie.

- Pan Strazzi za chwilę pana przyjmie.

Młoda sekretarka miała na sobie skąpy top i krótką plisowaną spódniczkę, sięgającą ledwie do połowy zgrabnych, pięknie opalonych ud. Mason starał się na nią nie gapić, lecz jego wzrok mimo woli przeskakiwał na odsłonięte fragmenty jej ciała.

- Może podać panu tymczasem coś do picia?

- Nie, dziękuję - syknął, nie wiedząc czemu przypomniał sobie zimny dotyk lufy pistoletu na skroni tamtego wieczoru po stypie. Miał już wtedy pociągnąć za spust, kiedy zadzwonił Strazzi. - Wystarczy mi woda.

- Jak pan sobie życzy - powiedziała z ociąganiem, a jej pełne wargi powoli wygięły się w przyjaznym uśmiechu.

Odebrał ten uśmiech jako niedwuznaczny, nie miał co do tego wątpliwości. Próbował odepchnąć od siebie tę świadomość, ale tylko uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi. Zadziałał instynkt.

- Zaraz wrócę.

Aż zaklął pod nosem, jak tylko się oddaliła. Koniecznie musiał zerwać z tego rodzaju nawykami. Łatwo mógł sobie wyobrazić dojscie do punktu, w którym już nikt nie da mu kolejnej szansy.

- Jest pan jeszcze - rzekła zagadkowo, gdy po paru minutach zjawiała się w sekretariacie z butelką wody mineralnej i szklanką z kostkami lodu. Postawiła szklankę na stoliku przy głębokim, obitym skórą fotelu, otworzyła wodę i nalała mu.

- Dzięki.

- No tak - mruknęła po chwili.

- O co chodzi? - zapytał, złowiwszy jej ukradkowe badawcze spojrzenie. Uzmysłowił sobie nagle, że wiele razy widywał już podobne spojrzenia u innych kobiet.

- Czy ktoś już panu mówił, że jest pan trochę podobny do Brada Pitta?

- Nie.

- Szczerze mówiąc, nie wierzę. - Zakręciła butelkę i postawiła ją przy szklance. - Może by pan wpadł do mnie po wyjściu od prezesa? - podsunęła śmiało. - Urzęduję w sąsiednim pokoju, w głębi korytarza. Mam na imię Vicky.

Niespodziewanie ujrzał tuż przed nosem jej dłoń - przetykane sinymi żyłkami szczupłe palce o paznokciach przedłużonych tipsami i starannie polakierowanych.

- Bardzo mi miło, Vicky - rzekł, ściskając jej dłoń. - Jestem Troy.

- Troy Mason, prawda?

- Zgadza się.

- Paul już od dawna liczył na spotkanie z panem.

- Czyżby?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się szerzej, po czym zawróciła na pięcie i ruszyła do wyjścia. - Do zobaczenia później - rzuciła przez ramię.

Mason odprowadził ją wzrokiem, a gdy zniknęła z pola widzenia, pozwolił sobie na parę sekund ostrych fantazji erotycznych. Do diabła z ograniczeniami. Ogary muszą przecież polować.

- Spodobała ci się? - zadudnił tuż nad jego głową tubalny głos.

Obejrzał się błyskawicznie. W przeciwległych drzwiach sekretariatu stał Paul Strazzi.

- Jest także bardzo mądra - dodał gospodarz, bez przywitania siadając z powrotem na swoim miejscu za biurkiem. - Nie tylko ładna.

Mason nie odpowiedział, gdyż rozmyślał o tym, że musiał zrobić okropne pierwsze wrażenie.

- Cieszę się, że wpadłeś dzisiaj rano, Troy. - Strazzi był zwalistym olbrzymem, miał sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i ważył sto dziesięć kilogramów, odznaczał się masywną klatką piersiową i dużą czaszką, której kształtu nie mogły zamaskować krótko obcięte szpakowate włosy. Jak na pięćdziesięciosiedmiolatka był też w doskonałej kondycji fizycznej. - Niepotrzebnie się tak stroiłeś - rzekł, wskazując elegancki garnitur Masona. - Tu, w Apeksie, pracujemy zazwyczaj w strojach sportowych. To jeden z wielu drobiazgów, jakie odróżniają nas od Everestu.

- Podoba mi się wszystko, co jest inne niż w Evereście.

- Nie wątpię. - Strazzi po raz kolejny machnął ręką w jego kierunku. - W takim razie ściągaj go.

- Co?

- Krawat. Możesz go zdjąć.

Mason bez pośpiechu rozwiązał krawat, wyciągnął go spod kołnierzyka i przerzucił przez oparcie fotela.

- Możesz też rozpiąć koszulę pod szyją. Zrobił to.

- Teraz lepiej - ocenił Strazzi. - Łatwiej się wyluzować. Nigdy wcześniej się nie spotkali, lecz Mason nasłuchiwał się sporo o ekscentryzmie i dyktatorskich metodach gospodarza, który kierował Apex Capital żelazną ręką. Podobno żadna decyzja nie mogła zapaść bez jego udziału, czy chodziło o zakup przedsiębiorstwa, czy też spinaczy do papieru.

- Tak więc twój wspólnik, Chris Gillette, wywalił cię już nazajutrz po objęciu stanowiska prezesa Everestu - zaczął Strazzi. - To perfidna zagrywka.

Z pamięci Masona od razu wypłynął widok oddalających się tylnych świateł limuzyny odjeżdżającej sprzed posiadłości Donovana. Na nowo poczuł upokorzenie, które go ogarnęło, gdy podnosił się wtedy z asfaltu.

- Tak, to prawda.

- Powinieneś być się tego spodziewać. Mason poruszył się nerwowo na fotelu.

- Dlaczego? Gillette był przecież moim przyjacielem. A przynajmniej tak mi się zdawało.

- Tak samo na jego miejscu postąpiłby każdy młody herszt wilczej sfory. Od razu po przejściu kontroli nad stadem trzeba się pozbyć najgroźniejszych rywali, czy to przyjaciół, czy wrogów. - Strazzi ruchem głowy wskazał drzwi, które Vicky zostawiła otwarte. - Zamknij je.

Mason podniósł się ociężale, specjalnie przybrawszy minę poirytowanego, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że tego typu proste polecenie jest częścią swoistej wojny psychicznej. Niestety, nie miał innego wyjścia, tylko wykonać polecenie gospodarza. Bardzo mu była potrzebna praca w tej firmie.

- Jak to załatwił? - zapytał Strazzi, kiedy Mason wrócił na fotel.

- Nie rozumiem.

- Jak mu się udało tak szybko wykopać cię z Everestu bez kłótni i awantur?

Był przygotowany na takie pytanie. Nie spodziewał się tylko, że padnie już na samym początku rozmowy.

- Przyłapał mnie w łóżku z kobietą pracującą w jednej z firm, których byłem prezesem.

Znów przyszło mu do głowy, że powinien się raczej przeprowadzić choćby do Vermontu i otworzyć tam budkę z lodami przy głównej ulicy w jakimś małym miasteczku. Może wtedy mógłby razem z żoną zacząć wszystko od nowa.

Strazzi potarł palcami długi rzymski nos.

- Bardzo się cieszę, Troy. Obawiałem się, że trochę czasu nam zajmie dojście do sedna sprawy, ale widzę, że jesteś zdesperowany.

- Pewnie masz rację - przyznał Mason, ściągając krawat z fotela, przekonany, że spotkanie dobiegło końca.

- Gillette dał ci milion dolarów odprawy, ale pozbawił prawa do należnych ci zysków. Zgadza się?

Mason zawahał się, spoglądając podejrzliwie na gospodarza.

Tamten skinął głową.

- Tak, znam warunki waszej umowy. - Wskazał krawat, który Mason trzymał w ręku. - Odlóż go. Przecież donikąd się nie wybierasz.

- Skąd znasz warunki naszej umowy?

- Mam swoje źródła w waszej firmie. Mason przymrużył oczy.

- Konkretnie kogo? Strazzi pokręcił głową.

- Tego ci nie powiem. W każdym razie jeszcze nie teraz. - Wyciągnął z szuflady cygaro i przypalił je. - Wolałbyś być kochany czy szanowany, Troy? - zapytał, po czym zdmuchnął płomień zapalniczki i rzucił ją do kosza.

- Chcesz wiedzieć...

- Bez żadnych konkretów, synu. Po prostu odpowiedz na pytanie. Wolisz być kochany czy szanowany?

Mason się zamyślił. Wcale nie tak łatwo było odpowiedzieć na to pytanie. W pierwszym odruchu chciał wybrać szacunek. Strazzi był człowiekiem wyrachowanym i porywczym. Pozbywał się ludzi według własnego uznania, zostawiając kwestie dogrania szczegółów adwokatom i sędziom. Ale z drugiej strony, był bez reszty oddany swojej licznej rodzinie, miał aż dziesięcioro wnucząt.

- Kochany.

- Dlaczego? - zaciekawiał się tamten, wydmuchując gęsty kłęb dymu z cygara.

Mason wzruszył ramionami. Nagle ogarnął go żal, że oszukiwał i zdradzał żonę, że tak bardzo kusiły go inne kobiety.

- Przecież każdy chce być kochany - mruknął, zaskoczony przebiegiem rozmowy. Spodziewał się raczej szczegółowego wywiadu co do swoich umiejętności i doświadczeń pod kątem przydatności dla Apeksu.

Strazzi odłożył cygaro na brzeg wielkiej okrągłej popielnicy.

- Właściwa odpowiedź, chociaż motywacja błędna. Człowiek, który jest tylko szanowany, dostaje okolicznościowe kartki na urodziny i złoty zegarek w chwili przejścia na emeryturę. Za to ten, który jest kochany, potrafi zainspirować innych ludzi do niesamowitych rzeczy, a jeśli w dodatku umie wykorzystać tę inspirację, jest w stanie przejąć kontrolę nad tymi niesamowitymi rzeczami. - Obrzucił Masona surowym wzrokiem. - Oczywiście to samo można by powiedzieć o nienawiści, bo i ona potrafi zainspirować ludzi do niesamowitych rzeczy. - Sięgnął po cygaro. - A zdarza się i tak, że nienawiść przeradza się w miłość. Niekiedy z założenia jest w gruncie rzeczy miłością.

Rozumiał, co gospodarz miał na myśli. Przez długie trzy sezony darzył głęboką nienawiścią trenera drużyny piłkarskiej uniwersytetu Stanforda za wycieńczające treningi i wulgarne zniewagi, jakimi był zasypywany przed całym zespołem za najdrobniejsze błędy. Ale na ostatnim roku studiów ten sam trener mianował go kapitanem drużyny, która zdobyła puchar Rose Bowl i zakończyła ogólnokrajowe rozgrywki na piątym miejscu. Wspólnie udało im się osiągnąć niesamowitą rzecz. Mason, który kończył ostatni mecz z grubo zabandażowanym kolanem, po jego zakończeniu rzucił się w objęcia znenawidzonego wcześniej trenera, uściskał go serdecznie i wykrzyknął, że go kocha.

- Nienawidziłem większość ludzi w banku Morgana Stanleya, gdy podjąłem tam pracę zaraz po ukończeniu City College - wyznał Strazzi. - To były same nadęte czubki, które kończyły Princeton, Harvard czy Stanford. Byłem dla nich człowiekiem z awansu społecznego. Miałem nieodpowiednio brzmiące nazwisko i dyplom z przeciętnej państwowej uczelni. Nie mogłem się uwolnić od myśli, że jestem tam tylko po to, aby im stale przypominać, że są o wiele lepsi ode mnie. Ale wtedy jeden z nich wziął mnie pod swoje skrzydła - ciągnął Strazzi, pykając cygaro. - Przekonał mnie, że mógłbym się przebić przez tę bandę w białych tenisówkach niczym pocisk przez mięso bez kości, że im brakuje czegoś, co ja mam, a mianowicie parcia do zdobycia wszystkiego, co jest mi potrzebne do osiągnięcia wyznaczonych celów. Do końca życia nie zapomnę tego człowieka. To jedyna osoba, do której niezależnie od wszystkiego nigdy nie odwrócę się plecami.

Mason miał straszną ochotę zapytać, o kim mowa, obawiał się jednak, że podobnie jak w przypadku domniemanego informatora wśród pracowników Everestu, nie uzyska odpowiedzi.

Strazzi odsunął się od biurka i położył nogi na jego skraju.

- Gdzie kończyłeś studia, Troy?

Po raz drugi odniósł wrażenie, że szczerą odpowiedź będzie oznaczała koniec rozmowy.

- Zaczynałem studia w Stanford, a skończyłem Harvard Business School.

- Najlepszą z najlepszych - zauważył ironicznie gospodarz.

- No cóż...

- Nie chciałeś mi o tym mówić, prawda?

- Nie.

- Czy nienawidzisz Chrisa Gillette'a? - zapytał Strazzi, niespodziewanie spuszczać z hukiem nogi na podłogę, pochylając się nad biurkiem i wymierzając w Masona trzymane cygaro. - A może go tylko nie lubisz?

Mason zapatrzył się w jego oczy miotające dzikie błyski.

- Nienawidzę go.

- To dobrze. Bo ja go też nienawidzę i chcę pogrzyźć. Zależy mi na zniszczeniu tej całej jego przeklętej spółki. Chciałbym wypełnić wszelką spuściznę po Billu Donovaniu. - Zaciągnął się cygarem. - Pomożesz mi w tym?

Masonowi serce mocniej zabiło.

- Oczywiście.

- I gotów jesteś uczynić wszystko, co będzie konieczne?

- Tak.

- Absolutnie wszystko? Bez wyjątku?

Mason zapatrzył się na gospodarza, bezskutecznie próbując zrozumieć, do czego zmierza. Pomyślał jednak, że chyba nie potrzeba tu niczego analizować, bo nie istnieje żadne drugie dno, a cała sprawa przedstawia się całkiem prosto.

- Tak.

- Zatem w porządku. Witaj na pokładzie. Porozmawiajmy o warunkach zatrudnienia.

- Wcześniej chciałbym zadać jedno pytanie.

- Słucham.

- Skąd wiedziałeś, kiedy do mnie zadzwonić?

- Jak mam to rozumieć?

- Zadzwoniłeś do mnie do domu zaraz po pogrzebie Donovana, zaledwie parę godzin po tym, jak Gillette mnie wywalił. Skąd wiedziałeś, że nadeszła właśnie ta chwila?

Strazzi się uśmiechnął.

- Już ci mówiłem. Chris Gillette ma wrogów, których uważa za swoich sprzymierzeńców.

Ochroniarz podbiegł truchtem i otworzył drzwi limuzyny. Gillette zwrócił uwagę na kolbę pistoletu wystającą z podramiennej kabury tamtego, kiedy się schylił, żeby wsiąść do auta.

- Dzięki.

- Nie ma za co, proszę pana.

Cohen już siedział w samochodzie, zapisywał coś w notatniku.

- Jak poszło? - zapytał, podnosząc głowę znad zapisków.

Gillette rozsiadł się wygodnie obok niego.

- Miles wygoszparował z kasy towarzystwa półtora miliarda dolarów - odparł, pomijając milczeniem warunki, które należało spełnić dla otrzymania tej kwoty, czyli że wcześniej musiał uzbierać aż trzynaście i pół miliarda dolarów w nowo utworzonym funduszu inwestycyjnym.

- Półtora?! To niesamowite, Christianie. Gratuluję.

- Dzięki. - Gillette popatrzył, jak ochroniarz zajmuje miejsce z przodu obok kierowcy.

- Zgromadzenie pozostałej części funduszu nie będzie już takie łatwe.

Poczuł wibracje małego telefonu komórkowego, który nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki. „Jeżyny” używał wyłącznie do rozmów służbowych. Ten aparat był przeznaczony do pogaduszek.

Wyjął go z kieszeni, jak zwykle nie mogąc się nadziwić, że mały zgrabny aparacik tak dobrze leży mu w dłoni. Przez ostatnich kilka lat stał się wielkim miłośnikiem nowoczesnych urządzeń technicznych i stale się rozglądał za najnowszymi gadżetami.

- Słucham - rzucił do mikrofonu, w półmroku limuzyny nawet nie próbując zidentyfikować numeru rozmówcy wyświetlonego na ekraniku.

- Cześć.

To była Faith. Od razu rozpoznał ją po głosie.

- Jak się czujesz tego pięknego ranka? - zapytał, mając świadomość, że Cohen z zapalem przysłuchuje się tej rozmowie.

- Świetnie. Jeszcze mam wypieki. Cudownie spędziłam czas ostatniej nocy.

- Ja też.

- Posłuchaj, muszę dziś po południu lecieć do Los Angeles na jakiś wywiad czy coś w tym rodzaju. Pewnie będę musiała opowiedzieć kilka anegdotek i podpisać parę kompaktów. Nie wybrałbyś się ze mną? Moglibyśmy się nieźle zabawić.

Gillette się zawahał, przypomniał sobie, jak dobrze mu było z nią w łóżku.

- Nie wątpię, że byłoby zabawnie, ale jestem tu uziemiony na kilka dni z pilnymi sprawami Everestu.

- Tak szybko mnie rozczarowujesz? - zapytała ze smutkiem w głosie.

- Daj spokój, przecież...

- Żartowałam - przerwała mu pospiesznie. - Dobrze wiem, że masz mnóstwo pilnych spraw, skoro dopiero co objąłeś stanowisko prezesa. Pomyślałam jednak, że warto zaryzykować.

- Kiedy wracasz?

- To krótka wyprawa. Będę z powrotem jutro, najdalej pojutrze.

- Zadzwoń do mnie wieczorem - zaproponował. - A spotkamy się, jak tylko wrócisz.

- Dobra. - Faith zawahała się na chwilę. - Powiedz mi coś miłego, Christianie. Proszę.

- Bezpiecznej podróży.

- Nie to chciałam usłyszeć.

- Zadzwoń wieczorem - powtórzył, a gdy jęknęła gardłowo, przerwał jej bezceremonialnie: - Cześć.

- To była Faith? - zaciekawiał się Cohen.

Gillette schował z powrotem aparat do kieszeni marynarki.

- Spałeś z nią? - zapytał tamten z naciskiem, nie otrzymawszy odpowiedzi.

- To nie twoja sprawa.

- Owszem, moja, skoro za to samo wywaliłeś Masona. Gillette odwrócił się powoli do niego.

- To nie to samo, Ben - rzekł spokojnie. - I nie waz się więcej okazywać braku lojalności...

- Mylisz się, to dokładnie to samo. Ostatecznie Faith Cassidy pracuje dla ciebie. A ja nie okazuję braku lojalności, do cholery, tylko próbuję cię chronić. Jak myślisz, kto, do pioruna, odganiał dzisiaj rano paparazzich sprzed twoich drzwi?

Gillette przez kilka sekund gapił się na kolegę w milczeniu.

- Doceniam to - odezwał się w końcu cicho, uzmysłowiwszy sobie nagle, że chyba powinien wziąć te przestrogi do serca, a Cohen jest dla niego kimś więcej niż tylko specjalistą od rachunków. - Dowiedziałeś się, czy ta kobieta, która zginęła przed kościołem, miała dzieci?

- Tak. Troje.

- W jakim wieku?

- Dziewięć, siedem i cztery latka. Dwie dziewczynki i jeden chłopczyk. Była rozwiedziona, cała trójką zaopiekowała się już jej siostra, która mieszka na Long Island. Były mąż płaci alimenty na dzieci, ale nieduże, a siostra zabitej ma wystarczająco dużo kłopotów z wykarmieniem swojej czwórki.

Gillette zapatrzył się na most Brooklyński, gdyż jechali na północ w kierunku śródmieścia.

- Zapisz na każde dziecko po ćwierć miliona dolarów.

- To bardzo dużo - mruknął Cohen. - W końcu to nie nasza wina, że ona zginęła...

- To małe dzieci, Ben. Całkiem małe. Nie ma znaczenia, z czyjej winy straciły matkę.

W jego myślach na chwilę pojawił się widok Isabelle: długie czarne włosy, klasyczny owal twarzy, gładka cera o miodowym odcieniu, ciemne oczy. Miała w sobie coś, co go prześladowało i z czego nie mógł się otrząsnąć. Każda myśl o niej całkowicie go pochłaniała, a on nie znosił, gdy cokolwiek go rozpraszało.

Rozmawiał z nią zaledwie kilka chwil w kuchni u Josego i Selmy. Za krótko nawet, żeby dobrze wyrobić sobie pierwsze wrażenie. A mimo to wspomnienia o niej nie dawały mu spokoju.

- Odliczysz tę sumę od mojej premii - nakazał.

- W porządku. Jak sobie życzysz. - Cohen uniósł obie ręce w obronnym geście. - Trzeba dbać o wizerunek firmy. Przygotuję wszystko, ale koszty poniesiemy wspólnie. Nie tylko ty.

Piętnaście minut później limuzyna zatrzymała się przed siedzibą Everestu.

- Jest jeszcze parę drobnych spraw, które chciałbym od razu załatwić - rzekł Cohen - ale będą musiały poczekać, aż wjedziemy na górę.

- Zatrzymaliśmy się specjalnie dla ciebie - wyjaśnił Gillette. - Ja jadę na spotkanie z Tomem McGuire'em, a potem jestem umówiony na lunch z senatorem Stockmanem. Co to za drobne sprawy?

Tamten spojrział do notatnika, który trzymał na kolanach.

- Musimy porozmawiać o przedsiębiorstwach, których jesteś teraz prezesem. Po śmierci Billa i zwolnieniu Troya masz pod swoją kontrolą komplet naszych inwestycji, wszystkich dwadzieścia siedem firm. Nie podolasz jednocześnie zarządzać aż tyloma przedsiębiorstwami i gromadzić dziesięć miliardów dolarów następnego funduszu.

- Zgadza się, tyle że naszym celem już nie jest dziesięć miliardów dolarów, ale piętnaście.

- Piętnaście? - powtórzył osłupiały Cohen, wytrzeszczając oczy.

- Miles przekonał mnie, żeby zwiększyć docelową sumę funduszu. Dlatego zgodził się wyłożyć aż półtora miliarda. - Dla Cohena dużo ważniejsza była wymowa wielkich liczb niż rzeczywiste powody, dla których Whitman nalegał na zwiększenie kwoty funduszu. Lepiej było nie wzbudzać jego niepokoju. - Ale nie mógł wyasygnować więcej niż dziesięć procent całkowitej sumy prywatnego funduszu inwestycyjnego. Wyraźnie zabraniają tego wewnętrzne przepisy towarzystwa.

- Jezu... - mruknął Cohen pod nosem. - Mam nadzieję, że uda ci się zebrać aż tak dużo.

- Nie mam co do tego wątpliwości - zapewnił Gillette. - No, dobra. Pogadajmy o stanowiskach prezesów. Co byś radził?

Tym pytaniem całkowicie zaskoczył kolegę, który nie był przygotowany na udzielanie jakichkolwiek rad.

- No cóż... Myślę, że najlepiej by było...

- Od tej pory do każdej poruszanej sprawy dodawaj swoje zalecenia - przerwał mu Gillette. - Co nie znaczy, oczywiście, że je zaakceptuję. Ale w każdej sytuacji chcę znać twoje zdanie.

- Dobrze. - Cohen zawahał się jeszcze. - No więc w tej sprawie radziłbym ci zachować piętnaście stanowisk, a pozostałe rozdzielić między Faradaya i mnie. A to oznacza, że wypadłoby po sześć firm na każdego z nas.

Gillette pokręcił głową.

- Nigel musi się skupić na gromadzeniu nowego funduszu. To będzie wymagało pełnego zaangażowania. A ty jesteś mi potrzebny do prowadzenia biura.

- To znaczy, że nie zamierzasz mi przekazać ani jednego ze swoich przedsiębiorstw?

Telefon komórkowy znów zaczął wibrować. Gillette wyjął go z kieszeni, otworzył i spojrzał na ekranik. Dzwonił Jeremy Cole.

- Cześć, Jeremy - rzekł do mikrofonu, powstrzymując uniesioną ręką Cohena.

- Hej, odebrałem wiadomość, że dzwoniłeś do mnie. O co chodzi?

- Rozmawiałem wczoraj z zarządem Giantsów. W najbliższym czasie powinni się skontaktować z twoim agentem, o ile już tego nie zrobili. Mają ci zaoferować sześć milionów rocznie przez pięć lat plus dziesięciomilionową premię za podpisanie nowego kontraktu. Przyjmij te warunki. Nie pozwól, żeby zadecydowała chciwość twojego agenta - ostrzegł Gillette. - Zrobiłem dla ciebie wszystko, co było w mojej mocy. Jasne?

- Ja... No tak, jasne... Mój Boże, Christianie, jak ci się udało to załatwić?

- To już nie twoje zmartwienie. A teraz jest mi potrzebna twoja przysługa.

- Cokolwiek sobie zażyczysz. Wystarczy tylko słowo.

- Potrzebne mi bilety na mecz finałowy o superpuchar. Niezależnie od tego, czy w nim zagrasz razem z Giantsami. - Mógł poprosić o te bilety syna właściciela klubu, zależało mu jednak na tym, żeby Cole się jakoś odwdzieczył. - W tym roku będzie rozgrywany w Nowym Orleanie, zgadza się?

- Tak.

- W porządku. Potrzebne mi więc cztery bilety, i to najlepsze. Dla bardzo ważnego z moich przyjaciół.

- Załatwione. Zaraz pogadam, z kim trzeba. Załatwię też całą resztę, wejściówki na zaplecze i tyle miejsc w apartamentach w najlepszym hotelu w dzielnicy francuskiej, ile tylko będziesz potrzebował. Zatrąszczę się o wszystko.

- Świetnie. A skoro już dzwonicz, to jak ci idzie z Faith Cassidy? Jeśli dobrze pamiętam, byliście umówieni w tym tygodniu.

- Skąd o tym wiesz?

- Słyszysz się to i owo.

- Aha... No cóż, odwołała spotkanie - warknął Cole. - Wykręciła się koniecznością krótkiego wyjazdu do Los Angeles, ale nie chciała przenieść spotkania na inny termin. Już od dawna nie zostałem potraktowany w ten sposób. - Zaśmiał się gardłowo. - Może i w tym mógłbyś mi pomóc, co?

Zatem Faith postąpiła dokładnie tak, jak powiedział. Jego władza odnosiła pożądany skutek.

- Może - odparł. - Posłuchaj, muszę kończyć. I pamiętaj, co ci mówiłem o chciwości twojego agenta. Jeśli to on przejmie inicjatywę, nic więcej nie dam rady dla ciebie zrobić.

- Zaraz do niego zadzwonię. Gillette rozłączył się i zamknął aparat.

- To Miles prosił o bilety na finał rozgrywek o superpuchar? - zapytał Cohen.

Przytaknął ruchem głowy.

- Wróćmy do sprawy rozdziału stanowisk. Oto co zamierzam. Chcę awansować Marcie i Kyle'a na pełnoprawnych współników. Oboje są już członkami rad nadzorczych w kilku należących do nas firmach. To oni zastąpią mnie na stanowiskach prezesów w tych przedsiębiorstwach, poza tym dostaną prezesury w paru innych. Zgodnie z twoją sugestią zostawię sobie piętnaście stanowisk, a pozostałych dwanaście rozdzielę między Marcie i Kyle'a. Oczywiście razem, to znaczy ty, Nigel i ja, będziemy musieli ustalić, jak duży udział w zyskach dać tym dwogom. Skłaniam się ku temu, żeby z należnych Masonowi dwudziestu

pięciu procent dać im po pięć, a pozostałe piętnaście podzielić między nas trzech. Przynajmniej tymczasowo.

- I nie dasz mi ani jednego stanowiska prezesa? - powtórzył ze złością Cohen.

- Już mówiłem. Wolę, żebyś się skupił na wewnętrznych sprawach spółki.

- Daj mi choć jedno, Christianie. Stanowisko prezesa firmy zawsze traktowałeś jak nieodłączny atrybut awansu, bo od początku piastowałeś ich wiele. Teraz ja chciałbym móc powiedzieć swoim córkom, że jestem prezesem jakiegoś przedsiębiorstwa. Proszę.

- Nic z tego, Ben. I nie proś mnie więcej o nic, bo to żalosne.

- Cześć, Vicky - rzekł Mason, zaglądając do niewielkiego gabinetu zajmowanego przez dziewczynę.

Podniosła głowę znad papierów.

- Skończyłeś już rozmowę z Paulem?

- Tak.

Uśmiechnęła się z satysfakcją i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nic takiego.

- Mów śmiało.

- Zwykle się tak nie zachowuję.

- Jak?

- Właśnie miałam ochotę zaprosić cię na lunch, ale pomyślałam, że pewnie jesteś zajęty - wyjaśniła szybko.

Mason odruchowo przebiegł wzrokiem wzdłuż brzegu wycięcia jej topu.

- A właśnie że nie, jestem wolny. Chodźmy.

Jego telefon komórkowy zadzwonił, nim jeszcze dotarli do wyjścia z biura, ale gdy tylko się przekonał, że dzwoni żona, natychmiast wyłączył aparat.

Paul Strazzi spoglądał, jak jego gość i Vicky idą w stronę windy. Lubił tak przewidywalnych ludzi jak Mason. Dzięki nim pościg za zyskami był niekiedy bardzo ułatwiony.

8

Bezgraniczne zaufanie. W świecie zdominowanym przez szaleńczy wyścig po nadzwyczajne zyski finansowe coś takiego jak bezgraniczne zaufanie po prostu nie istnieje. Wcześniej czy później każdy zawodowiec z prywatnej spółki kapitałowej musi dojść do

wniosku, że otaczających go ludzi wabią tylko pieniądze i nic poza tym. W przeciwnym razie musi z góry szykować się na porażkę.

Tom McGuire zajął miejsce w limuzynie i rozsiadłszy się obok Gillette'a, wypuścił długo wstrzymywany oddech. Dwadzieścia minut czekał na rogu Eighth Avenue i Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Gillette świetnie wiedział, że to głośne westchnienie miało dać mu do zrozumienia, że szef agencji jest na niego wściekły, ale nic go to nie obchodziło. Nie miał czasu na przejmowanie się czyjąś urażoną dumą. Była to jedna z tych rzeczy, które najwyżej cenił w Everest Capital.

- Cześć, Tom. Jestem umówiony na lunch w głębi Fifth Avenue, pozwolisz więc, że porozmawiamy w czasie jazdy. Później kierowca odwiezie cię, dokąd sobie zażyczysz.

McGuire - wysoki, patykowaty, z wiecznie rozczochranymi siwymi włosami i kolistymi grubymi szklami okularów wyglądającymi jak panczerzyki żółwi - przypominał mu aż kilku wykładowców z Princeton równocześnie. Zawsze sprawiał wrażenie zaniedbanego, chodził w wymiętej, rozchełstanej pod szyją koszuli, bawełnianych spodniach i wyliniałej sportowej marynarce ze skórzanymi łatkami na łokciach.

Vince, młodszy o cztery lata brat Toma, był jego przeciwieństwem. Niski, barczysty, nosił jasne wełniane golfy, markowe dzinsy oraz kowbojskie buty. I zawsze słuchał w skupieniu, podczas gdy Tom sprawiał wrażenie wiecznie rozkojarzonego.

Pasowali do siebie jak dzień do nocy i czerń do bieli, niemniej tworzyli idealny tandem. Tom był mózgowcem, za to Vince odznaczał się sprytem, co tworzyło doskonałą kombinację do prowadzenia agencji kompleksowej ochrony. Piastując równorzędne stanowiska dyrektorów, zdołali w ciągu trzech lat, to znaczy od chwili wykupienia ich agencji przez Everest Capital, podwoić jej zyski.

Prezesem spółki McGuire & Company był Bili Donovan, po którym Gillette odziedziczył stanowisko. I zamierzał je zachować pośród tych piętnastu, do jakich musiał się ograniczyć. Przed trzema laty już zasiadał w radzie nadzorczej, toteż znał obu braci od samego początku ich współpracy z Everestem.

Tom McGuire lekko skinął głową ochroniarzowi, który zerkał na nich przez ramię z miejsca obok kierowcy.

- Jesteś umówiony z senatorem Stockmanem, prawda?

- Tak. - Gillette przeniósł wzrok z ochroniarza na McGuire'a, pochwyciwszy wymianę znaczących spojrzeń między nimi. - Wykopałeś coś ciekawego na jego temat?

McGuire skrzywił się z niechęcią.

- Co się stało?

- Brzydę się tą robotą.

- Jak mam to rozumieć?

- Wszystko można z góry przewidzieć. - Detektyw wcisnął klawisz na konsoli i podniósł szybę oddzielającą tylną część auta od przednich foteli. - Dowiedziałem się dzisiaj rano, że Stockman ma romans z kobietą pracującą w jego sztabie. Nazywa się Rita Jones. Ma dwadzieścia cztery lata i jest bardzo ładna. - McGuire prychnął z pogardą. - Przynajmniej na swój sposób.

- I co cię tak bawi?

- To, że jest czarna. Nie cierpię, gdy takie wymuskane biały w rodzaju Stockmana zaczynają się ślinić, bo...

- Wystarczy - przerwał mu Gillette. Tom McGuire rzadko pozwalał dojść do głosu swoim uprzedzeniom, zdarzały mu się jednak komentarze, których Gillette nie akceptował. W dodatku wśród starszego rangą personelu spółki McGuire & Company nie było ani jednego Afroamerykanina, co zamierzał szybko zmienić, przejąwszy pełnię władzy nad agencją, gdyż uważał, że mnóstwo pracowników niższego szczebla od dawna zasługuje na awans. - Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje.

Poirytowany McGuire uniósł wzrok do nieba.

- Ich romans trwa już pół roku. Kilka razy w tygodniu Stockman wykorzystuje potajemnie wynajęte mieszkanie w Queens. Płaci za nie jeden z jego doradców, żeby nic nie łączyło senatora z tą garsonierą. Już kilka razy ściągał tę Jones do Waszyngtonu. Jego żona nie ma o niczym pojęcia, w każdym razie nie zdołaliśmy ustalić, czy wie o zdradach męża.

Znakomicie. Dysponował czymś, co mógł wykorzystać, zwłaszcza jeśli żona Stockmana o niczym nie wiedziała.

- Jak się dokopujesz do tego typu rzeczy, Tom?

- Trzeba cierpliwie wiercić ludziom dziurę w brzuchu i nie brzydzić się grzebać w czyichś śmieciach.

McGuire dysponował rozległą siecią wiarygodnych informatorów, co wyśmienicie sprawdzało się przed każdą nową inwestycją Everestu. Stąd też wiedział, że bracia znają mnóstwo ludzi z różnych warstw społecznych, nie tylko z samego rynsztoka.

- Przedstaw mi jeszcze raz podstawowe dane o Stockmanie, dobrze? - poprosił.

- Proszę bardzo. Pochodzi z prowincji stanu Nowy Jork, z okolic Albany. Studiował na uniwersytecie Cornella, po dwóch latach stażu w korporacyjnym banku Chase Manhattan zrobił studia podyplomowe w Wharton Business School na Uniwersytecie Stanu Pensylwania.

Później przez dziesięć lat pracował jako bankier inwestycyjny u Morgana Stanleya, wreszcie zajął się polityką. Najpierw przez kilka kadencji był senatorem w parlamencie stanowym, dopiero później zaczął mierzyć wyżej i dostał się do senatu federalnego.

- Jest bogaty? McGuire pokręcił głową.

- Nie bardzo. Ani jego rodzina, ani żony nie dorobiła się większego majątku. Oczywiście przedstawiciele obu obracają się w odpowiednich kręgach i należą do odpowiednich klubów, ale głównie dlatego, że obie osiadły na tamtych terenach dobre dwieście lat temu, są więc powszechnie znane. Stockman zarobił trochę forsy u Morgana Stanleya, lecz zainwestował większość w swoje kampanie wyborcze. A posiadane przez niego pakiety akcji gwałtownie straciły na wartości, gdy w dwa tysiące pierwszym roku załamał się rynek firm przemysłu elektronicznego. Ich ceny nie wróciły do poprzedniego poziomu.

- To wszystko?

- Na razie tak, ale szukamy dalej.

- A co ze sprawą Donovaną? - zapytał Gillette. - Są jakieś nowe informacje?

- Owszem. Jeden z chłopców Vince'a rozmawiał z jakimś znajomym z biura koronera w Connecticut. Na ciele Donovaną były ślady, które mogłyby świadczyć, że przed śmiercią z kimś walczył - odparł McGuire. - W każdym razie nie był to atak serca. Pikawka Billa była w całkiem niezłym stanie, lecz gliny z uporem forsują wersję przypadkowego utonięcia. Za nic nie chcą prowadzić dalej dochodzenia. Wydaje nam się to zagadkowe.

- Myślisz, że mają w tym jakiś interes? Na przykład, zostali dobrze opłaceni?

- Przy tak wysokiej stawce gry na tym etapie musimy zakładać, że wszystko jest możliwe.

- Tylko komu mogłoby zależeć na śmierci Donovaną?

McGuire przeciągnął palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka koszuli, choć był jak zwykle rozpięty i nie mógł go uwierać w długą i chudą szyję.

- Mam pewną poszlakę.

- Jaką?

- No cóż... - McGuire się zawahał. - Nie wiem, czy powinienem...

- Nie wygłupiaj się, Tom.

Detektyw odwrócił głowę i przez chwilę spoglądał za okno.

- Na początek, co byś powiedział o facecie, z którym właśnie będziesz jadł lunch?

- O Stockmanie?

- Tak.

- Dlaczego miałyby mu zależeć na śmierci Billa Donovaną?

McGuire posłał mu karcące spojrzenie.

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie.

- Aha.

Gillette odchrząknął, chcąc dać rozmówcy do zrozumienia, że zaczyna być sfrustrowany.

- Tom?

- Po prostu zakładałem, że Bili ci wszystko powiedział. W końcu byliście współnikami.

- Lepiej niczego nie zakładaj.

- No więc sprawy mają się tak: Kilka miesięcy temu Bili powiedział Stockmanowi wprost, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby zablokować mu drogę do Białego Domu, i w tym celu jest gotów wyłożyć kupę forsy z własnej kieszeni na negatywną kampanię w prasie i telewizji, wrogie nastawianie wpływowych ludzi, i tak dalej.

- Dlaczego?

- Tego nie wiem. Bili wspomniał mi tylko, że znalazł coś o Stockmanie, co go strasznie wkurzyło. Nie zdradził jednak, o co chodziło.

- Myślisz, że powodem mógł być romans senatora z tą Jones?

McGuire zaśmiał się krótko.

- Na pewno nie.

- Więc może poszło o to, że Stockman jest demokratą, podczas gdy Donovan był zaciekle republikańcem?

Detektyw pokręcił głową.

- Nie wierzę.

- No cóż, w każdym razie jakoś nie mogę sobie wyobrazić, aby Stockman posunął się do tego, żeby zlecić zabójstwo Donovana.

- Wiem na pewno, że Donovan planował ingerencję w kampanię wyborczą senatora.

- W to nie wątpię, tylko nie jestem pewien, jak daleko mogłaby zajść ta ingerencja.

McGuire uśmiechnął się chytrze.

- Chyba nie doceniasz Billa. To fakt, że był zaciekle republikańcem, lecz miał wielu wysoko sytuowanych znajomych po obu stronach sceny politycznej. Naprawdę był w stanie bardzo utrudnić życie Stockmanowi, no i dysponował odpowiednią forszą, by postawić na swoim. Zwłaszcza biorąc pod uwagę tę niewielką sieć stacji radiowych i telewizyjnych,

która należy do Everestu. - Detektyw zawiesił na chwilę głos. - Możesz mi wierzyć, że ci dwaj nienawidzili się do głębi serca już od dłuższego czasu.

- Mimo wszystko twoja poszlaka wydaje mi się mało prawdopodobna.

McGuire wzruszył ramionami.

- Przecież sam pytałeś, co myślę na ten temat.

- Kto jeszcze? - rzucił Gillette, gdy kierowca skręcił w Park Avenue.

- Wdowa po Billu.

- Co takiego?

- Do diabła, nigdy nie miałem specjalnego uznania dla Billa. - Detektyw znów pokręcił głową. - Miałem wrażenie, że o wszystkim wiecie. Nie podejrzewałem, że Bili jest w stanie zachować aż tak ścisłą tajemnicę. Wygląda jednak na to, że się myliłem.

- O czym mówisz? - przerwał mu stanowczo Gillette.

- Donovan nie żyje, więc to i tak nie ma większego znaczenia - mruknął McGuire.

Gillette był coraz bardziej zniecierpliwiony.

- Tom!

- W porządku, już dobrze. Otóż Bili także miał słabość do młodych kobiet, podobnie jak Stockman.

- Poważnie? - zdziwił się, całkowicie zaskoczony, gdyż nic na to nie wskazywało, ani razu nie zauważył nawet, żeby Donovan oglądał się za jakąś dziewczyną.

- Właśnie dlatego podejrzewam, że Bili nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do romansu Stockmana - szybko wyjaśnił detektyw. - Pod tym względem miał staroświeckie poglądy. Uważał, że wpływowi ludzie zasługują na pewne rozrywki jako rekompensatę ciągłego stresu.

- Zakładam, że nie zaliczał Ann do tej samej klasy.

- Nie tylko klasy, ale nawet szkoły.

Gillette dopiero teraz uświadomił sobie, jak bliskie więzy łączyły Billa Donovana i Toma McGuire'a, więc tym bardziej go zdziwiło, że detektyw tak szybko po śmierci przyjaciela był gotów wywlekać jego brudy na światło dzienne. Musiały się za tym kryć jakieś inne motywy.

- Czy Ann wiedziała, co Bili wyprawia?

- Pewnie coś podejrzewała, jednak, moim zdaniem, prawdę poznała dopiero parę miesięcy temu.

- Co się wtedy stało?

- W rezydencji doszło do wypadku. Ann podróżowała po Europie ze swoją dawną przyjaciółką z college'u, ale wróciła parę dni wcześniej. Chciała zrobić Billowi niespodziankę, co jej się aż nadto udało. Przyłapała go bowiem w łóżku z dwudziestotrzyletnią panienką. No i rozpętała się niemal trzecia wojna światowa. Bili musiał wyłożyć kupę forsy, żeby przywrócić posiadłość do poprzedniego stanu. Mówił mi później, że się pogodzili, nie wykluczam jednak, że Ann wzięła tylko na wstrzymanie.

- Trudno w to uwierzyć.

- Znasz Ann dłużej niż ja, Christianie, ale ja spędzałem z nią znacznie więcej czasu. Jest w gorącej wodzie kąpana. Tylko sprawia wrażenie zawsze spokojnej i opanowanej, w rzeczywistości jest porywcza i potrafi być bardzo nieprzyjemna. - McGuire zaśmiał się gardłowo. - A Bili był niereformowalny. Podejrzewam, że Ann dowiedziała się o jego romansach już jakiś czas temu, i to zdarzenie w dworku stało się tylko kroplą przepełniającą puchar. Wiedziałaś, że któregoś wieczoru dobierał się nawet do Faith Cassidy?

Gillette obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Owszem. Jakies pół roku temu - ciągnął McGuire. - Zabrał ją na kolację gdzieś na Manhattanie pod pozorem omówienia warunków nowego kontraktu. I brutalnie rzucił się na nią w limuzynie, kiedy jechali do jej mieszkania. Zdołała się uwolnić i wyskoczyć na skrzyżowaniu, pojechała dalej taksówką.

- Jezu...

- Następnego ranka kazał wstrzymać negocjacje dotyczące jej kontraktu i polecił dyrektorowi wydawnictwa płytowego, żeby poważnie ograniczył fundusze na promocję i reklamę jej ostatniej płyty.

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Byli już tylko parę przecznic od Racquet Club.

Gillette gapił się na detektywa. Dopiero teraz wiele rzeczy zaczynało mu do siebie pasować. Na przykład niechęć Faith do mówienia o wynikach sprzedaży jej drugiej płyty. Prawdopodobnie sądziła, że na jego ocenie zaważy lojalność wobec Donovana i nie będzie chciał wierzyć w historyjkę o poczynaniach jego szefa na tylnym siedzeniu limuzyny, że dojdzie pewnie do wniosku, iż ona próbuje tylko rozpaczliwie uzyskać od niego dodatkowe pieniądze na reklamę i promocję swoich nagrań.

- Skąd się o tym wszystkim dowiedziałeś? - zapytał, odnotowując w myślach, żeby po południu sprawdzić stan negocjacji nad warunkami nowego kontraktu piosenkarki i przy okazji znaleźć potwierdzenie, jakiej wielkości fundusze są przeznaczone na jej reklamę.

- Podejrzewam, że Bili uznał mnie za godnego powiernika swoich sekretów - odrzekł McGuire. - Chyba jedyne, jak się okazuje. Sądzę, że po prostu musiał się przed kimś

otworzyć i wygadać. Oczywiście, nie mógł być zupełnie szczery wobec żony. - Uśmiechnął się lekko. - W końcu większość ludzi szuka kogoś, z kim można by się podzielić swoimi sekretami. Gdyby było inaczej, bardzo dużo moich zadań wymagałoby o wiele większego wysiłku.

- Czy Vince także wie o tych sprawach?

- Tak - odparł śmiało detektyw. - Mówimy sobie nawzajem o wszystkim. Jesteśmy wzajemnie dla siebie powiernikami naszych sekretów.

Gillette westchnął ciężko. Miał ochotę zapytać Toma, czy nie zna jeszcze kogoś, kto miałby motyw popełnienia zabójstwa, ale trzeba było odłożyć tę rozmowę na później. Przed spotkaniem ze Stockmanem musieli omówić jedną bardzo ważną sprawę, a przecież był już czterdzieści minut spóźniony.

- Co nowego w sprawie limuzyny, Tom? Masz jakieś dalsze informacje dotyczące wybuchu?

- Owszem. Jesteśmy niemal pewni, że ładunek został odpalony drogą radiową, a nie za pomocą mechanizmu zegarowego. Jeden z chłopców Vince'a uzyskał tę informację od swojego znajomego z laboratorium kryminalistyki komendy głównej.

Kiedy zatrzymali się przed klubem, Gillette potarł oczy piekące od szkieł kontaktowych. Już w ubiegłym tygodniu miał zamówić nowe, ale nie znalazł czasu. A nie znośił prosić Debbie, by załatwiała takie rzeczy za niego.

- Zatem ktoś mnie obserwował w dniu pogrzebu - rzekł cicho.

- Na to wygląda.

- W takim razie dlaczego...

- To musiało być tylko ostrzeżenie, Christianie - przerwał mu McGuire. - Ktoś chciał cię jedynie nastraszyć, może skłonić do rezygnacji z prezesury.

Gillette przez kilka sekund spoglądał na niego w milczeniu, wreszcie poklepał detektywa po kolanie.

- Dobra robota, Tom. Dzięki. Musimy jeszcze porozmawiać dziś po południu albo jutro. Kiedy znajdziesz dla mnie czas?

- Na razie nie ruszam się z Nowego Jorku, ale w czwartek po południu lecę do Londynu.

Ochroniarz otworzył drzwi od strony Gillette'a i do wnętrza auta wdarło się jaskrawe światło słoneczne.

- W porządku - mruknął, osłaniając oczy. - Zadzwoń do ciebie po spotkaniu.

- Christianie... Gillette się odwrócił.

- Tak?

- Jest coś jeszcze, o czym chciałem z tobą porozmawiać.

- Jestem już bardzo spóźniony, Tom.

- To naprawdę ważne. Proszę.

Gillette skinął głową ochroniarzowi i ten zamknął z powrotem drzwi.

- O co chodzi?

- Chcę z tobą porozmawiać o naszej firmie - zaczął McGuire. - O spółce McGuire & Company.

Czyżby miały ujrzeć światło dzienne prawdziwe powody, dla których Tom tak otwarcie mówił o sekretach Billa Donovana, pomyślał Gillette. Może wszystkie ujawnione fakty miały jedynie pełnić rolę pomostu wiodącego do wyznaczonego wcześniej celu?

- To znaczy?

- Vince i ja chcielibyśmy z powrotem wykupić od ciebie agencję.

To wszystko wyjaśniało.

- Interesująca propozycja - mruknął w zamyśleniu Gillette. - Ale mimo wszystko trochę zaskakująca, muszę więc ją dobrze przemyśleć.

Everest przed trzema laty wykupił spółkę McGuire & Company za sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Tom i Vince nieźle się obłowili na tej transakcji, gdyż każdy z nich dostał po pięć milionów, niemniej lwią część z tych pieniędzy zgarnęła firma inwestycyjna, która pierwotnie wspierała agencję detektywistyczną braci. Zatem obaj mieli dość komfortową sytuację, lecz nie zaliczali się do bogatych. Po uiszczeniu należnych podatków i spłaceniu zaciągniętych kredytów wartość każdego z nich oscylowała wokół granicy miliona dolarów. Był to całkiem niezły majątek, niewiele jednak wart, gdy rozpatrywało się go jako fundusz emerytalny.

Nie mogli go więc traktować w ten sposób. Po zawarciu transakcji skupili się na dalszym prowadzeniu agencji, teraz już dla Everestu, podpisawszy wcześniej długoterminowe kontrakty czyniące z nich równorzędnych wiceprezesów spółki. I robili to naprawdę dobrze, zdołali podwoić dochody i potroić zyski firmy w ciągu tych trzech lat. Najwyraźniej zamarzyły im się teraz profity z tejże działalności. Postanowili spieniężyć akcje, jakie dostali od Everestu w ramach osobistych kontraktów na dalsze prowadzenie agencji. Na papierze były one warte dziesiątki milionów dolarów, ale w rzeczywistości prawie nic, gdyż agencja detektywistyczna była spółką prywatną, a podpisana umowa dotycząca udziałów nie zawierała klauzuli mówiącej o możliwości ich sprzedaży poza gronem inwestorów Everestu.

Gillette domyślił się więc od razu, że za prośbą Toma McGuire'a kryje się zwyczajna żądza szybkiego wzbogacenia się.

- Razem z Vince'em wspaniale zarządzaliście swoją firmą, Tom. Chyba wiesz, ile my, w Evereście, wam zawdzięczamy.

- W takim razie uzgodnijmy cenę i zawrzyjmy umowę - zaproponował natychmiast McGuire.

Gillette nie zamierzał podejmować teraz dyskusji w tej sprawie. Zgodnie z radą, jakiej udzieliła mu wdowa po Billu podczas stypy, wołał omawiać warunki na swoich zasadach i w wybranym przez siebie czasie. Ale nie zależało mu też na rozzłoszczeniu Toma McGuire'a, który bezpośrednio był odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo osobiste.

- Skąd weźmiesz pieniądze na wykup agencji?

- Znaleźliśmy sponsora - odparł szybko detektyw, wyraźnie chcąc uniknąć konkretów.

- Kogoś, kto jest gotów nie tylko zebrać konieczny fundusz, ale ponadto dać nam pięćdziesiąt procent akcji, byśmy nadal mogli kierować agencją. Nie będziemy musieli wykładać z własnej kieszeni ani centa.

- Pięćdziesiąt procent akcji?

- Zgadza się.

- Kiedy ten sponsor zgłosił się do was z taką propozycją?

- Parę tygodni temu.

- Mówiłeś o tym Donovanowi?

- Oczywiście. Zaraz, jak tylko ją otrzymaliśmy. Bili uznał, że to doskonały pomysł.

Aż jestem zaskoczony, że nic ci o tym nie mówił.

- Ja również. - Trudno było ocenić, czy w tym zakresie McGuire mówi prawdę. Bracia różnili się między sobą na wiele sposobów, obaj jednak potrafili zachować kamienną twarz, jakiej nie powstydziliby się najbardziej wytrawny pokerzysta z Las Vegas. - Więc kto to jest?

- Proszono mnie, bym tego nie zdradzał, przynajmniej do czasu, aż ustalimy cenę.

- Dlaczego?

Detektyw wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie szybciej ode mnie rozgryzłbyś prawdziwe przyczyny tego, że ktoś za wszelką cenę chce zachować anonimowość. Wy, finansiści, macie znacznie większego fioła na punkcie tajemnic zawodowych od nas z branży ochroniarskiej.

Gillette uzmysłowił sobie, że to spory problem. Naprawdę poważny. Bardzo mu zależało na usługach braci McGuire. Co więcej, musiał mieć do nich bezgraniczne zaufanie - zwłaszcza wzięwszy pod uwagę, jak wyglądało teraz jego życie. Wiedział, że jeśli nie

podejmie z nimi negocjacji, tylko ich rozwścieczy, to jak wtedy będzie wyglądało jego bezpieczeństwo?

- Ile chcecie zapłacić za swoją firmę? Detektyw się uśmiechnął.

- Sądziłem, że pierwszy wymienisz cenę. Ostatecznie to ty jesteś specjalistą od pieniędzy. Nie znam się za dobrze na finansach. Moją domeną jest ochrona.

Ta wymijająca odpowiedź przerzucała piłeczkę na jego stronę, McGuire celowo nie chciał występować z żadną propozycją, ale nie była to skuteczna metoda. Gillette faktycznie miał nieporównanie większe doświadczenie w prowadzeniu tego typu rozgrywek.

- Nie wątpię, że sponsor dał wam przynajmniej jakąś wskazówkę co do tego, ile byłby gotów zapłacić.

- No cóż... - zawahał się McGuire. Nie ulegało wątpliwości, że toczy ze sobą zaciętą walkę.

- W takim razie daj mi znać, jak złoży konkretną propozycję. - Gillette odwrócił się i sięgnął do klamki.

- Trzysta milionów - wyrzucił z siebie McGuire. - Dwa razy więcej, niż zapłaciliście za spółkę trzy lata temu. To chyba godziwa propozycja.

Może w normalnych warunkach, odparł w myślach Gillette, ale wobec ogólnoswiatowego zagrożenia terrorystycznego takie agencje stanowiły łakome kąski, zwłaszcza gdy oferowały zróżnicowane usługi na arenie międzynarodowej, jak właśnie McGuire & Company. Już kilka miesięcy temu dwa duże banki inwestycyjne zgłosiły się do Everestu z propozycją odkupienia agencji, przy czym finansiści z Wall Street od razu oferowali pięćset milionów - właśnie dlatego Gillette wątpił, aby Donovan rzeczywiście uważał pomysł wykupienia spółki przez braci za interesujący. W dodatku, niezależnie od sumy wykupu, było raczej mało prawdopodobne, aby jakikolwiek inwestor oddał pierwotnym właścicielom spółki aż pięćdziesiąt procent akcji w ramach gratyfikacji. Raczej były to tylko ich pobożne życzenia. W końcu, mając pakiet kontrolny agencji, mogliby liczyć swoje przychody w setkach milionów dolarów, a nie tylko w dziesiątkach.

- Kiedy wracasz z Londynu, Tom? - zapytał Gillette.

Coraz bardziej skłamał się ku temu, żeby zawczasu podpisać wstępne porozumienie z jednym z banków inwestycyjnych, nawet przyjmując bez targów oferowaną sumę. Ale Tom natychmiast by się o tym dowiedział, gdyż zaraz po podpisaniu wstępnej umowy bank inwestycyjny przystąpiłby do sporządzania analizy stanu prawnego i finansowego spółki. Pierwszy etap przejścia firmy przez nowych właścicieli zawsze wyglądał tak samo, a Tom i Vince jako dyrektorzy agencji musieliby się osobiście zaangażować w ten proces.

- W niedzielę - odparł McGuire.

- W porządku. Jeśli z jakichś powodów nie damy rady się spotkać przed twoim wyjazdem, wrócimy do tej rozmowy zaraz na początku przyszłego tygodnia.

- Powiedz mi przynajmniej, jak się na to zapatrujesz, Christianie. Chciałbym móc przedstawić Vince'owi i naszemu sponsorowi twoją opinię.

Gillette się zawahał.

- Propozycja brzmi nieźle. Jestem gotów przystąpić z wami do poważnych rozmów w tej sprawie, ale chciałbym najpierw poznać zdanie kilku specjalistów z Everestu. - Pod żadnym pozorem nie wolno było sugerować drugiej stronie, że ostateczną decyzję podejmuje się we własnym zakresie, nawet gdyby tak było. - W porządku?

McGuire serdecznie uściśnął mu dłoń.

- Bardzo się cieszę, Christianie. I jestem ci bardzo wdzięczny.

- Jasne.

Gillette w żadnym wypadku nie zamierzał rezygnować z dwustu milionów dolarów, bo tyle właśnie wynosiła różnica między propozycją banków inwestycyjnych a ofertą braci McGuire. Musiał więc znaleźć pretekst do odwołania pertraktacji z detektywami, a zarazem utrzymać przed nim w tajemnicy warunki, na jakich mógłby się zgodzić, żeby inwestorzy z Wall Street wprowadzili do obrotu publicznego akcje spółki McGuire & Company.

Był jeszcze osiemdziesiąt kilometrów od najbliższej osady, w samym sercu bezkresnej pustki, zmuszony do przedzierania się przez mrok arktycznej nocy i śnieżycę, gdyż światła eksplorera zgasły jakieś dziesięć minut temu, nie mówiąc już o tym, że wcześniej przestały działać wycieraczki i nagrzewnica. Teraz także silnik zaczynał słabnąć, stopniowo tracąc moc, jak wszystkie inne układy auta.

Mężczyzna próbował ostrożnie dodać gazu, ale nie przynosiło to żadnych efektów. Było tylko kwestią czasu, nim samochód do reszty przestanie działać, toteż w duchu przeklinał się za nieznamość budowy silników. Ostrzegano go wielokrotnie, że w tej pracy powinien poznać przynajmniej podstawy napraw samochodów, lecz mimo upływu lat jakoś nigdy nie zdołał się do tego przekonać.

Po kilku minutach silnik zgasł ostatecznie i eksplorator stanął.

- Szlag by cię trafił!

Mężczyzna huknął pięścią w kierownicę i zaczął raz za razem przekręcać kluczyk w stacyjce, bezskutecznie próbując uruchomić silnik. Wyglądało jednak na to, że żadnym sposobem nie da się tego uczynić. Pozostawało mu jedynie czekać na pomoc, której dotarcie

tutaj i odnalezienie go mogło zająć nawet kilka dni. Zwłaszcza w nasilającej się zamieci. Mógł nie przeżyć tego oczekiwania.

Zapalił latarkę wiszącą na mocowaniu wstecznego lusterka, podniósł z prawego fotela parę zdjęć leżących wśród papierów i zapatrzył się na nie. Ukazywały dwójkę jego dzieci, trzynastoletniego Billa Juniora i jedenastoletniej Cindy, które mieszkały z matką w Houston. Uzyskała wyłączne prawa do opieki nad nimi dwa lata temu, razem z rozwodem. Miał jeszcze przed oczyma widok sędziego kręcącego z niedowierzaniem głową po tym, jak wyszło na jaw, ile czasu on spędza poza domem.

Musnął palcem buzię Cindy. Teraz widywał się z dziećmi tylko przez dwa tygodnie w czasie wakacji. A przecież nie musiało tak być.

Wciąż gapił się na fotografię, gdy nagle drzwi po jego stronie otworzyły się gwałtownie i zanim jeszcze uświadomił sobie, co się dzieje, leżał już twarzą w dół w sykim śniegu obok furgonetki. I wciąż trzymał w ręku zdjęcia.

Podczas gdy dwaj ludzie przygoździli go do ziemi, trzeci dał nura w głąb auta, wyciągnął spod prawego fotela skrzynkę z taśmami, na których były zarejestrowane rezultaty badań sejsmicznych, i na jej miejsce wstawił drugą, identyczną.

- Mam to.

Związali mu ręce za plecami, dźwignęli na nogi i pociągnęli do drugiej furgonetki. Śnieg nie zdążył się nawet stopić na jego brodzie i wąsach, gdy stanęli nad jeziorem oddalonym o kilometr. Napastnicy wyciągnęli go z powrotem na śnieżycę, rozwiązali go i wepchnęli do przerębla wyciętego w grubym na pół metra lodzie. Kilka razy odnajdywał po omacku krawędź przerębla i próbował się wydzwignąć z wody, ale napastnicy bezlitośnie deptali mu po palcach, toteż krzyczał z bólu i zanurzał się z powrotem.

Wreszcie nie zdołał już odnaleźć drogi na powierzchnię i ciemność pochłonęła go na zawsze.

Konfrontacja. Większość ludzi nie znosi konfrontacji w żadnej postaci - osobistego stawiania się w gabinecie szefa, telefonicznego wyklócania się o pieniądze bezprawnie pobrane przez kogoś z konta, zwracania uwagi sąsiadom na szkody wyrządzone przez ich dziecko. Wszyscy stronią od konfrontacji jak wampiry od światła słonecznego, odsuwając nadchodzącą bitwę, dopóki nie stanie się koniecznością. Często nawet w ostatniej chwili rzucają się do ucieczki przed wrogiem, zamiast mężnie stawić mu czoło.

Owa niechęć do konfrontacji ma poważne uzasadnienia. W jej obliczu zaczynają się pocić dłonie, przyspieszony oddech staje się krótki, a serce zaczyna się tłuc w piersi jak

oszałałe, jakby miało nie doczekać jutra. Dlatego upodobanie do konfrontacji jest rzeczą nienaturalną.

Ale zawodowcy z prywatnych spółek kapitałowych muszą być z konfrontacją za pan brat, czasem nawet specjalnie do niej dążyć. Bo w ostatecznym rozrachunku to właśnie konfrontacja jest motorem postępu, w taki czy inny sposób. A jakikolwiek postęp jest zdecydowanie lepszy od jego braku. Więc im prędzej, tym lepiej.

Przecież czas to pieniądz.

- Spóźniłeś się trzy kwadranse.

Gillette usiadł obok senatora Stockmana przy stoliku w cichym odległym kącie wielkiej sali jadalnej Racquet Club.

- Nic nie mogłem na to poradzić - odparł Gillette, zerkając ciekawie na szklaneczkę stojącą przed rozmówcą.

Była do połowy wypełniona przezroczystą cieczą, toteż na oko nie dało się ocenić, czy jest to alkohol.

- Mogłeś przynajmniej zadzwonić do klubu i zostawić wiadomość, że się spóźnisz - syknął rozłoszczony Stockman. - Mój czas jest na wagę złota.

Gillette złowił zaciekawione spojrzenia kilku osób przy sąsiednich stolikach. Stockman był osobistością powszechnie znaną. Nie rozpoczął jeszcze oficjalnie swojej kampanii prezydenckiej, lecz jego podobizny wisiały już na wielu billboardach. I to zarówno tu, w Nowym Jorku, jak i w Waszyngtonie. A reklamówki pojawiały się we wszystkich kanałach telewizyjnych, lokalnych i ogólnokrajowych.

- Mój też - odparł równie stanowczo.

- Życzy pan sobie coś do picia? - zapytał kelner w białej marynarce i czarnych spodniach od smokingu, zatrzymawszy się przy ich stoliku.

- Co pan pije, senatorze?

- Taką drobinę na rozluźnienie. Gillette spojrzał pytająco na kelnera.

- Beefeaters z tonikiem - wyjaśnił tamten.

- Dwa razy to samo - zaordynował z satysfakcją. - Jeszcze jednego dla mojego gościa, a drugiego dla mnie. I proszę nam podać wodę, z łaski swojej.

Kelner dał znać swojemu koledze i skierował się do baru.

- Kiedy chce pan oficjalnie ogłosić rozpoczęcie swojej kampanii wyborczej? - zapytał cicho Gillette, spoglądając, jak drugi kelner napełnia szklanki wodą.

Stockman jednym haustem dopił swojego drinka.

- W tym tygodniu. Wszystkie plany są już gotowe.

- Dziwi mnie, że dotąd nic się nie przedostało do prasy.

- Moi najbliżsi współpracownicy są godni absolutnego zaufania.

- Do wyborów zostało tylko jedenaście miesięcy, senatorze. Zwlekał pan aż do ostatniej chwili, prawda?

- To była świadoma decyzja, Christianie. Chciałem, żeby pozostałych ośmiu kandydatów zdążyło już zrobić z siebie durniów w telewizyjnych debatach, zanim ja się włączę do gry. W ten sposób od razu wyjdę na pewniejszego kandydata.

- Ale jednocześnie będzie miał pan mniej czasu na zgromadzenie koniecznych funduszy - zauważył Gillette, przypomniawszy sobie z raportu Toma McGuire'a, że Stockman nie jest specjalnie bogaty.

- Pieniądze nie stanowią żadnego problemu. Zostało to powiedziane cicho, jak gdyby w zaufaniu. Wrócił kelner i postawił przed nimi drinki. Gillette podniósł swoją szklaneczkę.

- Tak więc za pańską kampanię, senatorze. Życzę panu wszystkiego najlepszego.

Stockman także sięgnął po szklaneczkę.

- Dziękuję. - Pociągnął drobny łyk. - Jestem zaskoczony, Christianie.

- Czym?

- Sądziłem, że stronisz od alkoholu.

Gillette przez chwilę przyglądał się swemu rozmówcy. Wynikało stąd, że senator musi korzystać z usług swojego Toma McGuire'a, który zbiera dla niego informacje.

- Zazwyczaj go unikam, ale dziś postanowiłem zrobić wyjątek. - Zamawianie drinków do lunchu bądź obiadu należało do standardowej procedury wyciągania cennych informacji. Ludzie czuli się swobodniej, sądząc, że on pije razem z nimi, a po pewnym czasie większość nie zwracała już uwagi, że jego szklaneczka stale pozostaje pełna. - To specjalna okazja.

- Więc lepiej to wypij - odrzekł senator, unosząc brwi - bo inaczej będę się zastanawiał nad prawdziwymi motywami twojego działania.

Gillette pociągnął tęgi łyk.

- Zadowolony?

Stockman rozejrzał się na boki, żeby sprawdzić, czy nikt przy sąsiednich stolikach nie zwraca na nich szczególnej uwagi.

- Porozmawiajmy otwarcie - zaproponował, pochylając się w kierunku Gillette'a.

Ten również się pochylił, czując, jak gin go rozgrzewa, przenikając do krwiobiegu. Brzydził się zarówno złudną rozkoszą tego doznania, jak i szybkością, z jaką alkohol działał na niego rozluźniająco. Kazał mu zapominać o troskach, które wiązały się z czekającymi go

newralgicznymi decyzjami, i czynił mniej kompetentnym, co samo w sobie stanowiło istotny problem. Drobną pomyłką w rzeczowej ocenie sytuacji mogła go kosztować grube miliony.

- Opowiedz mi o przedsiębiorstwach znajdujących się pod kontrolą Everestu - zaczął senator.

- A co konkretnie chciałby pan wiedzieć?

- Jakiego rodzaju są to przedsiębiorstwa?

- Bardzo różne.

- Podaj kilka przykładów.

- Nadzorujemy firmę przemysłu spożywczego, która...

- Gdzie się znajduje?

- W Bostonie.

- Co wytwarza?

- Mrożone dania gotowe, ciasta, bułki...

- Jakże jeszcze? - przerwał mu Stockman.

Gillette upił nieco wody, mając pełną świadomość, że jego rozmówca zwraca baczną uwagę na to, którą szklaneczkę on podnosi.

- Kierujemy filadelfijskim przedsiębiorstwem produkującym narzędzia elektryczne, spółką przetwarzania odpadów przemysłowych z siedzibą w Cleveland, zakładami...

- Nie macie niczego w Kalifornii? Przytaknął ruchem głowy.

- Mamy. Firmę zajmującą się organizowaniem baz danych.

- Jakich baz?

- Należących do instytucji stanowych, gromadzących na przykład dane personalne posiadaczy prawa jazdy, akta kryminalne, informacje o kredytobiorcach, tego typu rzeczy.

- A więc głównie dane osobowe?

- Tak. Oczywiście poufne.

- To może nam się przydać - skwitował Stockman. - A w Teksasie? Tam też coś do was należy?

- Nadzorujemy kilka firm z Teksasu. Trzecią co do wielkości w Stanach sieć wypożyczalni samochodów i jedną z największych sieci sklepów spożywczych w zachodniej części kraju. - Gillette z satysfakcją popatrzył w wybałuszone oczy senatora. - Ale przecież wszystkie te informacje można znaleźć na naszej stronie internetowej.

- Nie mam czasu grzebać w internecie, Christianie. Do tego zatrudniam odpowiednich ludzi - oznajmił Stockman bez ceregieli. - Zakładam więc, że wasze firmy operują na terenie całego kraju.

- Zgadza się. Ta spółka przetwarzania odpadów przemysłowych z Cleveland, o której wspomniałem, zarządza firmami transportującymi i składującymi śmieci w dwudziestu jeden stanach, a firma spożywcza z Bostonu ma swoje filie nie tylko wzdłuż obu wybrzeży, ale również w Chicago i Saint Louis. Podejrzewam, że w sumie naszych dwadzieścia siedem przedsiębiorstw ma swoje biura, zakłady czy też hurtownie w każdym z pięćdziesięciu stanów.

- Wyśmienicie.

- Dlaczego?

- Jak już ci mówiłem po pogrzebie Donovana, zależy mi na głosach waszych pracowników. W waszych firmach pracuje milion ludzi, którzy mają rodziny i przyjaciół. Chcę, żebyś pozwolił mi do nich przemówić, a potem zajął się dystrybucją ulotek i nagrań wideo popierających moją kandydaturę.

- Senatorze, to...

- Przez cały przyszedły rok liczę na oświadczenia i przemowy dyrektorów oraz prezesów waszych przedsiębiorstw. No, wiesz, chodzi o wiwatujące tłumy na wiecach transmitowanych przez telewizję. W zamian zyskasz wielu przyjaciół w Waszyngtonie, którzy mają kolejnych przyjaciół w Waszyngtonie. Jasne?

Kelner ruszył już w stronę ich stolika, lecz Gillette odprawił go szybkim ruchem ręki.

- Bardzo doceniam tę ofertę, senatorze.

- To dobrze. Wiem, że wśród waszych firm jest także spółka medialna - ciągnął pospiesznie Stockman. - Gazety, czasopisma, sieć stacji radiowych i telewizyjnych. Ta ostatnia jest powiązana z NBC. Mam rację?

- Tak.

- Więc i ona będzie tórdzo pomocna. Musisz się spotkać z ludźmi z mojego sztabu, żeby poznać ich pomysły na reklamówki telewizyjne. W sumie chodzi o to, że powinieneś zrobić wszystko, co w twojej mocy, bym to ja wygrał w tych wyborach.

- Nie jestem przygotowany do takich działań - odparł szczerze Gillette. Spędziwszy trochę czasu w towarzystwie Stockmana, szybko poczuł do niego antypatię, choć nie miało to dla niego większego znaczenia. W końcu często załatwiał interesy z ludźmi, których nie lubił albo którzy nie lubili jego. Ale nie wierzył w skuteczność politycznej agitacji w miejscu pracy. Należało wymyślić jakiś sposób, by odwieść senatora od tych planów, i to na tyle łagodny, żeby nie robić sobie niepotrzebnie wroga, przynajmniej nie na tym etapie. Rzeczywistym powodem stanowczej odmowy była chęć sprowokowania ostrej reakcji. Zależało mu na konfrontacji, bo chciał się przekonać, dlaczego Stockman aż tak

pieczołowicie gromadził o nim informacje. Z jakiej przyczyny senator wziął na celownik właśnie Everest, a zarazem jego. Podejrzewał, że nie chodzi wyłącznie o głosy wyborców, że kryje się za tym coś więcej.

- Nie pozwolę, żeby Everest Capital został wciągnięty w kampanię polityczną - dodał.

- Wciągnięty?

- Wyraziłem się jasno.

Stockman wyprostował się na krześle i przez chwilę bezgłośnie poruszał wargami. Chyba odliczał w myślach do dziesięciu, chcąc się uspokoić.

- Czy zdajesz sobie sprawę, na co się narażasz, odmawiając współpracy ze mną? - zapytał wreszcie. - Jesteś świadomy, jaką władzą dysponuję?

Gillette nie odpowiedział.

- Będziesz miał w Waszyngtonie samych wrogów zamiast sprzymierzeńców.

- Już to słyszałem.

- Według ciebie to dobry interes?

- Może i nie, ale jestem prezesem Everestu i muszę podejmować takie decyzje, które na dłuższą metę będą lepsze dla spółki. A jestem przekonany, że właśnie lepiej będzie trzymać się z dala od tego wszystkiego.

Stockman uśmiechnął się krzywo. Teatralnie. Jak gdyby nagle rozbolał go ząb i za wszelką cenę starał się nie dać tego po sobie poznać.

- Słyszałem, że Everest Capital zamierza wkrótce przystąpić do gromadzenia nowego funduszu.

Gillette powoli uniósł wzrok znad stolika.

- Od kogo pan o tym słyszał?

- Krążą różne plotki. Ale to jeden z powodów, dla których postąpisz głupio, jeśli nie będziesz ze mną współpracował.

Gillette zaczął się w myślach gorączkowo zastanawiać, gdzie Stockman mógł zdobyć tę informację. Usiłował sobie przypomnieć wszystkich, z którymi rozmawiał o planach powołania nowego funduszu.

- Jak mam to rozumieć?

- Nadal posiadacie pakiety akcji tych spółek, które weszły do publicznego obrotu. Mam rację, Christianie?

Wszystkie prywatne spółki kapitałowe postępowały tak samo - pozbywając się przedsiębiorstw na drodze wprowadzenia ich akcji do obrotu publicznego, nie sprzedawały wszystkich pakietów. Banki inwestycyjne, które zajmowały się rozprowadzaniem akcji wśród

klientów indywidualnych i instytucjonalnych, nawet domagały się tego, żeby spółki kapitałowe zachowały choćby niewielką część praw własności do sprzedawanego podmiotu. Jako symbol dobrej woli. Dzięki temu nowi inwestorzy mogli mieć świadomość, że poprzedni właściciele mają pełne zaufanie co do perspektyw rozwoju w danej branży, że nie wycofują się na dobre. I nie istniały żadne przepisy dotyczące terminu czy ilości akcji sprzedawanych przez dotychczasowych właścicieli już po wejściu przedsiębiorstwa na giełdę.

- Zgadza się - przyznał Gillette. - Zachowaliśmy część udziałów w spółkach, które weszły na parkiet. - Nie było to żadną tajemnicą. Doradcy Stockmana mogli bez trudu znaleźć na ten temat odpowiednie informacje w dostępnych w internecie prawomocnych zestawieniach Komisji Nadzoru Obrotu Papierami Wartościowymi. - Ale tych firm nie uważamy już za swoje. Jako naszą własność traktujemy tylko tych dwadzieścia siedem, które nie znajdują się w publicznej ofercie.

- Jedną z tych spółek akcyjnych, która w znacznym stopniu ciągle należy do was, jest kasa oszczędności Dominion Savings & Loan z Wirginii - ciągnął senator. - Ma swoją siedzibę po drugiej stronie Potomaku, dysponuje wieloma oddziałami w dystrykcie stołecznym. Jej reklamy widuję co krok w drodze z mojego mieszkania w Georgetown na Kapitol.

- Owszem. I co z tego?

- Co by było, gdyby inspektorzy federalni odkryli jakieś nieprawidłowości w działaniach tej kasy?

- Dominion jest czyste jak lza. Na pewno niczego...

- Pytam jednak, co by było? Stanowiłoby to dla was poważny problem?

- Takie hipotetyczne rozważania to zwykła strata czasu. A już na pewno w tym wypadku.

Senator znowu uśmiechnął się krzywo.

- Spróbuj jednak spełnić mój kaprys, Christianie.

- Co zamierza mi pan w ten sposób udowodnić? Stockman rozłożył szeroko ręce, wzruszył ramionami i obrzucił go zagadkowym spojrzeniem.

- Niczego nie chcę udowadniać. Zadałem tylko proste pytanie. Ciekaw jestem, czy byłoby wielkim problemem dla Everestu, gdyby inspektorzy federalni zaczęli grzebać w operacjach prowadzonych przez Dominion.

- Wszystko zależy od tego, co by znaleźli.

- Jeden z moich doradców powiedział, że Everest wyciągnął ze sprzedaży tej kasy aż dwa miliardy dolarów, podczas gdy trzy lata wcześniej zainwestował w jej kupno tylko dwieście milionów.

- Rzeczywiście zarobiliśmy na tej transakcji miliard osiemset milionów - przyznał otwarcie. - Zrobiliśmy świetny interes. A jak już nadmieniałem, wypucowaliśmy Dominion do połysku ajaksem i zmywakami ze stalowych wiórów na trzy miesiące przed pojawieniem się na scenie inspektorów z Komisji Nadzoru Obrotu Papierami Wartościowymi, a więc na długo przed sprzedażą firmy i wprowadzeniem akcji do obrotu publicznego.

- Niemniej, śledztwo wszczęte w sprawie tej transakcji nie wpłynęłoby dobrze na wasz nowy fundusz, prawda? Mogłoby dać współnikom do myślenia, co się naprawdę dzieje w ścisłym kierownictwie Everestu. Może nawet by ich powstrzymało przed kolejną inwestycją.

Łączna kwota kredytów udzielonych przez Dominion sięgała czterdziestu miliardów dolarów. Tak gruby portfel musiał stwarzać problemy, zwłaszcza gdy bardzo szybko przyrastał. A Gillette dobrze wiedział, że w celu zmaksymalizowania zysków, chcąc zarobić tenże miliard osiemset milionów dolarów, na rok przed wprowadzeniem akcji na parkiet, Donovan błyskawicznie powiększył ów portfel kredytowy. Wiedział też, że wszystkim pracownikom firmy, zwłaszcza odpowiedzialnym za przydział kredytów, kazał wypłacić wysokie premie. Każdy, kto zadbał o to, żeby Dominion udzielił jak najwięcej kredytów, w dodatku pewnych, które będą spłacone na czas, został sownie wynagrodzony. Zaistniał więc podstawowy konflikt interesów, urzędnicy odpowiedzialni za udzielanie kredytów zostali opłaceni za to, by szybko je pomnażali, zamiast pilnie strzec portfela firmy.

Przez cały czas sprawowania przez Everest kontroli nad kasą oszczędności jej prezesem był Donovan, a wiceprezesem Marcie Reed, podobnie jak w Blalock Industries. Tych dwoje utrzymywało w tajemnicy przed pozostałymi współnikami swoje poczynania, Gillette wiedział tylko tyle, że obrano politykę błyskawicznego rozrostu portfela spółki. Dlatego teraz natychmiast nabrał obaw, że groźby Stockmana mogą być poparte jakimiś wiarygodnymi informacjami.

- Obecnie rachunki Dominion kontroluje jedna z firm księgowych „wielkiej czwórki”
- rzekł z naciskiem. - Czyni to od chwili wprowadzenia akcji spółki na rynek. Dlatego nie podejrzewam, aby coś było nie w porządku.

Stockman zachichotał ironicznie.

- Na pewno nie masz żadnych podejrzeń?

- Żadnych.

Nie było to do końca prawdą. Donovan z wiekiem był coraz bardziej niewrażliwy na logiczne argumenty, jakby nabierał przeświadczenia, że w pewnej mierze stoi ponad prawem. Dlatego Gillette'a wcale by nie zaskoczyło, gdyby wyszło na jaw, że Bili dopuścił się jakichś przekrętów w Dominion, żeby zapewnić Everestowi gigantyczny zysk.

Senator podniósł się z krzesła, a jego sztuczny uśmiezek wyraźnie przygał.

- Czy zamierzasz udzielić mi poparcia, Christianie?

- Senatorze Stockman, sądzę, że powinniśmy...

- Odpowiedz tak lub nie.

- Na pewno nie w takim zakresie, o jakim była mowa. Gotów jestem wziąć pod rozwagę...

- Dziękuję za drinka - powiedział Stockman, prostując się gwałtownie. - Niestety, przez twoje spóźnienie nie mam już czasu na lunch. Życzę ci wszystkiego najlepszego na stanowisku nowego prezesa Everest Capital. - Uśmiechnął się ponownie. - Przynajmniej tak długo, jak będziesz prezesem.

Gillette odprowadził go wzrokiem, przyglądając się, jak przystaje przy niektórych stolikach i ściska dłonie znajomych, szeroko uśmiechnięty, rzucając luźne uwagi, jakby w ogóle nie doszło przed chwilą do nieprzyjemnego zgrzytu w rozmowie.

Tom McGuire wiedział, że Bili Donovan znalazł jakiś haczyk na Stockmana. Musiało to być coś bardzo ważnego, skoro w ocenie McGuire'a mogło się stać nawet powodem zorganizowania przez senatora zamachu na Donovana. Można więc było zakładać, że przez analogię, także powodem do zamachu na jego życie.

Gillette miał ochotę powiedzieć Stockmanowi, że wie o jego romansie z Ritą Jones, ale ugryźł się w język. Mógł skuteczniej wykorzystać tę informację później. Zwłaszcza gdyby zdobył konkretne dowody.

Odchylił się na oparcie krzesła, wyciągnął swoją „jeżynę” i zaczął przeglądać pocztę elektroniczną. Teraz była kolej na ruch Stockmana.

Prowadząc powoli wynajętego forda taurusa trasą Jersey Turnpike na południe, wybrał w aparacie komórkowym numer Jeremy'ego Cole'a. Wiedział, że McGuire będzie wściekły z tego powodu, że zwolnił ochroniarza i wyruszył sam. Ale musiał załatwić coś dyskretnie. Wolał, żeby detektyw ani nikt z biura nie znał szczegółów tej wyprawy. Zasłuchawszy się w sygnał wywołania rozbrzmiewający w słuchawce, po raz kolejny spojrzął we wsteczne lustro. Nie zauważył jednak, by ktoś go śledził.

- Halo.

- Jeremy? Tu Christian Gillette.

- Witaj, Christianie. Jak się miewasz?

- Świetnie. Cieszę się, że cię złapałem. Obawiałem się, że o tej porze będziesz na treningu.

- Nie, na dzisiaj skończyliśmy zajęcia na boisku. Za kilka minut mamy obejrzeć film ze szkolenia taktycznego. Straszne nudy, ale co robić? Służba nie drużba, prawda?

Gillette skręcił na zjazd numer 8 prowadzący na zachód, w kierunku Princeton. Już godzinę był poza Nowym Jorkiem.

- Czy twój agent kontaktował się już z zarządem Giantsów?

- Tak. Jutro ma zostać ogłoszone podpisanie nowego kontraktu. Prawnicy wnoszą jeszcze jakieś poprawki, ale najważniejsze sprawy zostały ustalone. Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny. To było niesamowite. Stokrotne dzięki.

- Nie ma sprawy. - Gillette wręczył kobiecie w budce banknot pięciodolarowy i przejechał pod unoszącą się barierką, nie czekając na resztę. - Potrzebna mi twoja pomoc.

- Cokolwiek zechcesz. Słucham.

- Potrzebuję osobistej ochrony. Nie wiesz, gdzie mógłbym znaleźć kogoś odpowiedniego?

Cole zamyślił się na chwilę.

- Niektórzy koledzy z drużyny korzystają z usług ochroniarskich. Na pewno swoich goryli ma kilku najlepszych obrońców i jeden ze skrzydłowych odbierających. No wiesz, największe gwiazdy.

- Takie jak ty. Piłkarz się zawahał.

- Rety, masz rację. Do tej pory nie myślałem tak o sobie.

- Porozmawiaj z nimi i dowiedz się, z czyich usług korzystają, a potem zadzwoń do mnie, zgoda? Zrób to jak najszybciej.

- Oczywiście. Odezwę się dziś wieczorem, najpóźniej jutro rano.

Gillette przerwał połączenie, rzucił telefon na fotel pasażera, znów sięgnął po „jeżynę” i zaczął przewijać menu na małym ekraniku. Rozmyślał o tym, że teraz sam będzie musiał dobrać sobie ochronę osobistą, rezygnując w tym zakresie z usług Toma McGuire’a, który z pewnością wpadnie w szal, kiedy się dowie, że nie odkupi swojej agencji od Everestu. A w każdym razie nie za trzysta milionów dolarów.

Zaryczał klakson i Gillette błyskawicznie podniósł wzrok znad ekranu urządzenia. Przeglądając menu, niechcący zjechał na lewą stronę drogi, wprost pod nadjeżdżającą z naprzeciwka śmieciarkę. Szarpnął kierownicą w prawo, ledwie unikając czołowego zderzenia,

a zaraz potem w lewo, żeby nie ściąć słupa telefonicznego. Wyhamował i zatrzymał samochód na zwirowym poboczu.

Odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i odetchnął głęboko.

Dwadzieścia minut później wprowadził taurusa na podjazd przed domem Josego Medilli. Uniknąwszy o włos zderzenia z ciężarówką, szybko pojechał dalej, ale skoncentrowany na prowadzeniu auta, wytrzymał tylko parę minut bez sięgania po telefon komórkowy czy „jeżynę”. Wstrząs szybko minął i palce znów zaczęły go świerzbieć. Obecnie jeszcze raz przejrzał najświeższe wiadomości poczty elektronicznej, nim odłożył aparat na prawe siedzenie, następnie wyskoczył z samochodu i ruszył do drzwi.

Isabelle otworzyła je, zanim zdążył zapukać. Znieruchomiał. Spodziewał się ujrzeć Selmę.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

- Buenos dias, señor Gillette.

- Buenos dias. - Wydawała mu się jeszcze ładniejsza niż przy poprzednim spotkaniu. Łagodne rysy, piękne czarne włosy, duże piwne oczy ocienione długimi wywiniętymi rzęsami, w których kryła się wrażliwość skłaniająca go do roztoczenia nad nią opieki. - Czy mogę wejść?... - Urwał, gorączkowo szukając w pamięci hiszpańskich słów. W takich chwilach miał wrażenie, że niezbyt odległy uniwersytet kończył przed wiekami. Na studiach całkiem płynnie mówił po hiszpańsku, ale od tamtej pory mnóstwo zapomniał. - Eee... los siento. Puedo entrar...

Isabella otworzyła szerzej drzwi.

- Si. Proszę wejść. Selma oczekuje pana. Jest na górze z Marią.

- Aha - bąknął, wkraczając do przedpokoju. - Więc ty znasz angielski.

Uniosła rękę i pokręciła dłonią w powietrzu.

- Dość dobrze. Wychowywaliśmy się w Portoryko, mówiliśmy po hiszpańsku i angielsku. Mój ojciec powtarzał, że znajomość angielskiego może się kiedyś bardzo przydać. Chyba miał rację.

- Na pewno miał rację.

- Chris!

Maria zbiegła po schodach, głośno tupiąc. Tuż za nią pojawiła się inna mała dziewczynka, której nie znał.

- A to kto? - zapytał, biorąc małą na rękę. Kątem oka zauważył, że Isabelle wycofuje się do kuchni.

- To Julie - wyjaśniła Selma. - Najmłodsza córka Aleksa, który pojechał z żoną do miasta, żeby wybierać meble. Jestem pewna, że będą chodzili po sklepach aż do ich zamknięcia. - Gospodyni cmoknęła go w policzek. - Jesteś wspaniały. Jeszcze nigdy Jose i Alex nie byli ze sobą tak blisko. To dla nich naprawdę niezwykle doświadczenie.

Maria zarzuciła mu rączki na szyję, przytuliła się do niego i cmoknęła go w drugi policzek.

- Ale mnie chyba lubisz bardziej niż mamusię, prawda, Chris?

- Lubię cię najbardziej ze wszystkich. - Nie uszło jego uwagi, że w kuchni Isabelle chowa jakieś naczynia do szafki. - Kiedy Jose wraca do domu? - Dochodziła siedemnasta.

- Powinien być lada chwila. Chodź, zrobię ci coś do jedzenia.

- Nie, dziękuję - odparł, idąc za Selmą do kuchni z Marią na rękach. - Nie jestem głodny.

- Nie żartuj. Robi się zimno. Porcja mojego ryżu z fasolą dobrze ci zrobi.

Isabelle minęła go w przejściu. Miała na sobie różowy sweter i dżinsy. Uzmysłowił sobie, że wcześniej, kiedy otworzyła mu drzwi, nie zwrócił na to uwagi. Zazwyczaj od razu odnotowywał takie rzeczy.

- Dokąd idziesz? - zapytał, stawiając Marię obok Julie.

- Na górę. Chcę trochę poczytać.

- Może byś jednak została z nami. Porozmawialibyśmy... - rzucił za nią.

- Zejdę później - odparła przez ramię, wbiegając truchcikiem po schodach.

- Chodź, Chris. - Dziewczynki zaczęły go ciągnąć w stronę salonu. - Pobawisz się z nami.

- Puście go - nakazała Selma. - Jak będzie chciał, to sam do was przyjdzie za parę minut. Już was tu nie ma.

Gillette usiadł przy kuchennym stole.

- Mógłbyś zaprosić Isabelle na kolację - zasugerowała, wyciągając z lodówki miskę i nastawiając kuchenkę mikrofalową.

- Sam nie wiem...

- Przecież widzę, jakim wzrokiem na nią patrzysz.

- No cóż, jest bardzo ładna. - Wyjrzał przez szklane drzwi tarasu na sąsiedni dom, który właśnie kupił dla Aleksa. - Wątpię jednak, czy mielibyśmy o czym ze sobą rozmawiać. Poza tym, wydaje się bardzo wstydliva.

- Pewnie sam byś się zdziwił. Jest nieśmiała tylko na początku, ale gdybyś ją lepiej poznał, zobaczyłbyś, co to za ziółko.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia sześć.

Tyle samo, co Faith. Wydawało mu się, że jest młodsza.

- Na jak długo przyjechała?

- Staramy się ją zapisać do miejscowego publicznego college'u. Jeśli się uda, zostanie z nami do czasu, aż zdoła się usamodzielnić i znajdzie jakieś mieszkanie. Nie chcę, żeby wracała do Portoryko. Tam nie ma dla niej przyszłości.

Przed domem zazgrzytał żwir pod kołami samochodu. Wrócił Jose.

- Myślisz, że umówiłaby się ze mną, gdybym jej to zaproponował?

Selma zaśmiała się krótko.

- Skąd mam wiedzieć? Spróbuj, to się przekonasz.

Gillette natychmiast zauważył Isabelle, gdy tylko wyszedł razem z Jose z małego gabinetu sąsiadującego z salonem. Siedziała przy kuchennym stole pochylona nad książką.

- Bardzo dziękuję, senor Medilla - rzekł, ściskając dłoń gospodarza.

- Nie ma za co - odparł cicho Jose.

Widać było, że wciąż się zastanawia nad tym, o czym przed chwilą rozmawiali.

- Zawsze mówiłem, że zrobię wszystko, o co tylko poprosisz - dodał Portorykańczyk.

- I mówiłem szczerze. Porozmawiam z Aleksem, jak tylko wróci do domu.

- Świetnie. - Na schodach pojawiła się Selma. - Mam nadzieję, że Alex i jego żona miło spędzą dzisiaj czas na zakupach. Rachunki z ich kart kredytowych trafią bezpośrednio do mnie, tak samo, jak to się dzieje w przypadku ciebie i Selmy.

Jose jeszcze energiczniej potrząsnął jego ręką.

- Bardzo dziękujemy, Christianie. Aż brak mi słów. Twoja dobroć jest tak ogromna...

- Lepiej nic już nie mów. Nasze rachunki po prostu się wyrównują.

- Pewnie masz rację - przyznał Jose półgłosem. - Może chciałbyś coś zjeść?

Gillette się uśmiechnął. Oboje małżonkowie zawsze starali się go nakarmić.

- Nie, dziękuję.

- Kochanie, potrzebny mi jesteś na górze na kilka minut - odezwała się Selma, biorąc męża pod rękę.

- Do czego?

- Trzeba zmienić żarówkę w sypialni...

- Później się tym zajmę. Teraz chciałbym jeszcze porozmawiać z Isabelle.

- Trzeba ją zmienić natychmiast - syknęła gospodyni, ciągnąc męża w stronę schodów.

- Do widzenia, Christianie - rzuciła przez ramię.

Gillette odprowadził ich wzrokiem, jak wchodzili na górę przy akompaniamencie gniewnych pomruków Josego. Zaraz jednak nastąpiła cisza.

Wziął głębszy oddech. Bez trudu potrafił przykuć uwagę manhattańskich luminarzy, wygłaszając mowę pożegnalną na pogrzebie Billa Donovana, wyrzucić ze stanowiska prezesa firmy wartej trzy miliardy dolarów, nie odczuwając nawet przyspieszonego pulsu, czy też zaprosić na kolację i uwieść gwiazdkę popu. Teraz jednak, gdy został sam na środku lobby dość przeciętnego jednorodzinnej domu w New Jersey, poczuł nagle, że pocałował mu się dłoń.

- Co czytasz? - zagadnął, wchodząc do kuchni i siadając przy stole naprzeciwko Isabelle, która trzymała książkę na kolanach.

- Przemineło z wiatrem. - Uniosła ją i pokazała okładkę.

- Rety. Poważna lektura. - Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć. - Wiesz, że masz piękne oczy?

- Gracias... To znaczy... dziękuję.

Zapatrzył się na nią. Cała jej twarz jaśniała, gdy tylko się uśmiechnęła.

- Znalazłaś tu jakieś rozrywki?

Natychmiast ofuknął się w myślach za to idiotyczne pytanie. Był coraz bardziej podenerwowany. To chyba jej nadzwyczajna uroda sprawiała, że miał kłopoty ze znalezieniem języka w gębie. Bardzo rzadko mu się to zdarzało.

- Niespecjalnie - odparła, odkładając książkę. Uświadomił sobie, że dziewczyna wciąż nie ma śmiałości spojrzeć mu prosto w oczy.

- Nie zjadłabyś kolacji? Pokręciła głową.

- Nie jestem głodna. Ale mogę coś panu przygotować. Zaśmiał się.

- Nie zrozumiałaś mnie. - Po raz pierwszy na krótko spojrzała na niego i złowił w jej oczach błyski złości, jakby sądziła, że nabija się z jej nie najlepszej znajomości angielskiego.

- Chciałem powiedzieć, że wyraziłem się nie dość jasno.

- Aha - odrzekła cicho, rozpogadzając się szybko. - Więc o co chciał pan zapytać?

- Chciałem zaprosić cię na kolację. Natychmiast wstydliwie spuściła wzrok.

- Nie ma się czym tak przejmować. Gwałtowne zmiany nastrojów nie wpływają dobrze na serce.

- Przepraszam.

- Żartowałem. Po prostu liczyłem na trochę inną reakcję.

- Nie sądzę, żeby nasze wspólne wyjście było najlepszym pomysłem - odparła cicho.

- Nawet na krótko? - rzucił odruchowo, po czym szybko spoważniał, bojąc się, że i tym razem opacznie zrozumie jego słowa.

- Tak - powiedziała, wstając od stołu. - Ale dziękuję za zaproszenie. Powiem Josemu, że pan wychodzi.

Truchtem wybiegła z kuchni.

- Isabelle - zawołał, podnosząc się z miejsca, ale już zniknęła na schodach.

Po raz kolejny przejrzał pocztę elektroniczną, gdy zatrzymał się na czerwonym świetle. Autostrada New Jersey Turnpike biegła po drugiej stronie niewielkiego miasteczka Hightstown, zaledwie parę kilometrów dalej. A droga, którą jechał, przecinała szosę Route 1. Najdalej za godzinę powinien być z powrotem na Manhattanie.

Zadarł głowę i spojrzał w ciemniejące niebo. Na sygnalizatorze wciąż paliło się czerwone światło. Pokręcił głową. Isabelle bez namysłu dała mu kosza. Już od dawna nie przydarzyło mu się coś takiego.

- No cóż... - mruknął pod nosem, westchnąwszy, i popatrzył znowu na ciemny ekranik „jeżyny”. - Kto nie ryzykuje, ten nie jedzie.

Wcisnął klawisz i włączył podświetlenie ekranu. W upiornym niebieskawym blasku fluorescencyjnym zobaczył, że nadeszła właśnie kolejna wiadomość. Adres nadawcy wydał mu się obcy, ale krzykliwy nagłówek wielkimi literami nakazywał: CZYTAJ NATYCHMIAST. Przemknęło mu przez myśl, że musi to być reklamówka agencji towarzyskiej lub biura podróży. Pocztę elektroniczną wciąż zasypywały spamy. Ale że nie miał nic innego do roboty poza czekaniem na zielone światło, otworzył odebraną wiadomość.

Musiał zmrużyć oczy, żeby odczytać małe literki na ciemnym ekraniku.

Nie zatrzymuj się nigdzie, póki nie dojedziesz do miasta. Dzisiaj mogą znów spróbować.

Jeszcze raz popatrzył na adres nadawcy. User7@ECoffee.com.

Chwilę później rozległ się głuchy łoskot i fordem taurusem gwałtownie szarpnęło. Gillette błyskawicznie spojrzał we wsteczne lusterko. Uderzył w niego jakiś samochód. Niezbyt mocno, tyle, by zwrócić jego uwagę. Otworzył drzwi i pospiesznie wysunął się zza kierownicy. Kobieta, która na niego wjechała, także wysiadła ze swego samochodu.

Rozejrzał się w panice po skrzyżowaniu. Przed nim znajdowały się jeszcze trzy auta. Na Route 1 stał długi szereg pojazdów w kolejce do skrętu w lewo. Niewielki pawilon handlowy po lewej mieścił piekarnię, sklep monopolowy i pralnię chemiczną. W środku kręciło się parę osób. Widać ich było przez witryny.

- Bardzo przepraszam - zawołała kobieta, zbliżając się energicznym krokiem. Sprawiała wrażenie szczerze zakłopotanej. - Nic się panu nie stało?

Zerknął na prawe siedzenie jej auta. Była sama. Przyjrzał się jej uważniej. Szła w jego kierunku, w średnim wieku, niezłe ubrana, w tenisówkach. Prawdopodobnie w drodze powrotnej z pracy do domu. Szła jednak po przeciwnym pasie ruchu. Chyba specjalnie trzymała się za podwójną linią. I spoglądała w napięciu ponad jego ramieniem, jakby czegoś wypatrywała.

W dwóch susach dopadł końca taurusa i dał nura za jego bagażnik. W tej samej chwili huknęły dwa szybkie wystrzały. Rozpłaszczył się na asfalcie przy tylnym kole, po drugiej stronie auta, ale zaraz skoczył na równe nogi i rzucił się biegiem w kierunku odległej o pięćdziesiąt metrów stacji benzynowej, klucząc to w lewo, to w prawo.

Padły dwa kolejne strzały. Jakby na ulicy ktoś odpalał fajerwerki.

Zastawili na niego pułapkę.

Gdyby nie odebrał tej wiadomości, pewnie byłby już martwy.

Pocisk utkwił w słupie telefonicznym, który właśnie mijał. Uskoczył w bok i zerknął przez ramię. Ścigał go jakiś mężczyzna z pistoletem w ręku. Kobieta wciąż stała na środku ulicy, przy bagażniku forda taurusa.

Pognał dalej wprost do wejścia na stację benzynową, ale sprzedawca spostrzegł wcześniej, co się dzieje, i teraz podbiegał do drzwi z drugiej strony, zapewne po to, żeby je zablokować. Kolejny pocisk z wizgiem rozciął powietrze, roztrzaskał witrynę budynku stacji. Odłamki wielkiej tafli szkła posypały się na asfalt. Gillette błyskawicznie skręcił w bok i rzucił się za róg budynku.

Ujrzał przed sobą rozległy pusty plac parkingowy. W blasku księżyca w pełni, wiszącego nisko na niebie niczym latarnia, byłby doskonałym celem. Doskoczył więc do betonowej ściany i przywarł do niej plecami, usiłując złapać oddech. Jego uwagę przyciągnęły toalety znajdujące się parę metrów dalej. Pierwsza była zamknięta na klucz, ale druga otwarta na oścież. Wskoczył do środka i zamknął za sobą drzwi, zostawiając tylko wąską szparę. Pospieszenie wdrapał się na sedes w pierwszej kabinie i wstrzymał oddech.

Usłyszał, jak zadyszany prześladowca zatrzymuje się przed drzwiami toalety. Musiał coś szybko przedsięwziąć. Nie ulegało wątpliwości, że pracownik stacji już dzwoni na policję - chyba że zginął od kuli.

Bandyta ostrożnie sięgnął do środka i kilka razy pstryknął wyłącznikiem światła, ale wewnątrz nadal zalegały ciemności.

Chwilę później wskoczył gwałtownie do środka, stanął na środku ciasnego pomieszczenia i zaczął strzelać na oślep. Huk wystrzałów rozbrzmiewających głośnym echem był ogłuszający.

Gillette zacisnął palce na belce na drzwiach kabinki i z rozmachem kopnął napastnika w bok głowy. Tamtemu pistolet wypadł z ręki i zagrzechotał po wyłożonej kafelkami posadzce, a on sam zwałił się jak długi. Zaraz jednak poderwał się na nogi i nisko pochylony w dwóch susach wypadł na dwór.

Gillette uklęknął i zaczął gorączkowo szukać pistoletu. Po chwili zauważył go w kącie pod zlewem. Na czworakach dał nura w tamtą stronę, zacisnął palce na kolbie i skoczył do wyjścia. Kiedy wybiegł zza rogu, napastnik wraz z kobietą wskakiwali właśnie do samochodu stojącego przed fordem taurusem. Było za późno. Nie miał żadnych szans, żeby ich dopaść.

Przykucnął więc, objął rękoma kolana i zaczął głęboko oddychać. Koniecznie musiał jak najszybciej znaleźć nową ochronę osobistą.

10

Bodziec ekonomiczny. Jeśli jesteś przekonany, że otaczający cię ludzie kierują się swoim najlepiej pojętym interesem ekonomicznym, masz tylko jedno wyjście, gdy zależy ci na ich powodzeniu: dobrze ich opłacić. Lepiej, niż mogliby zarobić gdzie indziej.

Na tym polega kapitalizm.

Na tym także polega zdrowy rozsądek.

- Christianie?

Gillette oderwał wzrok od ekranu monitora i popatrzył na swoją asystentkę Debbie Long. Stała w drzwiach gabinetu, z ręką na klamce, a w drugiej trzymała notatnik i długopis.

Była młoda i zgrabna, miała dwadzieścia osiem lat, krótkie ciemnoblonde włosy i figurę modelki. Ale była lesbijką. Tom McGuire potwierdził tę informację, zanim Gillette ją zatrudnił. Nie istniało więc między nimi żadne napięcie seksualne, na czym jemu bardzo zależało. Dążył do idealnych relacji służbowych. Wolał uniknąć niebezpieczeństwa, że ona zagnie na niego parol albo jemu nagle strzeli do głowy coś głupiego.

Debbie świetnie wywiązywała się ze swoich obowiązków. Była pracowita, lojalna, gotowa poświęcić mu nawet wolny czas. Często pracowała zresztą po pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt godzin tygodniowo i nigdy się nie skarżyła. Miała najbardziej pozytywne nastawienie do pracy zawodowej, z jakim się do tej pory zetknął. Chyba nigdy nie miewała złych humorów - albo nigdy niczego po sobie nie pokazywała. Krótko mówiąc, była idealna.

Dlatego Gillette dobrze jej płacił, sto tysięcy dolarów rocznie, nie licząc sowitych premii, które w ubiegłym roku wyniosły pięćdziesiąt tysięcy. Nawet jak na warunki nowojorskie były to niezłe dochody sekretarki, która nigdy nie musiała wczesnym rankiem korzystać ze szczoteczki do zębów swego szefa. Skłaniał się ku temu, żeby w styczniu wypłacić jej jeszcze wyższą premię, siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, by w ten sposób dać

do zrozumienia, że wciąż może liczyć na takie bodźce finansowe, o ile tylko nie zmieni swojego stosunku do pracy. Mógł jej również wyznaczyć jakiś drobny odsetek od zysków. Wiedział, że Cohen i Faraday głośno oprotestowałyby ten pomysł, ale nic go to nie obchodziło. W końcu teraz to było jego przedstawienie.

- O co chodzi? - zapytał szorstko.

- Ja też ci życzę miłego dnia.

Nadal nie mógł zapomnieć o wieczornych wydarzeniach w New Jersey, tym bardziej że chciał z samego rana podjąć jakieś działania.

- Posłuchaj, Debbie...

- Nie zalewaj, Chris, tylko się rozchmurz - przerwała mu. Przez chwilę spoglądała jej prosto w oczy.

- Któregoś dnia pójdziemy razem na obiad, żebyś mogła mi wytłumaczyć, co powinienem robić, aby mieć do wszystkiego tak cholernie pozytywne nastawienie.

Nigdy nie wychodzili razem z biura. Był to jeden z elementów ich niepisanej umowy co do ściśle służbowych wzajemnych stosunków.

- Nic z tego - odparła szybko.

- Czemu?

- Bo nie zniosłbyś tego, co miałabym ci do powiedzenia.

- Jestem gotów znieść...

- Przyszedł twój gość umówiony na dziesiątą - ucięła.

Pokręcił głową i uśmiechnął się. W rzeczywistości był zadowolony, że zgodnie z żelaznymi zasadami nie przyjęła zaproszenia na obiad.

- Świetnie. Wprowadź go.

Debbie odsunęła się na bok i ruchem ręki zaprosiła gościa do gabinetu.

Chwilę później przecisnął się obok niej atletycznie zbudowany Afroamerykanin. Był ubrany na czarno, miał na sobie golf, marynarkę, wełniane spodnie i pantofle. Krótko ostrzyżony i zadbane, roztaczał aurę wielkiej pewności siebie, jakby nic w jego świecie nie poruszało się szybciej, niż on sobie tego życzy.

Gillette wskazał mu róg gabinetu, gdzie stały dwa głębokie fotele przedzielone małym stolikiem kawiarnianym.

- Tam porozmawiamy. - Obejrzał się na Debbie. - Trzymaj wszystkich z dala ode mnie, dopóki nie skończymy. Absolutnie wszystkich, bez wyjątku.

Skinęła głową, poważniejąc błyskawicznie wskutek nagłej zmiany brzmienia jego głosu.

- Dobrze.

Zaczekał jeszcze, aż Debbie zamknie za sobą drzwi, po czym podszedł do gościa i wyciągnął rękę na powitanie. Kiedy uścisnęli sobie dłonie, poczuł, jak olbrzymią siłą fizyczną tamten dysponuje.

- Christian Gillette.

- Cjuentin Stiles.

- Proszę usiąść. - Wskazał mu miejsce w fotelu. - Napije się pan czegoś?

- Nie, dziękuję.

- Jestem bardzo wdzięczny, że Jeremy Cole skontaktował nas ze sobą - zaczął, gdy obaj usiedli. Piłkarz zadzwonił do niego wieczorem z informacją, że znalazł kogoś z doskonałą reputacją. - Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać w tak krótkim terminie.

- To nie kłopot. Moje biuro mieści się na Manhattanie. Gillette podniósł ze stolika butelkę wody mineralnej.

- Jakie masz doświadczenie, Quentin?

- Pięć lat służby w formacjach Rangersów, następnie trzy w służbach specjalnych. Od pięciu lat działam na własną rękę w sektorze prywatnym.

- Jak się nazywa twoja firma?

- QS Security.

- Masz znanych klientów?

- Chociażby prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Chodzi mi o okres po odejściu ze służb specjalnych.

- Saudyjską rodzinę królewską, ilekroć ktoś z niej przyjeżdża na Manhattan. Poza tym Madonnę, Michaela Jordana, kilku znanych graczy futbolu, między innymi Jeremy'ego Cole'a, zwłaszcza teraz, gdy załatwił mu pan tak wielki kontrakt. Znalazłoby się jeszcze kilka znanych nazwisk.

- Ilu ludzi zatrudnia QS?

- Czterdziestu. Nie należę do tych właścicieli agencji, którzy okresowo zatrudniają przypadkowych ludzi do pomocy, gdy trafi im się równocześnie kilka większych zleceń. Przyjmuję ich tylko tyle, ile dam rady obsłużyć ludźmi, których sam przeszkoliłem i którzy dobrze rozumieją, jak się działa w tej branży.

- Straciłeś kiedyś klienta? - zapytał Gillette, pociągnąwszy łyk wody z butelki.

- Nigdy.

- A kiedykolwiek było blisko?

- Co znaczy blisko?

- Czy któraś z ochranianych przez was osób została ranna?

- Nie.

- Ale zdarzały się ataki?

- Oczywiście.

- Ty sam zostałeś kiedyś postrzelony?

- Tak. - Stiles bez ceregieli rozchylił poły marynarki, podciągnął golf i pokazał mu starą ranę postrzałową przy pępku, a potem drugą, z lewej strony dolnej części klatki piersiowej.

Gillette zapatrzył się na te blizny, próbując sobie wyobrazić, co by czuł, gdyby wczoraj wieczorem trafił go któryś z pocisków.

- Dlaczego odszedłeś ze służb specjalnych?

- Za kiepsko płacili.

- Jaka jest twoja stawka?

- Dwa tysiące za dzień plus wydatki. Dodatkowy tysiąc dziennie za każdego następnego ochroniarza.

Gillette aż gwizdnął cicho.

- Musisz być dobry.

- Jestem bardzo dobry.

- Ale raczej małomówny, prawda?

- Moim klientom z reguły nie zależy na rozmowie. Troszczą się głównie o swoje bezpieczeństwo. - Stiles obrzucił szybkim spojrzeniem gabinet. - Jeśli szuka pan kogoś do towarzystwa, mogę dać panu kontakt do innej firmy. Też bardzo dobrej. Nie zadają żadnych pytań.

- Dziękuję, ale nie skorzystam. - Gillette pociągnął następny łyk wody. - Ale proszę zostawić kontakt do siebie u mojej sekretarki.

Był gotów zaangażować Stilesa. Coś w postawie tamtego robiło na nim wrażenie. A mimo skłonności analitycznych Gillette przez lata pracy nauczył się też ufać swoim przeczuciom.

- Jak będę wychodził, zostawię nie tylko swoje numery telefonów, ale i ludzi, z którymi pracuję.

- Doskonale.

- Cóż to za zlecenie? - zapytał Stiles.

- Moja całodobowa ochrona osobista.

- Na jak długo?

- Nie wiem.

- W takim razie to będzie kosztowało po trzy tysiące dziennie. Muszę stosować zwiększoną stawkę, jeśli zlecenie jest bezterminowe.

Gillette pospieszenie obliczył w myślach, że będzie go to kosztowało prawie sto tysięcy dolarów miesięcznie, i to tylko za jednego ochroniarza, bo stawka jeszcze podskoczy o tysiąc dziennie, jeśli zajdzie potrzeba wzmocnienia ochrony. Drogo, ale nie miał innego wyjścia.

- W porządku.

- Dlaczego? - zapytał znowu Stiles po kilku sekundach.

- Co dlaczego?

- Dlaczego potrzebuje pan osobistej ochrony?

- Ktoś podłożył bombę w mojej limuzynie. - Na razie wolał nie wspominać o wydarzeniach z wczorajszego wieczoru.

Stiles obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Chodzi o tę eksplozję przed kościołem na Park Avenue?

- Tak.

- Słyszałem o niej. - Pokręcił głową. - I czekał pan aż trzy dni, żeby się skontaktować z kimś z mojej branży?

- Nie. Między innymi jesteśmy właścicielami firmy zajmującej się ochroną osobistą. Wiceprezes tej agencji oddelegował swoich ludzi, żeby mnie chronili.

- O jakiej firmie mowa?

- McGuire & Company. Słyszałeś o niej?

- Oczywiście. - Na twarzy gościa odmalowało się zdumienie. - Skoro to pan jest właścicielem agencji, a Tom McGuire już oddelegował kogoś do pańskiej ochrony, to dlaczego skontaktował się pan ze mną?

Gillette bardzo się ucieszył, że Stiles zna agencję McGuire & Company i wie, kim jest Tom McGuire.

- Wczoraj wieczorem zostałem zaatakowany - odparł cicho. - Jakaś kobieta...

- Proszę przestać - rzekł stanowczo Stiles, sięgając po leżące na stoliku pilota. Wymierzył go w odbiornik stojący w odległym rogu pokoju, włączył telewizor, ustawił dosyć głośno, po czym przysunął swój fotel bliżej Gillette. - Teraz słucham. Ale proszę mówić cicho.

- O co chodzi? - zapytał Gillette odruchowo, ale domyślał się już, co tamten podejrzewa. To także bardzo mu się spodobało.

- Proszę mówić jeszcze ciszej.

Gillette pochylił się w stronę Stilesa i powtórzył z udawanym zdziwieniem:

- O co chodzi?

- Gdzie wczoraj wieczorem był ten człowiek McGuire'a, kiedy został pan zaatakowany?

- Nie było go przy mnie.

- Zatem pańskiej ochrony osobistej nie było na miejscu zdarzenia w chwili ataku? - Stiles w zamyśleniu odłożył pilota z powrotem na stolik.

- Uciekłem mu na Manhattanie. Jestem dość dobrym kierowcą, skoro już o tym mowa.

- W takim razie mam istotne pytanie i jedną uwagę.

- Słucham.

- Zacznę od pytania.

- Jasne.

- Dlaczego wymknął się pan ochronie?

- Musiałem załatwić pewną sprawę osobistą. Stiles zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- Panie Gillette, jeśli mam panu zapewnić ochronę, nie może być między nami żadnych tajemnic. Muszę wiedzieć o panu wszystko. Obiecuję jednak... - urwał i podniósł prawą rękę, jakby składał przysięgę przed sądem -...że nikt nigdy nie dowie się niczego ode mnie na pański temat. Absolutnie nikt.

Gillette popatrzył mu prosto w oczy. Ochroniarz roztaczał wokół siebie atmosferę, która skłaniała do pełnego zaufania.

- To ma związek z kobietą - wyjaśnił, doszedłszy do wniosku, że ta częściowa prawda powinna zaspokoić ciekawość Stilesa.

- Rozumiem. A teraz moja uwaga. Sam fakt, że zdołał się pan wymknąć ochronie, wiele mówi. Przy całym szacunku dla pańskich umiejętności prowadzenia pojazdów, mogę już teraz zapewnić, że ani mnie, ani żadnemu z moich ludzi nie zdoła się pan wymknąć w żadnych okolicznościach. Czy wyrażam się jasno?

Od razu poczuł się bezpieczniej.

- Tak. - Dopiero teraz uderzyło go, że faktycznie bardzo łatwo uwolnił się od ochrony pracownika McGuire'a.

- Dobrze. Wróćmy więc do pytania, dlaczego komuś miałyby zależeć na wysadzeniu w powietrze pańskiej limuzyny?

- Tego nie wiem.

- I nie domyśla się pan?

Przez następnych pięć minut Gillette opisywał gościowi Everest Capital i wydarzenia z ubiegłego tygodnia. Tłumaczył, czym zajmuje się spółka i jakimi gigantycznymi funduszami zarządza pod jego kierownictwem. Opowiedział o podejrzanych okolicznościach śmierci Billa Donovana i o tym, jak został wybrany na nowego prezesa większością zaledwie jednego głosu. Zaakcentował to, że sporo ludzi zapewne ucieszyłoby się z jego śmierci, jak i to, że bardzo mało było takich, którym mógł zaufać. Z zasady nie ufał więc nikomu.

- Proszę opowiedzieć mi dokładnie, co się wydarzyło wczoraj wieczorem - rzekł stanowczo Stiles. - Jak doszło do tego, że do pana strzelano.

Kilka minut zajęła mu szczegółowa relacja z wypadków w New Jersey.

- Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że padłem przypadkową ofiarą próby kradzieży samochodu - dodał na zakończenie.

- Jakim autem pan jechał?

- Fordem taurusem z wypożyczalni. Stiles pokręcił głową.

- Złodzieje nie organizują takich akcji, żeby ukraść taurusa, dlatego szczerze wątpię, by mogła to być nieudana próba kradzieży samochodu. Zwłaszcza że napastnicy zjawili się na miejscu dwoma autami i od razu otworzyli ogień, zanim jeszcze zmusili pana do ucieczki na stację benzynową. To nie miało najmniejszego sensu. Tak więc musiało im chodzić o pana. Bez dwóch zdań - zawiesił na chwilę głos. - Ile pan jest w sumie wart, panie Gillette?

- Bardzo dużo. A teraz, po śmierci Donovana, zdecydowanie więcej niż do tej pory.

Stiles wymierzył w niego palec wskazujący.

- Innymi słowy, pan także miał wyraźny motyw do tego, żeby usunąć Donovana ze swej drogi?

Gillette popatrzył na niego podejrzliwie.

- Naprawdę podobają mi się twoje próby zbliżenia z potencjalnym klientem, Cjuintin.

- Mam zwyczaj nazywać rzeczy po imieniu - odparł Stiles spokojnie.

- Skoro już do tego doszliśmy, mów mi po imieniu, Christian.

- Nie zwykłem się bratać ze swoimi klientami. Proszę lepiej odpowiedzieć na moje pytanie. Ile pan jest wart?

- Około siedemdziesięciu milionów dolarów.

W uzupełnieniu udziałów w funduszach inwestycyjnych, które Cohen wyceniał na sześćdziesiąt milionów, Gillette w czasie dotychczasowej kariery w Everescie zdołał zgromadzić na koncie dalsze dziesięć milionów pochodzące z pensji, premii oraz wypłat z zysków ze sprzedaży firm podległych spółce.

Stiles przyjął to bez mrugnienia okiem.

- O ile wzrosła ta wartość wskutek śmierci Donovana?

- O miliardy.

To również zostało odebrane z kamienną miną, co tym bardziej spodobało się Gillette'owi.

- Przez sam fakt objęcia stanowiska prezesa Everestu?

- Jeśli tylko uda mi się utrzymać na tym stanowisku.

- Gdyby na pańskim miejscu znalazł się ktoś inny, jego życie także byłoby warte miliardy dolarów?

- Tak.

Stiles podniósł pilota, wyłączył telewizor, po czym wstał z fotela i wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Miło mi było pana poznać, panie Gillette. Zostawię u pańskiej sekretarki obiecane numery telefonów i będę czekał na wiadomość od pana.

Gillette także wstał i uściśnął mu dłoń.

- Mógłbym zobaczyć pańską broń?

Kiedy Stiles pokazywał mu blizny, dostrzegł tylko koniec kolby wystającej z kabury.

Tamten odchylił połę marynarki, ponownie odsłaniając kaburę podramienną i wystającą z niej czarną kolbę pistoletu.

- Co to za typ? - zaciekawiał się Gillette.

- Glock, czterdziestka.

- Mógłbym go obejrzeć?

Stiles wyciągnął pistolet z kabury, wyjął z niego magazynek i podał mu broń.

- Nie oddałbyś mi naładowanej broni, prawda?

- Nie.

Obrócił w rękę pistolet, zaciskając palce na kolbie. Przypadł mu do gustu jego ciężar i wrażenie pewności, jakie niósł ze sobą. Po chwili oddał broń Stilesowi, który załadował magazynek i wprawnym ruchem schował glocka do kabury.

- Wynajmuję cię, Gjuentin - rzucił Gillette, gdy Stiles skierował się już do wyjścia. - Chciałbym, żebyś zaczął od zaraz.

Ten przystanął i odwrócił się.

- Przykro mi, panie Gillette, ale najpierw muszę się zająć kilkoma pilnymi sprawami.

- Proszę je zlecić komuś ze swoich ludzi.

- To niemożliwe. Muszę...

- Zapłacę po pięć tysięcy za każdy dzień i dodatkowo dwa tysiące za wykorzystanie drugiego ochroniarza. Musi pan jednak zacząć od zaraz.

Stiles przez chwilę mierzył go wzrokiem, po czym jeszcze raz omiół uważnym spojrzeniem cały gabinet, jakby nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- W porządku - odparł, cofając się o parę kroków. Podał Gillette'owi swoją wizytówkę i wyjaśnił: - Najbliższe pół godziny przesiedzę z pańską sekretarką, omawiając rozkład pańskich zajęć i codzienne przyzwyczajenia. Przed końcem dnia będę chciał uzyskać dostęp do pańskiego gabinetu, żeby sprawdzić, czy nie ma tu urządzeń podsłuchowych. Proszę dzwonić, jeśli będę panu potrzebny.

Zawrócił na pięcie i wyszedł.

Gillette podszedł do biurka i rzekł przez interkom:

- Debbie, poproś do mnie Bena. I przekaz panu Stilesowi wszelkie informacje, o które poprosi.

- Naprawdę wszystkie?

- Tak, bez wyjątku - potwierdził, sprawdzając już na kanale Bloomberg aktualne ceny akcji. Wartość udziałów Dominion S&L spadła od rana o 3 procent, lecz ogólnie interesy szły nieźle. Jakiejś łyżki dziegciu w beczce miodu można się było obawiać dopiero po ogłoszeniu zapowiadanych nowych regulacji Białego Domu.

Kilka minut później do gabinetu wszedł Cohen i usiadł bez zaproszenia.

- Co to za facet rozmawia z Debbie? - zapytał.

- Niejaki Quentin Stiles. Od tej pory będzie moim osobistym ochroniarzem. Zapłacimy mu po pięć tysięcy dolarów dziennie plus koszty.

- Po pięć tysięcy dziennie?!

- I dodatkowe dwa tysiące w razie konieczności skorzystania z pomocy innego agenta. Jeszcze dziś po południu podpiszesz z nim kontrakt.

- Przecież Tom McGuire wyznaczył ci swoich ludzi do ochrony - zaprotestował Cohen.

- Potrzebna mi niezależna ochrona - odparł stanowczo Gillette. - Nie chcę ludzi Toma, twoich czy jakichkolwiek innych, tylko swoich własnych.

- Wygląda mi to na jeden wielki non sequitur. Gillette podniósł się zza biurka, chcąc wrócić do kwestii używania łacińskich sekwencji w biurach Everestu, ale szybko się opanował.

- Nie zamierzam na ten temat dyskutować. - Nie chciał mu opowiadać o wczorajszej strzelaninie. W końcu z niczego nie musiał się przed nim tłumaczyć. W gruncie rzeczy nie musiał się tłumaczyć przed nikim. - Jasne? Cohen skrzywił się boleśnie.

- Jasne.

- To dobrze. - Ponownie skupił się na transmisji kanału Bloomberg. W ciągu tych paru minut akcje Dominion spadły o dalsze dwadzieścia centów. - Przygotowałeś już pieniądze dla tych poszkodowanych dzieci?

- Tak, wszystkim się zająłem.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

- A co ze sprawą dotyczącą Faith? - Poprzedniego popołudnia prosił Cohena o sprawdzenie rewelacji Toma McGuire'a na temat Cassidy. - Znalazłeś coś?

- Owszem. - Cohen przerzucił parę kartek notatnika. - Wpływy ze sprzedaży jej ostatniego albumu są o trzydzieści procent niższe w porównaniu ze sprzedażą pierwszej płyty w analogicznym okresie.

- Kiedy został wydany ten drugi album?

- Parę tygodni temu.

- I przez ten czas wstrzymane były negocjacje nad jej kontraktem?

- Tak - odpowiedział Cohen. - Przynajmniej tak twierdzi radca prawny wydawnictwa płytowego.

- Uzyskałeś od niego szczegółowe informacje co do wysokości funduszy na reklamę i promocję tego drugiego albumu w porównaniu z wcześniejszymi?

Cohen w zamyśleniu pokiwał głową.

- Zostały zmniejszone o połowę.

- O połowę? Nie powiedział dlaczego?

- Nadal to sprawdza.

- Kutas - mruknął Gillette pod nosem.

- Słucham? - ożywił się nagle Cohen.

- Nic takiego.

Zatem sytuacja wyglądała dokładnie tak, jak opisał to McGuire. Donovan mścił się na Faith za to, że nie dała mu w limuzynie tego, na co liczył. Za wszystkimi decyzjami stała żądza odwetu, nic poza tym.

- Kiedy będziesz się znowu z nią widział? - zapytał Cohen.

- Poleciała na zachodnie wybrzeże, na jakiś wywiad. Ma wrócić dziś wieczorem albo jutro.

- Bądź ostrożny.

- Nie martw się, Ben. - Gillette sprawdził jeszcze inne ceny na ekranie. - Miałeś mi też przedstawić najnowsze dane dotyczące Laurel Energy, pamiętasz? Skończyli już tę serię badań sejsmicznych?

- Tak, ale stało się coś dziwnego - odparł Cohen, kręcąc głową.

Gillette oderwał wzrok od ekranu komputera.

- To znaczy?

- Wczoraj wieczorem odnaleziono porzucony samochód kierownika ekipy badawczej osiemdziesiąt kilometrów na północ od Amachuck, tej dziury, gdzie mają jednego konia i zero telefonów. Kasety z zapisami badań sejsmicznych były w skrzynce pod siedzeniem, ale kierowcy nie znaleziono nigdzie w pobliżu. Przepadł bez śladu.

- Ale kasety dotarły do laboratorium?

- Tak, właśnie trwa analiza wyników.

- Masz pojęcie, co się mogło stać z tym człowiekiem? Cohen wzruszył ramionami.

- W jego samochodzie padł akumulator. Przez cały wczorajszy dzień na tamtym terenie była śnieżycy. Nasi ludzie podejrzewają, że próbował kontynuować trasę pieszo. Ale przecież bywał już w tamtych okolicach kilka razy, musiał zdawać sobie sprawę, że od najbliższych osad ludzkich dzieli go osiemdziesiąt kilometrów. Powinien był zostać w samochodzie. Każde inne działanie byłoby przejawem głupoty.

Gillette przez kilka sekund wpatrywał się w Cohena, wreszcie spytał w zamyśleniu:

- Mówisz, że w jego aucie padł akumulator? Cohen spojrzął do notatnika.

- Tak mi powiedziano. Nasi ludzie odnaleźli wóz z kluczykami w stacyjce. Próbowali go uruchomić, ale bezskutecznie.

- Jak akumulator może paść w czasie jazdy? Przecież... jeśli silnik pracuje, stan akumulatora nie ma żadnego znaczenia, prawda?

- Chyba tak. Nie znam się specjalnie na samochodach.

- Dlaczego ktoś jadący przez pustkowie miałby wyłączać silnik i doprowadzać do wyczerpania akumulatora?

Cohen ponownie wzruszył ramionami.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Daj mi znać, jak tylko przyjdą wyniki z laboratorium - polecił Gillette.

- Oczywiście.

- Kontaktowali się już z tobą prawnicy U.S. Petroleum?
- Już wczoraj dzwoniли do naszego działu prawnego w sprawie zakładu obsługi wierceń terenowych. Richardowi Harrisowi musi naprawdę zależeć na Laurel.
- Owszem - przyznał Gillette. - Może wie o czymś, o czym my nie wiemy?
- Sądzisz, że to możliwe?
- Nie wiem. Posłuchaj, ty, Faraday i ja mamy się spotkać później w celu omówienia warunków awansu Kyle'a i Marcie.
- Co tu omawiać? - burknął tamten. - Przecież podjąłeś już decyzję.
- Przytaknął ruchem głowy.
- Zgadza się, podjąłem.
- A w dodatku nie chcesz się zgodzić, bym został prezesem którejś z należących do nas firm.
- Już to omawialiśmy, Ben - odparł stanowczo. - Masz się skoncentrować na pracy biura. Będziesz kierował wszelkimi pracami tutaj, w siedzibie Everestu. Jesteś mi do tego niezbędny, gdyż oprócz kierowania podległymi nam przedsiębiorstwami, pomogę Faradayowi w gromadzeniu nowego funduszu.
- W porządku - mruknął niechętnie Cohen po dłuższej pauzie. - Nie podoba mi się taki podział ról, ale go przyjmuję.
- To dobrze.
- I wiesz dobrze, że wywiążę się ze swoich obowiązków najlepiej, jak potrafię.
- W to nie wątpię, pomyślał Gillette. Pod tym względem na Cohena zawsze można było liczyć. Jeśli brał na siebie jakieś zadanie, starał się wywiązać z niego jak najlepiej, czy mu się ono podobało, czy nie.
- Wiem.
- Lecz skoro tak już ma wyglądać podział obowiązków, pracownicy biura powinni wiedzieć, że to ja wydaję polecenia.
- Jutro rano wszystkich o tym powiadomię - zapewnił go Gillette.
- To nie wystarczy.
- Jak mam to rozumieć?
- Potrzebne mi konkretne stanowisko.
- Stanowisko?
- Tak.
- Przecież jesteś już współnikiem zarządu.

- Ale do tego muszę być dyrektorem naczelnym. Gillette zamyślił się, wydymając wargi. Nie powinno być z tym żadnego problemu. Jeśli Cohen chciał zostać dyrektorem naczelnym biura Everestu, należało spełnić jego zachciankę. Poczłł nawet wdzięczność do kolegi za zgłoszenie gotowej propozycji, dzięki czemu obaj mieli ułatwioną drogę do tego, na czym im zależało.

- W porządku. Od dzisiaj, Ben, jesteś dyrektorem naczelnym.

Richard Harris stał na zatłoczonym skrzyżowaniu w Dallas, czekając na zielone światło. Mógł wysłać swoją sekretarkę po zamówioną telefonicznie kanapkę z pieczenią wołową i wędzonym żółtym serem, ale bar znajdował się zaledwie kilkaset metrów od nowej, sześćdziesięciosiedmiopiętrowej siedziby U.S. Petroleum, postanowił więc wykorzystać piękną słoneczną pogodę i pójść pieszo. Mały spacer powinien mu dobrze zrobić. A przede wszystkim ukoić wyrzuty sumienia za porcję sałatki ziemniaczanej, którą zamierzał sobie kupić do kanapki.

Obejrzał się przez prawe ramię na wieżowiec, który od dwóch lat był jego oczkiem w głowie. Wyglądał naprawdę imponująco, dominując na tle błękitnego nieba nad Dallas. A przecież w ciągu miesiąca prawdopodobnie wzbogaci jeszcze swoją kolekcję trofeów o Laurel Energy, pomyślał, uśmiechając się szeroko. Christian Gillette uważał się za wprawnego negocjatora, ale był młody i musiał się jeszcze sporo nauczyć w kwestii odwracania uwagi i skrywania prawdziwych motywów. Pewnie już niedługo miał dorównać umiejętnościami Donovanowi, na razie jednak trochę mu brakowało.

Kiedy autobus dalekobieżny zjechał na prawy pas, mężczyzna w tłumie przechodniów zrobił krok do przodu i popchnął Harrisa. Nawet niezbyt mocno. W zasadzie niby przypadkiem trącił go tylko ramieniem w plecy, ale to wystarczyło, żeby tamten stracił równowagę i zszedł z krawężnika zaledwie trzy metry przed maską rozpędzonego autobusu.

Harris nawet się nie zorientował, jakim cudem znalazł się na jezdni przed wszystkimi. I nie zdążył już tego sprawdzić. Uderzony z impetem, potoczył się po jezdni bezwładnie jak szmaciana lalka. Nie żył już, zanim zdążył znieruchomieć dobre sto metrów od miejsca, gdzie został potrącony przez autobus.

W powstałym zamieszaniu mężczyzna, który natarł na niego ramieniem, oddalił się niepostrzeżenie skapaną w popołudniowym słońcu ulicą.

Poprzedniego wieczoru spartaczył robotę. Gillette uszedł z życiem z zasadzki. Dzisiaj jednak było zupełnie inaczej. Harris zginął na miejscu.

Nadeszła więc pora, żeby ostatecznie rozprawić się z Gillette'em.

II

Wspólnicy. Najtwardszy orzech do zgryzienia.

- Zamknij drzwi - rzekł Gillette do Debbie, wchodząc do niewielkiej sali konferencyjnej sąsiadującej z gabinetem byłego prezesa, w której Donovan zawsze zwoływał narady z zarządem spółki.

Zrobiło mu się nagle głupio, że starego nie ma już między nimi. Poczul się tym bardziej nieswojo, że w ogóle dopadła go taka refleksja. Nigdy nie kierował się przecież sentymentami.

Rzeczy osobiste Donovana spakowano już i odesłano do jego posiadłości, wszelkie dokumenty i inne materiały związane z Everestem z jego biurka oraz regału posegregowano i skatalogowano. Gillette miał się tu przenieść jeszcze w tym tygodniu. Nie przepadał specjalnie za tym wielkim gabinetem, ale był do tego zmuszony. Jako prezes spółki musiał urzędować w najbardziej okazałym pokoju, żeby wszyscy od razu wiedzieli, z kim mają do czynienia.

- Mamy sporo spraw - dodał, robiąc sekretarce miejsce obok siebie.

Zamierzał równie szybko i sprawnie jak Donovan omawiać bieżące kwestie. Poza nimi w sali byli tylko Cohen i Faraday. Po raz pierwszy od pogrzebu spotykali się w ścisłym gronie zarządu spółki.

- Co ona tu robi? - zapytał ostro Faraday, chyba z jeszcze silniejszym brytyjskim akcentem niż dotychczas.

Przez lata Gillette nauczył się rozpoznawać przyczyny rozmaitych odcieni brzmieniowych akcentu Faradaya. Nie ulegało wątpliwości, że dzisiaj jest poirytowany.

- Będzie sporządzała notatki do raportu z tego spotkania.

- Bili nigdy nie przyprowadzał swojej sekretarki do robienia notatek.

- I może to był jego błąd? - Gillette popatrzył z ukosa na wspólnika, w głębi ducha zadowolony, że znalazł wcześniej czas, aby wyjść z biura i zaopatrzyć się w nowe szkła kontaktowe. Widok już nie rozmywał mu się przed oczami. Miał więc okazję, by dobrze przyjrzeć się również Stilesowi w akcji, dzięki czemu ochroniarz wywarł na nim jeszcze większe wrażenie. - Nie rozmieniajmy się na drobne, Nigel - rzucił, zwróciwszy uwagę na wyraźne zacięcie po goleniu na szczęcie Faradaya.

- Skoro już o tym mowa - podjął tamten - zgłaszam wniosek, byśmy teraz, po odejściu Billa, zaczęli się ubierać na sportowo. Już nikt w Nowym Jorku nie przestrzega starych zasad dotyczących stroju, a przyznam szczerze, że serdecznie znudziły mi się garnitury i krawaty.

Gillette pokręcił głową. Podobnie jak Donovan był zwolennikiem tradycyjnych ubiorów w biznesie. Wierzył, że człowieka w garniturze rozmówcy muszą traktować poważnie.

- Nie zgadzam się.

- Nie bądź taki sztywny, Christianie - mruknął ironicznie Faraday, posyłając mu nerwowe spojrzenie. Zaraz jednak przeniósł wzrok na Cohena i zapytał: - Co o tym sądzisz, Moses? Nie wolałbyś się ubierać na sportowo?

- Decyzja zależy wyłącznie od Christiana.

- Zgadza się. Pytałem tylko, co o tym sądzisz. Cohen wzruszył ramionami.

- Dla mnie to bez znaczenia. Faraday jęknął głucho.

- Nie mógłbyś choć raz mieć w jakiejś sprawie własnego zdania?

- Hej, przecież...

- Co to za czarny gość kręci się dziś po biurze od samego rana? - Faraday szybko zmienił temat. - Wygląda, jakby mógł mnie złamać na pół ledwie dwoma palcami.

- To Quentin Stiles - odparł Gillette, rozbawiony łatwością, z jaką wspólnik przeszedł od jednej sprawy do drugiej. Pod tym względem miał naturę wytrawnego domokrażcy. - Mój nowy osobisty ochroniarz. - To, że Faraday zapytał o Stilesa świadczyło wyraźnie, iż stosunki między nim a Cohenem oziębły po ich przegranej w wyścigu do fotela prezesa. Cohen wiedział przecież, kim jest Stiles, ale widocznie nie powiedział o tym Faradayowi. Zresztą, nigdy się za bardzo nie lubili. Można się było tylko obawiać, że stworzą jakąś swoistą koalicję przeciw niemu po tym, co się stało w ubiegłym tygodniu. Ucieszyło go więc, że nie doszło do żadnej koalicji. - Od dziś Stiles będzie mi towarzyszył na każdym kroku.

- Sądziłem, że twoją ochroną zajmuje się agencja Toma McGuire'a - burknął Faraday.

- Po tym, co się stało, potrzebowałem dodatkowych wyćwiczonych oczu i uszu.

- Aha. A co z gabinetem Billa? Zamierzasz go zająć? Bo jak nie, to się chętnie do niego przeniosę - rzucił ochoczo. - Prawdę mówiąc, nawet powinienem go dostać. W końcu to ja jestem w tym gronie najważniejszym zbieraczem funduszy inwestycyjnych. I częściej od was spotykam się z inwestorami. Byłoby całkiem logiczne, gdybym to ja go zajął. Zawsze wskazane jest robienie dobrego wrażenia na inwestorach.

- Nie, ja go zajmuję - odparł stanowczo Gillette. - Niemniej dziękuję, że wspomniałeś o inwestorach, dzięki czemu łatwiej będzie nam przejść do punktu pierwszego naszych dzisiejszych obrad. Jest nim powołanie nowego funduszu.

- Nowego? - zdziwił się Faraday.

- Tak. Everest Capital Partners Osiem.

- Sądziłem, że skoro siódmy jest wykorzystany dopiero w połowie...

- Zainwestowaliśmy już ponad pięćdziesiąt procent - rzekł z naciskiem Gillette. - A to oznacza, że mam prawo przystąpić do gromadzenia funduszu ósmego w dowolnej chwili.

Faraday obrócił się do Cohena.

- To prawda?

- Tak.

- Już podjąłem wstępne rozmowy, Nigel. Wczoraj rano spotkałem się w tej sprawie z Milesem Whitmanem z North America Guaranty.

Faraday odchylił się na oparcie krzesła i ciasno skrzyżował ręce na piersi.

- Dzięki, że mnie o tym informujesz - mruknął naburmuszony.

- Zależało mi, żeby jak najszybciej ustalić pewne rzeczy, a Miles był chętny do tej rozmowy. Zobowiązał się wpłacić do nowego funduszu półtora miliarda dolarów.

- Półtora miliarda? - powtórzył Faraday z niedowierzaniem.

- Właśnie. Dlatego nie musisz już spotykać się z Milesem. Ja będę się z nim kontaktował bezpośrednio.

- Ale...

- Nie bierz sobie tego do serca - wtrącił szybko Gillette, słysząc wyraźnie pobrzmiwającą w głosie współnika urazę. - I tak będziesz miał ręce pełne roboty ze zgromadzeniem pozostałych trzynastu i pół miliarda.

- Trzynastu... i pół?!

- Owszem.

- Niech to szlag... Naprawdę masz zamiar zgromadzić fundusz wynoszący aż piętnaście cholernych miliardów?

- Tak.

- Jeszcze nikt nigdy nie zgromadził tak ogromnego prywatnego funduszu.

- Będziemy więc pierwsi - odparł rzeczowo. - Nawiasem mówiąc, Paul Strazzi chce z nami konkurować i w tym samym czasie zgromadzić dla Apexu fundusz dziesięciomiliardowy.

- To pocieszająca wiadomość.

- Więcej optymizmu, Nigel. Faraday zasalutował mu teatralnie.

- Tak jest, kapitanie. Ale czy na przyszłość mógłbyś mnie przynajmniej informować o planowanym spotkaniu z jednym z naszych najpoważniejszych inwestorów? Wyszlibyśmy na zafaj danych amatorów, gdybym do któregoś z nich teraz zadzwonił i usłyszał w odpowiedzi, że ty już się z nim kontaktowałeś.

- Oczywiście - zgodził się Gillette. - Spotkamy się później i ustalimy szczegóły. Będziesz musiał dobrać sobie do pomocy co najmniej jedną osobę. Lepiej dwie.

- Może nawet trzy.

- Jak już powiedziałem, szczegóły ustalimy później. - Gillette powiódł wzrokiem po sali. - Przechodzimy do następnego punktu. Zgodziłem się odsprzedać U.S. Petroleum Laurel Energy za miliard dolarów. Zainwestowaliśmy w ten interes trzysta milionów, więc dla nas to wspaniała transakcja. Zarobimy na czysto siedemset milionów dolarów. Poza tym dobrze wiadomo, że oferent jest wiarygodny. Nie powinno być żadnych kłopotów z płatnością. - Spojrzał na Cohena. - Ben, poprosiłem Kyle'a, żeby doprowadził tę sprawę do końca.

- Słusznie! - Cohen zapisał to sobie w notatniku.

- Zależy mi, żeby do transakcji doszło jak najszybciej - ciągnął. - Jednakże nie wcześniej niż pierwszego stycznia. Nie chcemy przecież, żeby nasi wspólnicy musieli płacić dodatkowe podatki od zysków za ten rok.

- Rety - bąknął Faraday. - Bili przynajmniej wysłuchiwał naszych uwag co do planowanej sprzedaży którejs z firm, zanim podjął decyzję.

- Oferta spadła jak grom z jasnego nieba. Dostałem ją bezpośrednio od Richarda Harrisa, wiceprezesa U.S. Petroleum, podczas stypy po pogrzebie Billa. Musiałem decydować natychmiast. - To był kolejny dowód, że Cohen nie kontaktował się w tym czasie z Faradayem, żeby zrelacjonować mu wszelkie nowiny. - Ben był obecny przy tym, jak Harris złożył tę propozycję.

- Czy nie powinniśmy zaczekać na wyniki badań sejsmicznych w Kanadzie, zanim zdecydujemy się sprzedać firmę Harrisowi? - zapytał Faraday.

- Będą gotowe w przyszłym tygodniu - odparł Gillette. - Jeśli nam się poszczęści, renegotjujemy wstępną umowę. Jeszcze jakieś pytania?

- Owszem - rzekł Faraday. - Dlaczego Cohen już wie o wszystkim, a ja nie?

- Mianowałem Bena dyrektorem naczelnym biura - wyjaśnił Gillette bez wahania. - W ostatnich dniach sporo się działo, potrzebowałem kogoś, kto będzie mi towarzyszył w negocjacjach. Ponadto ktoś musi się skupić wyłącznie na sprawach biura. Ben najlepiej się do tego nadaje.

Faraday wcisnął ręce do kieszeni i wyraźnie rozzłoszczony odchylił się na oparcie krzesła.

- A co ze stanowiskami w zarządach podległych nam firm? - zapytał lekko piskliwym głosem. - Kto obejmie prezesurę tych przedsiębiorstw, którymi dotąd zarządzali Donovan i Mason?

- Ja zachowam sobie piętnaście z tych dwudziestu siedmiu stanowisk. Pozostałych dwanaście rozdzielimy równo, po sześć, między Kyle'a i Marcie.

Faraday milczał przez chwilę. Wreszcie popatrzył na Cohena i zapytał:

- O tym też wcześniej wiedziałeś? Ten spuścił głowę.

- Tak, Ben wiedział i o tym - przyznał Gillette.

- Chryste!... - wrzasnął Faraday, wyszarpnął prawą rękę z kieszeni i huknął pięścią o stół.

- O Boże! - pisnęła Debbie, upuściła długopis i przycisnęła dłonie do piersi, gdyż pochylona nad notatkami nie zwróciła uwagi na zbliżający się wybuch Faradaya.

- Uspokój się, Nigel - ostrzegł go Gillette.

- Mam się uspokoić? Do diabła, Chris. Podejmujesz bardzo ważne decyzje, a ja dowiaduję się o nich poniewczasie. Tymczasem Cohen jest na bieżąco ze wszystkimi sprawami. W końcu ja też jestem współnikiem zarządu spółki! A ty mi teraz każesz zachować spokój?!

- Dla mnie najważniejsze jest dobro firmy - wyjaśnił spokojnie Gillette. - Jestem teraz jej prezesem.

- To masz się czym cieszyć, do kurwy...

- Nigel! Nie sądzę, aby...

- Nawet o zwolnieniu Masona dowiedziałem się nie od ciebie! - huknął gromkim głosem Faraday.

Gillette popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

- Więc jak się o tym dowiedziałeś?

- Troy do mnie zadzwonił. - Faraday uniósł prawą brew. - Wiedziałeś, że Paul Strazzi tylko czeka, żeby go zatrudnić?

Gillette popatrzył na niego, ale się nie odezwał.

- Ha! - zakrzyknął triumfalnie Faraday. - Jednak nie wiedziałeś!

- Kiedy to się stało? - zapytał spokojnie Gillette.

- Wczoraj. Strazzi zadzwonił do domu Masona zaraz po stypie i zaproponował mu spotkanie. Na miłość boską, Chris, wiedział na długo przede mną, co się stało. Pewnie wiedział o tym jeszcze, zanim ty podjąłeś decyzję w tej sprawie.

Zatem wśród personelu Everestu krył się szczur. Miles Whitman lojalnie ostrzegwał, że Strazzi jest gotów na wszystko, byle tylko zyskać przewagę nad Everestem, a mając swojego informatora w biurze spółki, mógł zawczasu rozplanować każde posunięcie. Bez cienia

wątpliwości Whitman miał rację, trzeba więc było jak najszybciej zidentyfikować zdrajcę. Mógł się tym zająć Quentin Stiles.

Jemu też trzeba było zlecić odszukanie autora mailowej wiadomości, który przestrzegł go przed planowanym zamachem na skrzyżowaniu.

- W dodatku nie chcesz przydzielić Mosesowi ani mnie choćby jednego stanowiska prezesa - ciągnął Faraday przez zaciśnięte zęby. - Zamierzasz awansować Kyle'a i Marcie na współników zarządu i od razu dać im po sześć miejsc w podległych firmach. Przecież to pieprzona bzdura!

Gillette zerknął na Cohena. A więc jednak Ben szepnął przynajmniej parę słów Faradayowi. Choćby tylko w przelocie. Oczywiście nie omieszkał powiedzieć o tym, co i jego najbardziej wkurzało, a więc o planach awansu Kyle'a i Marcie.

- Zgadza się - przyznał. - Zamierzam ich oboje awansować. I chcę też przyznać obojemu po pięć procent od zysków ze sprzedaży.

- Przecież to śmieszne! - pisał Faraday, podrywając się z krzesła. - Nie zasługują na te pięć procent.

- Lepiej zamilcz, Nigel - warknął Gillette. - Kyle i Marcie odznaczają się niezwykleymi zdolnościami. Tom McGuire wyznał mi, że w ciągu minionego pół roku Kyle'a kilkakrotnie próbowali zwerbować wysłannicy innych prywatnych spółek kapitałowych. - Popatrzył na Cohena. - Marcie też, jeśli się nie mylę?

Tamten przytaknął ruchem głowy.

- Więc jeśli ich nie awansuję i nie wyznaczę im jakiejś części zysków, niewątpliwie odejdą. Wówczas będziemy musieli wynajmować nieznanych i niepewnych ludzi z zewnątrz, którzy wycisną z nas więcej niż tych dziesięć procent. - Zawiesił na chwilę głos. - Dlatego lepiej usiądź z powrotem, Nigel.

Faraday powoli osunął się na krzesło, zgrzytając zębami z wściekłości.

- Zamierzam porozmawiać z Marcie i Kyle'em zaraz po tym spotkaniu - dodał Gillette. - Z samego rana powiadomię resztę pracowników o swoich decyzjach pocztą elektroniczną.

- Jaką część przyszłych zysków z funduszu ósmego zamierzasz przydzielić Cohenowi i mnie? - rzucił ze złością Faraday, wciąż nie mogąc odzyskać panowania nad sobą.

- Jezu, Nigel. Powściągnij trochę swoje zapędy - syknął Cohen.

- Pieprz się, Moses. Przecież on zamierza nas wykiwać. To oczywiste.

- Chcę przydzielić wam taką część, na jaką zasługujecie, Nigel - odparł spokojnie Gillette. - Jeśli uda ci się szybko zgromadzić fundusz, na pewno nie pożałujesz. W przeciwnym wypadku będziesz rozczarowany.

- Ile chcesz zatrzymać dla siebie? - zapytał ostro Faraday.

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- Mogę się założyć, do cholery, że więcej niż dwadzieścia procent.

- Jak powiedziałem, nie podjąłem jeszcze... - Gillette urwał nagle, gdyż drzwi się otworzyły i do sali weszła sekretarka Cohena.

Podeszła do niego, pochyliła się i szepnęła mu parę słów na ucho. Benowi szczęka opadła ze zdziwienia.

- Co się stało? - zapytał Gillette. Cohen nie odpowiedział od razu.

- Ben! Pokręcił głową.

- Richard Harris zginął dziś po południu w Dallas - mruknął w osłupieniu. - Zaledwie trzy przecznice od siedziby U.S. Petroleum.

Gillette'a coś nagle ścisnęło za gardło.

- Jak zginął?

Cohen spojrział na swoją sekretarkę, po czym przeniósł wzrok na niego.

- Wpadł pod samochód tuż po wyjściu z biura.

Rysy kolegi rozmyły się przed oczyma Gillette'a. Najpierw Donovan. Potem szef ekipy terenowej w Kanadzie. A teraz Harris.

12

Rząd. Służy i broni, wiernie.

Dopóki ludzie sprawujący władzę nie uznają, że prawdopodobieństwo ujawnienia ich przestępstw jest na tyle znikome, że mogą zaspokoić chęć uzyskania osobistych korzyści. Albo, co gorsza, zaślepia ich ambicja.

Jeśli nigdy nie byłeś obiektem rządowego spisku, nie jesteś w stanie pojąć stopnia frustracji oraz, co za tym idzie, strachu. Jeśli zaś byłeś, musisz wiedzieć, że nawet będąc niewinnym, jesteś narażony na liczne ataki. Bo rząd może uczynić niemal wszystko, jeśli naprawdę chce cię dopaść, i to zarówno w sposób legalny, jak i nie. A ty jesteś niemal całkowicie pozbawiony sposobów obrony.

Wówczas, nawet jeśli przez całe dotychczasowe życie byłeś ateistą, zaczynasz nagle wierzyć w Boga. Bo na tym etapie tylko On może ci pomóc. Staje się twoim jedynym sprzymierzeńcem.

Paul Strazzi, co zrozumiałe, lubił korzystać z owoców swojego bogactwa. Gabinet w siedzibie Apeksu wypełnił eleganckimi sprzętami i antykami, jeździł rollsroyce'em, miał pięciopokojowy apartament na ostatnim piętrze najbardziej prestiżowego wieżowca na Manhattanie oraz rozległą posiadłość w East Hampton, sprowadzał najlepsze wina prosto z Francji, a kubańskie cygara przemycał z Hawany, wykorzystując starego przyjaciela, który znał celników na lotnisku Newark.

Otaczał się zbytkiem. I to na każdym kroku.

Ale ten pokój przypominał więzienną celę. Pozbawiony okna, miał zaledwie trzy na trzy metry. Ściany niepomalowane, umeblowanie stanowiło biurko na żelaznej ramie i dwa rozchwane krzesła. Do tego był wciśnięty w najdalszy kąt porzuconej hali magazynowej w najbardziej niebezpiecznym zakątku Bronksu.

Strazziemiu od razu przypominała się zrujnowana kamienica w East New York, w której się wychowywał. I choć bezgranicznie brzydził się wyglądem tej nory, służyła mu ona do szczególnie ważnych celów. Zapewniała możliwość spotykania się z kimś w całkowitej tajemnicy. Do niedawna, gdy jego rozmówca był jeszcze senatorem Stanów Zjednoczonych, zachowanie ścisłej tajemnicy miało nadzwyczajne znaczenie.

Spojrzał teraz na lewą ścianę, na jedyny element dekoracji, jaki zachował przez te wszystkie lata, by przypominał mu o wzgardzonym dzieciństwie. Oprawiony w tandetną czarną ramkę i zawieszony na kawałku drutu na wbitym w mur gwoździu był to list z towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym odmawiano matce wypłaty odszkodowania potrzebnego na walkę z rakiem.

Kiedy lekarz zdiagnozował jej chorobę, od czterech miesięcy zalegała już ze składkami ubezpieczeniowymi, gdyż musiała przeznaczać każdy grosz na wyżywienie swoich trzech synów. Mężczyzna, dla którego pracowała jako sprzątaczką na Manhattanie, ciągle ją zwodził, obiecując wypłatę zaległego wynagrodzenia w przyszłym tygodniu. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że w ogóle nie zamierza jej płacić. A ponieważ była samotną matką, gdyż ojciec Strazziego porzucił rodzinę przed laty, utraciła nagle jedyne źródło zarobków.

W towarzystwie ubezpieczeniowym nie znalazła ani śladu współczucia. Jej błagalne prośby o zrobienie ten jeden raz wyjątku pozostały bez echa. Pewnego upalnego popołudnia zmarła więc na łóżku w swojej sypialni.

Dzięki matce Strazzi odebrał swoją najważniejszą życiową lekcję. Większość ludzi nie potrafi obudzić w sobie współczucia dla obcych, choć wobec bliskich nigdy im go nie brakuje. I ostatecznie wszystko sprowadza się do pieniędzy.

Stąd też nauczył się tłumić współczucie, pozwalając sobie na nie tylko w stosunku do garstki najbliższych osób. Nauczył się też sprowadzać każdą rzecz do funkcji pieniędzy, jak to czynili wszyscy dokoła. Dzięki temu mógł bez skrępowań wykorzystywać obcych do osiągnięcia własnych korzyści.

Właśnie dzięki takim surowym lekcjom i własnemu poczuciu obowiązku, wart był teraz miliardy dolarów. Czasem zastanawiał się jednak, czy nie oddałby całego bogactwa za normalne dzieciństwo i kochającego ojca, gdyby tylko istniała taka możliwość.

Po raz kolejny zapatrzył się na nazwisko widniejące pod listem z towarzystwa ubezpieczeniowego. Harold Bleaker. To on odmówił finansowego wsparcia jego matce, a tym samym odebrał jej szansę na przeżycie. Już piętnaście lat temu Strazzi doszczętnie zrujnował Bleakerowi życie, doprowadził do upadku pralni chemicznej, w którą tamten zainwestował wszystkie swoje oszczędności po przejściu na emeryturę. Po prostu otworzył po sąsiedzku własną pralnię, wyznaczając za każdą usługę stawkę o połowę mniejszą niż Bleaker, przez co wyeliminował go z rynku w ciągu trzech miesięcy. W dodatku, kiedy interes już chylił się ku upadłości, opłacił pewną atrakcyjną młodą kobietę, żeby nawiązała z Bleakerem bliższą znajomość w barze, upiła go i zawiozła do pokoju hotelowego, gdzie ich wspólne igraszki zostały potajemnie sfilmowane, a kasetę trafiła w anonimowym liście do rąk pani Bleaker. Podobny wybieg zastosował wobec żonatego już syna Bleakera, wykorzystując tę samą najemniczkę.

Uśmiechnął się teraz, patrząc na widniejący pod listem podpis Bleakera. Prawdę mówiło stare przysłowie, że zemsta jest słodka. Dla niego była słodsza od miodu, mimo upływu lat nie mógł się nacieszyć każdą jej chwilą.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Wstał z krzesła i pospiesznie przeciągnął dłonią po krótko przystrzyżonych siwych włosach, zastanawiając się, jak człowiek sprawujący tak olbrzymią władzę może pukać aż tak delikatnie.

Otworzył drzwi i Stockman pospiesznie wśliznął się bokiem do pokoju, jakby uciekał przed pościgiem. Strazzi wychylił się i rozejrzał po tonącym w półmroku korytarzu. Nikogo nie zauważył. Zadowolony zamknął drzwi i przekręcił zasuwkę. Tymczasem Stockman zdążył już zdjąć płaszcz i zająć miejsce na krześle przed biurkiem.

- Dzień dobry, George.

- Witaj, Paul. - Senator także zapatrzył się na list wiszący na ścianie, mrużąc przy tym oczy, jakby chciał z tej odległości odczytać jego treść wypisaną drobnym drukiem. Zrezygnował jednak, uświadomiwszy sobie w końcu, że jest to rzecz mająca znaczenie

wyłącznie dla człowieka, który oprawił ją w ramki. - Ładnie tu - powiedział ironicznie, ruchem ręki wskazując obskurne wnętrze.

- Ważne, że ten pokój spełnia swoje zadanie.

- Aha. Więc dlaczego poprosiłeś, żebym tu przyjechał? Strazzi zachichotał.

- Pomyślałem, że rzadko bywasz w tej części Bronksu i dobrze ci zrobi, jeśli przekonasz się na własne oczy, jak żyją twoi wyborcy.

- Dzięki za to dokończanie - rzekł oschle Stockman. - O czym chcesz ze mną rozmawiać?

- Zaczniemy od wdowy po Donovane.

- Dzwoniłem do niej - potwierdził senator. - Powiedziałem, że mam informacje z wiarygodnego źródła, według których w firmach podległych Everestowi nie dzieje się dobrze. Dokładnie tak, jak uzgodniliśmy.

- Wiem, że dzwoniłeś - odparł Strazzi.

- Wiesz?

- Tak.

- Skąd?

- Powiadomiła mnie telefonicznie, że chce się spotkać z Gillette'em dziś po południu.

- To dobrze.

- Więc kiedy informacje na temat Dominion Savings & Loan przedostaną się do opinii publicznej za pośrednictwem twojego przyjaciela na Kapitolu, natychmiast odsprzeda mi swoje udziały i zwróci się przeciwko Gillette'owi tak szybko, że ten nawet nie zdąży zareagować. Wystarczy, że Pete Allen zwoła konferencją prasową.

Peter Allen, starszy kongresman z Idaho, był wiceprzewodniczącym Połączonej Parlamentarnej Komisji do spraw Nadużyć Instytucjonalnych. I pozostawał pod silnym wpływem Stockmana.

Senator w zamyśleniu strzepnął jakiś pyłek z nogawki spodni.

- Czyżbyś się niepokoił, że to nie wystarczy?

- Że co nie wystarczy?

- To, co złego dzieje się w Dominion i co zamierzamy ujawnić.

- Do czego miałyby to wystarczyć?

- Do tego, by skłonić wdowę do sprzedania ci jej udziałów w Everest Capital - odparł Stockman, poirytowany, że Strazzi nie dostrzega celu przyświecającego ich wspólnym poczynaniom.

- To ty z nią rozmawiałeś i ty miałeś okazję zwrócić uwagę na brzmienie jej głosu. Ona jest jak kotka na gorącym blaszanym dachu. Szuka jedynie pretekstu, żeby sprzedać swoje udziały. Dlaczego miałyby to nie wystarczyć? Dziennikarze rzucą się na tę aferę jak wygłodniałe hieny. Z pewnością obleci ją strach. Nabierze podejrzeń, że wszystkie jej akcje w krótkim czasie całkowicie stracą na wartości.

- Everest już nie jest właścicielem Dominion - przypomniał mu Stockman. - Zostawił sobie pakiet około dziesięciu procent akcji, przeznaczając resztę do sprzedaży publicznej. Gillette może bez większego trudu stłumić ogień, zanim Everest poniesie znaczące straty.

- Niemniej to, co na niego mamy, zdarzyło się jeszcze wówczas, gdy Everest zarządzał kasą - odparł Strazzi. - Allen musi to wyraźnie zaznaczyć na konferencji prasowej. Musi powiedzieć wprost, że ma dokumenty, z których jasno wynika zaangażowanie Everestu w aferę.

- Zrobi to - zapewnił go senator.

Strazzi odchylił się na oparcie krzesła, nadal nieprzekonany. Rzecz jasna, w takich sytuacjach nigdy nie można było mieć gwarancji, dopóki wszystko nie potoczy się zgodnie z planem i każdy zaangażowany nie odegra ściśle wyznaczonej mu roli.

- Nadal jesteśmy umówieni na piątek? Stockman pokiwał głową.

- Allen zorganizuje konferencję prasową koło południa.

- Jesteś pewien, że nie wycofa się w ostatniej chwili?

- Oczywiście. W senacie traktuje mnie jak ojca chrzestnego. Jestem mu potrzebny.

- Nie dopytywał się, czy dostarczone mu informacje są wiarygodne? Nie chciał zobaczyć dokumentów?

- Nie. Zresztą i tak by ich nie dostał. Zdaje sobie z tego sprawę. Jakiś czas temu pomogłem mu wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, która mogła doszczętnie zrujnować mu karierę. Zatem wszystko jest na najlepszej drodze.

Strazzi uśmiechnął się szeroko. Nie potrafił nad tym zapanować.

- Gillette będzie musiał zrezygnować ze swoich planów powołania nowego funduszu, jeszcze zanim przybiorą realne kształty. A wdowa odsprzeda mi wszystkie swoje udziały w Everest Capital. Zaraz po tym zwołam walne zgromadzenie ograniczonych wspólników i w wyniku głosowania Gillette wyleci ze stanowiska na zbity pysk. Wówczas to ja zostanę prezesem spółki. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Ja. Do cholery, dysponując czwartą częścią głosów w trakcie wyborów, załatwię wszystko po swojemu. Po śmierci Donovan Gillette wygrał tylko jednym głosem i nikt nawet nie podniósł szumu w tej sprawie. Bez trudu zostanę wybrany jednogłośnie.

- Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś znalazł coś przeciwko samemu Gillette'owi - odparł Stockman. - Bo przecież nie uda nam się obarczyć go odpowiedzialnością za skandal w Dominion. Zgoda, obarczymy winą Everest, ale nie jego osobiście. Bez trudu zdoła udowodnić, że nie miał z tym nic wspólnego, że za wszystko ponoszą winę Donovan i Marcie Reed, którzy zarządzali kasą oszczędności. W końcu tylko dlatego wykorzystujemy tę sprawę, że tak mało o niej wie. Nie zdoła zatem przewidzieć, do czego zmierzamy.

- Jeszcze nad tym pracuję - rzekł Strazzi.

- A konkretnie?

- Zatrudniłem wspólnika zarządu Everestu, którego Gillette zwolnił w ubiegły weekend. Nazywa się Troy Mason. Chyba tylko on zdoła rzucić cień na działania Gillette[^] bądź też firm, którymi tamten zarządza. Musi wiedzieć, gdzie są zakopane zwłoki. - Finansista na chwilę zawiesił głos. - Kiedy oficjalnie ogłosisz swoją kandydaturę na stanowisko prezydenta, George?

- Zaraz po konferencji prasowej Allena w sprawie Everestu. Tuż po tym, jak cały świat się dowie, że komisja chce się bliżej przyjrzeć działalności spółki.

- Zgrabnie pomyślane. - Strazzi z uznaniem pokiwał głową. - Jak tylko przejmemy kontrolę nad Everestem, zyskasz głosy kilku milionów wyborców oraz kontrolę nad moją książeczką czekową.

- Za to ty, dzięki mojej pomocy, podwoisz wartość funduszy inwestycyjnych pozostających w twojej gestii - zripostował Stockman. - Staniesz na czele dwóch największych prywatnych spółek kapitałowych na świecie. Korzyści będą obopólne, Paul.

Strazzi w zamyśleniu przytaknął ruchem głowy. Już miał swoje imperium, lecz wkrótce nie tylko powiększy je dwukrotnie, ale równocześnie całkowicie zniszczy dziedzictwo Donovana. Do reszty zetrze to nazwisko z mapy prywatnych spółek kapitałowych.

- Jak chcesz za to wszystko zapłacić? - zaciekawiał się Stockman. - Mam na myśli zarówno udziały wdowy w Everescie, jak i moje fundusze na kampanię wyborczą. Mówiłeś niedawno, że wartość jej akcji wynosi co najmniej dwa miliardy dolarów. Taką cenę wymieniłem, wspominając jej, że ktoś jest zainteresowany całym tym pakietem. Sam zresztą tego chciałeś. Poza tym, obiecałeś mi sto milionów dolarów na kampanię wyborczą.

Strazzi popatrzył z góry na senatora. Nikomu nie musiał się tłumaczyć, z czego zamierza opłacić planowane zakupy. Na pewno nie powinno to obchodzić Stockmana. Zależało mu jednak, żeby senator nie żywił żadnych wątpliwości, dając Pete'owi Allenowi zielone światło co do piątkowej konferencji prasowej.

- Moje udziały w Apeksie są warte prawie pięć miliardów. Już rozmawiałem z kilkoma moimi bankierami na temat wykorzystania takich pieniędzy pod zastaw akcji. Nie zdradziłem im jeszcze, co chcę za nie kupić, nie sądzę jednak, by pojawił się jakiś problem ze spieniężeniem dwóch miliardów z tej kwoty. W końcu później kupione udziały Everestu również będą mogły posłużyć jako zastaw. Oczywiście pod warunkiem, że bankierzy nie będą mieli żadnych zastrzeżeń co do wiarygodności tego pakietu akcji. W przeciwnym razie nie będzie z niego większego pożytku. - Urwał na chwilę. - A w dodatku musiałbym negocjować jego cenę z wdową po Donovanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Stockman.

- Tylko tyle, że spróbuję ją najpierw wykorzystać jak zwyczajny bank.

- Nie rozumiem.

- Kiedy już się z nią spotkam w sprawie wykupu jej udziałów, zaproponuję wypłatę miliarda dolarów w gotówce, drugiego natomiast w ratach przez pięć lat, po dwieście milionów rocznie.

- Nie wiem, czy się na to zgodzi - odparł zasepiony Stockman. - Lepiej nie przesadzaj, Paul.

Rozdrażniony Strazzi westchnął głośno. Politycy najwyraźniej muszą robić z siebie idiotów, a przynajmniej ci z nich, którzy nigdy nie byli zmuszeni do zarabiania pieniędzy. Po prostu żerowali na innych. Dlatego nie rozumieli, że w interesach wszystko zależy od umiejętności negocjowania. Nawet cena kupowanych spinaczy do papieru.

- Uspokój się, George. Wszystko będzie dobrze.

- Więc co z moją kampanią? Załóżmy, że wdowa zażąda całej zapłaty gotówką z góry i będziesz musiał wyłożyć dwa miliardy. Jak wtedy znajdziesz dodatkowe pieniądze na moją kampanię?

- Mam trzysta milionów w depozytach bankowych, przyjacielu. - Strazzi z radością popatrzył, jak na twarzy senatora rozlewa się wyraz olbrzymiej ulgi. - Zatem nie będzie z tym żadnego problemu. Uwierz mi.

- I pozwolisz, żebym w podległych ci przedsiębiorstwach organizował wiece i wygłaszał przemówienia? Oczywiście mam na myśli firmy należące zarówno do Apeksu, jak i Everestu.

- Już o tym rozmawialiśmy. O nic się nie martw.

- Chcę jak najszybciej zyskać dostęp do tej kompanii radiowotelewizyjnej kontrolowanej przez Everest - mówił Stockman. - Chcę występować w radiu i telewizji.

- Będziesz występował.

Na chwilę zapadło milczenie, Strazzi powędrował więc myślami do tego, co było już tak blisko, ledwie na wyciągnięcie ręki.

- Jesteś pewien, że ten facet z Everestu, którego zatrudniłeś u siebie, będzie po naszej stronie? - Senator przerwał milczenie.

- O co ci konkretnie chodzi?

- Muszę przyznać, iż Gillette nie jest zbyt wylewny. Dlatego nie wykluczam, że pozbycie się współnika to sprytna pułapka, która pozwoliła mu zyskać szpiega w twoim najbliższym otoczeniu. To może być rodzaj konia trojańskiego. Jesteś pewien, że nic go już nie łączy z Gillette'em?

Strazzi popatrzył na niego spod przymrużonych powiek. O ile politycy byli strasznymi naiwniakami w interesach, o tyle świetnie się znali na intrygach.

- Zastanawiałem się już nad tym - przyznał. - Trudno jednak żądać w tym wypadku polisy ubezpieczeniowej. Musimy zakładać, że Mason jest po naszej stronie. W każdym razie ja jestem o tym przeświadczony.

Stockman odetchnął głęboko.

- W porządku.

Strazzi sięgnął do szuflady biurka, wyjął cygaro i powoli przeciągnął nim pod nosem.

- Myślisz, że Donovan zdążył powiedzieć Gillette'owi, że wie o naszej bliskiej współpracy?

Donovan dowiedział się prawdy od asystenta z biura Stockmana, którego sownie opłacił, a który niemal natychmiast stracił pracę.

- Nie sądzę - odparł senator. - W ostatnim okresie Donovan i Gillette wcale tak ściśle ze sobą nie współpracowali, jeśli wierzyć twojemu informatorowi.

Strazzi przypalił cygaro i pyknął kilka razy.

- Pewnie masz rację. - Pokręcił głową. - Byłoby dla nas kiepsko, gdybyśmy się mylili w tym względzie. Gillette błyskawicznie by się domyślił, co planujemy.

Stockman odchrząknął.

- Uważasz, że Bili Donovan naprawdę został zamordowany?

Strazzi obrzucił swojego gościa uważnym spojrzeniem.

- A skąd miałbym to wiedzieć? - spytał ostro.

- W każdym razie termin jego śmierci okazał się nam obu bardzo na rękę.

Nie spuszczać wzroku ze Stockmana, Strazzi pomyślał, że senator w tej sprawie faktycznie ryzykował niewiele, za to zyskał bardzo dużo. W rzeczywistości nie ponosił nawet żadnego ryzyka. W końcu umożliwiał mu tylko kontakt z kongresmanem Allenem, a więc

dostęp do Połączonej Parlamentarnej Komisji do spraw Nadużyć Instytucjonalnych. W zamian mógł liczyć na olbrzymie wsparcie finansowe swojej kampanii wyborczej, głosy pracowników przedsiębiorstw należących do Apeksu i Everestu, dostęp do sieci radiowej i telewizyjnej oraz możliwość zwoływania wieców w zakładach pracy, z udziałem setek rozentuzjarmowanych wyborców, umożliwiającymi wspaniałe nagrania wideo, wręcz wymarzone do wieczornych dzienników telewizyjnych we wszystkich stacjach.

- Więc nie masz podejrzeń, że to było morderstwo? - nie ustępował Stockman.

- Już mówiłem - odparł Strazzi półgłosem. - Nie mam najmniejszego pojęcia.

- A co z Gillette'em?

- O co ci chodzi? - zapytał gospodarz z udawaną kurtuazją, bo w rzeczywistości był coraz bardziej poirytowany tym, że Stockman tak świetnie wyjdzie na ich współpracy. Zawsze brał sobie głęboko do serca, kiedy ktoś zyskiwał nad nim przewagę w dowolnych okolicznościach.

- Pewnie słyszałeś, że jego limuzyna wyleciała w powietrze przed kościołem, w którym odbywał się pogrzeb Donovana? Co tym myślisz?

- Myślę, że Gillette po prostu ma wrogów i powinien bardzo uważać na każdym kroku, jeśli chce jeszcze pocałować swoją dziewczynę na Nowy Rok.

Jimmy Holt z nisko spuszczoną głową i rękami w kieszeniach ruszył szybko korytarzem, ściskając pod pachą raport. Był starszym analitykiem energetyki w spółce inżynierskiej Pullen i Marks z Houston. Teraz jednak serce podchodziło mu do gardła. Taśmy z wynikami badań sejsmicznych dopiero co skończyły mu snuć przedziwną opowieść.

- Cześć, Jimmy.

Obejrzał się szybko. Sam Abernathy, inny analityk i kolega po fachu, stał w otwartych drzwiach swego gabinetu.

- O co chodzi? - rzucił pospiesznie Holt. - Czego chcesz?

- Jezu... - Abernathy wychylił się na korytarz i popatrzył za nim. - Wszystko w porządku, Jimmy?

- Jasne. - Holt przystanął, odwrócił się i zaczerpnął głęboko powietrza, nakazując sobie w myślach spokój, żeby tamten nie wychwycił związku między niesionym przez niego raportem a wyraźnym podnieceniem. - Czemu pytasz? - zagadnął, siłąc się na obojętny ton.

Abernathy pokręcił głową.

- Wyglądasz na zdenerwowanego.

Holt odwrócił się na pięcie i poszedł dalej. Uznał, że tak będzie najlepiej. Nie widział innego wyjścia, by nie dać koledze poznać, jak bardzo jest w istocie zdenerwowany.

- Nie wybierasz się dzisiaj na lunch? - zawołał za nim Abernathy.

- Pewnie że się wybieram. Zadzwoń do mnie za godzinę.

Chwilę później stanął przed drzwiami gabinetu szefa i zapukał.

- To ty, Jimmy?

- Tak.

- Wchodź, wchodź śmiało. - Bili Perkins niemalże wciągnął go do środka i pospiesznie zatrzasnął za nim drzwi. - No i co?

Holt wyciągnął raport spod pachy.

- To niewiarygodne. Trafiliśmy na nieznane dotąd, największe na świecie złoża ropy i gazu.

Perkins wyszarpnął mu z ręki kartonową teczkę i zaczął w pośpiechu przebiegać wzrokiem wnioski, które Holt wyciągnął na podstawie wyników badań.

- To jest warte grube biliony - dodał Jimmy. - Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Mam nadzieję, że nikomu o tym nie mówiłeś - syknął Perkins roztrzęsionym głosem.

- Skądże. Jak poleciłeś, przyszedłem z tym od razu do ciebie.

Perkins skinął głową.

- Świetnie - zawahał się na moment. - A teraz zapomnij, że cokolwiek ci wiadomo na ten temat. Zrozumiałeś?

Holt zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- O co tu chodzi, Bili?

- Lepiej nie pytaj. Nie zadawaj żadnych pytań i z nikim o tym nie rozmawiaj. To jedyne, co ci mogę poradzić. - Perkins ruchem głowy wskazał drzwi. - Zjeżdżaj stąd.

13

Podwładni. Tylko trochę łatwiejsi do zniesienia od wspólników.

Marcie Reed, którą młodzi pracownicy Everestu nazywali między sobą „zmiją”, musiała zostać poczęta w łonie przeznaczonym specjalnie dla finansistów z prywatnych spółek kapitałowych. Tylko dlatego wyrosła na przebiegłą manipulatorkę, bezwzględną i agresywną, przesywającą wszystkich swoich rozmówców lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu, czerpiącą czystą radość z konfrontacji. Domagała się konkretnych rezultatów i je uzyskiwała.

Była szczupłą, miała sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, blond włosy do ramion, pociągłą twarz i długie, smukłe nogi. Wyjątkowo rzadko zakrywała je rajstopami pod

krótkimi spódniczkami oraz sukienkami i zazwyczaj paradowała w bardzo wysokich szpilkach. Świetnie wiedziała, czym dysponuje, i wykorzystywała to bez wahania.

Kiedy w biurze Everestu zwracała się z jakąś prośbą do młodszych pracowników, natychmiast odsuwali na bok inne zadania, nawet zlecone przez samego Donovana, w nadziei, że rozmarzony uśmiech i delikatny dotyk jej palców znaczy coś więcej niż zwykłe podziękowanie, że może jakimś cudem, po kilku drinkach w barze na dole, zabierze ich do siebie, do oszałamiającego apartamentu w SoHo, i może właśnie im uda się potwierdzić krążące po biurze plotki o małym seksownym tatuażu tuż ponad jej pośladkami.

Trzydziestodwuletnia i wciąż samotna Marcie przez całe życie zabiegała tylko o pieniądze. I było to widać. Nic nie robiło na niej wrażenia. Jej ojciec, wiceprezes międzynarodowej kompanii farmaceutycznej, skutecznie nauczył ją myśleć o wszystkim z takiej perspektywy, by zawsze dostrzegać fakty jako elementy szerszej całości. A matka wpoila zasady stylu bycia i wdzięku. Posiadła przez to zabójczą kombinację urody, błyskotliwości i wyrobienia. Co więcej, świetnie o tym wiedziała.

Gillette liczył więc, że skapitalizuje teraz ów potencjał.

Już pół roku temu zasugerował Donovanowi, że Marcie warto awansować na pełnoprawnego współnika, ale stary nie chciał o tym słyszeć, odparł ostro, żeby zajął się czym innym i nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Donovan, mający umysł zaśmiecony uprzedzeniami z poprzedniej epoki, po prostu nie chciał dopuścić, by w zarządzie jego spółki zasiadła kobieta. Ale teraz Gillette mógł robić, co mu się żywnie podoba, chciał więc wykorzystać tę sposobność.

- Witaj, Marcie. - Spojrzał jeszcze raz na cenę akcji Dominion, która tego popołudnia spadła o kolejne trzydzieści centów. Kiedy Everest wykupił tę kasę oszczędności, Donovan został jej prezesem, a Marcie członkiem zarządu i jego zastępcą, najbardziej aktywną z wiceprezesów, podejmującą decyzje związane z codzienną działalnością firmy. I to ona była odpowiedzialna za sposób wprowadzenia na rynek akcji Dominion, co przyniosło Everestowi tak gigantyczne zyski. - Bardzo jesteś dziś zajęta?

- Oczywiście. - Rozsiadła się wygodnie na wprost niego i od razu zaczęła nerwowo obracać w palcach kosmyk włosów. Świetnie rozumiała znaczenie słowa „wydajność”, pod tym względem niemalże udzieliła się jej obsesja Donovana. - Zawsze jestem bardzo zajęta i dobrze o tym wiesz.

- Zgadza się. Posłuchaj, w ostatnich dniach, jak pewnie zauważyłaś, sporo się zmieniło. Nieszczęśliwy traf sprawił, że Bili od nas odszedł i...

- Dla ciebie to raczej szczęśliwy traf - wpadła mu w słowo.

-...i na pewno już słyszałaś - ciągnął, niezrażony tą uwagą - że zwolniłem Troya.

- A Paul Strazzi od razu zatrudnił go w Apeksie - dodała. - Jeśli wierzyć plotkom, zgodził się płacić mu trzy miliony rocznie.

- Tylko niech ci to nie mąci w głowie - ostrzegł, pobieżnie przeglądając pocztę elektroniczną. Zawiesił palce nad klawiaturą, kiedy spostrzegł, że jego stary przyjaciel obwieszcza wszem wobec o zmianie swojego numeru komórkowego, co było niechybną oznaką, że zakończył właśnie kolejny romans, ponieważ w dzisiejszych czasach można było zachować ten sam numer nawet po stracie aparatu czy zmianie operatora sieci komórkowej. - Jasne?

- Takie rzeczy podświadomie przychodzą na myśl - odparła Marcie. - Nic na to nie poradzę.

- Strazzi rzeczywiście zaangażował Troya - potwierdził Gillette. - Nie wiem, jaką dał mu pensję, wątpię jednak, żeby to były aż trzy miliony. - Pokręcił głową. - Przykro mi, że Troy musiał odejść, ale nie miałem innego wyjścia.

Marcie zaśmiała się gardłowo.

- Przecież to był ostatni dupek. Setki razy próbował mnie zaprosić na kolację, żeby potem zaciągnąć do łóżka. Cieszę się, że już go tu nie ma. - Niecierpliwie powiodła wzrokiem po gabinecie i znów spojrzała na Gillette'a. - Skoro już przy tym jesteśmy, przyjmij moje gratulacje... panie prezesie.

- Dzięki.

- Zasłużyłeś na to stanowisko.

Naprawdę jesteś dobra, pomyślał. Ta z pozoru niewinna, kurtuazyjna uwaga była absolutnie nieszczerą. Ledwie powstrzymał ironiczny uśmiech, gdy skojarzył, że dokładnie ta sama umiejętność miała już niedługo podwoić wartość jego udziałów w Everest Capital. Ale bez trudu dostrzegł też niebezpieczeństwo wynikające z łatwości, z jaką Marcie owijała sobie wokół palca mężczyzn, nawet tych najbardziej doświadczonych.

- Ile będziesz teraz zarabiał jako prezes firmy? - zapytała.

Oderwał wzrok od ekranu. Denerwującą cechą Marcie były tego typu zaskakujące pytania, które spadały na człowieka jak grom z jasnego nieba.

- Pięć milionów - odparł wprost. Zamierzał ją przecież awansować do grona wspólników zarządu, na nowym stanowisku miała uzyskać dostęp do wszelkich informacji związanych z finansami Everestu, nie było więc sensu czegokolwiek przed nią ukrywać.

- Jezu... Ile to będzie w przeliczeniu na godzinę?

- Około siedmiuset dolarów.

Na chwilę zmarszczyła czoło, szybko się jednak rozpogodziła, dokonawszy w myślach pospiesznych obliczeń.

- Aha, rozumiem... Licząc po siedem dni w tygodniu i trzysta sześćdziesiąt w roku, zostawiasz sobie tylko od czterech do pięciu godzin snu na dobę. Inaczej nie wyszłoby po siedemset dolarów za godzinę.

- No właśnie. - Z uznaniem pokiwał głową. - To przecież wcale nie tak dużo. Mnóstwo prawników na Manhattanie liczy sobie wyższe stawki godzinowe.

- Ale te siedemset nie obejmuje twojej premii.

- I co z tego?

- Ile weźmiesz za ten rok?

- Pewnie drugie pięć milionów. Marcie gwizdnęła cicho.

- To z pewnością pozwala uznać twoją stawkę godzinową...

- Lepiej przejdźmy do powodów, dla których poprosiłem cię na tę rozmowę - przerwał Gillette. - Awansuję cię do stanowiska pełnoprawnego członka zarządu i przydzielam pięć procent z zysków następnego funduszu inwestycyjnego, który, nawiasem mówiąc, zaczęliśmy już gromadzić.

- Naprawdę?

- Naszym celem w Ósemce będzie piętnaście miliardów dolarów. - Pospieszenie odwrócił wzrok, kiedy Marcie na wprost niego zakładała nogę na nogę. Miała na sobie spódniczkę chyba jeszcze krótszą niż zazwyczaj, a krzyżując nogi, podnosiła prawą bardzo wysoko. - Miles Whitman z North America Guaranty zobowiązał się już wyasygnować półtora miliarda.

- Doskonale - odparła chłodno.

- Wiem, że masz sporo roboty z podlegającymi ci przedsiębiorstwami, ale chciałbym, żebyś tym razem i ty się zaangażowała w gromadzenie funduszy.

Ochoczo pokiwała głową.

- Sam już rozumiesz, Christianie, dlaczego walne zgromadzenie wybrało cię na prezesa. Właśnie za to, że chcesz jak najszybciej położyć rękę na kolejnych piętnastu miliardach dolarów. W dodatku nie zamierzasz obstawać przy męskiej dominacji w zarządzie, jak to robił Bili. - Pochyliła się lekko w jego stronę. - Świetnie wiesz, z jakim zachwytem będą mnie witać recepcjoniści w siedzibach towarzystw ubezpieczeniowych i zarządów funduszy emerytalnych. - W jej oczach pojawiły się dziwne błyski. - Wiesz, że chętniej wyłożą grubą forszę, jeśli będą mieć nadzieję, że raz na kwartał dam się zaprosić na obiad,

żeby w miłej atmosferze opowiedzieć im o zyskach z inwestycji. - Uśmiechnęła się skąpo. - Nie masz żadnych skrupułów, żeby wykorzystywać mnie do takich celów. I to mi się podoba.

- To dobrze. Miałem nadzieję, że ci się spodoba. Tak więc, od pierwszego stycznia podnoszę ci pensję z pięciuset tysięcy do miliona i, jak mówiłem wcześniej, przydzielam ci pięć procent z zysków funduszu Everest Osiem.

Pokiwała głową.

Zwrócił uwagę, że zrobiła to bez specjalnego entuzjazmu, jakby liczyła na awans i podwyżkę, ale ich zakres ją rozczarował. On tak samo zareagował na zbyt skromne, jego zdaniem, zaangażowanie Milesa Whitmana w tworzenie Everestu Osiem. Zupełnie jakby rozmawiali o pogodzie, która według prognoz miała się popsuć. Aż musiał sobie powtórzyć w myślach, że to efekt jednego z najważniejszych powodów, dla których awansował Marcie. Była naprawdę dobra. Z pewnością cieszyła się z awansu i podwyżki, tylko nie pokazywała tego po sobie.

- Dodatkowo obejmiesz stanowiska prezesa w sześciu przedsiębiorstwach - dodał. - Ich spis prześlę ci mailem jutro pod koniec dnia. Nie podjąłem jeszcze wszystkich decyzji w tej kwestii.

- I chcesz zachować dla siebie dwadzieścia jeden pozostałych? Przecież nie dasz rady...

- Nie, zatrzymam dla siebie tylko piętnaście.

- Kto przejmie drugie sześć?

- Kyle.

Przestała nagle obracać w palcach kosmyk włosów.

- Czy to znaczy, że jego też awansujesz na współnika zarządu?

- Tak. - Nie ulegało wątpliwości, że nie jest z tego zadowolona. Na pewno wolałaby być jedyną gwiazdą tego przedstawienia, nie dzielić się niczym z Leforsem, zwłaszcza miejscem w artykule w „The Wall Street Journal”, który ukaże się po ogłoszeniu przez Everest ich nominacji.

- A co z Cohenem i Faradayem? - zapytała.

- Ben skoncentruje się na wewnętrznych sprawach biura. Mianowałem go dyrektorem naczelnym.

- Już widzę, jak się ucieszył z tego powodu - wtrąciła ironicznie.

- Dlaczego tak uważasz?

- Od dawna marzyło mu się stanowisko prezesa choćby w jednej z firm należących do nas. Podobnie jak Faradayowi. Przez cały czas byli wściekli, że Donovan rozdzielał te funkcje tylko między ciebie i Masona.

- To kiepsko. Powinniśmy przede wszystkim mieć na uwadze dobro spółki. To rzecz zasadnicza. Ben musi się zająć prowadzeniem biura, podczas gdy Nigel będzie się koncentrował na ściąganiu inwestorów. Obie te funkcje są szalenie istotne, skoro zamierzamy stać się największą prywatną spółką kapitałową na świecie.

- To brzmi zachęcająco.

- Bo tak ma być. Będziesz bardzo bogata, jeśli nam się uda.

Marcie wzruszyła ramionami.

- Ale na razie posłużę jako aperitif w akcji gromadzenia funduszy. Znacznie ułatwię Nigelowi jego zadanie.

Gillette po raz kolejny spojrział na cenę akcji Dominion, która spadła o dalszych dziesięć centów.

- Muszę cię o coś spytać - zagadnął, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Słucham. Spojrzaj jej w oczy.

- Czy kiedy szykowałeś dokumentację do wprowadzenia akcji Dominion do obrotu publicznego, odniosłaś choćby przelotne wrażenie, że coś jest nie w porządku?

- Na przykład co?

- Choćby to, że portfel kredytowy wcale nie był tak czysty, jak utrzymywaliśmy zarówno my, jak i bankierzy inwestycyjni, a cały zarząd Dominion zgodnie preparował dokumenty, by zamaskować ten fakt?

Marcie nerwowo skubnęła brzeg spódniczki, jakby chciała ją rozciągnąć i zakryć kolana.

- Nie. Czemu pytasz?

- Z czystej ciekawości.

- Bzdura. Nikt nie zadaje takich pytań z czystej ciekawości, Christianie. Więc jak? Wyjaśnij, o co ci konkretnie chodzi?

Gillette wyszedł zza biurka.

- Od kilku dni cena akcji kasy systematycznie spada, chociaż indeksy giełdowe trzymają się mocno. Wygląda na to, że dzieje się coś niedobrego.

- I chcesz, bym uwierzyła, że utrzymujący się od kilku dni spadek cen akcji skłonił cię do przypuszczeń, iż wiele miesięcy temu zarząd Dominion preparował jakieś dokumenty mające zamaskować nieprawidłowości w portfelu kredytowym i wpłynąć na wartość

udziałów kasy wchodzących właśnie na parkiet? - Wstała szybko i zagroziła mu drogę do drzwi. - Nie żartuj.

- W porządku. Ktoś mi powiedział, że mogą być problemy z tymi akcjami.

- Kto?

- Tego nie mogę zdradzić.

- Mnie możesz, Christianie.

- Nie.

Przez chwilę mierzyli się nawzajem spojrzeniami. W końcu Marcie odwrócił się do wyjścia. Ale już z ręką na klamce zawahała się, po czym rzuciła:

- Lepiej uważaj na Kyle'a, Christianie.

- Dlaczego?

- Jest w nim coś, co skłania mnie do nieufności.

- Dobra robota.

- Dziękuję.

- Nie słyszałem, żeby na miejscu zdarzenia ktoś dopatrywał się czegoś niezwykłego.

Policja z Dallas mówi o nieszczęśliwym wypadku.

- Wszystko poszło jak po maśle.

Tom McGuire przypalił papierosa i rzucił zapałkę do popielniczki. Gillette myślał, że on nic nie wie o bankierach inwestycyjnych, którzy chcieli odkupić agencję McGuire & Company i przekształcić ją w spółkę akcyjną za znacznie większą cenę, niż gotów był zapłacić jego sponsor. Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa. To prawda, że nowy prezes Everestu okazał się trudnym przeciwnikiem w negocjacjach, lecz wcale nie był taki sprytny, za jakiego się uważał.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytał McGuire.

- Cały czas na lotnisku LaGuardia. Przyleciałem zaledwie kilka minut temu.

- Ale mam nadzieję, że dzwonisz z automatu.

- Oczywiście.

- Chcesz niedługo spróbować jeszcze raz?

- Tak.

McGuire zawahał się na chwilę.

- Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Co?

- Gillette wynajął kogoś innego do ochrony osobistej. Niejakiego Quentina Stilesa.

Sprawdzałem go. Jest dobry.

Kyle'a Leforsa w biurze Everestu nazywano „G-2”, co było skrótem od „Gillette-2”. Trzydziestegoletni, pod wieloma względami przypominał swojego nowego szefa, zarówno fizycznie, gdyż miał ciemne włosy i szare oczy, jak też podejściem do problemów - analitycznym, z wielu stron równocześnie. Gillette wciąż pamiętał, jak tuż po wstępnej rozmowie z Leforsem pięć lat temu, zaraz po ukończeniu przez niego Harvard Business School, Donovan ryknął gromkim śmiechem i zażartował, że Everest czeka pojawienie się drugiego Jezusa.

W tamtym okresie był niczym Jezus, ukochany syn, ten, który dostaje najlepsze zadania i który ma zaszczyt występować jako zastępca Donovana w najważniejszych przedsiębiorstwach będących własnością spółki. W tamtym okresie Mason był dopiero drugi i nie miał najmniejszych szans, żeby się z nim równać.

Wszystko uległo zmianie przed kilku laty, kiedy Donovan się uparł, żeby kupić firmę z Michigan produkującą wanny i kabiny prysznicowe. Zdaniem Gillette'a, Everest powinien się trzymać jak najdalej od tej transakcji. Firma nie tylko wykorzystywała technologie z zamierzchłej epoki, ale w dodatku wyznaczona za nią cena wydawała się śmiesznie wysoka, gdyż trzydzieści razy przewyższała roczne dochody. Co więcej, owe dochody spadały na łeb na szyję z miesiąca na miesiąc.

Im bardziej zagłębiał się w dane dotyczące działalności firmy, tym bardziej był przeciwny jej zakupowi, a więc tym bardziej działał na nerwy Donovanowi, który w końcu wymierzył mu palec wskazujący prosto w twarz i warknął groźnie, żeby odczepił się od tej sprawy albo zaczął sobie szukać innej pracy.

Gillette nie mógł pojąć przyczyn tego zacietrzewienia, tym bardziej że Donovan nigdy nie popadał w irracjonalne przywiązanie do pewnych przedsiębiorstw. Do tej pory zawsze trzeźwo oceniał warunki każdej inwestycji, nie ulegając żadnym emocjom.

Ale nie rozumiał stanowiska szefa tylko do czasu, gdy odkrył, że jednym z głównych akcjonariuszy rzeczony firmy jest dawny przyjaciel Donovana, znany mu od trzydziestu lat, który ostatnio wszystko stracił podczas procesu rozwodowego. Pozostały mu tylko udziały w tej firmie, ponieważ adwokat jego byłej żony uznał, że nie są wiele warte i lepiej w zamian za nie wystąpić o resztę rodzinnego majątku, bo żaden trzeźwo myślący inwestor nie zechce ich kupić.

Na tym etapie włączył się Donovan. Bez słowa zapłacił sto milionów dolarów tylko za akcje swojego przyjaciela w bankrutującej firmie. Doskonale wiedział, że spółka nie ma żadnej przyszłości, ale nic go to nie obchodziło. Bo przede wszystkim chciał ratować przyjaciela, który ostatecznie wziął do własnej kieszeni po dwadzieścia milionów z każdych

stu, ale w zamian kupił Donovanowi posiadłość na Kajmanach o łącznej powierzchni ponad tysiąca stu metrów kwadratowych z przyległą działką rolniczą obejmującą piętnaście akrów ziemi. Był to bardzo sprytny sposób na wyprowadzenie ze spółki stu milionów dolarów, z czego dwadzieścia milionów prezes dostał dla siebie w naturze.

Dokopawszy się prawdziwych korzeni tej transakcji, Gillette całkowicie przestał się jej sprzeciwiać. Z typową dla siebie skrupulatnością zebrał wszelkie dane i przygotował pisemną notatkę dla ograniczonych wspólników Everestu, w której rzetelnie opisał nadarzącą się okazję kupna upadającej firmy. W głębi serca był jednak przekonany, iż przedsiębiorstwo przetrwa na rynku najwyżej dwa lata. Mylił się jednak. Spółka ogłosiła upadłość już po trzech kwartałach. Dziesięć miesięcy po dokonaniu transakcji Everest musiał spisać na straty inwestycję, której koszt wyniósł trzysta milionów dolarów. W ciągu dwudziestu lat istnienia spółki było to dopiero czwarte przedsiębiorstwo, które ogłosiło bankructwo.

Koniec końców, nie miało to jednak większego znaczenia. Nawet żadnego. Pozostałe przedsiębiorstwa zakupione z tego samego funduszu odniosły sukces na rynku i ograniczeni wspólnicy nie mieli podstaw, żeby zwrócić uwagę na stratę spółki wynoszącą trzysta milionów dolarów, która wyglądała jak przypis na dole strony, godny najwyżej skwitowania śmiechem podczas dorocznego zjazdu udziałowców w hotelu Płaza. Nikt nawet przez chwilę nie kwestionował decyzji Donovana. Wręcz przeciwnie, wszyscy raczej mu dziękowali za osobiste zaangażowanie w pomnażaniu ich oszczędności.

Ale od tej pory stosunki Gillette'a z prezesem nie były już takie jak dotychczas. Nie rozmawiali ze sobą przez parę miesięcy po zawarciu wątpliwej transakcji, a znacznie dłużej on po prostu nie mógł sobie znaleźć miejsca w pobliżu Donovana. Nie odezwał się ani słowem, kiedy firma zbankrutowała, a i prezes nie przyznał się do błędu. Co więcej, zdawał się podważać pozycję Gillette'a na kolejnych spotkaniach wspólników zarządu. Z czasem ich stosunki wróciły do normy, ale nigdy nie były już tak zażyłe, jak dawniej.

To właśnie Troy Mason zajął jego miejsce przy tronie. I to on został wybrany na następcę głównodowodzącego spółką Everest Capital.

Do czasu, aż Donovana spotkała śmierć w korycie strumienia w Connecticut.

- Cześć, Kyle. - Ze zrozumiałych względów Gillette jako jedyny w biurze nie zwracał się do Leforsa wymyślonym przez Donovana przezwiskiem. Po prostu go nie znosił. - Jak leci?

- Normalka. Zwykle zbieranie jajek do koszyka - odparł tamten swobodnie. - I regularne odbijanie karty zegarowej.

Podczas gdy Marcie zachowywała się agresywnie, Lefors był okazem spokoju. Zawsze miał w zanadrzu jakąś anegdotę czy też luźną uwagę mającą na celu rozładowanie atmosfery. Jakby od niechcenia, wręcz niezauważalnie, zajmował zazwyczaj naczelne miejsce pośrodku sceny, a do tego nigdy się nie spieszył i nigdy nie sprawiał wrażenia podenerwowanego.

Marcie i Lefors stosowali diametralnie odmienne metody pracy, niemniej oboje byli równie efektywni. I w skrytości serca oboje tak samo marzyli o posiadaniu własnego imperium. Gillette'a stale to niepokoiło, gdyż świetnie wiedział, że wcześniej czy później każde z nich zapragnie wyrwać się z Everestu i zacząć działania na własną rękę. To była normalna kolej rzeczy.

- Słyszałeś już o Richardzie Harrisie? - zapytał Lefors swobodnym tonem.

- Tak.

Kyle otworzył dużą paczkę chipsów ziemniaczanych, którą trzymał dotąd na kolanach. Bez przerwy coś podjadał, lecz wcale nie przybierał na wadze.

- Sądysz, że został zamordowany?

Gillette oderwał wzrok od ekranu komputera. Akcje Dominion odrobinę zdrożały tuż przed zamknięciem giełdy, ale w notowaniach wieczornych znowu zaczęły tracić.

- Czemu pytasz?

Lefors wzruszył ramionami.

- Ktoś taki jak Harris miał zapewne wielu wrogów. Nie obejmuje się stanowiska wiceprezesa U.S. Petroleum, nie utraciwszy po drodze paru karier. Nigdy go nie spotkałem, słyszałem jednak, że był bardzo rozważny. A rozważni ludzie nie wypadają na jezdnię tuż pod nadjeżdżający autobus. Dlatego pytam.

- To był wypadek - odparł Gillette. - Przynajmniej tak się oficjalnie mówi. Żaden ze świadków nie zauważył niczego podejrzanego.

- Ja zawsze wolę brać pod rozwagę wszelkie ewentualności. - Kyle wsunął do ust kilka chipsów i zaczął je przeżuwać. - Sam mnie tego uczyłeś.

- Ważne jest tylko to, czy śmierć Harrisa nie rzuci się cieniem na nasze pertraktacje z U.S. Petroleum.

- Już rozmawiałem z kierownikiem działu inwestycji i rozwoju, który nadzoruje negocjacje - rzekł Lefors. - Przypomniałem mu, że nadal oczekujemy zakończenia transakcji w obu sprawach najpóźniej do dziesiątego stycznia. Zaczął się gęsto tłumaczyć i powtarzać, że po śmierci Harrisa planowane przez niego inwestycje zostaną zapewne wstrzymane.

Przypomniałem mu więc o pięciomilionowym odszkodowaniu za zerwane negocjacje, bo w ostatniej chwili dołączyłem taką klauzulę do listu intencyjnego, pod którym sam się podpisałem.

- A gdyby to nam coś stało na przeszkodzie? - zaciekał się Gillette. - Taka groźba odszkodowania nie działa w obie strony?

- Nie - odparł tamten z dumą. - Nie musielibyśmy płacić ani centa, gdybyśmy zerwali negocjacje.

- To dobrze.

Lefors otarł wargi papierową serwetką.

- Więc z jakiego powodu chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Awansuję cię na współnika zarządu.

Kyle szybko włożył do ust kolejną porcję chipsów.

- Przynajmniej stać mnie będzie teraz na trochę wyższy poziom życia? - zapytał z pełnymi ustami.

- Na pewno - odparł Gillette z obojętną miną. - O sześć procent.

- Jesteś bardzo hojny.

- Żartowałem. - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. - Dostaniesz milion dolarów rocznie zamiast obecnych pięciuset tysięcy. Ponadto obejmiesz stanowiska prezesów w sześciu naszych przedsiębiorstwach.

Lefors przerzucił sobie krawat przez ramię i strzepnął okruchy chipsów z koszuli.

- A co z pakietem motywacyjnym? Słyszałem, że zaczynamy gromadzić nowy fundusz. Nie zamierzasz przydzielać trochę zysków z planowanych inwestycji, zwłaszcza że Donovan i Mason zniknęli ze sceny?

- Skąd wiesz, że planujemy utworzenie nowego funduszu? - spytał poirytowany Gillette. Chyba nikt w Nowym Jorku nie potrafił trzymać gęby na kłódkę. Jak na tak wielką metropolię zdecydowanie za często odnosiło się wrażenie przebywania w prowincjonalnej dziurze.

- Wybacz, Christianie, ale w tej kwestii muszę się zasłonić piątą poprawką do konstytucji. Nie mogę zdradzać swoich źródeł informacji. Straciłbym ich zaufanie, gdyby się wydało, że nie potrafię dochować tajemnicy.

- Tym razem jednak będziesz musiał zrobić wyjątek, Kyle. Skąd o tym wiesz?

- Dobra, niech ci będzie. - Lefors zamknął paczkę z chipsami i odstawił ją na podłogę.

- Powiedział mi stary kumpel z towarzystwa North America Guaranty & Life. Studiowaliśmy razem ekonomię. Szykował jakiś raport analityczny na nasz temat dla tamtejszego Wujka Donalda. To znaczy dla Milesa Whitmana.

- Wiem, kto tam jest Wujkiem Donaldem.

- Nie wątpię, że znasz wszystkich Wujków Donaldów w Nowym Jorku, Christianie. Właśnie dlatego z tobą pracuję. - Lefors pokręcił głową. - Żeby w wieku trzydziestu sześciu lat zostać prezesem Everest Capital... Nie uszczypnąłeś się dziś rano po przebudzeniu, żeby mieć pewność, czy to nie sen? Chodzi mi o to, że dotarłeś nagle do końca drogi. Do diabła, sam teraz jesteś jednym z Wujków Donaldów.

Lefors potrafiłby zagadać szykującego się do skoku lamparta, trudno więc było zakładać, że mówi szczerze. Niemniej miło było usłyszeć, że ktoś jeszcze rozumie, jak wiele udało mu się osiągnąć. Marcie mu pogratulowała, lecz tylko dlatego, że tak było bardziej politycznie. Nie ma się co łudzić, że gratulowała szczerze. Za to z Leforsem mogło być zupełnie inaczej. Niewykluczone, że naprawdę tak myślał. To zaś oznaczało, że jest bardziej nieprzewidywalny od Marcie. A tym samym bardziej niebezpieczny.

- Dostaniesz pięć procent z zysków nowo powstającego funduszu.

- Ile on ma wynieść?

- Piętnaście miliardów. Kyle aż gwizdnął cicho.

- Hej, to może któregoś dnia rzeczywiście będę coś wart? Skończy się wybieranie jajek do koszyka. Jeśli w ogóle dacie radę zgromadzić tak wielki fundusz - dodał.

- Na pewno damy radę.

- Zatem proponujesz mi dokładnie to samo, co Marcie? Gillette od razu się domyślił, co go teraz czeka. Lefors był urodzonym negocjatorem, toteż zawsze zakładał, że nikt nie daje już na samym początku najlepszej oferty. Zazwyczaj nie było to wcale złe założenie. Ale w tym wypadku się mylił.

- Owszem, dlatego nie myśl, że zdołasz wytargować coś więcej. To wykluczone.

- Chciałbym dostać dwa miliony rocznej pensji i dziesięć procent z przyszłych zysków.

- W takim razie awansuję Danny'ego Wagnera zamiast ciebie - odparł Gillette, wspominając kolejnego równorzędnego dyrektora Everestu.

- Wagnera? - Lefors zaśmiał się krótko. - Chyba żartujesz. Nie awansowałbyś go, nawet gdyby został ostatnim specjalistą od prywatnych spółek kapitałowych na ziemi. Jest świetny w obronie, w blokowaniu i klinczowaniu, podobnie jak Cohen, ale dobrze wiesz, że nie potrafi szukać inwestorów i dogadywać się z nimi. A przecież to jest najważniejsze w działalności takich firm jak nasza. To wyróżnia ciebie. Potrafisz przejąć kontrolę nad sytuacją, jeśli ci tylko na tym zależy. Do tego trzeba mieć dar. Niewiele osób to umie.

Gillette w zamyśleniu przeciągnął palcem po dolnej wardze. Kyle miał rację. Jego blef się nie powiódł. Wagner nie miał szans, by zostać współnikiem zarządu.

- Mogę jeszcze znaleźć kogoś z zewnątrz. Tamten pokręcił głową.

- Powinieneś wiedzieć, że od pół roku próbują mnie zwerbować ludzie z trzech innych prywatnych spółek kapitałowych. Wszyscy proponują zachęcające warunki, lepsze od tych, które ty przed chwilą zaoferowałeś. Jestem przekonany, że dla ciebie to nie nowina. Pewnie wiesz to od Toma McGuire'a. Opowiem ci teraz, skąd ja o tym wiem. - Ściągnął krawat z ramienia i ułożył go starannie na linii guzików koszuli. - Parę tygodni temu umówiłem się na lunch ze współnikiem zarządu jednej z tych firm i zwróciłem uwagę na dwóch facetów przy sąsiednim stoliku. Zwłaszcza jeden wydał mi się znajomy. Przez dłuższy czas nie mogłem skojarzyć, skąd go znam, aż wreszcie sobie przypomniałem. Parę miesięcy temu odwoziłem Donovana na lotnisko Kennedy^{go}, żeby po drodze zdać mu relację z inwestycji pewnej podległej nam firmy. Wybierał się wtedy do Afryki z całą ekipą z Białego Domu, ale jak zwykle musiał interesować się dziesięcioma rzeczami naraz. Tylko dlatego kazał mi jechać ze sobą na lotnisko. Ciągnął też wtedy w podróż osobistego ochroniarza z agencji McGuire'a, który siedział z przodu limuzyny, obok kierowcy. Pojąłem więc, że to ten sam facet, który tak uważnie wpatruje się we mnie podczas lunchu. - Zawiesił na chwilę głos. - Przez cały czas nawet nie tknął swojej porcji, tylko gapił się na mnie, jakby czytał z ruchu moich warg.

- Masz rację, wiedziałem, że próbowano cię zwerbować - przyznał Gillette półgłosem.

- Ale mało mnie to obchodzi. Warunki, które ci zaproponowałem, są ostateczne. Nic więcej nie wytargujesz.

Lefors nie odpowiedział.

Nadeszła pora, żeby zadać mu nokautujący cios. Jeśli ktokolwiek w biurze kierował się pobudkami ekonomicznymi, był to na pewno Kyle. Dostał się na wydział ekonomiczny Yale tylko dlatego, że sfalszował dane w formularzu aplikacyjnym. Dorastał w Luizjanie, na parkingu dla przyczep mieszkalnych na obrzeżu McManus, niewielkiego miasteczka pięćdziesiąt kilometrów na północ od Baton Rouge. Jego prawdziwe wyniki ze szkoły średniej były słabiutkie, gdyż się nie starał, ale jakimś cudem w maturalnym teście wiedzy ogólnej uzyskał aż 1580 punktów, po czym bezczelnie dołączył ten sfalszowany test do formularza aplikacyjnego w Yale, chwając się w dodatku, że był trzeci w swojej klasie ze średnią ocen 3,96, pełnił funkcję kapitana drużyny futbolowej i czynnie działał w radzie uczniowskiej. Nic z tego nie było prawdą. Jednakże władzom Yale nie tylko spodobał się nadzwyczajny rezultat testu maturalnego, wszystkich mile polechtała świadomość, że pozwolą dołączyć do grona studentów biednemu chłopakowi z Luizjany, który na szczęście

spełnia wszelkie wymogi kwalifikacyjne. Lefors już wtedy dobrze wiedział, które fakty trzeba naciągnąć, żeby uzyskać pożądany efekt. I jak to z oszustami bywa, głównym motywem jego działania były oczywiście pieniądze.

- Kyle, wiem nawet, które trzy firmy próbowały cię zwerbować. To wiarygodni pracodawcy, lecz największy fundusz, jakim operują, wynosi dziewięćset milionów dolarów. Zarobisz znacznie więcej na pięcioprocentowych zyskach z naszego funduszu piętnastomiliardowego niż nawet na połowie zysków z ich funduszu wynoszącego dziewięćset milionów. A tych pięćdziesięciu procent, rzecz jasna, nikt ci nie da. Dostaniesz najwyżej dziesięć. Natomiast u nas, jeśli się dobrze spiszesz, możesz liczyć na więcej. Przemysł to sobie dobrze.

Przez kilka sekund w milczeniu twardo patrzyli sobie w oczy.

Wreszcie Lefors skinął głową.

- Dobra, w porządku.

Znów się zaśmiał. Tym razem nerwowo. Gillette natychmiast to wyłapał i zaczął się zastanawiać nad przyczyną owej nerwowości, bo był to naprawdę rzadki objaw u Leforsa.

- Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy - bąknął Kyle. - Przecież... spodziewałeś się chyba, że będę negocjował...

- Skąd wiedziałeś, że Troy jest w suterenie z panią Hays? - przerwał mu Gillette, zmieniając temat. - Wtedy, podczas stypy po pogrzebie Donovana.

- Marcie mi powiedziała - odparł szybko Lefors.

- Słucham?

- Marcie. Zawsze patrzyła na Troya bykiem. Osobiście uważam, że coś między nimi było. Marcie robiła wrażenie cholernie wściekłej, że poszedł z tamtą babką do gościnnej sypialni.

Przecież Marcie rozповідаła na lewo i prawo, że nie cierpi Troya.

- A dlaczego przyszedłeś do mnie z informacją, że Troy zszedł do suterenu z panią Hays?

- Przyszło mi do głowy, że Troy znowu traci panowanie nad sobą. W końcu krążyły już plotki o jego romansach z wieloma kobietami pracującymi w podległych mu firmach. Naszły mnie obawy, że ta jego bez troska bardzo drogo może nas kosztować. - Zawiesił na chwilę głos, po czym dodał nieśmiało: - A poza tym...

- Co? - zapytał ostro Gillette.

- Pomyślałem, że jeśli ci o tym powiem, może się to obrócić na moją korzyść. - Kyle lekko lęklonie rozejrzał się na boki. - I wiesz co? Chyba miałem rację.

Gillette jeszcze przez chwilę spoglądał na niego bez słowa. Dopiero teraz coś go uderzyło. Lefors pochodził z małego miasteczka, z głębokiej prowincji Luizjany, ale mówił bez śladu południowego akcentu. Pracował w firmie od pięciu lat i Gillette nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek słyszał u niego choćby cień charakterystycznego zaśpiewu. Teoretycznie powinien mieć bardzo silny akcent, którego niełatwo się pozbyć. Czyżby więc podjął specjalny wysiłek, by nauczyć się mówić bez akcentu, bo inaczej byłoby to źle widziane w świecie nowojorskich prywatnych spółek kapitałowych? Czy też może wcale nie pochodził z Luizjany?

- Christianie - odezwała się Debbie przez interkom.

- Tak?

- Ann Donovan chce się z tobą zobaczyć.

14

Wolny los. Nigdy nic nie wiadomo.

- Proszę wejść. - Wdowa po Donovannie wyglądała dużo lepiej niż w dniu pogrzebu. Jej cera odzyskała naturalny kolor, a wargi nie były już tak spierzchnięte i zaciśnięte w wąską linię. - Zapraszam tutaj. - Wziął ją delikatnie pod rękę i skierował w stronę foteli rozdzielonych kawiarnianym stolikiem, przy którym robił wywiad z Quentinem Stilesem. - Masz ochotę napić się czegoś?

- Nie, dziękuję - odparła, potrząsając głową. Widać było u niej pierwsze objawy choroby Parkinsona. - Przepraszam, że tak niespodziewanie cię nachodzę, nie uprzedziwszy wcześniej o swojej wizycie.

- Nic nie szkodzi. - Gillette usiadł w fotelu obok niej. - Jak się czujesz?

- Lepiej.

- Wiem, że przechodzisz bardzo trudny okres. Gdybym mógł coś dla ciebie zrobić...

Poklepała go po rękę.

- Dziękuję, mój drogi - powiedziała miękko.

- Wszyscy bardzo tęsknimy za Billem. Bez niego nic już nie jest takie jak dawniej.

Uśmiechnęła się smutno i z kieszonki małej czarnej torebki wyjęła chusteczkę.

- Jestem pewna, że jednak nie wszyscy za nim tęsknią. Nie jestem taka głupia, Christianie.

- Oczywiście że nie.

- Bili wcale nie był łatwy w obejściu.

- No cóż... - urwał zakłopotany. Wdowa zajrzała mu w oczy.

- Na pewno ciężko to przeżyłeś, kiedy odwrócił się do ciebie plecami i zaczął faworyzować Troya. Pewnie go znienawidziłeś.

- Nigdy nie potrafiłbym go znienawidzić.

- Zachował się jednak karygodnie - wycedziła. - Okradał firmę, żeby pomóc przyjacielowi. No i dogodzić sobie - dodała, po czym ciągnęła coraz bardziej roztrzęsionym głosem: - Ten przyjaciel, swoją drogą zupełnie nieznośny, próbował uwieść każdą kobietę, z jaką los go zetknął. Można by pomyśleć, że mężczyzna po pięćdziesiątce nie powinien się uganiać za dwudziestolatkami.

Gillette wyczuł, że gorycz w jej głosie wcale nie jest skierowana przeciwko staremu kumplowi Donovanu.

- Mimo wszystko Bili mu pomógł - rzuciła, pociągając nosem. - Dał mu tyle pieniędzy po tym, jak w czasie sprawy rozwodowej jego żona zabrała mu wszystko. - Zacisnęła mocno powieki. - W efekcie po rozwodzie skończył z większym majątkiem niż dotychczas, a Bili w ramach rewanżu zyskał tę letnią posiadłość na Kajmanach.

- Jak się o tym dowiedziałaś? - zapytał Gillette z ociąganiem.

- Słyszałam, jak któregoś wieczoru żartował sobie z całej tej sprawy podczas rozmowy telefonicznej.

- Aha.

- Chyba myślał, że jestem w drugim skrzydle domu. - Delikatnie osuszyła rogiem chusteczki wilgoć z kącików oczu. - Zresztą w ostatnim okresie naszego małżeństwa już się tak bardzo mną nie przejmował. Powinien był jednak liczyć się ze słowami.

Lepiej było tego nie komentować. Dzięki rozmowie z Tomem McGuire'em doskonale rozumiał, co ona ma na myśli.

Kiedy zaczerpnęła głęboko powietrza, jej głowa zadygotała nieco mocniej.

- Zostawił mi jednak ogromną fortunę.

- To prawda.

- Chciałabym więc ją zabezpieczyć.

- To zrozumiałe.

- Większość tego majątku jest ulokowana w moich udziałach w Everescie.

Gillette wyczuł, że coś się święci. Ann nie wpadła do biura tylko po to, żeby mu powiedzieć to, o czym już od dawna wiedział.

- Jak się wiedzie przedsiębiorstwom podległym spółce?

- Większości bardzo dobrze. Mamy trochę kłopotów z kilkoma, ale to normalne, Ann. Bili niewątpliwie ci opowiadał o różnych przypadkach, jakie się zdarzały naszym firmom.

- Nie, o niczym mi nie mówił.

- Aha.

- Na pewno z żadną nie ma takich kłopotów, o jakich jeszcze świat nie słyszał? Zawsze istniały jakieś problemy, ale nie takie, którymi należało ją niepokoić.

- Nie.

- A co z firmami, których akcje weszły do publicznego obrotu? Takimi, których udziały są notowane na giełdzie, a Everest wciąż posiada ich znaczącą część?

Gillette poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić.

- Wszystkie mają się dobrze - odpowiedział chłodno. - Dlaczego pytasz?

- Bo słyszałam, że mogą być poważne kłopoty.

- Słyszałaś?

- Tak. Od kogoś.

- Od kogoś? - Gillette pochylił się w fotelu. A więc Stockman przystąpił już do swojej rozgrywki. - To znaczy od kogo? - zapytał, licząc na to, że uzyska potwierdzenie swoich podejrzeń.

- To bez znaczenia - odparła szybko. - Ważne jest tylko to, że zaproponowano mi mnóstwo pieniędzy za moje udziały w spółce. Naprawdę bardzo dużo pieniędzy - powtórzyła. - Oczywiście nie aż tyle, ile bym dostała, gdybym doczekała chwili, aż sprzedasz wszystkie podległe przedsiębiorstwa w ciągu najbliższych paru lat. Zakładając jeszcze, że nie pojawią się żadne większe kłopoty z tymi firmami, że wszystko pójdzie gładko i będziesz mógł je sprzedać z dużym zyskiem. Gdyby się jednak okazało, że są poważne kłopoty, nigdy bym sobie nie wybaczyła, że nie przyjąłam tej oferty.

Siedział w swoim gabinecie i gapił się w sufit. Była już siódma wieczorem i pokój rozjaśniała jedynie poświata bijąca od ekranu monitora.

Przeciągnął dłońmi po włosach i ciężko westchnął. Wdowa nie powiedziała, kto ją przestrzegał przed możliwością poważnych problemów wśród firm należących do Everestu i radził zawczasu pozbyć się udziałów za niezłą cenę, nie ulegało jednak wątpliwości, że maczał w tym palce Stockman. Oferta nie pojawiła się właśnie teraz przez przypadek. Gdyby się okazało, że Marcie nie zachowała należytej ostrożności w czasie, kiedy Everest sprawował kontrolę nad Dominion, i rzeczywiście doszło do jakichś nadużyć, albo co gorsza defraudacji, echa afery trafiłyby rykoszetem w interesy spółki. Oczyma duszy już widział krzykliwe nagłówki w gazetach: „Giełdowa manipulacja”. „Potajemne rozliczenia”. W tych okolicznościach zgromadzenie piętnastomiliardowego funduszu - czy też w jakiegokolwiek innej wysokości - byłoby po prostu niemożliwe.

Największym jego problemem było to, że nie wiedział, komu ma wierzyć, Stockmanowi czy Marcie. Przed wprowadzeniem akcji na parkiet Dominion było dokładnie kontrolowane, lecz przy wielkości portfela kredytowego sięgającego czterdziestu miliardów dolarów najwytrawniejsi inspektorzy mogli coś przeoczyć. Nawet mnóstwo rzeczy. Nie chodziło zresztą o to, czy Stockman blefuje, czy nie. W erze internetu bezpodstawne plotki mogły być równie zgubne, jak rzetelne oskarżenia.

Może to nie Stockman zgłosił się do wdowy z kuszącą propozycją, rozmyślał Gillette? Może zlecił to któremuś ze swoich doradców albo człowiekowi postronnemu zaangażowanemu w jego kampanię? Może tylko zadzwonił do Ann i umówił ją na spotkanie z kimś, kto wspomniał o aferze i przedstawił ofertę, by nie wyglądało, że to senator za wszystkim stoi? Jakby chciał tylko zrobić jej przysługę. W końcu od dawna spotykali się oboje na gruncie towarzyskim, nie byłoby więc nic dziwnego w tym, że postanowił ją ostrzec, usłyszawszy alarmujące plotki. Nawet jeśli Stockman i Donovan wzajemnie się nienawidzili, senator mógł utrzymywać poprawne stosunki z wdową - choćby tylko z tego powodu, że mieli wspólnego wroga. Świat zewnętrzny pewnie się nawet nie domyślał skali animozji dzielących obu mężczyzn. Przy świadkach, podczas niezliczonych działań charytatywnych, zachowywali się, jakby nadal łączyła ich przyjaźń. Ale w głębi serca gardzili sobą beżmiernie.

Wdowa bardzo poważnie zastanawiała się nad sprzedażą swoich udziałów w Everescie. Po krótkiej popołudniowej rozmowie Gillette nie miał co do tego żadnych wątpliwości. I to właśnie stwarzało olbrzymi kłopot. Gdyby postanowiła sprzedać akcje, jej najważniejszy głos, równoważny głosom jednej czwartej wszystkich udziałowców, stałby się udziałem kogoś obcego, kto z pewnością wołałby umieścić w zarządzie innego, wybranego przez siebie prezesa.

Jeśli to Stockman ponosił odpowiedzialność za napędzenie Ann śmiertelnego strachu, musiał ściśle współpracować z kimś jeszcze. Sam nie miał przecież środków na to, by zapłacić dwa miliardy dolarów za udziały w spółce, zakładając, że oferowana cena wynosiła połowę nominalnej wartości akcji, wycenianych przez Cohena na cztery miliardy. Szczerze powiedziawszy, była tylko garstka osób dysponujących takimi środkami i mających interes w odkupieniu udziałów. Potencjalnych nabywców można policzyć na palcach jednej ręki, a wśród nich najpoważniejszym wydawał się oczywiście Paul Strazzi. To zresztą on dzwonił do Troya Masona tuż po zakończeniu stypy, co świadczyło wyraźnie, że miał swoją wtyczkę wśród pracowników Everestu.

Gillette nie słyszał dotąd żadnych plotek o powiązaniach między Strazzim a Stockmanem, a obracał się w najwyższych kręgach finansjery wystarczająco długo, by wyłowić taką plotkę. Zaczął więc rozważać, czy nie zlecić Tomowi McGuire'owi zbadania tych koneksji. Tom zgromadził już obszerny materiał informacyjny na temat Stockmana, miałby więc ułatwione zadanie. Tyle że nie mógł mu już w pełni ufać. Lepszym zleceniobiorcą wydawał się teraz Stiles.

Może i warto było odsprzedać taniej braciom agencję McGuire & Company, przemknęło mu przez myśl. Może zaufanie do doświadczonych detektywów warte było owych dwustu milionów dolarów.

Jęknął gardłowo i spuścił stopy na podłogę. Znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, naprawdę nie mogąc nikomu ufać.

Rozległo się głośnie pukanie.

- Proszę wejść - powiedział głośnie. Mimo półmroku zalegającego w gabinecie już od progu rozpoznał puciołowatą twarz Faradaya. - Siadaj.

- Tak jest, proszę pana - wycedził tamten ironicznie, wchodząc głębiej do pokoju i siadając ciężko na krześle stojącym przed biurkiem.

- O co chodzi, Nigel?

- Nie rozumiem.

- Skąd ta wrogość?

- Odpieprz się.

- Piłeś?

- Owszem, spędziłem trochę czasu na dole - przyznał Faraday szczerze, z lekko płaczącym się językiem.

„Na dole” oznaczało zapewne restaurację mieszczącą się w tym samym budynku. Na jej tyłach znajdował się pub z przytulną, wyłożoną ciemną boazerią salą i z zaprzyjaźnionymi barmanami. W każdym razie Faraday znał ich doskonale.

- Ile wypitesz?

- Nie twój pieprzony interes.

- Nigel, nie możemy w ten sposób pracować. Rozumiem, że jesteś wściekły, ale nic na to nie poradzę. Ograniczeni wspólnicy wybrali mnie. Musisz się z tym pogodzić.

- Ale mogłeś mi przydzielić prezesurę przynajmniej jednej firmy, Christianie. Tylko jednej. To by wiele zmieniło.

- Zrozum, że...

- I nie musiałeś mówić Marcie Reed, że będzie się zajmować gromadzeniem funduszu ósmego.

- Słucham?

- Kilka godzin temu przyszła do mojego gabinetu, szukając listy naszych inwestorów. Oznajmiła, że awansowałaś ją na współnika zarządu, umieściłaś na stanowiskach prezesa w sześciu naszych przedsiębiorstwach i przydzieliłaś zadanie gromadzenia razem ze mną nowego funduszu.

Gillette uniósł wzrok do nieba. Marcie nie potrafiła inaczej, jak tylko pełnym gazem w jednym kierunku: prosto przed siebie.

- Nic takiego jej nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że będzie mogła pomóc w paru konkretnych przypadkach. Mam nadzieję, że nie dałaś jej tej listy.

- Oczywiście że nie.

Kierowanie trzydziestoma osobami o podobnych charakterach wydawało się piekielnie trudnym zadaniem.

- Lepiej porozmawiajmy o funduszu Everest Osiem - zaproponował. - Będziesz musiał zaangażować co najmniej dwie osoby i prawdopodobnie...

- Najpierw chcę własną firmę - przerwał mu Faraday nieco podniesionym głosem.

- Daj spokój, Nigel.

- Chcę mieć własną firmę! - powtórzył tamten, wstając z krzesła. - Chyba na nią zasłużyłem, nie uważasz?

- Tu nie chodzi o to, czy zasłużyłeś, lecz o doświadczenie w zarządzaniu przedsiębiorstwami. Ty go nie masz. W firmie od początku zajmowałaś się gromadzeniem funduszy. W tej dziedzinie jesteś ekspertem.

- Ale teraz gromadzenie funduszy przestało mnie bawić. - Faraday stanął przy rogu biurka. - Chcę mieć własną firmę, do cholery!

Gillette także wstał. Ponad ramieniem Brytyjczyka dostrzegł w uchylonych drzwiach Stilesa, lecz odprawił go ruchem ręki. Nie potrzebował pomocy w okiełznaniu podchmielonego kolegi.

- Nie rób tego, Nigel, bo pożałujesz. Faraday odsunął się na krok od biurka.

- I co ze mną zrobisz, Christianie? Wywalisz mnie? Jak Troya? Zamierzasz pozbyć się nas wszystkich?

- Nie pozwalaj, żeby szkocka wpędziła cię w poważne kłopoty.

- Myślisz, że jesteś teraz naszym cholernym szefem, Chris? - Faraday zamrugał powoli, oczy mu błyszczały. - Więc jak? Przydzielisz mi prezesurę chociaż jednego naszego przedsiębiorstwa?

- Nie.

- Ty pieprzony sukinsynu!

Faraday skoczył do przodu, mierząc pięścią w jego szczękę.

Był szybszy, niż Gillette sądził, ale i tak o wiele za wolny. Gillette bez trudu zrobił unik i wpakował krótki soczysty lewy sierpowy w brzuch kolegi, a gdy ten zgiął się wpół, złapał go za gardło, od tyłu wbijając jednocześnie palce w jego mięsisty kark. Gdy Faraday osunął się na kolana, Gillette złapał go za prawą rękę i błyskawicznie wykręcił ją do tyłu, szarpnięciem podrywając aż do łopatek, po czym przycisnął go twarzą do ściany.

- Puszczaj! - syknął Nigel.

- Ostrzegalem cię! - Gillette kolejnym szarpnięciem dźwignął go na nogi, obrócił twarzą do drzwi i wypchnął z gabinetu. - Wracaj do domu i wyśpij się! - zawołał, gdy tamten chwiejnym krokiem ruszył przez sekretariat. Obejrzał się na Stilesa, który szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu. - O co chodzi?

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- W zielonych beretach.

- Akurat. Przecież...

- Wejdz na chwilę - przerwał mu Gillette i zawrócił do gabinetu. - Musimy porozmawiać.

- W porządku.

- Chcę, żebyś coś jeszcze dla mnie sprawdził - powiedział, gdy ochroniarz zamknął za sobą drzwi.

- W uzupełnieniu tamtych zadań, to znaczy identyfikacji wtyczki Straziego oraz nadawcy maila, którego dostałeś tamtego wieczoru tuż przed atakiem na ulicy?

Gillette wprowadził Stilesa szczegółowo w sytuację zaraz po rozmowie z Marcie Reed.

- Zgadza się.

- Cóż to za zadanie?

- Chodzi o tego faceta, którego dziś awansowałem.

- Kyle'a Leforsa?

- Tak. - Gillette był bardzo zadowolony, że nie musi niczego dwa razy tłumaczyć. - Sprawdź go dokładnie.

Ochroniarz zrobił zdziwioną minę.

- Zdaje się, że czytałem w jego aktach, iż pracuje tu od pięciu lat.

- To prawda.

- Więc czemu właśnie teraz miałbym go sprawdzać?

- Chcę wiedzieć, czy naprawdę wychowywał się w Luizjanie - powiedział Gillette, odrywając wzrok od ekranu. - Aha, i jeszcze jedno.

* * *

- George?

- Tak?

- To ja, Paul.

- Słuchani.

- Wdowa spotkała się dziś po południu z Gillette'em i powiedziała mu o wszystkim. Trafiliśmy w jej słaby punkt. Jest śmiertelnie przerażona.

- Skąd wiesz? Dzwoniła do ciebie?

- Nie - odparł Strazzi.

- To skąd wiesz, że jest przerażona?

Pomyślał, że nie powinien tego mówić przez telefon komórkowy, ale nie mógł się opanować. Musiał się z kimś podzielić wspaniałą nowiną.

- Mam swojego informatora w Evereście.

- Widzę, że jesteś wszechstronnie przygotowany, Paul. Mam rację?

- Jak zawsze.

Gillette i Whitman spotkali się w tej samej sali konferencyjnej, co poprzednio. Od początku ich znajomości ani razu nie rozmawiali w gabinecie Whitmana. Było jasne, że to skutek ostrożności gospodarza. Jako odpowiedzialny za inwestycje wicedyrektor największego towarzystwa ubezpieczeniowego w kraju chyba bez przerwy prowadził poufne transakcje, w których jego fundusze często pełniły rolę środka zapobiegającego bankructwu albo wykupieniu. Whitman nie mógł dopuścić, by ktoś postronny przeczytał jakiś dokument leżący na jego biurku czy żeby rozeszły się plotki o planowanej poważnej transakcji. Dlatego zawsze przyjmował swoich gości w sali konferencyjnej.

- Dzięki, Miles, że zechciałeś się ze mną zobaczyć bez wcześniejszego umawiania wizyty.

- Nie ma sprawy. Co się stało?

- Potrzebna mi twoja rada, a może nawet pomoc.

- W jakiej sprawie?

- Wdowy po Donovane.

- Jej? - Whitman wyprostował się na krześle.

- Przyszła dzisiaj do mnie do biura, żeby wytłumaczyć, jak ważny jest dla niej jej pakiet udziałów w Everescie.

Dyrektor rozłożył szeroko ręce.

- I to cię zaskoczyło? Sam mógłbym ci powiedzieć, że jest ważny. Nie zrozum tego opacznie, Christianie, ale będę musiał zakończyć naszą rozmowę najszybciej, jak tylko można. Już jestem spóźniony...

- Ktoś naopowiadał jej, że są jakieś poważne kłopoty z przedsiębiorstwami należącymi do Everestu.

Whitman urwał nagle i aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Dlatego się tak zdenerwowała - dodał Gillette, spojrzawszy na muszkę gospodarza. Dzisiaj wybrał klasyczną, granatową.

- Rzeczywiście są jakieś poważne kłopoty? - zapytał tamten cicho.

- Sam dobrze wiesz, jak jest. Podległe ci firmy są jak dzieci. Chyba nie ma dnia, żeby nie sprawiały kłopotów.

- Ale mówimy o poważnych kłopotach.

- O poważnych nic nie wiem, ale wdowę obleciał strach.

- Wytłumacz jej, że wszystko jest w najlepszym porządku, i wyślij bombonierkę.

Przecież w gruncie rzeczy ona nie ma na to żadnego wpływu.

- Rozmawiała z kimś na temat odsprzedaży swoich udziałów.

Whitman przeszył go ostrym spojrzeniem.

- Co takiego?!

- Dobrze słyszałeś. A jej pakiet to także czwarta część głosów walnego zgromadzenia akcjonariuszy.

Dyrektor wymierzył w niego palec wskazujący.

- Za żadną cenę nie wolno ci dopuścić do tej sprzedaży. Zrozumiałeś? Musisz temu zapobiec.

- Sam to świetnie wiem, Miles. Możesz mi wierzyć. Nie chciałbym wylądować z gołym tyłkiem na bruku.

Whitman odchylił się z powrotem na oparcie krzesła.

- Masz rację. Oczywiście. - Rozejrzał się nerwowo na boki. - Przeprowadziłeś już jakieś zmiany organizacyjne?

- Co przez to rozumiesz?

- Awanse.

- Zamierzam wciągnąć Kyle'a i Marcie do grona wspólników zarządu. Mówiłem ci o tym.

- Tak, pamiętam. I to wszystko? Gillette zamyślił się na chwilę.

- No cóż, poza tym mianowałem Cohena dyrektorem naczelnym biura. To bardziej formalna zmiana jego statusu niż awans. Chodziło o to, żeby wszyscy świetnie wiedzieli, kto wydaje polecenia.

- Czyżby? Od kiedy ma objąć to stanowisko dyrektora?

- Jutro rano chciałem powiadomić cały personel pocztą elektroniczną.

Whitman pokiwał głową.

- Niezłe posunięcie. Cohen sprawia wrażenie uczciwego. Jest niegroźny i uczciwy. Taki tytuł awans powinien go uszczęśliwić. Żaden z nas pewnie by się z tego nie cieszył, ale on wygląda mi na takiego, który to doceni. A tobie pozwoli uniknąć większego zamieszania.

Kathy Hays dotarła do końca długiej i krętej drogi dojazdowej wiodącej przez gęsty las i zatrzymała samochód. Poświęciła cały dzień z urlopu i wydłużyła trasę podróży o pięćset kilometrów, żeby odwiedzić rodzinę w Pittsburghu. Naopowiadała wszystkim, że właśnie zaczyna całkiem nowe życie w Los Angeles - dokładnie tak, jak jej kazano - mimo że cel jej podróży leżał w zupełnie innej części kraju.

Wysiadła i usiłując przebić wzrokiem nocne ciemności, obrzuciła zaciekawionym spojrzeniem niewielki budynek, który na najbliższe pół roku miał się stać jej domem. Tak jej tłumaczyli. Tylko sześć miesięcy, a potem będzie mogła wrócić do swego wcześniejszego życia. Wzruszyła ramionami i ruszyła powoli w stronę wejścia. Pod jej stopami zachrząsał żwir. Za to, ile miała dostać - przy jednoczesnej obietnicy zachowania jej romansu w sekrecie - gotowa była niemal na wszystko przez te pół roku.

Powoli weszła po schodach na ganek i sięgnęła do torebki po klucz, który dostała. Myślami wróciła do Troya Masona. To przez nią stracił pracę. A przecież miał żonę i małe dziecko. Postąpiła okropnie. Tyle że nie miała wyboru. Gdyby nie zgodziła się na współpracę, jej rodzice, przyjaciele i znajomi rodziców dowiedzieliby się, że podczas studiów na Uniwersytecie Nowego Meksyku była aresztowana za prostytutkę.

Wsunęła klucz do otworu w drzwiach. Płaciła za własną głupotę. Idiotyczny wybryk. Chciała poderwać faceta, który okazał się policyjnym tajniakiem i zapuszkował ją bez pytania. Odsiedziała za kratkami dziesięć dni i uiściła niewysoką grzywnę, łudząc się

nadzieją, że na tym koniec. Ale tamtego dnia na ulicy podeszli do niej i powiedzieli bez ogródek, że wiedzą o wszystkim.

Przeszył ją dreszcz, gdy otwierała drzwi, zastanawiając się, jak jej rodzice odebraliby zaskakujące nowiny. Matka działała aktywnie w szkółce parafialnej, a ojciec od dawna miał kłopoty z nadciśnieniem. Zawsze uważali ją za aniołka. I oto teraz mieliby się dowiedzieć, że wypadek w Nowym Meksyku wcale nie był jednorazowym wybrykiem, że już od paru miesięcy uprawia naganny proceder.

Zapaliła światło w saloniku i głęboko w nozdrza wciągnęła zatechłe powietrze przesiąknięte kurzem. To było naprawdę najlepsze wyjście. Duże pieniądze i koniec zmartwień, że rodzice dowiedzą się o wszystkim. W końcu nie była jedyna, Troy Mason równie dobrze mógł wpaść z kimś innym. W dodatku obiecali jej solennie, że nikt na tym poważnie nie ucierpi.

Położyła torebkę na stole przy drzwiach i rozejrzała się po pokoju. Aż sześć miesięcy. Wiedziała już, jak będą się jej dłużyć.

Dygotała z zimna, toteż próbowała szczelniej opatulić się cienkim płaszczem, stojąc na Fifth Avenue niedaleko wejścia do budynku. Czekala tu po ciemku już od trzech godzin i przemarzła do szpiku kości. Chyba jeszcze nigdy nie było jej aż tak zimno. Po drugiej stronie alei drzewa na obrzeżu Central Parku chwiały się gwałtownie pod uderzeniami porywistego wiatru. Patrząc na nie, zadygotała jeszcze silniej i po raz kolejny bezskutecznie próbowała opatulić się płaszczem.

Przed frontem budynku zatrzymał się granatowy sedan, wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden wbiegł po schodkach i zniknął w wejściu, ale drugi został na ulicy i zaczął się uważnie rozglądać na wszystkie strony. Była już prawie dziesiąta wieczorem, a ponadto paskudna pogoda nie sprzyjała spacerom, toteż na ulicy nie było żywego ducha. Mężczyzna zauważył ją więc od razu i podszedł energicznym krokiem.

- Co tu robisz? - zapytał ostro.
- Czekam na kogoś.
- Na kogo?
- Na przyjaciela.
- Lepiej stąd spływaj, panienko - mruknął.
- Dlaczego?
- Spływaj i już.

Dostrzegła nadjeżdżającą limuzynę. On musiał w niej być.

- Już cię tu nie ma! - syknął ostrzej mężczyzna. Isabelle oddaliła się o parę kroków, jakby rzeczywiście chciała odejść, lecz nagle zawróciła na pięcie i skoczyła z powrotem, mając nadzieję, że zdoła go wyminąć. Złapał ją jednak bez trudu, objął wpół, jak piórko podniósł z ziemi i zaczął oddalać się od budynku, jeszcze zanim limuzyna Gillette'a stanęła przed wejściem.

Próbowała się uwolnić, okładała go pięściami po twarzy i ramionach, ale był zdecydowanie za silny.

Kiedy znaleźli się wystarczająco daleko od drzwi, postawił ją na chodniku i przycisnął plecami do ściany. Najwyraźniej starając się nie zadawać jej niepotrzebnie bólu, sprawnie wykręcił obie ręce do tyłu, przytrzymał je za nadgarstki jedną wielką łapą, a drugą pospieszenie przeszukał.

- Co to jest? - warknął, znalazłszy w kieszeni płaszcza ostry kuchenny nóż, który podetknął jej pod nos.

- Noszę go dla ochrony.

- Tak, jasne. - Mężczyzna błyskawicznie wyjął krótkofalówkę. - Stiles!

- Tak?

- Pakujcie go do środka! Biegiem!

Lokal Reggiego był najlepszą salą bilardową w Harlemie, oczywiście najlepszą ze względu na charakter prowadzonych tu rozgrywek. Bo poza tym była to odrażająca spelunka, dużo bardziej obskurna niż ta, którą odwiedził w nocy po pogrzebie.

Ale i tu udało mu się przekonać goryla bez wykładania gotówki, że jest w stanie zapłacić pięć tysięcy dolarów, mógł więc bez przeszkód stanąć do rywalizacji z wymagającym przeciwnikiem. W rzeczywistości miał w kieszeni tylko dwie dwudziestodolarówki na taksówkę do domu.

Teraz na stole pozostały już tylko dwie bile, biała oraz ósemka - leżąca przy samej bandzie, kilka centymetrów od narożnej łuzi. Biała znajdowała się na drugim końcu sukna i choć z pozoru wyglądało to nie najlepiej, strzał był dość prosty, Gillette wykonywał podobne trafienia setki razy. Trzeba było trafić w sam kąt między ósemką a bandą, żeby tylko lekko trącona biała posłusznie stoczyła się do łuzi. Koniec gry, poproszę o moje pięć tysięcy.

Pochylił się nad stołem i wymierzył starannie, przeciągając kijem między palcami, przekonany, że tylko sekundy dzieli go od zwycięstwa.

Nagle jednak czegoś mu zabrakło. Ogarnęła go chęć na coś więcej. Wbicie tej ostatniej bili, zakończenie gry i zgarnięcie pięciu kawałków uznał za niewystarczające. Nie tym razem.

Uderzył mocno białą bilę, która, gwałtownie wirując, pomknęła przez całą długość stołu i trafiła ósemkę. Tamta wpadła do narożnej luzy, lecz biała potoczyła się szybko z powrotem, w kierunku przeciwległej luzy, i wpadła do niej. Niedozwolony ruch. Koniec gry, proszę wypłacić pięć tysięcy.

W tłumie gapiów rozległy się gromkie wiwaty. Gillette podniósł wzrok na przeciwnika, który szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Pięć kawałków - zażądał stanowczo, ruszając ku niemu. - Dawaj forszę, przystojniaczku.

- Zagrajmy o podwójną stawkę - zaproponował Gillette.

- Nic z tego. Chcę dostać swoje pięć kawałków, i to już. Gillette rozejrzał się szybko. Pomyślał, że jeśli nie zdoła szybko nakłonić gracza do rewanżu, znajdzie się w kiepskiej sytuacji. W tłumie gapiów tamten miał przyjaciół, a ci bez wątpienia wyglądali na takich, co z wielką przyjemnością stłuką ważniaka z Manhattanu paradującego w wytwornym garniturku.

Gillette obejrzał się na goryla, który też miał nietęgą minę, najwyraźniej denerwował się tym, że wpuścił go do gry, nie odebrawszy wcześniej pieniędzy, przez co teraz sam mógł zaliczyć parę razów. Gillette popatrzył więc znowu na rywala, czując coraz szybsze i mocniejsze bicie serca. Wpakował się w niezłą kabałę, czuł się coraz bardziej nieswojo.

- A co powiesz, jeśli dam ci forsy dwa do jednego w rozgrywce o dziesięć kawałków? - zapytał pospiesznie.

Tamten obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

- Jak mam to rozumieć?

- Jeśli wygrasz, zapłacę ci dwadzieścia kawałków. Jeśli ja wygram, wezmę tylko dziesięć. Odliczając te pięć, które przed chwilą przegrałem, będziesz mi winien tylko pięć tysięcy. To chyba interesująca propozycja, prawda? - Wiedział już, że przykuł powszechną uwagę.

- Cztery do jednego.

Jakże łatwo było przewidzieć reakcje ludzi, gdy chodziło o większe pieniądze.

- Nie. Dwa do jednego albo nie ma o czym mówić.

- Pokaż forszę.

Gillette szerokim gestem wskazał jego przyjaciół wśród gapiów.

- Naprawdę myślisz, że ryzykowałbym taką kupę forsy w ich obecności?

- Normalni ludzie nie noszą przy sobie tak dużej gotówki, dlatego chcę ją zobaczyć.

- Noszą, jeśli chcą grać o najwyższą stawkę w takiej budzie jak ta - odparł spokojnie Gillette, po czym dodał ciszej: - I przeżyć.

Niemalże słyhać było, jak zgrzytają kółka zębate w głowie przeciwnika usiłującego podjąć decyzję w sprawie dalszej gry.

Pół godziny później wyszedł z sali bilardowej na Sto Trzydziestą Czwartą ulicę, bogatszy o pięć tysięcy i bardzo zadowolony. Uszedłszy ledwie parę kroków, odliczył pięć setek i wcisnął je w garść przechodzącej kobiecie z wózkiem. Oczy jej się rozszerzyły na widok pliku banknotów. Gillette tylko skinął głową, zeskoczył z krawężnika i zaczął rozglądać się za taksówką. Przyszło mu na myśl, że niełatwo będzie ją złapać w tej okolicy. Nie wykluczał, że zostanie zmuszony do powrotu metrem.

- Hej, naprawdę ci się wydawało, że tak łatwo nam się wymkniesz?

Obrócił się na pięcie, zaskoczony, ale zaraz odetchnął z ulgą, ujrawszy Quentina Stilesa stojącego przy drzwiach czarnego sedana zaparkowanego dziesięć metrów dalej.

Ochroniarz podszedł do niego sprężystym krokiem, postukał go palcem w pierś i ostrzegł poważnie:

- Nigdy więcej tego nie rób, chyba że chcesz, bym zerwał kontrakt. Zrozumiano?

Gillette ochoczo pokiwał głową, uradowany niespodziewanym poczuciem bezpieczeństwa.

- W porządku.

Stiles pociągnął go w stronę samochodu.

- Chodź, jedźmy już stąd. Lepiej nie sterczeć tak na środku ulicy. - Ruszył przodem, a po kilku krokach rzucił przez ramię: - Nawiasem mówiąc, całkiem nieźle ci szło. Chętnie rozegrałbym z tobą kilka partii.

15

Zadurzenie. Bywa bardzo mocne. Wystarczająco mocne, by zaślepić człowieka szczytującego się tym, że nic nie jest w stanie go zaślepić.

- Nie, nie pozwolę ci tam wejść samemu, beze mnie - oznajmił Stiles, blokując mu dalszą drogę do drzwi pokoju hotelowego i krzyżując ręce na piersi okrytej kasztanowym golfem pod grubym wełnianym swetrem.

- Nie ma się czego obawiać, Quentin. Przecież ci tłumaczyłem.

- Powiedziałem nie.

- Ona jest całkiem niegroźna. Nie ma podstaw, żeby ją podejrzewać...

- Płacisz mi za podejrzliwość.

- Masz rację, to ja ci płacę - powtórzył Gillette z naciskiem. - Więc lepiej zejdziesz mi z drogi i pozwól wejść do środka.

- Nająłeś mnie do konkretnej roboty, Christianie. Mam cię ochraniać. Więc będę to robił najlepiej jak potrafię, niezależnie od okoliczności.

- W każdej chwili mogę cię zwolnić.

- I zrezygnować z ochrony?

- Jasne.

- Proszę bardzo - odparł pewnie Stiles.

Gillette rozejrzył się po korytarzu. Parę metrów dalej przed otwartymi drzwiami pokoju stał wózek obsługi, pokojówka układała na nim pościel i ręczniki, usilnie próbując udawać, że nie słyszy wymiany zdań między nimi.

- Doprowadzam cię do wściekłości, prawda? - rzekł ciszej. W postawie Stilesa bez trudu dało się wyczuć napięcie, ale jemu właśnie o to chodziło. Chciał się przekonać, jak ochroniarz zareaguje na tego rodzaju groźby.

- Wcale się nie wściekam. Zawodowcy w każdej sytuacji muszą zachować spokój.

- Świetnie. W takim razie przyjmiesz na spokojnie także to, że cię zwalniam.

- Doskonale. Będę wreszcie mógł porozmawiać z dziennikarzami. Nie zmienia to jednak faktu, że nie wpuszczę cię do tego pokoju samego. Tym bardziej że Cohen zapłacił mi już z góry za cały miesiąc.

- Zażądam zwrotu pieniędzy.

- Nic nie wskórasz. W kontrakcie jest odpowiednia klauzula.

- Tylko tak gadasz, żeby... Strona siódma, paragraf drugi.

- Cohen nigdy by się nie zgodził na coś takiego.

- A jednak.

Gillette zazgrzytał zębami.

- Quentin, nie mam czasu na kłótnię. Chcę... Stiles położył mu rękę na ramieniu.

- Zrozum, Christianie, że mój człowiek znalazł nóż w kieszeni jej płaszcza wczoraj wieczorem, w pobliżu wejścia do twojego domu.

- To był zwykły kuchenny nóż, na miłość boską!

- I co z tego? Nie można nim zabić człowieka?

- Nie. To zwykła paranoja.

- Już to przerabialiśmy. Płacisz mi za to, żebyśmy byli paranoikami.

- Posłuchaj, Quentin. Isabelle nikogo nie mogłaby skrzywdzić.

- Mówiłeś przecież, że dopiero niedawno ją poznałeś, więc skąd możesz to wiedzieć?

Miał rację.

- Zrozum, dopiero tydzień temu przyleciała do Stanów. Nigdy przedtem nie była w Nowym Jorku. Siostra zapewne jej naopowiadała, że to bardzo niebezpieczne miasto i warto zawsze mieć przy sobie coś do obrony.

- Jak ją poznałeś? - zaciekał się Stiles.

- To bez znaczenia.

- Dla mnie wszystko ma znaczenie, jeśli mam cię chronić. Powtarzam ci to na okrągło. Musisz to przyjąć do wiadomości, jeśli chcesz, bym dalej cię ochraniał.

- A ja mam wrażenie, że używasz tego jako wymówki.

- Wymówki?

- Żebyś mógł zachować zlecenie.

- Przecież to śmieszne! W żadnych okolicznościach...

- Już dobrze, w porządku - syknął pojednawczo. - Utrzymuję bliskie kontakty z rodziną Isabelle z New Jersey, z jej siostrą i szwagrem. To właśnie od nich wracałem, kiedy zostałem zaatakowany na skrzyżowaniu w Hightstown.

- Co, według ciebie, oznaczają „bliskie kontakty”? Prowadzisz z tymi ludźmi interesy?

- Niezupełnie.

- Więc co?

- Pomagam im. - Uświadomił sobie nagle, że jeszcze nikomu o tym nie mówił. Ale ta myśl wlała mu radość w serce. Oczywiście doskonale wiedział, że któregoś dnia będzie musiał wystawić rachunek. Nie było się co łudzić, że Jose nadal będzie miał wszystko za darmo.

- Dokładnie w jaki sposób im pomagasz?

- Finansowo. Wyciągnąłem ich z ruder Bronksu i kupiłem dom w porządnej dzielnicy centralnego New Jersey, gdzie będą mogli posłać dzieci do solidnej państwowej szkoły.

- Ach, rozumiem. Zrobiłeś sobie z nich osobisty projekt pomocy społecznej. W ten sposób uwolnisz się od wyrzutów sumienia, zgarniając swoje milionowe zyski. - Stiles pokręcił głową. - Nie masz przypadkiem kompleksu rycerza w lśniącej zbroi?

Gillette podniósł na niego wzrok, gdyż brzmienie głosu ochroniarza kazało mu się zastanowić nad jego pochodzeniem.

- Może i mam - przyznał. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. - I co z tego?

- Taki kompleks może cię zrujnować.

- Nie ma mowy.

- Uwierz mi, że tak może być.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do ósmej. Tom McGuire miał się zjawić w biurach Everestu za godzinę, żeby dalej poprowadzić rozmowę w sprawie wykupu agencji McGuire & Company. Trzeba było się pospieszyć, by zdążyć na czas.

- Pozwól, że wejdę tam pierwszy i skontroluję pokój - zaproponował Stiles, świadom upływu cennych minut. - Jeśli wszystko będzie w porządku, wpuszczę cię do środka i zostanę przy drzwiach, w pokoju, ale tak, jakby mnie tam nie było.

- Śmiertelnie ją przestraszysz. Stiles uniósł w górę jedną brew.

- Na pewno? Dlatego że jestem czarny?

Gillette przez parę sekund patrzył mu prosto w oczy, wreszcie uśmiechnął się szeroko.

- Owszem.

Ochroniarz odpowiedział uśmiechem, po czym odsunął się na bok, wskazał palcem drzwi i polecił:

- Zapukaj.

Isabelle otworzyła natychmiast, jak gdyby czekała tuż przy drzwiach. Była ubrana w biały frotowy szlafrok sięgający do kostek, z wyhaftowaną na połach literą W od nazwy hotelu, Waldorf. Włosy miała mokre i rozpuszczone, jakby dopiero wyszła spod prysznica. I pachniała pięknie niczym różany ogród w słoneczne letnie popołudnie. Obrzucił ją powłóczyстым spojrzeniem. Była oszałamiająco piękna.

- Buenos dias, Isabelle.

Uśmiechnęła się do niego, zalotnie przewracając oczami.

- Witaj, Christianie.

Sprawiała wrażenie zadowolonej z tego porannego spotkania. Wręcz promieniała radością.

- To jest Quentin Stiles. - Ruchem ręki wskazał ochroniarza. - Pracuje dla mnie. Musi pobyć z tobą w pokoju parę minut, zanim pozwoli mi wejść do środka. - Przez jej oblicze przemknął grymas strachu. Gillette pospiesznie wziął ją za rękę i dodał miękko: - O nic się nie martw. Wszystko będzie w porządku.

Stiles przecisnął się obok niego.

- Pani pozwoli? - Wskazał w głąb krótkiego korytarzyka prowadzącego do pokoju. - Proszę usiąść na brzegu łóżka - polecił. - Zaraz tam przyjdę. A ty nie ruszaj się stąd - rzucił przez ramię do Gillette'a stojącego w otwartych drzwiach.

Kilka minut trwało staranne przeszukiwanie pokoju hotelowego.

- W porządku - zawołał w końcu Stiles, nie znalazłszy niczego podejrzanego. - Możesz wejść.

Gillette w kilku krokach przemierzył korytarzyk i zatrzymał się przy łóżku. Isabelle stała jak wmurowana po jego drugiej stronie.

- Zaczekam przy drzwiach - rzekł cicho Stiles, gdy go mijał. - Jak będę potrzebny, wystarczy zawołać.

Gillette obrzucił zatroskanym spojrzeniem szczupłą sylwetkę Isabelle.

- Coś mi się zdaje, że sam sobie poradzę.

- A jednak.

- Quentin jest bardzo dobry w swoim fachu - wyjaśnił dziewczynie, gdy ochroniarz zniknął im z pola widzenia. - Ale czasami trochę przesadza z podejrzliwością.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy. W końcu troszczy się o twoje życie. Rozumiem go.

- Usiądź, proszę. Wczoraj wieczorem wszystko było w porządku?

- Cudownie - odparła, siadając na skraju materaca w nogach łóżka.

Po tym, jak Stiles zameldował mu o incydencie na ulicy przed budynkiem i Gillette dowiedział się, że zatrzymali właśnie Isabelle, polecił ochroniarzowi umieścić dziewczynę na noc w hotelu Waldorf i uprzedzić ją, że wpadnie z wizytą z samego rana. Następnie, zanim wysłiznął się na eskapadę do sali bilardowej zadzwonił do Selmy, żeby ją uspokoić.

- Jeszcze nigdy nie byłam w tak uroczym miejscu - powiedziała, gdy przysiadł obok niej. - To niewiarygodne. Wczoraj późnym wieczorem służba przyniosła mi czekoladki, a to łóżko okazało się bardzo wygodne. Jeszcze nigdy nie spałam na tak miękkim materacu. Czułam się jak księżniczka.

Gillette spoglądał na nią przez dobre kilka minut. Fizycznie była dojrzałą przepiękną kobietą, ale psychicznie pod wieloma względami przypominała małe dziecko.

- Po co wczoraj wieczorem przyjechałaś do miasta? - zapytał.

- Żeby się z tobą zobaczyć. Miałam nadzieję, że pójdziemy gdzieś na kolację, skoro mnie wtedy zapraszałeś.

- Dlaczego wcześniej nie zadzwoniłaś? - Gdy zakładała nogę na nogę, poły szlafroka się rozchyliły, odsłaniając jej uda. Popatrzył krótko na jej gładką brązową skórę, po czym szybko odwrócił wzrok, nie chcąc jej urazić. Zdawał sobie sprawę, że ona pochwyciła jego spojrzenie. - I dlaczego czekałaś przed drzwiami budynku, w którym mieszkam?

- Pomyślałam, że mam małe szansę, by się do ciebie dodzwonić - wyjaśniła półgłosem, spuszczać wzrok. - Po tym, jak cię ostatnio potraktowałam...

- Dlaczego teraz zmieniłaś zdanie? Pokręciła głową.

- Naprawdę wcale nie zmieniłam zdania.

- Nie rozumiem.

- Bardzo chciałam przyjąć twoje zaproszenie tamtego wieczoru w New Jersey.

- Więc czemu je odrzuciłaś? Zawahała się.

- Sama nie wiem.

- Nie żartuj - syknął. - Chyba możesz powiedzieć prawdę?

Westchnęła głośno.

- Słyszałam, jak Selma i Jose prawie bez przerwy rozmawiają o tobie. Powtarzają, do jakich świetnych szkół chodziłeś, jaką jesteś ważną osobistością, jaki jesteś bogaty, a twój ojciec był senatorem...

Gillette zmarszczył brwi.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - Specjalnie nie mówił Josemu i Selmie za dużo o sobie, usiłując zachować jak najdalej posuniętą anonimowość. Może jednak Stiles wcale nie działał pod wpływem paranoi? - Nigdy z nimi nie rozmawiałem o swoim ojcu, nie mówiłem, do jakich chodziłem szkół, a już na pewno nie dawałem do zrozumienia, że jestem bogaty.

- Mam wrażenie, że za któryś razem podałeś Josemu nazwę swojej firmy. Selma połączyła się z internetem i sprawdziła ją. Zdaje się, że natrafiła przy okazji na twój życiorys. Nie mam tylko pojęcia, skąd się dowiedziała, kim był twój ojciec.

Przypomniał sobie, że faktycznie rozmawiał kiedyś z Josem o Everest Capital. Zatem wyjaśnienia Isabelle trzymały się kupy. Na stronie internetowej spółki, w części poświęconej personelowi, znajdowały się krótkie biografie wszystkich pracowników. A w sieciowych informacjach na temat tragicznego wypadku jego ojca z pewnością wspomniano także o dzieciach. Jeśli Selma uruchomiła ogólne przeglądanie internetu w poszukiwaniu jego nazwiska, bez trudu mogła również trafić na wiadomość o ojcu. Poza tym, jak dotąd, kupił ich rodzinie dwa domy. Musieli więc zakładać, że jest bardzo bogaty, skoro go na to stać.

- Zatem słyszałaś, jak o mnie rozmawiali. I co z tego?

- Zaciekało mnie, czemu chciałbyś spędzać czas w towarzystwie kogoś takiego jak ja - odparła z rozbrajającą szczerością. - Przecież możesz łatwo znaleźć sobie do towarzystwa znacznie bardziej interesujące osoby, z którymi masz znacznie więcej wspólnego.

- Moim zdaniem ty jesteś bardzo interesująca - powiedział. - Teraz musimy się tylko trochę lepiej poznać. Zgoda?

- Co cię we mnie zainteresowało?

- Wyjechałaś z kraju, żeby zamieszkać w zupełnie obcym otoczeniu. Do tego trzeba mieć dużo odwagi. A odwaga sama z siebie jest bardzo interesująca. - Uśmiechnął się. - Poza

tym, każda kobieta, która kręci się po ulicy przed moim domem, z kuchennym nożem w kieszeni, musi być bardzo, ale to bardzo interesująca.

Na chwilę ukryła twarz w dłoniach, wyraźnie zmieszana.

- Przepraszam.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Wydawała mu się taka piękna.

- Odrzuciłam wtedy twoją propozycję również dlatego, że sądziłam, że Selma albo Jose byliby niezadowoleni, gdybym umówiła się z tobą na kolację. Myślałam, że złościliby się na mnie za wyjście wieczorem...

- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Na przykład za to, że gdyby między nami się nie ułożyło, obawialiby się o swoje dalsze stosunki z tobą. Ale kiedy powiedziałam Selmie, że zaprosiłam mnie na kolację, a ja odmówiłam, dopiero się wściekła. Jose także był zły. - Nerwowo splótła dłonie na kolanach. - Dlatego jestem.

- W porządku. Chciałbym jeszcze wiedzieć, dlaczego miałaś kuchenny nóż w kieszeni płaszcza.

Pokręciła głową.

- Zachowałam się jak idiotka, prawda? Strasznie tego żałuję. Ale słyszałam tyle przerażających opowieści o Nowym Jorku, o uzbrojonych bandytach z rewolwerami, którzy rabują ludzi na ulicy w biały dzień...

- Z takim nożem niewiele byś zdziałała, gdyby napadł cię bandyta z rewolwerem - zauważył ironicznie.

- Si. Wołałam jednak mieć coś do obrony. Z nożem po prostu czułam się bezpieczniej.

- Słyszałeś, Quentin? - zawołał Gillette do ochroniarza niewidocznego z miejsca, w którym siedzieli. - Po prostu chciała się czuć bezpieczniej, dlatego zabrała nóż.

- Tak, słyszałem - doleciała stłumiona odpowiedź. Gillette puścił oko do Isabelle.

- I co ty na to?

- Porozmawiamy o tym później - burknął Stiles. Gillette wziął dziewczynę za rękę.

- Posłuchaj. Zaproszenie na kolację jest wciąż aktualne. Będziesz pewnie musiała przejść przez bramkę wykrywacza metali i poddać się drobiazgowej rewizji osobistej, zanim Cjentin dopuści cię do mnie na sto metrów - rzekł na tyle głośno, żeby ochroniarz słyszał. - Lecz jeśli jesteś gotowa to znieść, z przyjemnością zabiorę cię na kolację.

Isabelle odwróciła się i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Cudownie.

Usztywnił się, zaskoczony tym nagłym uściskiem.

- Może być dzisiaj? - zapytał, delikatnie uwalniając się od jej rąk. - W ciągu dnia mogłabyś zostać w mieście. Poproszę kogoś, żeby przyszedł tu późnym popołudniem i zabrał cię na zakupy. To by ci się spodobało?

- Zakupy? Och, nie, proszę - jęknęła, uśmiechając się szeroko. - Chyba nie zniosłabym aż takich tortur. - Obrzuciła go uważnym spojrzeniem i szybko spoważniała. - Wiem, że to oczywiste, ale i tak muszę zapytać. Wyraźnie różnimy się kolorem skóry. Czy dla ciebie to nie jest problem?

- Najmniejszy. - Uniósł już dłoń, żeby delikatnie musnąć palcami jej policzek, kiedy naszła go niespodziewana myśl. - A dla ciebie?

- Wciąż jesteś słony?

Gillette podniósł wzrok znad małego notesu, w którym robił notatki, a właściwie sporządzał listę. Miał wrażenie, że ostatnio jego praca ogranicza się do robienia rozmaitych spisów, stopniowo coraz dłuższych.

- Słony? - Jechali do biura Everestu na spotkanie z McGuire'em. Stiles siedział obok niego na tylnym siedzeniu lincolna. Nie był to już ten sam wóz, którym wracali do domu wczorajszego wieczoru. Ochroniarz stale zmieniał samochody i na okrągło kazał je dokładnie sprawdzać, zanim jeszcze szofer otworzył drzwi i przekręcił kluczyk w stacyjce. W ten sposób maksymalnie utrudniał zadanie ewentualnym zamachowcom planującym podłożenie kolejnej bomby. - Co przez to rozumiesz?

- No, wiesz. Zły.

- O co?

- O to, że przeszukałem pokój Isabelle. I ją.

- Jak ją obszukiwałeś? Kazałeś jej zdjąć szlafrok? Stiles szybko uniósł obie ręce.

- Oczywiście że nie.

- Słyszałem co innego - mruknął, żeby go rozdrażnić.

- Hej, nigdy nie stosowałem takich metod. Gillette wzruszył ramionami.

- Stałem w korytarzu, więc was nie widziałem.

- Christianie - syknął Stiles lekko podniesionym głosem. - Mówię zupełnie poważnie.

- Gdzież się podział ten zawsze opanowany Quentin? Już myślałem, że nigdy się nie złościsz.

Tamten się wyprostował i zapatrzył prosto przed siebie.

- Wcale się nie złościsz - odparł zwykłym dla siebie, opanowanym tonem. - Po prostu bardzo poważnie traktuję swoje obowiązki.

- A wiesz, co ja myślę? Stiles popatrzył na niego.

- Co?

- Że bardzo chciałeś drugi raz znaleźć się z nią sam na sam. Sądzę, że wczoraj wieczorem zrobiła na tobie wrażenie, zapragnąłeś więc pokazać się jej w działaniu. Spodobała ci się.

- Komu by się nie spodobała?

- Zatem słusznie podejrzewałem.

- Ech, i tak nic nie rozumiesz - mruknął ochroniarz. - Posłuchaj, mam dla ciebie garść świeżych informacji.

- Tak? Jakich?

- Po pierwsze, Kyle Lefors z pewnością pochodzi z Luizjany. Wychowywał się w małym miasteczku niedaleko Baton Rouge, w McManus.

- Zgadza się. Coś jeszcze? Stiles się zawahał.

- Wczoraj Paul Strazzi spotkał się z senatorem Stockmanem w starej hali magazynowej na Bronksie.

Gillette popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

- To ważne? - zapytał ochroniarz.

- O, tak. - Zaangażowanie Stilesa wydawało mu się najlepszym posunięciem w całej dotychczasowej karierze, chociaż ochroniarz był uparty jak osioł. Zresztą, może i to należało do jego zalet.

- Dlaczego?

- Powiem ci później. - Mógł się teraz tylko cieszyć, że poprosił Stilesa o przydzielenie kogoś do śledzenia Strazziego. - A co z tym meilem? Tym, który odebrałem na kilka minut przed atakiem na skrzyżowaniu w New Jersey.

- Na razie niewiele. Doszliśmy tylko, że został wysłany z taniej kafejki internetowej. Pewnie znasz ten rodzaj lokali, gdzie oferują darmowe pięć minut dostępu do sieci za każdą zamówioną filiżankę kawy. Nadal nie możemy ustalić, z której kafejki go wysłano, bo do tej sieci należy około pięciu tysięcy lokali. Trzeba by uzyskać dostęp do ich serwerów, żeby wydobyć taką informację. Próbuję wymóc na to zgodę zarządu sieci poprzez moje osobiste kontakty, ale nie jestem pewien, co z tego wyjdzie. Zresztą nie wiadomo nawet, co by nam dała identyfikacja konkretnej kafejki, skoro nadal nie sposób byłoby ustalić nadawcę, gdyż klienci tych lokali nie płacą za korzystanie z poszczególnych terminali.

- Mimo wszystko spróbuj ustalić, z której kafejki wysłano wiadomość - odparł Gillette. - Nigdy nic nie wiadomo. A nuż uda się tą drogą dotrzeć do nadawcy?

- Dobrze, będę dalej próbował.

- Świetnie. - Gillette wrzucił notes do aktówki i rozsiadł się wygodnie. - Opowiedz mi o swoim dzieciństwie, Quentin.

Stiles obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- Po co?

Gillette wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że będziemy spędzali dużo czasu razem. Dlatego jestem ciekaw, gdzie się wychowywałeś.

- Wcale cię to nie interesuje.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko starasz się podtrzymać rozmowę.

- Quentin, jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Zazwyczaj nie mam czasu na podtrzymywanie błahych rozmów.

- A co konkretnie chcesz wiedzieć? - zapytał Stiles po kilkusekundowej przerwie. Wpatrywał się w ulicznego sprzedawcę pchającego przy krawężniku wyładowany wózek.

- Gdzie się wychowywałeś?

- Jakies sześć przecznic na północ stąd. - Ochroniarz aż odetchnął z ulgą, kiedy bezpiecznie wyminieli sprzedawcę z wózkiem. - W Harlemie.

Gillette uśmiechnął się szeroko.

- Więc pewnie dobrze znasz tę salę bilardową, spod której mnie wczoraj zabrałeś?

Stiles przytaknął ruchem głowy.

- Przebimbałem w niej więcej godzin, niż odważyłbym się policzyć.

- Naprawdę tak dobrze grasz w bilard?

- O, tak.

- Masz rodzeństwo? - zapytał Gillette, żałując, że nie może już teraz zaprosić ochroniarza do gry. Byłoby cholernie zabawnie ograć go na pięć kawałków.

- Przyrodniego brata i przyrodną siostrę. Przynajmniej tyle mi wiadomo.

- Utrzymujesz z nimi kontakty?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie.

Było jasne, że Stiles nie chce o tym rozmawiać.

- Chodziłeś do college'u? Tamten prychnął pogardliwie.

- Nie skończyłem nawet średniej szkoły. Rzuciłem naukę po pierwszej klasie.

Mówił jednak bardzo poprawnie. W rzeczy samej wysławiał się z dużo większą swobodą niż wiele osób, które musiały płacić setki tysięcy dolarów za możliwość nauki w którejś uczelni z Ivy League.

- Skąd zatem...

- Dzięki mojej babci - przerwał mu Stiles.

- Babci?

- To dzięki niej jestem dzisiaj tym, kim jestem. I to ona jest odpowiedzią na pytanie, które chciałeś zadać.

- Cóż takiego zrobiła?

- Wychowała mnie. Była dla mnie i matką, i ojcem, i najlepszym przyjacielem. Po prostu wspaniałym człowiekiem. Bardzo wiele jej zawdzięczam.

- Dlaczego właśnie babcia musiała cię wychowywać? Przez parę sekund panowała cisza.

- Moja matka bez przerwy gdzieś znikła - odparł w końcu ochroniarz bardzo cicho, ledwie słyszalnie. - Zdarzało jej się nie wracać do domu przez kilka tygodni. Nikt nie wiedział, co w tym czasie robiła i gdzie była. Potem zjawiała się nagle, najczęściej w rozpaczliwym stanie, i kilka następnych tygodni prawie się nie ruszała z kanapy w saloniku babci. Niemal na okrągło spała. Później znów znikła, nikomu nie mówiąc ani słowa. I tak to trwało. Gillette się skrzywił.

- Musiałeś przez to cholernie cierpieć.

- We wczesnej młodości dużo płakałem. Później już mnie to tylko wkurzało.

- Rozmawiałeś z nią kiedykolwiek na ten temat? - zapytał Gillette, wspominając dzień, kiedy zebrał się na odwagę i zagadnął własną matkę w kwestii jej picia. Miał wtedy szesnaście lat i pewnego popołudnia w kuchni postanowił z nią porozmawiać na spokojnie. Ale zdołał wydusić z siebie zaledwie parę słów, gdy dostała szału, zaczęła ciskać w niego talerzami i garnkami, aż musiał uciekać z domu. Ojciec ostrzegł go później, żeby nigdy więcej nie próbował z nią dyskutować, toteż nie wrócił już do tego tematu. I nigdy nie powiedział ojcu, jak uratował matce życie tamtego dnia, kiedy pijana wpadła do basenu. - Próbowałeś jej pomóc?

- Tylko raz.

- I czym się skończyło?

- Wymierzyła we mnie z rewolweru i powiedziała, że nigdy nie miała nic wspólnego z narkotykami - odparł Stiles. - I zagroziła, że mnie zabije, jeśli będę rozpowiadał, że jest ćpunką.

- Jezu...

- Po tym rzuciłem szkołę i przyłączyłem się do gangu.

- Podejrzewam, że twoja babcia nie była z tego powodu szczęśliwa.

- Oczywiście, ale wtedy nie miała nade mną żadnej władzy, byłem w okresie dorastania i nikogo nie chciałem słuchać.

- Więc jak to się stało, że dziś tak wiele jej zawdzięczasz?

- Wiesz co? - mruknął Stiles, mierzając w niego palcem. - Jesteś jak pies, który zwietrzył kość. Nie popuścisz nawet na chwilę.

- Dzięki.

- O pewnych sprawach osobistych po prostu się nie mówi. Powinieneś wyczuwać, kiedy należy zmienić temat.

- Ale ty chcesz mi o tym opowiedzieć - oznajmił rzeczowo Gillette. - Każdy z nas pragnie przynajmniej raz zdradzić komuś swoje tajemnice. - Powtórzył to, co usłyszał od Toma McGuire'a.

- Czyżbyś zamierzał się bawić w domorośłego psychoterapeutę?

- Przez cały czas analizuję zachowania ludzi, Cjentin. To jedna z moich najcenniejszych umiejętności. Muszę ludzi bez przerwy motywować. A nie da się tego robić skutecznie, jeśli się ich nie rozumie.

- Tylko czy to nie oznacza już manipulowania ludźmi? Nie tym się w rzeczywistości zajmujesz? - Ochroniarz przyglądał mu się uważnie. - Masz rację, obserwowałem cię w akcji.

- Nazywaj to sobie jak chcesz - odparł Gillette cierpko - ale muszę umieć tchnąć w ludzi wiarę w siebie, nawet gdy wszystko dokoła pali się i wali. Jeśli wymaga to odrobiny nieczystej manipulacji, nie stronie od niej. Ważne, żeby ostatecznie każdy wyszedł na plus, a przy okazji ja także. W moim zawodzie tylko to się liczy.

- Nawet jeśli uważasz, że potrafisz skutecznie mącić ludziom w głowach, nie oznacza to jeszcze, że tak samo namącisz mnie.

- Przecież sam mi powiedziałeś o problemie narkotykowym swojej matki.

- Zgadza się, powiedziałem - mruknął Stiles, odwracając głowę do okna. - Od bardzo dawna nikomu o tym nie mówiłem.

- Więc? - podchwycił Gillette. - Jak to się stało, że tak wiele zawdzięczasz babci?

Stanęli na światłach. Przez pewien czas ochroniarz zdawał się całkowicie pochłonięty obserwacją ruchu na skrzyżowaniu.

- Któregoś dnia ja i nasz boss zostaliśmy przyłapani o kilka przecznic w głębi terenu kontrolowanego przez sąsiedni gang. Skończyło się na tym, że zostałem postrzelony w klatkę piersiową.

- Po tamtej ranie została ci ta blizna, którą mi pokazywałeś? - zaciekał się Gillette, wskazując miejsce na swoim boku. - Gdzieś tutaj?

- Tak. Kiedy wydobrałem, babcia przyprowadziła dwóch roślących sąsiadów, a ci zaciągnęli mnie do punktu poboru przy Times Square i kazali wciągnąć na listę rekrutów. W taksówce przez całą drogę wrzeszczałem i kłamię, na czym świat stoi. Ale dziś uważam, że to najlepsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

- Nie wierzę, Quentin. Jeśli nawet zawlekli cię siłą do punktu poboru, to przecież nie mogli zmusić, żebyś się zaciągnął do wojska. Musiałeś wyrazić na to zgodę.

- To prawda. Gdy czekałem w kolejce i spoglądałem na białego barczystego osiłka ostrzyżonego na jeża, z dzikimi błyskami w oczach, uświadomiłem sobie nagle, że mam niepowtarzalną okazję wynieść się z Harlemu. I choć z gruntu nienawidziłem wojska, zrozumiałem, że otwiera się przede mną druga szansa, by wyjść na ludzi. W przeciwnym wypadku czekały mnie tylko kolejne potyczki z innymi gangami, w których najwyżej mogłem dostać drugą kulkę. A trudno było zakładać, że za każdym razem wyliżę się z tego bez większych problemów.

- Czy twoja babcia jeszcze żyje? - zapytał Gillette.

- Tak. Wciąż mieszka w tym samym domu.

- Ile ma lat?

- Siedemdziesiąt dwa.

- A twoja matka? Utrzymujesz z nią kontakty?

- Nie.

- Dlaczego?

- Została zabita tydzień po tym, jak wyjechałem na wojskowe szkolenie zasadnicze. Zginęła od kuli gliniarza w trakcie nalotu na kokainową spelunkę kilkaset metrów od domu babci.

Gillette odwrócił głowę.

- A co z tobą? - zapytał Stiles po dłuższej przerwie. - Gdzie ty się wychowywałeś?

Gillette popatrzył na niego. Nie spodziewał się, że ochroniarz odplaci mu podobnym zainteresowaniem.

- W Beverly Hills. i: Stiles jęknął gardłowo.

- A, wśród samych nadzianych koleśków?

- Otóż to - mruknął niechętnie Gillette. - W czasie nauki w szkole średniej spędzałem większość czasu na plaży, grając w siatkówkę albo pływając na desce.

- I podrywając dziewczyny?

- Jasne.

- Czym się zajmował twój ojciec?

- Już nie żyje.

- Aha. - Stiles zawahał się wyraźnie. - Jak zmarł?

- Zginął w katastrofie samolotowej.

- Dawno temu?

- Czternaście lat.

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

- Przed śmiercią - odezwał się w końcu Gillette - prowadził bank inwestycyjny w Los Angeles. Dorobił się na tym, gdy pewna duża firma z Nowego Jorku wykupiła ten bank, płacąc dużo więcej, niż był wart. Później jeszcze przez dwa lata kierował nim w imieniu nowojorskich właścicieli, następnie zainteresował się polityką. Już w pierwszej swojej kampanii wywalczył miejsce w Kongresie, a cztery lata później został senatorem Stanów Zjednoczonych.

- To pewnie nigdy niczego ci nie brakowało, zgadza się?

- Owszem. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek odczuwał jakieś braki. Boże Narodzenie w naszym domu niczym się nie różniło od dnia powszedniego. - Przynajmniej do czasu, gdy skończył dwadzieścia dwa lata.

- Ja w ogóle nie miałem pojęcia, że istnieje coś takiego jak Boże Narodzenie, póki nie skończyłem sześciu lat i nie dowiedziałem się o tym od jakiegoś kolegi.

- Przykra sprawa.

- Masz rodzeństwo? - pytał dalej Stiles.

Gillette westchnął głośno. Niedawno okłamał w tej sprawie Faith. Nawet nie dlatego, że jej nie ufał. Po prostu nie chciał o tym rozmawiać. Jednakże Stiles wyjawiał mu kilka swoich bolesnych tajemnic, byłoby więc nie fair, gdyby nie odwzajemnił się tym samym.

- Mam starszego brata i młodszą siostrę.

- Utrzymujesz z nimi kontakty? Pokręcił głową.

- Dlaczego?

- Bo nie, i tyle.

- Gdzie chodziłeś do college'u? - ciągnął Stiles, niezrażony ostrzejszymi tonami w głosie rozmówcy.

- W Princeton.

- Pasuje. Tatuś cię tam umieścił?

- Sądzę, że gmach wydziału sztuk użytkowych, który w całości zafundował, zrobił swoje.

- A po skończeniu Princeton?

- Zrobiłem dyplom w Stanford Business School. Później podjąłem pracę u Goldmana i Sachsa. To bank inwestycyjny z siedzibą w Nowym Jorku.

Stiles po raz kolejny jęknął gardłowo.

- Wiem, co to Goldman i Sachs - burknął, wyraźnie poirytowany.

- Aha. W każdym razie przepracowałem kilka lat w ich dziale Nabytków i Fuzji, zanim Bili Donovan zaproponował mi posadę w Everest Capital.

- Myślałem, że Goldman i Sachs to najbardziej prestiżowy bank inwestycyjny na świecie. Dlaczego stamtąd odszedłeś?

- Bankierzy inwestycyjni są zwykłymi agentami. Żyją wyłącznie z pobierania prowizji. Bogacą się na pocie i wysiłku innych. Robią na tym niezłe pieniądze, ale mnie się to nie podobało. Poza tym, prawdziwie duże pieniądze tkwią tylko w prywatnych spółkach kapitałowych. Dopiero one dają prawdziwą satysfakcję.

- Niby dlaczego praca w prywatnej spółce kapitałowej miałaby dawać aż taką satysfakcję?

- Bo wiąże się z dużym ryzykiem. Naprawdę bardzo dużym. W tej pracy musisz wykładać na stół własną forszę, podczas gdy bankierzy inwestycyjni ponoszą ryzyko tylko za pieniądze powierzone im przez innych ludzi.

- I to cię właśnie nakręca w tej robocie?

- Co?

- Ryzyko. To dlatego uciekasz, żeby grać w bilard na forszę w podejrzanych lokalach w Harlemie, nie mając grosza przy duszy?

Gillette zamknął oczy i odchylił głowę na oparcie.

- Zgadza się - przyznał szczerze.

Stiles zachichotał szyderczo.

- Ile forsy ci wreszcie wystarczy, Christianie? Przecież twoja rodzina i tak jest już bogata. Do czego potrzeba ci jeszcze więcej? Ile będziesz miał pożytku z kolejnego domku przy plaży, w którym spędzisz kilka dni w ciągu roku? Czy z jeszcze jednego ekskluzywnego apartamentu w którejś europejskiej metropolii? Czemu nie zaczniesz wreszcie korzystać z życia?

Gillette przez kilka sekund spoglądał mu hardo w twarz, mając przed oczyma widok najpierw Isabelle, a potem Faith.

- W gruncie rzeczy tu wcale nie chodzi o pieniądze.

- Sam mówiłeś, że one są najważniejsze.

- Ale nie w tym sensie, żeby móc za nie kupować jeszcze więcej rzeczy. To jak rezultat na świetlnej tablicy z wynikami. Nic ponadto.

- Aha. - Stiles pokiwał głową. - No cóż, przynajmniej tyle rozumiesz.

- O co ci właściwie chodzi?

- Wydaje mi się, że dla ciebie wszystko sprowadza się do gry, zabawy w sprawowanie władzy i kontroli, wyścigu do roli władcy marionetek. Zmuszasz ludzi do spełniania twoich zachcianek, choćby tylko po to, żeby się przekonać, ile piłeczek zdołają utrzymać jednocześnie w powietrzu. Zarazem próbujesz ustalić, jaką naprawdę pojemność ma twój mózg i jak wielką presję jesteś w stanie znieść. - Stiles obejrzał się na kolejne mijane skrzyżowanie. Już tylko parę przecznic dzieliło ich od siedziby Everestu. - Wszystko zasada się na szukaniu granic własnej wytrzymałości, prawda?

Miał rację, chociaż Gillette za żadne skarby nie chciał się do tego przyznać.

- Jak to rozgryzłeś?

- Nie jesteś pierwszym bogatym facetem, którego ochraniam, ale bardzo mi przypominasz tamtych. Wszyscy pracujecie po osiemdziesiąt godzin tygodniowo przez dwadzieścia lat i nagle ocykacie się koło czterdziestki, zachodząc w głowę, co się stało z waszym życiem. Bierzecie nagle pół roku urlopu, żeby się wybrać w podróż dookoła świata i spędzić trochę czasu z rodziną, a w gruncie rzeczy po to, by choć trochę poznać swoich najbliższych. Ale już po trzech miesiącach dochodzicie do wniosku, że to wcale nie jest takie interesujące, jak się wam wydawało, albo, co gorsza, wasi najbliżsi wcale się wami nie interesują. Uświadamiacie sobie nagle, że musicie wrócić do gry, któregoś ranka dzwonicie więc do starego przyjaciela, który jest właścicielem małej, lecz szybko rozwijającej się firmy, i oto znów jesteście w samym sercu rozgrywek i nic nie może wam przynieść większego szczęścia. - Znów stanęli na światłach i Stiles zapatrzył się na mężczyznę sterczącego na najbliższym rogu i gapiącego się na ich lincolna. - To prawdziwe przekleństwo dla facetów takich jak ty. Macie coś specyficznego we krwi, czego za żadne skarby nie umiecie się pozbyć. - Obejrzał się na Gillette'a. - Dlatego lepiej sobie nie wmawiaj, że naprawdę chodzi ci o Isabelle.

- Nie rozumiem, do czego pijesz?

«- Dobrze widziałem dziś rano, jak na nią patrzysz, i słyszałem prawie całą waszą rozmowę. Nie ludź się, że znalazłeś jakąś swoją bajkę, w której możesz być dla niej rycerzem w lśniącej zbroi. Jak już powiedziałem, to coś, czemu powinieneś się bardzo uważnie przyjrzeć. Wiele razy widziałem białych bogatych facetów w podobnej sytuacji.

- Quentin, ja...

- Bogatych i przystojnych, którzy wyciągają piękną naiwną Latynoskę z ubóstwa i w efekcie odjeżdżają razem na białym koniu, na tle zachodzącego słońca. Wiem, co mówią na ten temat podręczniki psychologii. To tylko z pozoru romantyczna znajomość, która w rzeczywistości wcale nie jest taka romantyczna. Isabelle nie pasuje do twojego świata. Oboje będziecie później gorzko tego żalowali.

- Chyba co nieco przesadzasz. Ostatecznie nawet nie byłem z nią jeszcze na randce.

- Więc się nie umawiaj. Gillette zachichotał.

- Jesteś zwyczajnie zazdrosny, Quentin. Nic poza tym.

- Mylisz się. Po prostu usiłuję dać ci dobrą radę.

- Wydawało mi się, że nie rozmawiasz ze swoimi klientami.

- Zazwyczaj nie rozmawiam - przyznał Stiles z ociąganiem.

- Więc czemu postanowiłeś zrobić dla mnie wyjątek?

- Sam nie wiem - odparł tamten ze skruchą w głosie.

- No cóż, tak czy inaczej, zamierzam zabrać Isabelle na kolację dzisiaj wieczorem.

Stiles wzruszył ramionami.

- Doskonale. Nic mnie to nie obchodzi. Na pewien czas zapadła cisza.

- Jesteś żonaty? - zaciekawiał się w końcu Gillette.

- Rozwiedziony.

- Masz dzieci?

- Nie.

Gillette się zawahał, rozmyślając, jak najlepiej sformułować kolejne pytanie, ale był na to tylko jeden sposób: zapytać wprost.

- Czy twoja żona była biała?

Stiles przez jakiś czas siedział z kamiennym wyrazem twarzy, wreszcie powoli skinął głową.

- I była bogata?

- Nie tak, jak ty, ale wychowywała się w eleganckiej dzielnicy zabudowanej obszernymi murowanymi domami, w których pracują meksykańskie służące.

- I w całym kwartale trudno spotkać kogoś czarnego?

- Nawet w promieniu kilku kwartałów. - Stiles obejrzał się na niego. - Specjalnie sprawdzałem.

Zatem doświadczył tego na własnej skórze. Nic dziwnego, że wołał zawczasu uderzyć na alarm.

- Moja matka była alkoholiczką - wyznał Gillette. W lepsze dni przerażała mnie śmiertelnie tylko tym, że krążyła po domu. Ale bywało też tak, że ścigała mnie kopniakami i razami skórzanego paska.

- Poważnie?

- Tak. - Gillette zawiesił na chwilę głos. - Kiedy umarł ojciec, matka całkowicie odcięła mnie od rodzinnych pieniędzy. Zamknęła moje konto w banku, unieważniła karty kredytowe i tak dalej. - Zerknął w bok, uświadomiwszy sobie, że Stiles w napięciu chłonie każde jego słowo. - Kiedy skończyłem naukę w Princeton, ruszyłem motocyklem w świat. Byłem właśnie w zachodniej Pensylwanii, w odwiedzinach u dziadka ze strony ojca, kiedy dotarła do nas wiadomość o jego śmierci. Dziadek całe życie klepał biedę, dopóki ojciec nie zaczął zarabiać większych pieniędzy i nie zatroszczył się także o jego życie. Mimo to dziadek nadal mieszkał w starej chacie, w biednym górniczym miasteczku, chociaż dostawał już sporo forsy od ojca. Byłem więc u niego, kiedy matka zadzwoniła z wiadomością o tragicznej śmierci ojca. Przy okazji nie omieszkała mi powiedzieć, że mam teraz całkiem wolną rękę i mogę robić, co mi się żywnie podoba. Od tamtej pory musiałem prosić i zebrać o parę groszy, dopóki nie stanąłem na własnych nogach. - Uśmiechnął się smutno. - Właśnie wtedy nauczyłem się grać hazardowo w bilard. Prawie sześć tygodni zajął mi powrót do Kalifornii, każdego dnia musiałem grać, żeby nie głodować. Człowiek szybko dochodzi do wprawy, kiedy stawką gry jest widmo głodu.

- Dlaczego zajęło ci aż sześć tygodni, żeby wrócić na zachodnie wybrzeże? Mówiłeś przecież, że podróżowałeś własnym motocyklem.

- Spaliłem sprzęgło, jak tylko przyjechałem do dziadka. Motocykl stał w warsztacie, gdy matka odcięła mi finansowanie. Miałem wtedy przy sobie jedynie sto dolarów, sprzedałem go więc za tysiąc mechanikowi, który go naprawiał, i ruszyłem z powrotem do Kalifornii, waletując w pustych wagonach pociągów towarowych.

Stiles patrzył na niego takim wzrokiem, jakby miał przed sobą szaleńca.

- Podróżowałeś na gapę składami towarowymi?

- Zgadza się. Przez miasteczko, w którym mieszkał dziadek, przechodzi główna magistrala sieci Conrail. Któregoś popołudnia wskoczyłem więc niepostrzeżenie do pustego wagonu bydłowego, gdy trwał jeszcze rozładunek węglarek na bocznicy przed elektrownią na

skraju miasta. Sześć tygodni później byłem już w Los Angeles. Od tamtej pory bardzo lubię jeździć pociągami.

- Dlaczego nie poprosiłeś dziadka o pieniądze? Mówiłeś przecież, że twój ojciec zatroszczył się o niego, gdy się wzbogacił na sprzedaży banku.

Gillette pokręcił głową.

- Dziadek nie miał pojęcia, jak wyglądają moje stosunki z matką. Zmarłby na serce, gdybym wyznał mu prawdę. Poza tym, nie nawykłem, żeby kogokolwiek prosić o pieniądze.

- Więc jak opłaciłeś naukę w Stanford Business School? ‘ - Wziąłem kredyt studencki, a wieczorami pracowałem na dwóch etatach.

- Przed chwilą powiedziałeś, że nie umiesz nikogo prosić o pieniądze.

- Kredyt to co innego, część bankowego biznesu. W tym względzie nie mam żadnych oporów.

- Aha.

- I spłaciłem ten kredyt co do centa. Nawet przed terminem. Nie należałem do tych, co czekają latami na umorzenie. - Zawiesił na krótko głos. - Mówię ci o tym, bo chcę, byś wiedział, że do wszystkiego doszedłem wyłącznie dzięki własnym umiejętnościom.

Stiles zamyślił się na parę sekund.

- Dlaczego twoja matka to zrobiła? - zapytał w końcu. - Czemu zostawiła cię bez pieniędzy?

Gillette wziął głębszy oddech.

- Bo w rzeczywistości nie była moją matką. Ochroniarz popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pytałeś, czy utrzymuję kontakty ze swoim rodzeństwem, a ja odpowiedziałem, że nie.

- Owszem. I co z tego?

- Mówiłem, że mam przyrodniego brata i przyrodną siostrę - powtórzył Gillette prawie szeptem. - Mój ojciec miał romans z pewną aktoreczką z Hollywood.

- A twoja macocha nie mogła tego znieść?

- Doprowadzało ją to do szału.

- Rozmawiałeś choć raz ze swoją prawdziwą matką?

- Nawet nie wiem, kto to jest - przyznał szczerze. - Słyszałem tylko, że teraz jest prawdziwą gwiazdą.

Jak tylko skręcili z Pięćdziesiątej Pierwszej w Park Avenue, nagle zrównał się z nimi granatowy sedan i z impetem huknął w prawe przednie drzwi lincolna. Stiles poleciał na Gillette'a, ten zaś na drzwi. Grzmotnął głową o szybę tak mocno, że aż gwiazdy pokazały mu się przed oczami. A kiedy po chwili odzyskał jasność widzenia, ujrzał na wprost swej twarzy wylot lufy pistoletu.

Równocześnie rozległ się pojedynczy strzał i Stiles rzucił się do przodu, spychając go w bok.

Kiedy Gillette wykręcił szyję, żeby znów wyrzeć przez okno, nikogo już tam nie było.

Jeszcze przez kilka sekund słyszał czyjeś jęki dobiegające z ulicy, zza drzwi lincolna, wreszcie zapadła martwa cisza.

16

Pęd do ufności. Nawet najbardziej sceptyczni i cyniczni spośród nas padają niekiedy ofiarami podstępny. Święcie wierzymy, że ci, z którymi postanowiliśmy się sprzymierzyć bądź wejść w spółkę, nie skrzywdzą nas, na tej samej zasadzie, na jakiej dogłębnie ufamy, że nasze tajemnice nigdy nie wyjdą na światło dzienne. Może dzieje się tak z powodu naszego przeświadczenia, że jesteśmy lepsi od innych? A może myślimy, że skoro jesteśmy tak ujmujący, nikt nie odważy się wykorzystać naszych słabości przeciwko nam? Albo też kieruje nami bezpodstawną wiarą w to, że ludzie są z natury dobrzy. Jednakże niezależnie od przyczyn nawet najbardziej doświadczeni i przebiegli mają swoje chwile słabości.

W takich chwilach nasi wrogowie mogą zdobyć nad nami przewagę.

Gillette pobiegł truchtem w kierunku wejścia do budynku, gdzie mieściły się biura Everestu. Stiles trzymał się o krok za nim. Jeden z jego ludzi dodatkowo zabezpieczał tyły.

Kiedy pokonali obrotowe drzwi i znaleźli się w windzie, Gillette oparł się plecami o ściankę i wziął głęboki oddech.

- Mogę się założyć, Quentin - mruknął - że nawet ci się nie śniło, iż świat wielkiej finansjery może być aż tak fascynujący.

Stiles ruchem ręki nakazał swemu podwładnemu zostać w lobby, po czym wcisnął guzik trzydziestego drugiego piętra. Oprócz nich w windzie nikogo nie było.

- Rzeczywiście, nie sądziłem - przyznał, kręcąc głową. - Co mi podpowiada, że muszę jeszcze bardziej podnieść swoją stawkę.

- Ach, rozumiem - syknął Gillette, podnosząc nieco głos. - Zrobiło się trochę gorąco, więc postanowiłeś odbić to sobie na mnie.

- Niczego nie próbuję odbić - warknął Stiles. - Muszę tylko zrekompensować sobie coraz większe ryzyko. Chyba to rozumiesz, co nie? W waszej działce jest podobnie. Ryzyko musi się opłacić.

- Rozumiem przede wszystkim tyle, że znowu jednostronnie zmieniasz warunki naszego kontraktu.

- Nie dysponowałem pełnymi informacjami, kiedy go podpisywaliśmy.

- Przecież opowiadałem ci o bombie podłożonej w limuzynie przed kościołem. To powinno wystarczyć.

Ochroniarz wymierzył w niego palec wskazujący.

- Zaczynam podejrzewać, że na pewnym etapie ty także jednostronnie zmieniłeś warunki umowy, która cię z kimś łączy.

- No cóż...

- Poza tym, wcale nie zmieniam warunków - przerwał mu Stiles. - Zgodnie z umową wypełniam swoje obowiązki. Zamierzam nadal utrzymać cię przy życiu. - Schował ręce do kieszeni i sam także oparł się ciężko plecami o ściankę kabiny. - Wygląda na to, że kogoś cholernie wkurzyłeś albo masz coś, na czym komuś bardzo zależy.

- Mam coś, ma czym komuś zależy.

- Pewnie tak. W twoim świecie ludziom bardziej zależy na pieniądzech niż na zemście.

Kiedy winda ruszyła, Gillette znów zobaczył w myślach ciemny wylot lufy pistoletu po drugiej stronie szyby samochodowej. Przypomniawszy sobie, jak przemknęło mu wówczas przez głowę, że już jest martwy. I że gdy usłyszał huk wystrzału, spodziewał się błysku płomienia i przeszywającego bólu, ale nic takiego się nie stało. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że to strzelał jeden z ludzi Stilesa jadący za nimi drugim samochodem i że zamachowiec został trafiony.

Jeszcze przez jakiś czas leżał bez ruchu, rozplaszczony na tylnym siedzeniu lincolna, zastanawiając się, czy to wszystko jest warte aż takiego ryzyka. Rozmyślał, że może Faith i Stiles mieli rację, i może nadeszła pora, aby choć trochę nacieszyć się życiem. Może posiadanie wielkiego imperium finansowego wcale nie było aż tak cudowne, jak mogłoby się wydawać.

- Mam nadzieję, że gliniarzom uda się coś wydusić z tego zabójcy, gdy się ocknie w szpitalu.

- Musieliby być cudotwórcami - odparł Stiles.

- Czemu?

- Bo zmarł w karetce.

- Aha.

Więc jednak otarł się o śmierć, niemalże czuł jej bliską obecność.

Pierwsze dwa zamachy nim wstrząsnęły, ale nie skłoniły do myśli o wycofaniu się z interesu bądź rozważań o śmierci. Teraz jednak stało się jasne, że ten, kto się kryje za zamachami, nie ustanie, dopóki on będzie żył.

- Więc może zdołają go przynajmniej zidentyfikować i w ten sposób powiązać z pomysłodawcą zamachów.

- Nie liczyłbym na to - rzekł ociężałe ochroniarz. - Wolę raczej zakładać, że uznają, iż był to przypadkowy sprawca, który zainkasował połowę należności z góry, a drugą połowę miał dostać po wykonaniu zadania.

- Widzę, że tryskasz optymizmem.

- To przychodzi z wiekiem.

Winda wyhamowała przed trzydziestym drugim piętrem, gdzie znajdowały się biura Everest Capital.

- Quentin, ja... - zaczął Gillette, gdy drzwi się już rozsuwały, dokończył więc półgłosem: - Jestem ci bardzo wdzięczny za to, co zrobiłeś w samochodzie. - Wyszedł z windy i odwrócił się, żeby recepcjonistka nie widziała jego twarzy. - Zasłoniłeś mnie własnym ciałem.

- To był odruch - odrzekł spokojnie Stiles. - Nic innego.

- Mimo wszystko...

- Przecież do tego mnie zaangażowałeś, Christianie. Żebym cię uchronił przed egzekucją - zawahał się. - Posłuchaj, ktoś bardzo pragnie twojej śmierci, więc z pewnością należy oczekiwać kolejnej próby. Niezależnie od tego, kto się kryje za tymi zamachami - dokończył w zamyśleniu.

- Tylko jak mamy się dowiedzieć, kto je organizuje? - zapytał Gillette, ruszając za ochroniarzem, który bez pośpiechu skierował się w stronę stanowiska recepcyjnego. - Sam powiedziałeś, że na gliny nie ma co liczyć.

Do wczorajszego wieczoru policja nowojorska nie miała żadnych poszlak co do sprawcy wysadzenia w powietrze limuzyny przed kościołem, a policja stanowa z New Jersey nie umiała nic powiedzieć o sprawcach zamachu na skrzyżowaniu w Hightstown. Samochód, którym poruszał się zabójca, stojący na czerwonym świetle bezpośrednio przed autem wynajętym przez Gillette'a, został porzucony krótko po zdarzeniu, a wcześniej skradziony.

- Stale nad tym pracuję - odparł Stiles. - Nawiasem mówiąc, jestem zmuszony wprowadzać nowe reguły postępowania tu, w siedzibie Everestu. - Ruchem ręki pozdrowił kolejnego swojego pracownika czuwającego w sekretariacie tuż za drzwiami. - Pewnie nikt nie będzie z tego powodu szczęśliwy. Ale od tej pory chcę być informowany co najmniej na pół godziny z góry o każdej planowanej przez ciebie zmianie miejsca pobytu. I to bez wyjątków. Jasne?

- A jeśli mnie przypili i nie będę mógł czekać pół godziny z wyjściem do kibla?

- Christianie!

Gillette podniósł rękę w obronnym geście.

- W porządku.

Tamten pokręcił głową.

- Chyba jeszcze nie traktujesz tych zamachów z należytą powagą. Przecież dopiero co płatny zabójca usiłował cię sprzątnąć. Aż mi się nie chce wierzyć...

- Posłuchaj, Quentinie! - syknął Gillette z naganą w głosie. - Traktuję je bardzo poważnie. Tylko staram się nie dopuścić, żeby strach wziął nade mną górę. - Poklepał Stilesa po ramieniu. - Jeszcze raz dziękuję za to, co zrobiłeś na dole. Nawet jeśli rzuciłeś się do przodu odruchowo, nie zmienia to sytuacji, że trzeba do tego cholernie dużo odwagi.

Ochroniarz wzruszył ramionami.

- Nie mogłem dopuścić, żeby mój klient zginął. To by zaszkodziło mojej firmie. Poza tym wiedziałem, że sam nie dasz rady w porę zejść z linii ognia.

- Niby skąd?

Stiles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wy, biali, jesteście na to za wolni.

- Hej, gdybyś chciał się ze mną zmierzyć na refleks, daj mi tylko znać, kolego - powiedział Gillette i ze śmiechem ruszył do swego gabinetu.

- Co ci się stało? - zapytała Debbie na jego widok.

- Nie rozumiem. Przyglądała mu się w napięciu.

- Wyglądasz, jakby przed chwilą ktoś próbował cię przejechać na ulicy.

- Tom już czeka w gabinecie?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Deb.

Wywaliła język na brodę.

- Owszem, czeka. I z jakiegoś powodu jest strasznie poirytowany.

- Z jakiego?

Wzruszyła ramionami.

- Skąd miałabym to wiedzieć?

- Jesteś bardzo pomocna - mruknął, sięgając do klamki.

- Och, jakże mi przykro - wycedziła. - A możesz w końcu zdradzić, co ci się stało?

Skrzywił się.

- Nic. Przepraszam. - Machnął ręką w stronę gabinetu. - Nie łącz żadnych telefonów, dopóki nie skończę rozmawiać z Tomem. Dobrze?

- W porządku.

Otwierając drzwi, obejrzał się jeszcze przez ramię. W lobby Stiles rozmawiał z ochroniarzem czuwającym przy wyjściu.

- Z wyjątkiem Quentina - dodał. - Gdyby czegoś chciał ode mnie, powiadom mnie natychmiast.

- Dobra.

- Witaj, Tom. - Gillette wyciągnął rękę na powitanie, wchodząc do gabinetu.

McGuire na wpół leżał w jednym z obszernych foteli w rogu pokoju. Na jego widok poderwał się szybko na nogi.

- Dzień dobry, Christianie.

Uścisnęli sobie ręce i usiedli naprzeciwko siebie, rozdzieleni kawiarnianym stolikiem. Gillette od razu się zorientował, co Debbie miała na myśli. Już na pierwszy rzut oka było widać, że McGuire się czymś gryzie.

- Co się stało, Tom?

Detektyw zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

- O co ci chodzi?

- Jesteś wściekły, widać to z daleka. Zwykle masz minę pokerzysty w trakcie pasjonującej licytacji. Nie zdołałbym niczego wyczytać z twojej twarzy, nawet gdyby miało od tego zależeć moje życie.

- Ty też byłbyś wściekły - rzucił ze złością McGuire.

- Dlaczego?

- Musiałem oddać swój pistolet temu kutasowi sterczącemu w lobby przy drzwiach - syknął detektyw, rumieniąc się wyraźnie. - Co tu się dzieje, do diabła?

Była to zapewne jedna z tych nowych reguł postępowania wprowadzanych przez Stilesa. Teraz chyba wszyscy odwiedzający biura Everestu mieli być poddawani rewizji. Wszyscy bez wyjątku.

- Mianowałem Quentina Stilesa szefem mojej ochrony osobistej. Wszyscy podlegają jego rozkazom. - Uświadomił sobie, że nawet nie wiedział, iż McGuire nosi przy sobie broń. - To konieczne środki bezpieczeństwa - dodał, zastanawiając się, czy te środki nie zostały wprowadzone przez Stilesa specjalnie dla McGuire'a, choćby tylko po to, żeby go wkurzyć. Wolał jednak nie zawracać sobie tym głowy.

- W dodatku odesłałeś moich ludzi. Wynika stąd, że Stiles przejął wszystkie zadania związane z bezpieczeństwem firmy.

Wczoraj Stiles zażądał zwolnienia ludzi z agencji McGuire i Gillette się na to zgodził.

- Tak. Masz rację.

- Czegoś tu nie rozumiem - burknął detektyw z urazą w głosie. - Co się stało? Straciłeś nagle do mnie zaufanie?

- Uspokój się, Tom.

- Każesz mi się uspokoić? Mam mnóstwo zadowolonych klientów, którzy powiedzą ci, że doskonale wywiązujemy się z ich ochrony. I tylko człowiek, który jest właścicielem mojej agencji, rezygnuje z naszych usług. I ty się dziwisz, że jestem wściekły? Może powinienem się cieszyć?

- Tom, zrozum...

- Jak dokładnie sprawdziłeś tego Stilesa, zanim podpisałeś z nim kontrakt? - ciągnął McGuire. - Skąd wiesz, czy naprawdę można na niego liczyć?

- Na pewno można.

- Skąd wiesz?

- Kilka minut temu przeżyłem kolejny zamach. To on uratował mi życie.

McGuire tak gwałtownie odwrócił głowę, jakby dostał pięścią w twarz.

- Co takiego?!

- Zabójca zaatakował tu, przed budynkiem, na Park Avenue.

- Jak do tego doszło?

- Facet staranował naszą limuzynę, wyskoczył zza kierownicy i wymierzył do mnie z pistoletu, ale jeden z ludzi Stilesa zastrzelił go na miejscu. Na szczęście miałem podwójną obstawę.

- Jezu... - syknął detektyw. - No cóż, można się tylko cieszyć, że wyszedłeś z tego cało. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego zrezygnowałeś z moich ludzi - powtórzył ostrzejszym tonem.

- Bo w sumie byłoby ich za dużo, Tom. To przecież proste. Stiles chce korzystać z usług tylko swoich ludzi i nikogo więcej. Nie znam się na zasadach ochrony osobistej, ale z organizacyjnego punktu widzenia jego argumenty są logiczne. Konsolidacja wszystkich sił pod jednym dowództwem, i tak dalej. Dlatego się zgodziłem.

- Co się stało z tym facetem, który próbował cię zabić?

- Nie żyje.

- To dobrze. Ten, kto stoi za tymi zamachami, musi zrozumieć, że ochraniają cię prawdziwi zawodowcy, którzy dobrze się znają na swojej robocie. - McGuire spuścił głowę. - W takim razie cieszę się, że ludzie Stilesa wykazali się umiejętnościami.

- Dzięki. - Gillette wstał i podszedł do biurka. - Chciałeś dziś porozmawiać na temat wykupu swojej agencji, prawda? - Kliknął parę razy przyciskiem mysz i zaczął ją szybko przesuwać po podkładce.

- Tak, myślałem...

- Zaczekaj chwilę, dobrze?

Pospiesznie wpisał na klawiaturze skrót kasy Dominion Savings & Loan, spojrzął na ekran i aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Cena akcji Dominion przez noc spadła o kolejne sześć dolarów. Od wczorajszego zamknięcia giełdy udziały straciły na wartości prawie piętnaście procent.

- Chryste... - szepnął.

- Coś się stało?

- Nie, nic ważnego. - Wrócił na miejsce przy stoliku i klapnął ciężko na fotel, zachodząc w głowę, co się dzieje z tą spółką. Na razie musiał się jednak skoncentrować na czym innym. - Zatem porozmawiajmy. Na początku tego tygodnia proponowałeś mi trzysta milionów dolarów za agencję McGuire & Company.

- Co, jeśli wierzyć mojemu sponsorowi, jest godziwą ceną.

- Przecież nie mógł powiedzieć nic innego - odparł spokojnie Gillette. - W końcu to on jest kupującym.

- Pewnie tak. W każdym razie jest nieźle ustawiony na Wall Street i powiedział mi, że jacyś bankierzy inwestyjni już namawiali zarząd Everestu na wprowadzenie akcji McGuire & Company do obrotu publicznego. Podobno jesteście blisko podpisania w tej sprawie umowy z jakąś firmą z Wall Street. Powiedział mi też, że jeśli przekształcicie agencję w spółkę akcyjną, nie będę już mógł jej wykupić.

Gillette pokręcił głową, rozzłoszczony, że rozeszły się już plotki. Pewnie puścił farbę któryś z młodszych asystentów, nie mogąc utrzymać języka za zębami w rozmowie z zaprzyjaźnionym pracownikiem agencji.

- To prawda - przyznał.

- Ile według nich moglibyście zarobić na takim przekształceniu?

- Pięćset milionów dolarów. - W innych okolicznościach Gillette nie wykladałby od razu swoich atutów na stół, wolał jednak uzmysłowić detektywowi, jak wielka jest różnica między obydwoma ofertami. - Czyli dwieście milionów więcej, niż ty byłbyś gotów zapłacić. To duża różnica. Taka, której nie mogę zignorować. Ponoś odpowiedzialność przed ograniczonymi wspólnikami Everestu, którym muszę rzetelnie przedstawić wszystkie oferty. Miałbym przeciwko sobie wielu niezadowolonych inwestorów, gdybym zlekceważył tych dwieście milionów dolarów.

- Chcesz powiedzieć, że inwestorzy byliby niezadowoleni, że podwoiłeś ich wkłady? Bo właśnie tyle by zarobili, gdybyś odsprzedał agencję za trzysta milionów.

- I zostawił dalsze dwieście milionów na stole?

- Nie musieliby się o nich dowiedzieć.

- Ktoś na pewno dokopałby się prawdy, Tom. Wystarczyłoby się skontaktować z bankierami inwestycyjnymi, którzy prowadzili z nami wstępne rozmowy, tak jak twój sponsor. Nie wątpię, że wtedy od razu dowiedzieliby się wszyscy akcjonariusze, a ja natychmiast straciłbym pracę.

- No cóż, twoi inwestorzy mogą mnie pocałować w dupę - warknął McGuire. - Nie mają bladego pojęcia, jak trudno jest prowadzić taką agencję. Nie muszą się babrać w takim gównie, jak ja i Vince. Każdego dnia musimy podejmować trudne decyzje. I ponosić wielkie ryzyko. Oni nie mają o tym pojęcia. Nie muszą żyć w ciągłym stresie.

- I pewnie są z tego powodu szczęśliwi - odparł Gillette. - Im zależy tylko na tym, żeby zarabiać jak najwięcej pieniędzy, dlatego nic ich nie obchodzi wasz stres. Dokładnie z tego powodu zadecydowali, żebyśmy was najęli. Ktoś musi odwalać brudną robotę.

McGuire zaczerpnął głęboko powietrza, usiłując nad sobą zapanować.

- Niewiele wiem na temat wprowadzania akcji do sprzedaży, ale czy ten proces nie zajmuje sporo czasu? Nie trzeba wdawać się w rozmaite przepychanki z komisją papierów wartościowych?

- Zazwyczaj trzeba.

- I czy aby rynek nie jest mało przewidywalny? Jednego dnia akcje mogą być dostępne na każdym kroku, a następnego zniknąć za jakimiś zamkniętymi drzwiami i nie pojawiać się na parkiecie przez rok?

- Owszem, bywa i tak.

- Ja natomiast proponuję interes szybki, czysty i w ładnym opakowaniu. Możemy załatwić wszystkie formalności w ciągu miesiąca. I nie musiałbyś angażować ludzi do zbadania, czy noszą slipy czy bokserki, bo między nami wszystko jest już wiadome.

Teraz, gdy Stiles zajął się jego osobistą ochroną, nie było już powodu, żeby się dalej targować.

- Powinieneś jeszcze wziąć pod uwagę, Tom, że pakiety własnościowe, które dostaliście w chwili wykupu przez nas agencji, będą warte dziesiątki milionów dolarów po przekształceniu firmy w spółkę akcyjną - przypomniał Gillette z naciskiem. - A ja już się zatroszczę, żeby bankierzy inwestycyjni nie zablokowali waszych udziałów. Na pewno nie pozwolę was oskubać z pieniędzy.

- Za to nasz sponsor godzi się przekazać mnie i Vince'owi połowę agencji na własność, jeśli transakcja dojdzie do skutku - zripostował detektyw. - I to za darmo.

McGuire wspominał już o tym podczas rozmowy w limuzynie, lecz Gillette w to nie wierzył. Nieodpłatne przekazanie pierwotnym właścicielom połowy udziałów w firmie byłoby rzeczą wręcz niesłychaną. Z reguły w grę wchodziło tylko dziesięć do piętnastu procent udziałów, i to po trzech lub czterech latach od zawarcia transakcji. Przynajmniej takiej reguły trzymał się zarząd Everestu. Co prawda, krążyły plotki, że jakimś szczególnie zasłużonym współpracownikom przekazywano aż dwadzieścia pięć procent, o ile ich osiągnięcia na to pozwalały. Nigdy jednak nie oddawano aż połowy udziałów. Tego rodzaju posunięcie wręcz uniemożliwiałoby inwestorom osiągnięcie jakichkolwiek wymiernych zysków. Jeśli więc detektyw mówił prawdę, jego układ z tajemniczym sponsorem wydawał się podejrzany.

- Nie obiecał wam żadnej gotówki za podpisanie umowy?

.- Niewiele.

.- Dła was za mało, prawda? i - Wystarczająco. W dodatku obiecał podwoić nasze pensje - wtrącił szybko McGuire. - Jeśli uda nam się utrzymać dotychczasowe wyniki agencji, nasze udziały w spółce z nim także będą warte setki milionów za parę lat.

- Ile dla was jest wystarczającą ceną, Tom? - zapytał Gillette, uświadamiając sobie poniewczasie, że to pytanie w jego ustach brzmi po prostu ironicznie. On był wart siedemdziesiąt milionów dolarów, przy czym pracował po osiemdziesiąt godzin tygodniowo i

jeszcze miał na karku płatnych zabójców. Musiał jednak trochę przytemperować McGuire'a, dlatego dodał: - Czy zadowolili was dziesięćmilionowa premia płatna choćby dzisiaj?

- Nie. Po zapłaceniu podatków zostałyby nam poniżej pięciu milionów, a to raczej niska cena za dzieło całego naszego życia. Może to zabrzmie głupio, ale w dzisiejszych czasach pięć milionów to nie jest wielki majątek. Chciałbym dostać więcej. W końcu to dla mnie niepowtarzalna okazja spieniężenia udziałów. Podejrzewam, że druga taka już się nie trafi. - McGuire zaczął mówić coraz szybciej, gdyż był coraz bardziej ożywiony. - Dlatego muszę przerzucić piłeczkę na twoją stronę. Czy trzysta milionów to za mało? Naprawdę musisz postąpić jak świnia i wybrać pięćset?

- To mój obowiązek wobec ograniczonych współników firmy.

- No cóż, ja też mam pewne zobowiązania wobec samego siebie.

- Mimo wszystko nie mogę zlekceważyć dwustu milionów dolarów, Tom. To chyba załatwia sprawę.

- Po tym, co Vince i ja dla was zrobiliśmy? - mruknął McGuire. - Po tym, jak przez ostatnie trzy lata pełniliśmy niewolniczą służbę dla ciebie i całej reszty przeklętych współników Everestu? Tak chcesz nas potraktować?

- Wszystko sprowadza się do kwestii wyboru najkorzystniejszej oferty. Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć?

McGuire podniósł się z fotela i z pogardą popatrzył na niego z góry.

- Mam gdzieś i ciebie, i twoją najkorzystniejszą ofertę, Christianie - warknął, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu.

Gillette odprowadził go spojrzeniem, ciesząc się coraz bardziej, że zaangażował Cjentina Stilesa.

- Słyszałem, co się stało dziś rano na Park Avenue - zaczął Cohen, siadając przed biurkiem Gillette'a. - Nic ci nie jest?

- Nic - odparł. - Dzięki Stilesowi. - Szybko sprawdził cenę akcji Dominion. Spadła o dalsze dwa dolary od chwili otwarcia giełdy. Zajrzał na stronę z najświeższymi informacjami na temat spółek akcyjnych, ale nie znalazł tam przyczyny gwałtownego spadku cen udziałów kasy oszczędności. - Jego ludzie uratowali mi życie.

- Naprawdę?

- Są bardzo dobrzy.

- Cieszę się. Naprawdę.

- McGuire był wściekły, że odwołałem jego ludzi, ale jestem przekonany, że postąpiłem słusznie.

- Widziałem, jak wychodził z biura parę minut temu. Rzeczywiście nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Był naprawdę wściekły. Ale chyba najmniej wściekał się z powodu utraty zlecenia na rzecz Stilesa.

- To z czego? - zaciekawił się tamten.

- Tom i Vince chcieli od nas wykupić z powrotem agencję McGuire & Company.

Cohen wyprostował się na krześle.

- Kurde... To ciekawe. Zaproponowali jakąś konkretną cenę?

- Owszem.

- Jaką?

- Trzysta milionów.

- Przecież bankierzy inwestycyjni już wcześniej proponowali pięćset - zdziwił się Cohen, który uczestniczył w negocjacjach dotyczących przekształcenia agencji detektywistycznej w spółkę akcyjną. - Ustaliliśmy nawet wstępne warunki podpisania umowy.

- Właśnie dlatego Tom był aż tak wściekły. Uważa, że powinienem zlekceważyć oferty bankierów i przyjąć jego propozycję odkupienia firmy za trzysta milionów dolarów.

- Przecież to niemożliwe. Ograniczeni wspólnicy by nas ukrzyżowali.

- Mniej więcej to samo mu powiedziałem. Ale, rzecz jasna, nie chciał słuchać. - Gillette uśmiechnął się lekko. - Dlatego był skrajnie rozgoryczony pod koniec naszej krótkiej rozmowy.

Cohen westchnął głośno.

- Chyba dobrze zrobiłeś, angażując osobistą ochronę z innej firmy.

Gillette oderwał wzrok od ekranu monitora komputerowego.

- Jestem z ciebie dumny, Ben - powiedział cicho. Przemknęło mu przez myśl, że chyba po raz pierwszy Gillette zdobył się na takie słowa pochwały wobec kolegi. Oczywiście musiał przy tym zakładać, że nie kierowały nim złe intencje.

Na twarzy Cohena rozlał się błogi uśmiech satysfakcji.

- Z jakiego powodu?

- Może jednak pewnego dnia zasłużysz na to, żeby zostać prezesem którejś z podległych nam firm. Zaczynasz wreszcie analizować motywację innych ludzi, a nie tylko gołe liczby.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Doszedłeś do wniosku, że McGuire mógłby zacząć lekceważyć kwestię mojego bezpieczeństwa, rozgoryczony tym, że nie chcę mu odsprzedać agencji, prawda?

- Zgadza się - rzekł z ociąganiem Cohen. - Jeśli mam być szczery, nigdy nie ufałem do końca ani Tomowi, ani Vince'owi.

- Dlaczego?

Cohen wysunął do przodu dolną wargę.

- Nie potrafię tego dokładnie sprecyzować. Może dlatego, że na okrągło miałem z nimi do czynienia i byłem przeświadczony, że zmierzają właśnie do takiego rozwiązania, że będą próbowali wykupić od nas za grosze swoją agencję. Przez jakiś czas sądziłem nawet, że uda im się przywłaszczyć zyski, by tym sposobem dodatkowo obniżyć cenę, ale to byłoby chyba szyte zbyt grubymi nićmi.

W każdym razie niczego podejrzanego nie zauważyłem. Sporo w tym twojej zasługi, bo bez przerwy ciosałeś im kołki na głowie w kwestii wydajności, już od chwili przejęcia przez nas agencji. - Cohen z uznaniem skinął mu głową. - Moim zdaniem Donovan ani trochę nie doceniał, jaką wspaniałą robotę wykonujesz w jego firmie.

Gillette przez chwilę spoglądał na niego w milczeniu.

- Dzięki.

- Wiem, że Tom również bardzo cię szanuje, Christianie - ciągnął Cohen. - Nie lubi cię, ale żywi do ciebie ogromny szacunek. Słyszałem kiedyś, jak mówił o tym Donovanowi.

Począwszy od dnia, w którym ukończył naukę w Princeton, Gillette bez przerwy wysłuchiwał od ojca, że w tej branży absolutnie nikomu nie wolno ufać. Ale widocznie Cohen był szkolony inaczej. Może to on stanowił wyjątek. W końcu znali się od dziesięciu lat i tamten dał się poznać jako bardzo lojalny, nawet po tym, jak przegrał w wyborach na prezesa. Z pewnością był głęboko rozczarowany, umiał jednak nad sobą zapanować, toteż nadal można było na niego liczyć. Pod tym względem stanowił przeciwieństwo Faradaya i Masona, którzy nie kryli urazy.

- Mówiłeś, że masz dla mnie jakieś informacje - przypomniał mu Gillette.

Cohen odchrząknął.

- Nadeszły kolejne wiadomości z tej firmy inżynierskiej prowadzącej badania sejsmiczne w Kanadzie.

- I co?

- Nie jest dobrze - mruknął zagadkowo.

- To znaczy?

- Na terenach objętych opcją jest ropa, ale w niewielkich ilościach. Nie ma się czym podniecać, a już z pewnością nie ma co liczyć na możliwość podniesienia ceny Laurel Energy. Dziś rano rozmawiałem z kilkoma analitykami z tej firmy. Po tym, jak przedstawili mi niewesołe nowiny, orzekli zgodnie, że zdaniem wielu fachowców nie ma już dużych, nieodkrytych jeszcze pól naftowych w Kanadzie, że przedsiębiorstwa wydobywcze przenoszą swoje poszukiwania na przybrzeżne wody Afryki i Ameryki Południowej. Przychylam się do ich opinii, że Kanada jest wyeksploatowana.

- Kilka lat temu, kiedy zaczynaliśmy interesować się ich badaniami, mówili zupełnie co innego.

- Wszystko się zmienia. Niestety - rzekł Cohen. - To jeszcze nie koniec złych wieści. Lefors odebrał wczoraj wieczorem telefon z działu rozwoju i inwestycji U.S. Petroleum. Wycofują się. Chcą unieważnić ofertę kupna Laurel Energy. Cały koncern jest podobno sparaliżowany po śmierci Harrisa. Wszyscy wstrzymują się z jakimikolwiek decyzjami do czasu wyboru nowego wicedyrektora, co może potrwać nawet parę miesięcy.

Gillette potarł piekące oczy. Od samego rana wszystko szło jak po grudzie.

- Przykro mi, Christianie - dodał Cohen półgłosem. - Wiem, że zależało ci na szybkiej i efektywnej transakcji. Odsprzedanie Laurel za tę cenę, jaką proponowało U.S. Petroleum, byłoby znaczącym sukcesem.

- A co z pięciomilionową karą za zerwanie umowy?

- Lefors wspomniał o tym rozmówcy i tamten odrzekł...

- Żebyśmy się wypchali trocinami - mruknął rozłoszczony Gillette, chcąc uprzedzić kolejną złą wiadomość. - I że jak nam się nie podoba, to możemy ich podać do sądu.

- Niezupełnie. Zaproponowali pięćset tysięcy. Jak mam na to zareagować?

- Zajrzałeś do warunków wyszczególnionych w liście intencyjnym, który Lefors podpisał z U.S. Petroleum?

- Przeczytałem go dokładnie dzisiaj rano.

- Więc jak według ciebie przedstawia się klauzula dotycząca kary umownej? Jest ściśle sprecyzowana? Daje nam szansę wygrania sprawy sądowej?

- Jest dość ściśle sprecyzowana, ale zawiera pewną drobną lukę, którą tamci mogą wykorzystać jako pole do manewru. Rzekłbym, że przed sądem mielibyśmy szansę jak sześćdziesiąt do czterdziestu.

- Sześćdziesiąt do czterdziestu? To za mało, żeby wykładać kilkaset tysięcy na usługi adwokackie. W takim razie przekaż, że żądamy miliona dolarów.

- Dobra.

- Jak się będą targować, możesz spuścić do siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy, ale nie niżej.

- Na koniec mam wreszcie jedną dobrą wiadomość - rzekł z ożywieniem Cohen.

- Jaką?

- Wczoraj po południu skontaktowała się z Leforsem grupa o nazwie Coyote Oil, która jest zainteresowana kupnem Laurel.

- Coyote Oil? - Gillette nigdy się z nią nie zetknął.

- Ja też pierwszy raz słyszę tę nazwę - dodał Cohen, jakby czytał w jego myślach. - Poprosiłem Leforsa, żeby ich sprawdził, ale jak dotąd wygrzebał tylko tyle, że mają siedzibę w Casper w stanie Wyoming. To prywatna grupa inwestycyjna, więc niewiele o niej wiadomo. Lefors poprosił o jakieś ogólne informacje, żebyśmy mogli ją odpowiednio zakwalifikować, i dostał obietnicę, że jutro rano prześlą jakieś materiały pocztą elektroniczną.

- Przekaż mu, żeby kopię przekazał od razu Debbie, a ona wydrukuje ją dla mnie - polecił Gillette.

- W porządku.

- Na pewno trudno będzie uzyskać taką cenę, jaką oferowało U.S. Petroleum, zwłaszcza po ujawnieniu negatywnych wyników badań sejsmicznych. Dlatego nie wiem, czy w ogóle warto sobie zawracać głowę jakąś mało znaną grupą...

Cohen powstrzymał go, unosząc rękę.

- Lefors mówił, że w rozmowie telefonicznej sprawiali wrażenie bardzo zdecydowanych. Powiedzieli, że chcą jak najszybciej zdobyć bazę wypadową na terenie Kanady.

- Nawet jeśli tamtejsze duże pola naftowe są wyeksploatowane?

- No cóż, może dysponują jakimiś tylko im znanymi informacjami. W końcu fortuny robi się znacznie prędzej na informacjach poufnych niż na mozolnie gromadzonych i powszechnie dostępnych. Obaj świetnie o tym wiemy. Oni zresztą też się chwalą, że mają bogatego sponsora. - Cohen spojrzął na prezesa, który słuchał w zamyśleniu, po czym dodał: - Podobno kogoś z bardzo głębokimi kieszeniami.

- Wszyscy się chwalą takimi sponsorami - mruknął niechętnie Gillette, wciąż wracając myślami do rozmowy z Tomem McGuire'em. - Kto to jest?

- Tego nie zdradzili.

- Oczywiście. - Huknął pięścią w biurko. - Bo pewnie nikogo nie mają. Próbuje na czuja łowić ryby w mętnej wodzie. Zapewne nawet nie prowadzą prawdziwych interesów.

- Mnie coś podpowiada, że powinniśmy dać im szansę, Christianie. Kazałeś zresztą, bym w każdej sprawie wyrażał swoją opinię. Więc robię to teraz. Dajmy im zielone światło. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Na charakterze Cohena pojawiła się wyraźna zmarszczka. Nigdy nie zwracał uwagi na swoje przecucia, liczyły się wyłącznie konkrety. I oto nagle coś się zmieniło.

- Dlaczego...

- Jak już mówiłem, Lefors zapewniał, że w rozmowie telefonicznej sprawiali wrażenie zdecydowanych - wpadł mu w słowo Cohen. - Sądzę, że powinniśmy przynajmniej dać im szansę.

- Przecież nie zapłacą tyle, ile chcielibyśmy dostać, zwłaszcza że tworzą małą grupę. Nawet ze wsparciem jakiegoś bardzo bogatego inwestora nie wypełnią luki w strategicznych interesach, jaka powstała po wycofaniu się U.S. Petroleum.

Cohen wzruszył ramionami.

- I tak uważam, że powinniśmy z nimi negocjować. Gillette przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Wydawało mu się dziwne, że Cohen tak uparcie rekomenduje grupę, o której nigdy wcześniej nie słyszał. Dotąd preferował przecież negocjacje z dobrze znanymi klientami. Może warto było skorzystać z okazji i sprawdzić jego instynkt, nie ryzykując nic poza stratą czasu?

- Dobra. Zajmij się tym.

- Doskonale - rzucił Cohen, podnosząc się z miejsca.

- Nigdzie nie odchodź. Jeszcze nie skończyliśmy. i - A o co chodzi? - zapytał, siadając powoli.

Gillette wahał się jeszcze, czy mu o tym powiedzieć, ale bardzo chciał usłyszeć czyjąś opinię. Zależało mu na potwierdzeniu, że nie popada w skrajną paranoję. No i ze wszystkich, z którymi mógł na ten temat porozmawiać, Cohen wydawał mu się najlepszym kandydatem. Westchnął ciężko. Naszły go obawy, że już zaczyna mu ufać.

- Wczoraj senator Stockman spotkał się z Paulem Strazzim.

Cohen sprawdzał jakieś zapiski w notatniku.

- Tak? - zapytał, podnosząc głowę. - Pewnie chciał na nim wymóc głosy robotników z jego przedsiębiorstw, tak samo, jak próbował tego z tobą.

- Spotkali się w opuszczonej hali magazynowej w Bronksie. Gdyby senatorowi zależało na głosach wyborców, rozmawiałby ze Strazzim w siedzibie Apeksu.

- W hali magazynowej w Bronksie? - powtórzył z niedowierzaniem Cohen. - Poważnie?

- Tak.

- To dziwne. Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Poprosiłem Stilesa, żeby kazał któremuś ze swoich ludzi śledzić Straziego - wyjaśnił Gillette.

- I jak sądzisz, co to może oznaczać? Zawahał się, usiłując dobrać odpowiednie słowa.

- Na początku tygodnia rozmawiałem ze Stockmanem w trakcie lunchu.

- Pamiętam, w Racquet Club. I co?

- Nie zdążyliśmy nawet zamówić cokolwiek, gdy senator ostro zażądał, żebym poparł jego kampanię wyborczą.

Oznajmił, że pracownicy podległych nam firm mają głosować właśnie na niego. Zażądał, byśmy organizowali w przedsiębiorstwach wiece i sesje zdjęciowe oraz wykorzystali naszą sieć radiotelewizyjną do jego promocji.

- Niesamowite.

- Owszem, ale nie zgodziłem się na to. Powiedziałem wprost, żeby na nas nie liczył. Pewnie ledwo zdołał się pohamować, by nie chlusnąć mi w twarz dżinem z tonikiem.

- Mogę się założyć, że zagroził, iż teraz będziesz miał w Waszyngtonie samych wrogów.

- No właśnie - przyznał Gillette. - Ale to nie wszystko.

- Co jeszcze?

- Zaczął mówić na temat Dominion.

- Dominion Savings & Loan?

- Zgadza się.

- Co powiedział?

- Dał do zrozumienia, iż dysponuje informacjami stanowiącymi dowód, że szykując się do wprowadzenia akcji na rynek, zatailiśmy część danych przed Komisją Bezpieczeństwa Obrotu Papierami Wartościowymi, jakoby portfel kredytów przedstawiał się dużo gorzej, niż wynikało z naszego raportu. Krótko mówiąc, zrobił aluzję, że popełniliśmy oszustwo wobec inwestorów publicznych.

- To śmieszne.

Gillette spojrział za okno. Był piękny, słoneczny dzień. Wreszcie zrobiło się ciepło.

- Czyżby?

- Nie rozumiem.

- Donovan i Marcie zajmowali się tą sprawą w tajemnicy przed nami. Ani razu nie poruszyli tej kwestii na cotygodniowych naradach.

Cohen postukał palcem w dolną wargę, zamyśliwszy się głęboko.

- Masz rację.

- Więc skąd mielibyśmy wiedzieć, jak było naprawdę?

- Przecież od dnia, kiedy kupiliśmy Dominion, prawie bez przerwy kasę sprawdzały rozmaite kontrole. Na pewno by coś wykryły, gdyby istniały nieprawidłowości.

- Nie wykryły ich ani w Enronie, ani w Worldcomie czy każdej innej firmie, gdzie później wybuchały głośne afery. A Bili przyjaźnił się blisko z wiceprezesem firmy rachunkowej, która prowadziła rewizję finansową Dominion.

- Ale banki i kasy oszczędnościowe oraz kredytowe to co innego. Poza komisją papierów wartościowych muszą również przejść kontrole inspekcji stanowych i federalnych. Naprawdę bada się je tak drobiazgowo, że ktoś musiałby się czegoś dopatrzeć.

- Niekoniecznie. Dopóki ludzie wpłacają na konta swoje oszczędności, łatwo jest tuszować przekręty i pokrywać zaległości w spłatach kredytów bieżącymi wpływami depozytowymi.

- To prawda, ale...

- Stockman twierdził, że kasa wypłacała pieniądze zaufanym ludziom nawet już po wejściu akcji do obrotu publicznego. Oczywiście chodzi o wypłaty niezgodne z prawem.

- Finansowane z oszustw?

- Zgadza się.

Cohen rozłożył szeroko ręce.

- A niby jakim cudem Stockman miałby się o tym dowiedzieć?

- Musiałby mieć jakiegoś informatora wśród personelu kasy - odparł Gillette. - Albo u nas, w Evereście.

- Nie żartuj.

- Ben, nie traktuj mnie jak gówniarza.

- Więc kto miałby mu donosić? Kto miałby być szczurem?

- Oczywiście nie Donovan - odparł stanowczo.

- To jasne. - Cohen przez jakiś czas wpatrywał się w niego z napięciem, wreszcie oczy mu się rozszerzyły. - Marcie?!

- Ja tego nie powiedziałem.

- Ale zasugerowałeś.

Gillette wyduł wargi.

- Owszem, to prawda - przyznał cicho.

- Musiałyby być szalona, żeby przekazywać tego rodzaju informacje - zaprotestował Cohen. - Gdyby Stockman je ujawnił, natychmiast przedstawiono by jej zarzuty z kodeksu karnego. Więc czemu miałyby się aż tak narażać?

- No właśnie, czemu?

- Bo... - Cohen zawiesił głos, gdy wreszcie dotarły do niego implikacje wynikające z tego podejrzenia.

- Zgadza się - wtrącił Gillette, domyśliwszy się, że tamten już wszystko rozumie. - Donovan nie żyje, można go teraz bezpiecznie obarczyć całą winą. Łatwo postawić tezę, że to on był odpowiedzialny za współpracę z audytorami i że nakłonił kogoś z firmy do maskowania jego poczynań. Sytuacja jest wręcz idealna.

- Lecz gdyby twoje podejrzenia miały się okazać prawdziwe, oznaczałoby to, że Donovan został zamordowany - szepnęła Cohen. - Ten, kto uknuł cały spisek, musiałyby usunąć go ze sceny.

- Zgadza się.

- Tylko po co? Co chciałby osiągnąć?

Gillette odchylił się na oparcie i przeciągnął dłońmi po włosach.

- Kto jest naszym największym konkurentem?

- Apex - odparł tamten odruchowo.

- Zgadza się. A więc Paul Strazzi. Zależy mu na tym, żebyśmy nie tworzyli nowego funduszu inwestycyjnego. A mnie pewnie życzy najgorszej wpadki. Wiadomo też, że nie cierpiał Billa. Zapewne nie marzy o niczym innym, tylko o całkowitym zniszczeniu jego dziedzictwa.

- I myślisz, że to wystarczające powody, by zlecić zabójstwo?

- Miles Whitman ostrzegł, że Strazzi jest gotów na wszystko, byle wyeliminować nas z rynku. Absolutnie na wszystko. Wydaje mi się, że miał rację. Moim zdaniem Strazzi rzeczywiście jest nieobliczalny. I podejrzewam, że to zrobił.

Cohen zmarszczył brwi, wyraźnie zmartwiony.

- Nadal nie rozumiem, co mógłby na tym zyskać. Nawet gdyby to, co mówił Stockman, okazało się prawdą, przez jakiś czas najwyżej bylibyśmy na celowniku dziennikarzy w związku z oszustwami przy przekształcaniu Dominion. I co z tego? Gromadzenie nowego funduszu trochę by się opóźniło i pewnie musielibyśmy sprzedać kilka firm z dużym zyskiem, żeby przekonać środowisko spółek kapitałowych, że nadal trzymamy się mocno. Dlatego nie chce mi się wierzyć, że Strazzi gotów byłby zlecić zabójstwo tylko dla niepewnej perspektywy opóźnienia naszego kolejnego funduszu.

- Otóż właśnie - przyznał Gillette, pochylając się znów w jego stronę.

- Co otóż właśnie?

- Nie miałyby to najmniejszego sensu, gdyby Strazzi sądził, że w ten sposób tylko nas trochę spowolni. Ale byłoby w pełni uzasadnione, gdyby zakładał, że zdoła nas całkowicie wyeliminować z gry. Albo nas wchłonąć.

- Wchłonąć? c< Reakcje Cohena stawały się coraz ciekawsze.

- Odwiedziła mnie wdowa po Donovanie. i:v - Czego chciała?

- Dała mi do zrozumienia, że teraz najważniejsze na świecie są dla niej udziały w Everest Capital. I powiedziała, jak bardzo jest zaniepokojona.

- Czym?

- Ktoś ją przestrzegł, że mogą wynikać poważne problemy z podległymi nam przedsiębiorstwami. Jak również z naszymi płynnymi udziałami.

- Masz na myśli pakiety, które nam zostały po wprowadzeniu akcji do publicznego obrotu?

Przytaknął ruchem głowy.

- W tym także Dominion?

- Tak. - Gillette po raz kolejny sprawdził cenę akcji kasy. Znów spadła o dolara. - A potem byłem na lunchu ze Stockmanem. Kiedy się dowiedział, że nie pozwolę mu wykorzystywać firm Everestu do prowadzenia własnej kampanii wyborczej, wyskoczył z domniemanym oszustwem w Dominion.

- Myślisz, że to Stockman rozmawiał z wdową?

- Albo któryś z jego doradców.

- Nie pytałeś jej, z kim rozmawiała?

- Tego nie chciała zdradzić.

Cohen zadarł głowę i popatrzył w sufit.

- Czyżby naszyły cię obawy, że wdowa ze strachu może sprzedać swoje udziały w spółce? Jak rozumiem, ich nowy właściciel mógłby zarządzić powtórne głosowanie i wykorzystać przynależną temu pakietowi czwartą część głosów pozostałych udziałowców, żeby umieścić na twoim miejscu kogoś innego.

- Owszem, naszyły mnie takie obawy.

- Ale to nadal nie trzyma się kupy. Co z tego, że wyjdzie na jaw domniemane oszustwo w Dominion? Nie podejrzewam, by coś takiego od razu skłoniło wdowę do sprzedaży udziałów. W końcu ewentualne kłopoty Dominion aż tak bardzo nie wpłynęłyby na wartość jej akcji.

- A gdybyśmy zostali zmuszeni do wycofania spółki z giełdy i wypłacenia kilku milionów dolarów odszkodowania inwestorom publicznym?

Cohen skrzywił się boleśnie.

- I do tego zapłacić ogromną karę od zarobionych przez nas dwóch miliardów, gdyby komisja papierów wartościowych udowodniła, że uknuliśmy spisek mający na celu zatajenie ważnych danych przed audytorami? - ciągnął Gillette. - A wdowa, po lekturze kilkudziesięciu krzykliwych artykułów w gazetach, doszłaby do wniosku, że faktycznie mogą zostać ujawnione dalsze kłopoty z innymi naszymi przedsiębiorstwami?

- Kłopoty? Niby jakie? - zapytał Cohen z cierpiętniczą miną.

Zawsze koncentrował się tylko na sprawach wewnętrznych, administracyjnych, kadrowych, dotyczących księgowości czy ograniczonych wspólników. Do jego zadań należało ciągle informowanie tych ostatnich o wszystkim, co się dzieje w kontrolowanych przez Everest firmach.

Raz na kwartał sporządzał raport o każdym przedsiębiorstwie i rozsyłał go inwestorom. Po trzech kwartałach publikował skrócone oświadczenia finansowe, a po zamknięciu roku pełne dane liczbowe. We wszystkich raportach wymieniane były najważniejsze wydarzenia dotyczące danej firmy w minionym kwartale, a więc podpisane kontrakty, wielkie akcje promujące nowe wyroby, umowy z partnerami strategicznymi - wszystkie te, które mogły poprawić humor inwestorom troszczącym się o dane przedsiębiorstwo, czyli o swoją inwestycję.

Jedyną rzecz, jakiej darmo było szukać w tych raportach, stanowiły złe wieści. Wymieniano jedynie te, które musiały trafić do opinii publicznej za pośrednictwem mediów.

Zatem Cohen po prostu nie mógł znać małych brudnych tajemnic podległych firm, bo o nich nie dyskutowali na cotygodniowych naradach zarządu z Donovanem. Prezes nie życzył sobie, żeby Cohen czy Faraday cokolwiek o nich wiedzieli. Wychodził z założenia, że im mniej ludzi będzie znało złe nowiny, tym lepiej. Chyba podejrzewał, że Cohen jest zbyt prostoduszny i mógłby nalegać, by przynajmniej część brudów ujawniono ograniczonym wspólnikom, obstając przy tym, że jest to ich powierniczy obowiązek. Donovan wiedział też o problemie alkoholowym Faradaya i bał się, że ten po kilku głębszych wygada się przed kimś niepowołanym.

Bili zdawał sobie w pełni sprawę ze znaczenia psychologii w biznesie, z chwiejności rynku podatnego na spekulacje i domysły. W obecnych czasach wiele wniosków wyciągano z urywkowych i fragmentarycznych informacji, a nawet najlepiej prosperujące firmy mogły się ugiąć pod prężerem wprowadzonej w błąd opinii publicznej.

Tak więc Donovan ściśle kontrolował dystrybucję złych wiadomości. Kłopoty podległych firm były omawiane w zaciszu gabinetów, poza oficjalnymi zebraniem. W takich spotkaniach uczestniczyli jedynie Gillette i Mason, bo tylko oni piastowali stanowiska prezesów w zarządach tychże firm.

Gillette przyglądał się więc Cohenowi, próbując ocenić ryzyko wprowadzenia kolegi w tego typu sprawy. Trudno było wykluczyć, że Ben wpadnie nagle w panikę i na własną rękę zacznie rozsyłać do ograniczonych współników alarmujące listy z wyjaśnieniami. Oczywiście bez jego wiedzy. A to spowodowałoby jeszcze większe kłopoty. Cohen mógł nie rozumieć, że podległe firmy zawsze borykają się z jakimiś problemami, a z których większość przestawała być problemami, jeśli tylko nie robiło się wokół nich zamieszania i rozgłosu.

- Dam ci przykład - odezwał się w końcu Gillette. - Obecnie nasza firma utylizacji odpadów ma poważny kłopot z zanieczyszczeniem środowiska wokół jednego z wysypisk śmieci.

Cohen zamrugał szybko i głośno przełknął ślinę.

- Którego?

- Wyluzuj, Ben.

- Którego? - powtórzył tamten z naciskiem.

- To bez znaczenia. - Firma obsługiwała ponad trzydzieści wysypisk, toteż niewielkie było niebezpieczeństwo, że Cohenowi uda się zlokalizować właśnie to jedno. Poza tym, nikt z obsługi wysypiska do niczego by się nie przyznał, gdyby ktoś pytał o zanieczyszczenie. Prawdę znało tylko parę osób, które dostały kategoryczne polecenie, aby z nikim nie rozmawiać o kłopotach. - Mogę ci zdradzić, że chodzi o zakład utylizacji położony w rzadko zaludnionym terenie, a wysypisko znajduje się z dala od większych miast.

Cohen aż syknął ze złości.

- Ben, to ja jestem prezesem tej firmy. I do moich obowiązków należy ocena, czy zdołamy uporać się z tym problemem we własnym zakresie, czy też zadanie przerasta nasze siły i świat będzie się musiał o nim dowiedzieć. Na razie, przynajmniej w mojej ocenie, ten etap nam jeszcze nie grozi.

- Skąd możesz to wiedzieć na pewno?

- Nigdy niczego nie wie się na pewno.

- Nie jesteś ekspertem z zakresu ochrony środowiska.

- Ale blisko współpracuję z fachowcami. To wszystko, co mogę zrobić.

- Cóż to za problem z zanieczyszczeniem? Zechcesz przynajmniej tyle powiedzieć?

- Owszem. Ale zachowasz to dla siebie. Mogę liczyć na twoją dyskrecję?

Cohen się zawahał.

- Stawiasz mnie w trudnej sytuacji, Christianie - rzekł lekko roztrzęsionym głosem.

- Ben, wśród najbardziej wtajemniczonych pracowników biznesu takie rzeczy są na porządku dziennym. Każde negocjacje są jak grząski grunt. Ty po prostu nie masz w tym zakresie żadnego doświadczenia. Żyłeś dotąd jak w kokonie, zajmując się administrowaniem Everestu i troszcząc o dobre samopoczucie ograniczonych wspólników. Donovan, Mason i ja braliśmy na siebie najbardziej niewdzięczne zadania.

- Dobra. Powiedz wreszcie, o co chodzi.

Gillette rozsiadł się wygodnie i założył nogi na brzeg biurka.

- Kilka tygodni temu wyszło na jaw, że duży staw na terenie należącym do zakładów jest skażony. W wodzie odkryto wysokie stężenia rtęci. Wszystkie żywe stworzenia wypłynęły na powierzchnię brzuchem do góry. Najwyraźniej ludzie, którzy nadzorowali wysypisko przed wykupieniem przez nas firmy utylizacyjnej, zakopali nad stawem jakieś beczki z toksycznymi odpadami, które teraz przedostały się do wód gruntowych. W ubiegłym tygodniu natrafiliśmy na jedną z tych beczek i po zbadaniu jej zawartości doszliśmy do wniosku, że poradzimy sobie z wyciekami i nie musimy alarmować Agencji Ochrony Środowiska.

- Przecież to śmieszne, Christianie. Musimy powiadomić agencję.

- Czy wiesz, ile będzie nas kosztowało, jeśli wiadomość się rozejdzie?

- Powinniśmy mieć ubezpieczenie... - zaczął Cohen.

- Powinniśmy, ale nie mamy. A jeśli fachowcy z agencji się na nas uweznią, mogą nawet doprowadzić do bankructwa firmy. Księgowy już przeprowadził wstępne obliczenia.

- Jezu...

- Masz rację. Jezu. Chyba wreszcie zaczynasz pojmować, z czym Bili, Troy i ja musieliśmy się borykać na co dzień.

- Co jeszcze jest okryte tajemnicą w należących do nas przedsiębiorstwach? - zapytał cicho Cohen.

- I o czym wiem?

- Nie żartuj sobie, Christianie.

- Wcale nie żartuję, jestem śmiertelnie poważny. Musisz zrozumieć, Ben, że zawsze są jakieś problemy z naszymi firmami. Trzeba się tylko nauczyć, jak sobie z nimi radzić. A kluczem do ich likwidacji są trzy zasadnicze kwestie: jak szybko umie się przejąć sprawy w swoje ręce, jakie ma się możliwości działania i, co najważniejsze, czy umie się w każdej sytuacji zachować spokój. W każdej. Do tego mniej więcej sprowadzają się najważniejsze

zadania prezesa każdego przedsiębiorstwa. Przede wszystkim zachować spokój, niezależnie od okoliczności.

- Więc co jeszcze jest okryte tajemnicą? - powtórzył Cohen w napięciu, jakby żadna nauka do niego nie dotarła.

Gillette przez chwilę patrzył mu prosto w oczy. Podejmował duże ryzyko.

- Mamy nieprzyjemną sprawę w firmie zakładającej komputerowe bazy danych w Kalifornii. Jeden z pracowników sprzedał duży pakiet danych osobowych agencji marketingowej.

- Robisz mnie w konia?

- Ani trochę.

** - Co to za dane osobowe?

- Nazwiska i adresy, skany z prawa jazdy, numery kart kredytowych.

Cohen wybałuszył oczy.

- Mój Boże... Jakie kroki podjęto? i - Człowiek, który sprzedał informacje, został zwolniony z pracy. Radcy prawni próbują oszacować, do jakiego stopnia firma ponosi odpowiedzialność za Ochronę danych osobowych. Oczywiście powiadomiliśmy też o sprawie zarząd agencji, która informacje kupiła za pośrednictwem jednego z pracowników średniego szczebla. On także natychmiast stracił pracę, a kierownictwo agencji zgodziło się na pełną współpracę z nami.

- Nie powiadomiliście samych zainteresowanych, że ich dane osobowe dostały się w niepowołane ręce?

- Nie.

- Dlaczego?

- W grę wchodzi ponad dwadzieścia tysięcy ludzi.

- I co z tego?

- Nie mogę sobie pozwolić, żeby już teraz wsiedli na mnie kalifornijscy adwokaci specjalizujący się w sprawach konsumenckich. Są gorsi od Gestapo. Jeszcze ci tego nie mówiłem, Ben, ale nie minęło nawet pół roku od chwili, gdy wprowadziliśmy akcje tej firmy do obrotu publicznego. Jeśli uzyskają taką cenę, jaką obiecywali bankierzy inwestycyjni, będziemy z tego mieli dziesięciokrotny zysk. Byłaby to najlepsza inwestycja w historii Everestu. Sam więc rozumiesz, że gdyby afera ze sprzedażą danych wyszła na jaw, wprowadzenie akcji na rynek znacznie by się opóźniło.

- Ale przecież dane osobowe tych ludzi dostały się w niepowołane ręce. Kto wie, do czego już je wykorzystali pracownicy tej agencji marketingowej.

- Próbujemy to ustalić. A jednocześnie powstrzymać przeciek. Tak samo jak na wysypisku śmieci. I jak dotąd, nic nie wskazuje, żeby ktoś wykorzystał te dane. Nie mamy żadnych zgłoszeń, by ktokolwiek próbował kraść pieniądze z kont, posługując się kupionymi numerami kart kredytowych. Wszystko wskazuje na to, że gość kupił pakiet danych tylko po to, by mieć gotowy zestaw konsumentów do testowania reakcji rynku na nowe produkty.

Cohen popatrzył w okno, jakby jego wzrok przykuł jakiś przedmiot w oddali. Gillette uniósł lewą brew.

- Czy nadal chcesz być prezesem któregoś z podległych nam przedsiębiorstw?

- Mój Boże, przecież to niemożliwe, żeby w każdej firmie działy się podobne rzeczy.

- Pewnie, że nie - przyznał Gillette. - Zresztą firma, w której obejmowałbyś prezesurę, mogłaby być całkiem czysta. Sęk w tym, że już dwa tygodnie później mógłbyś dostać czymś jak obuchem w łeb, i to z najmniej spodziewanej strony. - Zawiesił na chwilę głos, obmyślając prawdopodobny scenariusz wydarzeń. - Powiedzmy, że mianuję cię prezesem sieci sklepów spożywczych. Na początku wszystko będzie szło jak z płatka. Aż tu któregoś dnia twój samochód dostawczy, wielki tir, na skrzyżowaniu staranuje wóz z ojcem i trójką dzieci. Facet i dwójka dzieci zginą na miejscu. Trzecie przeżyje, ale zostanie sparaliżowane do końca życia. Policja odkryje, że kierowca wozu dostawczego był kompletnie pijany i miał we krwi sporą dawkę kokainy. Zacznie kopać dalej i odkryje, że w twojej sieci nie prowadzi się wymaganych przepisami testów na zawartość narkotyków we krwi kierowców. Matka zabitych dzieci wystąpi do sądu o pięćset milionów dolarów odszkodowania, a towarzystwo ubezpieczeniowe odmówi jego pokrycia, zasłaniając się tym, że w polisie była klauzula zwalniająca od odpowiedzialności w razie odstąpienia pracodawcy od koniecznych badań kierowców. Tymczasem wypłata pięciuset milionów będzie oznaczać niechybne bankructwo firmy. Nawet gdybyś argumentował, że ta astronomiczna suma jest absurdalna, prawnicy przedstawią uzasadnione kontrargumenty. W czasie procesu sędziowie przysięgli będą musieli się dowiedzieć, że kontrolująca sieć spółka Everest Capital jest warta dwadzieścia miliardów. I kobieta zyska całkiem realne szansę uzyskania pięćsetmilionowego odszkodowania. - Gillette skrzyżował ręce na piersi. - Co pan by wówczas zrobił, panie prezesie? Cohen zamyślił się, próbując znaleźć odpowiedź.

- Ja... sam nie wiem.

- „Nie wiem” niczego nie załatwia, Ben.

- No cóż...

- Pozwól, że jeszcze coś dorzucę. Załóżmy, że wobec tej sprawy biuro prokuratora naczelnego orzeka poważne zaniedbania ze strony twojej firmy i decyduje się sformułować

oskarżenia w stosunku do całego zarządu. Nawiasem mówiąc, w tej sytuacji wcale by mnie to nie zdziwiło. I co wtedy? Byłbyś przecież prezesem zarządu. Agenci federalni wpadliby do biura Everestu i wyprowadzili cię w kajdankach. Przed budynkiem czekałyby już ekipy telewizyjne, twoje dziewczynki zobaczyłyby w dzienniku, jak schodzisz po schodach, skuty kajdankami, nieudolnie próbując zasłonić twarz przed kamerami.

Cohen pokręcił głową.

- W porządku. A co ty byś zrobił w takiej sytuacji? Gillette poprawił krawat.

- Nawet nie chciałbyś wiedzieć, Ben - odparł po chwili z ociąganiem.

Cohen obrzucił go niepewnym wzrokiem, jakby się bał dalej rozmawiać.

- Jakim cudem Stockman mógłby się dowiedzieć o tego rodzaju kłopotach? - zapytał w końcu.

- To proste. Od Troya Masona.

- O cholera... Masz rację.

- Troy wie to wszystko, o czym ci przed chwilą mówiłem - ciągnął Gillette. - Odbywały się też zupełnie inne cotygodniowe spotkania, o których pewnie nawet nie wiedziałeś. Bili zwoływał je gdzieś na mieście, zazwyczaj w tym letnim domku na Upper East Side, który wynajmował. We trzech omawialiśmy na nich wszelkie kłopoty pojawiające się w podległych nam przedsiębiorstwach. Tak więc Troy o wszystkim wiedział. Mógł udostępnić Strazziemu mnóstwo informacji, a ten przekazał je Stockmanowi. Prawdę mówiąc, nawet bym się nie zdziwił, gdyby Troy, tuż po śmierci Donovana, przygotował sobie w ramach polisy ubezpieczeniowej kopie kilku teczek z aktami, żeby mieć dowody na potwierdzenie swoich słów, które w razie potrzeby będzie mógł zaprezentować. Innymi słowy, mógł się w ten sposób zabezpieczyć na wypadek, gdyby nie został prezesem Everestu.

- A Strazzi mógłby teraz wyłożyć pieniądze, żeby wykupić pakiet akcji Everestu należący do wdowy - podsumował Cohen.

- Otóż to. Jako jednego z nielicznych byłoby go na to stać - przytaknął Gillette. - A znając Straziego, można przypuszczać, że zdołałby jeszcze wytargować jak najniższą cenę.

- Ale my także moglibyśmy jej zaproponować wykup. Pokręcił głową.

- Nie. Jedynym sposobem dla nas na szybkie zdobycie tak wielkiej gotówki jest wzięcie kredytu pod zastaw jej udziałów. Żaden z banków nie dałby nam ani centa pożyczki bez takiego zastawu, zwłaszcza wobec podejrzeń o poważne kłopoty w podległych nam przedsiębiorstwach. A możesz mi wierzyć, że Strazzi dobrze by się o to zatroszczył, żeby wszyscy bankierzy wiedzieli o tych kłopotach.

Cohen wyraźnie zbladł.

- Czy wiesz, co stąd wynika? Że to właśnie Strazzi próbuje usunąć cię ze swojej drogi. Gillette przez kilka sekund spoglądał mu prosto w oczy.

- Myślałem także i o tym, ale to nie trzyma się kupy. Świetnie rozumiem powody, dla których Strazzi mógłby pragnąć śmierci Donovan, ale nie mojej.

- Dlaczego?

- Śmierć Donovan była mu potrzebna do tego, by obarczyć go winą za nieprawidłowości w Dominion. Mnie mógłby się pozbyć o wiele prościej, po prostu odkupując pakiet akcji wdowy. Po co miałby więc ryzykować ewentualne podejrzenia o drugie zabójstwo, skoro może osiągnąć cel bez takiego zagrożenia? Strazzi jest bezwzględny, ale przecież nie głupi.

- No, nie wiem - mruknął Cohen, wyciągając z notesu złożoną kartkę papieru, którą położył na biurku przed Gillette'em. - Jeśli zlecił jedno zabójstwo, równie łatwo mógł to zrobić po raz drugi. Wydaje mi się, że powinniśmy zgłosić te podejrzenia na policji.

- Nie mając niczego na ich poparcie?

- A to wszystko, o czym mówiliśmy?

- To nie jest żaden dowód. Cohen przygryzł dolną wargę.

- Sądzę jednak, że mimo wszystko powinniśmy przynajmniej zgłosić swoje obawy prowadzącym dochodzenie.

- Co to jest? - zapytał Gillette, zerkając na kartkę leżącą na brzegu biurka.

- Twoja decyzja w sprawie mianowania mnie dyrektorem naczelnym biura Everestu. Musisz ją podpisać.

Gillette odchylił się na oparcie.

- To przecież zwykła formalność.

Cohen wzruszył ramionami, lecz nic nie powiedział.

- Sądysz, że to naprawdę konieczne?

- Już ci mówiłem - rzekł Cohen mentorskim tonem. - Chcę, żeby ludzie wiedzieli, iż mam pełne prawo do wydawania im poleceń. Jak będziesz rozsyłał wiadomość pocztą elektroniczną, napiszesz w niej o podpisanej nominacji. - Ruchem głowy wskazał dokument.

- W porządku - zgodził się Gillette, sięgając po długopis. Szybko złożył podpis pod paroma linijkami tekstu. - Proszę bardzo. - Przesunął nominację w kierunku kolegi i uśmiechnął się przyjaźnie. - Wiesz, co sobie właśnie uświadomiłem?

- Co?

- Przez całe nasze spotkanie nie zacytowałeś ani jednej sentencji łacińskiej.

Cohen skinął głową.

- Cóż, polecenia szefa trzeba wykonywać.

17

Spisek. Dwóch lub więcej osobników skrycie ze sobą współpracujących w celu szerzenia zła - zabójstw, przewrotów, oszustw.

Siłę spisku wyznacza zaangażowanie, precyzja planowania oraz zdolność jego uczestników do zachowania ścisłej tajemnicy.

Ale powodzenie spiskowców ostatecznie jest uzależnione od ich zdolności do zatarcia wszelkich swoich śladów po dokonaniu się zbrodni. Muszą przypominać zjawy rozplywające się we mgle, gdy wszystko, co ich łączyło, nagle znika, tropy błyskawicznie stygną i nie zostaje nic, co pozwalałoby ujawnić powiązania.

W takiej sytuacji żadne władze nie postawią pod znakiem zapytania drogi prowadzącej spiskowców do celu, a jeśli nawet, to przecież niczego nie da się udowodnić ani tym bardziej zmienić. Natomiast ci, którzy stali się celem spiskowców - martwi bądź żywi po dokonaniu się zbrodni - nigdy nie doprowadzą do tego, by należnej im sprawiedliwości stało się zadość.

Tom McGuire energicznym krokiem przeszedł przez Willow Street i ruszył chodnikiem w kierunku promenady Brooklyn Heights - szerokiej alei spacerowej z widokiem na port nowojorski i cały Dolny Manhattan.

Podszedł do ciągnącego się wzdłuż promenady czarnego parkanu z kutych żelaznych prętów i popatrzył na ciągnący dołem po BrooklynQueens Expressway sznur aut osobowych i ciężarówek. Oparł się obiema rękami o parkan i spojrział na zegarek. Pozostały jeszcze trzy minuty do południa. Zjawił się trzy minuty przed czasem. Zawsze wysoko cenił punktualność i gardził tymi, którzy się spóźniają. Takimi, jak Christian Gillette. Oczywiście, miał teraz dużo ważniejsze powody do tego, by gardzić Gillette'em.

- Cześć, Tom.

Obejrzał się szybko. Jego brat Vince także podszedł do płotu i stanął tuż obok. Młodszy o trzy lata, był niski i śniady. Na dodatek złego, czarne włosy miał gładko zaczesane do tyłu i nosił złotą bransoletkę oraz sygnet na małym palcu. Tom wiele razy niemal wątpił, że są rodzonymi braćmi. Łączyło ich chyba tylko to, że obaj przed utworzeniem agencji McGuire & Company służyli w FBI, byli tak samo punktualni i zawsze potrafili zachować kamienną twarz.

- I co? - zapytał Vince grobowym głosem. Wcześniej wypalał paczkę papierosów dziennie, dopóki pięć lat temu lekarz nie dostrzegł na prześwietleniu ciemnej plamki. Alarm okazał się fałszywy, przestraszył go jednak do tego stopnia, że całkiem rzucił palenie.

Jednakże w lekko zachrypniętym głosie wciąż dało się wyczuć skutki dawnego nałogu. -
Udało ci się coś wskórać?

- Rozmawiałem z Gillette'em dziś rano. Nie zmieni zdania. Nie interesuje go trzysta milionów.

- A nasz człowiek nie wyłoży więcej?

Tom pokręcił głową.

- Nie. Twierdzi, że gdyby zgodził się zwiększyć ofertę, musiałby się gęsto tłumaczyć, a tego wolałby za wszelką cenę uniknąć. My zresztą też. Musimy się więc trzymać pierwotnego planu.

Vince splunął przez parkan na dach ciężarówki przejeżdżającej w dole.

- Co się stało dziś rano na Park Avenue, do cholery?

- Ludzie Stilesa byli za szybcy. Okazali się też bardzo dobrzy, a nasz człowiek spieprzył robotę.

- Gillette jest trudnym celem. Tom aż zazgrzytał zębami.

- Owszem, ale pamiętaj, że korzystamy z usług obcych, bo nie chcemy, by wyszły na jaw ich powiązania z nami.

No i, niestety, jak dotąd wynajęci ludzie okazują się idiotami. Chyba będziemy musieli skorzystać z pomocy kogoś zaufanego.

- Lecz jeśli go złapią...

- Tak, wiem. Wiem - uciał Tom, drapiąc się po głowie. Vince splunął po raz drugi.

- Pieprzyć Gillette'a. Gdybyśmy wiedzieli, co się naprawdę dzieje, odsprzedałby nam agencję za te trzysta milionów bez mrugnięcia okiem. Nawet tylko po to, żebyśmy nie grzebali głębiej.

- Ale wtedy nasz sponsor nie dostałby tego, na czym mu naprawdę zależy.

- Jego też chrzanić - warknął Vince przez ramię. - Wiesz co? Myślę, że powinniśmy wstrzymać dalsze akcje do czasu, aż odkupimy firmę. Co wtedy zrobi? Pójdzie na policję? Na pewno nie. Siedzi w tym równie głęboko, jak my.

- Niezupełnie.

- Ale wystarczająco głęboko - powtórzył tamten głośno.

- Jego chyba też nie doceniasz. Na pewno się połapie, jeśli za miesiąc Gillette będzie jeszcze żył. I wtedy zacznie nas szantażować, że nie wyłoży ani centa, jeśli nie spełnimy danej mu obietnicy, to znaczy nie zlikwidujemy Gillette'a. - Tom dostrzegł kwaśną minę brata, toteż dodał z naciskiem: - Zrozum, nie mamy innego wyjścia, jak trzymać się pierwotnego

planu. Ale przy zastawianiu kolejnej pułapki musimy zrobić wszystko, żeby tym razem na pewno dopaść Gillette'a.

Vince, wciąż z kwaśną miną, zapatrzył się na port.

- No, nie wiem - mruknął po chwili. - Robi się trochę za gorąco. Z Donovanem poszło jak po maśle. Nie ma mowy, żeby ktoś nas powiązał z jego śmiercią. - Westchnął głośno. - Ale Gillette może nam jeszcze przysporzyć kłopotów.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Tom nie powiedział dotąd bratu wszystkiego. Nie chciał go denerwować. - I to bardzo ważna.

Vince obejrzał się na niego. -- Jaka?

- Gillette jest bliski podpisania umowy z jakąś firmą z Wall Street, której celem będzie przekształcenie agencji w spółkę akcyjną.

- I wprowadzenie akcji McGuire & Company na rynek?! - zapytał tamten zdumiony.

- Tak.

- Chyba żartujesz. To kutas. Kiedy ci o tym powiedział?

- Nie powiedział - wyjaśnił Tom. - Nasz człowiek dowiedział się o tym od swojego informatora.

- Kawał gnoja! Chce sprzedać naszą firmę, nawet nie pytając nas o zdanie!

- Już wiesz, dlaczego musiałem się z nim spotkać w ubiegłym tygodniu i zaproponować trzysta milionów. Nasz facet bał się nawet, czy zdążymy przed podpisaniem przez Gillette'a umowy z bankiem inwestycyjnym. Jeśli do tego dojdzie w najbliższych dniach, na zawsze stracimy możliwość odkupienia agencji. Pomyślałem więc, że warto mu przedstawić ofertę, żeby zyskać trochę na czasie. Miałem nadzieję, że jak dam mu zrozumienia, co o tym myślimy, zastanowi się przed lekkomyślną sprzedażą agencji. A on tymczasem zaangażował Cjentina Stilesa.

- Chyba rzeczywiście nie mamy wyboru - mruknął Vince z rezygnacją w głosie. - Musimy go dopaść.

- Zgadza się. I to szybko. Tamten znów westchnął głośno.

- W porządku - odparł.

- Bardzo dobrze się stało, że bomba podłożona w limuzynie wybuchła pół minuty przed czasem - powiedział Tom. Bomba była wyposażona w detonator zegarowy, wcale nie została odpalona zdalnie, jak tłumaczył Gillette'owi. - Wszystko byśmy zaprzepaścili, gdyby eksplozja nastąpiła później i Gillette zginął na miejscu.

- Zaraz. Mówiłeś przecież, że mam wolną rękę - odrzekł ze złością Vince. - Facet twierdził, że zależy mu na śmierci Gillette'a, starałem się więc wykonać swoje zadanie. Skąd miałem wtedy wiedzieć, że byłaby to śmierć przedwczesna?

- Spokojnie, braciszku - wtrącił pojednawczo Tom, jako że Vince był wybuchowy. - Już ci tłumaczyłem, że to była moja wina. Sam nie miałem wtedy pojęcia, że jest inna ważna sprawa i trzeba podejmować działania w odpowiedniej kolejności, że musimy poczekać, aż Gillette pozbędzie się Masona, zanim weźmiemy go na cel. Ja też sądziłem, że mamy całkiem wolną rękę.

- Bardzo się wściekał? - Dostyc.

- No cóż, ważne, że dobrze się skończyło, że nie powinien już...

- Przecież nadal stoi twardo za nami. Nie wycofał oferty, prawda?

Vince jęknął głucho.

- Szlag by to... Jak tak dalej pójdzie, zaczniemy jeszcze żałować, że tamta bomba eksplodowała za wcześnie.

- Gillette jest jak cholerny kot - przyznał Tom. - Jakby miał dziewięć żyć, może nawet więcej.

- To fakt. - Vince odwrócił się do brata. - Ten facet, którego ludzie Stilesa zabili dziś na Park Avenue... Da się go jakimś sposobem powiązać z nami?

- Nie - rzekł Tom kategorycznie. - Rozliczałem się z nim w gotówce, poza tym absolutnie nic go nie łączy z nikim z naszej agencji. Sprawdzałem dokładnie, zanim go zaangażowałem. - Zachichotał. - Co ciekawe, gliny nie chcą wierzyć Stilesowi, że zginął sprawca nieudanego zamachu. Skłaniają się ku temu, że był to skutek awantury po zderzeniu samochodów. Podobno tak zeznała jakaś kobieta, która widziała całe zdarzenie. Stwierdziła, że kierowca Gillette'a zajeżdżał drogę naszemu człowiekowi, który wyskoczył z auta i zaczął wrzeszczeć, awanturować się, wymachując pistoletem, nim został zastrzelony. - Tom zaśmiał się jeszcze głośniejsze. - Czasami szczęście jest ważniejsze od doświadczenia, bo mogę cię zapewnić, że nasz człowiek nie awanturował się i nie wrzeszczał.

- Więc dlaczego ta kobieta okłamała policję?

- Któż to wie? Może po prostu spodobało jej się, że jest w centrum zainteresowania, i postanowiła trochę ubarwić swoją relację.

- A co z rozmowami przez telefon komórkowy? - zapytał Vince.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- On ani razu nie dzwonił do ciebie z komórki?

- Nie. Zawsze korzystał z automatu, i to wyłącznie na kartę.

- Jesteś tego absolutnie pewien?

- Oczywiście, Vince. Kiedy dzwonił, numer na ekranie mojego aparatu zawsze potwierdzał jego słowa. Zresztą gdyby nawet raz czy drugi zadzwonił do mnie ze swojej komórki, to co? Myślisz, że o czymkolwiek by to świadczyło?

- Nie dzwonił do ciebie tuż przed tym nieudanym zamachem na Gillette'a?

- Nie. Rozmawialiśmy dzień wcześniej. Vince po raz kolejny głośno westchnął.

- To dobrze.

Tom rozejrzał się na boki. Na ławce jakieś trzydzieści metrów dalej siedziała kobieta, obok stał dziecięcy wózek. Na pewno nie mogła słyszeć ich rozmowy, dopóki nie podnosili głosu.

- Więc sam rozumiesz, że musimy dopaść Gillette'a, i to jak najszybciej. Jasne?

Vince skinął głową.

- Ale na tym etapie byłbym spokojniejszy, gdybyśmy wybrali kogoś, komu można zaufać. Wiem, że to ryzykowne, bo takiego człowieka łatwiej będzie powiązać z nami, ale chyba nie mamy innego wyjścia.

- Myślisz o kimś konkretnym?

- Tak. O Dominicku - odparł szybko. - Jest najlepszy.

Vince przez kilka sekund wpatrywał się w nabrzeża portowe, zanim skinął głową. - Dobrze. Zadzwonię do niego.

Cohen wyszedł ze stacji metra Clark Street na skąpaną w słońcu ulicę i spojrzał na zegarek. Było piętnaście po pierwszej. Przyjechał za wcześnie, ale nie znał dobrze Brooklyn Heights, wolał więc mieć pewną rezerwę. Nie orientował się nawet, ile jeszcze musi przejść na piechotę.

- Przepraszam - zaczepił przechodzącą kobietę.

- Czego? - warknęła groźnie.

- Którędy mam iść na promenadę? Wskazała kierunek.

- Tędy. Cały czas prosto. Trudno nie trafić.

Mason usiadł na krześle przed biurkiem Straziego, który jak zwykle palił wielkie grube cygaro. Mason nie znosił dymu tytoniowego, zwłaszcza z cygar.

- Witaj, Paul.

- Dzień dobry, panie Strazzi.

Nieśmiało spojrzał szefowi w oczy. Wczoraj został za to skarcony.

- O co chodzi?

- Dzisiaj masz do mnie mówić właśnie tak, panie Strazzi.

- Dlaczego?

- Bo mi się tak podoba.

Prezes firmy był niepoczytalny. Mason przekonał się już, że inni pracownicy Apeksu myślą podobnie, tylko nie mają odwagi bąknąć ani słowa na ten temat z obawy, że ktoś usłyszy. W biurze krążyły bowiem plotki, że pomieszczenia są na podsłuchu. Z drugiej strony, Strazzi zgodził się zapłacić mu trzy miliony dolarów rocznej pensji. Co prawda, gwarantowanej tylko przez rok zgodnie z podpisanym wczoraj kontraktem. Niemniej, gdyby szef zażyczył sobie, by nazywać go imieniem Buddy, i to by zrobił bez wahania.

- Jak pan sobie życzy, panie Strazzi. Tamten zaciągnął się głęboko dymem z cygara.

- Najwyższa pora, żebyś zaczął wreszcie zapracowywać na tę olbrzymią pensję, którą ci wypłacam, Troy.

- Sądziłem, że już to robię.

- Dobrze ci jest z Vicky, chłopcze?

Mason podniósł szybko głowę, mając wrażenie, jakby odezwały się w niej dzwonki alarmowe. W tym tygodniu był z Vicky w pobliskim hotelu Parker Meridian trzykrotnie, dwa razy w czasie przerwy na lunch i raz po pracy.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał niewinnie.

- Doskonale wiesz, co chcę powiedzieć. Parzycie się jak króliki. - Prezes uśmiechnął się szeroko mimo trzymanego w zębach cygara. - Mogę się założyć, że twoja żona wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała, że posuwasz sekretarkę. - Zaśmiał się chrapliwie. - A przecież pracujesz tu dopiero od tygodnia. Całkiem nieźle, Troy.

Byłaby tak wściekła, że pewnie natychmiast by odeszła, przemknęło mu przez myśl. Melissa już mu zapowiedziała, że jeśli zdarzy się jeszcze choć jeden incydent, natychmiast odchodzi. I że podczas rozprawy wydusi z niego tyle, ile tylko zdoła wydusić najbardziej zacięty adwokat, specjalista od rozwodów.

- Panie Strazzi, ja...

- Nie marnuj mojego czasu, Troy. - Prezes postukał cygarem o brzeg wielkiej okrągłej popielnicy i do środka spadł długi co najmniej na trzy centymetry słupek popiołu. - Dobrze wiem, co się wyrabia, ale możesz być spokojny o swój mały sekret. Chcę od ciebie tylko pewnych informacji.

- Informacji?

- Tak. - Jakich?

- Na temat przedsiębiorstw należących do Everestu.

Mason nerwowo odciągnął palcem kołnierzyk koszuli.

- A konkretnie?

- Muszę wiedzieć, czy nie ma z nimi większych problemów.

- Jakich problemów?

- Czy nie pierzecie ich brudów, chłopcze - wyjaśnił rozdrażniony Strazzi. - Każda prywatna spółka kapitałowa ma jakieś problemy ze swoimi firmami. Chciałbym więc się dowiedzieć, z jakimi problemami boryka się Everest.

Mason po raz kolejny odważył się podnieść wzrok na szefa. Powinien był się tego domyślić. Właściwie tylko z tego powodu znalazł tu zatrudnienie.

- Po co to panu? Strazzi pokręcił głową.

- To ja jestem od zadawania pytań. I nie muszę ci niczego wyjaśniać.

Najwyraźniej chciał storpedować dążenia Gillette'a do zgromadzenia nowego funduszu inwestycyjnego, to musiał być teraz jego cel, pomyślał Mason. Westchnął ciężko. Uprzymomnił sobie jednak, że wcale nie musi być lojalny wobec poprzedniego pracodawcy, skoro Donovan zmarł, a Gillette'a nienawidził. Ten kutas próbował go przecież doszczętnie zrujnować.

- Pewnie mógłbym zdradzić panu kilka szczegółów.

- Kilka szczegółów to za mało, Troy. Potrzebne mi konkretne dane. Namacalne dowody. Muszę mieć dokumenty.

- Nie wpuszczą mnie już do Everestu - zaprotestował nieśmiało, rozmyślając, że oto nadarza mu się kolejna wyjątkowa okazja. Zdążył bowiem skopiować garść dokumentów tamtego dnia, kiedy odbywało się głosowanie na prezesa zarządu. - Zostałem stamtąd wylany na dobre. A już na pewno nie mam co marzyć o dostępie do dokumentów.

- Użyj wyobraźni.

- Dlaczego nie chce pan skorzystać z pomocy swojej wtyczki w biurze Everestu? - zapytał, mając absolutną pewność, że Strazzi już tego próbował. Ale kompromitujące dokumenty znajdowały się pod ścisłym nadzorem, dostęp do nich, oprócz prezesa, miał jeszcze tylko jeden wspólnik zarządu. To dlatego doszło do tej dzisiejszej rozmowy. - Tak byłoby prościej?

Tamten obrzucił go ostrym spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek.

- Przecież cholernie dobrze wiesz, że mój informator nie ma dostępu do wszystkich dokumentów.

Do wszystkich. Dokładnie tak się wyraził. A to oznaczało, że jego wtyczka może zdobyć tylko niektóre dokumenty. Można było zatem wnioskować, że ów człowiek zajmował

pozycję co najmniej kierownika działu, na pewno nie był szeregowym asystentem. Tylko kierownicy działów, dyrektorzy i wspólnicy zarządu posiadali odpowiednią autoryzację.

- Może i mógłbym panu jakoś pomóc - rzekł, wracając myślami do papierów zamkniętych w ściennym sejfie w jego mieszkaniu. - Ale chcę za to miliona dolarów.

- Myślisz, że byłbym gotów ci zapłacić?

- Gillette dał mi milion za odejście z firmy, tyle że musiałem podpisać odrębną umowę, żeby je dostać. A w tej umowie znalazła się klauzula dotycząca zasad poufności, według której nie mam prawa z nikim rozmawiać na temat przedsiębiorstw podległych Everestowi, chyba że zostanę do tego przymuszony sądowym nakazem. Poniósłbym więc ogromne ryzyko, łamiąc dla pana ten punkt umowy.

- Obaj dobrze wiemy, że nawet przed sądem Gillette nie byłby w stanie niczego udowodnić.

- To w niczym nie zmienia sytuacji.

- Za to ja mogę powiedzieć twojej żonie o Vicky, jeśli nie będziesz chciał mi pomóc.

- I cóż dobrego by panu z tego przyszło? W takiej sytuacji z pewnością niczego by się pan ode mnie nie dowiedział. - Mason zawiesił na chwilę głos. - Milion dolarów, panie Strazzi. Dla pana to przecież drobna sumka.

Prezes zastanawiał się przez jakiś czas, wreszcie skinął głową.

- Dobra - rzucił, odchylając się na oparcie fotela. - A teraz słucham.

- Nie rozumiem.

- Daj mi chociaż przedsmak tego, jakie problemy ma Gillette.

To mógł zrobić. W końcu nie musiał podawać żadnych faktów, na podstawie których łatwo byłoby się domyślić całokształtu sytuacji.

- Everest jest właścicielem firmy utylizacji odpadów.

- Tak, wiem. Regent Waste.

Strazzi był jednak dobrze poinformowany. W końcu, gdyby było inaczej, jego majątku nie wyceniano by na pięć miliardów dolarów.

- Na jednym z jej wysypisk ujawnił się problem z zanieczyszczeniem terenu. Agencja Ochrony Środowiska o niczym nie wie.

- Które to wysypisko? Mason pokręcił głową.

- To przeczytasz sobie w dostarczonych dokumentach. Oczywiście po tym, jak dostanę swój milion.

- Pół miliona teraz - rzucił Strazzi - a reszta po tym, jak dostanę papiery.

Mason zastanawiał się przez chwilę.

- Dobrze.

Prezes znów zaciągnął się głęboko cygarem.

- Co tam jest jeszcze?

- My... - Mason ugryzł się w język. - Chciałem powiedzieć, Everest, nadzoruje kalifornijską spółkę zarządzającą bazami danych. Chodzi o prawa jazdy, wykazy operacji na kontach bankowych, historie zatrudnienia. Tam również pojawiły się pewne kłopoty. I w tym wypadku instytucje rządowe nie zostały o niczym poinformowane.

- Świetnie. - Strazzi uśmiechnął się szeroko. - Pół miliona znajdzie się na twoim koncie jeszcze dzisiaj, przed zamknięciem banków. I chcę zobaczyć te papiery na moim biurku jutro o siódmej rano. Jasne?

- Tak.

- Bądź uprzejmy odpowiedzieć: Tak jest, panie prezesie. Mason przełknął ślinę.

- Tak jest, panie prezesie. Strazzi wymierzył w niego cygaro.

- Jeśli spróbujesz nawiać z tymi pieniędzmi, moi ludzie odnajdą cię na końcu świata.

A wtedy nie będą się z tobą patyczkować.

Cohen siedział na samym brzegu ławki, z której roztaczała się piękna panorama nowojorskiego portu oraz Dobrego Manhattanu. *

- Witaj, Tom.

McGuire usiadł na drugim końcu ławki, trzy metry od niego.

- Cześć, Ben - odparł, nawet nie patrząc w jego stronę.

- Jak rozumiem, spotkanie z Gillette'em nie przebiegło całkiem po twojej myśli - zaczął Cohen.

- Nie. Nic nie wskórałem. W ogóle nie chciałem słyszeć o trzystu milionach za agencję McGuire & Company.

- A to dlatego, że wcześniej bankierzy inwestycyjni włożyli mi do głowy, że może za nią dostać pięćset.

- Wiem o tym.

Cohen także wpatrywał się prosto przed siebie.

- W dodatku okazał się na tyle sprytny, żeby zaangażować Stilesa. Nie podobało mu się, że miałbyś dalej kierować jego osobistą ochroną, próbując zarazem odkupić od niego agencję. Doszedł do wniosku, że jeśli się na niego rozzłościś, możesz powiedzieć swoim ludziom, by nie przykładali się zbytnio do swoich zadań.

- Powiedział ci to wprost? - zaciekawił się McGuire.

- Nawet tymi samymi słowami.

- Kutas.

- Ale sprytny kutas. - Cohen zachichotał. - Powiedziałem mu, że nigdy za dużo nie ufałem ani tobie, ani Vince'owi.

- Wielkie dzięki.

- Spokojnie, przecież sam mówiłeś, żeby nie zostawiać żadnych dowodów na to, że cokolwiek nas łączyło. Pomyślałem więc, że tak będzie najlepiej.

- Rzeczywiście tak mówiłem i rzeczywiście tak jest lepiej - wycedził detektyw. - Posłuchaj, musisz zrobić wszystko, żeby Gillette nie podpisał umowy z żadnym bankiem inwestycyjnym, dopóki nie wcielimy naszego planu w życie.

- Wystarczyło, żebyście zrobili swoje, i nie byłoby żadnych problemów, a tak zaczynam podejrzewać, że Christian jest nietykalny. Nasz człowiek zaczyna się denerwować. Jak tylko pojawił się pomysł na takie rozważanie sprawy, tłumaczyłem mu, że jesteście najlepsi. Gotów byłem za was ręczyć. Dlatego teraz ma poważne wątpliwości. Po pierwsze, przed kościołem wysadziliście w powietrze samą limuzynę z szoferem. Po drugie...

- Hej - syknął McGuire ze złością. - Przecież sam mówiłeś, że mamy wolną rękę do działania.

- Ale powtarzałem też, że chcę wiedzieć z góry o każdej waszej próbie wykończenia Christiana. Chryste, o mało sam nie zginąłem podczas tej eksplozji.

- Niby skąd miałem wiedzieć, że zechcesz się zabrać razem z nim? - warknął detektyw.

- Chodzi tylko o to, że nasz człowiek zaczyna się coraz bardziej denerwować. Mówiłem mu, że jesteście najlepsi. Więc przestańcie mnie stawiać w głupiej sytuacji i załatwcie wreszcie tę sprawę, raz a dobrze.

- Gillette's już jest martwy - odparł cicho McGuire. - Możesz być pewien. Ściągniemy najlepszego fachowca. - Skrzywił się z niesmakiem. - Jedyne problemy polegają na tym, że już kiedyś z nami współpracował, istnieją więc ślady powiązań. Ale nie wątpię, że on zrobi, co trzeba - rzekł z naciskiem. - Mimo ochrony Cjentina Stilesa.

- Oby. - Cohen patrzył na wodę. - Jest jeszcze jedna sprawa, o której musimy porozmawiać. Coś, co może pokrzyżować nam szyki.

McGuire dopiero teraz spojrzał na niego.

- Poważnie?

- Jak najbardziej. I może to oznaczać dodatkowe zadanie.

- Christianie? *; Gillette podniósł głowę znad sprawozdania finansowego i popatrzył na Stilesa stojącego w drzwiach gabinetu.

- Tak? I

- Mam dla ciebie informacje.

- Jakie?

- Pamiętasz tego mała, którego dostałeś wieczorem? w New Jersey, tuż przed zamachem??Wyprostował się szybko.

- Wiecie już, kto go wysłał?

Stiles skinął głową.

- Został nadany ze sklepu w Los Angeles, a ściślej biorąc, w Beverly Hills. *

Gillette powoli odłożył długopis. Faith Cassidy zatrzymała się w hotelu Wiltshire w Beverly Hills. Pochwaliła się tym, kiedy zadzwonił do niej wcześniej tego samego wieczoru.

Zadzwonił telefon. Gillette popatrzył na wyświetlacz i od razu rozpoznał numer rozmówcy.

- Przepraszam, Cjentin, ale muszę odebrać.

- Jasne.

Stiles wycofał się i zamknął drzwi. Gillette odczekał na trzeci sygnał i podniósł słuchawkę. Taka była umowa.

- Słucham.

- Sokół?

- Tak. Czego się dowiedziałeś? - zapytał z niecierpliwością. ‘;

- Najpierw mi odpowiedz.

Gillette skinął głową, zadowolony, że informator trzyma się ściśle procedury.

- Pięc. - Był to bowiem ich piąty kontakt telefoniczny.

- I co?

- Pora roku to zima. Mów wreszcie, co masz.

- Przeciwnik wykonał posunięcie. Poruszył temat i dostawa odbędzie się rano.

- Dziękuję - odparł cicho. - Dzwon do mnie, jak tylko będziesz miał coś jeszcze.

Jasne?

- Tak.

Gillette odłożył słuchawkę, po czym wyciągnął szufladę biurka. Numer był zapisany na skrawku gazety schowanym między dwiema szarymi kopertami. Powtórzył go sobie w myślach i wybrał na aparacie.

- Halo!

Od razu rozpoznał głos Josego Medilli. Nie musiał pytać, z kim rozmawia.

- Jose, tu Christian. - Zawahał się. Nadeszła ta chwila, której najbardziej się obawiał. I nie miał złudzeń, że Jose także nie będzie jej mile wspominał.

18

Quid pro quo. Dosłownie: to za tamtą.

Zawsze musi być coś za coś. Nic nie jest za darmo.

Gillette wkroczył do przedsiionka hotelu WaldorfAstoria i po schodach wyłożonych grubym puszystym dywanem wszedł do głównego lobby. Otaczała go pełna ochrona, aż pięciu ludzi Stilesa. Ich szef był już w środku i uważnie lustrował lobby oraz salę restauracyjną.

Wcześniej tego popołudnia, mimo głośnych protestów Cohena, podniósł ochroniarzowi stawkę do dziesięciu tysięcy dolarów dziennie. Stiles tak bardzo angażował się w wykonywane zadania, nie skąpiąc ani swego czasu, ani dodatkowych ludzi, że uznał taki krok za niezbędny. W końcu nie powinno to już trwać za długo. Sprawa musiała znaleźć rozwiązanie, takie czy inne.

Dotarłszy na szczyt schodów, od razu zauważył Stilesa przy wielkiej wazie ze świeżymi kwiatami stojącej na stoliku pośrodku lobby. Z jego ucha wychodził cienki czarny kabelek, który ginął za kołnierzem golfu, a półkolisty wysięgnik biegnący wzdłuż policzka kończył się małym srebrzystym mikrofonem.

- Nie podoba mi się to, Christianie - rzekł Stiles, kiedy stanęli naprzeciw siebie w otoczeniu żywej bariery ochrony. - Nie podoba mi się, że masz samotnie wyjść na otwartą przestrzeń. Zwłaszcza po tym, co się stało dziś rano.

Gillette przysunął się do niego o krok i ukradkiem rozejrzał po lobby.

- Wszystko będzie dobrze, Quentin. Ale tamten jeszcze bardziej sposepniał.

- Lepiej nie tłumacz mi, jak mam wykonywać swoją robotę. Wtedy i ja nie będę ci dyktował, co masz robić w swojej.

- Powiedziałem, że wszystko będzie w porządku.

- Dlaczego nie chcesz zorganizować tego spotkania w zaciszu pokoju na górze? W ten sposób nikt by wam nie przeszkadzał.

Gillette pokręcił głową.

- To nasza pierwsza randka. I co, mam jej powiedzieć, że zjemy w pokoju na górze, ponieważ szef mojej ochrony ma uzasadnione obawy, iż ktoś położy mnie trupem podczas kolacji w sali restauracyjnej? To chyba nie najlepszy pomysł. Zwłaszcza że chciałbym, by dotrwała przy mnie do deseru.

- Mimo wszystko...

Stiles zamilkł nagle, ujrawszy Isabelle idącą w ich kierunku. Była ubrana w długą czarną suknię bez ramiączek, rozpuszczone krucz włosy spadały na ramiona. Bizuterię stanowiły diamentowe kolczyki, naszyjnik z szafirami oraz złota bransoletka na lewym nadgarstku. Jej strój dopełniały czarne lakierowane szpilki. Pełne wargi miała delikatnie uszmkowane, a paznokcie pomalowane lakierem w tym samym odcieniu czerwieni.

Gillette spojrzał jej w oczy, gdy podeszła bliżej, i jak zwykle w brązowych źrenicach wyczytał tajemnicę, tego wieczoru nawet silniej zaznaczoną niż zwykle. Jakby odrobinę czegoś się bała. Albo kogoś.

- Witaj, śliczna - rzekł miękko, gdy kordon ochrony zamknął się za jej plecami.

- Cześć. - Po dziecinnemu klasnęła w ręce i spuściła głowę, zawstydzona.

Była to dla niej bardzo krępująca chwila, toteż chcąc jej dodać otuchy, pochylił się i delikatnie cmoknął ją w policzek. Owionęła go przyjemną woń perfum.

- Miło cię widzieć, Christianie - szepnęła nieśmiało. Gillette otoczył ją ramieniem, ułożył dłoń u nasady karku i lekko uściskał na powitanie.

- Ciebie także miło widzieć. - Za jej plecami skinął głową Stilesowi, dziękując w duchu, że ochroniarz tym razem zrezygnował z rewizji. - Przyjemnie spędziłaś dzisiejszy dzień?

Umówił jedną z pracownic Waldorfa, żeby zabrała Isabelle do salonów przy Fifth Avenue, pomogła jej kupić wieczorową suknię, zaprowadziła do fryzjera, pomogła wybrać biżuterię.

Isabelle spojrzała mu prosto w oczy.

- Jeszcze nigdy w życiu nie spędziłam tak miłego dnia. Dziękuję. Jak ci się odwdzięczę?

- Jedząc ze mną kolację.

Uśmiechnęła się.

- Z przyjemnością.

- Usiądźmy - zaproponował, wskazując wejście do sali restauracyjnej.

Stiles wcześniej zarezerwował dla nich stolik w zacisz* nym odległym kącie sali. Kiedy podeszli do niego, ochroniarz wysunął krzesło Isabelle.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego, siadając. Uprzejmie skinął głową, po czym oddalił się i zajął miejsce pod ścianą.

- A mnie nie odsuniesz krzesła? - zawołał za nim Gillette.

- Jak podwoisz moją stawkę, to się zastanowię.

- Właśnie to zrobiłem, już zapomniałeś? Jezu, za dwadzieścia kawałków dziennie powinieneś kierować moją limuzyną, gotować mi obiady i przygrywać do nich na pianinie - zażartował, siadając naprzeciwko Isabelle. - Wszystko w porządku?

- Doskonale.

- Czego chciałabyś się napić?

- A co ty wybierasz?

- Wodę.

- Nie wino? - spytała rozczarowana.

- Nie, ale to nie przeszkadza, żebyś ty sobie zamówiła.

- Wybierzesz jakieś dla mnie?

- Oczywiście. Czerwone czy białe?

- Poproszę czerwone.

Kiedy złożył zamówienie i kelner odszedł, Isabelle pochyliła się nad stołem i zapytała szeptem, wskazując palcem Stilesa:

- Nie przeszkadza ci, że on będzie patrzył, jak jemy?

- Nie. Przywykłem do tego.

- Dlaczego cały czas kręci się przy tobie? Po co ci aż tak liczna obstawa?

Nie chciał zaczynać wieczoru od tego tematu, chociaż naiwnością byłoby sądzić, że o to nie zapyta. Każdy na jej miejscu by zapytał.

- Piastując takie stanowisko, mam wielu wrogów, Isabelle. Quentin kieruje moją ochroną osobistą. A dzisiaj przedsięwziął szczególne środki ostrożności, dlatego towarzyszy mi aż tylu ludzi - odparł.

- Już rozumiem, dlaczego zatrzymali mnie wczoraj wieczorem, kiedy znaleźli nóż w kieszeni mojego płaszcza. Tylko dlaczego umieściłeś mnie później w hotelu? Dlatego, że ich zdaniem jestem twoim wrogiem?

- Owszem. Sądzili, że pracujesz na czyjeś zlecenie.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak głupio to zabrzmiało. Jak mogłabym pracować na czyjeś zlecenie? Przecież to bzdura.

- Masz rację.

Ale w jego myślach odezwały się cicho dzwonki alarmowe. Przecież nie tak trudno było odkryć jego powiązania z Josem i Selmą. Odwiedzał ich w New Jersey co najmniej sześć czy siedem razy od czasu, jak ich tam umieścił. Selmę poznał późną wiosną na przyjęciu dobroczynnym, gdzie pracowała jako kelnerka, i po zakończeniu kolacji nawiązał z nią rozmowę, zapytał o rodzinę. Okazało się, jak na ironię, że jej mąż właśnie stracił pracę, został

objęty redukcją etatów w Blalock, zakładach wytwórczych narzędzi elektrycznych należących do Everestu. Pracował w fabryce w Newark, do której codziennie musiał dojeżdżać z Bronksu, a został objęty redukcją wskutek zainstalowania robotów przemysłowych. Dowiedziawszy się o tym, zapytał Selmę tuż przed zakończeniem przyjęcia, czy mógłby porozmawiać z Josem.

Spotkali się tydzień później i Portorykańczyk od razu wydał mu się idealnym kandydatem, dokładnie takim, jakiego szukał - człowiekiem bezgranicznie lojalnym wobec tego, kto wydatnie wpłynie na poprawę warunków życia jego rodziny. To dlatego kupił im dom w centralnym New Jersey i załatwił Josemu pracę.

- Chodzi mi o to, że sam pomyśl, iż miałabym przyjechać do Nowego Jorku z kuchennym nożem, żeby cię zabić, jest zwariowany - ciągnęła Isabelle półgłosem. - Aż nie chce mi się wierzyć, że ludzie odpowiedzialni za twoją ochronę mogli w ten sposób pomyśleć. To po prostu śmieszne.

Isabelle pojawiła się jak grom z jasnego nieba. Ani Jose, ani Selma dotąd nie wspominali o niej ani słowem. Zjawiła się niespodziewanie w ubiegłym tygodniu, kiedy wieczorem on i Jose wyszli razem na werandę. Skłaniało to ku wnioskowi, że jeśli naprawdę coś się szykowało, Jose lub Selma, czy nawet oboje musieli z kimś współpracować. A więc jego polecenia mogą dziś wieczorem nie zostać wykonane. Ale to by przynajmniej coś mu dało do zrozumienia.

Przez chwilę przyglądał się Isabelle w milczeniu, po czym odrzekł:

- Oczywiście, że to śmieszne.

Samo zabójstwo było stosunkowo łatwą częścią zadania. Zabić można każdego, i prezydenta, i króla. Wszyscy są równie łatwym celem. I to niezależnie od liczebności ochrony. Historia uczy, że każdego można zabić, jeśli się tylko dobrze rozplanuje zamach i przekupi kilka osób. Najtrudniejsze jest to, żeby nie zostawić po sobie żadnych śladów, by nikt nie zdołał później wytropić sprawcy zamachu ani powiązać go z mocodawcami.

Ażeby nie pozostały żadne ślady, do zabójstwa musiało dojść w miejscu i czasie wybranym przez zabójcę. Na przykład w leśnej głuszy nad strumieniem. Na pewno nie w zatłoczonej hotelowej sali restauracyjnej, gdzie kelnerzy i posłańcy mogli być zarazem członkami zbrojnej ochrony.

Poza tym, na razie trzeba się było ograniczyć do obserwacji, zebrać maksymalnie dużo danych.

Chyba że całkiem niespodziewanie pojawiłaby się dogodna okazja.

- Czternaścioro.

Gillette pociągnął łyk wody i powtórzył osłupiały:

- Czternaścioro? Isabelle skinęła głową.

- Tak. Dziewięć siostr i pięciu braci.

- A gdzie w tym wszystkim jesteś ty?

- Nie rozumiem. - Jej wąskie czarne brwi zabawnie zjechały ku sobie.

Gillette sięgnął po butelkę merlota i napełnił jej kieliszek winem.

- Która jesteś z kolei? - zapytał, unosząc na nią wzrok znad kieliszka. Diamentowe kolczyki w mętnym blasku lamp rozsiewały żywe błyski. Nagle naszała go ochota na kieliszek czegoś mocniejszego. - Jesteś najmłodsza z rodzeństwa? A może najstarsza?

- Ach, rozumiem - rzuciła, wyraźnie rozluźniona. - Jestem trzecia od końca.

To pragnienie bez reszty zawładnęło jego myślami. Cudownie byłoby poczuć smak merlota w ustach. Zwłaszcza w towarzystwie Isabelle siedzącej naprzeciwko niego. Pociągnął tylko drobny łyzeczek dzinu podczas lunchu ze Stockmanem i alkohol wydał mu się wspaniały. Wcześniej w ogóle nie pił od tamtej znamiennej nocy po uzyskaniu świadectwa maturalnego, kiedy to stracił panowanie nad kierownicą na zakręcie Ocean Highway, doszczętnie rozbił ferrari ojca i sam omal nie zginął.

- Zostawiłaś swojego chłopaka w Portoryko? - zapytał. Zachichotała, najwyraźniej zmieszana.

- Nie powinienem o to pytać?

- Nie, w porządku. Rzeczywiście miałam chłopaka. Prosiłam, żeby poleciał ze mną do Stanów, ale nie chciał.

- Domyślam się, że ciężko to przeżyłaś. Isabelle wzruszyła ramionami.

- W gruncie rzeczy nie miałam wyboru. W Portoryko bardzo trudno o pracę. W ogóle trudno się wybić. Do tego trzeba tu przyjechać. A mój chłopak nie chciał się rozstać ze swoimi przyjaciółmi. - Posmutniała. - Co miałam robić?

- Kiedy zdecydowałaś się na wyjazd? Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Czemu pytasz?

- Z ciekawości - odparł, biorąc kęs swojej porcji z talerza. Bardzo się starał, żeby jego pytania brzmiały całkiem niewinnie.

- Jakiś miesiąc temu. Pokłóciliśmy się i podczas rozmowy telefonicznej wyzaliłam się Selmie.

- I to ona cię zaprosiła, żebyś przyjechała i zamieszkała u nich?

Dziewczyna przytaknęła energicznie.

- Tak. Powiedziała, żebym nie zawracała sobie głowy chłopakiem, bo tu na pewno poznam kogoś równie sympatycznego... - Przez chwilę spoglądała mu w oczy, lecz zaraz odwróciła głowę.

Gillette przyglądał się z zaciekawieniem, jak najpierw zerknęła w bok, a potem spuściła wzrok na swoje kolana. Miał ochotę wyciągnąć rękę, żeby znów poczuć pod palcami miękkiego dotyku skóry i głęboko wciągnąć w nozdrza jej piękny zapach.

- Isabelle, ja...

Podniosła szybko głowę i uśmiechnęła się szeroko. Jakby zrobił coś zabawnego.

- O co chodzi? - zapytał.

Pochyliła się w jego kierunku i palcem ostrożnie zdjęła mu coś z kącika ust, po czym podetknęła mu ten palec pod nos i wyjaśniła:

- Tłuczone ziemniaki. U. Uśmiechnął się skąpo.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że cierpię na pewną przypadłość.

- Poważnie?

- Nie zawsze udaje mi się wszystko donieść do ust.

Zaśmiała się i wytarła palec w serwetkę.

- Dlaczego nie wypijesz ze mną lampki wina? - zaciekawiała się. - Ze względu na to, że musisz jutro pracować? A może w ogóle nie pijesz?

- Nie piję - odparł, nakazując sobie w myślach, żeby zapomnieć o pokusach. Musiał jakoś przełknąć to rozczarowanie, które mogło mu wyjść tylko na dobre. - Znam wiele osób, które lubią zaglądać do kieliszka. Nie mam nic przeciwko temu. Ale dla mnie to nie tylko...

Urwał nagle, zauważywszy znajomą postać przeciskającą się między stolikami. Przez kilka chwil przyglądał się kobiecie ponad ramieniem Isabelle, a kiedy zbliżyła się do nich, wstał i rzucił serwetkę na stół.

Zanim zdążył uskoczyć w bok, Stiles wyrósł przed nim jak spod ziemi i zagroził tamtej drodze. Równocześnie przechodzący obok kelner szybko odstawił tacę i zajął pozycję tuż za jej plecami.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał cicho Stiles, krzyżując ręce na piersi i ustawiając się dokładnie na linii między kobietą a Gillette'em.

- Wie pan, kim jestem? - warknęła groźnie.

Stiles obrzucił ją uważnym spojrzeniem, a jego mina świadczyła wyraźnie, że to dla niego nie tajemnica.; - Oczywiście. Faith Cassidy.

- Zgadza się. Więc proszę mnie przepuścić, żeby mogła porozmawiać z Christianem.

Pokręcił głową.

- To niemożliwe.

- Znamy się dobrze z Christianem. Proszę mnie przepuścić - powtórzyła z naciskiem.

- Przykro mi. Gillette poklepał go po ramieniu.

- Wszystko w porządku, Quentin. Możesz ją przepuścić.

- Nie mogę, dopóki jej nie sprawdzimy i nie zyskamy pewności, że nie ma przy sobie niczego podejrzanego - odparł kategorycznie ochroniarz. Skinął głową kelnerowi stojącemu tuż za piosenkarką, który widocznie był człowiekiem z jego agencji.

- Jest czysta - rzekł tamten, obszukawszy ją pospiesznie. Zrobił to tak szybko, że Faith zdążyła ledwie unieść wzrok do nieba, oburzona tą rewizją w miejscu publicznym.

- Co się dzieje, Christianie? - zapytała ostro.

Stiles odsunął się na krok, by Gillette mógł do niej podejść.

- Zaszło kilka poważnych wypadków - odparł. - Musieliśmy zacieśnić ochronę.

- Przykro mi to słyszeć, ale mógłbyś zapewnić swoich ludzi, że nie stanowią dla ciebie zagrożenia.

- Powinienem był to zrobić - przyznał ze skruchą.

- Więc?

- To on tu dowodzi. Nawet ja muszę się stosować do jego poleceń.

- Boże... - jęknęła, spoglądając z zaciekawieniem na Isabelle, której widok lekko ją rozbawił. - Nieźle sobie poczynasz.

- To moja przyjaciółka - rzekł, oglądając się przez ramię.

- Już to widzę - syknęła ironicznie. - Jeśli dobrze pamiętam, mieliśmy razem zjeść kolację po moim powrocie z Los Angeles. Czyżbyś tak szybko zapomniał? Sądziłam, że choć trochę ci na mnie zależy. W każdym razie mnie zależało.

- Jeśli dobrze pamiętam, miałaś zadzwonić - odparł sarkastycznie, unikając odpowiedzi na jej pytanie.

Faith się zawahała.

- No tak... prawda...

Gillette zwrócił uwagę, że ludzie przy sąsiednich stolikach gapią się na nich, wytykają ich palcami i przekazują szeptem jakieś uwagi. Ktoś tak znany jak Faith nigdzie nie mógł liczyć choćby na odrobinę prywatności. if - Jak się dowiedziałaś, gdzie mnie szukać? rr - Nie rozumiem.

- Nie wierzę, że wylądowałaś na LaGuardia, wyskoczyłaś z samolotu i od razu zdecydowałaś, że zajrzysz do sali restauracyjnej hotelu Waldorf. Dlatego pytam, skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać - powtórzył ostrzej.

- Dzwoniłam do biura i dowiedziałam się od twojej sekretarki - wymamrotała Faith.

- Moja sekretarka poszła do domu jeszcze zanim wyszedłem z biura. A do tego czasu na pewno nie dzwoniłaś. Poza tym, nikomu nie mówiłem, że będę tu na kolacji.

- W porządku - warknęła gardłowo. - Nie wiem, kim ona jest. Nie pamiętam, jak się nazywa.

- Może Marcie Reed?

- Gdzie się podziewałeś dziś wieczorem, Troy? - spytała rozzłoszczona Melissa, opierając dłonie na biodrach. - Jest już jedenasta.

Mason zamknął drzwi mieszkania, zdjął płaszcz i rzucił go na oparcie krzesła. Chciał zyskać na czasie i coś wymyślić. Kilka ostatnich godzin spędził z Vicky w hotelu Sheraton przy Seventh Avenue i był po prostu wykończony. Powinien był wykorzystać do tego celu przejazd taksówką i przygotować sobie jakieś alibi, lecz zasnął, jak tylko rozsiadł się wygodnie na tylnym siedzeniu. Kierowca musiał dość silnie potrząsnąć jego ramieniem, kiedy zatrzymał się przy krawężniku przed domem.

- Odpowiadaj, Troy!

Skrzywił się.

- Ciszej, bo obudzisz dziecko, skarbie - syknął, ruszając w kierunku żony.

- Trzy razy dzwoniłam do Apeksu - rzuciła groźnie Melissa, ignorując jego uwagę. - Każdy, z kim rozmawiałam, powtarzał, że już dawno wyszedłeś do domu.

Chciał ją objąć w pasie, ale cofnęła się o krok i odwróciła do niego tyłem. Stała z nosem niemal przyklejonym do szklanych drzwi rozległego balkonu na czterdziestym drugim piętrze, z którego roztaczała się piękna panorama Manhattanu.

- Jadłem służbowy obiad w interesach.

- Na pewno. Z kim?

Pokręcił głową i westchnął, głośno i przeciągle. Co go tak ciągnęło, żeby uprawiać seks z innymi kobietami? Przecież Melissa była piękna. Ujmujące, łagodne rysy i mimo trzydziestu siedmiu lat wprost niewiarygodna sylwetka. Do tego nie miała żadnych zahamowań. Zawsze spragniona seksu, chętnie dawała mu wszystko, czego zapragnął. Czego więc szukał u innych? Nigdy nie umiał sobie na to odpowiedzieć. Od lat zadawał sobie ciągle to samo pytanie, lecz wyjaśnienie zdawało się nieosiągalne tak samo dziś, jak i wtedy, kiedy zaczął go szukać po raz pierwszy.

Objął ją w pół. Tym razem się nie odsunęła. Odchyliła nawet głowę do tyłu i oparła ją o jego ramię.

- Dlaczego ci nie wystarczam? - zapytała szeptem.

- Wystarczasz, skarbie. Już ci to mówiłem. Naprawdę jadłem służbowy obiad.
- Nie kłam, Troy - poprosiła błagalnym tonem, odwracając się do niego.
- Byłem w restauracji Carmine'a z wiceprezesem tej firmy, której kupno przygotowuję.

- Więc powinnam zobaczyć odpowiednią pozycję w zestawieniu operacji płatniczych twojej karty Visa.

- Uregulowałem rachunek służbową kartą Apeksu, którą dziś dostałem.

Melissa pokręciła głową.

- Wczoraj rano tłumaczyłeś, że tym razem nie masz co liczyć na firmową kartę kredytową. Pamiętasz? Byłeś nawet zły z tego powodu, tłumacząc, że teraz będziesz musiał wypełniać dziesiątki papierków, żeby dostać refundację służbowych wydatków.

- Powiedziałem Strazziemmu, że nie będę miał czasu na zbędną papierkową robotę, więc w końcu dał mi kartę.

Melissa uniosła oczy do nieba.

- Już to widzę.

- Posłuchaj, skarbie... Przerwał mu dzwonek do drzwi.

To dziwne, pomyślał Mason. Portier powinien ich zawiadomić przez domofon, że ktoś jedzie na górę.

- Kto tam? - zawołał.

- Dostawa pizzy. Spojrzał na żonę.

- Zamawiałaś pizzę?

- Nie.

- Z jakiej pizzerii?

- Słucham? - rozległo się stłumione pytanie.

- Z jakiej pizzerii? - powtórzył głośniejszym głosem Mason.

- Nie słyszę.

Zaklął pod nosem, podszedł do drzwi i wściekły otworzył je gwałtownie.

- Pytałem, z jakiej cholernej... - Zamilkł nagle i ugryzł się w język, na widok wymierzonego w siebie rewolweru i dwóch Latynosów stojących w korytarzu.

- Do środka - syknął groźnie ten, który ścisnął w rękę broń.

Mason cofnął się pospiesznie i z własnej inicjatywy szybko uniosł ręce nad głowę.

- Troy, co się... - Melissa na widok obcych mężczyzn wrzasnęła histerycznie, zawróciła na pięcie i rzuciła się do dziecięcego pokoju.

Drugi z napastników przecisnął się obok Masona i złapał ją za rękę, nim zdążyła zniknąć w bocznym korytarzu. Powalił ją twarzą na podłogę, z kieszeni marynarki błyskawicznie wyciągnął sznur i z wprawą związał jej ręce w nadgarstkach.

Mason instynktownie ruszył w ich kierunku.

- Jeszcze jeden krok, a cię zabiję, kutasie - warknął napastnik z rewolwerem, szybko zamykając za sobą drzwi mieszkania. - A potem ją. I będę to robił powoli, bez pośpiechu. Żebyście więcej cierpieli.

Mason znieruchomiał. Serce waliło mu jak młotem. Nic nie mógł zrobić w tej sytuacji.

Facet klęczący nad Melissą wetknął jej szmaciany knebel do ust, po czym szarpnięciem dźwignął na nogi, popchnął na kanapę i znów powalił twarzą w dół. Skrępował jej nogi w kostkach, a następnie trzecim kawałkiem sznura ściągnął razem więzy na rękach i nogach.

- Teraz już będzie spokojna - oznajmił pewnym głosem.

- Jego kolej - mruknął ten z rewolwerem.

Tamten wrócił do Masona i ciasno związał mu ręce za plecami.

- Czego chcecie? - zapytał Mason, spoglądając na wybałuszone z przerażenia oczy Melissy i wielki knebel tkwiący w jej ustach. - Pieniądzy? Bizuterii?

- Zamknij się. Siadaj tutaj - rozkazał uzbrojony Latynos, wskazując krzesło przy kanapie.

Mason usiadł.

- Powiedzcie, czego od nas chcecie - zaczął jeszcze raz błagalnym tonem.

- Informacji.

Miał wrażenie, że przeżywa déjà vu.

- Czego?

- Informacji na temat firm podległych spółce Everest Capital.

Lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach. -. - Jakich firm?

Pierwszy z napastników przytknął mu lufę rewolweru do policzka.

- Sam powinieneś wiedzieć.

- Nie mam pojęcia, o co wam chodzi.

- Sił Na pewno o niczym nie wiesz?

- Nie. a. - W porządku. Jak sobie chcesz.

Latynos przesunął się bliżej skrępowanej Melissy, nie spuszczać z niego wzroku. Uśmiechnął się, wymierzając broń w tył jej głowy.

- A ona? Myślisz, że coś wie o tych firmach?

- Ona o niczym nie wie! - krzyknął gospodarz, podrywając się z krzesła.

Drugi z napastników przyskoczył do niego błyskawicznie i wymierzył mu silny cios w brzuch. Mason osunął się na kolana i szarpiąc na boki rękoma, jakby chciał się uwolnić z więzów, zaczął spazmatycznie otwierać usta, próbując złapać oddech.

Jose pochylił się nad Melissą, wyciągnął jej knebel i zapytał szeptem na ucho:

- Gdzie on trzyma papiery?

- Nie wiem - pisnęła. - Przysięgam, że nie wiem.

- Dlaczego wysłałaś mi tego maila z Los Angeles? - zapytał Gillette.

Faith obrzuciła go zdumionym spojrzeniem i przycisnęła dłoń do piersi.

- Jakiego maila? O czym ty mówisz?

Stali na środku pokoju hotelowego, który naprędce wynajął im Stiles.

- Wysłałaś do mnie maila z kafejki internetowej. Co miałas na myśli, zalecając mi, żebym był ostrożny? I kim są ci „oni”?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

- Wiem, że to ty go wysłałaś, Faith. Mamy nagranie na kasecie wideo.

- Nie możesz mieć niczego na kasecie wideo, bo...

Urwała nagle.

- Bo co? - zapytał szybko Gillette.

Nie odpowiedziała.

- Faith, musisz mi wszystko powiedzieć...

- Dlaczego mnie okłamałaś? - rzuciła ostro.

- Okłamałem?

- W sprawie śmierci twojej matki. Teraz jemu odebrało mowę.

- Myślałaś, że nie dojdę prawdy?

- Wręcz przeciwnie. Byłem pewien, że wcześniej czy później dojdiesz - przyznał szczerze. - Zapewne nie było to wcale trudne.

- Dlaczego mi powiedziałaś, że ona wtedy zmarła?

- Bo dla mnie zmarła. Może nie fizycznie, ale tylko w przenośni. W każdym razie miałem dość.

- Wyciągnąłeś ją wtedy z basenu, prawda? Odnalazłeś ją w basenie i uratowałeś jej życie.

Gillette wpatrywał się w nią z uwagą.

- Tak.

- Nie powiedziałaś mi też, że masz brata i siostrę. Dlaczego twierdziłaś, że jesteś jedynakiem?

- Jakim cudem...

- Znalazłam o nich wzmiankę w artykule prasowym opisującym śmierć twojego ojca w katastrofie samolotowej. Było tam również o twojej matce.

Faith przez kilka sekund przesywała go spojrzeniem, ale zaraz się rozpozodziła, a w końcu nawet uśmiechnęła smutno i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dzięki, że mi pomogłeś - powiedziała cicho, tuląc się do niego. - Dziś rano zadzwonili z firmy fonograficznej i przekazali wiadomość, że podwajają nakłady na promocję mojej nowej płyty.

Gillette poprzedniego dnia zadzwonił do wiceprezesa wytwórni płytowej i nakazał zwiększenie funduszu.

- Przecież mówiłem, że to zrobię.

- Mnóstwo ludzi obiecuje mi różnoraką pomoc, a potem nic nie robi. - Podniosła wzrok na niego. - Pamiętasz, co mi powiedziałaś wtedy, przy obiedzie? Na temat zaufania?

Przytaknął ruchem głowy.

- Tobie ufam - wyznała szeptem, po czym przyciągnęła jego głowę do pocałunku.

Wahał się przez chwilę, lecz zaraz namiętnie przywarł ustami do jej warg, spragniony tego.

Jimmy Holt szedł chwiejnym krokiem przez parking do swego samochodu, zdrowo wstawiony. Pił specjalnie, żeby w ten sposób powstrzymać się przed ujawnieniem kolegom informacji o wielkim nowym złożu ropy i gazu w Kanadzie. Stał wśród nich przy barze, słuchając, jak rozmawiają o rozgrywkach futbolowych oraz kobietach, i pił, żeby nie zdradzić, o czym świadczą dane zarejestrowane na kasetach. Ale z każdym piwem przychodziło mu to z coraz większym trudem.

Dlatego w końcu wyszedł. Bał się, że po siedmiu piwach zacznie gadać. Mimo ostrzeżeń szefa.

Sięgnął do kieszeni po kluczyki, próbując opanować zawroty głowy. Namacał je wreszcie, wyciągnął i wcisnął guzik pilota, wymierzywszy go w stronę drzwi. Ledwie zauważył, że zamigotały kierunkowskazy auta i stuknęły otwierane zamki. Dobrze wiedział, że nie powinien w takim stanie siadać za kierownicą, ale nie chciał zostawiać wozu na parkingu, bo musiałby z samego rana po niego przyjechać.

Nagle coś go pchnęło do przodu. Zaczął przebierać nogami, żeby nie runąć twarzą na asfalt - najpierw truchtem, potem coraz szybciej. Był tak pijany, iż nawet nie spostrzegł, że to

nie alkohol przygina go coraz mocniej ku ziemi. Nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go popycha.

W końcu stracił równowagę, poleciał do przodu i huknął czołem w krawężnik, którego cementowy kant głęboko rozciął mu skórę nad lewym okiem. Kiedy krew zaczęła kapać na asfalt, w ogóle nie poczuł już lufy pistoletu przystawionej do swojej skroni. Coś błysnęło i świat przed jego oczami nagle utonął w mroku.

Mason zacisnął mocno powieki, gdyż serce podchodziło mu do gardła. Wisiał za poręczą balkonu, trzymany tylko za nadgarstki, czterdzieści dwa piętra nad ulicą. Chciał krzyknąć o pomoc, ale wielki knebel skutecznie tłumił głos.

Poczuł nagle, że spada. Obsunął się jednak tylko ze dwa metry, co trwało jedynie ułamek sekundy, ale zaczął wrzeszczeć jak opętany i darł się tak, dopóki nie podciągnęli go z powrotem.

- Gdzie trzymasz dokumenty? - zapytał szeptem tuż przy jego uchu pierwszy Latynos, powoli wyciągając knebel z jego ust. - Jak zaraz nie powiesz, wyrzucimy za balkon najpierw twoją żonę.

- W ściennym sejfie w sypialni - powiedział jednym tchem. - Zaprowadźcie mnie, to wam otworzę.

Kathy Hays siedziała na ganku swojej chatki, zasłuchana w odgłosy nocy. Była owinięta szczelnie grubym swetrem, lecz mimo to wstrząsały nią dreszcze. W Missisipi wcale nie było zimno, trzęsa się ze strachu. Wytrzeszczała oczy, próbując przebić wzrokiem ciemność, pewna, że widziała jakiś cień poruszający się wśród długich pędów zwisających z gałęzi drzew. Wstrzymywała oddech i przyglądała się uważnie. Ale niczego tam nie było. Tylko małe drzewka kołysały się na lekkim wietrze.

Zaczerpnęła wreszcie powietrza. Czas upływał jej koszmarnie wolno.

- Przykro mi z powodu dzisiejszych wydarzeń - odezwał się cicho Gillette, biorąc Isabelle pod rękę.

- Nic się nie stało - szepnęła. - Aż wierzyć mi się nie chce, że wybrałaś właśnie mnie. Przecież Faith Cassidy to prawdziwa gwiazda.

- No cóż...

Rozległ się sygnał telefonu komórkowego. Wyciągnął go pospiesznie z kieszeni marynarki i rozłożył.

- Słucham - rzekł do mikrofonu, odwracając się tyłem do dziewczyny i przyciskając mocniej aparat do ucha, żeby nie mogła niczego słyszeć.

- Christian? Tu Jose.

- Tak?

- Miałeś rację. Trzymał dokumenty na temat firm należących do Everestu. Zabraliśmy je. Wygarnęliśmy wszystkie papiery z sejfów w jego mieszkaniu.

- Doskonale. Zobaczymy się jutro.

Zamknął telefon i spojrzał na Isabelle. Szaleństwem było sądzić, że ta dziewczyna mogła z kimś współpracować i chciała go zabić. Tylko czy na pewno?

Stiles uśmiechnął się, robiąc zdjęcia senatora Stockmana wychodzącego o świcie z budynku mieszkalnego z Ritą Jones pod rękę. Wiedział, iż Gillette będzie z nich bardzo zadowolony. Więc on także się cieszył. Zdążył polubić swego zleceniodawcę. Początkowo myślał, że to w ogóle niemożliwe, lecz Gillette dowiódł, że jest człowiekiem odważnym i pełnym empatii. Chociażby za to należał mu się szacunek.

Chwilę później ochroniarz aż zachichotał, kiedy udało mu się uchwycić, jak Stockman i Rita Jones całują się namiętnie przed skrzyżowaniem. Pomyślał, że ludzie w pewnych sytuacjach postępują głupio. Niewiarygodnie głupio.

19

Wyjście. Czasami nie ma dobrego. Czasami - głównie za sprawą naszych własnych poczynań - doprowadzamy do sytuacji, w której każde jest złe. Wszystko sprowadza się wówczas do wyboru tego, co wydaje nam się najmniejszym złem.

Mason siedział w swoim przestronnym gabinecie w siedzibie Apeksu i czekał na telefon od Vicky, która miała go zawiadomić, że Strazzi chce z nim rozmawiać. Nerwowo spoglądał przy tym na zegarek. Była za dwie minuty siódma. Mieli się spotkać o siódmej, ale przecież prezes zazwyczaj przychodził pięć czy dziesięć minut przed czasem. Może jakimś niewiarygodnym zrzędzeniem losu coś go zatrzymało, może miał się wcale dzisiaj nie pokazać. Jeśli, na przykład...

Zadzwoił telefon. Mason spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Vicky. Powoli sięgnął po słuchawkę.

- Tak?

- Paul jest gotów na spotkanie. Chce cię zaraz widzieć w swoim gabinecie.

Mason z trudem przełknął ślinę. To nie był jego dobry dzień.

Trzy minuty później wszedł do gabinetu prezesa.

- Siadaj. --

- Tak jest, panie Strazzi.

- Dzisiaj możesz mi mówić Paul.

Usiadł na krześle stojącym przed biurkiem.

- W porządku... Paul.

Strazzi był definitywnie stuknięty. Może rozstanie z Apeksem wcale nie było takie złe, a nie wątpił, że to właśnie go teraz czeka. Nawet nie rozstanie, a wywalenie na zbity pysk. Może jeszcze gorzej.

- Masz to, na czym mi zależy? - zapytał Strazzi, przyglądając mu się w napięciu.

Mason znów przełknął ślinę, bo żołądek miał ściśnięty do granic wytrzymałości. Z jednej strony Strazzi, z drugiej dwóch bandziorów z wczorajszego wieczoru. W żadnej z tych sytuacji nie miał podstaw, żeby się targować.

Przeżył jednak najgorsze, co ci dwaj Latynosi mu zafundowali - wiszenie za balkonem czterdzieści dwa piętra nad ulicą. Zanim jeszcze wyszli z wszystkimi jego dokumentami, ostrzegli, że jeśli udzieli Strazziemu jakichkolwiek informacji, nawet ustnie, to go zabiją. Nie ukrywali, że znają kogoś z firmy, toteż będą wiedzieli o jego poczynaniach. Nie miał podstaw, by im nie wierzyć. Dość długo spoglądał w oczy tego z rewolwerem - pozbawione wyrazu, czarne rekinie ślepia - i wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem, który nie zawaha się pociągnąć za spust.

Z drugiej strony, Strazzi był nieprzewidywalny. Istniała poważna szansa, że jego groźby nie miały żadnego pokrycia. A ludzie prezesa nie byli ani trochę groźniejsi od tych dwóch, którzy napadli jego i Melissę poprzedniego wieczoru.

- Troy!

- Nie mam tych materiałów - mruknął Mason ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Strazzi huknął pięścią w biurko.

- Co takiego?!

- Nie mam tych dokumentów - powtórzył. Wiedział, że zgodnie z obietnicą prezesa jego konto bankowe wzbogaciło się późnym popołudniem o pół miliona dolarów. - Natychmiast zwrócę pieniądze...

- Gówno mnie obchodzi pieniądze - warknął rozwścieczony Strazzi. - Gdzie są papiery?

- Już ich nie mam.

Na skroni prezesa zaczęła pulsować nabrzmiąta żyłka.

- Gillette dobrał się do ciebie?

Kiedy poprzedniego wieczoru Mason wyciągał papiery ze ściennego sejfu, nasłuchując stłumionych szlochów żony, która leżała związana i zakneblowana na kanapie w salonie, uświadomił sobie, że tylko jeden człowiek na świecie może być odpowiedzialny za

ten napad, tylko jeden ma zarazem motyw, wiedzę i odwagę do zorganizowania czegoś takiego. Właśnie Christian Gillette.

Tyle że nie sposób było mu cokolwiek udowodnić. Najpierw trzeba by zidentyfikować co najmniej jednego Latynosa i zmusić go do mówienia, co było bardzo mało prawdopodobne. W nowojorskiej aglomeracji mieszkało piętnaście milionów ludzi. Każda próba odszukania napastników byłaby zwykłą stratą czasu. Poza tym, gdyby nawet udało się ich zlokalizować, zapewne wyparliby się wszelkich powiązań z Gillette'em.

- Nie - odparł, rozglądając się po gabinecie, gdyż naszły go obawy, iż Gillette jakimś cudem mógł założyć tutaj podsłuch. - Nikt się do mnie nie dobrał. - Chyba właśnie tę sytuację mieli napastnicy na myśli, kiedy przed wyjściem ostrzegli go, by nie odważył się o całym zajściu pisać Strażniemu choćby jednego słowa. Toteż wcale by się nie zdziwił, gdyby rzeczywiście był tu podsłuch. Gillette był gotów na wszystko, nic nie mogło go powstrzymać. - To nie ma nic wspólnego z Gillette'em.

- Więc co się stało?! - ryknął Strazzi.

- Zniszczyłem te dokumenty.

- Co takiego?!

- Wczoraj wieczorem przeczytałem jeszcze raz klauzulę poufności w dwustronnym porozumieniu, które musiałem podpisać, odchodząc z Everestu. To jak stryczek, Paul. Do tego ciasny. Tyle że czułem się przyparty do muru.

Cholernie potrzebowałem tego miliona. - Podniósł wzrok na prezesa. - Rozmawiałem ze swoim adwokatem i ostrzegł mnie, że mogę wylądować za kratkami, jeśli ci przekazę te dokumenty.

- Przecież to śmieszne. Ktoś musiałby cię oskarżyć z powodztwa cywilnego, a ty... - Strazzi urwał, podniósł się zza biurka i spoglądając na niego z góry, huknął groźnie: - Gdzie są te papiery, Troy?!

- Już mówiłem. Nie mam ich. Zniszczyłem.

Gillette powitał trzech przedstawicieli Coyote Oil, wziął od nich wizytówki, lecz nawet nie spojrzał na nie ani nie wyjął swojej. Cohen i Kyle Lefors rozmawiali już z nimi od piętnastu minut.

- To Don Hansen - odezwał się Cohen, gdy ścisnął dłoń ostatniego z gości. - Wiceprezes spółki Coyote.

- Cześć. - Gillette pospiesznie skinął Hansenowi głową, po czym usiadł u szczytu stołu. Ruchem ręki dał znak pozostałym, żeby też zajęli miejsca, i spojrzał najpierw na Cohena, potem na Leforsa, który coś z zapalem notował, a pokryte jego zapiskami luźne

kartki walały się przed nim na stole. - Więc jesteście zainteresowani kupnem Laurel Energy? - zapytał, nim Hansen zdążył usiąść.

Tamten przysunął się z krzesłem do stołu, splótł palce na jego brzegu i odpowiedział z silnym teksaskim akcentem:

- Słyszałem, że niezły z ciebie skurczybyk. Spoglądał przy tym na Gillette'a z dziwnie cierpiętniczą miną, jakby uwierał go za ciasny garnitur i nie mógł się doczekać powrotu do siedziby firmy w Wyoming, żeby znowu włożyć flanelową koszulę, wysokie buty z cholewkami, dzinsy z paskiem o wielkiej srebrzystej sprzączce i stetsona.

- Od kogo to słyszałeś, Don?

- Od twoich przeklętych wspólników - odparł Hansen, z ironicznym uśmiechem wskazując palcem Cohena i Leforsa. - Od samego początku tylko cię wychwalają. Twierdzą, że powinienem lepiej uważać na swój portfel, póki tu jesteśmy. Można by pomyśleć, że jeśli nie będę uważać, to mi go zwiniesz, a ja nawet tego nie zauważę. Mówią, że jesteś jednym z najlepszych negocjatorów w swojej branży. Gillette zwrócił uwagę, że jak na finansistę Hansen wyraża się zdecydowanie zbyt kolokwialnie. Każdy jednak miał swoje słabości.

- Naprawdę tak mówili?

- Jasne.

- No cóż, Don, czas to pieniądz. Jako prezes firmy powinienes to wiedzieć najlepiej.

- Ma się rozumieć.

- Więc co was interesuje? - wrócił do pierwotnego pytania.

Hansen wyprostował się na krześle i przybrał poważny wyraz twarzy.

- Jesteśmy gotowi zaoferować taką samą cenę, jak U.S. Petroleum. Miliard w gotówce za wasz pakiet udziałów i wszystkie należności wobec Citibanku.

- Skąd wiecie, że właśnie tak wyglądała oferta U.S. Petroleum? - zaciekawił się Gillette, spojrzawszy przelotnie na Cohena, który z miną pełną skruchy szybko odwrócił wzrok.

Hansen milczał przez chwilę.

- No cóż, ja... - zaczął niepewnie.

- Ja im to zdradziłem, Christianie - wyjaśnił szybko Cohen. - Sądziłem, że w ten sposób będzie nam łatwiej. Obie strony mają karty wyłożone na stole i nikt nie musi się niczego domyślać.

Gillette zazgrzytał zębami. Do podstawowych zasad negocjacji należało zachowanie innych ofert w tajemnicy przed chętnym do kupna. Cohen najwyraźniej nie miał o tym pojęcia.

- Dlaczego chcecie nam zapłacić tyle samo, co zaoferowało U.S. Petroleum? Ze względu na specyficzne opcje transakcji?

Hansen pokręcił głową.

- Nie. Pan Cohen powiedział wprost, że przeprowadzone przez was próby sejsmiczne wykazały, że na tym terenie ilości gazu i ropy są raczej niewielkie. To raczej złoża rezerwowe niż podstawowe zasoby.

- Więc czemu chcecie za nie zapłacić aż miliard dolarów? - Nie było sensu robić żadnych podchodów, skoro atuty już leżały na stole. Dzięki Cohenowi, który zachował się jak papuga, wszystko było wiadome. - Wielkość złóż należących do Laurel Energy może nawet nie pokryć tej ceny.

Hansen uśmiechnął się szeroko do Cohena i Leforsa.

- Do diabła. Jak na przebiegłego negocjatora wasz wspólnik przyjął zdumiewającą strategię. Zdaje się, że negocjuje wbrew własnym interesom...

- To niczego nie zmienia - uciął ostro Gillette. - Dlaczego chcecie tyle zapłacić?

- W porządku, w porządku - mruknął Hansen, przekrzywiając głowę na ramię. - Pozwolę sobie najpierw coś wyjaśnić. Otóż występujemy w imieniu grupy kapitałowej, która chce jak najszybciej zgromadzić w swoich rękach rezerwy naftowe, zwłaszcza znajdujące się na terenie Kanady.

- Wiem, że będę się powtarzał, Don, ale dlaczego chcecie zapłacić aż tyle?

Hansen bezradnie rozejrzał się po sali, po czym wcisnął głowę w ramiona, jakby nie był pewien, czy ma ochotę kontynuować tę rozmowę.

- Umowa o zachowaniu pełnej poufności obowiązuje obie strony tych negocjacji, prawda?

Zanim Lefors ustalił termin spotkania, Gillette polecił mu przygotować wstępną umowę o pełnej poufności rozmów, zgodnie z którą przedstawiciele Coyote Oil byli zagrożeni bardzo wysokimi grzywnami, gdyby jakiegokolwiek informacje na temat Laurel Energy przedostały się do opinii publicznej.

- Oczywiście - odparł. - Zgodnie z zapisami umowy, którą podpisaliście z Kyle'em, mamy zachować w ścisłej tajemnicy wszystko, czego dowiemy się od was o Coyote Oil.

- Dobra - mruknął Hansen półgłosem. - Na podstawie informacji z dobrze poinformowanych źródeł podejrzewamy, że na terenie Kanady są jeszcze wielkie nieodkryte złoża. Dlatego chcemy mieć na północy swoją bazę operacyjną. Potrzebne nam materiały do uzyskania masy krytycznej.

Ale Gillette'a to nie przekonało.

- Według naszych informacji złoża kanadyjskie są wyeksploatowane.

Hansen zaczął się rytmicznie kołysać na krześle w przód i w tył.

- Panie Gillette, siedzę w tej branży czterdzieści lat. Zaczynałem w wieku siedemnastu lat jako popychadło ze smarownicą na platformie wiertniczej w Zatoce Meksykańskiej. Teraz jestem wiceprezesem spółki. Przeszedłem chyba wszystkie szczeble kariery w tej dziedzinie i byłem chyba w każdym miejscu na świecie, gdzie są jeszcze jakieś złoża. Wiesz, czego się przez te lata nauczyłem?

Gillette domyślał się już dalszego ciągu. Ludzie pokroju Hansena, niezależnie od swojej branży, powtarzali, że gdy wszyscy się wycofują, należy wejść w wątpliwy interes, na zasadzie przekory. Gillette też mógłby wiele powiedzieć na ten temat, bo nasłuchiwał się już różnych rzeczy. Ale tym razem sytuacja była wyjątkowa, gdyż Hansen traktował sprawę całkiem poważnie, nie bał się, że zostanie wyśmiany w obecności dwóch swoich podwładnych.

- Czego, Don?

- Że gdy wszyscy skręcają w lewo, powinno się iść w prawo, a gdy wszyscy idą w prawo, trzeba skręcać w lewo. Jeśli działa się wbrew ogółowi i ma się przy tym wiarygodne informacje oraz wiarę w siebie, dojdzie się do dużych pieniędzy. - Przestał się kiwać. - Niestety, tereny objęte opcją waszego przedsiębiorstwa są raczej suche. Lecz, jak już powiedziałem, moim zdaniem wciąż istnieją wielkie nieodkryte złoża na terenie Kanady. Nawet mniej więcej w tym samym rejonie, gdzie znajdują się wasze pola. Z doświadczenia mogę powiedzieć, że nie znajdziecie tam żadnych skarbów, dopóki nie postawicie nogi na tej ziemi i nie wsłuchacie się w rytm natury, którego nie słyhać z odległości tysięcy kilometrów. Laurel Energy to doskonała firma. Bardzo wysoko cenimy jej zarząd, który moim zdaniem bardzo nam pomoże w uzyskaniu szybkich postępów. A że kilkoro naszych pracowników zna paru waszych ludzi jeszcze z dawnych lat, jesteśmy gotowi zapłacić równą sumę, żeby skorzystać z ich doświadczenia. Całkiem niezła mowa, pomyślał Gillette. Pewnie ćwiczona dziesiątki razy w czasie lotu z Casper do Nowego Jorku, żeby brzmiała naturalnie. On jednak wyczuwał w niej sztuczne elementy.

- Co to za grupa, która was wspiera, Don?

- Europejska.

- Poproszę cię o więcej konkretów. Jeśli mamy na serio przystąpić do negocjacji, musimy mieć pewność, że dysponujecie odpowiednimi pieniędzmi i nie tylko jesteście w stanie wyłożyć od ręki miliard dolarów, ale także przekonać zarząd Citibanku, żeby zawiesił

płatności kredytowe do czasu, aż przejmiecie nad wszystkim kontrolę. Mam nadzieję, że rozumiesz moje stanowisko.

- Oczywiście - odparł szybko Hansen. - Wolałbym jednak zdradzić nazwę tej grupy w zaufaniu tylko panu Cohenowi, żebyście mogli się z nią skontaktować, ewentualnie spotkać z jej przedstawicielami, jeśli będziecie mieć na to ochotę. To szwajcarska spółka.

Odpowiedzialność prawna? Mason doskonale zdawał sobie sprawę, że to zwykłe mydlenie oczu.

- Do jasnej cholery! - wrzasnął na całe gardło Strazzi.

Stockman miał rację. Bez dokumentów wykradzonych przez Masona mogło być bardzo trudno nakłonić wdowę po Donovane do sprzedaży jej udziałów w Everescie. Już jej zapowiedział, że dysponuje dowodami. Nadal nie miał ani jednego papierka, nie miał więc co liczyć, że dobije z nią targu.

Ze złością sięgnął po pilota i włączył telewizor. Był z nią umówiony na popołudnie, po transmisji publicznego oświadczenia. Spojrzał na zegarek, była za pięć pierwsza. Zatem do wystąpienia przed kamerami zostało tylko pięć minut.

20

Atak. Zazwyczaj nie da się dokładnie przewidzieć, gdzie i kiedy nastąpi. Można się tylko przygotować i próbować ustalić, co zrobi przeciwnik, po czym rzucić do kontrataku wszystkie siły, kiedy umilkną już działa.

- Dzięki, że zechciałeś poświęcić nam swój czas. - Hansen energicznie potrząsnął ręką Gillette'a. - Naprawdę liczę na to, że dobijemy targu. Ta transakcja byłaby korzystna dla obu stron.

Przez pozostałą część spotkania Gillette próbował wydusić z Hansena, jakie jest jego doświadczenie w branży energetycznej, żeby ustalić, z kim naprawdę ma do czynienia. Pod koniec zebrania do sali konferencyjnej wkroczył Stiles i położył przed nim na stole obszerny raport na temat Hansena. Gillette nie miał innego wyjścia, jak zagłębić się w jego lekturze przy gościach, słuchając jednym uchem przechwałek Hansena, dzięki któremu przez lata miało się jakoby wzbogacić wiele ludzi. Niby mimochodem wspomniał, że szwajcarscy wspólnicy związali się z nim na bardzo korzystnych dla niego warunkach, ale przecież w pełni na to zasługiwał.

- Wrócimy do naszej rozmowy w przyszłym tygodniu - obiecał Gillette, kiedy stanęli naprzeciwko siebie przed drzwiami lobby biura Everestu. Dwaj niżsi rangą pracownicy Coyote Oil byli już w korytarzu i zmiierzali do windy. - Jutro rano Cohen i Lefors ustalą

szczegóły z pańskimi ludźmi telefonicznie. Wątpię, żebyśmy wybrali się aż do Szwajcarii, doceniam jednak tę propozycję.

- Tak, jasne. Trzeba robić wszystko, co tylko pozwoli na szybsze załatwienie formalności. - Hansen umilkł i rozejrzał się ciekawie dookoła.

Gillette zwrócił uwagę na nieskrywaną zazdrość w jego oczach, która świadczyła wyraźnie, że biura Coyote Oil nie są aż tak luksusowo urządzone.

- Będę czekał na wiadomość od ciebie - rzekł w końcu tamten.

Kiedy Gillette zawrócił do swojego gabinetu, zauważył, że Cohen szybkim krokiem rusza w jego stronę. Był błąd jak ściana.

- Co się stało, Ben?

- Chodź ze mną - rzucił Cohen głośnym szeptem. - I to już.

Kiedy weszli do środka, Cohen pospieszenie zamknął drzwi, włączył telewizor i przestawił go na wiadomości CNN.

- Dopiero co się dowiedziałem - syknął, jakby nie mógł zaczerpnąć tchu. - Od jednego z naszych znajomych w Waszyngtonie.

- O czym?

Cohen wskazał palcem ekran. Zniknął obraz ze studia ukazujący blond komentatorkę, a jego miejsce zajął widok pustej jeszcze mównicy.

- Właśnie o tym.

Gillette jeszcze przez chwilę spoglądał na ekran telewizora i znów poczuł, jakby w mózgu zadźwięczały mu dzwonki alarmowe. Doskoczył do biurka i czekając na połączenie z serwisem Bloomberg, zaczął kręcić głową jak oszalały, przenosząc wzrok z telewizora na monitor i z powrotem. Sprawdzał cenę akcji Dominion S&L przed kilkoma godzinami, zaraz po otwarciu giełdy o wpół do dziesiątej. W pierwszych minutach notowań spadła o dalsze dwadzieścia pięć centów, ale ustabilizowała się na nowym poziomie.

Gwałtownie poruszył myszką, kliknął po raz ostatni i chwilę później na ekranie pojawiła się obecna cena. Z pierwotnego poziomu piętnastu dolarów spadła do dziesięciu za sztukę. W ciągu minionych trzech godzin akcje Dominion straciły na wartości aż jedną trzecią. Trzy miliardy dolarów należące do udziałowców rozplynęły się w powietrzu w czasie potrzebnym na rozegranie meczu futbolowego ligi zawodowej. Z tego trzysta milionów należało do Everestu. Pięćdziesiąt do wdowy po Donovanie.

Z mocno bijącym sercem popatrzył z powrotem na ekran. Flesze fotoreporterów błyskały jak oszalałe.

Kongresman Peter Allen stanął za mównicą i ruchem ręki pozdrowił zgromadzonych w sali dziennikarzy, uśmiechając się serdecznie do kamer i obiektywów. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o siwych włosach i ostrych rysach twarzy, słynącym w Waszyngtonie z ciętego języka.

Prowadzący konferencję skinął mu głową.

Allen podszedł do mikrofonów, zapinając marynarkę eleganckiego prążkowanego garnituru, i z poważną miną obrócił nieco głowę w bok dla większego efektu.

- Dziękuję państwu za przybycie - zaczął dość cicho. - Jak zapewne wiecie, nazywam się Peter Allen i jestem kongresmanem z Idaho oraz wiceprzewodniczącym Połączonej Parlamentarnej Komisji do spraw Nadużyć Instytucjonalnych. Chciałem dzisiaj przedstawić państwu kolejny przykład nienasyconej chciwości zarządów spółek rynkowych, ludzi dobrze poinformowanych i żerujących na nieświadomości drobnych prywatnych inwestorów, osobników, dla których liczy się wyłącznie własne bogactwo. Trwa niechlubna tradycja Enronu, Worldcomu czy Tyco. - Allen urwał na chwilę i zajrzał do swoich notatek. - Tym razem winna jest dobrze znana firma inwestycyjna z Nowego Jorku. - Podniósł wzrok. - Everest Capital.

Jak wytrawny aktor przez jakiś czas patrzył prosto w oczy telewidzom w całych Stanach, prezentując im śmiertelnie poważny, zatroskany wyraz twarzy.

- Wspólnicy zarządu Everest Capital wprowadzili ostatnio na rynek akcje należące do nich spółki, kasy oszczędnościowopozyczkowej o nazwie Dominion - podjął po chwili. - Tu, w Waszyngtonie, większość z nas dobrze zna tę kasę, która ma swoje oddziały w całym dystrykcie stołecznym, jak również po drugiej stronie Potomacu, w Wirginii. Z szybko rosnącym portfelem obciążeń kredytowych, Dominion stał się dla Everestu prawdziwą żyłą złota, dlatego zarząd zdecydował się przekształcić kasę w spółkę akcyjną. Postanowił sprzedać większość swoich udziałów w kasie zwykłym ludziom, takim jak wy i ja. Pozbyć się odpowiedzialności za Dominion, dopóki nic jeszcze nie wskazywało na to, że spółka ma kłopoty, i wmawiając nam wszystkim, że jej akcje na giełdzie będą jedynie przynosiły dochody. - Znów urwał na krótko. - Niestety, sytuacja Dominion wcale nie wyglądała tak dobrze, jak utrzymywali wspólnicy zarządu Everest Capital. Portfel obciążeń kredytowych, w większości złożony z kredytów budowlanych i mieszkaniowych, był w tragicznym stanie. Kierownictwo Dominion wcześniej odkupiło znaczące pakiety obciążeń hipotecznych od różnych banków i najwyraźniej postąpiło przy tym lekkomyślnie, zaniedbując obowiązki. Owe pakiety przed zakupem nie zostały bowiem dokładnie sprawdzone. - Westchnął głośno, dając wszystkim do zrozumienia, że przechodzi do kluczowych zagadnień tej konferencji

prasowej. - Posiadam informacje wskazujące na to, że miliardy dolarów utopione w tych kredytach nigdy nie zostaną odzyskane, że większość kredytobiorców całkowicie utraciła wiarygodność. Innymi słowy, ludzie, którzy pobrali te kredyty, już od dawna nie spłacają należnych miesięcznych rat. Można zatem uznać, że kierownictwo Dominion, inspektorzy kontrolujący kasę, a prawdopodobnie także wspólnicy zarządu Everestu, dopuścili się gigantycznej defraudacji. Powinni byli nas poinformować, że kredyty są niespłacane, że kredytobiorcy winni Dominion pieniądze nie wywiązują się ze swoich zobowiązań. Nie uczynili tego jednak. Wręcz przeciwnie. Przedstawili fałszywe dokumenty, według których nie było żadnych kłopotów, a wszystkie raty spłat kredytowych napływały w terminie. - Dla efektu uniósł wysoko nad głowę kartonową teczkę. - Oto jak Everest doprowadził do przekształcenia kasy w spółkę akcyjną. Metodą zadymiania w gabinecie luster. Skąd my to znamy? - rzucił retorycznie.

Po chwili ciągnął rzeczowo:

- A najbardziej gorzką dla nas pigułką do przełknięcia jest to, że Everest zarobił na tej operacji miliardy dolarów. Nadal jest w posiadaniu niewielkiego pakietu udziałów Dominion, który, jak się domyślam, poważnie straci dzisiaj na wartości wskutek mojego oświadczenia. Jednakże taka strata to tylko kropla w morzu tego, co Everest zarobił na sprzedaży akcji, a mianowicie dwóch miliardów dolarów. Więc kto najwięcej traci? - zapytał, wbijając wzrok w obiektyw najbliższej kamery telewizyjnej. - Wcale nie wspólnicy zarządu Everest Capital. Ani nie bankierzy inwestycyjni, którzy wprowadzili akcje Dominion na rynek. Nie prawnicy, których dochody z przygotowania dokumentacji sprzedaży wyniosły miliony dolarów. Ci wszyscy ludzie nie tracą ani centa. Ucierpią jedynie ci, którzy kupili akcje kasy od Everest Capital. Drobnicy ciułacze. W chwili wejścia do obrotu publicznego akcje Dominion sprzedawano po czterdzieści dolarów za sztukę, natomiast obecnie, kiedy o tym mówimy... - Allen umilkł i obejrzał się na swego doradcę stojącego poza polem widzenia kamery -...ich cena spadła do trzech dolarów. To oznacza sumarycznie prawie cztery miliardy dolarów strat dla jej udziałowców. Dziś po południu zamierzam oficjalnie powiadomić o tym Komisję Bezpieczeństwa Obrotu Papierami Wartościowymi i wymusić na niej wszczęcie oficjalnego dochodzenia w sprawie nieprawidłowości przy przekształceniu kasy Dominion Savings & Loan w spółkę akcyjną. Inspekcja finansowa wkroczy do siedziby zarządu Dominion, żeby ocenić rozmiary tejże defraudacji. W uzupełnieniu skontaktuję się z prezesem zarządu Everest Capital, niejakim Christianem Gillette'em, i zażądam, by wraz ze wspólnikami pokrył wszelkie straty, jakie przyniosła sprzedaż akcji Dominion. Będę się także domagał bardzo wysokich odszkodowań. Nie mam żadnych wątpliwości, iż ściśle kierownictwo spółki

doskonale wiedziało, jak naprawdę wygląda sytuacja w Dominion. Jeden ze współników zarządu Everestu był zarazem prezesem rady nadzorczej kasy, zanim została przekształcona w spółkę akcyjną, a do Everestu należało sto procent jej udziałów. Zatem nie dajmy się zwieść, Everest doskonale wiedział, czym to się musi skończyć. Na koniec zamierzam więc złożyć wniosek w imieniu mojej komisji parlamentarnej, by odpowiednie instytucje nadzoru wszczęły drobiazgowy śledztwo w sprawie inwestycji Everest Capital. Spółka posiada po sto procent udziałów w prawie trzydziestu różnych przedsiębiorstwach na terenie całego kraju, w tym także dużych i powszechnie znanych. Musimy się dowiedzieć, co jeszcze knuje zarząd Everestu i w przyszłości uniknąć takich sytuacji jak z kasą Dominion, by niewinni ludzie nie byli więcej oszukiwani na grube miliardy dolarów.

Allen rozejrzał się po sali i zadowolony z efektu, jaki wywołały jego słowa, zapytał:

- Czy są jakieś pytania?

Strazzi walnął ręką w biurko, złapał pilota i ściszył telewizor, gdy Peter Allen zaczął odpowiadać na pierwsze pytanie. W swoim wystąpieniu kilkakrotnie wymienił nazwę Everest Capital, wspomniał nawet z nazwiska Christiana Gillette'a. Opisał, jakie zamierza podjąć kroki w celu wszczęcia drobiazgowego dochodzenia w sprawie działań Everestu. Dokładnie tak, jak obiecał Stockman. Nie wymienił jednak żadnej innej firmy należącej do Everestu, których nazwy Strazzi przekazał w tym celu Stockmanowi. Zapewne dlatego, że nie dostał żadnych dokumentów. A wszystko przez Troya Masona, który nie dostarczył ich w porę.

- Jasna cholera!

Uzmysłowił sobie nagle, że Stockman może mieć rację. Podczas wystąpienia nie padły żadne konkretne nazwy przedsiębiorstw, a to oznaczało, że wdowa wcale nie musi być bardziej skora do sprzedaży swoich udziałów niż do tej pory. Sama afera Dominion mogła być niewystarczająca, żeby ją skłonić do odstąpienia całego pakietu za połowę jego teoretycznej wartości.

- Paul? - doleciał z interkomu głos Vicky.

- Czego?

- Senator Stockman na linii sto dwudziestej drugiej. Strazzi podniósł słuchawkę i wystukał numer linii.

- Co się stało, do cholery, George?! - warknął.

- Bez dokumentów Peter nie chciał powiedzieć nic więcej - wyjaśnił Stockman cicho, ledwie słyszalnie.

- Co się dzieje? Nie możesz mówić głośniej?

- Zaraz będzie moja kolej na oficjalne oświadczenie. Wokół mnie jest mnóstwo ludzi. Moi doradcy, dziennikarze...

- Jestem wściekły, George - syknął Strazzi. - Obiecywałeś, że ten wieśniak z Idaho zagra ostro.

- A ty obiecywałeś, że zdobędziesz dowody.

- Jeśli z tego powodu wdowa wycofa się z negocjacji, będziesz mógł się na zawsze pożegnać z jakimkolwiek wsparciem z mojej strony - ostrzegł lojalnie Strazzi.

- Co? Przecież to śmieszne. Zrobiłem wszystko, co ci obiecywałem...

- Zmusz Allena, żeby na popołudnie zwołał następną konferencję prasową. Przed wpół do piątej, bo na piątą jestem umówiony z wdową, żeby dobić targu. Każ mu ogłosić, że podczas kontrolowania Everestu skoncentruje się na tych firmach, które ci podałem. Za wszelką cenę muszą paść ich nazwy. Nie wymagam żadnych konkretów co do przyczyn, dla których należy wziąć te firmy pod lupę. Tym już ja się zajmę.

- Nie wiem, czy Allen na to pójdzie.

- Zmusz go! - ryknął Strazzi i z trzaskiem odłożył słuchawkę na widełki.

- Jezus, Maria... - szepnął Faraday, kiedy konferencja dobiegła końca. W jej trakcie dołączył do Gillette'a i Cohena w gabinecie prezesa. - Czy to możliwe, żeby oskarżenia Allena pod adresem Dominion były prawdziwe?

- Wszystko jest możliwe, Nigel - odparł lodowatym tonem Gillette.

- Naprawdę mogą nas zmusić do zwrotu wszystkich cholernych zysków? Całych dwóch miliardów?

- Ale dopiero po zakończeniu dochodzenia. A ono trochę potrwa.

- Jednak jest to możliwe?

- Pewnie. Tak samo, jak to wysokie odszkodowanie, o którym wspomniał Allen.

- I będziemy musieli także zwracać pieniądze, które zarobiliśmy? - dopytywał się coraz bardziej rozzłoszczony Faraday. - Wypłacać z kont osobistych?

- Oczywiście.

- Kurwa mać! Całe dwa miliardy?

- Owszem.

- Zapłaciliśmy od tego podatki, czysty zysk wyniósł niewiele ponad miliard.

- Komisji nie będzie to obchodziło. Zażądadają zwrotu dwóch miliardów. Powiedzą ci, żebyś się targował z urzędem skarbowym.

- Kurwa! - Faraday obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. - Więc dlaczego jesteś tak cholernie spokojny?

- Atak serca w niczym nie poprawi sytuacji - odparł Gillette, sprawdzając cenę akcji Dominion, która wynosiła teraz niewiele ponad dolara.

- Może dla ciebie parę milionów to niedużo, sporo odziedziczyłeś po rodzicach - warknął Faraday, który jak większość ludzi sądził, że olbrzymia wartość majątku Gillette[^] jest wynikiem głównie spadku po ojcu. - Ale dla Cohena i dla mnie to olbrzymi wydatek. Być może nasze udziały w Evereście są warte po sześćdziesiąt milionów, ale to nie jest przecież płynny kapitał, przede wszystkim to lokaty w akcjach naszych firm. Nie da się go wykorzystać do spłacania długów.

- Rozumiem.

- Więc co, do jasnej cholery, zamierzasz zrobić w tej sytuacji, panie prezesie?

Gillette obejrzał się na Cohena, który wystukiwał jakąś wiadomość elektroniczną na swojej „jeździe”. Wciąż był blady jak ściana.

- Ben?

- Słucham, Christianie.

- Chcę, żebyś natychmiast skontaktował się z Walterem Price'em - rzekł, mówiąc o wiceprezisie Dominion. - Powiedz mu, żeby oczekiwał mnie w swoim waszyngtońskim biurze jutro rano o dziesiątej. I żeby przygotował wyczerpujący raport.

- Jutro jest sobota.

Gillette się zawahał. Całkiem o tym zapomniał. Rzadko zwracał uwagę na to, jaki jest dzień tygodnia.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zadzwoń i powiedz, że przyjadę do niego o dziesiątej. Ma być przygotowany.

- Rozumiem.

- I przekaz Marcie Reed, żeby stawiała się w moim gabinecie punktualnie o piętnastej.

Cohen wstał i skinął głową.

- Rozpoczynasz własne dochodzenie?

- Zgadza się - odparł Gillette, czytając wiadomość, która przesuwała się w pasku u dołu ekranu telewizora. Po chwili, mimo tego, co się niedawno wydarzyło, uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie do własnych myśli.

Stockman wszedł na mównicę. Konferencja została zorganizowana w dużej sali po senackiej stronie Kapitolu, w obu jej rogach tkwiły w stojakach wielkie amerykańskie sztandary. Nieco bliżej, za jego plecami, stanęli rzędem pracownicy jego biura.

- Dziękuję, że zechcieli państwo przyjść na moją konferencję - zaczął, nadzwyczaj zadowolony z obrotu spraw. Miał bowiem przed sobą przedstawicieli najważniejszych gazet i

sieci telewizyjnych. Z samego rana powiadomiono wszystkich o tej konferencji, odczuwał więc dumę, że tak wielu dziennikarzy uznało jego wystąpienie za doniosłe. Najwyraźniej był uważany za jednego z ważniejszych graczy sceny politycznej. Odchrząknął i mówił dalej: - Nie będę się rozwodził. Postanowiłem dzisiejszego popołudnia oznajmić, że zamierzam ubiegać się o stanowisko w Gabinetie Ovalnym. Pragnę przewodzić całemu narodowi, a nie tylko mieszkańcom wielkiego stanu Nowy Jork. I podobnie jak czyniłem to, będąc senatorem Nowego Jorku, chcę bronić praw zwykłych obywateli. Ludzi pracujących przy taśmach produkcyjnych. Samotnych matek próbujących wiązać koniec z końcem. - Urwał i powiódł wzrokiem po reporterach z pierwszego rzędu. - I jeśli instynkt mnie nie zawodzi, to właśnie ja będę następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. - Z poważną miną popatrzył wprost w obiektyw kamery stojącej na wprost niego. - Czy są jakieś pytania?

Kilku dziennikarzy błyskawicznie podniosło ręce, wykrzykując swoje nazwiska. Stockman wskazał młodą reporterkę z CBS.

- Słucham.

- Czy może pan podać konkretny przykład, jak zamierza pan bronić praw zwykłych obywateli?

Stockman zamyślił się na chwilę, po czym skinął głową.

- Oczywiście. Nie tak dawno temu mój kolega z Kongresu, Peter Allen, podał do wiadomości publicznej kolejny przykład nadużyć popełnionych przez ludzi z zarządu Everest Capital, firmy inwestycyjnej, którzy oszukali tysiące drobnych prywatnych inwestorów, wprowadzając do obrotu publiczne akcje jednej z podległych im spółek. Chodzi o kasę oszczędnościowokredytową o nazwie Dominion. Cena jej akcji wskutek wspomnianego oszustwa w krótkim czasie spadła z czterdziestu dolarów do jednego. Mnóstwo zwykłych ludzi straciło swoje pieniądze, inni zapewne tracą pracę. Powstała bardzo przykra sytuacja, do której wcale nie musiało dojść. Otóż doprowadzę do tego, żeby firmy inwestycyjne w rodzaju Everest Capital odpowiadały za swoje poczynania. I zatroszczę się, żeby ludzie pokroju Christiana Gillette'a nie żerowali więcej na zwykłych obywatelach.

Gillette śledził konferencję prasową Stockmana, do tego spod półprzymkniętych powiek od chwili, gdy został wspomniany Everest i padło jego nazwisko. Na szczęście dzięki Quentinowi Stilesowi kampania prezydencka senatora miała potrwać bardzo krótko. Chyba żeby Stockman zgodził się na współpracę.

- Christianie?

Oderwał wzrok od ekranu. W drzwiach gabinetu stała Marcie Reed.

- Wejdz. - Wskazał jej krzesło, wyłączając jednocześnie telewizor. - Siadaj.

- Mam mnóstwo pracy, Christianie - powiedziała, wybierając miejsce dokładnie na wprost niego i siadając tak, żeby jej krótka spódniczka podjechała jeszcze w górę. - Postaraj się więc streszczać.

- Poświęcisz mi tyle czasu, ile będzie potrzeba - odparł powoli i stanowczo.

Dopiero teraz spojrzała mu w twarz, najwyraźniej zaniepokojona tonem jego głosu.

- Co się dzieje? - zapytała znacznie ciszej.

- Słyszałaś nowiny, które na konferencji prasowej rozgłosił kongresman Allen?

Wolno przytaknęła ruchem głowy.

- Tak.

- I co?

- Jak to co?

- Marcie, przecież Allen oskarżył nas o poważną defraudację podczas wprowadzania do obrotu akcji Dominion. To ty i Donovan zajmowaliście się tą sprawą. Bili nie żyje. Zostałaś więc sama.

- Allen jest w błędzie - odparła rzeczowo. - Z tego, co mi wiadomo, nie było żadnych poważniejszych kłopotów w chwili przekształcania kasy Dominion w spółkę akcyjną. Kontrolerzy wszystko dokładnie sprawdzali. Nie mam pojęcia, skąd kongresman mógł wytrzasnąć takie rewelacje. W każdym razie nie musimy się bać dochodzenia.

Dobra jesteś, przemknęło mu przez myśl. Zaledwie kilka razy widział ją dotąd w działaniu, gdy na przykład próbowała przekonać dyrektora pewnej firmy, że dysponuje ważnymi informacjami, podczas gdy nic nie wiedziała. Nawet blefując, potrafiła sobie owijać mężczyzn wokół palca.

- Pozwól zatem, że zapytam wprost. Pracujesz dla Paula Straziego?

- Co?!

- Czy pracujesz dla Paula Straziego?

- Nie. Skąd mogło ci to przyjść do głowy?

- Jak już powiedziałem, sprzedaż Dominion zajmowałaś się razem z Donovanem. Reszta z nas niewiele słyszała na ten temat.

- A co to ma wspólnego z Paulem Strazim?

- Uważam, że próbuje przejąć Everest. I skłonny jestem sądzić, że w tym celu podporządkował sobie kogoś z pracowników naszego biura.

- To śmieszne - odparła, kręcąc głową.

- Czyżby?

- Oczywiście.

- Ty i Bili niechętnie mówiliście nam o sprawach związanych ze sprzedażą Dominion. Jaki był powód tak daleko posuniętej tajemniczości?

- To nie jest już śmieszne, tylko żałosne - oznajmiła i wstała, jakby chciała wyjść. - Nie zamierzam tu siedzieć i wysłuchiwać tych bzdur.

- Senator Stockman otrzyma wkrótce bardzo złe dla siebie wiadomości - powiedział Gillette, gdy już sięgała do klamki. - Takie, które prawdopodobnie zakończą jego kampanię wyborczą, jeśli przedostaną się do opinii publicznej.

Marcie odwróciła się powoli.

- Zamierzam upowszechnić te informacje - ciągnął, przyglądając się uważnie Marcie, w której oczach pojawiły się ogniki strachu, a więc coś, czego jeszcze nigdy u niej nie widział. - Chyba że pójdzie na współpracę ze mną. Powie otwarcie, co łączy go z kongresmanem Allenem i kto jest jego informatorem w biurze Everestu.

- Co Stockman ma z tym wszystkim wspólnego?

- Współpracuje ze Strazzim.

- Skąd to wiesz?

- Po prostu wiem. - Wymierzył w nią palec. - Więc jak? Chcesz mi coś wyznać, Marcie? Możesz mi wierzyć, że będzie dla ciebie znacznie lepiej, jeśli teraz zdobędziesz się na szczerość.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego.

- Nie mam ci czego wyznawać - odparła w końcu. Dostrzegł jednak jej wahanie.

- Dlaczego powiedziałaś Leforsowi, że Troy Mason zszedł z kobietą do sutereny podczas stypy po pogrzebie Donovanana? - zapytał, odsłaniając swój najpoważniejszy atut. - Dlaczego nie przyszałaś z tym do mnie?

Marcie pokręciła głową.

- To jakiś absurd - mruknęła i odwróciła się do drzwi. - Kompletna bzdura. Nigdy nikomu czegoś takiego nie mówiłam. Nie miałam w ogóle pojęcia, że Troy poszedł tam z jakąś kobietą.

Gillette jeszcze przez pewien czas wpatrywał się w drzwi, które zostawiła za sobą otwarte. Nie miał wątpliwości, że wyczuł jej wahanie, gdy pytał o sprzedaż Dominion. Nie zawahała się jednak, gdy zapytał o Masona.

21

Cena. Każdy ją ma, trzeba tylko umieć ją ustalić. No i jeszcze być gotowym zapłacić.

Strazzi wprowadził wdowę do swojego gabinetu i odsunął jej krzesło, żeby usiadła.

- Masz ochotę na coś do picia, Ann? - zapytał uprzejmie, wracając za biurko. Rzygać mu się chciało, że musi być wobec niej szczególnie miły, ale nie miał innego wyjścia. Chciał, żeby się odprężyła i poczuła swobodnie przed dyskusją na temat warunków odsprzedania udziałów Everestu, silił się więc na uprzejmość, powtarzając gesty, których nie czynił od bardzo dawna, lecz które pamiętał ze swoich spotkań z innymi. - Wody? Kawy?

- Napiałabym się gorącej herbaty - odparła.

Zwrócił uwagę, że powiedziała to wręcz wyzywającym tonem. Była zestresowana, w jej głosie wyczuwało się napięcie. Małą czarną torebkę tak kurczowo przyciskała do brzucha, jakby miała w niej milion dolarów gotówką i ktoś chciał ją okraść. Na swój sposób jednak sprawiała wrażenie chłodnej i opanowanej.

- Jak sobie życzysz, Ann. - Powoli sięgnął po słuchawkę, jakby ani trochę mu się nie spieszyło. - Vicky.

- Słucham.

- Czy możesz przynieść pani Donovan filiżankę gorącej herbaty?

- Tak jest, panie prezesie.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się szeroko, odkładając słuchawkę. - Vicky jest wspaniała - mruknął, starając się rozluźnić atmosferę. - Zawsze potrafi zażartować, zawsze jest uśmiechnięta.

Wdowa nie odpowiedziała.

- Więc jak się miewasz, Ann? - zapytał, usiłując przybrać poważną minę i żałobny ton głosu. - Nie wątpię, że to dla ciebie bardzo trudny okres.

- Nie musisz się dla mnie wysilać, Paul. Dobrze wiem, o co ci chodzi. Nie marnujmy więc czasu.

Zachmurzył się.

- W porządku.

- Naprawdę masz coś, co powinnam wziąć pod rozwagę? - zapytała.

- Tak.

- Co takiego?

- Oglądałaś dziś po południu konferencję prasową kongresmana Allena? - zapytał z ociąganiem, starając się dawkować presję przed etapem omawiania szczegółów jego oferty.

- Owszem - wycedziła z ironicznym uśmiechem, jak gdyby rozbawiona tym, że zignorował jej pytanie. - Jeden z doradców Stockmana uprzedził mnie telefonicznie, żebym przypadkiem nie przegapiła tej transmisji.

- Zatem chyba rozumiesz, w jak trudnej sytuacji znalazł się Dominion. Ceny udziałów spadają na łeb, na szyję. Jak tak dalej pójdzie, na Boże Narodzenie będziesz mogła swoimi akcjami napalić w kominku. - Popatrzył jej w oczy. - Ile już straciłaś?

- Pięćdziesiąt milionów - odparła bez wahania, jakby chodziło o pięćdziesiąt centów.

Strazzi pochylił się jeszcze bardziej nad biurkiem, próbując ocenić, czy naprawdę nie przywiązuje do tego wagi, czy też może jest wytrawną pokerzystką.

- Dominion to tylko czubek góry lodowej, Ann. Słyszałaś, co powiedział kongresman Allen. Ma zamiar zebrać specjalną ekipę, która podejmie wszechstronne śledztwo w sprawie inwestycji Everestu. Jeśli inspektorzy coś odkryją, Gillette i jego przyboczna gwardia znajdą się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. - Urwał na chwilę. - Jak już ci mówiłem, mam informacje, że śledztwo wykaże poważne nieprawidłowości. Bardzo poważne. - Jeszcze raz zrobił krótką przerwę. - I spółka będzie musiała wypłacić gigantyczne odszkodowania w związku z aferą Dominion. Już tylko to ostatecznie pogrąży zarząd Everestu.

- Mówiłeś, że masz dowody na poważne problemy w podległych nam przedsiębiorstwach - przypomniała spokojnie.

- Owszem, mam.

- Więc mi je pokaż.

Rozległo się ciche pukanie i do gabinetu weszła Vicky, co pozwoliło mu zyskać na czasie.

- Bardzo proszę, pani Donovan - powiedziała sekretarka, stawiając na stoliku obok jej fotela filiżankę z wrzątkiem, miseczkę herbaty w torebkach, łyżeczkę i mały dzbanuszek ze śmietanką.

- Bardzo dziękuję.

Vicky uśmiechnęła się serdecznie.

- Panu także coś podać, panie Strazzi?

- Nie.

Sekretarka zawróciła na pięcie, wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Nie mam jeszcze tych dokumentów - powiedział szczerze, gdy znów zostali sami. W dodatku Allen nie zwołał drugiej konferencji prasowej, by wspomnieć na niej o innych firmach należących do Everestu.

- Dlaczego? - zapytała ostro wdowa.

- Po prostu ich nie mam - wycedził, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest poirytowany. Gdyby to do niej dotarło, zapewne by się przestraszyła, może nawet całkiem zerwała negocjacje.

Wdowa w zamyśleniu zanurzyła torebkę herbaty we wrzątku i zaczęła mieszać łyżeczką ciemniejący płyn. Kilka razy łyżeczka zabrzęczała o porcelanę.

- Nie słyszałam w wystąpieniu kongresmana Allena na konferencji prasowej żadnych konkretnych na temat przedsiębiorstw należących do Everestu. Jeśli dobrze pamiętam, obiecywałeś, że zostaną wymienione z nazwy te firmy, które oprócz Dominion mają poważne problemy.

Wzruszył ramionami.

- Chyba nie miał ku temu okazji. - Ta rozmowa zaczyna przybierać zły obrót, pomyślał. Całkiem zły. Prawdę powiedziawszy, miał uzasadnione obawy, że wdowa lada chwila wstanie i wyjdzie. Troy Mason musi mu słono zapłacić za to upokorzenie.

Przez jakiś czas oboje milczeli.

- Zatem co proponujesz, Paul?

Błyskawicznie spojrzał jej prosto w oczy. Wcześniej bezmyślnie skubał drobny strupek na wierzchu lewej dłoni, rozmyślając o tym, jak się zemści na Masonie. Zerknął też na wyraz jej twarzy. Ze wszystkich sił starała się mówić obojętnie o konferencji prasowej Allena i z lekceważeniem wspominała pięćdziesiąt milionów dolarów, które straciła na akcjach Dominion. Teraz jednak dostrzegł wyraźnie, jak sztuczny był jej wyzywający ton. Wcale nie była dobrą pokerzystką. Bez wątplenia to panika emanowała z tych pęczków drobnych zmarszczek w kącikach jej oczu. Prowadził negocjacje z setkami ludzi i potrafił wyczuć panikę, ilekroć tylko zaczynała ogarniać rozmówcę. Co więcej, wdowa jeszcze silniej przyciskała swoją torebkę do brzucha, aż pobiełały knykcie jej szczupłych palców.

- Dwa miliardy - wyrzucił z siebie szybko, dziękując opatrności, że nie przyprowadziła ze sobą adwokata bądź finansisty inwestycyjnego, by poprowadził negocjacje w jej imieniu. Pewnie wolała uniknąć wielomilionowego honorarium dla specjalisty. Potwierdzałyby to plotki o jej skąpstwie.

- Gotówką?

- Miliard gotówką, a drugi w ratach rozłożonych na pięć lat - odparł z ożywieniem. - To znaczy, w pięciu równych częściach po dwieście milionów powiększonych o pięcioprocentowe odsetki.

- Nie jest to szczególnie zachęcająca oferta.

- Lecz tyle właśnie jestem gotów zapłacić - odparł kategorycznym tonem.

- Kilka miesięcy temu dowiedziałam się od męża, że mój pakiet udziałów w Everescie jest wart co najmniej cztery miliardy dolarów.

- Może byłby tyle wart, gdyby wokół statku nie kręciły się rekiny, a sam statek nie nabierał szybko wody. Everest tonie, Ann. I bez mojej pomocy utonie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zainteresowała się nagle. - Jak zamierzasz go ratować?

- Mam wielu znajomych, mogę szybko wyciszyć szum wokół firmy. Zmuszę Allena, żeby odwołał swoje psy, jeśli tylko będę miał okazję wziąć sprawy w swoje ręce. Bez trudu przekonam wszystkich, że sam zrobię porządek. Moi ludzie przeprowadzili już pewne wstępne rozmowy z kilkoma waszyngtońskimi osobistościami. - Strazzi pogroził jej palcem. - Bez mojej interwencji, Ann, Allen wytoczy przeciwko Everestowi najcięższe działa, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Spójrz na całą aferę z jego punktu widzenia. To przecież wspaniała okazja. Będzie mógł się wykazać, że naprawdę coś robi, żeby chronić obywateli przed zakusami rekinów z Wall Street, a to mu przysporzy popularności. W takiej sytuacji wartość twojego pakietu będzie daleka od wspomnianych czterech miliardów. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy będzie wart te dwa miliardy. Pewnie dużo mniej. A może nawet nic.

- Zależy ci tylko na usunięciu z drogi Christiana Gillette[^], by przejąć całkowitą kontrolę nad Everestem - wycodziła.

- No cóż, nikt nie proponuje dwóch miliardów dolarów tylko dlatego, że poczuł przypływ hojności. Na pewno nikt przy zdrowych zmysłach. To oczywiste, że chcę przejąć kontrolę nad Everestem - ciągnął, nie chcąc dopuścić jej do głosu. - Masz też rację, że wolałbym się pozbyć Gillette'a. I to jak najszybciej. Więc co z tego? Czemu miałoby cię to obchodzić? Przecież wcześniej dostaniesz swoje dwa miliardy. - Zwrócił uwagę, że wdowa gapi się na niego szklistymi oczami, wciąż niezdecydowana. Naprawdę nie miała pojęcia, co robić. Trzeba było jeszcze bardziej przykręcić śrubę. - Jeśli masz ochotę zaryzykować i wydaje ci się, że przetrwasz tę burzę u boku Gillette'a, proszę bardzo. Mogę tylko podziwiać twoją lojalność. Ale pamiętaj, udziały Gillette'a w Everescie ani trochę nie mogą się równać z twoimi. Jego stać na takie ryzyko, gdyż ma o wiele mniej do stracenia.

Zagryzła wargi i wysunęła brodę ku przodowi.

- Chcę dostać dwa i pół miliarda, do tego całość w gotówce.

Strazzi poczuł, jak mu puls gwałtownie przyspiesza. A więc chciała jednak dobić targu, gotowa była sprzedać swoje akcje. Przełamała psychologiczną barierę i teraz pozostawała tylko kwestia jej wytrzymałości, bo właściwie byli blisko ustalenia ceny transakcji.

- Nie mogę dać nic więcej ponad dwa miliardy, ale zwiększę część płatną od razu do półtora miliarda. Mogłbym załatwić wszelkie formalności bardzo szybko, Ann. Zebrałem już grupę prawników czekających tylko na nasz znak. Zgromadzę całą gotówkę dla ciebie już w poniedziałek po południu.

- Dwa i ćwierć. Całość w gotówce.

Zawahał się. Nie znosił zwiększać swojej oferty, nawet odrobinę. A tym bardziej w negocjacjach z kobietą. Lecz najbardziej na świecie zależało mu na tej transakcji.

- Zgoda. Dwa miliardy w gotówce, a dwieście pięćdziesiąt milionów w czekach. Decyzja zależy tylko od ciebie, Ann. To moja ostateczna oferta. I będzie aktualna bardzo krótko. - Wstał i ruszył w stronę drzwi. - Jeśli pozwolisz, przyniosę sobie trochę kawy. Kiedy wrócę, zostanie ci już tylko połowa szans na to, że dalej będę gotów zapłacić aż tyle. Jeśli się nie zdecydujesz, nie otrzymasz innej propozycji. Nie zdążył sięgnąć do klamki, kiedy zapytała:

- Naprawdę zdołasz zebrać całą gotówkę do poniedziałkowego popołudnia?

Uśmiechnął się triumfalnie, wykorzystując to, że stoi do niej tyłem.

- Oczywiście - potwierdził, odwracając się. - Najpóźniej do czternastej.

Wstała z fotela i zbliżyła się do wyjścia, spoglądając na niego w napięciu. Ale on się nie pofatygował, by otworzyć jej drzwi, musiała zrobić to sama.

- W porządku, przyjmuję twoją ofertę. Korzystam z usług tych samych adwokatów, których Bili angażował w sprawach prywatnych, z kancelarii Porter i Hughes przy Park Avenue.

- Znam ich.

- Wspólnik, który prowadzi moje sprawy, to John Meyers. Będzie czekał na twój telefon.

- Natychmiast się z nim skontaktuję.

- Doskonale. Nie musisz mnie odprowadzać.

- Już kilka moich wiadomości na sekretarce wdowy Donovan pozostaje bez odpowiedzi - rzekł Miles Whitman, który zasiadł w fotelu w samym kącie gabinetu Gillette^.

- Nie za często do niej dzwonię, lecz ilekroć nagrywałem się na sekretarkę, zaraz do mnie oddzwaniała. - Zawahał się. - Ale nie tym razem. Przykro mi, Christianie - dodał ciszej. - Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

- W tej chwili rozmawia ze Strazzim - odparł Gillette, siadając naprzeciwko niego.

- Skąd wiesz?

- Kazałem śledzić Strazziego. Wdowa weszła do jego biura jakąś godzinę temu.

- Kazałeś ludziom McGuire'a go obserwować?

- Gillette pokręcił głową.

- Nie, zdecydowałem się...

- Christian wynajął ludzi spoza firmy - pospieszył z wyjaśnieniami Cohen siedzący w fotelu obok Gillette'a.

- Dlaczego?

- Straciliśmy zaufanie do Toma McGuire'a.

- Naprawdę?

- Szykujemy się do wprowadzenia na rynek akcji agencji McGuire & Company - ciągnął Cohen. - Na początku tego tygodnia Tom proponował Christianowi odkupienie firmy, ale za dużo niższą cenę, niż oferują bankierzy inwestyjni za przekształcenie jej w spółkę akcyjną. Nic więc dziwnego, że Tom był bardzo niezadowolony, kiedy się dowiedział o naszych planach wprowadzenia akcji do obrotu publicznego.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Whitman wstał, podszedł do małej lodówki stojącej przy biurku i wyjął colę. - Podać wam coś?

Obaj pokręcili głowami.

- Zatem wynajęliście inną firmę ochroniarską i zleчилиście jej obserwację Straziego, ot, tak sobie? - zapytał Whitman, siadając z powrotem i otwierając puszkę. - Tylko dlatego, że podejrzewacie, iż McGuire, rozwścieczony tym, że nie może odkupić swojej agencji, będzie przed wami ukrywał informacje, z kim spotyka się Strazzi? Albo nawet go poinformuje, że kazaliście go śledzić? O to chodziło?

- Nie tylko - odparł Gillette. - Pamiętasz, jak moja limuzyna wyleciała w powietrze na pogrzebie Donovana?

- Oczywiście.

- W tym tygodniu przeżyłem dwa następne zamachy...» i Whitman wyprostował się w fotelu.

*- Mój Boże... Co się dzieje, do diabła? i - Jeszcze nie wiem. Ale gdy Tom przyszedł do mnie z propozycją wykupienia agencji i uświadomiłem sobie, że zachodzi konflikt interesów, wynajęłem inną firmę. Po części także z powodu naszej rozmowy, do której doszło u ciebie na początku tygodnia. Przypominasz sobie? Zapytałeś wtedy, czy naprawdę mu ufam.

- Jasne, że pamiętam.

- Cieszę się, że podjąłem taką decyzję. Człowiek, którego zaangażowałem, okazał się doskonałym fachowcem.

- Rzeczywiście jest bardzo gorliwy - przyznał Whitman. - Musiałem przejść szczegółową rewizję osobistą, zanim pozwolono mi tu wejść.

- Przykro mi, Miles, ale biorąc pod uwagę okoliczności, muszę ściśle wykonywać polecenia ochrony.

- Wcale się nie dziwię, skoro w grę wchodzi tak olbrzymie pieniądze. - Whitman westchnął głośno. - Tylko diabelnie mi wstyd.

Gillette zmarszczył brwi.

- Za co?

- Za wszystko. Za Dominion i dzisiejszą konferencję prasową kongresmana Allena. Jak również z tego powodu, że Strazzi chce przejąć pakiet udziałów wdowy. - Skrzywił się z niesmakiem. - Niestety, podejrzewam, że będzie to oznaczało koniec twoich ambitnych planów powołania nowego funduszu. Przynajmniej na jakiś czas.

Gillette nerwowo przeciągnął dłonią po włosach.

- Jeśli Strazzi przejmie udziały wdowy, w ogóle nie będę musiał się już martwić o nowy fundusz inwestycyjny, raczej o znalezienie sobie nowej pracy.

Whitman w zamyśleniu pokiwał głową.

- Masz rację. Na pewno od razu...

Przerwał mu sygnał aparatu leżącego na stoliku. Gillette podniósł go szybko, otworzył i popatrzył na ekran wyświetlacza. Dzwoniła Vicky.

- Cześć.

Wysłuchał tego, co miała mu do powiedzenia, i sposepniał.

- Dzięki.

- Kto to był? - zainteresował się Cohen.

- Znajoma.

- Coś się stało? - zapytał Whitman.

Gillette wziął głęboki oddech.

- Wdowa zgodziła się właśnie sprzedać swoje udziały Strazziemu za dwa i ćwierć miliarda dolarów. - Gillette odebrał dokumenty, które Mason wykradł z biura, lecz nawet to nie powstrzymało Strazziego w drodze do osiągnięcia wymarzonego celu. Wspólnie ze Stockmanem zdołali śmiertelnie przestraszyć wdowę i nakłonić ją do sprzedaży akcji, wykorzystując aferę, jaką sami rozpętali wokół Dominion. - W poniedziałek mają sfinalizować transakcję. Przynajmniej Stockman dostanie za swoje za udział w spisku, pomyślał Gillette. To było jedyne pocieszenie, jakie potrafił znaleźć w tej sytuacji.

- A zatem, Ben, jesteś teraz oficjalnie dyrektorem naczelnym biura Everest Capital? - zapytał Whitman.

Cohen trwożliwie zerknął na Gillette'a.

- No... tak... - urwał, jakby głos mu uwiązł w gardle. - Nikomu nie mówiłem na ten temat ani słowa, Christianie. Przysięgam...

Gillette przytaknął ruchem głowy.

- Wiem. Sam powiedziałem o tym Milesowi któregoś dnia. - Mimo to Cohen spoglądał na niego oczyma przerażonej sarny, którą reflektory samochodowe oślepiły na środku drogi. Dlaczego? - Ściślej biorąc, Miles był ciekaw, czy wprowadziłem jakieś zmiany organizacyjne w biurze, powiedziałem mu więc o twojej nominacji.

- Aha - mruknął Cohen, który, jak uświadomił sobie nagle Gillette, sprawiał wrażenie nadzwyczaj podenerwowanego. - Nie chciałem, byś pomyślał, że paplałem o swoim awansie na lewo i prawo - dodał szybko.

- Jestem pewien, że tego nie robiłeś. Zresztą, nic by się nie stało, gdybyś o tym opowiadał.

- Zatem Ben już oficjalnie kieruje wszystkimi pracami biura? - zapytał po raz drugi Whitman.

Gillette popatrzył na niego. - Naturalnie.

Stiles pomacał kurtkę na wysokości wewnętrznej kieszeni, żeby sprawdzić, czy koperta jest na swoim miejscu, po czym wyłonił się z głębokiego cienia zalegającego w bramie i ruszył śladem mężczyzny w długim palcie, który przed chwilą go minął. Tamten zatrzymał się na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło, i zaczął zacierać zmarznięte ręce, patrząc na auta przejeżdżające tuż przed nim Fifth Avenue.

- Zimno dziś, co nie? - zagadnął detektyw, zatrzymując się obok niego.

Mężczyzna obrzucił go badawczym spojrzeniem od stóp do głowy.

- Zgadza się, zimno - przytaknął obojętnym tonem. Stiles wymierzył w niego palec wskazujący.

- Hej, ja cię chyba skądś znam.

Tamten przestał nagle zacierać ręce i odwrócił się do niego z osłupiałą miną.

- Tak?

- Oczywiście. Widziałem cię dzisiaj w telewizji, kiedy senator Stockman ogłaszał, że zamierza startować w wyborach prezydenckich. Stałeś tuż za nim w grupie innych ludzi. Zgadza się?

- Widzę, że masz dobrą pamięć do twarzy.

- Oczywiście... - Stiles niepewnie zawiesił głos. - Więc kim jesteś?

- Frank Galway, zastępca szefa sztabu wyborczego senatora - odparł mężczyzna, wyciągając rękę.

To niewątpliwie masz wprawę w pozyskiwaniu nowego elektoratu, pomyślał Stiles.

- Chyba musisz być teraz nieźle podekscytowany - mruknął, sięgając do kieszeni kurtki.

- Owszem - przyznał Galway. - Senator to bardzo poważny kandydat na prezydenta. Ma doświadczenie i godny podziwu życiorys. Sądźmy wszyscy, że znajdzie się na pierwszym miejscu w nowych sondażach, które zostaną przeprowadzone w przyszłym tygodniu. Dopiero wtedy zrobi się u nas gorąco.

- No cóż, mam nadzieję, że to dodatkowo podgrzeje wam atmosferę - odparł Stiles, przyciskając kopertę do piersi Galwaya.

- Co to jest, do cholery?...

- Zdjęcia - wyjaśnił, gdy tamten kurczowo zacisnął palce na kopercie. - Parę fotek naszego wspaniałego senatora z niejaką Ritą Jones, wychodzących z miłosnego gniazdka w Queens. Na pewno dobrze je znasz. W końcu sam płacisz czynsz za ten lokal.

- Chryste... - szepnął Galway.

- Nie martw się. Dopóki senator będzie z nami współpracował, te zdjęcia nie ujrzą światła dziennego.

- Co to znaczy: współpracował?

- Wyjaśnię ci, kiedy skontaktujemy się następnym razem. Stiles zawrócił na pięcie i szybko ruszył przed siebie.

Zaskoczony, zmieszany i przejęty Galway nie zdążył nawet zareagować.

Mieszkanie - ciche, przytulne i nieduże - które Stiles wykorzystywał jako rezerwową kryjówkę, znajdowało się przy Houston Street w West Village.

Ludzie Stilesa nieźle się natrudzili, żeby dyskretnie przywieźć tu Faith. Wyprowadzili ją z hotelu Waldorf tylnym wyjściem zaraz po tym, jak pożegnała się z Gillette'em, następnie zawieźli ją do Connecticut, gdzie na opustoszałym parkingu zmienili samochód, pojechali do New Jersey i tu przesiedli się jeszcze raz, zanim wreszcie wrócili do miasta. Od tamtej pory Faith nie wychylała nosa z mieszkania, pozostając pod stałą ochroną trzech ludzi, którzy dostarczali jej wszystko, czego potrzebowała, by nie musiała się pokazywać na ulicy.

Gillette zdjął płaszcz i rzucił go na oparcie krzesła stojącego przy drzwiach. Przez ostatnich kilka godzin poddawał się tej samej żmudnej rutynie, co wcześniej Faith, był więc poirytowany. Stiles nie pozwolił mu na żaden kontakt ze światem zewnętrznym w czasie tej

żmudnej podróży po obrzeżach metropolii. Nie mógł skorzystać z telefonu komórkowego ani z „jeżyny”. Brzydził się podobnym marnotrawieniem czasu, ale tak już musiało być. Nie mogli ryzykować ujawnienia miejsca pobytu Faith ani nawet tego, że piosenkarka znajduje się pod ich ochroną.

- Cześć - rzekła Faith, podnosząc się z kanapy. Odsunęła krzyżówkę, którą właśnie rozwiązywała.

- Witaj.

Podeszła, chcąc najwyraźniej zarzucić mu ręce na szyję, ale zawahała się i zrezygnowała w ostatniej chwili.

- Jak leci?

- Dobrze.

- Jeszcze raz dziękuję, że mi pomogłeś z tym nowym kontraktem - powiedziała, splatając dłonie pod brzuchem. - Mówię o funduszu reklamowym. Już został podwyższony. Widziałam całostronicową reklamówkę w „USA Today” i słyszałam mnóstwo fragmentów nagrań w radiu.

Uśmiechnął się skąpo.

- Nie ma sprawy. - Wskazał kanapę. - Usiądźmy.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Gdy tylko usiedli, odwrócił się do niej, zakładając rękę na oparciu kanapy.

- Dla kogo pracujesz? - zapytał bez ogródek.

- Dla Toma McGuire'a - odparła równie szybko. - Zmusił mnie do tego jakieś dwa miesiące temu. Miałam cię śledzić, gdy dostanę takie polecenie. Wręcz nie odstępować cię na krok.

Pokręcił głową.

- Dlaczego? Spuściła wzrok.

- Pewnie już wiesz - powiedziała cicho. - Żeby McGuire mógł zastawić na ciebie pułapkę.

- Nie o to mi chodzi. Ciekaw jestem, dlaczego zgodziłaś się wykonywać jego rozkazy. Masz dobrze rozwijającą się karierę, jesteś bardzo popularna... Dlaczego więc zgodziłaś się pomagać McGuire'owi?

- W mojej branży kariery kończą się błyskawicznie, zwłaszcza gdy wytwórnie płytowe rezygnują z akcji promocyjnych. Wiedziałam, że moja wytwórnia na polecenie Donovana zmniejszyła o połowę fundusz reklamowy. To miało zachwiać moją dalszą karierą.

Tymczasem McGuire obiecał, że ten, kto zajmie miejsce Donovana w zarządzie Everestu, zatroszczy się o promocję mojej płyty. - Położyła rękę na jego dłoni. - Później ostrzegła, że bym na ciebie nie liczyła, a ty mi jednak pomogłeś. Dlatego jak tylko się dowiedziałam, że chcą cię usunąć z drogi, natychmiast zadzwoniłam. Kiedy McGuire nakłaniał mnie do współpracy, tłumaczył, że popierasz stanowisko Donovana w kwestii obciążenia mojego funduszu reklamowego. Przy okazji powiedział też wprost, że chcą cię zniszczyć, ale nie zabić. Nie jestem mordercą, Christianie. Nie miałam pojęcia, że szykują na ciebie zamach podobny do tego, który urządzili na Donovana. Gdybym się domyślała, co naprawdę planują, nigdy bym się nie zgodziła na tę współpracę.

Gillette pokiwał głową.

- Bardzo dobrze zrobiłaś, że skontaktowałaś się ze mną właśnie wtedy - powiedział cicho. - Uratowałaś mi życie. Naprawdę. - Zawiesił na chwilę głos. - Powiedz mi jeszcze, kto jest informatorem McGuire'a w biurze Everestu?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Domyślałam się tylko, że to ktoś postawiony wysoko.

22

Rutyna. Większość z nas jest niewolnikami przyzwyczajień, nawykłymi bardziej do porządku niż anarchii. Poddając się rutynie, odrzucamy oryginalność, przez co zwyczajnie idziemy na łatwiznę.

Tymczasem nasze przyzwyczajenia stwarzają okazję dla przeciwników.

Strazzi oparł stopę o brzeg ławki, żeby poprawić wiązanie butów do joggingu, i zwrócił uwagę na gęste obłoczki pary wydobywającej mu się z ust przy każdym oddechu. Sobotni poranek w Central Parku był szczególnie rześki, temperatura wahała się koło zera, a słońce dopiero zaczynało wyglądać znad horyzontu.

Biegał tutaj trzy lub cztery razy w tygodniu, pokonując w przybliżeniu pięciokilometrową trasę. W dni robocze robił to rzadziej, tylko wtedy, gdy pozwalał na to napięty zazwyczaj harmonogram zajęć. Za to w weekendy biegał niemal zawsze, jeśli tylko był w mieście. I regularnie o tej samej porze.

Zasnurowawszy buty, wyprostował się, złączył stopy i wykonał energiczny skłon, próbując dosięgnąć palcami czubków adidasów. Jak na pięćdziesięciolatka był w dobrej kondycji fizycznej. Wyprostował się i odchylił nieco do tyłu, naciągając mięśnie ramion, wziął kilka głębszych oddechów i ruszył niezbyt szybkim truchtem. Biegł na północ wzdłuż wschodniego skraju parku, czując jeszcze w ustach smak cygara wypalonego wczoraj późnym wieczorem.

Na wysokości Harlemu skręcił w lewo, by dotrzeć do swojej ulubionej trasy joggingowej.

Dziesięć minut później znalazł się na wąskiej ścieżce biegnącej pośród gęstych kęp drzew, wciąż pełen radosnych myśli, że już niedługo wejdzie w posiadanie czwartej części głosów akcjonariuszy Everestu, a dysponując kontrolnym pakietem akcji wdowy po Donovanie, natychmiast zwołał walne zgromadzenie inwestorów, by usunąć Gillette'a ze stanowiska. Jego wniosek powinien zostać przegłosowany, potem też nie przewidywał większych trudności z przekonaniem udziałowców, że jest najlepszym, a właściwie jedynym odpowiednim kandydatem na prezesa zarządu, że bez jego interwencji władze przypuszczają frontalny atak na Everest.

Uśmiechnął się do tych myśli, wbiegając na stromy odcinek ścieżki. Po wyborze na prezesa Everestu utrzyma pod swą kontrolą dwie największe prywatne spółki kapitałowe na świecie i będzie zarządzał funduszami o łącznej wysokości przekraczającej czterdzieści miliardów dolarów. Wcale się nie upodobni do boga prywatnej finansjery. On nim zostanie.

W połowie wysokości zbocza wydało mu się, że słyszy za sobą czyjeś kroki, chociaż wszelkie odgłosy zagłuszał jego przyspieszony ciężki oddech. Ale wkrótce był niemal pewien, że ktoś biegnie za nim w odległości dziesięciu czy piętnastu metrów. Chciał zerknąć przez ramię, ale w tej samej chwili potknął się o wystający z ziemi kamień i musiał zrobić kilka szybszych kroków, by nie stracić równowagi. Pot spływał mu strumykami po twarzy.

Czterdzieści miliardów dolarów. To wystarczyło, żeby każdego przyprawić o paranoję, ale też by uczynić z niego cel zamachowca.

Kroki systematycznie się przybliżały. Słyszał je wyraźnie. Były nieomal tuż za nim, i to w najbardziej odległym fragmencie gęsto zalesionej części parku, gdzie o tej porze nie było żywej duszy.

Dotarł w końcu na szczyt wzniesienia. Dalej ścieżka znów prowadziła po równym terenie. Mógł się swobodnie obejrzeć bez groźby utraty równowagi.

Zrobił to. Biegający za nim mężczyzna był też wysoki i barczysty, ale znacznie młodszy. Miał na sobie spodenki gimnastyczne, wiatrówkę, czapkę baseballową i ciemne okulary, choć słońce wcale mocno nie świeciło.

Strazzi niezwłocznie spuścił głowę na piersi i przyspieszył kroku. Szeroko rozwartymi ustami spazmatycznie łapał powietrze, mięśnie nóg coraz bardziej bolały go od wysiłku.

Mimo to ścigający go mężczyzna wciąż się przybliżał. Coraz wyraźniej było słychać jego kroki na ścieżce. Znajdował się pewnie już tylko na wyciągnięcie ręki, tymczasem jeszcze spory kawałek dzielił ich od otwartej przestrzeni. Strazzi spróbował jeszcze wzmóc

tempo, ale nogi ugięły się pod nim, a płuca paliły niczym dwie wielkie dziury w jego piersi. Zrobił jeszcze parę kroków i ostatecznie stracił równowagę. Zwalił się jak długi na ziemię.

Poczuł dłoń tamtego na swoim ramieniu. Próbował się szybko pozbierać, żeby odskoczyć, lecz nie miał sił.

- Ratunku! - wrzasnął. - Ratunku!

- Co się stało, kolego? Nic sobie nie zrobiłeś?

Powoli opuścił ręce, którymi zasłaniał twarz, i ostrożnie spojrzął na duże ciemne okulary pod długim daszkiem czapeczki baseballowej.

- Co? - zapytał zdziwiony.

- Nic ci się nie stało? - zapytał nieznajomy.

Strazzi przekrzywił głowę na jedno ramię, potem na drugie, wreszcie zdumiony dźwignął się na kolana i przy pomocy mężczyzny wstał z ziemi.

- Nie, nic - wystękał, zadyszany. - Wszystko w porządku - dodał, czując palący wstyd.

- Usiądź tu - rzekł nieznajomy, ciągnąc go w stronę dużego głazu leżącego przy ścieżce. - Musisz uzupełnić płyny. To twój podstawowy problem. - Z małego chlebaka na biodrze wyciągnął plastikową butelkę z wodą, odkręcił korek i podał ją Strazziemu. - Proszę.

Ten chwycił ją łapczywie roztrzęsioną dłonią i łapczywie przechylił do ust. Wypił kilka większych łyków, po czym otarł wargi wierzchem dłoni.

- Dzięki - wymamrotał, oddając butelkę nieznajomemu.

- Posiedź tu parę minut, dopóki nie złapiesz drugiego oddechu - doradził tamten. - A potem idź do końca szlaku. Lepiej nie próbuj już biegać.

- Słusznie - przytaknął Strazzi.

Odprowadził wzrokiem oddalającego się biegacza. A był niemal pewien, że nie wyjdzie z tego spotkania żywy.

Gillette spoglądał na Waszyngton z góry, z kabiny prywatnego odrzutowca, który tego pięknego chłodnego ranka zakręcał nad Potomakiem, kierując się w stronę lotniska krajowego imienia Reagana. Na kilkanaście sekund rozpostarła się przed nim panorama całego miasta, z Kapitołem, pomnikiem Waszyngtona i Białym Domem tworzącymi trójkąt równoboczny nieco na południe od centrum.

- Za kilka minut wylądujemy - poinformował Stiles, zajmując miejsce obok niego. Przez dłuższy czas rozmawiał z pilotami. - Mamy zgodę na lądowanie. Nie będzie opóźnienia.

- Dzięki. - Gillette nie odrywał wzroku od panoramy. - Lubię Waszyngton - mruknął, bardziej do siebie niż do ochroniarza.

- A ja nie - odparł Stiles.

- Dlaczego? - zapytał Gillette, odwracając się od okna.

- Próbowales się kiedyś poruszać tutaj bez planu miasta?

- Nie. A o co chodzi?

- Chyba wszystkie ulice biegają łukiem. Wydaje ci się, że ruszasz na wschód, a po jakimś czasie idziesz już na zachód. Albo wydaje ci się, że jesteś prawie na miejscu, pod szukanym adresem, a tu nagle wyrasta przed tobą park.

Ulice kończą się i zaczynają ni stąd, ni zowąd. - Strzelił głośno palcami. - To cholernie denerwujące. Trzeba przejść przez cały park, by się przekonać, że tam ulica biegnie dalej, dobre sto metrów od miejsca, gdzie się urwała przed ścianą drzew. Ale i przez park nie da się przejść na wprost, bo wszystkie alejki skręcają w lewo albo w prawo. Pytasz więc kogoś, jak się tam dostać. - Gestykulując energicznie, Stiles wskazał kabinę pilotów, jakby rzeczywiście znajdował się w wymyślnym parku. - A ten ktoś wybucha gromkim śmiechem i zaczyna długo tłumaczyć, jak dotrzeć do najbliższego mostu, bo dalszy ciąg ulicy jest nie tylko za parkiem, ale i na drugiej stronie Marylandu.

- Podejrzewam, że spóźniłeś się wtedy na ważne spotkanie - przerwał mu Gillette z uśmiechem. - Zapewne z kobietą.

- Założmy - burknął ochroniarz, lecz także się uśmiechnął. - W każdym razie to główny powód, dla którego wolę Nowy Jork. Tam ulice prowadzą na wschód lub na zachód, a aleje biegają na północ lub na południe. Parę wyjątków jest tylko w Greenwich Village, ale poza tym wszędzie łatwo trafić. Tutaj to istny koszmar. - Wychylił się z fotela i wyjrzał przez okno. - A dlaczego ty lubisz Waszyngton?

Na drugim roku studiów w Princeton przyjechał do stolicy wczesną wiosną, na weekendową wycieczkę z kilkoma innymi członkami klubu Tigersów, w którym się wtedy udzielał. Wybrali się na obiad do Georgetown i tam w barze poznał dziewczynę, czarnowłosą studentkę Uniwersytetu Amerykańskiego. Resztę weekendu spędził z nią. A potem następny weekend, i następny. Zaczęli podróżować pociągami, albo ona przyjeżdżała do Princeton, albo on do Waszyngtonu. Stali się nierozłączni i nic go nie obchodziły cięte przytyki, jakie słyszał od kolegów wyśmiewających jego ślepe zauroczenie. Przeżywał pierwszą wielką miłość i wkrótce nabrał pewności, że się pobiorą. Ale już w maju, zaledwie dwa miesiące od pierwszego spotkania, wykryto u niej złośliwego raka mózgu. Zmarła w sierpniu.

- Christianie. - Stiles trącił go łokciem w bok, gdy samolot dotknął kołami ziemi. - Więc dlaczego lubisz Waszyngton?

Popatrzył na niego.

- Z powodu architektury - odparł, wędrując myślami do Isabelle, a zaraz potem do Faith. - Przekazałeś wczoraj wieczorem zdjęcia doradcy Stockmana?

Stiles przytaknął ruchem głowy.

- Aha. Żałuj, że nie widziałeś jego miny.

- Doskonale. Zadzwonimy do senatora, gdy będziemy na miejscu. Spotkamy się z nim osobiście i rzucimy mu pod nogi odbezpieczony granat. - Gillette odpiął pas, gdy samolot szybko wyhamował i skręcił z pasa w alejkę dojazdową. - Wiesz co?

- Co?

- Powinniśmy kiedyś wyjść gdzieś razem, na obiad albo coś w tym rodzaju. Zabierzemy nasze przyjaciółki. - Wyciągnął kilka kolorowych folderów reklamowych z kieszeni na oparciu fotela przed nim. - Zakładam, że masz kogoś.

- Zgadza się, mam. I podoba mi się ten pomysł. Dzięki. - Stiles wstał z miejsca. Za oknem pojawił się budynek terminalu. - Posłuchaj, musimy zachować szczególną ostrożność podczas wysiadania z samolotu. Prawdę mówiąc, przez cały czas pobytu w Waszyngtonie powinniśmy mieć oczy szeroko otwarte.

- Czyżby?

Stiles wyciągnął ze skrytki pod sufitem swoją broń w kaburze podramiennej i zaczął układać jej uprząż na sobie.

- Jestem pewien, że mnóstwo ludzi wie już o twoim przylocie do stolicy. Zamachowiec mógłby zwiertzyć doskonałą okazję. Miał w końcu dużo czasu, żeby się przygotować i wybrać odpowiednie miejsce. - Jeszcze raz sięgnął do skrytki. - Dlatego włóż to - rozkazał.

- Co to jest?

- Kamizelka kuloodporna.

- Quentinie...

- Wkładaj bez gadania.

Gillette pokręcił głową, ale wziął ciężką kamizelkę.

- Nie wiesz, skąd bierze się moje poczucie, że w takiej chwili nie wiadomo, kto tu dla kogo pracuje?

- Senatorze Stockman.

Podniósł głowę znad papierów. Po raz kolejny czytał uważnie tekst swojego przemówienia.

- O co chodzi, Frank? - warknął. Kiepsko spał tej nocy i był w złym humorze.

Galway skrzywił się z niesmakiem.

- Muszę z panem porozmawiać w cztery oczy.

- To coś ważnego?

- Bardzo.

Stockman westchnął ciężko.

- Siadaj - polecił, wskazując krzesło przed biurkiem. - Co się stało?

- Wczoraj wieczorem zaczepił mnie na ulicy jakiś mężczyzna.

Senator odłożył długopis.

- Naprawdę? - zapytał, usłyszawszy w głosie doradcy złowróżbne tony.

- Początkowo sądziłem, że to zwykły uprzejmy przechodzień. Powiedział, że widział mnie w telewizji podczas transmisji z konferencji, na której ogłaszał pan swój start w wyborach.

Stockman zwrócił uwagę na kopertę, którą Galway trzymał w roztrzęsionej dłoni.

- Ale tak nie było?

Galway obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

- Słucham?

- Wcale nie był zwykłym uprzejmym przechodniem?

Galway z trudem przełknął ślinę.

- Nie... Oczywiście, że nie.

- Więc czego chciał?

- Żeby przekazać panu to. - Doradca pochylił się i położył kopertę na biurku przed nim.

Stockman podniósł ją, otworzył i wyciągnął ze środka kilka zdjęć. Kolejno przyglądał im się uważnie, zanim wreszcie znów popatrzył na Galwaya.

- A więc mamy problem - oznajmił spokojnie.

- Byłem pewien, że pan właśnie tak to odbierze, panie senatorze.

- Pokazywałaś komuś te zdjęcia? t Doradca pokręcił głową.

- Czy człowiek, który ci to dał, powiedział, czego żąda? - zapytał Stockman.

- Nie, panie senatorze.

- Nie zostawił żadnego kontaktu do siebie?

- Nie.

- Więc może powiedział, kiedy chce się skontaktować po raz drugi?

- Jakoś w ten weekend. Ale nie podał żadnych szczegółów.

Stockman przeciągnął dłonią po siwych włosach i na chwilę zacisnął mocno powieki.

To musiała być sprawka Christiana Gillette'a. Nie inaczej.

Strazzi siedział na głazie dobre pięć minut, czekając, aż puls wróci do normy.

- W porządku - wymamrotał w końcu pod nosem. - Pora wracać do domu. - Wcześniej postanowił, że zaraz po powrocie zaangażuje ochronę osobistą, jak to zrobił Gillette. - No, dalej, wstawaj - ponaglił sam siebie, stękając z wysiłku.

Ledwie się dźwignął na nogi, znów spostrzegł nieznanego mężczyznę. Stał niespełna dziesięć metrów dalej pośrodku ścieżki do joggingu. Na pewno był to ten sam człowiek, który kilka minut wcześniej pomógł mu się podnieść.

Strazzi uśmiechnął się przyjaźnie i pomachał mu ręką.

- Jeszcze raz dziękuję za wodę. Właśnie tego było mi trzeba.

Ale tamten nie odpowiedział.

- Hej! Słyszysz mnie pan?

Nieznamy ruszył szybko w jego stronę. Kiedy się zbliżył na trzy metry, sięgnął do chlebaka i wyjął pistolet. Wymierzył w środek piersi Strazziego i pociągnął za spust.

Strazzi uchylił się gwałtownie, gdy zobaczył pistolet, ale pocisk i tak go trafił. Na szczęście tylko w ramię. Niemniej impet trafienia zwałił go z nóg. Jęknął gardłowo i zakrył dłonią krwawiącą ranę, po czym poderwał się z ziemi i nisko pochylony, klucząc, skoczył między drzewa i rzucił się do ucieczki. Dał nura w gąszcz młodych drzewek samosiejek, zerkając jednocześnie przez ramię, żeby sprawdzić, gdzie jest zamachowiec. Potknął się i huknął ramieniem o ziemię z taką siłą, że aż zatkało mu dech w piersi. Zaraz jednak podniósł się znowu, licząc na to, że znajdzie bezpieczne schronienie w gąszczu.

Drugi pocisk trafił go w tylną część uda, rozcinając więzadła mięśnia trójgłowego. Strazzi zwałił się twarzą w grubą pokrywę suchych liści i sięgnął ręką do zranionej nogi, jęcząc z przeraźliwego bólu.

Zabójca ostrożnie zbliżał się do miejsca, gdzie leżała ofiara. Zawsze czerpał największą satysfakcję z tych ostatnich sekund, gdy trafiony już wiedział, że nadszedł jego kres. Zastanawiał się często, jak to jest, kiedy człowiekowi zostaje zaledwie parę oddechów i parę uderzeń serca, tyle, że dałoby się je policzyć na palcach jednej ręki. Zabił mnóstwo ludzi w swoim życiu, ale w takich chwilach zawsze odzywało w jego myślach to pytanie, które nurtowało go już od pierwszego zabójstwa. Co się czuje, gdy wiadomo, że śmierć jest już blisko i nie ma żadnego sposobu, by się jej wyrwać.

Przez kilka sekund stał nad Strazzim, patrząc mu prosto w oczy. Próbował zasmakować tego przerażenia, które ogarniało ofiarę. Tamten już nawet nie jęczał z bólu, jedynie żałośnie popiskiwał, zdając sobie sprawę z nieuchronności śmierci.

Wreszcie zabójca pochylił się, przystawił pistolet do skroni mężczyzny i pociągnął za spust. Z drugiej strony głowy Straziego trysnęła na suche liście fontanna krwi, szarej tkanki mózgowej i odłamków kości. Ciałem wstrząsnęło jeszcze kilka spazmów, zanim ostatecznie znieruchomiało.

Dyrektorem naczelnym kasy Dominion Savings & Loan był Walter Price. Trzy lata wcześniej Donovan osobiście ściągnął go z Citibanku, żeby zajął się gigantyczną operacją wprowadzania akcji kasy na rynek. Dał mu dziesięć milionów dolarów rocznej pensji, nie licząc wysokich premii oraz promocyjnych udziałów Dominion. To miała być recepta na szybki rozwój spółki. I Price świetnie się wywiązał z obowiązków, gdyż w krótkim czasie zwiększył kapitał obrotowy Dominion z trzech do czterdziestu miliardów dolarów. Ten wzrost byłby rzeczywiście imponujący, gdyby teraz nie pojawiły się podejrzenia, że został osiągnięty głównie dzięki paru chytrym sztuczkom.

- To zwyczajne kłamstwa - odparł spokojnie Price. - Mamy jedynie niespełna dwieście milionów dolarów utopione w niespłacalnych kredytach, czyli około pół procenta całego kapitału obrotowego. Mniej więcej taki sam poziom strat notuje się średnio w przemyśle. Ścisłej biorąc, nawet większy.

- Więc dlaczego kongresman Allen na konferencji prasowej pokazał kartonową teczkę, mówiąc, że ma dowody na to, iż grube miliardy zostały utopione w niespłacalnych kredytach? Jak to wyjaśnisz?

- Nie potrafię - odparł krótko Price.

- To niewystarczająca odpowiedź, Walterze. Prosiłem, żebyś przygotował dla mnie wyczerpujący raport. Nie dostałem jednak żadnych materiałów.

- Bo nie ma o czym pisać w raporcie. Jesteśmy czysti.

- Walterze...

- Posłuchaj, Christianie. Prawie bez przerwy siedzą u nas kontrole, jak nie stanowe, to federalne. Nawet byś nie uwierzył, ile czasu inspektorzy finansowi spędzają w naszych biurach. Poza tym, mamy własnych wewnętrznych kontrolerów, którzy cały czas sprawdzają nasze operacje. Gdyby rzeczywiście były jakieś nieprawidłowości, już dawno wyszłyby na jaw.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że nie ma absolutnie niczego, czym należałoby się martwić?

- Chcę powiedzieć, że powinieneś we własnym zakresie wykupić tyle naszych akcji, ile tylko zdołasz, dopóki ceny utrzymują się na tak niezwykle niskim poziomie. Mniej więcej

za tydzień, kiedy skończy się to całe zamieszanie, wrócą do pierwotnego poziomu. A może nawet do wyższego.

Gillette odchylił się na oparcie obitego skórą fotela i zamyślił głęboko. Musiał zakładać, że Price mówi prawdę, że naprawdę nie ma się czym martwić i że cała ta afera została starannie wyreżyserowana. A przy takich założeniach trzeba było również przyjąć za pewnik przepowiednię dyrektora. Jeśli kontrole nie wykażą żadnych nieprawidłowości w Dominion, cena akcji spółki powinna błyskawicznie wrócić do wcześniejszego poziomu. Należało więc oczekiwać, że znajdą się rozwścieczeni akcjonariusze, którzy natychmiast pozbędą się swoich udziałów, chcąc odzyskać przynajmniej część zainwestowanych pieniędzy, nim nastąpi przepowiadany krach. Z drugiej strony, taka sytuacja uszczęśliwiłaby inną grupę ludzi spekulujących na giełdzie, którzy mimo ryzyka zainwestowali w nadzwyczaj tanie akcje, licząc na to, że ich cena znów zacznie rosnąć. Czemu więc miało służyć całe to zamieszanie?

Odpowiedź nasuwała się sama. Maczał w tym palce Strazzi, żeby wywrzeć nacisk na wdowę, przstraszyć ją śmiertelnie i nakłonić do sprzedaży udziałów w Everescie. Próbował przy tym zdobyć od Masona informacje obciążające firmy podległe Everestowi, żeby dodatkowo wzbogacić swoją intrygę, ale to mu się nie udało. Nie miało to jednak większego znaczenia. Najważniejsza była wszak plotka o zbliżającym się upadku Dominion. A po podpisaniu w poniedziałek umowy z wdową nie miało też najmniejszego znaczenia, czy kasa rzeczywiście upadnie, czy cena jej akcji szybko wróci do wcześniejszego poziomu. Bo Strazzi miałby już wtedy upragniony kawałek Everestu. Na nic by się zdały protesty wdowy, mógłby jej prosto w oczy kazać iść do diabła.

Gillette w zamyśleniu pokiwał głową. Można było przecież sprawdzić, czy ta teoria jest prawdziwa.

- Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać, Walterze - powiedział, wstając z fotela i wyciągając rękę na pożegnanie. Uznał bowiem, że nie ma czasu do stracenia.

Wyjaśnienia zagadki próżno było szukać w Waszyngtonie. Musiał natychmiast wracać do Nowego Jorku.

23

Wyłożenie kart. Ktoś musi przegrać.

- Niech oni wyjdą - rzekł stanowczo Gillette, wskazując Galwaya i jego kolegę zaraz po tym, jak razem ze Stilesem wkroczyli do gabinetu Stockmana.

- Dobrze - mruknął senator, ruchem ręki odprowadzając doradców.

- Ale mój człowiek zostanie - dodał Gillette, wskazując ochroniarza, kiedy obaj pracownicy senackiego biura zawrócili do drzwi.

Stockman skinął głową.

Gillette usiadł na krześle przed biurkiem i popatrzył na Stilesa. Ten podszedł do okna i dyskretnie dał znak dwóm swoim ludziom, którzy zostali z kierowcą limuzyny na ulicy.

- Jest czternasta w sobotnie popołudnie - odezwał się senator ze złością. - Co, do cholery, może być aż tak ważnego, że musieliście się natychmiast ze mną zobaczyć?

- Chyba pan już wie.

- Jak mam to rozumieć?

- Wczoraj wieczorem Quentin przekazał pańskiemu doradcy kopertę ze zdjęciami - wyjaśnił spokojnie Gillette. Wcale nie zamierzał rozmawiać ze Stockmanem agresywnie, znał inny sposób, żeby mu zadać cios między oczy. - Jestem pewien, że już do pana dotarły. - Popatrzył z satysfakcją, jak senator zagryza zęby i ciężko wzdycha. Bez dwóch zdań próbował nad sobą zapanować. Słyszał z porywczosci, a wszystko wskazywało na to, że jest bliski wybuchu. - Mam rację?

- Owszem - przyznał, siląc się na uprzejmy ton.

- Spotyka się pan z tą Jones już od pewnego czasu, prawda? Jeśli mam być szczery, kilkakrotnie zabierał ją pan nawet ze sobą w podróż do Waszyngtonu.

- No cóż, obaj wykazaliśmy się sporym zaangażowaniem, prawda? - odpowiedział Stockman.

- Wszystkie ciemne sprawy w końcu muszą ujrzeć światło dzienne.

- Twój ojciec powinien był słuchać dobrych rad, synu - warknął senator i wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu. - Gdyby ich słuchał, pewnie żyłby do dziś. I pewnie nie masz pojęcia, dlaczego twoja matka popadła w alkoholizm?

Gillette utkwiał przenikliwe spojrzenie w twarzy Stockmana. Nie po raz pierwszy ktoś sugerował, że katastrofa samolotowa, w której zginął jego ojciec, nie wydarzyła się przypadkiem, i jak zwykle tego typu uwaga burzyła w nim krew. Wiedział jednak, że senatorowi dokładnie o to chodziło. Miał do czynienia z nieudolną próbą pobudzenia skrajnej podejrzliwości i próby wymiany skandalicznych zdjęć na garść jakoby rzetelnych informacji w sprawie katastrofy, które zacieśniłyby więź między nimi.

- Powinien się pan cieszyć, że jestem człowiekiem rozsądnym, senatorze - odparł w końcu głosem wyzbytym wszelkich emocji, usiłując się skupić ponownie na celu wizyty. - Jak również z tego powodu, że obaj świetnie rozumiemy, iż sprowadzają mnie tu wyłącznie interesy. Mógłby pan gorzko żałować, gdybym znalazł czas na rewanż.

- Gdyby zależało ci tylko na zniweczeniu moich wysiłków w drodze do fotela prezydenta, „The New York Times” już dawno opublikowałby te przekłete zdjęcia. - Stockman wysunął szufladę, wyjął z niej kopertę z fotografiami i rzucił ją na biurko. - To przecież jasne - zawiesił na chwilę głos. - Więc czego chcesz?

- Odpowiedzi.

- Jakiej odpowiedzi?

- Czy współpracujesz z Paulem Strazzim w celu wyrugowania mnie z zarządu Everest Capital?

Stockman zamyślił się na krótko.

- Jeśli odpowiesz na wszystkie moje pytania - dodał Gillette z naciskiem - spalę duplikaty tych zdjęć. Jeśli nie, w ciągu godziny znajdą się w redakcji „Timesa”.

- Zgoda - rzekł potulnie senator. - Rzeczywiście współpracowaliśmy ze sobą.

- Dlaczego?

- Mnie zależało na głosach wyborców, Strazziemu na przejęciu Everestu. To chyba proste, nie? Poza tym, Paul do szpiku kości nienawidził Donovana. To także miało spore znaczenie.

- A co z Dominion Savings & Loan?

- Niby co ma być? - syknął z wściekłością.

- W rzeczywistości nie ma żadnych miliardów utopionych w niespłacalnych kredytach, prawda?

- Przecież to twoja firma - odparł ironicznie senator. - Powinieneś lepiej wiedzieć.

- Odpowiadaj, do jasnej cholery! i Stockman głośno zazgrzytał zębami. - No więc?

- Straty są porównywalne do innych w podobnych spółkach tej samej wielkości.

- To dlaczego senator Allen jest innego zdania?

- Nie rozumiem. - Skrzywił się, utkwivszy wzrok w zdjęciu, które wysunęło się z koperty.

- Widziałem jego wczorajszą konferencję prasową. Allen ogłosił publicznie, że ma dowody, jakoby straty w Dominion sięgały miliardów dolarów.

- Był mi to winien.

- Mimo wszystko nie chce mi się wierzyć, aby prominentny kongresman zwoływał konferencję prasową i oficjalnie oskarżał zarząd Everest Capital o defraudację, nie mając na to żadnych dowodów, i to niezależnie od tego, co jest komu winien. Równie dobrze mógłby sobie wypisać bilet powrotny z Waszyngtonu tylko w jedną stronę. Stockman zamyślił się na chwilę.

- Dobra, w tej sprawie mieliśmy pomoc.

- Czyją?

- Jednego z pracowników Dominion.

- Co to za pomoc?

- Na początku tego tygodnia ktoś przysłał nam kopię sprawozdania wyglądającego rzetelnie i wiarygodnie, a mówiącego o tragicznym stanie portfela kredytowego kasy, głównie z powodu licznych niespłacalnych kredytów. Przekazałem to sprawozdanie Allenowi.

- Który z pracowników Dominion przysłał ten fałszywy raport?

- Tego nie wiem - rzucił szybko Stockman. - Nie byłem specjalnie zaangażowany w tę sprawę. To należało do Strazziego.

- A kto jest informatorem Strazziego w biurze Everestu? - zapytał ostro Gillette.

Stockman posłał mu piorunujące spojrzenie.

- No, śmiało, senatorze. Przecież to oczywiste, że musicie mieć także kogoś wśród mojego personelu. Jakże inaczej Strazzi mógłby przekonać do współpracy kogoś ze ścisłego kierownictwa Dominion, kto przygotował fałszywy raport na użytek Allena.

Gospodarz nerwowo rozejrzał się po swoim gabinecie jak dzikie zwierzę zamknięte w ciasnej klatce.

- Marcie Reed.

Gillette ledwie zdołał się powstrzymać od gwałtownej reakcji, choć rozpierała go duma, że poznał nazwisko szczura. Powtórzył w myślach, iż będzie miał czas, żeby rozliczyć się z Marcie.

- Jeszcze jedno...

Przerwał mu sygnał telefonu komórkowego. Wyjął go szybko z kieszeni, włączył i spojrzał na wyświetlacz.

Dzwoniła Isabelle. Wczoraj kupił jej taki aparat i ucieszona jak małe dziecko nie mogła się powstrzymać, żeby nie wydzwaniać w kółko. Wyłączył telefon i schował go z powrotem. I tak za kilka godzin mieli się spotkać.

- Czy ta afera z Dominion to zasadniczy element planu, który Strazzi już dawno ułożył? - zapytał.

Stockman westchnął głośno, jakby z politowaniem.

- Nie. Wykorzystał tylko nadarzającą się okazję - odparł, cedząc słowa. - Z pewnością od dawna szukał sposobu na wygryzienie Billa Donovana z rynku. A sprawa oszustw w Dominion niejako sama wpadła mu w ręce.

- A zatem nie wierzy pan, żeby mógł zlecić zabójstwo Donovana? - ciągnął Gillette.

- Taka myśl nawet nie przyszła mi do głowy.

- Bzdura, senatorze. Dokładnie tak pan uważa, bo to układa się w logiczną całość. Kiedy zabrakło Donovan, Marcie Reed mogła z łatwością obarczyć go winą za nieprawidłowości w portfelu kredytowym Dominion, utrzymując, że od początku wiedział o stratach, lecz ukrył ten fakt przed kontrolerami. Mam rację?

Stockman przyglądał mu się w milczeniu z obojętnym wyrazem twarzy.

- Wystarczyło w końcu przekonać tylko jedną osobę, że są poważne problemy z kasą Dominion - ciągnął Gillette. - Oczywiście mówię o Ann Donovan. Trzeba było ją nakłonić, by odsprzedała Strazziemu swoje udziały w Everescie za lichwiarską cenę. A on, dysponując wtedy znaczącym pakietem głosów udziałowców, mógłby mnie usunąć z zarządu. Zgadza się? I po przejściu przez Strazziego akcji wdowy nic by was nie obchodziło, czy świat się dowie, w jakim naprawdę stanie jest portfel kredytowy Dominion. Dla was byłoby to już bez znaczenia. Pewnie tylko Allen byłby wściekły, ale nim zapewne także się nie przejmujecie. Podejrzewam, że macie coś na niego, coś znacznie gorszego niż sfalszowane sprawozdanie, które mu podsunęliście. Więc co miałby do powiedzenia? Nic - odpowiedział sam sobie. - Ja wprawdzie miałbym podstawy, by wytoczyć przeciwko niemu wszelkie możliwe działa za bezpodstawne oczernianie Everestu, ale gdyby wasz plan się powiódł, mną również nie musielibyście się przejmować. Strazzi zostałby nowym prezesem spółki. I przekonywałby Allena, żeby się niczym nie martwił, bo razem zapewnie mu ochronę. Byłby wściekły, że stracił wiarygodność, ale opinia publiczna ma bardzo krótką pamięć. - Popatrzył na Stockmana. - Tak to wszystko miało się potoczyć, prawda?

- Owszem - przyznał senator.

- To pan wciągnął w to Allena. W zamian Strazzi zagwarantował panu wsparcie i, jak się domyślam, razem z wielomilionowym funduszem. To dlatego nie przejął się pan zbyt moją odmową finansowania kampanii, kiedy spotkaliśmy się podczas lunchu. Wiedział pan już wtedy, że i bez mojego udziału dostanie pan wszystko, czego potrzebuje.

- Dobra robota, detektywie.

- Od jak dawna Marcie Reed współpracuje ze Strazzim? - zmienił nagle temat.

Senator wzruszył ramionami. <?

- No, słucham.

- Od pół roku.

- A od jak dawna pan jest z nim związany?

- Dłużej niż ona.

- Czy Donovan wiedział, że zawiązaliście spisek przeciwko niemu? - zapytał, przypomniawszy sobie, jak McGuire mówił mu, że prezes wpadł na trop jakiejś paskudnej tajemnicy Stockmana.

- Tak - przyznał gospodarz. - Dowiedział się o tym jakieś trzy miesiące temu. Korzystał z usług dobrze opłacanego informatora tutaj, w moim nowojorskim biurze, i ten o wszystkim mu donosił. Natychmiast wywaliłem kutasa, jak tylko odkryłem, co się święci.

- Więc dlaczego poprosił mnie pan o rozmowę podczas stypy po jego śmierci, domagając się wsparcia pana kampanii?

- Nie rozumiem.

- Przecież miał pan już pełne poparcie Straziego - wycedził Gillette. - Gdybym przyjął wtedy pańskie warunki, może nie udostępniłby pan Allenowi fałszywego sprawozdania na temat kredytów Dominion, ale straciłby pan przecież poparcie Straziego, nie mówiąc już o jego pieniądzach.

- Wtedy nie byłem jeszcze pewien, czy jego plan odkupienia akcji wdowy ma realne szansę powodzenia - przyznał Stockman. - Poza tym, bardzo mi zależało na dostępie do waszej sieci radiotelewizyjnej. Byłem zdania, że zawsze zdążę zgromadzić potrzebne fundusze, jeśli media zaczną mnie promować.

Gillette wstał. Był umówiony na spotkanie z Marcie i Kyle'em w biurze Everestu, ale wcześniej chciał jeszcze coś załatwić.

- Będziemy w kontakcie - rzucił, ruszając do wyjścia.

- A więc? - odezwał się szybko Stockman, także wstając z miejsca.

- Co: a więc?

- Odpowiedziałem na twoje pytania. Oddaj mi drugi komplet zdjęć.

Gillette zatrzymał się przy drzwiach.

- Pozwolę sobie zapytać jeszcze raz. Czy to Strazzi zlecił zabójstwo Billa Donovana? Senator pokręcił głową.

- Nie - odparł stanowczo. - Paul to twardy sukinsyn, ale do czegoś takiego nigdy by się nie posunął.

Gillette przez kilka sekund patrzył mu prosto w oczy, po czym skinął na Stilesa.

- Idziemy.

- Hej! - ryknął Stockman. - A co ze zdjęciami?

Gillette zerknął na niego przez ramię.

- Nie jestem pewien, senatorze, czy nie będziemy musieli wrócić do tej rozmowy.

W korytarzu przed biurem Stockmana czekali na windę w milczeniu. Zjechali także w ciszy. Ale gdy tylko wsiedli do samochodu i zatrzasnęli drzwi, Gillette powiedział:

- W poniedziałek po południu wyślij zdjęcia do redakcji „The Daily News”. Będziemy się mogli tłumaczyć, że przecież nie znamy tam nikogo i nie mamy pojęcia, jakim cudem fotografie wpadły im w ręce. Jasne?

- Tak.

Usiadł przy biurku Marcie i popatrzył na wskazania zegara na ekranie komputera. Było wpół do czwartej. Marcie i Kyle mieli tu czekać na niego o czwartej, żeby wspólnie wybrać przedsiębiorstwa, w których obejmą stanowiska prezesa. Oboje kręcili trochę nosami, że zwołał to zebranie tak nagle, w dodatku w sobotę, zgodzili się jednak przyjechać.

Włączył komputer i bębniąc palcami po biurku, czekał z niecierpliwością, aż system operacyjny obudzi się ze stanu wyczekiwania. Kiedy program antywirusowy zaczął samoczynnie sprawdzać twardy dysk, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer recepcji.

- Słucham - rozległ się głos Stilesa czuwającego w lobby.

- Quentin, nie wpuszczaj nikogo, dopóki ci nie powiem, że można.

- Takich rzeczy nie trzeba mi powtarzać dwa razy.

- Jestem w gabinecie Marcie Reed.

- Tak, wiem.

Chciał już odłożyć słuchawkę, ale po krótkim namyśle uniósł ją z powrotem i dodał:

- Wiesz co? Jak ci nie wypali interes z agencją ochrony, zawsze będziesz mógł liczyć na stanowisko w recepcji Everestu.

- Jesteś niezwykle hojny, Christianie.

Gillette uśmiechnął się szeroko i przerwał połączenie. Szybko wpisał hasło dostępu Marcie. System zabezpieczeń biurowej sieci zapisywał na jego komputerze stale aktualizowany plik z hasłami dostępu do poszczególnych terminali. Na początku ubiegłego tygodnia specjalnie ściągnął fachowca z firmy, która instalowała komputery w biurze, i kazał mu uzupełnić system o taką opcję. Wymógł przy tym obietnicę, że żaden z pracowników nie dowie się o takim rozwiązaniu.

Po wejściu do systemu szybko przejrzał pocztę elektroniczną Marcie, szukając wiadomości związanych z Dominion. Chciał zyskać jakikolwiek dowód, który by potwierdził oskarżenia Stockmana, że to właśnie ona jest szczyrem Straziego. Zdawał sobie sprawę, iż może to być najwyżej mocno zawoalowana wiadomość, gdyż Reed była bardzo ostrożna i przebiegła. Nie sądził, by z własnej woli przyznała się do współpracy z konkurencją.

Oczywiście, zamierzała pewnie przejść do Apeksu zaraz po wykupieniu przez Straziego akcji wdowy. Należało przypuszczać, że podpisała jakiś rodzaj wstępnej umowy o pracę, zanim zgodziła się mu pomagać, toteż nawet groźba utraty stanowiska w Evereście nie byłaby jej w stanie skłonić do szczerości. Ale gdyby znalazł dowód na to, że pomagała Straziemu w manipulowaniu rynkową ceną akcji Dominion, musiałaby odpowiadać za oszustwo przed Komisją Bezpieczeństwa Obrotu Papierami Wartościowymi. Akcjonariusze stracili grube miliardy dolarów, toteż udział w takim oszustwie byłby zagrożony karą wieloletniego więzienia. Wobec takiej perspektywy powinna zacząć mówić.

Sprawdził najpierw pocztę przychodzącą, a następnie wiadomości wykasowane. Były ich setki, potrzebował więc sporo czasu, żeby je przejrzeć. Spojrzał znów na zegarek. Była za kwadrans czwarta. Postanowił, że jeśli teraz niczego nie znajdzie przy pobieżnym sprawdzaniu, wróci tu jutro i prześwietli dokładnie wszystkie pliki. W niedzielę nikt mu nie powinien przeszkadzać.

Przeszedł w końcu do wiadomości wysłanych i zaczął je przeglądać w pośpiechu, skupiając się tylko na rubryce z tematem sprawy. Przewijał je szybko, gdy nagle coś mu wpadło w oko. Musiał się cofnąć o kilkanaście pozycji, zanim ponownie natrafił na hasło „Płatność”. Firmowało ono wiadomość wysłaną pod adresem KHays@MPBrands.com. MP Brands było nazwą jednej z firm należących do Everestu, to właśnie w niej musiał pracować adresat, K. Hays. Zmarszczył brwi, uzmysłowivszy sobie nagle, że chodzi o Kathy Hays, tę kobietę, którą zastał w niedwuznacznej sytuacji z Masonem w gościnnej sypialni dworku Donovanów. To Lefors obwieścił mu natychmiast, że Hays zeszła do sutereny w ślad za Masonem.

Naprowadził kursor na tę wiadomość i nacisnął klawisz myszki.

- Christianie - doleciał z interkomu głos Stilesa.

- Słucham.

- Marcie Reed właśnie wysiadła z windy.

- Zatrzymaj ją - polecił, błyskawicznie przebiegając wzrokiem tekst wiadomości:

Dostaniesz z 250000, jak wszystko pójdzie dobrze, a później po 25000 miesięcznie przez pół roku. Po tym czasie będziesz musiała zacząć radzić sobie sama. Złożysz wypowiedzenie w MP Brands zaraz po tym, jak zostaniecie nakryci.

Spojrzał na datę i godzinę wysyłki wiadomości. Została nadana przed dwoma tygodniami, w piątek, o 13:45. Jeszcze raz uważnie przeczytał jej treść.

A zatem Strazzi zatroszczył się i o to, żeby Mason wyleciał z hukiem z Everestu. Zapłacił Kathy Hays, by zaciągnęła go do łóżka. Później wystarczyło, że w czasie stypy

Marcie powiedziała Leforsowi o spotkaniu w suterenie, w pełni świadoma, że ten gorliwie poinformuje o schadzce Gillette[^], chcąc wykorzystać nadarzącą się sposobność do pozbycia się Masona i zajęcia jego miejsca w zarządzie.

Strazzi chciał zatrudnić Masona u siebie ze względu na jego bogatą wiedzę o działalności Everestu, zwłaszcza że liczył, iż ten dostarczy mu kopie dokumentów obciążających konkurencję. Wszystko szło zgodnie z planem do czasu, aż Jose zjawił się w mieszkaniu Masona i zabrał skopiowane dokumenty. Nie wpłynęło to jednak na decyzję wdowy, która i tak zgodziła się sprzedać swoje akcje, zbulwersowana aferą wokół kasy Dominion.

Na szczęście był jeszcze czas, żeby nie dopuścić do tej transakcji. Gillette był przekonany, że gdy tylko wdowa pozna prawdę, zmieni decyzję, choćby dlatego, że jej pakiet jest rzeczywiście wart o wiele więcej, niż proponuje Strazzi, a po ujawnieniu spisku i oszustwa ceny akcji Dominion powinny szybko wrócić do pierwotnego poziomu i zniknie groźba federalnej inspekcji w biurze Everestu.

Zaledwie puścił wydruk demaskatorskiego maila, usłyszał jakiś zgiełk w korytarzu, harmider podniesionych głosów, wśród których wyróżniały się piskliwe okrzyki Marcie. Najwyraźniej na kogoś wrzeszczała.

Chwycił kopię wiadomości z tacki drukarki i ruszył szybko do drzwi, lecz dopiero w sekretariacie przypomniał sobie, że zostawił włączony komputer w gabinecie Marcie. Zawrócił szybko, żeby go wyłączyć, gdy Reed i Stiles wylonili się zza zakrętu korytarza. Ochroniarz delikatnie, lecz stanowczo, próbował jeszcze bezskutecznie zatrzymać szarżującą Reed, która pokrzykiwała na niego:

- Zabieraj te łapy ode mnie! Jeszcze zobaczysz!

- Proszę pani, ja tylko...

- Idę przecież do swojego gabinetu! Do cholery! Jestem tu współnikiem zarządu, więc lepiej... - Urwała nagle, zobaczywszy Gillette'a przy biurku jej sekretarki. - Witaj, Christianie.

- Cześć, Marcie - odparł spokojnie, składając kartkę wydruku i chowając ją do kieszeni. - O co chodzi?

- Twój goryl próbował mnie zatrzymać w recepcji, mimo że wcześniej dokładnie mnie obszukał. Powiedziałabym nawet, że bezczelnie mnie obmacywał.

Gillette dał znak Stilesowi, że może odejść.

- Zawiadom mnie, jak tylko zjawi się Lefors - rzekł.

- Oczywiście. ' - '.,

- Cjentin tylko wykonywał moje rozkazy, Marcie - wyjaśnił, gdy ochroniarz zniknął im z oczu. - Nie robił przecież nic złego.

- Co tu się dzieje, do diabła? - zapytała ostro, zsuwając rozsypujące się włosy za uszy.

- Z jakiego powodu ochrona zachowuje się tak, jakbyśmy pracowali w centrali CIA?

Zawahał się.

- Były dwa następne zamachy na moje życie od czasu eksplozji bomby podłożonej w limuzynie - odpowiedział w końcu.

Oczy jej się rozszerzyły i błyskawicznie zakryła dłońmi usta.

- Och, mój Boże... Dlaczego?...

Przemknęło mu przez myśl, że za to przedstawienie zasługiwała na Oscara. Nie dał się jednak nabrać. Fakty coraz bardziej wskazywały na to, że Cohen miał rację. Za wszystkim stał Strazzi, i za morderstwem Billa Donovana, i za podłożeniem bomby w samochodzie. Pewnie dwa późniejsze zamachy także były inspirowane przez niego. A Marcie ściśle z nim współpracowała. Przynajmniej z jego punktu widzenia była winna współudziału w spisku.

- Sądzę, że ktoś próbuje przejąć Everest..

- Kto?

- Jeszcze...

- Cześć, Christianie - zawołał z daleka Lefors, wyłaniając się zza rogu korytarza. Trzymał w ręku zjedzony do połowy batonik. - Jak się masz, Marcie.

Gillette skinął mu głową. Za to Reed szybko odwróciła wzrok.

- Chodźmy do małej sali konferencyjnej sąsiadującej z moim gabinetem - zaproponował, usiłując zrozumieć, co się dzieje między nimi. Był świadkiem tylko ostrej rywalizacji, czy też kryło się za tym coś więcej? - Tam porozmawiamy swobodnie.

- Przyjdę za chwilę - powiedziała Marcie, kierując się do swojego gabinetu. - Muszę coś sprawdzić.

Odprowadził ją wzrokiem, zastanawiając się, jak jej wytłumaczyć, że komputer był wyłączony. Machnął ręką na Leforsa i ruszył w stronę sali konferencyjnej.

- Co myślisz na temat Coyote Oil?

- Nie mam zastrzeżeń - odparł tamten. - Dokładnie przejrzałem materiały, jakie nam przysłali, i nic nie wskazuje na to, żeby były fałszywe.

Gillette nie miał okazji choćby rzucić okiem na te dokumenty.

- Będiesz razem z Cohenem dzwonił do Szwajcarii? - zapytał, otwierając drzwi sali konferencyjnej.

- Aha. Jesteśmy umówieni na jutrzejszy wieczór, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Wypytaj ich dokładnie, Kyle.

- Jasne.

Parę sekund później w drzwiach pojawiła się Marcie. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest podenerwowana. Policzki miała zaczerwienione, a pobladłe wargi zaciśnięte w wąską kreskę. Zająwszy miejsce przy stole, natychmiast skrzyżowała ręce na piersi. Z pewnością zauważyła na ekranie wiadomość wysłaną do Kathy Hays, wiedziała więc, że ją kontrolował.

- Coś się stało? - zapytał.

- Nic - odparła zdawkowo, wpatrując się w kant stołu. - - Nie żartuj - rzucił swobodnie. To spotkanie i tak miało się dla niej skończyć źle, toteż nic nie stało na przeszkodzie, żeby od razu przejść do sedna rzeczy. - Przecież widzę.

- Świetnie wiesz, co się stało.

Gillette zerknął na Leforsa, który z uwagą wpatrywał się w Marcie.

- Niby co miałbym wiedzieć?

- Włamałeś się do mojego komputera i przeglądałeś pocztę elektroniczną. A może on to zrobił? - syknęła, wskazując Leforsa.

Ten uniósł obie ręce w obronnym geście.

- Moi?

- Tak, ty.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Już to widzę.

- Dlaczego miałbym się włamywać do twojego komputera? - zapytał zdumiony Lefors.

- Bo nie chcesz, żebym i ja awansowała. Usiłujesz na mnie coś znaleźć, jakiegoś haka, który przekonałby Christiana, że nie zasługuję na stanowisko wspólnika zarządu.

- To śmieszne. Moim zdaniem w każdej prywatnej firmie kapitałowej powinna pracować kobieta pełniąca rolę maskotki.

- Ty dupku! - wrzasnęła, podrywając się z krzesła.

- Dość tego! - rzucił ostro Gillette, uciszając ich oboje. - Chcę na parę minut zostać sam na sam z Marcie - zwrócił się do Leforsa. - Zaczekaj w swoim gabinecie.

- Nie ma sprawy - odrzekł Kyle.

Wstał szybko i z triumfalną miną ruszył do wyjścia, po drodze obrzuciwszy Reed ironicznym spojrzeniem. Kiedy zamknął za sobą drzwi, Gillette gestem dłoni kazał Marcie siadać.

- Na pewno nie chcesz mi nic powiedzieć? - spytał, popatrując na jej nerwowe ruchy, którymi owijała kosmyk włosów wokół palca.

Powoli przeniosła wzrok na niego.

- Zabrzmiało to groźnie.

- Możesz to sobie traktować, jak ci się żywnie podoba. Tylko odpowiedz.

Pokręciła głową.

- Nie mam nic do powiedzenia.

Można się było tego spodziewać, pomyślał. Wyglądało na to, że będzie zmuszony wyciągać z niej zeznania.

- Na pewno nie współpracowałaś z Paulem Strazzim?

- Ze Strazzim? - powtórzyła z udawanym zdziwieniem, unosząc dłonie do piersi. - Skądże znowu. Dlaczego miałabym to robić?

- To bardzo ważne pytanie.

- Więc dlaczego uważasz, że to robiłam?

- Bo tak twierdzi senator Stockman.

- Co takiego?

- Nie przestyszałaś się. Rozmawiałem z nim dwie godziny temu i powiedział, że to ty podsunęłaś Strazziemu pomysł wykorzystania Dominion i skontaktowałaś go z kimś, kto tak spreparował dokumenty, by wyglądało, że kasa straciła miliardy dolarów utopione w niespłacalnych kredytach. Oczywiście celem tych działań było maksymalne obniżenie ceny akcji Dominion po tym, jak kongresman Allen wygłosił wczoraj swoje bulwersujące oświadczenie. I ceny poleciały na łeb na szyję.

Marcie oczy się rozszerzyły. Natychmiast przestała kręcić palcem włosy.

- Strazzi próbuje przejść Everest - ciągnął. - Udało mu się przekonać Ann Donovan, żeby sprzedała swoje udziały w spółce. W ten sposób przejmie zarazem prawo do czwartej części głosów walnego zgromadzenia inwestorów, co pozwoli mu z łatwością pozbyć się mnie i zająć miejsce prezesa. - Zawiesił na chwilę głos. - Jestem jednak pewien, że to nie jest dla ciebie żadna nowość.

Energicznie pokręciła głową.

- Skądże. Nie wiedziałam...

- Marcie, nie obrażaj mnie, dobrze?

Przez dłuższy czas patrzyła mu prosto w oczy, wreszcie wyraźnie się przygarbiła na krześle.

- Lepiej powiedz prawdę - rzekł. Nadal milczała, więc dodał:

- Jeśli jesteś zamieszana w tę aferę, będziesz miała poważne kłopoty z inspekcją federalną. Kłopoty natury kryminalnej. Lecz jeśli wszystko szczerze wyznasz, zrobię, co w mojej mocy, żeby cię chronić.

Jeszcze raz zerknęła na niego ze strachem w oczach.

- Kto z kierownictwa Dominion poszedł na tę współpracę? - zapytał.

Wciąż się wahała.

- Nie pogarszaj swojej sytuacji, Marcie. Przecież wiesz, że mogę...

- Dobra, w porządku. Ten człowiek to Marty Reisner. Jest w Dominion kierownikiem działu kontaktów z mediami. Wie wszystko o systemie komputerowym Dominion, potrafi zręcznie manipulować danymi.

Gillette pokiwał głową.

- Dlaczego na to poszłaś, Marcie? Czemu zgodziłaś się pomagać Strazziemu?

- Nie żartuj, dobrze? Przecież Donovan nawet przez chwilę nie zamierzał mnie awansować. Tymczasem Strazzi zaproponował mi wspaniałe warunki zatrudnienia w Apeksie. Nawet się za bardzo nie ociągałam z decyzją.

- Ale fałszywy raport o niespłacalnych kredytach powstał już po śmierci Donovana. Powinnaś była się domyślać, że cię awansuję, a przynajmniej mieć taką nadzieję. Czemu ryzykowałaś współudział w tak głośnym skandalu, nie mając jeszcze pojęcia, jakie miejsce widzę dla ciebie w firmie?

- Strazzi i tak zaferował dużo więcej, niż tobie kiedykolwiek przyszłoby do głowy. Przede wszystkim daleko posuniętą niezależność. I swobodę inwestowania. Oprócz znacznie wyższej pensji obiecał też udziały w zyskach. To zaważyło. A inspekcji federalnej wcale się nie boję. W ogóle nie zdoła mnie powiązać z aferą Dominion. Ostatecznie będę miała przeciwko sobie tylko zeznania Reisnera.

- Jak też Stockmana i Straziego - przypomniał. - Mylisz się, wpadłaś w bardzo poważne kłopoty. Wiedziałaś wcześniej, że Strazzi szykuje zamach na życie Billa Donovana?

- zapytał nieco ostrzej.

- Co takiego? Przecież Bili utonął.

- Został zamordowany, a zabójstwo zlecił Strazzi. Powinnaś była wiedzieć, co się święci.

- O niczym nie miałam pojęcia.

- Na pewno miałaś. Inaczej byś się nie angażowała. Donovana trzeba było usunąć z drogi, żeby Strazzi mógł odkupić akcje należące do wdowy. I wszystko poszłoby zgodnie z planem, gdyby Stockman zdołał się choć trochę pohamować. Nigdy bym się nie domyślił

prawdy, gdyby nie jego romans z tą Jones. Bez obciążających dowodów nie zmusiłbym go do mówienia.

- Romans? - powtórzyła zdumiona Marcie.

- Tak, romans. A ja zdobyłem ich zdjęcia.

- Jezu... - szepnęła. - Posłuchaj, Christianie. Naprawdę nic nie wiedziałam o zamachu na życie Donovana. Przysięgam. Strazzi zaczepił mnie kilka miesięcy temu i zaproponował układ. Miałam mu pomóc przyczynić się do upadku Donovana w zamian za dobrze płatną posadę i możliwość inwestowania na własną rękę. Z tego, co mi wiadomo, Strazzi sam wpadł na pomysł wykorzystania afery w Dominion. I potrzebne mu były akcje wdowy, żeby pozbyć się ciebie. Naprawdę nie wierzę, by miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Donovana.

Gillette odchylił się na oparcie krzesła, w pełni świadomy, że za nic w świecie nie zdoła jej udowodnić kłamstwa.

- To ja włączyłem twój komputer dziś po południu - rzekł. - Nie Kyle. Przeglądałem twoją pocztę elektroniczną w nadziei, że znajdę coś związanego z aferą Dominion. - Obserwował ją uważnie, ale siedziała z obojętną miną. Tyle że znów zaczęła owijać kosmyk włosów wokół palca. - Niczego nie znalazłem. Co mnie zresztą wcale nie zaskoczyło. Byłem pewien, że nie wysyłałabyś żadnych obciążających cię wiadomości pocztą elektroniczną. Bałabyś się trwałego śladu zostawionego na serwerze.

- No właśnie - powiedziała cicho. - Nie jestem głupia.

- Znalazłem jednak to. - Wyjął z kieszeni wydrukowaną wiadomość dla Kathy Hays i popchnął ją po stole w kierunku Reed. - Było w katalogu twojej poczty wysłanej. A to świadczy wymownie, że Strazzi również podsunął Troyowi Masonowi tę kobietę, Kathy Hays. Za twoim pośrednictwem - dodał.

Marcie wolno przesunęła dłoń po lakierowanym blacie i sięgnęła po złożoną kartkę. Rozpostarła ją i pospiesznie przebiegła wzrokiem.

- Ja tego nie napisałam.

- Nie zaprzeczaj, Marcie - rzekł ze złością. - Lepiej mów prawdę.

- Przecież mówię. Ja tego nie napisałam. - Spojrzała szybko na nagłówek maila, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście został wysłany z jej komputera. - Ktoś musiał się włamać do mojej poczty i to napisać, gdy nie było mnie w biurze.

- Marcie, masz już wystarczająco dużo kłopotów w związku z akcjami Dominion. Chyba sama to rozumiesz. Już mówiłem, że jeśli będziesz ze mną współpracować, zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Znam paru ludzi z Federal Plaza. Niczego nie obiecuję z góry, ale naprawdę wstawię się za tobą.

- Nikt mi niczego nie udowodni - powiedziała butnie.

- Przyznaj, że to Strazzi wystawił Masona - rzekł stanowczo.

- Może i tak, ale ja o niczym nie miałam pojęcia. I nie ja napisałam tego maila - odparła.

- Kyle twierdzi, że wiedział, w jakim celu Mason podczas stypy wszedł do suterenu z kobietą, bo ty mu to powiedziałaś.

. - - W takim razie kłamie - odparła spiętym głosem.

- Więc skąd ten mail...? '! - Nie ja go napisałam!

Uniósł szybko obie ręce.

- W porządku, jak wolisz. - Maglowanie tego tematu stawało się bezcelowe. - Chcę, żebyś natychmiast opuściła biuro - rzekł lodowatym tonem. - Zadzwoń do ciebie jutro i powiem, co dalej zrobimy.

- Czy to znaczy, że mnie zwalniasz? - zapytała, podnosząc się z krzesła.

- Tak. Jesteś zwolniona.

- Świetnie - rzuciła, ruszając do wyjścia. - Możesz się jutro nie trudzić i nie dzwonić do mnie.

Odprowadził ją spojrzeniem, a gdy zniknęła w korytarzu, podniósł słuchawkę i wybrał numer recepcji.

- Quentin?

- Słucham.

- Natychmiast odzyskaj Marcie i wyprowadź ją stąd. Nie pozwól jej niczego zabierać. Powiedz, że jej rzeczy osobiste zostaną spakowane i odesłane jutro pod domowy adres. Zrozumiałeś?

- Jasne.

Gillette odłożył słuchawkę i poszedł do gabinetu Leforsa. Ten siedział z nogami na biurku, zjadał chipsy ziemniaczane z dużej paczki i czytał gazetę.

- Hej - rzekł na jego widok, błyskawicznie spuścił nogi i odłożył gazetę. - Co, do diabła, dzieje się z Marcie?

Gillette pokręcił głową.

- Nic. - Przynajmniej na razie nie zamierzał jeszcze wtajemniczać Leforsa. Coś mu podpowiadało, że ten wie o wiele więcej na temat wydarzeń z ubiegłego tygodnia, niż byłby gotów mu o tym powiedzieć.

- Więc jak? Porozmawiamy o firmach, które mógłbym od ciebie przejąć? - zapytał Lefors z nadzieją w głosie.

- Odłóżmy to na później. Teraz chciałbym, żebyś mi odpowiedział na jedno pytanie.

- W porządku. Słucham.

- Skąd się dowiedziałeś, że Kathy Hays poszła do pokoju gościnnego z Troyem Masonem w czasie stypy?

Lefors obrzucił go podejrziwym spojrzeniem.

- Już mnie o to pytałeś.

- Ale pytam jeszcze raz.

- Marcie mi powiedziała.

- Jesteś pewien, że chcesz się trzymać tej wersji?

- Oczywiście - odparł, lecz z parosekundowym opóźnieniem.

Gillette jeszcze przez kilka sekund stał w drzwiach i spoglądał na niego, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył do swojego gabinetu.

- To prawda. Zgodziłam się sprzedać swoje udziały w Everescie Paulowi Strazziemu - powiedziała Ann Donovan. - Przykro mi, Christianie. Oboje dobrze wiemy, co to oznacza. Paul będzie chciał cię usunąć ze stanowiska prezesa. Jesteś nadzwyczaj miłym młodym człowiekiem i na pewno będziesz bardzo rozczarowany, ale nie mam wyboru. Znajdziesz sobie jakąś inną posadę.

- Pozwolę sobie zauważyć...

- Naprawdę muszę tak postąpić - przerwała mu. - Żeby chronić siebie. Ta afera z kasą Dominion mnie przeraża. Straciłam już w przybliżeniu pięćdziesiąt milionów dolarów. Nie pochodzę z bogatej rodziny. Pieniądze wciąż mnie martwią. Tymczasem Paul gotów jest zapłacić mi ponad dwa miliardy dolarów, do tego większość w gotówce. Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, uznałam, że będzie najlepiej, jak przyjmę jego ofertę.

- Czy poza sprawą Dominion jest pani jeszcze zaniepokojona jakimiś działaniami Everestu, pani Donovan? - zapytał, siłąc się na oficjalny ton.

Odwróciła głowę i popatrzyła na wiszący nad kominkiem olejny obraz przedstawiający posiadłość, jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

- Jak się domyślam, inne przedsiębiorstwa pozostające pod kontrolą Everestu także mają poważne problemy.

- Paul Strazzi tak mówił?

- Owszem. Ale nie tylko on.

- Senator Stockman? - Pospiesznie przeniosła wzrok z powrotem na niego, więc od razu się domyślił, że ma rację. - Czy Strazzi pokazał pani dowody na to, że podległe nam firmy borykają się z poważnymi kłopotami? Podał jakieś konkrety?

Zawahała się.

- Nie.

- Pani Donovan, być może to, co powiem, będzie dla pani szokiem, ale musi pani to usłyszeć.

- Już nie ma znaczenia, co chcesz mi powiedzieć, Christianie, bo nie zamierzam zmieniać podjętej decyzji.

- Strazzi celowo manipulował ceną akcji Dominion - powiedział spokojnie. - A Stockman mu w tym pomagał. Zrobili to tylko po to, żeby wyłudzić od pani pakiet akcji Everestu za pół ceny. Nawet Strazzi nie byłby w stanie zapłacić tyle, ile naprawdę warte są te akcje, czyli ponad cztery miliardy dolarów, jeśli wierzyć wyliczeniom Bena Cohena. Nawet on nie dysponuje takimi pieniędzmi. Dlatego musiał obmyślić chytry sposób na to, żeby pozornie zmniejszyć wartość tego pakietu.

- Nie wierzę.

- Jeden z wysoko postawionych pracowników Everestu maczał w tym palce, pani Donovan. Dziś po południu uzyskałem potwierdzenie swoich podejrzeń.

- Niemożliwe...

- Proszę mnie jednak wysłuchać do końca - ciągnął stanowczo. - Robi pani olbrzymi błąd. Jak tylko inwestorzy się przekonają, że było to oszustwo szyte grubymi nićmi, ceny akcji Dominion natychmiast wrócą do pierwotnego poziomu. Będzie pani wtedy żałowała swojej decyzji.

Zamknęła oczy. Jej głowa coraz mocniej kołysała się na boki.

- Rzeczywiście nic wiem o problemach doskwierających podległym wam firmom, ale mówiąc szczerze, nawet nie chcę o nich wiedzieć. Widzę tylko, że wartość moich inwestycji w Dominion spadła prawie do zera. - Przłożyła dłoń do wątlej piersi. - Niedawno rozmawiałam ze swoim adwokatem i dowiedziałam się od niego, że nie powinno być żadnych kłopotów ze sprzedażą akcji. Wszystko jest już ustalone. W poniedziałek po południu moje konto bankowe wzbogaci się o dwa miliardy dolarów. I będą to nie prawdziwe, namacalne pieniądze, Christianie, a skrawki papieru, na których jest napisane, że posiadam jakiś fundusz, którego nawet nie rozumiem.

Gillette siedział w swoim gabinecie rozjaśnionym tylko mętnym światłem lampki na biurku. Była dziewiąta wieczorem. Umówił się z Isabelle na spóźnioną kolację w jej pokoju hotelowym o dziesiątej. Powinien się cieszyć tą perspektywą, ale nie był do tego zdolny. Czuł się głęboko zawiedziony. Był niemal pewien, że zdoła nakłonić Ann Donovan do zmiany decyzji.

- Wygląda na to, że ona jest całkowicie przekonana co do słuszności swoich zamierzeń - powiedział Cohen.

- Owszem - przyznał cicho.

- Niedobrze. - - Zgadza się.

- Cóż, pewnie już słyszałeś, że sprawdzałem ludzi z zarządu Coyote Oil - rzekł Cohen.

- Rozmawiałem z ich poplecznikami ze Szwajcarii.

Gillette podniósł głowę.

- Tak szybko? Lefors mówił, że umawialiście się na wspólną rozmowę na jutrzejszy wieczór, kiedy u nich będzie poniedziałek rano.

- To fakt, ale nie chciałem tak długo czekać.

- I zastałeś ich w biurze? Podczas weekendu?

Cohen pokręcił głową.

- Nie. Hansen podał mi ich numery komórkowe. Rozmawiałem z samym szefem grupy w Europie. Kilka godzin temu urządziliśmy małą konferencję telefoniczną z nim i paroma jego podwładnymi.

Gillette spojrział na zegarek.

- Jezus, Maria... Która tam była godzina?

- Północ.

- Chyba rzeczywiście bardzo im zależy na tej transakcji.

- No pewnie. Okazało się, że transakcję będą wspierać dwa duże towarzystwa ubezpieczeniowe z Norwegii i Szwecji, a szczegółami mają się zająć ludzie, którzy świetnie się znają na branży naftowej.

- Co to za ludzie?

- Zostawiłem kartkę z nazwiskami w gabinecie. W poniedziałek ci ją przedstawię.

- Tak więc jesteś zadowolony z wyników sprawdzania kontrahenta? - zapytał Gillette.

- O, tak, jasne - odparł Cohen z zapalem. - Rozmawialiśmy oddzielnie z dyrektorami działów inwestycji obu towarzystw ubezpieczeniowych. Są gotowi zapłacić tyle, ile zażądamy. Możemy zamknąć sprawę w ciągu miesiąca.

- Lefors był obecny przy tych wszystkich rozmowach?

- Słucham?

- Powiedziałaś: „Rozmawialiśmy z dyrektorami działów inwestycji”.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- Nie, Lefors nie włączył się jeszcze w negocjacje. Rozmawiałem sam.

- Aha. - Gillette rozejrzał się po gabinecie i pokręcił głową. - To wszystko nie trzyma się kupy, Ben. Dlaczego Coyote chciałby aż tyle przepłacić za tereny pozbawione ropy i gazu? Zwłaszcza jeśli naprawdę korzysta z usług takich fachowców, jak mówiłeś.

- A kogo to obchodzi, Christianie? Ważne, że możemy szybko dobić targu.

Zadzwoił telefon, litościwie odrywając go od natrętnych myśli, które nie opuszczały go od czasu spotkania z przedstawicielami Coyote Oil. Z wahaniem podniósł słuchawkę, gdyż nie rozpoznał numeru, który pojawił się na wyświetlaczu.

- Halo.

- Christian?

- Tak.

- Tu Miles.

- Cześć. Co u ciebie?

- Dobrze. Ale nie mogę tego powiedzieć o Paulu Strazzim.

- Nie rozumiem.

- Jakąś godzinę temu znaleziono jego zwłoki w odludnej części Central Parku. Został zamordowany.

- Zamordowany? - powtórzył osłupiały Gillette. Cohen popatrzył na niego wybałuszonymi oczyma.

- Tak. Ktoś go zastrzelił.

- Jezu... Policja zidentyfikowała zabójcę?

- Nie. Gliny nawet nie chcą ujawnić, czy był to napad rabunkowy, czy co innego.

- A co, do pioruna, Strazzi robił w odludnym zakątku Central Parku?

- Prawdopodobnie biegał. Traktował jogging jak religię. W ubiegłym tygodniu nawet rozmawialiśmy o tym podczas lunchu.

- W takim razie to nie mógł być napad rabunkowy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyślałby, że ma przy sobie większą gotówkę, biegając po parku. Musiał paść ofiarą najemnego zabójcy.

- Nie upierałbym się przy takiej konkluzji - zauważył Whitman. - Do diabła, mógł się przecież natknąć na jakiś gang. Wiesz, że uzbrojeni gówniarze często zabijają ludzi bez konkretnej przyczyny. Ot, tak sobie, dla sportu.

- O której godzinie zginął? - zapytał Gillette.

- Nie wiem. - Przez chwilę na linii panowało milczenie. - A więc, Christianie, jak zamierzasz to uczcić?

Uczcić czyjąś śmierć? Dziwny pomysł.

- Niczego nie będę czcił, Miles. - Coś takiego w ogóle nie wchodzi w rachubę, nawet gdyby to Strazzi stał za zamachami na mnie, pomyślał Gillette.

- Chyba rozumiesz, co chciałem powiedzieć - dodał cicho Whitman.

- Dziś wieczorem jestem umówiony na późną kolację z przyjaciółką.

- Poważnie? Dokąd się wybieracie?

- Jeszcze nie wybraliśmy lokalu.

- Pewnie słyszałeś o tej nowej restauracji w SoHo, o Nom de Plume. To głównie miejsce spotkań pisarzy i aktorów, ale świetnie się nadaje do celebrowania dzisiejszego wieczoru. Znam jej właściciela. Znalezienie tam wolnego miejsca graniczy z niemożliwością, zwłaszcza w sobotni wieczór, ale mógłbym zadzwonić i załatwić ci stolik.

- Dzięki, Miles, ale... - Zaczęła migotać lampka oznaczająca inne połączenie. - Przepraszam, mam drugi telefon. Pilny - rzekł, od razu rozpoznawszy numer rozmówcy.

- Daj mi znać, jeśli zdecydujesz się wybrać tam z przyjaciółką.

- Dzięki. - Szybko przełączył się na drugą linię. - Słucham.

- Christian? - padło cichutkim, ledwie słyszalnym głosem.

- Tak.

- Mówi Ann Donovan.

Widocznie i ona już wiedziała o śmierci Strazziego.

- Witam, pani Donovan - odparł spokojnie.

- Słyszałeś już? - zapytała niepewnie.

- O czym?

- O Paulu Strazzim.

- Tak, słyszałem.

- Zadzwonił do mnie mój adwokat, którego powiadomili prawnicy Strazziego. Nasza umowa jest nieważna - powiedziała wyraźnie roztrzęsionym głosem. - Mam nadzieję, że nie uraziłam cię w żaden sposób w czasie naszej popołudniowej rozmowy.

Jeśli nawet, to i tak nie zamierzał tego roztrząsać.

- Oczywiście że nie. - W tej sytuacji musiał myśleć wyłącznie w kategorii budowania mostów. - Utkwiło mi w pamięci to, co pani powiedziała, pani Donovan. Nie czuje się pani dobrze, mając tak duże pieniądze zamrożone w akcjach Everestu. Wolałaby je pani rozdzielić między różne lokaty, co jest bardzo rozsądne. Mogę pani pomóc w tym zakresie, jeśli tylko wyrazi pani takie życzenie.

- Dziękuję, Christianie - odparła zdecydowanym głosem.

- Ale będzie pani musiała współpracować ze mną.

- Tak, oczywiście. To jasne - zgodziła się ochoczo, z olbrzymią ulgą.

- I zapomnieć o jakichkolwiek negocjacjach za moimi plecami.

- Tak. Obiecuję. Od tej pory natychmiast cię zawiadomię, jak tylko ktoś złoży mi propozycję sprzedaży akcji. Dobrze?

- Dobrze, właśnie o to mi chodziło. - Zawiesił na chwilę głos. - Zatem dobranoc, pani Donovan. Niedługo się z panią skontaktuję.

- Dobrej nocy, Christianie. Dziękuję za wyrozumiałość. Jeszcze raz chciałabym wyrazić nadzieję, że nie byłeś dzisiaj na mnie rozzłoszczony.

- Ani trochę. W pełni rozumiałem pani decyzję.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na Cohena, który wpatrywał się w niego wzrokiem ojca czekającego na porodówce na wieści o dziecku.

- No co? - nie wytrzymał wreszcie. - Co się stało?

- W Central Parku zamordowano Paula Strazziego.

- Co takiego?

- A jako druga dzwoniła wdowa. Jej umowa z nim jest nieważna.

Cohen rozsiadł się wygodnie na krześle i westchnął głośno.

- Gratuluję, przyjacielu.:

- Dzięki.

Na wargach Cohena pojawił się chytry uśmieszek. - Jak to zorganizowałeś?

- Co?

- Zabójstwo Strazziego. i Gillette pochylił się nad biurkiem i zaczął poszukiwać w sieciowych serwisach informacyjnych wiadomości o śmierci Strazziego.

- Idź po Stilesa - rozkazał, ignorując pytanie Cohena. - Powiedz mu, że chcę się z nim natychmiast widzieć.

- Jest mi z tobą tak dobrze - szepnęła Isabelle, robiąc krótką przerwę między pocałunkami. - Ale to wszystko dzieje się bardzo szybko.

- Tak, wiem - odparł.

- I to mnie przeraża.

- A nie powinno.

- Dlaczego?

Zawahał się, spoglądając na jej długie czarne włosy spływające kaskadą z boku głowy.

- Bo nie powinno i już.

Zadzwonił telefon leżący na stoliku przy kanapie. Gillette chciał go zignorować, ale spojrzał na wyświetlacz i zdecydował, że nie może nie odbierać.

- Słucham, Miles.

- Więc jak? Wybieracie się do SoHo? - zapytał Whitman. - Bo jeśli tak, to musisz powiedzieć mi teraz. Mam zamiar położyć się do łóżka.

Gillette uśmiechnął się i obejrzał na Isabelle.

- Nie, zostaniemy tutaj. Ale dzięki za propozycję.

- Nie ma za co. A co byś powiedział, żeby przyjechać do Connecticut na jutrzejszy lunch? Mam parę pomysłów, które chciałbym z tobą omówić. Chodzi o nowy fundusz inwestycyjny. Jeszcze nigdy u mnie nie byłeś, prawda?

- Nie, nie byłem.

- Więc zadzwoń z rana. Umówimy się.

- Dobrze, zadzwonię. - Odłożył słuchawkę, zamyślił się na chwilę, po czym odwrócił do Isabelle. - Na czym skończyliśmy?

- Mniej więcej na tym - mruknęła, zarzucając mu ręce na szyję i przywierając do warg w namiętym pocałunku.

Stiles przestawił dwie maleńkie dzwigenki umieszczone po bokach kolby glocka i zdjął górną część pistoletu. Siedział w gabinecie Gillette'a, na dolnym piętrze jego apartamentu, a sprzęt do czyszczenia broni rozłożył na starych gazetach na brzegu biurka.

Gillette był na górze z Isabelle. Przebywał z nią sam na sam, co napawało Stilesa szczególnym niepokojem, ponieważ Gillette nie przekonał go jeszcze, że można jej w pełni zaufać.

'TAK

24

- Quentin, chciałbym usłyszeć twoją ocenę wydarzeń ostatniej doby.

Stiles przeciągnął się i głucho jęknął. Zasnął na krześle w gabinecie Gillette'a podczas czyszczenia broni i teraz kark go bolał od spania w niewygodnej pozycji.

- Nie mam pewności, czy w ogóle jest co oceniać.

- A śmierć Strazziego? - przypomniał mu Gillette, spoglądając na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

- Też mi coś - mruknął Stiles, wstał zza biurka i wyciągnął się na długiej, obitej skórą kanapie. - Traktujesz to jak śmierć złej czarownicy, która zdjęła wreszcie klątwę z biednych elfów i te będą mogły teraz bawić się do woli.

Gillette wbił zęby w jabłko, które zabrał z kuchni po drodze z sypialni na górnej kondygnacji.

- Moim zdaniem to właśnie Strazzi był inspiratorem zamachów na mnie. Przez jakiś czas sądziłem, że to sprawka kogoś innego, ale teraz wydaje mi się, że to jednak on. I to on był chyba odpowiedzialny za śmierć Donovana. Musiał się go pozbyć, zanim uruchomił tę oszukańczą machinę dotyczącą Dominion, by skłonić Ann do sprzedaży udziałów w Evereśde.

- Czy skandal wokół Dominion nie był wystarczający, żeby załatwić sprawę? - zapytał Stiles sennym głosem. - Czy Donovan nie znalazłby się pod ostrzałem opinii publicznej?

- Ale skandal wybuchł na skutek fałszywych oskarżeń, a gdyby Donovan żył, mógłby bez trudu wykazać ich nieprawdziwość - ciągnął Gillette. - Nawet gdyby służby federalne zdołały go jakoś zmusić do sprzedaży akcji, bo dziwnym trafem faktycznie doszukano by się nieprawidłowości, to Donovan znalazłby innego klienta na te udziały, na pewno nie sprzedałby ich Strazziemu.

Stiles zamyślił się na dłużej, wreszcie pokiwał głową.

- Tak, chyba masz rację.

Gillette odgryzł drugi kęs jabłka.

- Dowiedziałeś się czegoś więcej o śmierci Straziego od swoich znajomych z policji?

- Owszem. Bez wątpienia padł ofiarą zabójcy. Ten, kto pociągnął za spust, dobrze wiedział, co robi.

- Tylko komu mogło zależeć na śmierci Straziego? - Gillette powiedział to bardziej do siebie niż do ochroniarza.

- Oto pytanie za milion dolarów.

- Mógłbym wymienić dziesiątki osób, które życzyły mu śmierci. Ale żadna z nich nie byłaby w stanie pociągnąć za spust.

- Ani zaaranżować, żeby zrobił to ktoś inny?

- Chyba też nie. ‘

Na jakiś czas zapadło milczenie.

- Isabelle jest jeszcze na górze? - zapytał w końcu Stiles.

- Tak. - Gillette popatrzył na niego. - A propos, czy twój człowiek w Kanadzie dotarł już na miejsce?

- Lada moment spodziewam się telefonu od niego - odparł ochroniarz, patrząc na zegarek. - A jak tobie minęła noc?

Gillette uśmiechnął się szeroko.

- Wspaniale. Mnóstwo dobrej zabawy i ani jednego noża wbitego w plecy. Możesz to sobie wyobrazić?

Stiles podłożył sobie obie dłonie pod głowę i zamknął oczy, a gdy Gillette skierował się do drzwi gabinetu, mruknął cicho:

- Owszem, mogę.

Pepper Billups pracował w agencji QS Security od trzech lat. Podobnie jak Stiles, wywodził się ze służb specjalnych, zdecydowanie wolał jednak pracę w sektorze prywatnym. Zarobki były znacznie lepsze, jeśli tylko nie liczyło się specjalnie godzin, a i satysfakcja nieporównanie większa. Nawet w takie dni, kiedy musiał spędzić w samolotach aż osiem godzin. Z Nowego Jorku do Calgary podróżował wygodnie odrzutowym gulfstreamem, ale z Calgary do Amachuck leciał już małym i hałaśliwym king airem, do tego przez liczne turbulencje.

Sposobem na takie dni była umiejętność zasypiania w dowolnych warunkach i dowolnym miejscu. Przed wstąpieniem do służb specjalnych Billups był pilotem wojskowym i latał na ciężkich transportowcach C-5 i C-130. Zaliczył wtedy swoją dawkę paskudnych burz, zwłaszcza na długich trasach, na przykład z Delaware na wyspę Guam. W czasie takich rejsów załoga zmieniała się przy sterach, żeby każdy mógł złapać parę godzin snu przytwierdzone pasami do twardej i wąskiej koi w przedziale bagażowym. Jeśli jego kolej na wypoczynek przychodziła akurat, gdy przelatywali przez masywny front burzowy, jaki zazwyczaj tworzył się latem nad Pacyfikiem nie było wyjścia. Do wyboru miał jedynie skrajne przemęczenie po wylądowaniu, nauczył się więc spać bez względu na warunki. W porównaniu z niektórymi latami z tamtych czasów, ten nad Kanadą i tak przypominał miłą wycieczkę.

W półmroku wczesnego ranka zszedł po schodkach niewielkiego king aira i od razu postawił kołnierz futrzanej kurtki, gdyż panował tu trzaskający mróz. Gdy tylko znalazł się na ośnieżonym, smaganym wiatrem pasie startowym, podszedł do niego niski żyłasty brodacze w narciarskiej czapeczce.

- Ernie Grant? - zapytał Billups.

- Tak, to ja. A ty zapewne jesteś Pepper Billups. Ochroniarz wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jak na to wpadłeś?

- Kiedy mój informator powiedział, że jesteś czarny, odparłem, że ta informacja mi wystarczy. Rzadko któryś z was się tu pojawia. Bez obrazy.

- Nie ma się czemu dziwić - powiedział Billups z uśmiechem.

- Chodź ze mną - rzucił Grant przez ramię, ruszając w stronę dżipa stojącego w odległości dwudziestu metrów, a mimo to ledwie widocznego w mętnej szarówce przez niesiony wiatrem śnieg.

Billups podreptał za nim i z rozkoszą zatrzasnął drzwi pracującego na wolnych obrotach auta. Przeszył go dreszcz. W nagrzanym samochodzie było tak przyjemnie.

- Chryste... - jęknął, pocierając palcami nos, gdyż wydawało mu się, że ktoś prysnął mu prosto w twarz nowokainą w aerozolu. - Co się dzieje, do cholery?

- Zamarza ci wilgoć wewnątrz nosa - wyjaśnił Grant. - Na takim mrozie wystarczy parę sekund, żeby mokra śluzówka całkiem zamarzła. Na drugi raz, gdy będziesz musiał choćby na krótko wyjść na zewnątrz, zasłaniaj sobie nos i usta ręką.

- Racja. - Uświadomił sobie, że Grant właśnie tak postąpił, idąc do samochodu. - Sprawdźmy zatem, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Jesteś przewodnikiem myśliwych polujących na grubego zwierza?

- Tak.

- Jakie polowania się tu urządza?

Grant wrzucił pierwszy bieg i powoli skierował dżipa w kierunku wąskiej bramy w siatkowym ogrodzeniu otaczającym małe lotnisko.

- Ja się specjalizuję w reniferach. Chętnych jest dużo, zjeżdżają tu ze wszystkich stron. - Uśmiechnął się ironicznie. - Jakby wszyscy chcieli się zemścić na zapamiętanym z dzieciństwa Rudolphie. Ja tego nie rozumiem, ale wielu facetów uwielbia polować na renifery.

Billups mruknął gardłowo. On też tego nie rozumiał.

- A wcześniej służyłeś w królewskiej konnej, zgadza się?

- Aha. Odszedłem jakieś pięć lat temu, żeby zostać przewodnikiem. Można na tym nieźle zarobić.

- I na jakimś szkoleniu zaprzyjaźniłeś się z Quentinem Stilesem, jeśli dobrze zrozumiałem? - krzyknął Billups, bo kiedy przyspieszyli, silnik zaczął hałasować. - Bodajże w Glynco?

Stiles znał mnóstwo różnych ludzi, z którymi, jak twierdził, zetknął się na rozmaitych kursach, szkoleniach i ćwiczeniach. Aż trudno było w to uwierzyć.

- Zgadza się - odparł Grant.

- W każdym razie jestem ci bardzo wdzięczny, że zgodziłeś się nam pomóc.

- Robię to z przyjemnością. Najpierw zajrzemy do warsztatu, żebyś mógł obejrzeć furgonetkę, a później pojedziemy na posterunek policji, gdzie przechowywane są zwłoki. W porządku?

- Brzmi nieźle.

Dziesięć minut później Grant skręcił w stronę budynku, który sprawiał wrażenie opuszczonego. Sąsiadujący z nim kościół również był w bardzo kiepskim stanie.

- To tutaj? - zapytał z niedowierzaniem Billups.

- Tak. Chodźmy - zawołał Grant, wyskakując z auta w głęboki śnieg.

Billups zakrył usta i nos dłonią w grubej rękawicy, po czym ruszył za nim. Ktoś otworzył im drzwi od środka, gdy znaleźli się tuż przed nimi, toteż wbiegł za Grantem do betonowego przedsionka i jego wzorem potupał głośno, by osypać śnieg z butów. Ku jego zaskoczeniu, wewnątrz warsztatu samochodowego, co prawda trochę zagraconego, było ciepłe i przytulne, jak również dość nowocześnie wyposażone.

- Którędy, Marcel? - zwrócił się jego przewodnik do drobnego mechanika w zaplamionym kombinezonie.

Ten obrzucił Billupsa taksującym spojrzeniem, zanim ruchem ręki nakazał pójść za sobą. Wprowadził ich do drugiego pomieszczenia na tyłach, gdzie stał ford explorer.

- Jacyś ludzie wracający z pól naftowych znaleźli ten wóz porzucony niedaleko jeziora McKenziego. Trzeba go było przyholować do miasta.

- Gdzie leży jezioro McKenziego? - zapytał Billups.

- Jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północ. Co mu się stało, Marcel? - Grant zwrócił się do mechanika, wskazując wóz terenowy.

Marcel wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ludzie, którzy go znaleźli, mówili, że akumulator padł, ale nie miałem okazji, żeby to sprawdzić.

Wskoczył za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Nic to nie dało.

- Tak! - zawołał. - To akumulator.

- Albo rozrusznik - wtrącił Billups.

Marcel podniósł maskę auta i wdrapał się na zderzak, żeby zajrzeć do środka.

- Tylko dlaczego akumulator miałby się nagle wyczerpać nad jeziorem McKenziego, skoro ten facet wracał z pól naftowych? Dlaczego miałby wyłączać silnik i potem znów próbować go uruchomić? Nawet gdyby uzupełniał paliwo z kanistra, nie powinien był gasić silnika, a już na pewno nie na tak długo, by akumulator zdążył się wyczerpać. - Mechanik

wyjął z kieszonki latarkę i poświecił w głąb. - Potrzyj - rzucił po chwili, podając latarkę Billupsowi. - Poświeć tutaj - polecił, ustawiając jego rękę. - O, tak. Tylko się nie ruszaj.

Ochroniarz przyglądał się z uwagą, jak tamten sięga gdzieś w głąb obok silnika.

- To dziwne - mruknął mechanik po chwili, skrobiąc się po głowie czarnymi od smarów palcami.

- Co się stało? - zapytał Grant.

- Daj latarkę. - Marcel strzelił palcami, wyciągnąwszy rękę do tyłu.

Billups wcisnął mu latarkę w dłoń. Chwilę później mechanik wyprostował się i zeskoczył ze zderzaka.

- No i co? - zapytał Grant.

- Alternator jest odłączony.

- I co z tego?

- Wóz przez cały czas czerpał prąd tylko z akumulatora - pospieszył z wyjaśnieniem Billups. - Do pewnego momentu silnik pracował normalnie, ale gdy prąd się wyczerpał, nie dało się go już uruchomić.

- Najwyraźniej facet, który nim jeździł, nie znał się za bardzo na silnikach - wtrącił Marcel. - Zasilanie elektryczne nie mogło przecież paść w jednej chwili, musiało słabnąć stopniowo. Najpierw powinny ściemnieć i zgasnąć reflektory. Tamtej nocy była zamieć, więc i wycieraczki musiały stopniowo pracować coraz wolniej. Resztką prądu z akumulatora szła na podtrzymanie pracy silnika. Każdy, kto choć trochę zna się na budowie samochodów, zatrzymałby wóz i od razu sprawdził, czy ktoś nie wyciągnął jakiejś wtyczki z gniazda.

- Więc ktoś ją musiał wyciągnąć? - zapytał Billups.

Marcel pokiwał głową.

- Bez dwóch zdań.

- Jesteś pewien? Może sama wypadła?

- Nie wierzę. Właśnie wetknąłem ją na miejsce i próbowałem wyciągnąć. Siedzi naprawdę mocno. Poza tym, na brudnym gnieździe widać wyraźnie ślady czyichś palców.

- Więc twierdzisz, że ktoś się postarał, by ten samochód zepsuł się w drodze? - zapytał Billups. - Twoim zdaniem było to celowe działanie?

- Tak. Jestem tego pewien.

Gillette wyrzucił ogryzek jabłka do kosza na śmieci, wszedł schodami na górny poziom apartamentu i ruszył korytarzem w stronę sypialni. Za wszystkim musiał stać Strazzi. To było jedyne wyjaśnienie pasujące do wszelkich zdarzeń. Podrapał się po głowie. Mimo to dręczyło go przecucie, że coś mu jeszcze umknęło.

Zaczął więc po raz kolejny przeglądać w myślach poszczególne zdarzenia.

Strazzi zabił Donovana. Ścisłej biorąc, na podstawie tego, co mówiła Faith, morderstwa dokonał McGuire albo któryś z jego ludzi. Ale to Strazzi prawdopodobnie zlecił brudną robotę, obiecując, że odkupi agencję McGuire & Company, po czym przekaze Tomowi i Vince'owi połowę jej udziałów za darmo. To on zapewne był tajemniczym sponsorem braci. A potem przystąpił do montowania skandalu wokół Dominion, żeby napędzić strachu Ann Donovan.

Gillette położył dłoń na klamce sypialni, ale zawahał się i przygryzł dolną wargę. Jeśli tak było naprawdę, to dlaczego Tom McGuire powiedział mu o romansie Stockmana z Ritą Jones? To przecież nie miało najmniejszego sensu. Właśnie dzięki informacjom o romansie senatora zdołał przecież dojść prawdy w sprawie Dominion - zmusił Stockmana, by wyjawiał rolę Marcie w ich spisku, a ona powiedziała, co się naprawdę święci. W dodatku wiedza o rzeczywistej sytuacji Dominion pozwalała wytrącić Strazziemu broń z ręki i zagrozić drogę do wymarzonego celu.

A co najróżniejsze, w niczym nie wyjaśniało to powodu, dla którego Strazzi został zamordowany.

Nagle skojarzył. Przecież gdy odnaleziono porzuconego forda eksplorera osiemdziesiąt kilometrów od najbliższych siedzib ludzkich, taśmy z zapisem testów sejsmicznych znajdowały się nietknięte w skrzynce pod fotelem. Gillette błyskawicznie wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer Heidi Franklin, młodej pracownicy Everestu, która nie powinna być jeszcze wciągnięta w żadne rozgrywki personalne.

Kilka minut po odjeździe spod warsztatu Marcela Billups i Grant zatrzymali się przed skromnym posterunkiem policji, który, co prawda rzadko, ale pełnił też funkcję miejscowej kostnicy.

- Cześć, Bili - zawołał Grant, gdy znaleźli się w środku. Bili Harper był komendantem tutejszej policji. Oprócz niego na posterunku służył jeszcze tylko jeden człowiek, jego zastępca.

- Bili, to jest Pepper Billups. Przyleciał z Nowego Jorku, żeby zadać kilka pytań i obejrzeć zwłoki.

- Cześć, Pepper - mruknął chrapliwie komendant. Odstawił kubek z kawą, wstał i wyszedł zza biurka.

- Gdzie on jest? - zapytał Billups.

- Na tyłach. - Harper wskazał kciukiem przez ramię.

- No to chodźmy.

Komendant zerknął podejrzliwie na Granta.

- Wszystko w porządku - wyjaśnił tamten. - To znajomy mojego dobrego przyjaciela.

Harper zdjął z wieszaka kurtkę, włożył ją i poprowadził ich do skrzypiących tylnych drzwi posterunku. Przeszli przez niewielkie podwórze, tonące w półmroku i grubo zasypane śniegiem, po czym stanęli przed drewnianą szopą. Gliniarz wyciągnął z kieszeni gruby pęk kluczy i bez pośpiechu odszukał właściwy, chociaż mroźny wiatr wokół nich podrywał tumany śniegu. Wsunął go do zamka i przekręcił.

Ależ tu piekielnie zimno, pomyślał Billups. Mimo że wstał już dzień, nie było o wiele jaśniej niż przed świtem, gdyż znajdowali się na dalekiej północy. Panowała tak nieprzyjemna szarówka, że można by odnieść wrażenie, iż gdzieś niedaleko wybuchł wulkan i gęsta chmura popiołu przesłoniła całe niebo. Wchodząc za Grantem i Harperem do szopy, zadał sobie w myślach pytanie, co skłania ludzi, żeby mieszkali w takich warunkach. Musieli być albo szurnięci, albo przed czymś uciekali, no chyba że mieli naturę pustelników bądź też nie umieli się przystosować do życia w społeczeństwie. A przecież Ernie Grant sprawiał wrażenie sympatycznego i czynnego.

Harper zapalił pojedynczą gołą żarówkę zwieszającą się pod sufitem.

- Jest tam - rzekł, wskazując zwłoki zakryte jakąś szarą płachtą, spoczywające na dużym arkuszu grubej sklejki położonym na dwóch koziółkach do cięcia drewna.

Billups stanął nad zabitym, ostrożnie zsunął tkaninę z jego głowy i aż się skrzywił, ujrawszy twarz mężczyzny. Oczy miał wybałuszone, a usta szeroko rozwarte. Dzięki panującym tu mrozom rozkład nie posunął się za daleko. Ale Billups nie znosił widoku trupów. W przeciwieństwie do kilku swoich znajomych, którzy się tym wręcz fascynowali.

- Gdzie go znaleźliście? - zapytał.

- Jeden z tutejszych rybaków wyciągnął go z jeziora McKenziego dobre pół kilometra od miejsca, gdzie stał porzucony samochód - odpowiedział Harper. - O tej porze roku szansa na odnalezienie kogoś tutaj wynosi jak jeden do miliona. Facet wybrał się na połów ryb w przeręblu i w pierwszej chwili pomyślał, że złowił największy okaz swojego życia. Ale mało nie narobił w gacie, gdy ujrzał, że z przerębla zamiast ryby wyłania się ludzka ręka.

- I co zamierzacie zrobić z ciałem? - zapytał Billups.

- Przekazać rodzinie. Przylatują po niego jutro.

- Jak zdołaliście go tak szybko zidentyfikować?

- Miał w kieszeni portfel z dokumentami.

- Więc to na pewno jeden z ludzi, którzy prowadzili na północy badania sejsmiczne?

- Tak. Kierował pracami badawczymi z ramienia Laurel Energy, jeśli wierzyć jego rodzinie.

- I to na pewno jego samochód stoi teraz w warsztacie Marcela? - zapytał Billups, mając w pamięci, że zdaniem mechanika ktoś celowo uszkodził wóz.

- Tak.

- Jak zatem, waszym zdaniem, znalazł się w jeziorze?

- Został wepchnięty pod lód. - Skąd ta pewność?

- Przy tak grubej pokrywie lodowej, jak o tej porze roku, ktoś musiał specjalnie wyciąć przerębel, żeby go utopić - rzekł stanowczo Harper. - Nie da się po prostu wpaść do wody. W każdym razie jest to bardzo mało prawdopodobne.

- Na pewno nie ma odsłoniętych miejsc, choćby tam, gdzie rzeki i strumienie wpływają do jeziora albo z niego wypływają? Jeśli się nie mylę, w takich miejscach nigdy nie tworzy się gruba pokrywa lodowa.

- Owszem, są na obu krańcach jeziora. Zamarzają tylko przy bardzo dużych mrozach. Ale brzeg północny jest oddalony o kilka kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono forda explorera, do tego oddzielony gęstym lasem. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że ten facet zostawił samochód i przedzierał się przez leśny gąszcz.

- A południowy kraniec jeziora nie jest bliżej?

- Jest.

- Znacznie bliżej?

- Znajduje się mniej więcej na tej wysokości, na jakiej znaleziono samochód.

- Więc może tam wpadł do wody. Harper pokręcił głową.

- Wątpię.

- Dlaczego?

- Rzeka wpływa od północy i wypływa na południu. Nie sądzę, żeby zarwał się pod nim lód, a potem ciało dryfowało pod prąd.

- Rozumiem. Czy jest jednak możliwe, żeby w zadywce zgubił drogę i poszedł w stronę północnego brzegu jeziora? Jeśli pamiętam, była wtedy śnieżycą.

- Tak. I to silna.

- Więc mogło się tak zdarzyć? Harper zbliżył się do niego na krok.

- Owszem, to niewykluczone, ale naprawdę nie podejrzewam, żeby tak się stało. Jak już mówiłem, według mnie ktoś go musiał wepchnąć pod lód. - Harper podciągnął brezentową płachtę z boku. - Tylko spójrz. - Wskazał palce topielca.

Billups pochylał się. Palce trupa były zmiżdżone i zakrwawione.

- Jezu... Jak to się mogło stać?

- W tej robocie najważniejsze jest doświadczenie - odparł komendant policji. - Jakieś cztery lata temu, mniej więcej o tej samej porze roku, facet z miasteczka, niejaki Lennie Mitchell, zabił żonę. Wepchnął ją do wody przez przerębel, który wyciął w lodzie piłą łańcuchową. Chciał, żeby to wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. Dlatego przez analogię podejrzewam, że ten facet zginął tak samo. Żona Lenniego lubiła w samotności łowić ryby pod lodem. Lennie utrzymywał, że tamtego popołudnia także wybrała się na ryby. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Tyle że tym razem nie wróciła. - Harper zawiesił na chwilę głos. - Jej zwłoki znaleziono na południowym brzegu jeziora kilka tygodni później. Miała takie same poobijane i zakrwawione palce. Lennie musiał po nich deptać obcasami, kiedy chwyciła się brzegu przerębla, usiłując wyjść z wody. Połamał jej wszystkie palce. Przyznał się do tego podczas rozmowy w moim gabinecie pewnego niedzielnego ranka. Nie mógł dłużej żyć w zakłamaniu. - Nagły poryw wiatru uderzył w szopę, aż zatrzeszczały deski i zagwizdało w szczelinach. Zabrzmiało to jak skowyt konającego zwierzęcia. - Myślę, że gdybyśmy dokładnie przeszukali taflę zamrożonego jeziora, znaleźlibyśmy zagłębienie w lodzie pozostałe po przeręblu, który ktoś wykuł, żeby utopić tego człowieka. Sam otwór na pewno szybko zamarznął, ale zagłębienie w lodzie powinno być widoczne do dziś.

Billups popatrzył na komendanta.

- Dlaczego ktoś miałby go zabijać? Mówił pan, że znaleźliście w jego kieszeni portfel. Były w nim pieniądze?

- Były. I karty kredytowe. Na pewno nie padł ofiarą napadu rabunkowego.

- Więc dlaczego zginął?

Harper wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, panie Billups, żadne sensowne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy.

Gillette otworzył drzwi sypialni i spojrzał na łóżko o istic królewskich rozmiarach, mając nadzieję ujrzeć jeszcze Isabelle w pościeli. Było jednak puste. Obejrzał się więc na drzwi od łazienki. Zamknięte. Musiała zatem być w łazience.

- Isabelle - zawołał. Nie było odpowiedzi.

- Isabelle? Cisza.

Powoli wszedł głębiej do pokoju, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów zza zamkniętych drzwi, szumu wody, człapania bosych stóp po terakocie. Ale w łazience panowała cisza.

- Co, do diabła...?

Ujrzał ją, ledwie odwrócił się plecami do drzwi łazienki. Trzymała oburącz długi kuchenny nóż. Odskoczył do tyłu, unosząc dłonie do twarzy, i krzyknął:

- Matko Boska! Co ty wyprawiasz?!

W tej samej chwili z korytarza wpadł Stiles i złapał ją od tyłu, gdy zamierzyła się, by zadać mu cios. Oboje przelecieli obok niego i zwalili się na podłogę. Kilka sekund później Isabelle była już rozbrojona, a Stiles w żelaznym uścisku jednej pięści trzymał oba nadgarstki jej rąk wykręconych do tyłu.

Zadzwoił telefon komórkowy Gillette'a. Ten spojrzał szybko na Stilesa, który leżał z zamkniętymi oczami na kanapie. Przenieśli się obaj do gabinetu, jak tylko przekazali Isabelle policji.

- Słucham.

- Christian?

- Tak.

- Mówi Tom McGuire.

- Witaj, Tom.

- Jak się masz? Wszystko w porządku?

- Jasne. Niby dlaczego nie?

- Tak tylko zapytałem. Nic więcej.

- Rozumiem.

- Czy podpisałeś już umowę z bankiem inwestycyjnym w sprawie przekształcenia mojej agencji w spółkę akcyjną?

- Nie.

- To wspaniale.

W głosie detektywa wyraźnie było słychać wielką ulgę.

- Ale zrobię to prawdopodobnie w przyszłym tygodniu - ostudził go Gillette.

- Pozwól, że jeszcze raz porozmawiamy na temat odkupienia agencji, zanim podejmiesz ostateczną decyzję - rzekł błagalnym tonem McGuire. - Mam kilka nowych pomysłów.

Co za zdrajca, pomyślał Gillette. Nie miał żadnego powodu, aby nie wierzyć Faith. Przecież uratowała mu życie.

- Wydaje mi się, że nie warto tracić...

- Proszę, Christianie. Zgódź się. Przynajmniej tyle jesteś mi winny.

- Różnice w ofertach są zbyt duże.

- Może wcale nie takie duże, jak się wydaje. Rozmawiałem ze swoim sponsorem i odnoszę wrażenie, że uda mi się go namówić na zwiększenie sumy.

- Do pięciuset milionów?

- Tak sędzę.

- W takim razie porozmawiamy.

- Ale nie przez telefon. Chciałbym się z tobą spotkać.

- Po co?

- Bo... takie sprawy załatwia się twarzą w twarz, w cztery oczy.

- Skąd dzwoniisz, Tom?

- Z mojego domu na Long Island. Może to źle zabrzmie, ale czy mógłbyś tu przyjechać? Moja żona wychodzi dzisiaj z siostrą na całe popołudnie, zostawia mi dzieci pod opieką.

- Tom, to naprawdę...

- Christianie, ile razy prosiłem cię o cokolwiek w ciągu minionych lat? - przerwał mu szybko McGuire. - Obaj z Vince'em staraliśmy się za bardzo nie wychylać i robić wszystko, o co nas prosiliście. Wydaje mi się, że robiliśmy to dobrze. W każdym razie nie zgłaszaście zastrzeżeń. Dlatego proszę, naprawdę muszę z tobą porozmawiać - powtórzył z naciskiem detektyw.

Stiles usiadł powoli i popatrzył na Gillette'a, jak gdyby słyszał błagalny ton McGuire'a.

- W porządku - zgodził się Gillette, zerkając na swego ochroniarza. - O której mam przyjechać?

- O drugiej. Pozwolisz, że prześlę ci pocztą elektroniczną wskazówki, jak tu trafić?

- Oczywiście. Długo się tam jedzie?

- Około godziny.

Gillette wahał się chwilę.

- W porządku - powiedział wreszcie.

- Dziękuję, Christianie - rzekł McGuire z wdzięcznością. - Naprawdę bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co, Tom. A więc do zobaczenia.

- Czego on jeszcze chce? - zapytał Stiles, kiedy Gillette odłożył słuchawkę.

- Zobaczyć się ze mną i porozmawiać na temat wykupienia agencji.

- Kiedy chce się z tobą zobaczyć?

- Dzisiaj.

- O której.
- O drugiej. W swoim domu.

Stiles pokręcił głową.

- Myślisz to samo, co ja?

Gillette pokiwał głową.

- Zgadza się.
- Zastawiono na niego pułapkę.

Zadzwoił telefon Stilesa leżący na kawiarnianym stoliku. Ten chwycił go, sprawdził numer na wyświetlaczu i odebrał.

- Halo? Cześć, Pepper. Co masz? - Przez jakiś czas w milczeniu słuchał relacji Billupsa na temat odkryć w Kanadzie. - Poważnie?... Ach, tak. Dobra, zadzwoń, jak będziesz miał coś jeszcze.

- Co się stało? - zapytał Gillette, kiedy ochroniarz przerwał połączenie.

- Dzwonił Pepper Billups, człowiek, którego wysłałem do Kanady, żeby trochę tam powęszył, jak sugerowałeś.

- Znalazł coś ciekawego?

- Owszem. Wszystko wskazuje na to, że facet z Laurel Energy, który kierował badaniami sejsmicznymi, został zamordowany.

- Jezu...

- Samochód, którym się posługiwał, uszkodzono celowo - ciągnął Stiles, odkładając telefon na stół. - Policja jest prawie pewna, że został wepchnięty pod lód na jeziorze w pobliżu miejsca, gdzie odnaleziono samochód. Czy to nie on miał dostarczyć do analizy kasy z nagranyymi wynikami testów?

Gillette przytaknął ruchem głowy.

- Kasy znaleziono w jego samochodzie. Kilku ludzi z Laurel Energy jechało tą samą drogą kilka godzin później. Zatrzymali się, ujrawszy porzuconą furgonetkę, wyciągnęli spod fotela skrzynkę z kasetami, przez jakiś czas szukali kierownika, później ruszyli do miasta i zgłosili jego zaginięcie.

Odwrócił głowę w stronę okna. A więc i w tej sprawie wszystko układało się w logiczną całość. Brakowało mu już tylko jednego kawałka, żeby ogarnąć całość układanki.

- O co chodzi? - zapytał Stiles, przyglądając się jego minie.
- O to, że... - Znow zadzwonił jego telefon komórkowy. - Słucham.
- Christianie, tu Ben.
- Cześć, Ben.

- Wybacz, że cię niepokoję w niedzielę, ale ci faceci z Coyote Oil strasznie nalegają, żebyśmy popychali ich sprawę do przodu.

- Aż tak?

- Tak. Zresztą, rozumiem ich. W końcu zgodzili się zapłacić żadaną przez nas cenę.

- Aha. it - No więc? i - Co więc?

- Mogę im przekazać, że dobiliśmy targu?

- Tak - odparł Gillette po krótkim namyśle.

- Wspaniale. Dzięki.

- Nie ma za co.

- Wszystko w porządku, Christianie? - zaciekawiał się Cohen.

- Czemu pytasz?

- Sprawiasz wrażenie zamyślnego.

- Nic mi nie jest. Cohen się zawahał.

- Dobra. Porozmawiamy później.

- Dobrze. - Gillette przerwał połączenie, po czym wybrał biurowy numer Heidi Franklin. - Heidi?... Tak. Cześć. Posłuchaj, strasznie mi przykro, że muszę cię prosić o przyjazd do biura w niedzielę, ale to bardzo ważna sprawa... Zgadza się... - Urwał i popatrzył na Stilesa, słuchając jednym uchem, jak dziewczyna wyrzuca z siebie jednym tchem, że to nie jest problem, bo przecież mieszka zaledwie kilka przecznic od biura Everestu. - Sprawdziłaś to, o co cię prosiłem? Znalazłaś informację?... Och, to wspaniale. I na jak długo ma to być zapewnione? - Pokiwał głową. - Na miesiąc?

To wyjaśniało, dlaczego ludziom z Coyote Oil tak zależało na szybkim załatwieniu transakcji.

Kilka minut przed trzynastą Gillette wysiadł z windy i ruszył przez lobby w kierunku limuzyny stojącej na Fifth Avenue, która miała go zawieźć do domu Toma McGuire'a na Long Island. Zrobił zaledwie parę kroków, gdy przy jego ramieniu jak spod ziemi wyrósł jeden z ludzi Stilesa. Na tym etapie ochroniarz wolał absolutnie niczego nie zostawiać przypadkowi.

Po zakończeniu rozmowy z Heidi, Franklin zrelacjonował Stilesowi pokrótce swoją teorię na temat tego, co się wydarzyło w Kanadzie - powiedział, że kasety, które pracownicy Laurel Energy w drodze do miasta znaleźli w skrzynce pod przednim fotelem fordą explorera porzuconego nieopodal jeziora McKenziego, nie były autentyczne i zostały specjalnie podrzucone przez ludzi, którzy najpierw uszkodzili furgonetkę, a następnie zamordowali człowieka, którego zwłoki spod lodu wyciągnął przypadkowy wędkarz. Podejrzewał zatem,

że rezultaty badań nagrane na tych kasetach przedstawiały się zgoła inaczej niż te, które zawierały oryginały wykradzione zamordowanemu kierowcy forda explorera.

Gillette był już przekonany, że pracownicy Laurel Energy natknęli się na olbrzymie złoża ropy i gazu na terenach objętych opcją, o czym świetnie musieli też wiedzieć ludzie z kierownictwa Coyote Oil. Zatem, prawdopodobnie to oni stali za wypadkami znad jeziora McKenziego. Oni i ich poplecznicy. Inaczej nie nalegaliby aż tak bardzo na szybkie załatwienie transakcji i nie godziliby się bez targu zapłacić tyle samo, co U.S. Petroleum, chociaż wiadomo już było, że znalezione w porzuconej furgonetce taśmy świadczyły o tym, że nie ma na tym terenie większych złóż ropy i gazu.

Powiedział także Stilesowi, że nie ma wątpliwości, iż w sprawę jest zamieszany Ben Cohen. Poprosił Heidi Franklin o sprawdzenie pewnych zapisów w statucie spółki Everest Capital i dziewczyna potwierdziła, że po śmierci prezesa całkowitą kontrolę nad operacjami firmy na okres miesiąca przejmuje dyrektor naczelny. Nic takiego nie zdarzyło się po śmierci Donovan, ponieważ za jego prezesury stanowisko dyrektora naczelnego biura było nieobsadzone. I z tego też powodu już trzy dni po jego śmierci trzeba było organizować pospieszne wybory nowego prezesa.

Gdyby Gillette został usunięty z drogi, to Cohen przejąłby na miesiąc całkowitą władzę nad spółką. Mimo to owych trzydzieści dni do czasu wyboru nowego prezesa mogłoby nie wystarczyć, żeby doprowadzić do końca transakcję sprzedaży Laurel Energy grupie Coyote Oil. Mogłoby się okazać, że to zbyt mało czasu na uzyskanie wszelkich niezbędnych pozwoleń. To dlatego formalny proces został zapoczątkowany już teraz, jeszcze przed nastaniem trzydziestu dni Cohena.

Pozostawało tylko palące pytanie, kto za tym wszystkim stoi. Strazzi został zabity. Nie mógł już wydawać rozkazów, ale McGuire wciąż działał. Podobnie jak Isabelle. Gillette zastanawiał się przez jakiś czas, czy nie wysłać Faith do McGuire'a na przeszpiegi, uznał jednak, że ryzyko jest zbyt duże. Detektyw nie był głupi. Na pewno zachodziłby w głowę, dlaczego Faith zniknęła mu z oczu na dwa dni, a teraz pojawiła się znowu, żeby zadawać podchwytliwe pytania.

Przed wyjściem z mieszkania Gillette skontaktował się jeszcze telefonicznie z jednym ze współników zarządu teksaskiej firmy eksploatacyjnej, w której wykonano analizę taśm z wynikami badań znalezionych w porzuconej furgonetce. Zlecił mu ponowienie testów, ale tym razem pod ścisłą fachową ochroną. Przez cały czas ekipy badawczej mieli strzec uzbrojeni ludzie, a taśmy z wynikami powinny być transportowane z Kanady pod strażą. Zalecił, żeby kasety schować w opancerzonej skrzyni i przekazać je pod ochronę dwóch

fachowców, z których jeden będzie konwojował skrzynię, a drugi klucze do niej. Powiedział wyraźnie, żeby nie oszczędzać na wydatkach, byle zapobiec takiej sytuacji, jak poprzednia. Rozmówca obiecał, że zorganizuje kolejną wyprawę do Kanady w ciągu miesiąca i tym razem wtajemniczy w nią tylko garstkę najbardziej zaufanych ludzi.

- Życzę panu miłego popołudnia - powitał go portier.

- Dzięki. - Gillette sztywno skinął mu głową, kierując się do wyjścia.

W ciągu nocy przeszedł ciepły front i teraz, o pierwszej po południu, świeciło słońce, a temperatura podskoczyła do piętnastu stopni powyżej zera. Wciągnął więc głęboko w płuca orzeźwiające powietrze, kiedy przystanął na szczycie schodów, a po chwili rozejrzał się uważnie po Fifth Avenue. Jeden ochroniarz Stilesa był tuż za nim, w lobby, dwóch innych czekało przy limuzynie.

Vince McGuire z prawego fotela sedana zaparkowanego przy krawężniku obserwował wejście budynku, w którym mieszkał Gillette. Obok, za kierownicą, siedział najbardziej zaufany z jego ludzi. Obaj palili, toteż szyby po obu stronach były opuszczone do końca.

- Oho, wychodzi. - Vince szturchnął łokciem kierowcę, przypatrując się, jak Gillette przystaje na szczycie schodów, po czym rusza w stronę swojej limuzyny. - Tylko nie strać go z oczu w drodze do domu Toma - rzucił groźnie. - Słyszałeś?

- Pewnie, że słyszałem.

Gdy tylko Gillette stanął na chodniku, jeden z mężczyzn czekających przy samochodzie niespodziewanie wyciągnął pistolet z kabury podramiennej, wymierzył w pierś swojego kolegi i nacisnął spust. Zanim ochroniarz idący tuż za Gillette'em zdążył zareagować, zabójca wycelował w niego i strzelił po raz drugi, tym razem trafiając bezbłędnie.

Gillette zawrócił na pięcie i rzucił się w stronę wejścia do budynku, ale zamachowiec był szybki. Po raz kolejny nacisnął spust i Gillette wyciągnął się jak długi na schodach.

Podbiegł błyskawicznie do drzwi, przeskoczył nad jęczącym przeraźliwie ochroniarzem, wymierzył do Gillette'a, który próbował się czołgać pod górę, i wystrzelił po raz kolejny.

- To za Paula Strazziego! - wrzasnął.

Zeskoczył z powrotem na chodnik i dał nura w otwarte tylne drzwi dużego czarnego samochodu, który chwilę wcześniej z piskiem opon zatrzymał się przed budynkiem i tak samo z piskiem opon ruszył.

- Matko przenajświętsza... - wycedził Vince, pstryknięciem posyłając niedopałek za okno. - Widziałeś to?

- No pewnie! Co się dzieje, do cholery?!

- I słyszałeś, co ten facet krzyknął, jak drugi raz strzelił do Gillette'a? - zapytał podniecony.

- Jasne - odparł kierowca. - „To za Paula Strazziego!”. Co za bajzel!

Vince otworzył drzwi auta, jakby chciał wysiąść, żeby z bliska obejrzyć miejsce strzelaniny, lecz doleciało go przybierające na sile wycie syren policyjnych, został więc na swoim miejscu.

Chwilę później przed budynek zajechały trzy karetki, sanitariusze pochylili się nad leżącymi mężczyznami. W ciągu pięciu minut wszyscy trzej postrzeleni znaleźli się na noszach i karetki jedna po drugiej odjechały na sygnale do szpitala.

Vince pokręcił głową.

- Wierzyć mi się nie chce - rzekł, wyciągając telefon komórkowy. Szybko wybrał numer brata. - Przecież Gillette nie mógł ująć z tego z życiem. Facet wpakował mu drugą kulkę z bliskiej odległości w tył głowy.

Tom odebrał już po drugim sygnale.

- Słucham.

- Tom, to ja - rzucił podekscytowany Vince.

- Co się stało?

- Nie uwierzysz. Ktoś właśnie zastrzelił Christiana Gillette^.

- Co?!

- Nie przesłyszałeś się. Wszystko widzieliśmy. Zginął tuż przed wejściem do budynku. Postrzelono też dwóch ludzi Stilesa. Ktoś musiał przekupić jednego z nich, bo wyglądało tak, jakby zabójcą był trzeci ochroniarz z obstawy Gillette'a.

- To by pasowało - mruknął w zamyśleniu Tom. - Stiles nie odstępował przecież Gillette'a na krok, jak gdyby zamknął go w ciasnej kuli z drutu kolczastego.

- Żałuj, że cię przy tym nie było, Tom - ciągnął Vince. - Facet wpakował Gillette^wi drugą kulkę, kiedy ten już leżał na schodach, po czym wrzasnął: „To za Paula Strazziego”.

- Za Strazziego? Niby jak?

- Powtarzam ci tylko, co zabójca krzyknął. Tojji wyjrzał przez okno na ulicę.

- Ale dlaczego...

- Ktoś musiał wykombinować, że Gillette się dowiedział, kto stoi za aferą Dominion, wziął sprawę w swoje ręce i zlecił zabójstwo Strazziego.

Tom pokiwał głową.

- Tak, chyba masz rację - zachichotał. - Dla nas najważniejsze, że facet nie żyje. Mamy znów rozwiązane ręce, Vince.

25

Od Pittsburgha dzieliło ich siedem godzin jazdy z Nowego Jorku. Wyruszyli nierzucającym się w oczy sedanem wykorzystywanym na co dzień przez ludzi Stilesa. Do tego celu nie nadawało się ani porsche Gillette'a, ani bmw ochroniarza. Jechali z zapiętymi pasami bezpieczeństwa, ściśle przestrzegali ograniczeń prędkości i używali kierunkowskazów. Starali się za wszelką cenę nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, podążając Pennsylvania Turnpike na zachód.

Prowadzili wóz na zmianę i na szczęście podróż minęła bez przygód. Ale kiedy się zameldowali w motelu na obrzeżu miasta, była już dziewiąta wieczorem, nie mieli więc czasu na nic, poza spóźnionym obiadem.

Wyznaczyli sobie dwie czterogodzinne nocne zmiany, podczas których jeden miał spać, a drugi oglądać telewizję i obserwować drzwi pokoju. Gillette pierwszy objął wartę, od jedenastej, kiedy to Stiles zaczął głośno chrapać, do trzeciej w nocy. W ciągu tych czterech godzin kilkakrotnie sięgał po wielki pistolet ochroniarza leżący pod ręką na stoliku, gdyż chciał się przyzwyczaić do ciężaru broni.

Stiles czuwał od trzeciej do siódmej, kiedy to obudził Gillette'a. Wymeldowali się z motelu o wpół do ósmej i zjedli śniadanie w znajdującym się naprzeciwko barze U Denny'ego, po czym zajęli pozycję na parkingu przed supermarketem.

- Myślisz, że McGuire dał się nabrać na tę scenę przed wejściem do budynku? - zapytał Gillette, który siedział na prawym fotelu auta.

- Kto to może wiedzieć? - odparł Stiles. - Na szczęście udało się przekupić całą izbę przyjęć. Zmarłeś w drodze do szpitala - wyjaśnił z szerokim uśmiechem. - Dwa razy tam dzwoniło i dopytywano się o twój stan. Ustaliliśmy numery, ale okazało się, że za każdym razem ktoś dzwonił z automatu. - Obejrzał się na Gillette'a. - Mam nadzieję, że nie dzwoniłeś i nie wysyłałeś maili do nikogo. Dobrze wiem, jak cię swędzą palce, kiedy chodzi o kontakty z ludźmi.

- Z nikim się nie kontaktowałem - odparł Gillette stanowczo i westchnął głośno. - Nie sądzisz, że podejrzenie długo tam siedzi?

Pół godziny temu wjechali na ten parking za kobietą, którą obserwowali. Weszła do sklepu i dotąd się nie pokazała. Quentin postanowił czekać, aż pojawi się z powrotem na parkingu, bo uznał, że po udanych zakupach będzie bardziej skorS do rozmowy.

- A może ktoś ją ostrzegł w tym sklepie? - zaniepokoił się Gillette.

- Wcale bym się nie zdziwił. Wiemy już, że jej dom, przynajmniej okresowo, jest pod obserwacją. Jeśli mamy do czynienia z tak grubą aferą, jak podejrzewasz, nic by mnie...

- O, jest - przerwał mu Gillette, wskazując kobietę wychodzącą ze sklepu. Popychała wyładowany wózek w stronę granatowego chevroleta caprice. - Idziemy.

Wysiedli z samochodu i dokładnie sprawdzili, czy nikt nie zwraca na nich uwagi, zanim ruszyli w stronę kobiety. Zgodnie z planem Stiles został nieco z tyłu, żeby obserwować teren, zostawiając wolne pole Gillette'owi.

- Dzień dobry pani - odezwał się przymilnym tonem. - Jak się pani miewa?

- Dziękuję, dobrze - odparła, zatrzymując się przy swoim aucie i obrzucając nieznajomego mężczyznę podejrzliwym wzrokiem. 'I',,

- Ładny dzisiaj dzień.

- O, tak, nawet bardzo.

Była dość rozmowna, ale wyraźnie podejrzliwa. Kurczowo zaciskała palce na uchwycie sklepowego wózka i ukradkiem zerkała na boki.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy chwilę porozmawiali?

., - O czym?

- O pewnej bardzo ważnej sprawie. Utkwiła w nim świdrujące spojrzenie.

- To znaczy?

Gillette bez pytania wyjął z wózka torbę wyładowaną zakupami, która wyglądała na dość ciężką. Ruchem głowy wskazał drzwi samochodu i zapytał:.,

- Pozwoli pani, że pomogę?

- Och, będę bardzo wdzięczna.

Szybko przekręciła kluczyk w zamku i otworzyła tylne drzwi.

Gillette ustawił torbę na siedzeniu, po czym wyjął z wózka następną i postawił obok tamtej.

- Chciałem z panią porozmawiać o córce - zaczął, spoglądając kobiecie prosto w oczy i próbując ocenić jej nastawienie do niego.

- O mojej córce? - zapytała, unosząc dłoń do piersi.

- Tak. O Kathy.

Na dźwięk tego imienia zakryła usta dłonią, po czym zapytała lekko roztrzęsionym głosem:

- Nic jej nie jest?

- Nie, wszystko w porządku.

- Więc o co chodzi?

Gillette obejrzał się na Stilesa, który ledwie zauważalnie skinął głową. Mogli jeszcze swobodnie rozmawiać.

- Muszę wiedzieć, gdzie ona jest. Kobieta energicznie pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia - wyrzuciła z siebie jednym tchem. Zrobiła to za szybko, nieudolnie.

- Pani Hays, prowadzę firmę inwestycyjną z Nowego Jorku, która kontroluje różne przedsiębiorstwa. Do niedawna pani córka pracowała w jednym z tych przedsiębiorstw, a konkretnie w HP Brands. Czy ta nazwa pani coś mówi?

Kobieta wpatrywała się w niego bez słowa.

- Pani Hays. Proszę, niech mi pani pomoże.

- Tak - szepnęła. - Córka pracowała w HP Brands.

- W ubiegłym tygodniu niespodziewanie złożyła wymówienie. - Zawahał się. - Powstał pewien problem.

- Jaki problem?

- Okazało się, że miała romans z jednym z moich wspólników. To podły człowiek, natychmiast go zwolniłem, ale mam uzasadnione podejrzenia, że będzie chciał się zemścić na Kathy. Trudno powiedzieć, co zrobi, kiedy ją odnajdzie. Z mojej wiedzy wynika, że ma prawdziwą obsesję na jej punkcie.

Kobieta przez dłuższy czas spoglądała mu prosto w oczy, nie bacząc, że wiatr spycha jej na twarz długi kosmyk siwych włosów.

- Kathy prosiła, żeby nikomu nic nie mówić - mruknęła w końcu.

- Musi mi pani zaufać, pani Hays. Jestem jej przyjacielem. Nie mam nic do ukrycia.

Vince McGuire szedł energicznym krokiem Eighth Avenue w kierunku biura agencji McGuire & Company mieszczącego się w wieżowcu przy ulicy Pięćdziesiątej Siódmej. Dochodziło wpół do jedenastej. Prawie zawsze przychodził do pracy tak późno, za to siedział w biurze do ósmej lub dziewiątej wieczorem. Zmieniał Toma, który pojawiał się wcześniej rano, i tak samo wcześniej wychodził, ponieważ mieszkał dość daleko w głębi wyspy.

Vince sięgnął do kieszeni kurtki po telefon komórkowy, kiedy nagle ktoś złapał go od tyłu za ramiona i unieruchomił ręce. Chwilę później wciągnięto mu kaptur na głowę. Zanim zdążył zareagować, wykręcono mu ręce do tyłu i skrupowano na plecach, po czym wepchnięto go do samochodu stojącego przy krawężniku.

Ostatnią rzeczą, jaka do niego dotarła, zanim drzwi auta się zatrzasnęły, był stukot jego telefonu komórkowego spadającego na chodnik. Samochód gwałtownie ruszył ulicą.

Zadzwoił telefon komórkowy. Gillette wyjął go z kieszeni, sprawdził na wyświetlaczu numer, po czym uniósł do ucha.

- Halo.

Byli już kilkaset kilometrów na południowy zachód od Pittsburgha, na autostradzie I-79. Ale mieli przed sobą jeszcze tysiące kilometrów do przejechania.

- Christianie, tu Jose.

- Tak?

- Mamy twoją przesyłkę. -; - Świetnie. Będę w kontakcie.

Pospiesznie zamknął aparat, żeby połączenie nie trwało za długo.

- Mają Vince'a McGuire'a - poinformował Stilesa prowadzącego samochód.

Ten uniósł wzrok do nieba.

- Wiele ryzykujesz, Christianie. Porwanie to poważne przestępstwo.

- Uważasz, że Vince McGuire jest niewinny?

- Nie ma znaczenia, co ja o tym myślę. Ważne jest tylko to, co potrafię udowodnić. A na razie nie potrafię udowodnić niczego. Poza tym nawet jeśli brał udział w spisku, nie zmienia to faktu, że go porwałeś.

Gillette odwrócił głowę i popatrzył na przesuające się za oknem równiny.

- Mów mi Chris - powiedział cicho.

- Słucham?

- Mów mi Chris - powtórzył Gillette nieco głośniejszym głosem.

- Myślałem, że...

- Przyjaciele zwracają się do mnie właśnie w ten sposób.

Ochroniarz nie odzywał się przez chwilę.

- Co sprawiło, że kobieta... - odezwał się, ale Gillette mu przerwał:

- Moglibyśmy być przyjaciółmi, Cjentinie. Poza tym, bardzo potrzebuję kogoś z twoimi umiejętnościami - dodał szybko, cedząc słowa. - Potrzebna mi ochrona osobista na stałe.

- W takim razie daj stałe zlecenie agencji QS. Pokręcił głową.

- Nie chcę na stałe twojej agencji, tylko ciebie.

- Nie rzucę nagle wszystkiego, Christianie... To znaczy, Chris. Muszę dbać o swoich ludzi.

- Ile wyciągasz rocznie z tej agencji? Stiles poruszył się nerwowo za kierownicą.

- Nie twój interes.

- No, śmiało. Słucham.

- Nic z tego.

- Czemu jesteś taki tajemniczy? - Gillette, nawykły do tego, że zawsze mówił wprost, oczekiwał tego samego od ludzi, z którymi rozmawiał. - Wyciągasz milion?

- Nie.

- Pół miliona?

- Daj spokój - mruknął podenerwowany Stiles. - Szczerze mówiąc, do tej pory głównie pakowałem pieniądze w agencję. Szybko się rozrasta, więc trzeba w nią inwestować.

- No, wreszcie doszliśmy do jakichś konkretów - odparł uradowany Gillette. - Co powiesz na taką propozycję: Znajdziemy jakiegoś fachowca, żeby przejął od ciebie agencję. Everest zainwestuje w nią, żebyś nie musiał więcej topić swoich pieniędzy, a ty obejmiesz stanowisko szefa mojej ochrony osobistej. Pozostaniesz właścicielem, powiedzmy, osiemdziesięciu procent akcji swojej firmy, więc będziesz miał nad nią kontrolę, tyle że ktoś inny weźmie na siebie wszelkie bóle głowy.

- To wspaniała propozycja, lecz...

- I dostaniesz milion dolarów rocznej pensji jako dowódca ochrony Everestu.

- Jezu... - szepnął Stiles.

- No co? Me cieszysz się, że jednak doszło do tej rozmowy?

Tamten przez pewien czas wpatrywał się we wstęgę autostrady przed nimi.

- Więc co sprawiło, że kobieta, niejako wbrew sobie, wyznała ci szczerze, gdzie jest jej córka?

Gillette uśmiechnął się do niego.

- Moje oczy. Kobiety po prostu nie mogą im się oprzeć. Stiles zaśmiał się w głos.

- Masz manię wielkości. Wiesz o tym?

Gillette uśmiechnął się jeszcze szerzej, uświadomiwszy sobie, że po raz pierwszy słyszy śmiech Stilesa.

Na linii rozległ się ostatni sygnał i włączyła się poczta głosowa. Wciąż to samo. Nikt przez cały dzień nie widział Vince'a w biurze. Nie zjawił się od rana i nawet nie zadzwonił.

Tom McGuire spojrzął na zegarek. Była siedemnasta. Vince czasem robił takie niespodzianki, kiedy był w silnym stresie. Po prostu znikał na jakiś czas, nikomu nic nie mówiąc.

Tom głośno westchnął. Coś mu podpowiadało, że tym razem jednak nie o to chodzi.

Jeszcze raz sięgnął po aparat i wybrał numer Faith. Ale i u niej włączyła się tylko poczta głosowa.

- Jasna cholera!

- To tutaj. - Stiles wskazał stojącą na lewym poboczu poobijaną skrzynkę na listy, którą światła reflektorów wyłowiły z ciemności. Była umocowana na szczycie obłożonego z białej farby słupka przy wylocie pierwszej drogi dojazdowej. - Route dwanaście, numer czterdziesty siódmy - odczytał adres wymalowany na niej wielkimi czarnymi znakami. - Jeśli dobrze pamiętam, właśnie taki podała ci kobieta na parkingu.

- Zgadza się.

Dochodziła pierwsza w nocy. Przez całą drogę z Pittsburgha prowadzili na zmianę i zatrzymywali się tylko dwa razy, żeby coś zjeść i zatankować samochód.

Gillette skręcił w wąską drogę dojazdową i zgasił światła. Serce waliło mu jak młotem.

- I co teraz? - zapytał, starając się za wszelką cenę ukryć drżenie głosu.

- Po pierwsze - mruknął Stiles, sięgając pod fotel - weź to. - Wyjął drugiego glocka, takiego samego jak ten, którego nosił w kaburze. - Trzymaj. - Wetknął jego kolbę w dłoń Gillette'a. - Wiesz, jak się tym posługiwać?

Gillette zważył pistolet w rękę i od razu poczuł się pewniej.

- Przecież to glock. Starczy z niego wycelować i pociągnąć za spust.

- Ale pierwszy nabój musisz ręcznie wprowadzić do komory - rzekł Stiles, wyciągając rękę.

- Tak, wiem. - Gillette pociągnął górną osłonę do siebie i puścił. Sprężyna z metalicznym trzaskiem ściągnęła ją z powrotem, a nabój z magazynka znalazł się w komorze.

- Gotowe.

Ochroniarz podał mu zapasowy magazynek z piętnastoma nabojami.

- Tylko bądź ostrożny, dobra?

- Jasne. - Gillette wsunął magazynek do kieszeni i wyjrzał przez okno na tonący w ciemnościach gęsty las. Znajdowali się w południowozachodnim zakątku stanu Missisipi, między dwoma miasteczkami o nazwach Centreville oraz Gloster, zaledwie parę kroków od granicy Luizjany. - Dość ponura okolica, prawda?

Stiles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- I ty mi to mówisz, białasie?

Gillette otworzył drzwi, wysiadł i wetknął pistolet za pasek dżinsów na plecach. Po cichu zamknął drzwi auta i ruszył truchtem do skrzynki na listy.

- Hej, co ty wyrabiasz? - syknął za nim Stiles, który także wysiadł.

Gillette nie odpowiedział. Odchylił klapkę skrzynki i wsunął rękę do środka. Nie spodziewał się tam niczego, wymacał jednak niewielki stosik korespondencji, kilka reklamówek i jakieś listy. Po omacku wybrał dwie koperty i wrócił z nimi do samochodu.

- Masz coś?

- Może będzie nazwisko właściciela.

Otworzył drzwi i kucnął, przysuwając pierwszy list do lampki pozycyjnej umieszczonej tuż nad ich dolnym rogiem. Nazwisko na kopercie ani trochę go nie zaskoczyło. Marcie nie kłamała, przynajmniej co do tego, że to nie ona podczas stypy przekazała na górę wiadomość, że Troy Mason zamknął się w gościnnej sypialni z Kathy Hays. Teraz stało się oczywiste, że naprawdę nie miała wtedy o niczym pojęcia.

- Co to za nazwisko? - zapytał Stiles. Gillette zamknął drzwi, żeby lampka zgasła.

- Michael Lefors.

Ochroniarz w kilku krokach obszedł maskę i zbliżył się do niego.

- Lefors?

Gillette spojrzał na niego.

- Tak, Michael Lefors. Zapewne ojciec Kyle'a.

- Chyba żartujesz. Przecież jego rodzice mieszkali na jakimś parkingu przy czep mieszkalnych w Luizjanie.

- Mieszkali, ale później prawdopodobnie przeprowadzili się tutaj. Może Kyle kupił im ten dom, jak się trochę dorobił w Nowym Jorku. W każdym razie, stąd do miejsca w Luizjanie, gdzie wcześniej mieszkali, jest najwyżej sześćdziesiąt kilometrów.

- Więc Kyle też jest w to zamieszany.

- Jak widać. - To nie Marcie wysłała tamtego maila do Kathy Hays. Musiał to zrobić Lefors. Pod jej nieobecność zakradł się do gabinetu i specjalnie wysłał wiadomość z jej komputera. - Lefors udostępnił ten dom Kathy Hays po tym, jak wspólnie zastawili pułapkę na Troya Masona, żeby nikt nie mógł jej odnaleźć.

- I żeby nikt nie zdołał ustalić, kto pociąga za sznurki w tej aferze - dodał Stiles. - Bo przecież ktoś musiał tej kobiecie dobrze zapłacić. Inaczej nie zgodziłaby się na taką rolę. Z jakiego innego powodu miałyby zdradzać kochanka, żeby zaraz potem rzucić pracę?

- Niewykluczone, że Lefors znalazł coś na nią - rzekł w zamyśleniu Gillette, przywołując z pamięci pytanie zadane przed chwilą przez ochroniarza: „Kto pociąga za sznurki w tej aferze?”. Z pewnością tajemniczy sponsor McGuire'a, bo któż by inny.

- Sądzę jednak, że zrobiła to dla pieniędzy. - Stiles pokręcił głową. - I tak cała ta historia nie do końca trzyma się kupy.

- Dlaczego?

- Jeśli się nie mylę, mówiłeś, że Troy Mason podjął pracę dla Paula Strazziego w Apeksie po tym, jak go wywaliłeś.

- Zgadza się. I co z tego?

- W takim razie to Strazzi musiał też opłacić Kathy Hays. Zależało mu, żeby wyciągnąć Masona z Everestu, bo liczył na zdobycie poufnych informacji o kontrolowanych przez was przedsiębiorstwach, by w ten sposób nastraszyć wdowę. To znaczy kobietę, którą sam uczynił wdową z pomocą Toma McGuire'a. Zatem wynika stąd jasno, że to Strazzi musiał być anonimowym sponsorem McGuire'a. - Urwał na chwilę. - Tyle że Strazzi zginął, a McGuire dalej chciał z tobą rozmawiać o wykupieniu agencji. Właśnie to nie trzyma się kupy.

- Ben Cohen wie o wszystkim - odparł półgłosem Gillette.

Mały pokrętny łajdak. Nigdy nie przejąłby kontroli nad Everestem, nawet na trzydzieści dni, gdyby nie wsparcie kogoś potężniejszego, komu się zwyczajnie sprzedał. Zgodził się odegrać rolę marionetki w zamian za możliwość pokierowania przez miesiąc inwestycjami Everestu, a także w zamian za odsprzedanie Laurel Energy za drobny ułamek rzeczywistej wartości firmy i należących do niej terenów. Sfałszowane kasety z wynikami testów mówiły, że na obszarze objętym opcją nie ma większych złóż ropy, gdy tymczasem są. Gillette był już niemal pewien, że powtórzone badania sejsmiczne wykażą obecność rozległego złoża ropy na tamtym terenie.

A więc McGuire został człowiekiem do czarnej roboty, a Cohen mózgiem całej operacji. Tylko kto zapewnił im wsparcie finansowe? Może w sprawę oprócz prezesa był zaangażowany jeszcze ktoś z Apeksu? Może Stockman wolał się zabezpieczyć przed wyskokami Strazziego i wciągnął do współpracy kogoś innego? A może spisek zorganizowali tylko Cohen z Faradayem? W końcu ten drugi miał niezliczone kontakty z ludźmi z towarzystw ubezpieczeniowych i zarządów funduszy emerytalnych. Więc może to on dogadał się z Cohenem i wspólnie postanowili sprzedać Laurel Energy za symboliczną cenę, żeby w zamian zyskać możliwość powołania własnego funduszu inwestycyjnego. Gillette popatrzył w głąb mrocznego lasu. Odpowiedź musiała na niego czekać na końcu wąskiej drogi dojazdowej.

Ruchem ręki przywołał Stilesa.

- Jedziemy - powiedział, otwierając drzwi samochodu. Tamten pokręcił głową i szybko zamknął drzwiczki.

- Pójdziemy pieszo - rzekł półgłosem. - Lepiej nie budzić mieszkańców i zakraść się pod osłoną ciemności.

Ledwie uszli ostrożnie kilkadziesiąt metrów, zaczęło się śpić. Otoczył ich szmer deszczu spadającego na liście drzew. Ciężkie deszczowe chmury jeszcze zagęściły nocny mrok, toteż musieli zwolnić kroku i bacznie uważać pod nogi na dziurawej i zrytej koleinami drodze.

- Mam nadzieję, że nie natkniemy się na jakieś cholerne węże leżące na środku drogi - mruknął Stiles. - Chyba wiesz, że po nocach wylazą na odkryty teren.

Gillette zatrzymał się gwałtownie i wyszarpnął pistolet zza paska.

- Jakie tu mogą być węże, do diabła? - zapytał, mierząc z broni pod nogi.

- Najróżniejsze.

- Pytam o jadowite, Quentin - syknął Gillette, ostrożnie ruszając dalej. - Co wiesz o jadowitych węzach, na które można się tu natknąć?

- To przede wszystkim różne mokasyny i grzechotniki. Najgorszy jest mokasyn błotny. Mam trochę znajomych z południa, którzy opowiadali niesamowite historie o tych węzach podążających za ludźmi. Podobno potrafią nawet wśliznąć się za człowiekiem do łodzi.

- Cudownie.

Pół kilometra dalej pojawił się przed nimi dom, a właściwie mała drewniana chata stojąca na środku polany. Strzeliste drzewa dookoła sięgały na dziesiątki metrów w górę. W domku panowały całkowite ciemności, ale paliła się słaba lampa na ganku. A pod schodami stał zaparkowany mały samochód.

- I co teraz? - zapytał szeptem Gillette. rfl - Wchodzimy do środka.

‘ - A jeśli drzwi są zamknięte?

- Zostaw to mnie - mruknął Stiles, klepiąc się po kieszeni na piersi. - Zabrałem zestaw wytrychów. Otworzę nimi każdy zamek.

- To przecież będzie włamanie.

- I kto to mówi? Porywacz?

Gillette otarł wilgoć z czoła. Deszcz stopniowo przybierał na sile.

- Mamy tak po prostu wejść frontowymi drzwiami z ganku?

Mogli przypuszczać, że w chacie oprócz Kathy Hays są ludzie, którzy jej strzegą. Zapewne uzbrojeni i zdeterminowani.

- No to spróbujmy inaczej. Sprawdźmy, czy nie ma drzwi od tyłu. Mnie też się nie podoba wejście z ciasnego ganku. Przy tym oświetleniu wystawilibyśmy się jak kaczki na odstrzał. - Stiles machnął ręką. - Chodź za mną.

Gillette podreptał jego śladem przez gęstą trawę na tyły domu, osłaniając dłonią oczy od deszczu.

- To nadal będzie działało, nawet jak zamoknie? - spytał, kiedy przystanęli pod rozłożystym dębem.

- Masz na myśli pistolet?

- Tak.

- Będzie działał, nic się nie martw. Nawiasem mówiąc, jeśli już do kogoś wymierzysz, to strzelaj tak, żeby zabić, a nie zranić. Jasne?

- Jak dwa i dwa to cztery. - Byłby niezmiernie szczęśliwy, gdyby za pierwszym strzałem udało mu się położyć trupem kogoś, kto chce strzelić do niego.

Stiles wskazał tonący w ciemnościach dom.

- Jest tylne wejście. Pewnie prowadzi przez sień, kuchnię albo coś w tym rodzaju. W każdym razie na pewno lepiej dostać się do środka tędy.

Gillette przytaknął ruchem głowy.

- No to idziemy.

W kilku susach przeskoczyli wysoką trawę, znaleźli się przy drzwiach i przywarli plecami do ściany. Stiles ostrożnie nacisnął klamkę, ale były zamknięte. Wyciągnął więc z kieszonki mały płaski futerał, otworzył go, wybrał odpowiedni wytrych i powoli wsunął w dziurkę.

- Bingo - szepnął chwilę później, chowając komplet narzędzi w futerał. - Gotów?

Gillette przycisnął pistolet do brzucha. Nawet deszcz nie mógł zmyć grubych kropli lepkiego potu, jaki wystąpił mu na czoło.

- Tak.

- Jeśli włączy się alarm, zjeżdżamy stąd. Wiejemy tędy prosto do lasu - wskazał kierunek. - Ukryjemy się w gąszczu i zaczekamy na rozwój wypadków. Jasne?

- Tak.

Położył dłoń na klamce i powoli obrócił gałkę.

Gillette przygotował się do biegu na pierwszy dźwięk alarmu, ale wciąż panowała cisza. Delikatnie szczerknął zamek i drzwi stanęły otworem.

Stiles zerknął na niego przez ramię.;

- No, chodź - ponaglił szeptem.

Powietrze w chacie było przesiąknięte wonią kurzu, pai nowały nieprzeniknione ciemności. Ledwie mógł rozróżnić sylwetkę Stilesa posuwającego się o krok przed nim.

Przeszli przez kuchnię do obszernego pokoju, od którego odchodził wąski korytarzyk. Ruszyli nim, zaglądając po drodze do kolejnych pomieszczeń. Minęli dwie puste sypialnie i dotarli w końcu do ostatniej, na samym końcu korytarza. Stiles obejrzał się w drzwiach, przytknął palec do warg i ruchem głowy dał znać, że ktoś leży w łóżku.

Dwóch ludzi z bronią gotową do strzału podkradło się bezszelestnie do tylnych drzwi chaty, za którymi przed chwilą zniknęli Gillette i Stiles.

Stiles wśliznął się do sypialni, pochylił nad łóżkiem i szybkim ruchem zakrył usta Kathy Hays swoją wielką dłonią.

Natychmiast otworzyła oczy, szarpnęła się i próbowała krzyknąć, ale jego ciężka łapa skutecznie tłumiała głos. Dziewczyna obiema rękami złapała go za nadgarstek, próbując odepchnąć od siebie jego rękę, ale na próżno. Był o wiele silniejszy od niej. Uniosła więc zaciśnięte pięści, jakby zamierzała się bronić, lecz natychmiast znieruchomiała, ujrawszy tuż przed nosem wylot lufy pistoletu.

- Jestem twoim przyjacielem - szepnął. - Nie szarp się.

Widok pistoletu sprawiał, że bała się choćby drgnąć. Tylko łyzy mimowolnie napłynęły jej do oczu.

- Zaraz zabiorę rękę, Kathy - rzekł półgłosem Stiles. - Nie skrzywdzimy cię - zapewnił, gdy Gillette przysiadł na brzegu łóżka po przeciwnej stronie. - Chcemy tylko zadać ci kilka pytań. Zrozumiałaś?

Pokiwała energicznie głową, wytrzeszczając oczy.

- I nie będziesz krzyczała, prawda? Zaprzeczyła gorliwie.

- To dobrze. Już cię puszczam. - Stiles powoli unióś rękę. Z sykiem nabrała powietrza i odruchowo podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Czego chcecie? - zapytała roztrzęsionym głosem. - Proszę, nie zabijajcie mnie - dodała błagalnym tonem.

- Nie zrobimy ci krzywdy - powtórzył stanowczo Gillette. - Chcemy ci tylko zadać parę pytań. Zgoda?

- W porządku - odparła z wahaniem.

- Rozpoznajesz mnie? - zapytał, pochylając się nad nią, żeby lepiej zobaczyła jego twarz w półmroku.

- Nie.

- To ja wszedłem do sypialni gościnniej w suterenie domu Billa Donovana w czasie stypy, kiedy byłaś w łóżku z Troyem Masonem.

- O Boże... - jęknęła, unosząc ręce do twarzy. - To ty jesteś Christianem Gillette.

- Zgadza się.

Szarpnęła się ponownie, ale Stiles przytrzymał ją na łóżku.

- Przestań - syknął groźnie. - Ani waż się ruszyć, dopóki ci na to nie pozwolę.

- Nie masz się czego obawiać - dodał łagodnym tonem Gillette, chcąc ją uspokoić. - Pójdziemy sobie, gdy tylko odpowiesz na moje pytania.

- Co chcecie wiedzieć? - zapytała jeszcze bardziej roztrzęsionym głosem. Łzy pocięły jej po policzkach na poduszkę.

- Czy ktoś ci zapłacił, żebyś wystawiła Troya> bym go wylał z pracy?

Przełknęła głośno ślinę i skinęła głową.

- Tak.

Oczywiście, pomyślał. W końcu to był najprostszy sposób usunięcia Troya z Everestu bez konieczności uciekania się do zabójstwa. Ktokolwiek za tym stał, chciał umieścić Cohena na stanowisku prezesa, żeby szybko przeprowadzić transakcję sprzedaży Laurel Energy grupie Coyote Oil. Spiskowcy świetnie wiedzieli, że Faraday także nie ma szans w wyborach, liczyli się tylko on i Mason, którego łatwo było wyeliminować, korzystając z pomocy Kathy Hays. A jego należało zamordować. Plan był prosty i klarowny.

Pozostawała jedynie kwestia źródła pieniędzy. Tylko po to, by to wyjaśnić, wybrał się ze Stilesem w tak długą podróż. To był bowiem klucz do całej zagadki. Poczł nagle, jak mu się pocą dłonie.

- Kto się z tobą skontaktował w sprawie wystawienia Masona?

Kathy przez kilka sekund w milczeniu spoglądała na niego błagalnym wzrokiem. Sypialnię wypełniał głośny szmer jej przyspieszonego oddechu.

- Odpowiadaj - rzucił ostrzej. - I to już. Dziewczyna ponownie głośno przełknęła ślinę.

- Niejaki Miles Whitman - szepnęła.

Gillette odniósł wrażenie, jakby świat wokół niego nagle zawirował. Miles Whitman! To on stał za nieudanymi zamachami! I to on wspierał finansowo próbę odkupienia przez braci McGuire ich agencji! I to on próbował kupić za marne grosze Laurel Energy! Gillette z trudem zaczerpnął powietrza. To Miles Whitman był motorem wszystkich działań.

Z jego pamięci wypłynęły wspomnienia ze spotkania z Whitmanem w gabinecie Cohena pod koniec ubiegłego tygodnia, kiedy dowiedział się właśnie, że wdowa postanowiła sprzedać swoje udziały w firmie Strazziemu. Whitman tak się dopytywał, czy Cohen został już oficjalnie mianowany dyrektorem naczelnym biura, czy jeszcze nie. A Cohen zachowywał się wtedy dość dziwnie. Teraz wszystko już było jasne. Cohen po prostu bał się przeraźliwie, że Gillette jakimś cudem odkryje prawdę, iż to Whitman pociąga za sznurki.

Tylko dlaczego Whitman miałby organizować aż tak ogromny spisek? Przecież i bez tego zaliczał się do najbardziej wpływowych ludzi w świecie wielkiej finansjery.

Inna myśl poraziła go jak grom z jasnego nieba. Przypomniał sobie rozmowę telefoniczną z Whitmanem, w której tamten wspomniał, że niedawno rozmawiał ze Strazzim o jego ulubionych trasach do porannego joggingu w Central Parku. Whitman musiał dokładnie znać rozkład dnia Strazziego. I to on wydał na niego wyrok śmierci właśnie ze względu na kontrolny pakiet akcji Everestu. Gdyby Strazzi nabył go od wdowy, Whitman nigdy nie zdołałby kupić Laurel Energy.

Kula trafiła Stilesa w bok, pod lewą pachą, a impet trafienia rzucił go na łóżko obok Kathy, jeszcze zanim do uszu dotarł huk wystrzału. Dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie, odrzuciła koldrę i przetoczyła się w kierunku Gillette'a.

Ten błyskawicznie przyklęknął na jedno kolano i zaczął na oślep strzelać ponad leżącym bez ruchu Stilesem w kierunku drzwi sypialni. W korytarzu rozległ się donośny jęk, a potem łoskot ciała walącego się na podłogę. Huknęły następne wystrzały. Ale bandyta mierzył zdecydowanie za wysoko i w krótkim czasie obaj, Gillette i Stiles, opróżnili magazynki, strzelając w jego stronę.

Jak tylko przebrzmiało echo ostatniego wystrzału, doleciał ich odgłos szybkich kroków w korytarzu.

- Stiles! - krzyknął Gillette, sięgając do kieszeni po zapasowy magazynek. Rzucił pusty na podłogę i załadował drugi, zawierający piętnaście bezcennych naboju. - Nic ci się nie stało? Ochroniarz jęknął gardłowo, zsunął się z łóżka na podłogę i poczołgał w kierunku drzwi.

- Jeszcze nigdy... nikt mi nie... przestrzelił płuca - wycharczał.

Gillette usłyszał jęki rannego dolatujące sprzed drzwi sypialni, a następnie gwar czyichś głosów przed domem. Trzech, może czterech mężczyzn głośno przekazywało sobie uwagi. Przeczolgał się przez łóżko, doskoczył do drzwi i ostrożnie wyjrzał na korytarz.

Mężczyzna leżał na boku i trzymał się rękami za brzuch. Pistolet spoczywał na podłodze przy jego głowie, ledwie widoczny w ciemności. Gillette dopadł go w dwóch susach, zacisnął palce na kolbie, z powrotem dał nura do sypialni i uklęknął obok Stilesa. Ochroniarz siedział wsparty plecami o ścianę, położywszy pistolet na podłodze. Z rany pod pachą krew wypływała porcjami w rytm uderzeń serca, rozlewając się coraz szerszą plamą na koszuli.

- Jezus, Maria! Quentin!

- Kiepsko to wygląda, co, Chris? - wystękał Stiles.

- Wyciągnę cię stąd, bracie. Obiecuję.

Popatrzył na Kathy. Siedziała na podłodze w najdalszym kącie pokoju i głośno szlochała. Podciągnęła kolana pod brodę i rytmicznie kołysała się na boki. Wyszarpnął z kieszeni telefon komórkowy i wcisnął pierwszy lepszy klawisz, żeby podświetlić ekran. Tu, w odludnej części Missisipi, w ogóle nie było sygnału. Przekonał się o tym już w czasie drogi przez las, miał jednak nadzieję, że na polanie znajdzie zasięg.

- Cholera! - Zerknął na Stilesa i znów popatrzył na Kathy. - Zostańcie tutaj. Nie ruszajcie się.

Pomyślał, że gdzieś w domu musi być telefon. Zwrócił uwagę na przeciągnięty górą kabel, gdy wyszli z drogi dojazdowej na polanę. Pewnie aparat znajdował się w dużym pokoju. Wyrzwał jeszcze raz na korytarz i zauważył, że ktoś zostawił w saloniku zapalone światło. Zaczął się skradać w tamtym kierunku, trzymając przed sobą broń gotową do strzału i wodząc nią lekko na boki, usiłując zarazem zgadnąć, gdzie mógł się ukryć ten napastnik, który uciekł sprzed sypialni, i czy pozostali czekający przed domem nie wtargną frontowymi drzwiami.

Od razu zauważył telefon na stoliku przy kominku i dopadł go w paru susach. Ledwie zacisnął palce na słuchawce, z głośnym brzękiem posypała się szyba roztrzaskana przez kulę, która z wizgiem przeleciała nad jego głową.

Rzucił się plackiem na ziemię, zanim grad kul wybił pozostałe okna. Pospieszenie wymierzył w nocną lampkę i strzaskał ją pierwszym strzałem. Pokój pogrążył się w ciemnościach. Ale na zewnątrz kanonada wcale nie ustała.

Gillette podniósł słuchawkę i wybrał tkwiący mu w pamięci numer telefonu komórkowego Toma McGuire'a. Nawet przez huk kanonady doleciał go głośny sygnał sprzed domu.

- No, odbierz!

Nagle rozległy się ciężkie stąpania na ganku i frontowe drzwi z hukiem zwały się na podłogę. Kilkakrotnie strzelił na oślep w kierunku wejścia, nie opuszczając słuchawki. Doleciał go kolejny łoskot padającego ciała, ale przez wyważone drzwi do pokoju wpadła zapalona pochodnia. Potoczyła się po podłodze i zatrzymała pod kanapą, której obicie niemal natychmiast zajęło się płomieniem.

- Słucham - rozległo się wreszcie na drugim końcu linii.

- Tom! - wrzasnął, przekrzykując narastający huk płomieni, który błyskawicznie upodobnił się do szumu nadjeżdżającego pociągu towarowego. - To ja, Christian Gillette!

- Co, do cholery?... Jakim cudem...

- Zgadza się, ciągle żyję! - odpowiedziała mu cisza. » Tom! - McGuire był wyraźnie oszołomiony - Tom! - Czego chcesz, do cholery?!

- Wiem, że jesteś przed chatą. Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć brata żywego, natychmiast odwołaj swoje psy! Moi ludzie trzymają Vince'a w Nowym Jorku! Jeśli do szóstej rano nie będą mieli ode mnie wiadomości, załatwią go!

Oślupiały Tom McGuire gwałtownie opuścił telefon. Wokół chaty w lesie było piętnastu jego ludzi, a płomień w saloniku zaczynał się już wgrzyzać w drewnianą podłogę i ściany. W ciągu paru minut ogień i dym pochłonie cały dom, co zmusi do ucieczki wszystkich znajdujących się w środku. Znaleźliby się w pułapce bez wyjścia. Bez trudu by sobie z nimi poradzili. Ten plan wydawał się doskonały. Po prostu idealny.:

Gdyby nie to, że Gillette wciąż żył. I że więził jego brata.

Gillette ze strachem obserwował strzelające coraz wyżej płomienie. Zaczynały już lizać sufit. Trzeba było jak najj" szybciej uciekać. Zostało im najwyżej kilka minut.

Kanonada nagle ucichła.

26

Nieotwarta butelka szkockiej whisky stała dokładnie na środku biurka. Gillette siedział w obitym skórą fotelu i spoglądał na nią w mętniejącej szarówce nadciągającego wieczoru, a następnie tylko w blasku włączonego monitora, gdyż nie chciało mu się zapalać światła. Pośrodku ekranu wyświetlała się bieżąca cena akcji Dominion: czterdzieści siedem dolarów za sztukę. Już w pierwszej połowie tego tygodnia nie tylko wróciła do pierwotnego poziomu, ale też wzrosła o parę punktów. Rozległo się ciche pukanie.

- Christian?

Poznał po głosie Faradaya.

- O co chodzi?

- Mogę wejść?

Zawahał się. Chciał być sam, ale Nigel już od pewnego czasu próbował się z nim skontaktować, a on ciągle go odsyłał na później.

- Tak, wejdź.

Faraday wśliznął się do gabinetu i usiadł przed biurkiem.

- Jak się miewasz?

- Świetnie.

- Przykro mi z powodu Stilesa - rzekł Anglik półgłosem.

- Przecież nie umarł. Jeszcze jest szansa, że się wyliże. Tamten odchrząknął.

- Chciałem też powiedzieć, że jest mi strasznie głupio z tego powodu, jak cię traktowałem po śmierci Billa.

Gillette spojrzał na niego. Zabrzmiało to szczerze. Wyczuł w głosie współnika prawdziwą skruchę.

- Dzięki, Nigel.

Faraday usadowił się wygodniej na krześle.

- Czy mógłbyś mi teraz wyjaśnić, co się, do cholery, wydarzyło w ciągu tych kilku ostatnich tygodni?

Gillette potarł piekące oczy. Nie dało się tego zrelacjonować w paru słowach, a on był zmęczony. Ale Faraday był już ostatnim współnikiem zarządu spółki i powinien wiedzieć o wszystkim, by móc to przekazać całemu światu.

- W ostatnich latach Miles Whitman poczynił kilka nieudanych inwestycji. Najpierw przejechał się solidnie na akcjach paru spółek z branży elektronicznej, a potem utopił jeszcze kupę forsy w kilku innowacyjnych południowoamerykańskich projektach energetycznych, które także nie wypaliły.

- Ile w sumie stracił?

- Ponad pięć miliardów. Faraday cicho gwizdnął.

- Jezu Chryste.

- Ukrywał prawdę zarówno przed członkami zarządu North America Guaranty, jak i przed dyrekcją towarzystwa. I to nie tylko z powodu rozmiarów strat, lecz również ze względu na to, że znacznie przekroczył swoje uprawnienia. Nie miał prawa lokować pieniędzy w tego rodzaju inwestycjach.

- Groziła mu sprawa kryminalna?

- Bez dwóch zdań, nawet z kilku paragrafów.

- Ale co to wszystko miało wspólnego z Laurel Energy? - zapytał Anglik.

- Whitman dowiedział się jakimś sposobem, że w Kanadzie, na terenach objętych opcją tej firmy, znajdują się pokaźne złoża ropy i gazu. Naprawdę bogate. Obmyślił więc chytry plan i powołał do życia fasadową spółkę Coyote Oil, w całości należącą do jego towarzystwa, której jedynym celem było wykupienie Laurel Energy za jak najniższą cenę. Docelowo zamierzał odczekać kilka miesięcy i odsprzedać Laurel Energy którejś z dużych kompanii naftowych. Wiedział, że gdy tylko rozejdą się wieści o odkryciu złóż, zarobi na tej jednej transakcji dużo więcej, niż stracił na inwestycjach w nowoczesne technologie elektroniczne i wątpliwe projekty energetyczne w Ameryce Południowej. Chciał tymi

zyskami pokryć straty i zrobić to w taki sposób, by nikt nie mógł mu niczego zarzucić. Był na tyle doświadczony, że mógł do woli manipulować danymi inwestycyjnymi.

- Jak odkrył, że na naszym terenie znajdują się pokaźne złoża ropy i gazu?

- Pół roku temu nakazał potajemnie przeprowadzić na tym obszarze badania sejsmiczne - odparł Gillette.

- A my nie robiliśmy takich badań?

- Robiliśmy.

- Więc też powinniśmy wiedzieć, co się tam znajduje. Gillette wyciągnął z dolnej szuflady biurka szklaneczkę i postawił ją obok butelki whisky.

- Ludzie, którzy pracowali dla Whitmana, wykradli kasety z nagranyimi wynikami badań i podrzucili na ich miejsce sfalszowane, a ich analiza wykazała, że są tam najwyżej niewielkie złoża.

- Jak im się to udało?

- Facet, który kierował badaniami sejsmicznymi, wracał z taśmami do miasta sam, do tego nocą podczas zamieci. Ludzie Whitmana wcześniej uszkodzili jego furgonetkę, a gdy odmówiła posłuszeństwa na zupełnym odludziu, w pobliżu jeziora McKenziego, wyciągnęli go z wozu, wycięli przerębel w tafli na jeziorze i zmusili go, żeby popływał pod lodem. Nie muszę tłumaczyć, że tego nie wytrzymał. Kilka dni później jakiś przypadkowy wędkarz wyciągnął go z jeziora. W pierwszej chwili myślał, że złowił największy okaz swego życia, ale trochę się zdziwił, gdy zamiast ryby ujrzał w przeręblu zeszywniałą rękę człowieka.

- Jasna cholera...

- W wodzie pod lodem nikt nie wytrzyma za długo. - Gillette obrzucił spojrzeniem butelkę whisky. Nie mógł przestać myśleć o Stilesie, który dwa razy uratował mu życie, a teraz walczył w szpitalu o swoje. - W każdym razie bez trudu podmienili wtedy kasety. To dlatego taśmy, które poddaliśmy analizie, wykazały, że na badanym obszarze są tylko niewielkie złoża ropy i gazu. Prawdziwe kasety musiały potwierdzić wyniki badań, które Whitman w tajemnicy zlecił pół roku wcześniej.

- Skąd mógł wiedzieć, że zechcesz mu sprzedać Laurel Energy? - zapytał Faraday. - Przecież wcale nie musiałeś pozbywać się firmy, gdyby cena wydała ci się za niska.

- Właśnie w tym celu nasłał na mnie braci McGuire. Obiecał im, że w zamian dostaną połowę akcji swojej agencji za darmo. Najwyraźniej chciał nakłonić zarząd towarzystwa do zakupu agencji McGuire & Company, po czym w tajemnicy przekazać braciom połowę udziałów.

- Ale przecież nasi ograniczeni wspólnicy mogli się stanowczo sprzeciwić sprzedaży Laurel Energy za tak niską cenę.

- Nie mogli, przynajmniej w ciągu miesiąca po mojej śmierci.

- Dlaczego?

- Gdybym został wyeliminowany, Cohen automatycznie przejąłby obowiązki prezesa Everest Capital na okres co najmniej trzydziestu dni.

Cohen został aresztowany pod zarzutem współudziału w zabójstwie Billa Donovana. Faraday zrobił zdziwioną minę.

- Jak to?

- Gwarantuje to zapis w statucie naszej spółki. Po śmierci prezesa jego obowiązki przejmuje dyrektor naczelny biura, i to na okres co najmniej miesiąca, do czasu zwołania walnego zgromadzenia akcjonariuszy i wyboru nowego prezesa.

- Naprawdę? Nie miałem pojęcia, że jest taki przepis.

: - Ja też nie - przyznał posępnym głosem Gillette. - Chyba powinienem się domyślić, że Cohen coś knuje, kiedy tak stanowczo zaczął nalegać, bym oficjalnie awansował go na to stanowisko.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem - rzekł Faraday. - Więc to Whitman zlecił zabójstwo Donovana i zastawił pułapkę na Troya Masona, wykorzystując Kathy Hays?

- Zgadza się.

- Ale przecież wspierał twoją kandydaturę na zebraniu wyborczym.

- Bo dobrze wiedział, że tylko Troy i ja mamy realne t szansę na zwycięstwo, przy czym obu z nas chciał się pozbyć, żeby stanowisko prezesa mógł objąć Cohen. A ten, w zamian za przekazanie mu kontroli nad inwestycjami Everestu, zgodził się sprzedać Laurel Energy grupie Coyote Oil za grosze.

- Więc dlaczego Whitman tak mocno popierał właśnie ciebie?

- Wiedział, że Troya pozbędzie się bez trudu, nie nasyłając na niego zabójców. Dobrze znał jego słabostki. Nakłonił Leforsa, żeby powiadomił mnie, iż Troy i Kathy Hays zamknęli się w gościnnej sypialni podczas stypy w domu Donovana. Znał mnie dobrze i był niemal pewien, że natychmiast wywalę Troya z zarządu. Poza tym zdawał sobie sprawę, że Troy, jeśli zostanie prezesem, może zapomnieć o jakichkolwiek oskarżeniach o molestowanie seksualne. W końcu żaden prezes nie zwolni sam siebie ze stanowiska.

- Ach, tak. Już rozumiem. - Faraday obrzucił tęsknym wzrokiem stojącą na biurku butelkę. - Czy dobrze słyszałem, że gliny zgarnęły także Leforsa?

- Owszem. Dziś po południu został aresztowany w Nowym Orleanie.

- Co on tam robił? Gillette wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- A co z Whitmanem? Pokręcił głową.

- Zniknął. Jakby się pod ziemię zapadł. Tak samo jak Tom i Vince McGuire. Whitman prawdopodobnie od dłuższego czasu ściągał drobne sumy z banków całego świata, właśnie na wypadek takiej sytuacji. Niewykluczone, że robił to samo na rzecz braci McGuires.

- Sądysz, że Whitman stał również za zabójstwem Strazziego? - zaciekał się Faraday.

- Owszem. Strazzi bardzo szybko mógł zniweczyć jego zamierzenia. Gdyby zdołał przejąć kontrolę nad Everestem, sam zostałby prezesem zarządu. Cohen nie miałby żadnych szans w starciu z nim.

- Sądysz, że Whitman pozostawiłby Cohena na stanowisku prezesa po upływie tego miesiąca?

Gillette wzruszył ramionami. Na jakiś czas zapadła cisza.

- Co teraz planujesz, Christianie? - zapytał w końcu Faraday.

Gillette spojrział mu w oczy.

- Tak czy inaczej, utworzymy nowy fundusz inwestycyjny, i to nie mniejszy niż piętnaście miliardów. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - A poza tym wykupimy Apex.

Faraday rozdziawił usta ze zdumienia.

- Co?

Gillette sięgnął po butelkę.

- Chcę wykupić majątek pozostały po Strazzim. Możesz mi wierzyć, Nigel, że w krótkim czasie staniemy się najbogatszą prywatną spółką kapitałową na świecie. - Wychylił się z fotela i przesunął butelkę bliżej współnika. - Proszę, to drobny prezent ode mnie za twoją lojalność. A teraz zjeżdżaj łamać głowę, jak zebrać piętnaście miliardów dolarów na inwestycje w ciągu pół roku. A ja będę łamał głowę nad tym, jak przejąć Apex.

Faraday chwycił butelkę i podniósł się z krzesła.

- Tak jest! - rzucił, kierując się do drzwi. Z ręką na klamce odwrócił się jeszcze i dodał: - Dzięki, Christianie, że postanowiłeś mnie zatrzymać przy sobie. Mówię całkiem poważnie. Na twoim miejscu od razu wywaliłbym siebie z roboty.

Gillette uśmiechnął się i pokiwał głową. Faraday nawet nie miał pojęcia, jak blisko było do takiej decyzji.

Kiedy wyszedł, Gillette sięgnął po swoją „jeżynę” i zaczął bez zainteresowania przerzucać wpisy w książce telefonicznej, szukając jakiegoś numeru, który wpadłby mu w

oko. Myślami powędrował ku Isabelle. Wciąż nie mógł t uwierzyć, że zgodziła się zwrócić przeciwko niemu, ponieważ namówił ją do tego McGuire. Pomyślał też, że chęć zabezpieczania się ze wszystkich możliwych stron stała się już chyba jego obsesją. Przecież musiał aż zagrozić, że zabije Josego i Selmę, zanim nakłonił ją do współpracy. A jeszcze częściej groził, że ją zabije. Pokręcił głową. Było mu wstyd. Także z tego powodu, że Isabelle miała trafić na wiele lat do więzienia.

Kiedy wpadł mu w oko odpowiedni numer, pospiesznie wystukał go na klawiaturze telefonu stojącego na biurku, po czym zasłuchał się w sygnał wywołania, mając nadzieję, że w końcu ktoś odbierze.

- Halo?

Wziął głębszy oddech i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Cześć, Faith. Co słychać?